

TO NIE JEST ZWYKŁA GRA.
CZY UDA SIĘ WYPRZEDZIĆ
ZABÓJCĘ?

Isabel
ALLENDE

**DIPPER
KIPPER**

GRA O ŻYCIE

Isabel
ALLENDE

**DIPPER
KNIPPER**
GRA O ŻYCIĘ

przełożyli

JOANNA OSTROWSKA
GRZEGORZ OSTROWSKI

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

*Williamowi C. Gordonowi,
mojemu współnikowi w miłości i zbrodni.
Dziękuję*

Isabel

Spis treści

* * *

Styczeń

Poniedziałek, 2

Wtorek, 3

Środa, 4

Czwartek, 5

Sobota, 7

Niedziela, 8

Poniedziałek, 9

Wtorek, 10

Środa, 11

Piątek, 13

Niedziela, 15

Poniedziałek, 16

Piątek, 20

Niedziela, 22

Środa, 25

Czwartek, 26

Sobota, 28

Poniedziałek, 30

Wtorek, 31

Luty

Czwartek, 2

Sobota, 4

Niedziela, 5

Wtorek, 7

Piątek, 10

Sobota, 11

Poniedziałek, 13

Wtorek, 14

Czwartek, 16

Piątek, 17

Sobota, 18

Niedziela, 19

Poniedziałek, 20

Piątek, 24

Sobota, 25

Wtorek, 28

Marzec

Piątek, 2

Niedziela, 4

Poniedziałek, 5

Piątek, 9

Niedziela, 11

Sobota, 17

Poniedziałek, 19

Sobota, 24

Poniedziałek, 26

Sobota, 31

Kwiecień

Niedziela, 1

Wtorek, 3

Środa, 4

Czwartek, 5

Piątek, 6

Epilog

Sobota, 25 sierpnia 2012 roku

Podziękowania

Moja mama jeszcze żyje, ale w Wielki Piątek o północy zostanie zamordowana, ostrzegła Amanda Martín nadinspektora, a ten nie zakwestionował jej słów, bo dziewczyna już udowodniła, że wie więcej od niego i od wszystkich jego kolegów z Wydziału Zabójstw. Kobiętę przetrzymywano gdzieś w rejonie zatoki San Francisco, na obszarze o powierzchni osiemnastu tysięcy kilometrów kwadratowych. Mieli mało czasu, by odnaleźć ją żywą, a on nie wiedział, od czego zacząć poszukiwania. Dzieciaki nazwały pierwsze zabójstwo „zbrodnią z kijem bejsbolowym w niestosownym miejscu”, żeby nie upokarzać ofiary bardziej dosłownym określeniem. Była ich szóstka: piątka nastolatków i starszy mężczyzna. Za pośrednictwem swoich komputerów grali w grę fabularną o nazwie *Ripper*.

Trzynastego października 2011 roku o ósmej piętnaście rano uczniowie czwartej klasy publicznej podstawówki Golden Hills w San Francisco wbiegli do sali gimnastycznej dopingowani gwizdkiem stojącego w drzwiach nauczyciela wuefu.

W dużej, nowoczesnej i dobrze wyposażonej sali, wybudowanej dzięki hojności jednego z byłych uczniów, który dorobił się fortuny za sprawą bańki spekulacyjnej na rynku nieruchomości, organizowano również uroczystości na zakończenie roku szkolnego oraz widowiska muzyczne i teatralne.

Teraz właśnie dzieci, biegnąc jedno za drugim, miały wykonać w ramach rozgrzewki dwa pełne okrążenia boiska do koszykówki, ale zatrzymały się na środku na widok nieoczekiwanego znaleziska. Przez koziół gimnastyczny był przewieszony mężczyzna w spodniach zsuniętych do kostek, z gołym tyłkiem i kijem bejsbolowym wbitym w odbyt. Zdumione dzieci otoczyły ciało. Jakiś dziewięciolatek, śmielszy od kolegów, schylił się, przesunął palcem wskazującym po ciemnej plamie na podłodze i stwierdził, że skoro nie jest to czekolada, musi chodzić o zaschniętą krew. W tym czasie inny chłopiec schował do kieszeni podniesioną z podłogi łuskę po kuli, żeby wymienić ją na przerwie na komiks pornograficzny, a jakaś smarkula filmowała zwłoki swoją komórką. Trener, który dalej dmuchał w gwizdek przy każdym wydechu, podbiegł w podskokach do kozła, a gdy jego oczom ukazał się widok czegoś, co wcale nie wyglądało na żart, dostał ataku hysterii. Wywołany przez uczniów harmider ściągnął innych nauczycieli. Pokrzykując i popychając dzieci, wyprowadzili je z sali, wywlekli z niej trenera, wyciągnęli kij bejsbolowy, położyli ciało na podłodze i dopiero wtedy odkryli krwawą dziurę pośrodku czoła mężczyzny. Nakryli zwłoki kilkoma bluzami, zamknęli drzwi i czekali na policję, która przyjechała już po dziewiętnastu minutach. Do tego czasu miejsce zbrodni zostało tak zdeptane, że nie sposób było dokładnie określić, co się tam naprawdę wydarzyło.

Nieco później, na swojej pierwszej konferencji prasowej nadinspektor Bob Martín poinformował, że ofiara została zidentyfikowana. Był nią Ed Staton, czterdziestodwuletni ochroniarz pracujący w szkole. „O co chodzi z tym kijem bejsbolowym?”, krzyknął jakiś dociekliwy dziennikarz. Nadinspektor, niezadowolony, że wyciekł ów szczegół, uwłaczający Edowi Statonowi i kompromitujący dla placówki oświatowej, odpowiedział, że trzeba poczekać na sekcję zwłok. „Czy jest jakiś podejrzaný?

Czy ochroniarz był gejem?” Ignorując grad pytań, Bob Martín zakończył konferencję, ale wcześniej zapewnił, że Wydział Zabójstw będzie informował prasę w miarę postępów śledztwa, które zostało wszczęte natychmiast i którym osobiście kieruje.

Poprzedniego wieczoru grupa uczniów ostatniej klasy miała w sali gimnastycznej próbę komedii muzycznej przygotowywanej na Halloween, coś o zaświatach, zombie i rock and rollu, ale o tym, co zaszło, dowiedzieli się dopiero dzień później. Około północy, czyli w czasie, kiedy według wyliczeń policji popełniono zbrodnię, w budynku szkoły nie było już nikogo i tylko trzej członkowie zespołu rockowego ładowali na parkingu instrumenty do furgonetki. Oni ostatni widzieli Eda żywego. Zeznali, że strażnik pozdrowił ich ruchem ręki i odjechał małym samochodem około wpół do pierwszej. Dzieliła ich pewna odległość od Statona, a parking nie ma oświetlenia, ale byli pewni, że w blasku księżyca rozpoznali uniform ochroniarza, natomiast nie zdołali ustalić koloru ani marki samochodu. Nie potrafili też powiedzieć, czy w środku siedział ktoś jeszcze, policja jednak doszła do wniosku, że auto nie należało do ofiary, bo perłowoszara terenówka ochroniarza stała kilka metrów od furgonetki muzyków. Śledczy założyli wstępnie, że Staton odjechał z kimś, kto na niego czekał, a potem wrócił do szkoły po swój samochód.

Podczas drugiego spotkania z prasą szef Wydziału Zabójstw wyjaśnił, że dyżur ochroniarza kończył się o szóstej rano i że nadal nieznany jest powód, dla którego wyszedł tamtej nocy ze szkoły, a potem wrócił do budynku, gdzie czekała go śmierć. Córka nadinspektora, Amanda Martín, która słyszała tę wypowiedź w telewizji, zadzwoniła do ojca, żeby sprostować: na Eda Statona nie czekała śmierć, czekał na niego morderca.

To pierwsze zabójstwo pchnęło graczy w *Ripper* ku czemuś, co miało stać się ich niebezpieczną obsesją. Piątka nastolatków stawiała sobie te same pytania co policja: gdzie był ochroniarz w krótkim czasie od momentu, kiedy widzieli go muzycy, do chwili swojej śmierci? Jak wrócił? Dlaczego się nie bronił, zanim strzelono mu w czoło? Co znaczył kij bejsbolowy wbity w tak intymne miejsce?

Możliwe, że Ed Staton zasłużył na taki koniec, ale dzieciaków nie interesował aspekt moralny sprawy, trzymały się ściśle faktów. Do tej pory gra fabularna ograniczała się do fikcyjnych zbrodni popełnionych w dziewiętnastym wieku w wiecznie spowitym gęstą mgłą Londynie, gdzie bohaterowie stawiali czoło złoczyńcom uzbrojonym w siekiere czy w szpikulec do lodu albo innym typowym mącicielom spokoju obywateli. Nabrała bardziej realistycznego charakteru, kiedy uczestnicy zaakceptowali propozycję Amandy Martín, by zbadać, co wydarzyło się w San Francisco, również pogrążonym we mgle. Jakiś czas wcześniej słynna astrolożka Celeste Roko przepowiedziała krwawą łaźnię w mieście, Amanda postanowiła więc wykorzystać tę jedyną w swoim rodzaju okazję i wystawić na trudną próbę sztukę przepowiadania. Namówiła do udziału ripperowców i swojego najlepszego przyjaciela, Blake’a Jacksona (który przypadkowo był również jej dziadkiem), nie podejrzewając, że zabawa przybierze brutalny obrót, a jej matka, Indiana Jackson, stanie się jedną z ofiar.

Gracze stanowili dobraną grupę freaków rozrzuconych po całym świecie, którzy

komunikowali się ze sobą przez internet; mieli za zadanie odnaleźć i zniszczyć tajemniczego Kubę Rozpruwacza, pokonując przeszkody i nieprzyjaciół pojawiających się na ich drodze. Amanda, będąca mistrzynią gry, planowała każdą przygodę w zależności od zdolności i ograniczeń postaci stworzonych przez graczy jako ich alter ego.

Pewien chłopak z Nowej Zelandii, sparaliżowany w wyniku wypadku i skazany na wózek inwalidzki, obdarzony otwartym umysłem, który pozwalał mu wędrować po świecie fantazji i zdolny był poruszać się zarówno w przeszłości jak i w przyszłości, wszedł w rolę sprytnej i ciekawskiej Cyganki Esmeraldy. Samotny i nieśmiały nastolatek z New Jersey, mieszkający z matką, który w ciągu ostatnich dwóch lat wychodził ze swojego pokoju tylko po to, żeby pójść do ubikacji, był sir Edmondem Paddingtonem, angielskim pułkownikiem w stanie spoczynku, aroganckim macho, bardzo przydatnym w grze z racji wiedzy na temat broni i strategii wojskowych. W Montrealu mieszkała dziewiętnastoletnia dziewczyna, która spędziła swoje krótkie życie w klinikach, gdzie leczono ją z zaburzeń odżywiania; stworzyła postać Abathy, medium obdarzonego zdolnością czytania w myślach, przywoływania wspomnień i komunikowania się z duchami. Pewien trzynastoletni Afroamerykanin, sierota o ilorazie inteligencji 156, stypendysta akademii w Reno dla wybitnie uzdolnionych dzieci, wybrał dla siebie postać Sherlocka Holmesa, jako że dedukowanie i wyciąganie wniosków przychodziło mu bez najmniejszego wysiłku.

Amanda nie miała własnej postaci. Przypadło jej w udziale kierowanie grą i pilnowanie, by przestrzegano zasad, ale w sprawie krwawej łaźni pozwoliła sobie na dokonanie drobnych zmian. Na przykład przeniosła akcję, która tradycyjnie rozgrywała się w Londynie w roku 1888, do San Francisco w roku 2012. Poza tym wbrew regulaminowi przydzieliła sobie pomocnika, pachołka imieniem Kabel, tępawego garbusa, posłusznego i lojalnego, który wykonywał nawet najbardziej niedorzeczne polecenia. Uwagi jej dziadka nie umknął fakt, że imię pachołka jest anagramem słowa Blake. Sześćdziesięcioletni Blake Jackson był już za stary na dziecinne zabawy, ale grał w *Ripperę*, żeby spędzać z wnuczką czas nie tylko na oglądaniu horrorów, rozgrywaniu partii szachów czy rozwiązywaniu zagadek logicznych, które sobie wzajemnie zadawali; czasami, po zasięgnięciu rady kilku przyjaciół, wykładowców filozofii i matematyki na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, udawało mu się rozwiązać którąś z nich.

Styczeń

Poniedziałek, 2

Ryan Miller leżał na brzuchu na stole do masażu i przysypiał pod wpływem dobroczynnych ruchów dłoni Indiany Jackson, adeptki pierwszego stopnia inicjacji reiki, metody rozpowszechnionej przez japońskiego buddystę Mikao Usui w 1922 roku. Miller wiedział – bo przeczytał na ten temat ponad sześćdziesiąt stron – że nie ma naukowych dowodów na skuteczność reiki, ale podejrzewał, że musi ono zawierać w sobie jakąś tajemną moc, skoro na konferencji biskupów katolickich Stanów Zjednoczonych w 2009 roku uznano je za niebezpieczne dla zdrowia duchowego chrześcijan.

Indiana Jackson zajmowała gabinet numer osiem na pierwszym piętrze słynnej Kliniki Holistycznej w samym sercu North Beach, włoskiej dzielnicy San Francisco. Drzwi były w kolorze indygo, który oznacza życie duchowe, a ściany jasnozielone, w kolorze zdrowia. Tabliczka zapowiadała pochyłą czcionką „Indiana, uzdrowicielka”, a poniżej wymieniono jej metody: masaż intuicyjny, reiki, magnez, kryształy, aromaterapia. Na ścianie malutkiej poczekalni wisiała krzykliwa tkanina kupiona w jakimś sklepie azjatyckim, z wizerunkiem bogini Szakti, zmysłowej dziewczyny o czarnych włosach ubranej na czerwono i okrytej złotą biżuterią, z mieczem w prawej dłoni i kwiatem w lewej. Bogini miała kilka ramion i dłoni trzymających inne symbole jej władzy, od instrumentu muzycznego po coś, co na pierwszy rzut oka przypominało telefon komórkowy. Indiana była do tego stopnia fanatyczką Szakti, że chciała nazywać się tak jak ona, ale ojciec, Blake Jackson, przekonał ją, że do wysokiej, pulchnej Amerykanki wyglądającej jak nadmuchiwana lalka nie pasuje imię hinduskiej bogini.

Ryan Miller był nieufny ze względu na charakter swojej pracy i z powodu odbytej służby w wojsku, mimo to poddał się zabiegom Indiany, a po zakończeniu każdej sesji wychodził głęboko wdzięczny, lekki i zadowolony. Zawdzięczał to efektowi placebo i miłosnemu zapałowi, jak twierdził jego przyjaciel Pedro Alarcón, albo wyrównaniu czakr, jak zapewniała Indiana. Ta godzina spokoju była najlepszym, co go spotykało w jego samotnym życiu. Zaznawał więcej intymności podczas terapeutycznej sesji z Indianą niż podczas skomplikowanych igraszek seksualnych z Jennifer Yang, najbardziej wytrwałą z jego kochanek. Był wysokim, krzepkim mężczyzną, miał szyję i kark zapaśnika, ramiona grube i twarde jak pnie, eleganckie, niezwykle zadbane dłonie, włosy ciemne, obcięte na jeża i poprzetykane siwizną, zęby zbyt białe jak na własne, jasne oczy, krzywy nos i trzynaście widocznych blizn, łącznie z kikutem. Indiana Jackson podejrzewała, że ma ich więcej, ale nie widziała go bez bokserów. Jeszcze nie.

- Jak się czujesz? – spytała uzdrowicielka.
- Cudownie. Przez ten zapach deseru zrobiłem się głodny.
- To olejek z esencją pomarańczową. Skoro stroisz sobie z tego żarty, to naprawdę nie wiem, po co tu przychodzisz.
- Po to, żeby cię zobaczyć, a po cóż by innego.
- W takim razie to nie dla ciebie – odparła poirytowana.
- Nie widzisz, Indi, że tylko żartuję?

– Pomarańcza pachnie młodością i radością, tym, czego ci brakuje, Ryanie. Reiki jest tak potężne, że adepci drugiego stopnia mogą leczyć na odległość, nie widząc pacjenta, ale żeby do tego dojść, musiałabym studiować dwadzieścia lat w Japonii.

– Nawet nie próbuj. Bez ciebie to byłby kiepski interes.

– Uzdrawianie to nie jest interes!

– Z czegoś trzeba żyć. Bierzesz mniej niż twoi koledzy po fachu z Kliniki Holistycznej. Wiesz, ile kosztuje na przykład sesja akupunktury u Yumiko?

– Nie wiem, i to nie moja sprawa.

– Prawie dwa razy tyle co wizyta u ciebie. Zgódź się, żebym ci płacił więcej – nalegał Miller.

– Wolałabym, żebyś w ogóle nie płacił, bo jesteś moim przyjacielem, ale wiem, że jeśli mi nie zapłacisz, na pewno już nie wrócisz. Ty nie możesz być niczego nikomu winien, grzeszysz dumą.

– Tęskniłabyś za mną?

– Nie, bo widywalibyśmy się na mieście, jak zwykle, ale ty byś za mną tęsknił. Przyznaj, że moje zabiegi ci pomagają. Przypomnij sobie, jak cierpiałeś, kiedy przyszedłeś pierwszy raz. W przyszłym tygodniu zrobimy sesję z magnesami.

– I masaż, mam nadzieję. Masz dłonie anioła.

– Dobrze, masaż też. I ubierz się wreszcie, bo czeka już następny pacjent.

– Nie wydaje ci się dziwne, że prawie wszyscy twoi klienci to mężczyźni? – zapytał Miller, schodząc ze stołu.

– Nie wszyscy, są też kobiety, dzieci i pudel chory na reumatyzm.

Miller był przekonany, że jeśli pozostali klienci płci męskiej są tacy jak on, z pewnością płacą za to, żeby z nią pobycć, a nie dlatego, że wierzą w jej dziwaczne metody leczenia. To był jedyny powód, dla którego przyszedł pierwszy raz po poradę do gabinetu numer osiem. Powiedział o tym Indianie w trakcie trzeciej sesji, żeby uniknąć nieporozumień, a także dlatego, że początkowe zauroczenie przerodziło się w pełną szacunku sympatię. Ona wybuchnęła śmiechem, bo trochę już do tego przywykła, i powiedziała, że za dwa, trzy tygodnie, kiedy zobaczy rezultaty, zmieni zdanie. Ryan założył się o kolację w swojej ulubionej restauracji: „Jeśli mnie wyleczysz, płacę ja, jeśli nie – płacisz ty”, powiedział w nadziei, że zobaczy się z nią w otoczeniu bardziej sprzyjającym rozmowie niż dwa pokoiki pilnowane przez wszechwiedzącą Szakti.

Poznali się w 2009 roku na jednej z krętych ścieżek parku stanowego imienia Samuela P. Taylora, wijącej się między prastarymi wysokimi na sto metrów sekwojami. Indiana wraz z rowerem przeprawiła się promem przez zatokę San Francisco i zeszła na ląd w hrabstwie Marin. Przejechała kilka kilometrów dzielących ją od parku, chciała tam potrenować przed wyścigiem etapowym do Los Angeles, w którym zamierzała wziąć udział za parę tygodni. Wcześniej zaliczała uprawianie sportu do czynności zbytecznych, a utrzymanie formy nie

należało do jej priorytetów, ale tym razem chodziło o kampanię przeciwko AIDS, w której chciała uczestniczyć jej córka Amanda, a ona nie mogła pozwolić, by pojechała tam sama.

Kobieta przystała na chwilę, żeby napić się wody, z jedną stopą na ziemi, nie zsiadając z roweru, kiedy przebiegł obok niej Ryan Miller z Attyłą na smyczy. Nie widziała psa, zobaczyła go dopiero, kiedy był tuż obok, i tak się wystraszyła, że upadła razem z rowerem. Ryan pomógł jej wstać, nie przestając przeproszać, próbował wyprostować skręcone koło, a ona otrzępywała się z kurzu, bardziej zainteresowana Attyłą niż swoimi stłuczeniami, bo nigdy dotąd nie widziała tak brzydkiego zwierzaka. Był pokryty przecinającymi się bliznami, miał łyse placki na piersi, pysk, w którym brakowało kilku zębów, za to wystawały z niego dwa metalowe kły, co upodabniało psa do Drakuli; jedno ucho miał krótsze, jakby przycięte nożyczkami. Podrapała go po łbie ze współczuciem i chciała pocałować w nos, ale Miller powstrzymał ją gwałtownym ruchem.

– Nie! Nie zbliżaj do niego twarzy. Attyła jest psem bojowym – ostrzegł ją.

– Jaka to rasa?

– Malinois belgijski z rodowodem. Psy tej rasy są inteligentniejsze i silniejsze od owczarków niemieckich. Mają prosty kręgosłup, więc nie nękają ich problemy z biodrami.

– Co się stało temu biedakowi?

– Przeżył wybuch miny – poinformował Miller, mocząc chusteczkę w strumyku. Tydzień wcześniej widział tu łososie skaczące pod prąd w trakcie mozolnej wędrówki na tarło.

Podał Indianie zmoczoną szmatkę, żeby otarła sobie skaleczenia na nogach. Miał na sobie długie spodnie od dresu, sportową bluzę i wyglądającą jak pancierz kamizelkę, która – jak wyjaśnił – ważyła dwadzieścia kilo i służyła do trenowania. Kiedy stawał do zawodów bez niej, wydawało mu się, że płynie w powietrzu. Usiedli między grubymi korzeniami drzewa, żeby porozmawiać, pilnowani przez psa, który uważnie obserwował każdy gest mężczyzny, jakby czekał na rozkaz, a od czasu do czasu przysuwał nos do kobiety, by dyskretnie ją obwąchać. Zapadał ciepły wieczór, pachnący sosnami i próchnicą, oświetlony promieniami słońca, które jak włócznie przebijały korony drzew. Słychać było ptaki, bzyczenie komarów, szmer wody na kamieniach strumienia i szum lekkich powiewów wiatru. Idealna sceneria dla pierwszego spotkania w romantycznej powieści.

Miller służył w Navy SEALs, siłach specjalnych wykonujących najbardziej tajne i niebezpieczne misje. Należał do SEAL Team 6, oddziału, który w maju 2011 roku miał przeprowadzić atak na rezydencję Osamy bin Ladena w Pakistanie. Jeden z jego dawnych towarzyszy zabije przywódcę Al-Kaidy, o czym wtedy Miller nie miał jeszcze pojęcia, nastąpiło to bowiem dopiero dwa lata później. Nikt nie mógł tego przewidzieć z wyjątkiem Celeste Roko, która badała planety. Miller przeszedł w stan spoczynku w 2007 roku po utracie nogi w akcji, ale, jak powiedział Indianie, kalectwo nie przeszkadzało mu brać udziału w zawodach triathlonowych. Ponieważ do tej pory zwracała na niego mniejszą uwagę niż na psa, nie dostrzegła, że jedna jego noga kończy się adidasem, a druga zakrzywioną szyną.

– To Flex-Foot Cheetah, wykorzystująca mechanizm ruchu geparda, najszybszego kota na świecie – powiedział, pokazując protezę.

– Jak jest mocowana?

Podniósł nogawkę, żeby obejrzała opasany kikut.

– Jest z włókna węglowego, lekka i tak doskonała, że Oscarowi Pistoriusowi z RPA, któremu amputowano obie nogi, próbowali uniemożliwić start na olimpiadzie, bo miał przewagę nad innymi biegaczami. Ten model służy do biegania. Mam też protezy do chodzenia i do jazdy na rowerze – powiedział były żołnierz i dodał z odcieniem pychy, że to najnowsze zdobycze technologii.

– Boli cię?

– Czasami, ale są inne rzeczy, które bolą bardziej.

– Na przykład?

– Wspomnienia z przeszłości. Ale dosyć już mówienia o mnie. Opowiedz coś o sobie.

– Nie mam nic równie ciekawego jak bioniczna noga, a mojej jedynej blizny nie mogę ci pokazać. Kiedy byłam mała, usiadłam na drucie kolczastym – wyznała Indiana.

Czas upłynął Indianie i Ryanowi na rozmowie na różne tematy pod baczynym okiem Attyli. Przedstawiła się, mówiąc pół żartem, pół serio, że jej znakiem zodiaku są Ryby, szczęśliwym numerem ósemka, planetą rządzącą Neptun, żywiołem woda, a kamieniami szlachetnymi półprzezroczysty kamień księżycowy, który wskazuje drogę intuicji, i akwamaryn kierujący wizjami, rozjaśniający umysł i otwierający na dobro. Nie zamierzała uwodzić Millera, bo od czterech lat była zakochana w niejakim Alanie Kellerze i wybrała wierność, ale gdyby chciała, z łatwością sprowadziłaby rozmowę na Szakti, boginię piękna, seksu i płodności. Wzmianka o tych atrybutach przełamywała powściągliwość każdego mężczyzny (Indiana była heteroseksualna), jeśli jej wybujale kształty okazywały się niewystarczające, uzdrowicielka pomijała jednak milczeniem informację, że Szakti jest również boską matką, pierwotną energią i świętą mocą kobiecą, ponieważ działała na panów zniechęcająco.

Na ogół Indiana nie udzielała wyjaśnień na temat swojej pracy, bo nieraz trafiła na cynika, który z życzliwą miną słuchał, kiedy mówiła o energii kosmicznej, a jednocześnie zaglądał jej w dekolt. Ponieważ jednak komandos budził jej zaufanie, przedstawiła mu skróconą wersję swoich metod, choć opisane słowami nawet jej samej wydały się niezbyt przekonujące. Miller pomyślał, że są bliższe wodou niż medycynie, ale udał wielkie zainteresowanie, bo był to dogodny pretekst, by znów się z nią spotkać. Wspomnił o skurczach, które nękały go nocami i czasem paraliżowały w trakcie biegu, a ona zaleciła mu masaż leczniczy oraz koktajle bananowe z dodatkiem kiwi. Spędzili czas tak miło, że dopiero kiedy zaczęło zachodzić słońce, zdała sobie sprawę, że spóźni się na prom do San Francisco. Zerwała się na równe nogi i szybko pożegnała, ale on zaproponował, że ją odwiedzi, bo mieszkali w tym samym mieście, a jego furgonetka stała przy wejściu do parku. Samochód miał silnik o przesadnie dużej mocy, opony grube jak w ciężarówce, kratkę na dachu i bagażnik na rowery. W środku leżała pluszowa poduszka dla psa, różowa, z pomponami, której nie wybrał ani on, ani Attyla; podarowała ją kochanka Millera, Jennifer Yang, w przypływie chińskiego humoru.

Trzy dni później Miller przyszedł do Kliniki Holistycznej wyłącznie po to, żeby zobaczyć

się z kobietą od roweru, której nie potrafił wybić sobie z głowy. Indiana w niczym nie przypominała zwykłych obiektów jego erotycznych fantazji, preferował małe Azjatki odpowiadające stereotypowi: skóra koloru kości słoniowej, jedwabiste włosy i żałośnie chude ciało. Jennifer Yang była do tego ambitna, zajmowała kierownicze stanowisko w banku. Indiana natomiast reprezentowała typ wysokiej, zdrowej, szczerzej Amerykanki, z tych, które zwykle go nudziły, ale uznał, że ta z jakiegoś powodu ma nieodparty urok. Opisał ją Pedrowi Alarconowi jako „kobietę obfitą i apetyczną”, przymiotnikami pasującymi bardziej do jedzenia o wysokiej zawartości cholesterolu, czego kolega nie omieszkał mu uświadomić. Krótco potem Miller przedstawił ją Alarconowi osobiście, a ten wyraził opinię, że Indiana posiada nieco komiczną zmysłowość kochanek chicagowskich gangsterów z filmów lat sześćdziesiątych, z tą swoją bujną piersią sopranistki, długimi blond włosami i nadmiarem krzywizn i rzęs, Ryan jednak nie kojarzył żadnej takiej kinowej gwiazdy.

Klinika Holistyczna wprawiała Millera w zakłopotanie. Oczekiwał czegoś bardziej buddyjskiego, a zobaczył brzydki dwupiętrowy budynek w kolorze guacamole. Nie wiedział, że zbudowano go w 1930 roku, że w czasach swojej świetności stanowił atrakcję turystyczną z powodu stylu art déco i witraży inspirowanych twórczością Klimta i że w czasie trzęsienia ziemi w 1989 roku stracił swój dumny wygląd, kiedy dwa witraże zostały rozbite, a dwa ocalałe sprzedano na licytacji. W okna wprawiono ziarniste szkło w kolorze kurzej kupy, jakie zwykle widuje się w fabrykach guzików albo w koszarach. W trakcie którejś źle zaplanowanej przebudowy, jednej z wielu, podłogi z biało-czarnego marmuru w geometryczne wzory zastąpiono plastikowym tworzywem łatwiejszym do czyszczenia. Ozdobne kolumny z zielonego granitu sprowadzone z Indii i podwójne drzwi z czarnej laki sprzedano jakiejś tajlandzkiej restauracji. Zostały tylko poręcze z kutego żelaza na schodach i dwa stylowe żyrandole, które na pewno podzieliłyby los kolumn i drzwi, gdyby były autentycznymi dziełami Lalique'a. Szeroki, niegdyś dobrze oświetlony hol skrócono o kilka metrów, stawiając mur odgradzający portiernię, by zyskać dodatkowe pomieszczenia biurowe, przez co hol zamieniono w tonącą w półmroku pieczarę. Miller przyszedł jednak w porze, kiedy słońce świeciło wprost w żółtawe szyby i na magiczne pół godziny wnętrze przybierało kolor bursztynu, ze ścian jakby sączył się karmel i korytarz na krótko odzyskiwał część swojego dawnego dostojenstwa.

Mężczyzna wszedł na górę, do lokalu numer osiem, gotów poddać się każdemu, nawet najbardziej ekstrawaganckiemu zabiegowi. Spodziewał się Indiany przebranej za kapłankę, ale ona przyjęła go w lekarskim fartuchu i białych drewniakach, a włosy miała związane na karku gumką. Żadnych czarów. Kazała mu wypełnić długi formularz, wyciągnęła go na korytarz, żeby zobaczyć, jak chodzi do przodu i do tyłu, potem zaprowadziła do pokoju zabiegowego, kazała mu się rozebrać do bokserek i położyć na stole. Po oględzinach stwierdziła, że ma jedno biodro wyżej od drugiego i skrzywiony kręgosłup, co nie dziwiło u człowieka z jedną nogą. Powiedziała też, że jego energia została zablokowana na wysokości przepony, że ma zgrubienia w ramionach i w szyi, wszystkie mięśnie napięte i sztywny kark i że znajduje się w niewytłumaczalnym stanie czujności. Innymi słowy, w dalszym ciągu jest komandosem Navy SEALs.

Indiana zapewniła go, że może mu pomóc, stosując niektóre ze swoich metod, ale żeby one

przyniosły efekt, on musi nauczyć się rozluźniać. Zaleciła mu akupunkturę u Yumiko Sato, swojej sąsiadki, drugie drzwi po lewej, i nie pytając go o zgodę, chwyciła za telefon i umówiła mu spotkanie z mistrzem qigong z Chinatown, pięć przecznic od Kliniki Holistycznej. Uległ, żeby sprawić jej przyjemność, i w obu przypadkach został mile zaskoczony. Yumiko Sato była osobą w nieokreślonym wieku, miała nieokreśloną płęć, taką samą wojskową fryzurę jak on, grube szkła, delikatne palce tancerki i zachowywała śmiertelną powagę. Zmierzyła mu puls i postawiła diagnozę, dochodząc do tych samych wniosków co Indiana. Ostrzegła, że akupunkturę stosuje się w leczeniu bólu fizycznego, ale nie przynosi ona ulgi sumieniu. Wystraszony Miller pomyślał, że źle ją zrozumiał. To zdanie bardzo go zaintrygowało i kilka miesięcy później, kiedy nabrali do siebie zaufania, odważył się zapytać, co chciała przez to powiedzieć. Yumiko Sato odparła beznamiętnie, że tylko głupcom nie dokucza sumienie.

Qigong z mistrzem Xai, pochodzącym z Laosu starcem o szczęśliwym wyrazie twarzy i brzuchu sybaryty, okazał się dla Millera objawieniem, idealnym połączeniem równowagi, oddychania, ruchu i medytacji, dokładnie tym, czego potrzebowały jego ciało i umysł. Włączył qigong do swoich codziennych ćwiczeń.

Skurcze nie ustąpiły po trzech tygodniach, jak obiecała Indiana, ale Miller skłamał, żeby zapłacić rachunek za kolację, bo wydawało mu się oczywiste, że jej sytuacja materialna graniczy z ubóstwem. Przytulna i gwarna restauracja, kuchnia wietnamska z wpływami francuskimi i butelka kalifornijskiego *pinot noir* Flowers pomogły w nawiązaniu przyjaźni, która stała się jego najcenniejszym skarbem. Zawsze żył w otoczeniu mężczyzn, jego prawdziwą rodziną było piętnastu komandosów, z którymi trenował jako dwudziestolatek, a później dzielił wysiłek fizyczny, strach i podniecenie, jakie wywoływała walka, oraz nudę beczynnie spędzanych godzin. Wielu z tych towarzyszy nie widział od lat, innych od miesięcy, ale ze wszystkimi utrzymywał kontakty. Zawsze będą mu braćmi.

Zanim stracił nogę, jego relacje z kobietami były proste, cielesne, sporadyczne i tak krótkie, że twarze i ciała zlewały się w jedną całość, dość podobną do Jennifer Yang. To były przypadkowe kobiety i nawet jeśli w którejś się zakochał, ich związek nie trwał długo, bo jego styl życia, ciągłe przenosiny z miejsca na miejsce i igranie ze śmiercią nie sprzyjały zaangażowaniu uczuciowemu, a już na pewno nie małżeństwu i posiadaniu dzieci. Jego żywiołem była walka z wrogami, prawdziwymi i urojonymi; na tym upłynęła mu młodość.

Jako cywil Miller czuł się niezręcznie i nie na miejscu. Wiele kosztowało go podtrzymywanie banalnej rozmowy i ktoś, kto nie znał go zbyt dobrze, czuł się zwykle urażony długimi chwilami milczenia. W San Francisco, raj dla gejów, był nadmiar pięknych, niezależnych kobiet sukcesu, bardzo różnych od tych, które spotykał w barach albo pod koszarami. Przy sprzyjającym oświetleniu mógł uchodzić za przystojniaka, a jego kalectwo, oprócz tego, że nadawało mu wygląd dotkniętego nieszczęściem człowieka, który poświęcił się dla ojczyzny, stanowiło doskonały pretekst do nawiązywania rozmów. Nie brakowało mu okazji do romansów, ale kiedy przebywał w towarzystwie kobiet inteligentnych, bo tylko takie go interesowały, za bardzo przejmował się wrażeniem, jakie na nich robi, i w końcu zanudzał je na śmierć. Żadna dziewczyna z Kalifornii nie miała ochoty spędzać czasu na słuchaniu

żołnierskich opowieści, nawet najbardziej burzliwych, każda wolałaby pójść potańczyć. Wyjątkiem była Jennifer Yang, która odziedziczyła legendarną cierpliwość swoich przodków z Niebiańskiego Cesarstwa i potrafiła udawać, że słucha, myśląc w tym czasie o czymś innym. W towarzystwie Indiany Jackson czuł się swobodnie od pierwszego spotkania w sekwojowym lesie i kilka tygodni później na kolacji w wietnamskiej restauracji nie musiał łamać sobie głowy nad tematem do rozmowy, wystarczyło bowiem pół szklaneczki wina, żeby jego towarzyszka stała się bardzo rozmowna. Czas mijał błyskawicznie i kiedy spojrzeli na zegarek, było po północy. W sali pozostało tylko dwóch meksykańskich kelnerów. Sprzątali ze stołów z posępnymi minami świadczącymi o tym, że spełnili już swój obowiązek i marzą, by pójść do domu. Tamtej nocy, trzy lata temu, Miller i Indiana zostali wielkimi przyjaciółmi.

Chociaż z początku był niedowiarkiem, po trzech czy czterech miesiącach musiał przyznać, że Indiana nie jest jedną z impertynenckich adeptek New Age i że naprawdę posiada dar uzdrawiania. Zabiegi go rozluźniały, sypiał znacznie lepiej, a skurcze prawie ustąpiły. Ale najcenniejsze, co wynosił z tych sesji, to spokój: jej dłonie przekazywały mu życzliwość, a jej obecność i uwaga, którą mu poświęcała, uciszały głosy z przeszłości.

Indiana z kolei przywykła do swojego silnego, dyskretnego przyjaciela, który utrzymywał ją w formie, zmuszając do biegania truchtem po niezliczonych ścieżkach na wzgórzach i w lasach otaczających San Francisco, i wyciągał z kłopotów finansowych, kiedy nie miała odwagi poprosić o pomoc swojego ojca. Dobrze się rozumieli i choć nigdy nie wyrazili tego słowami, podejrzewali, że ta przyjaźń mogłaby zamienić się w namiętność, gdyby ona nie była związana ze swoim oschłym kochankiem Alanem Kellerem, a on nie narzucił sobie ekstremalnej pokuty za grzechy polegającej na unikaniu miłości.

Tamtego lata, kiedy jej matka poznała Ryana Millera, Amanda Martín miała piętnaście lat, ale wyglądała na dziesięć. Była chudym, niezgrabnym stworzeniem, nosiła okulary i aparat na zębach, zakrywała sobie twarz włosami albo kapturem bluzy dla ochrony przed nieznośnym gwarem świata i jego bezlitosnym światłem i tak bardzo różniła się od swojej pulchnej matki, że często pytano ją, czy została adoptowana. Miller na początku traktował ją oficjalnie i z dystansem, jakby była dorosłą osobą z innego kraju, na przykład z Singapuru. Nie ułatwiał jej życia w czasie wyścigu rowerowego do Los Angeles, ale pomagał w treningach i przygotowaniach do podróży, wykorzystując swoje doświadczenia triatlonisty, czym zaskarbił sobie zaufanie dziewczyny.

Cała trójka, Indiana, Amanda i on, wyruszyła z San Francisco o siódmej rano pewnego piątku razem z dwoma tysiącami nieustraszonych uczestników, oznaczonych przypiętymi na piersi czerwonymi wstążeczkami kampanii przeciwko AIDS i z procesją samochodów osobowych i ciężarowych, w których wolontariusze wieźli namioty i zaopatrzenie. Kiedy tydzień później dotarli do Los Angeles, mieli tyłki obtarte do krwi, zeszywniałe nogi i mózgi wolne od jakichkolwiek myśli, niczym nowo narodzone dzieci. Przez siedem dni pedałowali po wzgórzach i szosach, czasami pośród sielskiego krajobrazu, to znowu pośród szaleńczego ruchu na drodze, zadanie łatwe dla Ryana Millera, któremu piętnaście godzin na rowerze mijało błyskawicznie, za to matce i córce ciągnęło się niczym sto lat nieprzerwanego wysiłku. Dotarły do mety tylko dlatego, że darł się na nie niczym sierżant, kiedy zwalniały, i ładował im

baterie napojami elektrolitycznymi albo ciasteczkami energetycznymi.

Nocami dwa tysiące rowerzystów padało w obozach rozbijanych na trasie przez wolontariuszy niczym stado wędrownych ptaków w ostatnim stadium wycieńczenia. Pożerali po pięć tysięcy kalorii, robili przegląd swoich rowerów, brali prysznic w przyczepach, nacierali łydki i uda łagodzącymi balsamami. Przed pójściem spać Ryan Miller kładł Indianie i Amandzie gorące kompresy i podnosił je na duchu budującymi pogawędkami na temat korzyści płynących z ćwiczeń na świeżym powietrzu. „Co to ma wspólnego z AIDS?“, zapytała Indiana trzeciego dnia po dziesięciu godzinach pedałowania, płacząc ze zmęczenia i z powodu wszystkich cierpień, jakich doznała w całym życiu. „Nie wiem, zapytaj swoją córkę“, brzmiała uczciwa odpowiedź Millera.

Wyścig w niewielkim stopniu pomógł w walce z chorobą, za to umocnił rodzącą się przyjaźń Millera i Indiany i dał Amandzie coś, o czym do tej pory mogła tylko pomarzyć: przyjaciela. Ta dziewczynka powołana do pustelniczego życia miała w sumie trzech przyjaciół: dziadka Blake'a, przyszłego narzeczonego Bradleya i komandosa Navy SEALs Ryana Millera. Grający w *Ripper*a nie należeli do tej samej kategorii, bo była to znajomość zawarta przy okazji gry i relacje z nimi nie wykraczały poza sprawy związane ze zbrodniami.

Wtorek, 3

Celeste Roko, słynna w Kalifornii astrolożka, matka chrzestna Amandy, zapowiedziała w telewizji, że „we wrześniu 2011 roku San Francisco przeżyje «krwawą łaźnię»”. Jej codzienny program poświęcony horoskopom i konsultacjom astrologicznym nadawany był wcześniej, przed prognozą pogody, i powtarzany po wieczornych wiadomościach. Roko miała pięćdziesiąt kilka lat, na które nie wyglądała dzięki zabiegom dokonanych przez chirurgów plastycznych, była charyzmatyczna na ekranie i gderliwa w naturze, a jej wielbiciele uważali, że jest elegancka i ładna. Przypominała Evę Perón, cięższą o kilka kilogramów. W studiu telewizyjnym we wgłębieniu udającym okno wisiała powiększona fotografia mostu Golden Gate, a także wielka mapa Układu Słonecznego z planetami, które można było zdalnie podświetlać i przesuwac.

Parapsycholodzy, astrolodzy i inni adepci sztuk tajemnych mają zwyczaj przepowiadania przyszłości w przeddzień Nowego Roku, jednak Roko nie mogła czekać trzech miesięcy, żeby ostrzec mieszkańców San Francisco przed tym, co ich czekało. Zapowiedź była tak ciężkiego kalibru, że przyciągnęła uwagę opinii publicznej: krążyła po internecie niczym wirus, wywoływała ironiczne komentarze w miejscowej prasie i alarmistyczne nagłówki w tabloidach, w których spekulowano na temat ewentualnych ekscesów w więzieniu San Quentin, wojny między gangami Latynosów i Murzynów i kolejnego apokaliptycznego trzęsienia ziemi w rejonie uskoku San Andreas. Jednak Celeste Roko, którą otaczała aura nieomyślności, a to za sprawą jej dotychczasowych osiągnięć jako psychoanalityczki jungowskiej i imponującej listy trafnych prognoz, zapewniła, że chodzi o zabójstwa. Wywołało to zbiorowe westchnienie ulgi wśród wierzących w astrologię, bo było najmniej okrutnym z nieszczęść, jakich się obawiano. W północnej Kalifornii prawdopodobieństwo, że ktoś zostanie zamordowany, wynosi jeden do dwudziestu tysięcy i jest to coś, co zwykle przytrafia się innym, rzadko nam samym.

W dniu przepowiedni Amanda Martín i jej dziadek postanowili rzucić wyzwanie Celeste Roko. Mieli dosyć wpływu, jaki matka chrzestna wywierała na ich rodzinę pod pretekstem, że zna przyszłość. Celeste była kobietą porywczą, wykazywała niezachwianą pewność siebie charakterystyczną dla ludzi otrzymujących wiadomości z wszechświata albo od Boga. Nigdy nie udało się jej pokierować losem Blake’a Jacksona, który okazał się odporny na astrologię, ale osiągnęła całkiem sporo w przypadku Indiany, która prosiła ją o radę przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji i słuchała wskazań horoskopu. Czytanie w gwiazdach wielokrotnie psuło plany Amandzie. Planety zdecydowały na przykład, że nie należy kupować jej deskorolki, bo to doskonały moment, by zacząć lekcje baletu. Skończyło się na tym, że płakała z upokorzenia, kiedy musiała włożyć różową spódniczkę baletnicy.

Kiedy Amanda skończyła trzynaście lat, odkryła, że jej matka chrzestna wcale nie jest nieomyślna. Planety zarządziły, że powinna pójść do państwowej szkoły średniej, ale jej wspaniała babcia ze strony ojca, doña Encarnación Martín, uparła się, by zapisać ją do prywatnego kolegium katolickiego. Pierwszy raz Amanda stanęła po stronie matki chrzestnej, bo perspektywa chodzenia do szkoły koedukacyjnej przerażała ją mniej niż zakonnice, ale

doña Encarnación pokonała Celeste Roko za pomocą czeku, którym zapłaciła wpisowe. Nie podejrzewała, że zakonnice są liberalnymi feministkami, chodzą w spodniach, spierają się z papieżem, a na zajęciach z nauk przyrodniczych pokazują na bananie, jak nakładać prezerwatywę.

Podburzana przez sceptycznie nastawionego dziadka, który rzadko miał odwagę otwarcie sprzeciwić się Celeste, Amanda wątpiła, by istniał jakikolwiek związek między gwiazdami na nieboskłonie i losami istot ludzkich. Astrologia była tak samo niewiarygodna jak biała magia jej matki. Przepowiednia dała dziadkowi i wnuczce okazję do zdyskredytowania ciał niebieskich, czym innym bowiem jest ogłoszenie, że dany tydzień sprzyja pisaniu listów, a czym innym przewidzenie krwawej łaźni w San Francisco. To przecież nie zdarza się codziennie.

Przekształcając grę w metodę śledczą w sprawie kryminalnej, Amanda, jej dziadek i pozostali ripperowcy nie podejrzewali, w co tak naprawdę się pakują. Dwadzieścia dni po przepowiedni astrolożki doszło do zabójstwa Eda Statona, co można było uznać za przypadek, ale ponieważ zdarzeniu towarzyszyły niezwykle okoliczności (kij bejsbolowy w takim miejscu), Amanda postanowiła gromadzić informacje na temat sprawy: te publikowane przez media, te chronione tajemnicą śledztwa, które zdoła sprytnie wyciągnąć od ojca, i te, które własnymi metodami zdobędzie dziadek.

Blake Jackson, z zawodu aptekarz, miłośnik literatury i pisarz, niespełniony do chwili, kiedy nadał formę opowiadania burzliwym wydarzeniom zapowiedzianym przez Celeste Roko, opisał swoją wnuczkę Amandę jako dziecko o dziwacznym wyglądzie, nieśmiałe z natury i mające wielki umysł. Jego kwiecisty styl zdecydowanie odróżniał go od kolegów aptekarzy. Kronika złowieszczych wydarzeń okazała się w końcu dłuższa, niż planował, choć obejmowała zaledwie kilka miesięcy i od czasu do czasu tak zwany *flashback*. Recenzenci byli bezlitośni dla autora. Oskarżyli go o realizm magiczny, styl literacki, który wyszedł już z mody, nikt jednak nie zdołał udowodnić, że wypaczył fakty w imię ezoteryki. Mógł je potwierdzić każdy, kto czytał na bieżąco prasę lub zapytał jakiegokolwiek policjanta w San Francisco.

W styczniu 2012 roku Amanda Martín liczyła sobie siedemnaście lat, była w ostatniej klasie szkoły średniej i miała rozwiedzionych rodziców, Indianę Jackson, uzdrowicielkę, i Boba Martina, nadinspektora policji, a oprócz nich meksykańską babcię doñę Encarnación i owdowiałego dziadka, wspomnianego Blake'a Jacksona. W książce Jacksona występowały również inne postacie, które pojawiały się i znikwały, zwłaszcza znikwały, w miarę jak autor rozwijał swoją opowieść. Amanda była jedynaczką, w dodatku bardzo rozpieszczaną, ale dziadek uważał, że gdy tylko skończy szkołę i zostanie rzucona na pastwę świata, ten problem sam się rozwiąże. Była wegetarianką, ponieważ nie gotowała; gdyby musiała to robić, stosowałaby mniej skomplikowaną dietę. Od wczesnego dzieciństwa pochłaniała książki, narażając się na wszystkie niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą ten zwyczaj. Do zabójstw doszłoby tak czy inaczej, ale ona nie byłaby w nie wplątana, gdyby nie czytała powieści kryminalnych skandynawskich autorów, w dodatku z takim zapalem, że rozwinęła niezdrowe zainteresowanie złem w ogóle, a zabójstwami z premedytacją w szczególności. Dziadek

daleki był od popierania cenzury, ale niepokoiło go, że w wieku czternastu lat jego wnuczka czyta tego rodzaju książki. Amanda zamknęła mu usta, mówiąc, że on też je czyta. Blake musiał ograniczyć się do ostrzegania przed ich okropną treścią, ale jak łatwo było przewidzieć, osiągnął jedynie tyle, że pochłaniała je dwa razy szybciej. Do zgubnego upodobania dziewczynki przyczynił się również fakt, że ojciec Amandy, Bob Martín, był szefem Wydziału Zabójstw policji w San Francisco, dzięki czemu dowiadywała się o każdym występku popełnianym w mieście, sielankowym miejscu, które nie zachęcało do zbrodni. Ale skoro zbrodnie szerzyły się w krajach tak cywilizowanych jak Szwecja czy Norwegia, nie można było oczekiwać, że będzie od nich wolne San Francisco, założone przez chciwych awanturników, kaznodziejów poligamistów i kobiety wystawiające cnotę na sprzedaż, przyciągniętych gorączką złota w połowie dziewiętnastego wieku.

Amanda chodziła do żeńskiej szkoły z internatem, jednej z ostatnich w kraju, który opowiedział się za przemieszaniem płci. Zdołała przetrwać cztery lata niewidoczna dla koleżanek, ale już nie dla nauczycielek ani nielicznych zakonnic, które jeszcze tam zostały. Otrzymywała dobre oceny, chociaż siostrzyczki, święte kobiety, nigdy nie widziały, żeby się uczyła, były natomiast świadome, że znaczną część bezsennych nocy spędza przed komputerem, zajęta tajemniczymi grami i lekturami. Nie chciały pytać, co czyta z takim zapalem, bo podejrzewały, że są to te same książki, które one pochłaniają po kryjomu. To tłumaczyło chorobliwe zainteresowanie dziewczyny bronią, narkotykami, truciznami, sekcjami zwłok, torturami i sposobami traktowania ciał.

Amanda Martín zamknęła oczy i pełną piersią odetchnęła czystym powietrzem zimowego poranka. Ostry zapach sosen sugerował, że samochód przejeżdża aleją parkową, a zapach odchodów – że mijają stajnie. Obliczyła, że jest ósma dwadzieścia trzy; dwa lata wcześniej zrezygnowała z noszenia zegarka, żeby wytworzyć w sobie umiejętność szacowania godziny. Tak samo starała się szacować temperaturę i odległości, a jej wrażliwe podniebienie próbowało rozpoznawać podejrzane składniki jedzenia. Klasyfikowała ludzi w zależności od tego, co wywęchała: jej dziadek Blake pachniał dobrocią, mieszanką zapachu wełnianej kamizelki i rumianku; Bob, jej ojciec, miał zapach siły: metalu, tytoniu i płynu po goleniu; Bradley – zmysłowości, to znaczy potu i chloru; Ryan Miller – zaufania i lojalności, pachniał psem, najlepszym zapachem na świecie. Jeśli chodzi o jej matkę, Indiana pachniała magią, bo przesiąkła aromatami swojej profesji.

Kiedy ford dziadka, rocznik 95, wydając z siebie astmatyczne posapywania, minął stajnie, Amanda odliczyła trzy minuty i osiemnaście sekund i otworzyła oczy przed bramą szkoły. „Dojechaliśmy”, powiedział Jackson, jakby o tym nie wiedziała. Dziadek, który utrzymywał dobrą formę dzięki grze w squasha, zabrał wypełniony książkami plecak i żwawo wszedł na drugie piętro, podczas gdy jego wnuczka z trudem gramoliła się na górę ze skrzypcami w jednym ręku i laptopem w drugim. Na piętrze nikogo nie było, pozostałe dziewczynki miały przyjechać wieczorem, żeby zacząć lekcje następnego dnia, po feriach Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Jedno z dziwactw Amandy polegało na tym, że wszędzie przychodziła pierwsza, żeby rozpoznać teren, zanim pojawią się tam potencjalni wrogowie. Niechętnie dzieliła pokój z innymi uczennicami: przeszkadzały jej rozrzucone ubrania, rozgardiasz,

zapach szamponu, lakieru do paznokci i zjełczałych słodyczy, bezustanna paplanina oraz wywołane zazdrością, plotkami i zdradami dramaty miłosne, które jej nie dotyczyły.

– Tata uważa, że zabójstwo Eda Statona to porachunki między homoseksualistami – powiedziała dziadkowi przy pożegnaniu.

– Na czym opiera swoją teorię?

– Na kiju bejsbolowym w... no wiesz gdzie – przypomniała mu, czerwieniąc się na wspomnienie filmiku, który widziała w internecie.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, Amando. Jest jeszcze zbyt wiele niewiadomych.

– No właśnie. Na przykład jak wszedł zabójca?

– Do obowiązków Eda Statona należało zamykanie drzwi i okien oraz włączanie alarmu, kiedy w szkole kończyły się zajęcia. Ponieważ żaden zamek nie został wyłamany, należy założyć, że sprawca ukrył się w szkole, zanim Staton ją zamknął – wyraził przypuszczenie Jackson.

– Gdyby to było zaplanowane zabójstwo, morderca zabiłby, zanim Staton wyszedł, bo nie mógł wiedzieć, że wróci.

– Może wcale nie było zaplanowane, Amando. Może ktoś wszedł do szkoły z zamiarem dokonania kradzieży i został przyłapany przez ochroniarza.

– Tata mówi, że w ciągu tych lat, które spędził w policji, widział przestępców, którzy reagowali przemocą pod wpływem strachu, ale nigdy nie trafił na takiego, który zostałby na miejscu zbrodni i zabawiał się zadawaniem cierpienia w ten sposób.

– Co jeszcze powiedział Bob?

– Znasz tatę, muszę z niego wyciągać informacje. Uważa, że to nie jest odpowiedni temat dla dziewczynki w moim wieku. To troglodyta.

– Ma trochę racji, Amando. To raczej ohydna sprawa.

– Jest sprawą publiczną. Mówili o niej w telewizji, a jeśli masz zdrowy żołądek, możesz obejrzeć sobie w internecie, co jedna dziewczynka sfilmowała komórka, kiedy odkryto ciało.

– Nie żartuj! Co za przytomność umysłu! Dzisiejsze dzieciaki oglądają tyle przemocy, że nic nie jest w stanie ich przestraszyć. Za moich czasów... – skomentował Blake, wzdychając.

– To są twoje czasy. Wkurza mnie, kiedy mówisz jak staruszek. Sprawdziłeś już, co z poprawczakiem?

– Nie mogę zostawić apteki, muszę pracować, ale zrobię to, jak tylko będę mógł.

– Pospiesz się, albo będę musiała znaleźć innego pachółka.

– Zrób to, ciekawe, kto z tobą wytrzyma.

– Kochasz mnie, dziadku?

– Nie.

– Ja ciebie też nie – powiedziała, zarzucając mu ręce na szyję.

Blake Jackson zanurzył nos w gąszczu kędzierzawych włosów wnuczki pachnących sałatką (wpadła na pomysł, żeby myć je octem winnym) i pomyślał, że za kilka miesięcy rozpocznie studia, a on będzie za daleko, żeby ją chronić; jeszcze nie wyjechała, a już za nią tęsknił. Wspominał następujące po sobie z zawrotną szybkością etapy tego krótkiego życia, dziką, nieufną dziewczynkę chowającą się godzinami w zaimprovizowanym namiocie z prześcieradeł, gdzie wchodził jedynie niewidzialny przyjaciel, który towarzyszył jej przez kilka lat, nazywany Ocal-Tuńczyka, kotka Gina i on, jeśli mu się poszczęściło i został zaproszony na nieprawdziwą herbatę w miniaturowych plastikowych filiżaneczkach. „W kogo wdała się ta smarkula?”, zapytał Blake Jackson, kiedy sześciolatka Amanda wygrała z nim w szachy. Na pewno nie w Indianę, która unosiła się w stratosferze, głosząc pokój i miłość pół wieku po hipisach, a tym bardziej nie w Boba Martina, który w tamtym czasie nie przeczytał ani jednej książki w całości. „Nie martw się, dużo ludzi jest w dzieciństwie geniuszami, a potem durnieją. Twoja wnuczka zejdzie do poziomu ogólnego zidiocenia, kiedy zaczną buzować jej hormony”, stwierdziła Celeste Roko, która wpadała do jego domu bez uprzedzenia i której Blake bał się niczym szatana.

Pierwszy raz astrolożka nie miała racji, bo jako nastolatka Amanda nie zdurniała, a jedyne zauważalne zmiany wywołane przez hormony dotyczyły jej wyglądu. Kiedy dojrzała, wystrzeliła w górę i osiągnęła normalny wzrost, zaczęła nosić szkła kontaktowe, pozbyła się aparatu ortodontycznego i nauczyła się okiełznywać niezdolne loki. Rozkwitła jako szczupła dziewczyna o delikatnych rysach twarzy, ciemnych włosach ojca i przezroczyściej skórze matki, nieświadoma swojej urody. W wieku siedemnastu lat nadal powłóczyła nogami, obgryzała paznokcie i ubierała się w cudactwa rodem ze sklepów z używaną odzieżą, które przerabiała według aktualnego natchnienia.

Po rozstaniu z dziadkiem Amanda poczuła się na kilka godzin panią przestrzeni. Zostały jej trzy miesiące do ukończenia szkoły, w której była szczęśliwa (nie licząc ciągłego rozgardiaszu panującego w pokoju), i wyjazdu do Massachusetts, do MIT-u, gdzie studiował Bradley, jej wirtualny chłopak, który opowiadał jej o Media Lab, raję dla wyobraźni i kreatywności; dokładnie o tym marzyła. Był mężczyzną idealnym: dziwakiem jak ona, z poczuciem humoru i wcale niebrzydkim; pływaniu zawdzięczał szerokie plecy i zdrową opaleniznę, a chemikaliom dodawanym do wody w basenach włosy w kolorze limonki. Mógł uchodzić za Australijczyka. Amanda postanowiła, że wyjdzie za niego w odległej przyszłości, ale jeszcze mu o tym nie powiedziała. Na razie komunikowali się przez internet, żeby grać w go, rozmawiać na różne hermetyczne tematy i dyskutować o książkach.

Bradley był fanatykiem science fiction, które przygnębiało Amandę, bo generalnie sprowadzało się do tego, że planetę zasypywał popiół, a kontrolę nad ludzkością przejmowały maszyny. Przeczytała sporo tego typu powieści między ósmym a jedenastym rokiem życia, ale wolała literaturę fantasy, gdzie akcja toczyła się w wymyślonych epokach, kiedy technologia była na prymitywnym poziomie, a różnica między bohaterami i niegodziwcami rysowała się bardzo wyraźnie. Bradley uważał ten gatunek za dziecinny i uzależniający. On skłaniał się ku miążdżącemu pesymizmowi. Amanda nie miała odwagi wyznać mu, że pochłonęła wszystkie cztery tomy sagi *Zmierzch* i trzy *Millenium*, bo Bradley nie tracił czasu ani na wampiry, ani na

psychopatów.

Para nastolatków wymieniała romantyczne e-maile, zaprawione ironią, żeby uniknąć kiczowatości, i wirtualne pocałunki, nic zbyt śmiałego. W grudniu zakonnice wydalily ze szkoły uczennicę po tym, jak wrzuciła do internetu filmik, na którym masturbowała się naga z rozłożonymi nogami; na Bradleyu nie zrobiło to wielkiego wrażenia, bo dziewczyny jego dwóch kolegów puściły już kiedyś w obieg podobne sceny. Amandę zdziwiło, że jej koleżanka z klasy jest całkowicie wydepilowana i że nie zadbała o zasłonięcie twarzy, ale najbardziej zaskoczyła ją gwałtowna reakcja sióstr, które uchodziły za niezwykle tolerancyjne.

Dla zabicia czasu przed spotkaniem na czacie z Bradleyem Amanda zabrała się do porządkowania zdobytych przez dziadka informacji na temat „zbrodni z kijem bejsbolowym w niestosownym miejscu” i innych krwawych historii, które śledziła, odkąd jej matka chrestna podniosła alarm w telewizji. Ripperowcy nadal zastanawiali się nad licznymi niewiadomymi w sprawie Eda Statona, ale ona miała już temat do kolejnej gry: zabójstwo Doris i Michaela Constante’ów.

Do grupy mężczyzn zakochanych w Indianie Jackson należał Matheus Pereira, malarz brazylijskiego pochodzenia, jednak w jego przypadku chodziło tylko o miłość platoniczną, bo był całkowicie pochłonięty sztuką. Utrzymywał, że kreatywność karmi się energią seksualną, a skoro musiał wybrać między sztuką a uwiedzeniem Indiany, która nie wyglądała na specjalnie zainteresowaną, zdecydował się na tę pierwszą. Poza tym marihuana utrzymywała go w stanie permanentnego spokoju, który nie sprzyjał zalotom. Byli dobrymi przyjaciółmi, widywali się niemal codziennie i w razie potrzeby wzajemnie wspierali. Jego często niepokoiła policja, a ją od czasu do czasu pozwalający sobie na zbyt wiele klienci albo nadinspektor Martín, który uważał, że ma prawo sprawdzać, co robi jego była żona.

– Martwi mnie Amanda; teraz ma obsesję na punkcie zbrodni – powiedziała Indiana, wcierając olejek eukaliptusowy cierpiącemu na rwę kulszową artyście.

– Znudziły jej się wampiry? – zapytał Matheus.

– To było w zeszłym roku. Teraz sprawa jest poważniejsza, chodzi o prawdziwe zbrodnie.

– Mała wdała się w ojca.

– Nie wiem, w co się wplątała. To są właśnie niebezpieczeństwa internetu. Jakiś zboczeniec może nagabywać moją córkę, a ja nawet się nie zorientuję.

– Nic z tych rzeczy, Indi. Po prostu kilku smarkaczy gra sobie dla zabawy. W sobotę widziałem Amandę w Café Rossini; jadła śniadanie z twoim byłym mężem. Ten facet nie darzy mnie sympatią.

– Nieprawda. Bob niejednym razem uratował cię przed więzieniem.

– Bo ty go o to poprosiłaś. Ale mówiłem o Amandzie. Rozmawialiśmy przez chwilę i wyjaśniła mi, na czym polega ta gra, z tego, co pamiętam, nazywa się *Ripper* czy jakoś tak. Wiesz, że jednej z ofiar wsadzili kij bejsbolowy...?

– Tak, Matheusie, wiem! – przerwała mu Indiana. – Właśnie o to mi chodzi. Wydaje ci się normalne, że Amandę fascynuje coś tak makabrycznego? Inne dziewczyny w jej wieku

interesują się aktorami.

Pereira mieszkał na dachu Kliniki Holistycznej, w nadbudówce postawionej bez pozwolenia stosownych władz, i z praktycznych powodów pełnił funkcję administratora budynku. Nadbudówka (nazywana przez niego pracownią) miała doskonałe światło do malowania i do uprawy – non profit – krzaczków konopi na potrzeby własne (które były duże) oraz dla przyjaciół.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, po kilkakrotnej zmianie właściciela, nieruchomość trafiła w ręce chińskiego inwestora, który miał nos do interesów, więc wpadł na pomysł, by otworzyć tu centrum zdrowia i spokoju, jakich wiele w Kalifornii, krainie optymistów. Odmalował dom na zewnątrz i umieścił na froncie szyld Kliniki Holistycznej, chcąc odróżnić budynek od sklepów rybnych z Chinatown; reszty dokonali najemcy, adepci sztuk i nauk leczniczych, którzy stopniowo zajmowali mieszkania na pierwszym i drugim piętrze. Lokale na parterze, wychodzące na ulicę, przerobiono na studio jogi i galerię sztuki. Studio jogi oferowało także cieszące się dużą popularnością lekcje tańca tantrycznego, w galerii, o niezrozumiałej nazwie Włochata Gąsienica, wystawiano dzieła miejscowych artystów. W piątkowe i sobotnie wieczory galeria nabierała życia dzięki muzykom amatorom i cierpkiemu winu serwowanemu gratis w papierowych kubkach. Ten, kto szukał nielegalnych narkotyków, mógł je zdobyć we Włochatej Gąsienicy po okazyjnej cenie, pod nosem policji, która tolerowała ten mrówczy handelek, pod warunkiem że odbywał się dyskretnie. Dwa piętra zajmowały małe gabinety złożone z poczekalni, gdzie ledwo mieściło się szkolne biurko i dwa krzesła, oraz pomieszczenia przeznaczonego do zabiegów. Dostęp do gabinetów pierwszego i drugiego piętra był utrudniony z powodu braku windy, co stanowiło poważną niedogodność dla niektórych pacjentów, ale dzięki temu wykluczono tych bardziej niedołącznych, którym medycyna alternatywna i tak niezbyt by pomogła.

Malarz mieszkał w budynku od trzydziestu lat i żaden z kolejnych właścicieli nie zdołał go wyrzucić. Chiński inwestor nawet nie próbował tego zrobić, bo odpowiadało mu, że ktoś zostaje na miejscu poza godzinami otwarcia. Zamiast walczyć z Matheusem Pereirą, mianował go głównym nadzorcą, wręczył mu zapasowe klucze do wszystkich gabinetów i zaoferował symboliczną zapłatę za to, żeby zamykał na noc główne drzwi, gasił światła, kontaktował się w jego imieniu z najemcami i dzwonił w razie awarii albo nagłych przypadków.

Obrazy Brazylijczyka, inspirowane niemieckim ekspresjonizmem, były od czasu do czasu wystawiane we Włochatej Gąsienicy (nikt ich nie kupował) i zdobiły wejściowy hol budynku. Budzące niepokój, zniekształcone postacie, namalowane wściekłymi pociągnięciami pędzla, kontrastowały z pozostałościami po art déco i misją Kliniki Holistycznej polegającą na zapewnianiu klientom fizycznego i emocjonalnego zdrowia. Nikt nie miał jednak odwagi zasugerować ich usunięcia, by nie urazić artysty.

– To wina twojego byłego męża, Indi. Jak myślisz, skąd u Amandy upodobanie do zbrodni?
– zapytał Matheus przy pożegnaniu.

– Bob jest tak samo jak ja zaniepokojony nową manią Amandy.

– Gorzej by było, gdyby chodziła naćpana...

– I kto to mówi! – odparła ze śmiechem.

- No właśnie. Jestem autorytetem w tej dziedzinie.
- Jutro między zabiegami mogę ci zrobić dziesięciminutowy masaż – zaproponowała.
- Latami leczyłaś mnie za darmo. Sprezentuję ci jeden z moich obrazów.
- Nie, Matheusie! Za nic nie mogę go przyjąć. Jestem pewna, że twoje obrazy będą kiedyś bardzo cenne – powiedziała Indiana, starając się ukryć panikę w głosie.

Środa, 4

O dziesiątej w nocy Blake Jackson skończył czytać powieść i poszedł do kuchni przygotować owsiankę, która przywodziła mu na myśl dzieciństwo i podnosiła go na duchu, kiedy czuł się przytłoczony tępotą gatunku ludzkiego. Niektóre książki tak na niego działały. Środowe wieczory były zarezerwowane na squasha, ale w tym tygodniu kolega, z którym grał, akurat wyjechał. Zasiadł przed talerzem, wdychając delikatny zapach miodu i cynamonu, i zadzwonił do Amandy na komórkę. Nie bał się, że ją obudzi, bo o tej porze na pewno czytała. Pokój Indiany był daleko, nie mogła słyszeć rozmowy, ale i tak mówił szeptem z przesadnej ostrożności. Lepiej, żeby jego córka nie wiedziała o sprawach, które łączyły go z wnuczką.

– Amanda? Tu Kabel.

– Znam twój głos. Wal.

– Mam coś o Edzie Statonie. Korzystając z dzisiejszej przyjemnej temperatury, dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza, jak w lecie...

– Do rzeczy, Kabelu, nie mam całej nocy na słuchanie o globalnym ociepleniu.

– Poszedłem na piwo z twoim tatą i dowiedziałem się kilku rzeczy, które mogą cię zainteresować.

– Jakich rzeczy?

– Poprawczak, w którym pracował Staton przed przeprowadzką do San Francisco, nazywa się Boys Camp i leży na pustyni w Arizonie. Staton był tam przez kilka lat, zanim wyrzucili go w sierpniu dwa tysiące dziesiątego roku po skandalu z powodu śmierci piętnastolatka. To nie pierwszy taki przypadek, Amando, w ciągu ostatnich ośmiu lat zmarło tam trzech chłopców, mimo to poprawczak nadal funkcjonuje. Za każdym razem sędzia ograniczał się do krótkotrwałego zamknięcia zakładu na czas śledztwa.

– Jak umarły te dzieci?

– Z powodu paramilitarnej dyscypliny stosowanej przez niedoświadczonych lub sadystycznych wychowawców. Zaniedbania, nadużycia, tortury. Chłopców biją, każą wykonywać ćwiczenia aż do utraty przytomności, racjonują im jedzenie i godziny snu. Chłopak, który umarł, miał zapalenie płuc, wrzał od gorączki i mdlał, ale zmusili go, żeby biegał z pozostałymi w pełnym słońcu, w tym upale, jaki panuje w Arizonie. Przecież tam jest jak w piecu. Kiedy upadł, skopali go. Chorował przez dwa tygodnie, zanim umarł. Potem odkryto, że miał w płucach dwa litry ropy.

– A Ed Staton był jednym z tych sadystów – wywnioskowała Amanda.

– Miał w Boys Camp bogatą przeszłość. Jego nazwisko pojawia się w kilku raportach skierowanych przeciwko zakładowi za nadużycia wobec podopiecznych, ale został wyrzucony dopiero w dwa tysiące dziesiątym. Najwyraźniej nikogo nie obchodzi los tych biednych chłopców. Zupełnie jak w powieści Dickensa.

– *Oliver Twist*. Mów dalej, nie zmieniaj tematu.

– Próbowali zwolnić Eda Statona dyskretnie, ale to było niemożliwe, bo śmierć chłopca

wywołała pewne poruszenie. Mimo to zatrudnili go w szkole Golden Hills w San Francisco. Dziwne, nie sądzisz? Jakby nie znali jego przeszłości!

– Musiał mieć znajomości.

– Nikt nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić jego kartotekę. Dyrektor Golden Hills był z gościa zadowolony, bo potrafił narzucić dyscyplinę, ale niektórzy uczniowie i nauczyciele opisują go jako oprawcę, jedną z tych tchórzliwych istot, które płaszcą się przed zwierchnikiem, ale jeśli tylko dostaną odrobinę władzy, dają popis okrucieństwa. Niestety świat jest pełen ludzi tego pokroju. W końcu dyrektor przydzielił mu nocną zmianę, żeby nie stwarzał problemów. Ed Staton zaczynał pracę o ósmej wieczorem i kończył o szóstej rano.

– Może zabił go ktoś z tego poprawczaka, ktoś, kto był dręczony przez Statona.

– Twój tata bada taką możliwość, choć wciąż trzyma się teorii o porachunkach homoseksualistów. Staton był amatorem gejowskiej pornografii i korzystał z obstawy.

– Czego?

– Obstawy, tak nazywają prostytutkiujących się mężczyzn. Obstawą Statona było zwykle dwóch młodych Portorykańczyków, twój tata ich przesłuchał, ale mają solidne alibi. Jeśli chodzi o szkolny alarm, powiedz ludziom z *Ripperera*, że zazwyczaj Ed Staton włączał go na noc, ale nie tamtego dnia. Może wyszedł w pośpiechu i zamierzał go uruchomić, kiedy wróci.

– Wiem, że zostawiłeś najlepsze na koniec – powiedziała wnuczka.

– Ja?

– Co to takiego, Kabelu?

– Coś całkiem interesującego, co zaintrygowało także twojego tatę – odparł Blake Jackson. – Na sali gimnastycznej są piłki, rękawice i kije bejsbolowe, jednak kij, którym potraktowano Statona, nie był własnością szkoły.

– Już wiem, co mi powiesz! Kij należy do jakiejś drużyny z Arizony!

– Na przykład do Diabłów z Arizony? Związek z Boys Camp byłby wtedy oczywisty, ale tak nie jest.

– Skąd pochodzi?

– Ma logo Uniwersytetu Stanowego Arkansas.

Zdaniem Celeste Roko, która przestudiowała kosmogramy wszystkich swoich przyjaciół i krewnych, charakter Indiany Jackson odpowiadał jej znakowi zodiaku, Rybom. To tłumaczyło upodobanie do ezoteryzmu i niepoahamowany pęd do udzielania pomocy wszystkim nieszczęśliwcom spotkanym na swojej drodze, nawet tym, którzy o nią nie prosili ani nie okazywali wdzięczności. Carol Underwater była idealnym obiektem dla spontanicznego współczucia Indiany.

Poznały się w grudniowy poranek 2011 roku; Indiana przywiązywała łańcuchem rower na ulicy i kątem oka dostrzegła kobietę, która opierała się o pobliskie drzewo, jakby miała zemdleć. Podbiegła, żeby jej pomóc, podtrzymała ją, podreptała z nią małymi krokami do Kliniki Holistycznej i wprowadziła po schodach do gabinetu numer osiem, gdzie nieznajoma

opadła wyczerpana na jedno z lichych krzeseł recepcji. Kiedy odzyskała oddech, przedstawiła się i opowiedziała, że cierpi na złośliwy nowotwór, a chemioterapia okazała się gorsza od samej choroby. Poruszona Indiana zaproponowała jej, żeby na chwilę położyła się na stole do masażu, ale tamta odpowiedziała niepewnie, że wystarczy jej krzesło i że jeśli to nie będzie duży problem, dobrze zrobiłoby jej wypicie czegoś ciepłego. Indiana zostawiła ją samą i pobięła kupić herbatkę ziołową, żałując, że w jej skromnym gabinecie nie ma czajnika do zagotowania wody. Po powrocie zastała kobietę w znacznie lepszym stanie, która zdobyła się nawet na żalostny wysiłek i umalowała sobie usta; wargi w kolorze cegły nadawały groteskowy wygląd zielonkawej, ściągniętej z powodu choroby twarzy, w której ciemne oczy lśniły niczym guziki na buzi szmacianej lalki. Powiedziała, że ma trzydzieści sześć lat, ale peruka ze sztywnych loków dodawała jej jeszcze dziesięć.

Tak zaczęło się przymierze oparte na nieszczęściu jednej i samarytańskim powołaniu drugiej. Indiana wielokrotnie oferowała Carol swoje metody na wzmocnienie systemu odpornościowego, ale ta za każdym razem robiła wszystko, żeby przełożyć zabieg. Na początku Indiana podejrzewała, że może nie jest w stanie jej zapłacić, i była gotowa przyjmować ją za darmo, jak innych pacjentów w potrzebie, ale wobec ciągłych wymówek przestała nalegać; wiedziała, że wiele osób nadal podchodzi nieufnie do medycyny alternatywnej. Indianę i Carol łączyło zamiłowanie do sushi, spacerów po parku i romantycznych filmów, a także szacunek dla zwierząt, który u Carol Underwater oznaczał bezwzględny wegetarianizm, jak u Amandy, podczas gdy Indiana ograniczała się do protestowania przeciwko cierpieniom kurczaków na fermach i myszy w laboratoriach oraz wykorzystywaniu futer w krawiectwie. Jedną z jej ulubionych organizacji byli Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt, którzy rok wcześniej skierowali do burmistrza San Francisco petycję w sprawie przemianowania Tenderloin, bo to niedopuszczalne, żeby dzielnica miasta nazywała się tak samo jak polędwica z maltretowanej wołowiny, i lepiej nadać jej nazwę jakiegoś warzywa. Burmistrz nie odpowiedział.

Mimo wspólnych ideałów ich przyjaźń była wymuszona – Indiana próbowała zachować pewien dystans, bo Carol przywarła do niej niczym łupież. Kobieta czuła się bezradna i bezbronna, jej życie było pasmem porzuceń i zdrad, uważała się za nudną, nieatrakcyjną, nieutalentowaną, nietowarzystką i podejrzewała, że mąż poślubił ją tylko po to, żeby dostać amerykańską wizę. Indiana sugerowała, by przemyślała i zmieniła ten scenariusz, w którym jest wyłącznie ofiarą, bo pierwszy krok do wyzdrowienia polega na pozbyciu się negatywnej energii i żalu; potrzebowała pozytywnej historii, która połączyłaby ją z całym wszechświatem i z boskim światłem. Carol trwała jednak uczepiona swojego nieszczęścia. Indiana bała się, że zostanie wchłonięta przez bezdenny pusty świat tej kobiety. Carol dzwoniła o nieprzyzwoitych porach, żeby ponarzekać przez telefon, godzinami czekała na przyjaciółkę w gabinecie i obdarowywała ją wykwintnymi czekoladkami, na które musiała wydawać znaczną część swojego zasiłku. Indiana jadła je bez większej przyjemności, w dodatku licząc kalorie, bo wolała gorzką czekoladę z chili, którą raczyła się ze swoim kochankiem, Alanem Kellerem.

Carol nie miała dzieci ani krewnych, mogła za to liczyć na dwie przyjaciółki, które prowadziły ją na chemioterapię. Indiana żadnej nie знаła. Ich rozmowy krążyły obsesyjnie wokół męża Carol, Kolumbijczyka deportowanego za handel narkotykami, którego próbowała

z powrotem do siebie sprowadzić, oraz wokół jej nowotworu. Sama choroba nie przysparzała jeszcze cierpień, ale wstrzykiwana w żyły trucizna powoli ją zabijała. Miała popielaty kolor skóry, niewiele energii i słaby głos, niemniej Indiana żywiła nadzieję, że wyzdrowieje, bo pachniała inaczej niż inni chorzy na raka, których przyjmowała w swoim gabinecie. Poza tym jej umiejętność dostrajania się do cudzych chorób nie działała w przypadku Carol i Indiana brała to za dobry znak.

Któregoś dnia podczas pogawędki w Café Rossini Carol wyznała, że przeraża ją śmierć i ma nadzieję, że Indiana będzie jej przewodniczką, jednak ta nie czuła się na siłach wziąć na siebie takiej odpowiedzialności.

– Jesteś bardzo uduchowioną osobą, Indi – powiedziała Carol.

– Nie strasz mnie, kobieto! Ludzie rzekomo uduchowieni, których znam, są świętoszkowaci i kradną z księgarni książki ezoteryczne – roześmiała się Indiana.

– Wierzysz w reinkarnację? – zapytała Carol.

– Wierzę w nieśmiertelność duszy.

– Jeśli istnieje reinkarnacja, to znaczy, że zmarnowałam życie i odrodzę się w postaci karalucha.

Indiana pożyczyła jej swój zestaw poradników, eklektyczną mieszankę sufizmu, platonizmu, buddyzmu i współczesnej psychologii, ale nie powiedziała, że sama studiuje je od dziewięciu lat i dopiero zaczęła stawiać pierwsze kroki na niekończącej się drodze rozwoju osobistego, od doświadczenia pełni Istoty i wyzwolenia duszy z rozdarcia i cierpienia dzieli ją cała wieczność. Miała nadzieję, że nie zawiedzie jej instynkt uzdrowicielki, że Carol pokona raka i starczy jej czasu na tym świecie, żeby osiągnąć stan oświecenia, do którego dążyła.

W tę styczniową środę Carol i Indiana umówiły się o piątej po południu w Café Rossini, korzystając z tego, że jeden z pacjentów odwołał swoją sesję reiki i aromaterapii. Propozycja spotkania wyszła od Carol, która powiadomiła przyjaciółkę przez telefon, że po dwóch tygodniach wytchnienia po zakończeniu chemii zaczęła radioterapię. Pojawiła się pierwsza, ubrana jak zwykle w swój etniczny strój, który tylko trochę maskował jej niezgrabne ciało i wadliwą postawę: bawełniane spodnie i tunikę w stylu marokańskiej szaty, tenisówki oraz naszyjnik i bransoletki z afrykańskich nasion. Jeden z kelnerów, Danny D'Angelo, który już kilkakrotnie obsługiwał Carol, przywitał ją z wylewnością budzącą strach u niektórych klientów. Mężczyzna szczyił się, że jest zaprzyjaźniony z połową mieszkańców North Beach, zwłaszcza ze stałymi bywalcami Café Rossini, gdzie pracował od tylu lat, że już nikt nie pamiętał, jaki był ten lokal bez niego.

– Posłuchaj, kochana, w tym turbanie, który masz na głowie, jest ci dużo lepiej niż w peruce – przywitał Carol Underwater. – Kiedy byłaś tu ostatnio, powiedziałem sobie: Danny, twoim obowiązkiem jest doradzić tej osobie, żeby zdjęła z głowy tego cholernego zdechłego lisa, ale szczerze mówiąc, nie zdobyłem się na odwagę.

– Mam raka – poinformowała urażona.

– Oczywiście, kochana, każdy to widzi. Ale dobrze by ci było z łysą głową. To teraz

modne. Co ci podać?

– Rumianek i *biscotti*, ale zaczekam na Indianę.

– Indiana jest jak ta cholerna Matka Teresa, nie sądzisz? Zawdzięczam jej życie – powiedział Danny, gotów usiąść przy stoliku i opowiedzieć kilka anegdotek o swojej ukochanej Indianie Jackson, ale lokal był pełny i właściciel dawał mu znaki, żeby się pospieszył i obsłużył innych klientów.

Przez szybę Danny dostrzegł Indianę przecinającą Columbus Avenue i zmierzającą w stronę Café Rossini, pobiegł więc przygotować jej podwójne cappuccino z bitą śmietaną, tak jak lubiła, by powitać ją w drzwiach z filiżanką w rękę. „Pozdrówcie królową, plebejusze!”, wrzasnął na cały głos, jak zawsze, a klienci, przyzwyczajeni do tego rytuału, posłuchali jego rozkazu. Indiana pocałowała go w policzek i zaniósła swoje cappuccino do stolika przyjaciółki.

– Znów przez cały czas mnie mdli i nie mam na nic siły, Indi. Nie wiem, co robić, najchętniej rzuciłabym się z mostu – westchnęła Carol.

– Z którego mostu? – zapytał Danny D’Angelo, który przechodził obok, niosąc tacę do innego stolika.

– Tak tylko się mówi, Danny – skarciła go Indiana.

– Pytam, kochana, bo jeśli zamierzasz skoczyć z Golden Gate, to nie polecam. Zamontowali kratę i kamery, żeby zniechęcić samobójców. Z całego świata przyjeżdżają wariaci i ludzie z depresją, żeby rzucić się z tego cholernego mostu, to atrakcja turystyczna. I wszyscy skaczą od tej samej strony, do zatoki. Nie rzucają się od strony morza ze strachu przed rekinami.

– Danny! – wykrzyknęła Indiana, podając Carol papierową serwetkę do wydmuchania nosa.

Kelner odszedł ze swoją tacą, ale po kilku minutach był z powrotem i przysłuchiwał się, jak Indiana próbuje pocieszyć swoją nieszczęśliwą przyjaciółkę. Dała jej ceramiczny medalion do powieszenia na szyi i trzy ciemne flakoniki z olejkami z niaouli, lawendy i mięty. Wyjaśniła, że olejki eteryczne to naturalne środki, które wchłaniają się przez skórę w kilka minut, idealne dla osób, które nie mogą przyjmować leków doustnych. Powinna codziennie wlewać do medalionu po dwie krople niaouli przeciwko mdłościom, skrapiać poduszkę lawendą i wcierać sobie miętę w podeszwy stóp, żeby nabrać energii. Czy wie, że miętą smaruje się jądra starych byków, żeby...?

– Indi! – przerwała jej Carol. – Nie chcę nawet o tym myśleć! Biedne byki!

W tym momencie otworzyły się drzwi z drewna i fazanego szkła, stare i sfatygowane jak prawie wszystko w Café Rossini, i stanęła w nich Lulu Gardner, która zaczynała swój codzienny obchód dzielnicy. Wszyscy poza Carol Underwater znali tę małą bezzębną staruszkę, pomarszczoną jak ususzone jabłko, z czubkiem nosa przyklejonym do brody, w berecie i pelerynie Czerwonego Kapturka. Malownicza babuleńka, pamiętająca czasy bitników, nazywała sama siebie oficjalną fotografką życia w North Beach. Zapewniała, że uwieczniła na zdjęciach mieszkańców dzielnicy już z początków dwudziestego wieku, kiedy po trzęsieniu ziemi w 1906 roku zaczęła się ona zaludniać włoskimi imigrantami. Oczywiście

uwieczniła także niektóre niezapomniane postacie: Jacka Kerouaca, który jej zdaniem bardzo dobrze pisał na maszynie, Allena Ginsberga, swojego ulubionego poetę i działacza społecznego, Joe'ego DiMaggio, legendarnego bejsbolistę, który mieszkał tu z żoną, Marilyn Monroe, w latach pięćdziesiątych, a także striptizerki z Condor Club, które założyły w latach sześćdziesiątych spółdzielnię. Jednym słowem, sfotografowała wszystkich okolicznych cnotliwych i grzeszników, strzeżonych przez patrona miasta, świętego Franciszka z Asyżu z kaplicy przy ulicy Vallejo. Lulu chodziła z laską tak wysoką jak ona sama, z aparatem Polaroid, jakich już się nie używa, i dużym albumem pod pachą.

Na jej temat krążyły wszelkiego rodzaju plotki, którym ona nigdy nie zaprzeczała: mówiono, że wygląda na żebraczkę, ale ma gdzieś ukryte miliony, że przeżyła obóz koncentracyjny i że straciła męża w Pearl Harbor. Pewne było tylko to, że choć jest praktykującą żydówką, obchodzi Boże Narodzenie. W zeszłym roku Lulu zniknęła tajemniczo i kiedy mieszkańcy przez trzy tygodnie nie widzieli jej na ulicach dzielnicy, uznali, że umarła, i postanowili oddać jej pośmiertny hołd. W widocznym miejscu w parku Waszyngtona ustawiono powiększone zdjęcie stuletniej Lulu Gardner, a obok ludzie kładli kwiaty, pluszowe zabawki, odbitki zrobionych przez nią zdjęć, smutne wiersze i wiadomości. W niedzielę o zmierzchu, kiedy w parku spontanicznie zebrały się dziesiątki osób z zapalonymi świecami, żeby z szacunkiem ostatni raz pożegnać artystkę, pojawiła się Lulu Gardner, pytając, kto umarł, gotowa sfotografować rodzinę nieboszczyka. Kilku uczestników poczuło się oszukanych: nie wybaczyli jej, że nadal żyje.

Fotografka w powolnym rytmie płynącego z głośnika bluesa przeszła tanecznym krokiem między stolikami, podśpiewując i oferując klientom swoje usługi. Zbliżyła się do Indiany i Carol, obserwując je łzawiącymi oczami; zanim kobiety zdążyły odmówić, Danny D'Angelo stanął pomiędzy nimi, pochylony do ich wysokości, i Lulu Gardner wyzwoliła migawkę. Carol Underwater, zaskoczona błyskiem flesza, wstała tak gwałtownie, że przewróciła krzesło. „Nie chcę twoich pieprzonych zdjęć, stara jędo!” wrzasnęła, próbując wyrwać jej aparat. Lulu cofnęła się przerażona, a Danny D'Angelo stanął między kobietami, żeby powstrzymać Carol. Indiana usiłowała uspokoić przyjaciółkę, zdziwiona tą przesadną reakcją, a stali bywalcy lokalu szeptali zdegowani, nawet ci obrażeni z powodu zmartwychwstania. Zawstydzona Carol opadła na krzesło z twarzą ukrytą w dłoniach. „Mam kompletnie zszargane nerwy”, zaszlochła.

Czwartek, 5

Amanda zaczekała, aż jej koleżanki z pokoju znudzą się komentowaniem ewentualnego rozwodu Toma Cruise'a i zasną, po czym zadzwoniła do dziadka.

- Jest druga w nocy, Amando. Obudziłaś mnie. O której ty chodzisz spać, mała?
- Śpię na lekcjach. Masz dla mnie jakieś wiadomości?
- Rozmawiałem z Henriettą Post – ziewnął dziadek.
- Sąsiadką, która znalazła ciała Constante'ów?
- Właśnie.
- To dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? – zapytała z wyrzutem wnuczka.
- Czekałem, aż wstanie dzień.
- Od morderstwa upłynęło kilka tygodni. Zostało popełnione chyba w listopadzie.
- Tak, Amando, ale nie mogłem wcześniej tam pójść. Nie martw się, kobieta wszystko pamięta. Ze strachu omal nie umarła, ale to nie przeszkodziło, żeby w jej pamięci wyrył się każdy szczegół tego, co widziała tamtego dnia, najstraszliwszego w życiu, jak mi powiedziała.
- Opowiedz mi wszystko, Kabelu.
- Nie mogę. Jest bardzo późno i w każdej chwili może wrócić twoja mama.
- Dziś czwartek, mama jest z Kellerem.
- Nie zawsze zostaje u niego na całą noc. Poza tym muszę się przespać. Ale wyślę ci moje zapiski z rozmowy z Henriettą Post i to, co wyciągnąłem z twojego taty.
- Zanotowałeś to?
- Kiedyś napiszę książkę – wyjaśnił Kabel. – Notuję wszystko, co uznaję za interesujące, nigdy nie wiadomo, co mi się może przydać w przyszłości.
- Spisz swoje wspomnienia, wszyscy starzy tak robią – zaproponowała wnuczka.
- Wyszłyby tak nudne jak flaki z olejem, nie przydarzyło mi się nic godnego opowiedzenia, jestem najnudniejszym wdowcem pod słońcem.
- To fakt. Wyślij mi notatki o Constante'ach. Dobranoc, pachółku. Kochasz mnie?
- Nie.
- Ja ciebie też nie.

Kilka minut później Amanda miała w swojej skrzynce streszczenie wizyty Blake'a Jacksona u głównego świadka w sprawie zabójstwa Constante'ów.

Jedenastego listopada około dziesiątej piętnaście rano Henrietta Post, mieszkająca na tej samej ulicy co Constante'owie, wyprowadzała psa na spacer, kiedy zauważyła, że drzwi od domu sąsiadów są otwarte na oścież, rzecz niezwykła w dzielnicy, która miała kłopoty z gangami i handlarzami narkotyków. Henrietta Post kilka razy nacisnęła dzwonek, żeby ostrzec gospodarzy, których dobrze знаła, a ponieważ nikt się nie zjawił, weszła do środka i zaczęła

ich wołać. Minęła salon z włączonym telewizorem, jadalnię i kuchnię, po czym z trudem weszła po schodach, bo ma siedemdziesiąt osiem lat i problemy z sercem. Zaniepokoiła ją cisza panująca w tym domu zawsze tak pełnym życia; sama niejednokrotnie narzekała na głośne imprezy.

Nie znalazła nikogo w pokojach dzieci, ruszyła więc krótkim korytarzem w stronę głównej sypialni, wołając właścicieli resztką sił. Zapukała trzy razy do drzwi, zanim ośmieliła się je otworzyć i zajrzeć do środka. Mówi, że pokój był pogrążony w mroku i zimny, żaluzje i zasłony zasunięte, a powietrze ciężkie, jakby nie wietrzono go od kilku dni. Zrobiła dwa kroki, ale kiedy przyzwyczaiła wzrok do ciemności, natychmiast się wycofała, mruczając przeprosiny, bo w małżeńskim łóżu zobaczyła zarys pary.

Sąsiadka dyskretnie wyszła z sypialni, jednak instynkt ostrzegł ją, że jest coś nienormalnego w spokoju tego domu i w tym, że Constante'owie nie odpowiedzieli na jej wołanie i śpią w przedpołudnie w środku tygodnia. Wróciła do pokoju, obmacując ścianę w poszukiwaniu kontaktu, i zapaliła światło. Doris i Michael Constante'owie leżeli na plecach, przykryci po szyje kołdrą, sztywni, z otwartymi oczami. Z gardła kobiety wydobył się zduszony krzyk, poczuła silne uderzenie w piersi i pomyślała, że eksplodowało jej serce. Zareagowała, dopiero kiedy usłyszała szczekanie swojego psa, wtedy wróciła na korytarz, niezdarnie zeszła po schodach i czepiając się mebli, ruszyła w stronę telefonu w kuchni.

Zadzwoiła pod 911 dokładnie o dziesiątej dwadzieścia dziewięć, powtarzając kilkakrotnie, że jej sąsiedzi nie żyją, aż wreszcie operatorka przerwała jej, żeby zadać trzy, cztery rzeczowe pytania i nakazać, aby została na miejscu i niczego nie dotykała, zaraz przyjedzie pomoc. Siedem minut później zjawily się dwa radiowozy patrolujące okolicę, a zaraz po nich karetka i posiłki. Ratownicy medyczni nie mogli niczego zrobić dla Constante'ów, za to zabrali do szpitala Henriette Post z tachykardią i wysokim ciśnieniem.

Nadinspektor Bob Martín przyjechał około jedenastej, kiedy ulica została już odgradzona, w towarzystwie lekarki sądowej Ingrid Dunn i fotografa z Wydziału Zabójstw. Martín założył gumowe rękawiczki i wszedł z lekarką do pokoju Constante'ów. Na widok pary w łóżku pomyślał, że chodzi o podwójne samobójstwo, ale musiał poczekać na werdykt doktor Dunn, która dokładnie obejrzała widoczne części zwłok, nie ruszając ich z miejsca. Podczas gdy fotograf wykonywał swoją pracę, nadjechała reszta ekipy technicznej. Lekarka kazała wnieść nosze i zabrano małżonków do kostnicy. Miejsce zbrodni pozostało do dyspozycji policji, ale zwłoki należały do niej.

Doris i Michael byli aktywnymi członkami Kościoła Metodystycznego cieszącymi się dużym poważaniem we wspólnocie, a w ich domu często odbywały się spotkania Anonimowych Alkoholików. Tydzień przed feralną nocą Michael w gronie przyjaciół uczcił czternaście lat trzeźwości imprezą na patio z hamburgerami i kiełbaskami podlanymi owocowym ponczem. Podobno między nim i jednym z gości doszło do bójki, ale nie było to nic poważnego.

Constante'owie, którzy nie mieli własnego potomstwa, otrzymali w 1991 roku pozwolenie na sprawowanie tymczasowej opieki nad sierotami albo dziećmi z patologicznych rodzin, które przydzielały im sądy. Mieszkała z nimi wówczas trójka dzieci w różnym wieku, ale w nocy dziesiątego listopada, kiedy została popełniona zbrodnia, byli sami, bo Ośrodek Opieki

Spółecznej dla Nieletnich zabrał je na czterodniową wycieczkę nad jezioro Tahoe. W domu panował bałagan, było brudno, obecność dzieci rzuciła się w oczy z powodów ubrań do prania, niepościelonych łóżek, porozrzucanych butów i zabawek. W lodówce znaleziono mrożone pizze i hamburgery, napoje gazowane, mleko, jajka i nienapoczętą butelkę jakiegoś nieznanego alkoholu.

Autopsja wykazała, że Doris, lat czterdzieści siedem, i Michael, lat czterdzieści osiem, umarli z przedawkowania heroiny wstrzykniętej w żyłę szyjną i że po śmierci przypalono im pośladki ogniem.

Dziesięć minut później telefon ponownie obudził Blake'a Jacksona.

– Tylko jedno pytanie, pachołku – powiedziała wnuczka.

– Amando, mam cię już dosyć! Rezygnuję z bycia twoim pachołkiem! – zawołał dziadek.

Po tych słowach zapadło grobowe milczenie.

– Amando? – zapytał Blake po kilku sekundach.

– Tak? – odpowiedziała drżącym głosem.

– Żartowałem. Co to za pytanie?

– Wyjaśnij mi, o co chodzi z tymi poparzeniami na pośladkach.

– Odkryli je w kostnicy, kiedy rozebrali zwłoki – powiedział dziadek. – Zapomniałem wspomnieć w moich notatkach, że w łazience znaleziono dwie zużyte strzykawki z resztkami heroiny i mały butanowy palnik, którym pewnie przypalono ciała, wszystko bez odcisków palców.

– Mówisz, że zapomniałeś o tym wspomnieć? Przecież to najważniejsze!

– Zamierzałem to dopisać, ale coś mi przeszkodziło. Wydaje mi się, że te przedmioty celowo i ostentacyjnie zostały zostawione na tacy, ułożone i przykryte białą serwetką, jakby to był żart.

– Dziękuję, Kabelu.

– Dobranoc, mistrzyni.

– Dobranoc. Już więcej do ciebie nie zadzwonię. Śpij dobrze.

Była to jedna z tych nocy z Alanem Kellerem, na które Indiana szykowała się niczym młoda narzeczona, choć popadli już w rutynę i bez wielkich niespodzianek uprawiali seks jak stare małżeństwo. Spotykali się od czterech lat – naprawdę byli już starym małżeństwem. Znali się dobrze, kochali bez pośpiechu i nie żalowali czasu na śmiech, jedzenie i rozmowy. Zdaniem Kellera uprawiali seks bez fajerwerków, jak para pradiadków; zdaniem Indiany byli pradiadkami rozpustnymi. Nie mieli powodów do narzekań, bo po wypróbowaniu kilku akrobacji typowych dla przemysłu pornograficznego, po których jemu pozostał ból pleców, a jej niesmak, i przetestowaniu niemal wszystkiego, co może podsunąć zdrowa wyobraźnia, bez udziału osób trzecich i zwierząt, zredukowali repertuar do czterech konwencjonalnych opcji, w każdej było kilka wariantów, ale nie za dużo. Powtarzali je w hotelu Fairmont raz czy dwa razy w tygodniu, w zależności od tego, czego potrzebowały ich ciała.

Kiedy czekali na ostrygi i wędzonego łososia, które zamówili do pokoju, Indiana opowiedziała Alanowi Kellerowi o tragedii Carol Underwater i niezręcznych komentarzach Danny'ego D'Angelo. Alan znał kelnera, bo czasami czekał na Indianę w Café Rossini, a także dlatego, że w zeszłym roku Danny zwymiotował ostentacyjnie w jego nowym lexusie, kiedy na prośbę Indiany wiózł go na pogotowie. Musiał zlecić kilkakrotne czyszczenie samochodu, żeby zmyć plamy i usunąć smród.

W czerwcu po dorocznej gejowskiej paradzie Danny nagle zniknął, nie przyszedł do pracy i przez kolejne sześć dni nikt nie miał o nim żadnych wiadomości, aż jakiś anonimowy głos z latynoskim akcentem zakomunikował Indianie przez telefon, że jej przyjaciel jest w opłakanym stanie, chory i sam w swoim mieszkaniu, lepiej niech mu pomoże, jeśli nie chce, żeby umarł. Danny mieszkał w nędznym domu w Tenderloin, dzikiej dzielnicy, gdzie nocą bała się pojawiać nawet policja. Od początku swojego istnienia ta część miasta przyciągała włóczęgów i przestępców, wyróżniały ją alkohol, narkotyki, burdele i kluby owiane złą sławą. Była samym sercem grzechu, jak nazywał ją Danny z pewną wyższością, jakby mieszkając tam, zasługiwał na medal za odwagę. Budynek wzniesiono w latach czterdziestych z myślą o marynarzach, ale z biegiem czasu zamienił się w schronienie dla samotnych, chorych lub uzależnionych. Indiana nieraz zanosila tam jedzenie i leki swojemu przyjacielowi, który po pełnych ekscesów imprezach przypominał strzęp człowieka.

Po anonimowym telefonie Indiana natychmiast kolejny raz ruszyła Danny'emu na ratunek. Wspięła się na piąte piętro po schodach wymalowanych wyzwiskami i obscenicznymi rysunkami, mijając kilka uchylonych drzwi, jaskinie pijaków zzartych przez nędzę, obłąkanych starców i chłopców, którzy prostytuowali się za narkotyki. Na wyposażenie mieszkania Danny'ego, ciemnego, cuchnącego wymiocinami i ordynarnym paczuli, składało się stojące w kącie łóżko, szafa, deska do prasowania oraz kokieteryjna toaleta z pękniętym lustrem, na której wisiała satynowa spódniczka i leżała kolekcja akcesoriów do makijażu. Na podłodze stało w rzędzie kilka par butów na wysokim obcasie, a na dwóch wieszakach wisiały niczym omdlałe ptaszyska jego ozdobione piórami sukienki kabaretowego śpiewaka. Naturalne światło nie wpadało do środka, bo jedyne okno oblepiał dwudziestoletni brud.

Danny leżał na łóżku ubrany do połowy w strój francuskiej pokojówki, w którym wystąpił na gejowskiej paradzie. Był w strasznym stanie, rozpalony od gorączki i odwodniony, miał zapalenie płuc połączone z ostrym zatruciem alkoholem i narkotykami. Na każde piętro przypadała tylko jedna łazienka, z której korzystało dwudziestu lokatorów. Chory okazał się tak osłabiony, że nie było mowy, by dał radę się tam dowlec. Nie zareagował, kiedy próbowała pomóc mu usiąść, chcąc go napoić i umyć. Było to zadanie niewykonalne dla jednej osoby. Dlatego zadzwoniła po Alana Kellera.

Keller z przykrością stwierdził, że Indiana uznała go za ostatnią deskę ratunku, bo jej ojciec miał samochód w naprawie, a ten sukinsyn, Ryan Miller, na pewno był w podróży służbowej. Odpowiadała mu cicha umowa ograniczająca jego relacje z Indianą do przyjemnych spotkań, ale czuł się urażony, że zorganizowała swoje życie bez niego. Indianie wечно brakowało pieniędzy, choć nigdy o tym nie wspominała, ale kiedy próbował jej pomóc, zawsze zbywała go jakimś żartem; korzystała za to z pożyczek od swojego ojca i choć Keller nie miał na to dowodów, mógłby przysiąc, że przyjmowała od Ryana Millera to, czego nie chciała brać od

niego. „Jestem twoją kochanką, nie twoją utrzymanką”, odpowiadała Indiana, kiedy proponował, że zapłaci czynsz za gabinet albo rachunek za dentystę Amandy. Na urodziny chciał jej kupić garbusa w jej ulubionych barwach, czyli w kolorze żółtego kaczątka albo czerwonego lakieru do paznokci, ale Indiana otwarcie odmówiła, pod ekologicznym pretekstem, twierdząc, że transport miejski i rower są wystarczające. Nie pozwoliła też, żeby podarował jej kartę kredytową czy otworzył konto w banku, i nie lubiła, kiedy kupował jej ubrania, bo uważała – zresztą słusznie – że próbuje ją ulepszyć. Kosztowna jedwabna i koronkowa bielizna, którą dostawała w prezencie, wydawała jej się śmieszna, ale wkładała ją, żeby sprawić mu przyjemność w ramach erotycznych igraszek. Keller wiedział, że gdy tylko traci czujność, Indiana oddaje bieliznę Danny’emu, który zapewne potrafił należycie ją docenić.

Keller podziwiał uczciwość Indiany, ale denerwowało go, że nie jest jej potrzebny, czuł się mały i nieważny przy tej kobiecie, która wolała dawać, niż brać. W latach, które spędzili razem, prosiła go o pomoc przy nielicznych okazjach, dlatego natychmiast przyjechał, kiedy zadzwoniła do niego z mieszkania Danny’ego D’Angelo.

Tenderloin było terytorium filipińskich, chińskich i wietnamskich gangów, dzielnicą kradzieży, napadów i morderstw. Keller bardzo rzadko ją odwiedzał, choć znajdowała się w centrum San Francisco, kilka przecznic od banków, biur, siedzib korporacji, sklepów i luksusowych restauracji, w których bywał. Jego wyobrażenie o Tenderloin było przestarzałe i romantyczne: 1920 rok, podziemne salony gry, zawody bokserskie, nielegalne bary i burdele, występne życie. Pamiętał, że tu rozgrywała się akcja jednej z powieści Dashiella Hammetta, chyba *Sokoła maltańskiego*. Nie wiedział, że po wojnie w Wietnamie dzielnica wypełniła się uchodźcami z Azji ze względu na niski czynsz i bliskość Chinatown ani że w mieszkaniach zbudowanych z myślą o jednym lokatorze mieszkało nawet po dziesięć osób. Na widok żebraków leżących na ziemi w śpiworach obok wózków sklepowych wypełnionych jakimiś pakunkami, mężczyzn o dziwnej aparycji czatujących na rogach i rozczochranych bezzębnych kobiet mówiących do siebie uznał, że lepiej nie zostawiać auta na ulicy, i poszukał płatnego parkingu.

Znalezienie domu Danny’ego nie było łatwe, bo numery zamazały deszcze i czas, a nie miał odwagi zapytać o adres. Wreszcie trafił na miejsce – budynek okazał się brudniejszy i nędzniejszy, niż go sobie wyobrażał. Droga do mieszkania Danny’ego wydała mu się niebezpieczna. W czasie wspinaczki na piąte piętro spotykał pijaków, włóczęgów i typy o wyglądzie przestępców, którzy stali na progach swoich nor albo łazili po korytarzach. Pomyślał ze strachem, że go zaatakują albo że nabawi się wszy. Mijał ich pospiesznie, nie patrząc żadnemu w twarz, przewyciężając odruch, by zatkać sobie nos, świadom tego, jak absurdalnie muszą wyglądać w tym otoczeniu jego włoskie zamszowe buty i angielska marynarka z gabardyny. Kiedy dotarł do drzwi, smród sprawił, że stanął jak wryty.

W świetle zwisającej z sufitu samotnej żarówki zobaczył Indianę pochyloną nad łóżkiem i myjącą twarz kelnera mokrą szmatką. „Musimy zabrać go do szpitala, Alanie. Trzeba włożyć mu koszulę i spodnie”, nakazała. Usta Kellera wypełniła ślina i zebrało mu się na wymioty, ale nie mógł w takiej chwili wymienić jak tchórz. Starając się nie pobrudzić, pomógł Indianie

umyć i ubrać mającego mężczyznę. Danny był chudy, ale w obecnym stanie wydawał się ciężki jak martwy baran. Podnieśli go we dwójkę i przetransportowali na parter, częściowo w powietrzu, częściowo ciągnąc po podłodze, długim korytarzem i po schodach, stopień po stopniu, czując na sobie kpiące spojrzenia lokatorów, których spotkali po drodze. Posadzili Danny'ego na chodniku przed drzwiami budynku obok kontenerów na śmieci. Indiana została przy nim, podczas gdy Alan pobiegł po samochód zaparkowany kilka przecznic dalej. Kiedy chory zwymiotował strumieniem żółci na fotel jego złotego lexusa, Keller pomyślał, że mogli zadzwonić po karetkę, ale takie wyjście nie przyszło do głowy Indianie, bo musieliby zapłacić tysiąc dolarów, jako że Danny nie miał ubezpieczenia.

D'Angelo leżał w szpitalu przez tydzień, dopóki lekarze nie zapanowali nad zapaleniem płuc, infekcją jelit i ciśnieniem, a kolejny spędził w domu ojca Indiany, który niechętnie wziął na siebie rolę pielęgniarza. W końcu rekonwalescent sam mógł się sobą zająć i wrócić do swojej nory i pracy. Choć Blake Jackson znał wtedy Danny'ego jeszcze bardzo słabo, zgodził się odebrać go ze szpitala, bo poprosiła o to córka. Z tego samego powodu przyjął go pod swój dach i otoczył opieką.

Pierwsze, co zafascynowało Alana Kellera w Indianie Jackson, to był jej wygląd dorodnej syreny, potem zakochał się w jej optymistycznym usposobieniu. Podobała mu się, bo stanowiła przeciwieństwo chudych, udęczonych kobiet, z którymi zazwyczaj obcował. Nigdy by nie powiedział, że jest zakochany, to byłoby zbyt banalne, nie czuł potrzeby, żeby nadawać temu uczuciu jakąkolwiek nazwę. Wystarczało mu, że przyjemnie spędzają czas, zawsze we wcześniej uzgodniony sposób, bez żadnych niespodzianek. W trakcie cotygodniowych sesji ze swoim psychiatrą, pochodzącym z Nowego Jorku Żydem praktykującym buddyzm zen, jak prawie wszyscy psychiatrzy w Kalifornii, Keller odkrył, że bardzo ją kocha, a to dużo znaczyło, bo chełpił się tym, że jest wolny od namiętności, które cenił tylko w operze, gdzie takie porywy zmieniały losy tenora i sopranistki. Uroda Indiany sprawiała mu przyjemność estetyczną, trwalszą niż pożądanie cielesne, jej świeżość wzruszała go, a podziw, jaki mu okazywała, stał się jak narkotyk, bez którego trudno było mu się obejść. Miał jednak świadomość dzielącej ich przepaści: ona należała do niższej klasy. Jej dorodne ciało i nieskrywana zmysłowość, które dawały mu prywatnie taką rozkosz, przy ludziach wywoływały na jego twarzy rumieniec wstydu. Indiana lubiła jeść, moczyła chleb w sosie, oblizywała palce i zamawiała drugi deser, ku zdumieniu Kellera, przyzwyczajonego do kobiet z jego klasy, dla których anoreksja była cnotą, a śmierć czymś lepszym od straszliwego nieszczęścia w postaci nadwagi. Bogatym widać gnaty. Indianie daleko było do otyłości, ale przyjaciele Kellera nie doceniliby jej poruszającej urody hożej mleczarki ani jej prostoty graniczącej niekiedy z wulgarnością. Dlatego starał się nie chodzić z nią w miejsca, gdzie mogli spotkać jego znajomych, a jeśli już to robił (dość rzadko, na przykład kiedy zabierał ją na koncert albo do teatru), kupował jej odpowiedni strój i prosił, by upięła włosy w kok. Indiana akceptowała to wszystko z żartobliwym nastawieniem kogoś, kto wkłada jakieś przebranie, ale elegancka czarna suknia szybko zaczynała uciskać jej ciało i psuć nastrój.

Jednym z najbardziej trafionych prezentów Kellera było opłacenie zmienianej raz w tygodniu aranżacji kwiatowej w jej gabinecie, eleganckiej ikebany z kwiaciarni w Japantown,

przynoszonej punktualnie do Kliniki Holistycznej przez pewnego uczulonego na pyłki młodzieńca w białych rękawiczkach i chirurgicznej maseczce na twarzy. Innym wytwornym prezentem był złoty łańcuszek z jabłuszkiem pokrytym malutkimi diamentkami, mający zastąpić psią obrozę, którą zwykle nosiła. Każdego poniedziałku Indiana czekała niecierpliwie na nową ikebanę. Lubiła widok prostej kombinacji skręconej łądygi, dwóch liści i samotnego kwiatu, za to jabłuszko założyła tylko kilka razy, żeby zrobić przyjemność Kellerowi, a potem schowała je do aksamitnego etui i wrzuciła głęboko na dno szuflady, bo na rozległej powierzchni jej dekoltu wyglądało jak zabłąkany robaczek. Poza tym oglądała kiedyś film dokumentalny o krwawych diamentach ze strasznych kopalni w Afryce. Na początku Keller próbował wymienić całą jej garderobę, narzucić jej jakiś znośny styl i nauczyć ją dobrych manier, ale Indiana stanęła okoniem, wysuwając trudny do odparcia argument: zmiana po to, by zaspokoić mężczyznę, wymaga zbyt wiele wysiłku, bardziej praktyczne byłoby znalezienie kobiety odpowiadającej jego gustom.

Ze swoją wszechstronną kulturą i wyglądem angielskiego arystokraty Alan Keller był w towarzystwie kartą atutową, zdaniem swoich przyjaciółek najbardziej pożądanym kawalerem w San Francisco, bo uważano go nie tylko za czarującego, ale także za bogatego. Wielkość jego majątku była tajemnicą; żyło mu się bardzo dobrze, choć bez ekscesów, rzadko przyjmował gości, latami chodził w tych samych znoszonych ubraniach, żadnego nadążania za modą czy kupowania odzieży z marką projektanta na wierzchu, jak zwykli czynić nowobogaccy. Pieniądze go nudziły, bo miał je zawsze, miejsce w towarzystwie zajmował siłą bezwładu, zawdzięczał je wsparciu rodziny. I nie musiał się martwić o przyszłość. Nie miał w sobie nic z prostactwa swojego dziadka przedsiębiorcy, który dorobił się fortuny w czasach prohibicji, nic z moralnej elastyczności ojca, który powiększył majątek dzięki ciemnym interesom w Azji, ani z wizjonerskiej zachłanności spekulującego na giełdzie rodzeństwa.

Alan Keller siedział w apartamencie hotelu Fairmont, gdzie w oknach wisały satynowe zasłony w kolorze kawy z mlekiem, wyposażenie stanowiły klasyczne meble na toczonych nogach i kryształowe lampy, a ściany ozdabiały wyszukane francuskie ryciny, i wspominał nieprzyjemny epizod z Dannym D'Angelo, kolejny raz utwierdzając się w przekonaniu, że nie byłby w stanie mieszkać z Indianą. Nie tolerował ludzi o rozwiązłym charakterze, takich jak D'Angelo, nie tolerował brzydoty i biedy, a także bezkrytycznej dobroci Indiany, która widziana z daleka wydawała się cnotą, ale dla kogoś, komu przyszło mieć z nią bliżej do czynienia, była nieznośna. Siedział w fotelu z kieliszkiem białego *sauvignon blanc* produkowanego w jego winnicy tylko dla niego, jego przyjaciół i trzech drogich restauracji w San Francisco, i czekał, aż przyniosą jedzenie, podczas gdy Indiana moczyła się w jacuzzi.

Ze swojego miejsca widział ją nagą w wodzie, z nieposkromioną burzą jasnych loków spiętych ołówkiem w kok na czubku głowy i kilkoma kosmykami okalającymi twarz, z zaczerwienioną skórą, zarumienionymi policzkami, oczami błyszczącymi z zadowolenia i wyrazem twarzy zachwyconej dziewczynki na karuzeli. Kiedy umawiali się w hotelu, zaczynała od kąpieli w jacuzzi, które jej zdaniem stanowiło szczyt dekadencji i luksusu. Nie towarzyszył jej, bo wysoka temperatura podnosiła mu ciśnienie – musiał się pilnować, by nie

dostać zawału. Wolał patrzeć na nią z wygodnego fotela. Indiana opowiadała coś o Dannym D'Angelo i jakiejś Carol, kobiecie chorej na raka, która pojawiła się wśród jej dziwacznych znajomych, ale hałas wirującej wody nie pozwalał mu usłyszeć, co mówi. Ten temat kompletnie go nie interesował, chciał tylko podziwiać jej odbicie w wiszącym za wanną lustrze o ściętych krawędziach. Już teraz wyobrażał sobie moment, kiedy przyniosą ostrygi i łososia, on otworzy drugą butelkę *sauvignon blanc*, a ona wyjdzie z wody niczym Wenus z morskiej piany. Wtedy okryje ją ręcznikiem, otoczy ramionami i będzie całował tę młodą, wilgotną, rozgrzaną skórę. Potem zaczynają miłosną grę, powolny, znajomy taniec, zapowiedź rozkoszy. Zdaniem Kellera była to najlepsza rzecz w życiu.

Sobota, 7

Ripperowcy, łącznie z mistrzynią gry i Kabelem, który był tylko posłusznym pachołkiem wykonującym rozkazy swojej pani, bez prawa głosu w grze, uzgodnili, że o określonej godzinie z regulaminowymi kostkami i kartami pod ręką zasiądą przed swoimi monitorami i połączą się przez Skype'a. U Amandy i Kabela w San Francisco i u Sherlocka Holmesa w Reno była ósma wieczorem, u sir Edmonda Paddingtona w New Jersey i u Abathy w Montrealu jedenasta w nocy, u Esmeraldy, który żył w przyszłości, w Nowej Zelandii, piąta po południu następnego dnia. Początkowo spotykali się na prywatnym czacie, ale kiedy zaczęli analizować zbrodnie proponowane przez Amandę Martín, wybierali wideokonferencję. Byli tak przyzwyczajeni do swoich postaci, że rozpoczęcie gry poprzedzała zazwyczaj chwila ciszy spowodowana zdumieniem, które wywoływał widok ich twarzy. Trudno było rozpoznać w kalece siedzącym w wózku inwalidzkim pełną werwy Cyganek Esmeraldę, w czarnoskórym chłopcu w czapce bejsbolowej słynnego detektywa Conan Doyle'a, w wychudzonym pryszczatym nastolatku cierpiącym na lęk przestrzeni, zamkniętym w swoim pokoju, pułkownika byłych angielskich kolonii. Tylko anorektyczka z Montrealu, sucha jak szkielet, będąca bardziej duchem niż materią, pasowała do roli medium imieniem Abatha. Dzieciaki przywitały się po kolei z mistrzynią gry i przekazały jej swoje wątpliwości dotyczące poprzedniej sesji, na której jedynie zasygnalizowała przypadek Eda Statona.

– Zanim zaczniemy mówić o Constante'ach, zobaczmy, co mamy nowego w sprawie „zbrodni z kijem bejsbolowym w niestosownym miejscu” – zaproponowała Amanda. – Mój tata twierdzi, że Ed Staton się nie bronił, nie ma śladów walki ani siniaków na ciele.

– To może oznaczać, że znał zabójcę – powiedział Sherlock Holmes.

– Ale nie tłumaczy, dlaczego Staton klęczał albo siedział, kiedy strzelono mu w głowę.

– Skąd to wiadomo? – zapytał Esmeralda.

– Wskazuje na to kąt, pod jakim weszła kula. Strzelano z bardzo bliskiej odległości, około czterdziestu centymetrów. Kula została w czaszce, nie ma otworu wylotowego. Użyto pistoletu półautomatycznego, dziewięć milimetrów.

– Popularny, niewielki, łatwy do ukrycia w kieszeni albo w damskiej torebce. To nie jest poważna broń. Doświadczony przestępca użyłby czegoś bardziej śmiertelniejszego – wtrącił pułkownik Paddington.

– Może i tak, ale wystarczył do zlikwidowania Statona. Potem morderca przewiesił zwłoki przez kozioł i... wiemy, co zrobił z kijem bejsbolowym.

– Nie jest łatwo zdjąć komuś spodnie i wciągnąć ciało na kozioł. Staton był wysoki i ciężki. Dlaczego zabójca to zrobił? – zapytał Esmeralda.

– Wiadomość, szyfr, ostrzeżenie – szepnęła Abatha.

– Kij bejsbolowy jest popularną bronią. Statystyki wskazują, że używa się go często podczas domowych awantur – zauważył pułkownik Paddington ze swoim aroganckim angielskim akcentem.

– Dlaczego morderca zabrał ze sobą kij, zamiast użyć jednego z tych, które trzymają w szkole? – nalegał Esmeralda.

– Nie wiedział, że są w sali gimnastycznej, i przyniósł ten, który miał w domu – zasugerowała Abatha.

– To wskazywałoby na powiązanie mordercy z Arkansas, chyba że chodzi o jakiś specjalny kij – wtrącił Sherlock.

– Proszę o głos – odezwał się Kabel.

– Zgoda – powiedziała mistrzyni gry.

– To był zwyczajny kij z aluminium, o długości trzydziestu dwóch cali, z tych, których używają uczniowie szkół średnich między czternastym i szesnastym rokiem życia. Lekki, mocny, trwałe.

– Tajemnica kija bejsbolowego... – mruknęła Abatha. – Przeczuwam, że morderca wybrał go z pobudek sentymentalnych.

– Ha! A więc nasz człowiek jest sentymentalny! – zażartował sir Edmond Paddington.

– Nikt nie pakuje drugiemu kija w tyłek z powodów sentymentalnych – powiedział Sherlock Holmes, który jako jedyny unikał eufemizmów.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – zapytał Esmeralda.

– Zależy jak silny to sentyment – wtrąciła Abatha.

Przez następnych piętnaście minut dyskutowali o różnych możliwościach, aż wreszcie mistrzyni gry uznała, że poświęcili wystarczająco dużo czasu Edowi Statonowi i że powinni zająć się „podwójną zbrodnią z palnikiem”, jak ochrzciła zabójstwo Constante’ów, popełnione dziesiątego listopada ubiegłego roku. Kazała pachółkowi przedstawić fakty. Kabel odczytał im swoje notatki, dodając, jak przystało na dobrego kandydata na pisarza, ozdobniki niezbędne do ubarwienia opowieści.

Tak wyglądał początek ich gry. Wszyscy byli zgodni co do tego, że taki zmodyfikowany *Ripper* jest o wiele ciekawszy od oryginału. Uznali, że nie mogą podlegać ograniczeniom narzucanym przez kości czy karty, od których kiedyś zależały ich ruchy. W rozwiązywaniu spraw postanowili trzymać się po prostu zasad logiki. Wyjątkiem była Abatha, której pozwolono wykorzystywać zdolności parapsychiczne. Trójka graczy miała się zająć analizą morderstw, Abatha szukać pomocy u duchów, Kabel zbierać dane, a Amanda koordynować całość i planować kolejne posunięcia.

W odróżnieniu od swojej wnuczki, która patrzyła na Alana Kellera niezbyt przychylnym okiem, Blake Jackson darzył go szacunkiem i miał nadzieję, że jego przygoda miłosna z Indianą zakończy się małżeństwem. Uważał, że córce dobrze by zrobiło trochę stabilizacji; potrzebowała rozsądnego mężczyzny, który by o nią dbał i ją chronił, innymi słowy, drugiego ojca, bo on nie będzie żył wiecznie. Keller był od niego tylko o dziewięć lat młodszy i na pewno miał swoje dziwactwa, które uwydatniały się z wiekiem, jak u każdego, ale w porównaniu z wcześniejszymi partnerami Indiany mógł uchodzić za księcia z bajki. Przed

wszystkim jako jedyny potrafił swobodnie rozmawiać o książkach czy na inny dowolny temat z dziedziny kultury. Wszyscy jego poprzednicy, poczynając od Boba Martina, przypominali atletów: mięśnie byka i mózgi tego samego zwierzęcia. Jego córka w zasadzie nie podobała się intelektualistom, należało więc dziękować niebiosom za to, że w porę zesłały jej Kellera.

Jako dziecko Amanda pytała Blake'a o rodziców, bo była zbyt bystra, żeby uwierzyć w ckliwą wersję swojej babci Encarnación. Dziewczynka miała trzy lata, kiedy Indiana i Bob się rozstali, nie pamiętała czasów, gdy mieszkała z nimi pod jednym dachem, i pomimo elokwencji doñii Encarnación trudno jej było wyobrazić ich sobie razem. Babcia, katoliczka codziennie odmawiająca różaniec, od piętnastu lat cierpiała z powodu rozvodu swojego syna i regularnie odwiedzała sanktuarium świętego Judy Tadeusza, patrona spraw beznadziejnych, gdzie zapalała świece w intencji ich pojednania.

Blake kochał Boba Martina jak syna, którego nigdy nie miał. Nie potrafił się oprzeć temu uczuciu, były więc wzruszał go swoimi spontanicznymi odruchami czułości, oddaniem bez reszty Amandzie i lojalną przyjaźnią z Indianą, jednak wcale nie pragnął, by święty Juda Tadeusz dokonał cudu pojednania. Tę parę łączyła tylko córka. Kiedy byli osobno, zachowywali się jak przykładne rodzeństwo; gdyby razem mieszkali, dochodziłoby do rękoczynów. Poznali się w szkole średniej, ona miała piętnaście lat, on dwadzieścia. Bob dawno już osiągnął wiek, w którym dostaje się dyplom, każdego innego ucznia wyrzucono by po skończeniu osiemnastki, ale on pełnił funkcję kapitana szkolnej drużyny futbolu amerykańskiego. Był pupilkiem trenera i zmorą nauczycieli, którzy znosili go tylko dlatego, że szkoła nie miała lepszego sportowca od czasu jej założenia w 1956 roku. Przystojny i zarozumiały Bob Martín budził gwałtowne uczucia w dziewczynkach, które nękały go namiętnymi propozycjami i groźbami samobójstwa, oraz mieszaninę strachu i podziwu w chłopcach, którzy chwalili go za jego wyczyny i niewybredne dowcipy, ale zachowywali rozsądny dystans, bo wystarczyła zmiana humoru i Bob mógł każdego z nich rozłożyć jednym prztyczkiem. Indiana dorównywała popularnością kapitanowi drużyny futbolowej. Miała twarz anioła, ciało dojrzałej kobiety i nieodparty urok, który brał się stąd, że szła przez życie z sercem na dłoni. Ona była ucieleśnieniem niewinności, jego uważano za demona. Wydawało się nieuniknione, że połączy ich miłość, ale jeśli ktoś myślał, że dziewczyna wywrze na niego pozytywny wpływ, doznał zawodu, bo stało się na odwrót: Bob nadal był tym samym barbarzyńcą co zawsze, a ona zatraciła się w miłości, alkoholu i marihuanie.

Po jakimś czasie Blake Jackson zauważył, że córka nie mieści się w ubraniach i popłakuje po kątach. Poddał ją bezlitosnemu przesłuchaniu, aż w końcu wyznała, że nie ma okresu od trzech czy czterech miesięcy, może nawet pięciu, nie wiedziała tego na pewno, bo jej cykle były nieregularne i nigdy ich nie zapisywała. Zrozpaczony Jackson złapał się za głowę. Jedynym usprawiedliwieniem faktu, że nie zauważył u Indiany ewidentnych objawów ciąży i nie reagował, kiedy wracała do domu, krocząc chwiejnie pod wpływem alkoholu albo płynąc w oparach marihuany, była ciężka choroba jego żony Marianne, która bez reszty go pochłoneła. Wziął córkę pod ramię i zaciągnął najpierw do ginekologa, który potwierdził ciążę zbyt zaawansowaną, by można było myśleć o aborcji, potem do dyrektora szkoły, a w końcu na konfrontację z uwodzicielem.

Dom Martinów, w dzielnicy La Misi6n, zaskoczył Blake'a Jacksona, oczekiwał bowiem czegoś znacznie skromniejszego. C6rka zdążyła mu powiedzieć, że matka Boba zajmuje się wyrabianiem tortilli, przygotował się więc na to, że będzie musiał stawić czoło rodzinie imigrantów o niewielkich dochodach. Bob ulotnił się bez śladu na wieść o tym, że Indiana przyjdzie z ojcem, i to matka musiała świecić za niego oczami. Blake stanął przed piękną, dojrzałą kobietą. Była ubrana cała na czarno, paznokcie i usta miała w kolorze płomiennej czerwieni. Przedstawiła się jako Encarnaci6n, po mężu Mart6n, wdowa. W srodku dom wyglądał przytulnie: masywne meble, wytarte dywany, zabawki porozrzucane na podłozdzie, fotografie rodzinne, p6łka z trofeami sportowymi, a na kanapie pokrytej zielonym pluszem rozwalone dwa tłuście koty. Na krześle prezydialnym, z wysokim oparciem i nogami w postaci lwich łap, siedziała babka Boba, wyprostowana jakby połknęła kij, cała w czerni, podobnie jak c6rka. Jej siwe w6łsy były spięte w kok tak ściśle, że z przodu wyglądała na łysą. Zmierzyła ich wzrokiem od st6p do g6ł6w, nie odpowiadając na s6łowa powitania.

– Jest mi przykro z powodu tego, co zrobił m6j syn, panie Jackson. Ponios6lam porażkę jako matka, nie uda6o mi się wpoić Bobowi poczucia odpowiedzialnořci. Na co komu te wszystkie trofea, jeśli nie jesteś przyzwoitym cz6łowiekiem? – zapyta6ła retorycznie wdowa, wskazujac na p6lkę z pi6łkarskimi pucharami.

Ojciec przyjął filiżankę czarnobrazowej kawy, którą przynios6ła z kuchni służaca, i usiadł na kanapie pokrytej kocia sierścią. Jego c6rka sta6ła zawstydzona, czerwona na twarzy, obciągajac obydwoma rękami bluzę, żeby zakryć brzuch. Doña Encarnaci6n przystapi6ła do syntetycznej prezentacji historii rodziny. „Moja obecna tu matka, niech B6g nad nią czuwa, pracowa6ła w Meksyku jako nauczycielka, a m6j ojciec, niech B6g mu wybaczy, był lekkoduchem i zostawił ją wkr6tce po ślubie, żeby spr6bować szczęscia w Stanach Zjednoczonych. Dosta6ła od niego zaledwie kilka list6w, potem mija6ły miesi6ce bez żadnych wieści, a w tym czasie urodzi6lam się ja, Encarnaci6n, do us6lug. Matka sprzeda6ła swój niewielki dobytek i ruszy6ła w ślad za ojcem, ze mną na rękach. Przejecha6ła Kalifornię, zatrzymujac się w domach rodzin meksykańskich, które okaza6ły nam litość, aż w ko6ncu dotar6ła do San Francisco, gdzie dowiedzi6ła się, że jej mąż siedzi w więzieniu za zabicie jakiegoś męzczyzny podczas b6jki. Odwiedzi6ła go, poprosi6ła, żeby dbał o siebie, po czym zakasa6ła rękawy i wzię6ła się do pracy. Jako nauczycielka nie miała tu przysz6łości, ale potrafi6ła gotować”.

Jackson pomys6ł, że siedzaca w majestatycznym fotelu babcia nie rozumie angielskiego, zw6łaszcza że c6rka mówi6ła o niej, jakby juź nie ży6ła, tonem, jakim opowiada się legendy. Doña Encarnaci6n tłumaczy6ła dalej, jak dorasta6ła uczepiona sp6dnicy matki i od dziecka pracowa6ła. Piętnaście lat p6źniej ojciec, który odsiedzi6ł wyrok, wyszedł z więzienia, przedwcześnie postarza6ły, chory, pokryty tatuazami. Zgodnie z prawem zosta6ł deportowany, ale jego żona nie pojecha6ła z nim do Meksyku, bo do tego czasu jej mi6łość usch6ła, a ona sama była juź w6lascicielką budki w latynoskiej dzielnicy La Misi6n, gdzie sprzedawa6ła cieszac się powodzeniem *tacos* i inne popularne potrawy. Nied6ługo potem dziewczyna pozna6ła Josego Manuela Martina (Meksykanina z drugiego pokolenia imigrant6w), który miał g6ł6s jak s6łownik, zesp6ł *mariachis* i ameryka6nskie obywatelstwo. Ozeni6ł się z nią i zosta6ł wsp6lnikiem teściowej w jej gastronomicznym interesie. Zanim zmarł niespodziewanie, Martinowie mieli

już piątkę dzieci, trzy restauracje i fabrykę tortilli.

– Śmierć dopadła Josego Manuela, Panie przyjmij go do swojego królestwa, kiedy śpiewał *rancheras* – zakończyła wdowa i dodała, że interesem Martinów zarządzają teraz jej córki, a obaj synowie pracują w swoich zawodach, wszyscy są dobrymi chrześcijanami, oddanymi rodzinie. Bob, najmłodszy syn, jako jedyny sprawiał jej problemy, bo miał zaledwie dwa lata, kiedy owdowiała, i chłopcu zabrakło silnej ręki ojca.

– Pani wybaczy – westchnął Blake Jackson. – Tak naprawdę nie wiem, po co przyszliśmy, bo nic się już nie da zrobić, ciąża mojej córki jest bardzo zaawansowana.

– Jak to nic się nie da zrobić, panie Jackson? Bob musi wziąć na siebie odpowiedzialność! W naszej rodzinie nikt nie sieje bękartów. Proszę mi wybaczyć to słowo, ale nie ma innego, a lepiej, żeby nie było niedomówień. Bob będzie się musiał ożenić.

– Ożenić? Przecież moja córka ma piętnaście lat! – zawołał Jackson, stając na równe nogi.

– W marcu skończę szesnaście – podpowiedziała szeptem Indiana.

– Ty siedź cicho! – krzyknął ojciec, który nigdy dotąd nie podniósł na nią głosu.

– Moja matka ma sześcioro prawnuków, które są również moimi wnukami – powiedziała wdowa. – Obie pomagałyśmy w ich wychowaniu i to samo zrobimy, z bożą pomocą, dla dziecka, które jest w drodze.

W czasie przerwy, jaka nastąpiła po tym oświadczeniu, prababka podniosła się z tronu, podeszła do Indiany zdecydowanym krokiem, przyjrzała się jej z surowym wyrazem twarzy i zapytała dobrą angielszczyzną:

– Jak się nazywasz, dziecko?

– Indi. Indiana Jackson.

– To imię nic mi nie mówi. Czy jest jakaś święta Indiana?

– Nie wiem. Nazwali mnie tak, bo moja mama urodziła się w stanie Indiana.

– O! – zawołała kobieta, wyraźnie zaskoczona. Podeszła bliżej i ostrożnie obmacała jej brzuch. – W środku nosisz dziewczynkę. Daj jej jakieś katolickie imię.

Następnego dnia Bob zjawił się w starym domu Jacksonów w Potrero Hill, ubrany w ciemny garnitur, pogrzebowy krawat i z bukietem więdnących kwiatów, w towarzystwie matki i jednego z braci, który prowadził go pod ramię jak strażnik więzienny aresztanta. Indiana nie wyszła do nich, bo przepłakała całą noc i była w żalonym stanie. Blake Jackson pogodził się już z myślą o małżeństwie, nie zdołał przekonać córki, że istnieją mniej ostateczne rozwiązania. Użył wszystkich argumentów wysuwanych zwykle w takich sytuacjach, nie zastosował jednak nikczemnego środka, jakim byłaby groźba, że pošle Boba Martina do więzienia za gwałt na nieletniej. Pobrali się po cichu w Urzędzie Stanu Cywilnego, obiecawszy uprzednio doñii Encarnación, że wezmą ślub kościelny, kiedy tylko Indiana – wychowana przez rodziców agnostyków – zostanie ochrzczona.

Cztery miesiące później, 30 maja 1994 roku, urodziła się dziewczynka, tak jak przewidziała to babcia Boba. Po kilku godzinach tytanicznego wysiłku z wnętrza matki wyłoniło się dziecko, które trafiło w ręce Blake'a Jacksona. To on przeciął pępowinę

nożyczkami otrzymanymi od lekarza dyżurnego, potem zaniósł wnuczkę owiniętą w różowy kocyk, w czapeczce wciśniętej aż po brwi, żeby pokazać ją Martinom, a także kolegom szkolnym, którzy stawili się bardzo licznie z pluszakami i balonikami. Doña Encarnación rozplakała się jak na pogrzebie: to była jej jedyna wnuczka, pozostała szóstka nie bardzo się liczyła, bo wszyscy byli płci męskiej. Przygotowywała się na tę chwilę miesiącami, miała kołyskę obramowaną wykrochmalonymi falbanami, dwie walizki eleganckich ubranek i kolczyki z perłami, które zamierzała zawiesić w uszach dziewczynki, korzystając z nieuwagi Indiany. Bracia godzinami szukali Boba, chcieli, żeby towarzyszył żonie przy narodzinach córki, ale była niedziela i świeżo upieczony ojciec świętował zwycięstwo ze swoją drużyną futbolową, dlatego znaleźli go dopiero o świcie.

Kiedy tylko Indiana opuściła porodówkę i była już w stanie usiąść na wózku, ojciec zawiózł ją z noworodkiem na czwarte piętro, gdzie dogorywała druga babcia dziewczynki.

– Jak będzie miała na imię? – zapytała Marianne niemal niesłyszalnym głosem.

– Amanda. Znaczący „godna miłości”.

– Bardzo ładnie. W jakim języku?

– W sanskrycie, ale Martinowie myślą, że to katolickie imię – wyjaśniła jej córka, która od dziecka marzyła o Indiach.

Zanim umarła, Marianne zaledwie kilka razy widziała wnuczkę. Ciężko wzdychając, dała Indianie ostatnią radę. „Będziesz potrzebowała dużo wsparcia, Indi, żeby wychować małą. Możesz liczyć na tatę i na Martinów, ale nie pozwól, żeby Bob umywał ręce. Amanda potrzebuje ojca, a Bob jest dobrym chłopcem, musi tylko dojrzeć”. Miała rację.

Niedziela, 8

Całe szczęście, że istnieje internet, pomyślała Amanda Martín, szykując się na imprezę, bo gdyby musiała zapytać o *rave* dziewczyn ze szkoły, wyszłaby na idiotkę. Słyszała o szalonych potajemnych spotkaniach młodzieży, ale nie była w stanie ich sobie wyobrazić, dopóki nie sprawdziła w internecie, gdzie znalazła nawet, w co powinna się ubrać. Miała potrzebne rzeczy wśród swoich ciuchów, musiała tylko odpruć rękawy T-shirta, skrócić spódnicę nieregularnymi cięciami nożyczek i kupić tubkę fosforyzującej farby. Pomyślała, żeby poprosić ojca o pozwolenie, był tak nedorzeczny, że nawet nie przyszedł jej do głowy, nigdy by na to nie przystał, a gdyby się dowiedział, przyjechałby z oddziałem policji, żeby zepsuć całą zabawę. Powiedziała mu, że nie musi jej odwozić, że pojedzie do szkoły z przyjaciółką, a on nie zwrócił uwagi na to, że wraca do internatu w karnawałowym stroju, bo dziwaczny wygląd był u jego córki czymś normalnym.

Amanda wsiadła do taksówki, która o szóstej po południu zostawiła ją na Union Square. Była przygotowana na długie czekanie. O tej godzinie powinna już siedzieć w internacie, ale zadbała o to, by zawiadomić, że przyjedzie w poniedziałek rano, dzięki czemu nikt nie będzie dzwonił do jej rodziców. Zostawiła skrzypce w sypialni, ale nie zdołała pozbyć się ciężkiego plecaka. Przez piętnaście minut obserwowała główną w tym momencie atrakcję na placu: młodziana wymalowanego na złoty kolor, od butów aż po czubek głowy, nieruchomego jak posąg, z którym turyści pozowali do zdjęć. Potem pokreśliła się po domu towarowym Macy's, gdzie weszła do toalety i farbą namalowała sobie paski na rękach. Na zewnątrz panował już mrok. Dla zabicia czasu wstąpiła do maleńkiego baru z chińszczyzną, a o dziewiątej wróciła na plac, gdzie nie było już prawie ludzi, tylko kilku spóźnionych turystów i sezonowych żebraków, którzy przyjeżdżali z chłodniejszych regionów, by spędzić zimę w Kalifornii, i teraz układali się do snu w swoich śpiworach.

Usiadła pod latarnią, otulona w kardigan dziadka, i zaczęła grać w szachy na komórce, bo to działało na nią uspokajająco. Co pięć minut z niepokojem sprawdzała godzinę, zadając sobie pytanie, czy przyjadą po nią, jak obiecała Cynthia, koleżanka z klasy, która dręczyła ją przez ponad trzy lata, po czym nagle, bez słowa wyjaśnienia, zaprosiła na imprezę i zaproponowała nawet, że podwiezie ją do Tiburon, czterdzieści minut drogi od San Francisco. Nie dowierzając własnym uszom, Amanda natychmiast wyraziła zgodę, bo pierwszy raz otrzymała takie zaproszenie.

Pomyślała, że czułaby się pewniej, gdyby był z nią Bradley, przyjaciel z dzieciństwa i przyszły mąż. Rozmawiała z nim kilkakrotnie w ciągu dnia, nie wspominając o swoich planach z obawy, że będzie próbował jej to wyperswadować. Bradleyowi, tak samo jak ojcu, lepiej opowiadać o wszystkim już po fakcie. Tęskniła za chłopcem, jakim Bradley był kiedyś, miłszym i bardziej zabawnym w porównaniu z pedantem, w którego się zmienił, kiedy zaczął golić brodę. Jako dzieci bawili się w małżeństwo i wykorzystywali wymyślne preteksty, żeby zaspokoić swoją nienasyconą ciekawość, ale gdy tylko Bradley wszedł w wiek młodzieńczy, kilka lat wcześniej niż ona, ta wspaniała przyjaźń przybrała zły obrót. W szkole średniej chłopak wyróżniał się jako mistrz pływacki, otaczały go dziewczyny o bardziej interesujących

kształtach, zaczął więc traktować Amandę jak młodszą siostrę. Ona miała jednak dobrą pamięć, nie zapomniała potajemnych zabaw w głębi ogrodu i liczyła na to, że we wrześniu, kiedy zacznie studiować w MIT, będzie mogła Bradleyowi o nich przypomnieć. Postanowiła nie niepokoić go na razie takimi drobiazgami jak ta impreza.

W lodówce matki często znajdowała magiczne cukierki i ciasteczka, podarunki od malarza Matheusa Pereiry, o których Indiana zapominała. Leżały tam miesiącami, aż w końcu pokrywały się zielonymi włoskami i lądowały w koszu na śmieci. Amanda spróbowała ich kiedyś, żeby nie odstawać od swojego pokolenia, ale nie znalazła niczego zabawnego w tym, że w głowie miała pustkę – stracone godziny, które można było lepiej wykorzystać, na przykład grając w *Ripper*. Jednak tego niedzielnego wieczoru, zwinięta w kłębek w znoszonym kardiganie dziadka pod latarnią na placu, pomyślała z nostalgią o ciasteczkach Pereiry, które pomogłyby jej zapanować nad uczuciem paniki.

O wpół do jedenastej była bliska płaczu, przekonana, że Cynthia oszukała ją przez zwykłą złośliwość. Kiedy rozejdzie się plotka o jej upokarzającym czekaniu, zostanie pośmiewiskiem całej szkoły. Nie będę płakać, nie będę płakać. Kiedy sięgała po komórkę, żeby zadzwonić do dziadka i poprosić, aby po nią przyjechał, na rogu ulic Geary’ego i Powella stanęła jakaś furgonetka, ktoś wychylił się przez okno i zaczął dawać jej znaki.

Amanda podbiegła z mocno bijącym sercem. W środku siedziało trzech chłopaków spowitych chmurą dymu, pobudzonych jak byki na arenie, łącznie z tym, który prowadził. Jeden z nich zwolnił miejsce z przodu i pokazał jej, żeby usiadła przy kierowcy, młodzieńcu o czarnych włosach, bardzo przystojnym w swojej gotyckiej stylizacji. „Cześć, jestem Clive, brat Cynthii”, powiedział i wcisnął do końca pedał gazu, zanim jeszcze zdążyła zamknąć drzwi. Amanda przypomniała sobie, że Cynthia przedstawiła go jej na koncercie bożonarodzeniowym, który szkolna orkiestra zagrała dla rodzin uczennic. Clive przyszedł z rodzicami, w niebieskim garniturze, białej koszuli i wyglansowanych butach; bardzo różnił się wyglądem od siedzącego obok niej szaleńca z fioletowymi podkówkami pod oczami i trupio bladą twarzą. Po koncercie Clive w przesadnie oficjalny, żartobliwy sposób pogratulował jej solówki na skrzypcach. „Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy”, powiedział, puszczając do niej oko przy pożegnaniu, a ona pomyślała, że musiała się przesłyszeć, bo o ile jej wiadomo, do tej pory żaden chłopak nie spojrzał na nią dwa razy. Doszła do wniosku, że to jemu zawdzięcza dziwne zaproszenie od Cynthii. Upiorny wygląd Clive’a i to, że prowadził samochód jak nieprzytomny, budziły w niej niepokój, ale przynajmniej był to ktoś znajomy, kogo będzie mogła poprosić, żeby następnego dnia dowiózł ją na czas do szkoły.

Clive krzyczał niczym obłąkany i popijał z piersiówki krążącej z rąk do rąk, zdołał jednak pokonać most Golden Gate i kontynuować podróż autostradą numer sto jeden, nie rozbijając samochodu i nie zwracając na siebie uwagi policji. W Sausalito zabrali Cynthię i jeszcze jedną dziewczynę, które rozsiadły się na swoich miejscach i zaczęły pić z tej samej butelki, nie obdarzywszy Amandy nawet jednym spojrzeniem i nie odpowiedziawszy na powitanie. Clive stanowczym ruchem podsunął jej wódkę, a ona nie miała odwagi odmówić. W nadziei że trochę się odpręży, pociągnęła łyk płynu, który palił ją w gardle i napełnił oczy łzami. Jak zawsze, kiedy była w grupie, czuła się niezręcznie i nie na miejscu, a w dodatku śmiesznie, bo pozostałe dziewczyny nie włożyły przebrań jak ona. Było jednak za późno, żeby zasłonić

wypacykowane ramiona, bo przed wejściem do samochodu schowała dziadkowy kardigan do plecaka. Próbowwała ignorować szydercze szeptu dobiegające z tylnych siedzeń. Clive skręcił na Tiburon i pokonał zygzakami długi odcinek w kierunku brzegu zatoki, potem wjechał na wzgórze i zaczął szukać adresu. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, Amanda zobaczyła, że są w prywatnej rezydencji, odizolowanej od sąsiednich domów szczelnym ogrodzeniem, i że na ulicy stoi kilkadziesiąt samochodów i motocykli. Wsiadła z furgonetki i czując, jak drżą jej kolana, poszła za Clive'em przez tonący w półmroku ogród. Ukryła swój plecak pod krzakiem przy schodkach prowadzących do drzwi, ale zostawiła sobie komórkę, którą ścisnęła jak koło ratunkowe.

W środku były dziesiątki młodych ludzi. Niektórzy podrygiwali w rytm wrzaskliwej muzyki, inni pili, kilku leżało na schodach pośród puszek po piwie i turlających się po podłodze butelek. Żadnych świateł laserowych ani psychodelicznych kolorów, tylko pusty dom bez mebli, nie licząc kilku skrzyń do pakowania stojących w salonie. Powietrze było niczym zagęszczone tapioką, nie nadawało się do oddychania z powodu dymu i odrażającego zapachu – mieszaniny farby, marihuany i śmieci. Amanda stanęła, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu, przerażona, ale Clive przycisnął ją do siebie, podskakując w rytm wścieklej muzyki, po czym zaciągnął do salonu, gdzie każdy tańczył po swojemu, zanurzony we własnym świecie. Ktoś podał jej plastikowy kubek z sokiem ananasowym i alkoholem, który opróżniła trzema łykami, bo miała sucho w ustach. Zaczęły dławić ją strach i klaustrofobia, jak w dzieciństwie, kiedy szukała schronienia w swoim zaimprovizowanym namiocie, żeby uciec przed bezmiarem niebezpieczeństw tego świata, miazdzącą obecnością ludzi, agresywnymi zapachami i ogłuszającymi dźwiękami.

Clive całował ją w szyję, szukając jej ust, ona odwzajemniła mu się uderzeniem telefonem w twarz i niemal rozbiła mu nos, co wcale go nie zniechęciło. Ogarnięta desperacją odepchnęła dłonie szukające czegoś w dekolcie jej T-shirta i pod krótką spódniczką i zaczęła przedzierać się przez tłum. Nie akceptowała kontaktów fizycznych, wyjątek robiła tylko dla członków najbliższej rodziny i niektórych zwierząt, dlatego teraz czuła się podle, niczym obiekt napaści, sprasowana przez inne ciała. Zaczęła krzyczeć, ale nastawiona na cały regulator muzyka pochłonęła jej wrzaski. Była na dnie morza, bez powietrza, bez głosu, umierająca.

Chociaż szczyła się tym, że potrafi określić godzinę bez zegarka, nie umiała powiedzieć, ile czasu spędziła w tym domu. Nie wiedziała też, czy tamtej nocy spotkała jeszcze Cynthię i Clive'a ani jak zdołała przecisnąć się przez tłum i zabarykadować między skrzyniami, na których ustawiono sprzęt muzyczny. Przesiedziała tam skulona całą wieczność, skręcona niczym akrobatka, nie mogąc zapanować nad dygotaniem, zaciskając powieki i zakrywając dłońmi uszy. Nie przyszło jej do głowy, by uciec na ulicę albo zadzwonić do dziadka czy do rodziców.

W pewnej chwili rozległo się wycie syren – przyjechała policja, otoczyła posesję i wtargnęła do domu, ale Amanda była wówczas tak przerażona, że musiało upłynąć kilka minut, zanim zdała sobie sprawę, że harmider imprezy i muzyka ustąpiły miejsca rozkazom, gwizdom i krzykom. Kiedy odważyła się otworzyć oczy i wyjrzeć zza desek swojej kryjówki, zobaczyła

światła latarek i nogi ludzi poganianych przez mundurowych. Niektórzy próbowali uciekać, ale większość posłusznie wychodziła na zewnątrz i ustawiała się w szeregu na ulicy, gdzie po uprzednim oddzieleniu nieletnich poddawana była rewizji w poszukiwaniu broni i narkotyków oraz przesłuchiwana. Wszyscy opowiadali tę samą historię: otrzymali zaproszenie e-mailem albo na Facebooku od znajomego, nie mają pojęcia, czyj to dom, nie wiedzieli, że jest niezamieszkały i wystawiony na sprzedaż, i nie potrafią wyjaśnić, jak otwarto drzwi.

Dziewczyna nadal siedziała cicho w swojej kryjówce. Nikt nie przeszukał skrzyń, choć dwóch czy trzech policjantów obeszło cały dom, otwierając drzwi i zaglądając w każdy kąt, by upewnić się, że nikt w nim nie został. Powoli do wnętrza wrócił spokój, głosy i hałasy dobiegały z zewnątrz, Amanda mogła więc spokojnie pomyśleć. W ciszy i bez groźnej obecności ludzi poczuła, że ściany wracają na swoje miejsca, i znowu zaczęła oddychać. Postanowiła poczekać, aż wszyscy sobie pójdą, i dopiero wtedy wyjść z kryjówki, ale w tym samym momencie usłyszała władczy głos jakiegoś oficera, który rozkazał swoim ludziom zamknąć dom i zostać na miejscu, dopóki nie przyjedzie technik i nie wymieni alarmu.

Półtorej godziny później policja odwiozła do aresztu osoby strute narkotykami, inne wypuściła po spisaniu ich danych, a nieletnich zabrała na komisariat, gdzie mieli poczekać na rodziców. W tym czasie pracownik firmy ochroniarskiej pozakładał sztaby na drzwi i okna, włączył z powrotem alarm i detektor ruchu. Amanda siedziała zamknięta w pustym i ciemnym domiszczu, które nadal wypełniał przyprawiający o mdłości smród imprezy, w dodatku nie mogła się ruszyć, bo uruchomiłaby alarm. Z powodu interwencji policji znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Nie chciała prosić o pomoc matki, która nie miała samochodu, żeby ją stąd zabrać, ani ojca, którego naraziłaby na wstyd przed kolegami, gdyby musiał świecić oczami z powodu głupoty własnej córki, a tym bardziej dziadka, który nigdy by jej nie wybaczył, że przyjechała tu bez jego wiedzy. Tylko jedno imię przyszło jej do głowy, jedyna osoba, która mogła pomóc, nie zadając pytań. Wybierała numer raz za razem, a w odpowiedzi otrzymywała tylko komunikat automatycznej sekretarki, aż końcu rozładowała komórkę. Przyjeżdż po mnie, przyjeżdż po mnie. Zmarznięta ponownie skuliła się w swojej skrzyni w oczekiwaniu na świt, błagając, żeby zjawił się ktoś, kto ją wypuści.

Między drugą a trzecią nad ranem telefon Ryana Millera zaczął nagle wibrować, z dala od jego łóżka, podłączony do gniazdka, bo ładował baterię. W lofcie panowało polarne zimno. Było to duże mieszkanie w zaadaptowanej do tego celu dawnej drukarni, o ceglanych ścianach i cementowej podłodze, z plątaniną metalowych rur na suficie, podstawowym umeblowaniem, bez zasłon, dywanów i ogrzewania. Miller spał w slipach, przykryty kocem elektrycznym, z poduszką na głowie. O piątej rano Attyla, któremu dłużyły się zimowe noce, wskoczył na łóżko, by zwrócić mu uwagę, że czas zacząć poranne rytuały.

Mężczyzna, przyzwyczajony do wojskowego stylu życia, wstał automatycznie, prześladowany jeszcze obrazami z niepokojącego snu, i obmacał podłogę przy łóżku w poszukiwaniu protezy, którą założył po ciemku. Attyla szczeakał radośnie i trącał go głową, a on odpowiedział na powitanie, kilka razy klepiąc psa po grzbiecie. Zapalił światło, włożył bluzę i grube skarpety, po czym zamknął się w łazience. Kiedy wyszedł, Attyla już na niego czekał, udawał obojętność, ale zdradzały go niekontrolowane ruchy ogona. Był to schemat,

który powtarzali niezmiennie każdego dnia. „Już idę, kolego, cierpliwości”, powiedział Miller, wycierając twarz ręcznikiem. Odmierzył porcję karmy dla Attyli i wyłożył ją na talerz. Zwierzę zrezygnowało z zachowywania pozorów i rozpoczęło przesadnie radosny taniec, którym witało śniadanie, ale nie podeszło do talerza, dopóki Miller nie zaprosił go ruchem ręki.

Zanim przystąpił do powolnych ćwiczeń qigong, swojej codziennej półgodzinnej medytacji w ruchu, Ryan rzucił okiem na komórkę i dopiero wtedy zauważył połączenia od Amandy, tyle, że nawet nie próbował ich liczyć. Przyjeżdż po mnie, schowałam się, przyjechała policja, nie mogę wyjść, jestem zamknięta, przyjeżdż po mnie, nic nie mów mojej mamie, przyjeżdż po mnie... Po wybraniu numeru dziewczyny i stwierdzeniu, że nie ma sygnału, poczuł, jak skacze mu serce w piersi, ale zaraz ogarnął go znany spokój, wyuczony w czasie najcięższego na świecie szkolenia wojskowego. Doszedł do wniosku, że córka Indiany jest w kłopotach, ale nie w śmiertelnym niebezpieczeństwie: nie została porwana i tak naprawdę nic jej nie grozi, choć musi być bardzo wystraszona, skoro nie była w stanie wyjaśnić, co się stało i gdzie przebywa.

Ubrał się w kilka sekund i zasiadł przed swoimi komputerami. Miał do dyspozycji najbardziej zaawansowany sprzęt i oprogramowanie, podobne do tych używanych w Pentagonie, więc mógł pracować na odległość z dowolnego miejsca. Zlokalizowanie komórki, która dzwoniła osiemnaście razy, było łatwą sprawą. Zatelefonował na komisariat policji w Tiburon, podał swój numer identyfikacyjny FBI, poprosił o połączenie z komendantem i zapytał, czy mieli tej nocy jakiś problem. Oficer, który myślał, że szuka jednego z zatrzymanych nastolatków, poinformował go o imprezie i podał adres. Bagatelizował sprawę, bo coś takiego zdarzało się nie pierwszy raz, poza tym nie doszło do aktów wandalizmu. Wszystko jest w porządku, powiedział, podłączono ponownie alarm i powiadomiono agencję nieruchomości odpowiedzialną za sprzedaż, aby wysłała kogoś do posprzątania. Prawdopodobnie dzieciom nie zostaną postawione zarzuty, ale decyzja w tej sprawie nie należy do policji. Miller podziękował i chwilę później miał na ekranie zdjęcia lotnicze budynku i mapę dojazdu. „Jedziemy, Attyla!”, powiedział do psa, który nie mógł go usłyszeć, ale z zachowania mężczyzny wywnioskował, że nie chodzi o bieganie truchtem po okolicy: to było wezwanie do udziału w akcji.

Kiedy szedł pospiesznie w stronę swojej furgonetki, zadzwonił do Pedra Alarcona, który o tej godzinie najprawdopodobniej przygotowywał się do zajęć i popijał mate. Jego przyjaciel zachował w nienaruszonym stanie niektóre ze zwyczajów przywiezionych z Urugwaju, skąd pochodził, wśród nich nawyk picia tego zielonego, gorzkiego napoju, którego smak Miller uważał za obrzydliwy. Był przewrażliwiony na punkcie drobiazgów: używał wyłącznie srebrnego naczynka i srebrnej rurki odziedziczonych po ojcu, herbaty importowanej z Montevideo i przefiltrowanej wody o ściśle określonej temperaturze.

– Ubierz się, wpadnę po ciebie za jedenaście minut – zapowiedział Miller. – Weź wszystko, co potrzebne do wyłączenia alarmu.

– Człowieku, tak wcześnie? O co chodzi?

– Nielegalne wejście – odparł Miller.

- Jaki rodzaj alarmu?
- Domowy, nie powinien być skomplikowany.
- Dobrze przynajmniej, że nie będziemy okradać banku – westchnął Alarcón.

Było ciemno i jeszcze nie zaczął się poniedziałkowy ruch, kiedy Ryan Miller, Pedro Alarcón i Attyła przejeżdżali mostem Golden Gate. Żółtawe światła oświetlały konstrukcję z czerwonego żelaza, która wyglądała jak zawieszona w próżni. Z daleka dobiegała przejmująca skarga syreny latarni morskiej wskazującej statkom drogę we mgle. Niedługo potem, kiedy dotarli do willowej dzielnicy Tiburon, niebo zaczęło się rozjaśniać, na ulicach pojawiły się pierwsze samochody, a wysportowane ranne ptaszki powychodziły na jogging. Komandos stwierdził, że mieszkańcy tej eleganckiej okolicy mogą obawiać się obcych, dlatego zaparkował furgonetkę przecnicę dalej. Stał na czatach, udając, że wyprowadza psa.

Pedro Alarcón podszedł do domu zdecydowanym krokiem, jakby przysłał go właściciel; z pomocą kawałka drutu uporał się z kłódką przy bramie, co dla tego Houdiniego[1], potrafiącego otworzyć kasę pancerną z zamkniętymi oczami, stanowiło dziecinnie łatwe zadanie. Zajęło mu to niespełna minutę. Specjalnością Ryana Millera było bezpieczeństwo, agencje wojskowe i rządowe zatrudniały go do ochrony informacji. Jego praca polegała na tym, by myśleć jak wróg, wczuć się w rolę kogoś, kto chce wykraść informacje, wyobrazić sobie rozmaite sposoby, jak mógłby tego dokonać, i zaplanować, jak mu to uniemożliwić. Kiedy zobaczył Alarcona z drutem w dłoni, pomyślał, że każdy zręczny, zdeterminowany osobnik jest w stanie złamać najbardziej skomplikowane kody bezpieczeństwa. Na tym polegało zagrożenie w postaci terroryzmu: przebiegłość jednego człowieka ukrytego w tłumie kontra tytaniczne wysiłki najpotężniejszego kraju na świecie.

Pedro Alarcón miał pięćdziesiąt dziewięć lat, opuścił swój kraj i udał się na wygnanie w 1976 roku, w czasie okrutnej dyktatury wojskowej. Jako osiemnastolatek przyłączył się do Tupamaros, lewicowych partyzantów prowadzących walkę zbrojną z rządem Urugwaju, przekonanych, że tylko przy użyciu przemocy można zmienić system oparty na nadużyciach, korupcji i niesprawiedliwości. Podkładali bomby, napadali na banki, porywali ludzi, aż w końcu zostali rozbici przez wojskowych. Wielu zginęło w walce, innych stracono albo zamknięto w więzieniu i torturowano, pozostali uciekli z kraju. Alarcón, który wszedł w dorosłe życie, produkując z Tupamaros bomby domowej roboty i wyłamując zamki, miał jeszcze pożółkły ze starości plakat z lat siedemdziesiątych, oprawiony w ramki, z wizerunkami swoimi i swoich trzech towarzyszy. Za ich schwytanie wojskowi oferowali nagrodę. Na zdjęciu widać bladego, brodatego chłopaka z długimi włosami i wyrazem zdziwienia na twarzy, nieprzypominającego w niczym posiwiąłego mężczyzny, którego znał Miller, drobnego, wysuszonego, chudego jak szczapa, mądrego, opanowanego i zręcznego niczym iluzjonista.

Urugwajczyk wykladał zagadnienia sztucznej inteligencji na Uniwersytecie Stanforda i rywalizował w triathlonie z Ryanem Millerem, młodszym o dwadzieścia lat. Poza zainteresowaniem nowymi technologiami i sportem łączyła ich małomówność, dlatego dobrze czuli się w swoim towarzystwie. Żyli skromnie; obaj byli kawalerami, a jeśli ktoś pytał,

odpowiadali, że są zbyt doświadczeni, żeby wierzyć w uroki miłości i wiązać się z jedną kobietą, skoro na świecie jest mnóstwo innych. W głębi duszy podejrzewali jednak, że są sami, bo po prostu mają pecha. Indiana Jackson twierdziła, że starzenie się bez partnera to umieranie z żalu, i choć uważali, że ma rację, nigdy by się do tego otwarcie nie przyznali.

Po kilku minutach, których Pedro Alarcón potrzebował, żeby otworzyć zamek w głównych drzwiach i znaleźć sposób na wyłączenie alarmu, obaj weszli do domu. Miller poświecił sobie komórką i wypuścił z ręki smycz, bo Attyła ciągnął gotów do walki, dysząc, z obnażonymi kłami i głuchym warczeniem dobiegającym z gardła.

Nagły przebłysk, jeden z wielu, które nawiedzały go w najmniej odpowiednich momentach, i Ryan Miller znalazł się znów w Afganistanie. Jego głowa przetwarzała to, co go spotkało: zespół stresu pourazowego i następstwa w postaci przypominanych sobie obrazów, nocnych horrorów, depresji, napadów płaczu albo gniewu. Udało mu się pokonać pokusy samobójstwa, alkoholizmu, uzależnienia od narkotyków, które kilka lat wcześniej niemal go zniszczyły, ale wiedział, że objawy mogą w każdej chwili powrócić. Nie powinien nigdy tracić czujności, teraz to one były jego wrogiem.

Usłyszał głos swojego ojca: żołnierz, który maże się z powodu wykonywania rozkazów i wini armię za swoje koszmary, nie jest godzien nosić munduru, wojna jest dla silnych i odważnych, jeśli boisz się widoku krwi, poszukaj sobie innego zajęcia. Jakaś część jego mózgu powtórzyła liczby, które znał na pamięć: 2 miliony 300 tysięcy żołnierzy amerykańskich w Iraku i Afganistanie w ciągu ostatnich dziesięciu lat, 6179 zabitych i 47 tysięcy rannych, większość z tragicznymi w skutkach uszczerbkami na zdrowiu, 210 tysięcy weteranów leczonych z tego samego zespołu, na który cierpiał on, choć ta liczba nie oddawała rozmiarów epidemii pustoszącej siły zbrojne. Liczbę żołnierzy z problemami psychicznymi albo uszkodzeniem mózgu oszacowano na 700 tysięcy. Ale w drugiej części umysłu Ryana, tej, której nie był w stanie kontrolować, tkwiła tamta konkretna noc w Afganistanie.

Grupa komandosów z Navy SEALs posuwa się po pustynnym terenie w kierunku wioski u stóp gór. Rozkaz brzmi: przetrząsnąć dom po domu, rozbić grupę terrorystyczną, która prawdopodobnie działa w tym rejonie, i wziąć więźniów, których można będzie przesłuchać. Ostatecznym celem jest nieuchwytny duch Osamy bin Ladena. To nocna wyprawa, żeby zaskoczyć wroga i zminimalizować straty: w nocy nie ma kobiet na targowisku ani dzieci bawiących się w tumanach kurzu. Misja jest tajna, wymaga szybkości i dyskrecji, w czym specjalizuje się jego grupa, przeszkolona do działań w nieznośnym upale pustyni, w arktycznych lodach, na morzu, na najbardziej stromych górskich szczytach, w zabójczej jak zaraza dżungli. Świeci księżyc i noc jest jasna, Miller widzi w oddali zarysy wioski, a kiedy podchodzą bliżej, dostrzega kilkanaście lepianek, studnię i zagrody dla zwierząt. Podrywa się wystraszony beczaniem kozy w widmowej nocnej ciszy, czuje mrowienie w dłoniach i w karku, adrenalinę w żyłach, napięcie w każdym mięśniu, obecność ludzi, którzy posuwają się naprzód razem z nim i są częścią niego samego: szesnastu towarzyszy, jedno serce. To wbił mu w głowę instruktor na pierwszych ćwiczeniach, podczas piekielnego tygodnia, sławetnego *hell week*, kiedy musieli przekroczyć granice ludzkiej wytrzymałości, ostatecznej próby, którą przeszło tylko piętnaście procent mężczyzn; ci są niepokonani.

– Hej, Ryan, co z tobą?

Głos dochodził z daleka i dwukrotnie powtórzył jego imię, zanim on zdołał wrócić z tamtej wioski w Afganistanie do opuszczonej posiadłości w mieście Tiburon w Kalifornii. Pedro Alarcón potrzasał go za ramię. Ryan Miller wyszedł z transu, zaczerpnął haust powietrza, próbując przepędzić wspomnienia i skoncentrować się na teraźniejszości. Usłyszał, jak Pedro kilkakrotnie woła Amandę, nie podnosząc głosu, żeby jej nie wystraszyć, i wtedy zdał sobie sprawę, że wypuścił z ręki smycz. Odszukał Attyłę światłem latarki i zobaczył, że pies biega w tę i z powrotem z nosem przyklejonym do podłogi, zdezorientowany mieszanką zapachów. Został wyszkolony do wyszukiwania materiałów wybuchowych i ludzkich ciał, zarówno żywych, jak i martwych. Ryan nie wołał go, bo pies był głuchy, tylko pobiegł i chwycił za smycz. Czując pociągnięcie, Attyła przystanął zaniepokojony, w jego inteligentnych oczach malowało się pytanie. Mężczyzna dwoma klepnięciami w szyję wskazał, że tym razem chodzi o znalezienie człowieka. Dał mu znak, żeby usiadł, a kiedy pies się uspokoił, pozwolił mu kontynuować poszukiwania. Szedł tuż za nim, trzymając go mocno, bo zwierzę nadal wykazywało hamowaną agresję, weszli do kuchni, do pralni, a wreszcie do salonu, podczas gdy Alarcón czekał przy drzwiach wejściowych. Attyła z obnażonymi kłami poprowadził Ryana szybko do skrzyni, obwąchując deski.

Miller oświetlił wnętrze skrzyni, którą drapał pies, i zobaczył w głębi skuloną postać. Jej widok znów przeniósł go w przeszłość i przez moment widział przyczajone w dziurze dwie drżące istoty, cztero- czy pięcioletnią dziewczynkę w chustce na głowie i z przerażeniem w ogromnych, zielonych oczach, i przytulone do niej niemowlę. Warknięcie Attyli i pociągnięcie za smycz przywróciły go do rzeczywistości tego momentu, tego miejsca.

Wyczerpana płaczem Amanda zasnęła w skrzyni zwinięta jak kot, żeby trochę się ogrzać. Attyła natychmiast rozpoznał znany zapach dziewczyny i usiadł na tylnych łapach, czekając na instrukcje, podczas gdy Miller budził Amandę. Wyprostowała się niezdarnie, zeszywniała, oślepiona latarką, nie wiedziała, gdzie jest, zajęło jej chwilę przypomnienie sobie, co się stało. „To ja, Ryan, wszystko w porządku”, szepnął Miller, pomagając jej się wyprostować i wyjść. Kiedy go rozpoznała, zarzuciła mu ręce na szyję. Przyłgnęła do szerokiej piersi mężczyzny, który uspokajająco poklepywał ją po plecach, szepcząc litanie czułych słów, jakich nigdy nikomu nie powiedział, poruszony do głębi, jakby moczyły go łzy nie tej rozpieszczonej smarkuli, ale innej dziewczynki, tej z zielonymi oczami, i jej braciszka, dzieci, które powinien był delikatnie wyciągnąć z dziury i przenieść na rękach tak, żeby nie zobaczyły tego, co się wydarzyło. Otulił Amandę swoją skórzaną kurtką i podtrzymując, przeprowadził przez ogród. Zabrał plecak, który zostawiła w krzakach, i zczekali przy furgonetce, aż Pedro Alarcón zamknie dom.

Amanda miała nos zatkany od płaczu, a przeziębienie, które złapała kilka dni wcześniej, tej nocy znów wściekle ją zaatakowało. Miller i Alarcón uznali, że w takim stanie nie może pójść do szkoły, ale ponieważ nalegała, wpadli do apteki, gdzie kupili jej lekarstwo i spirytus do zmycia fluorescencyjnej farby z rąk. Potem wstąpili na śniadanie do jedynej otwartej kawiarni, jaką znaleźli – linoleum na podłodze, plastikowe stoliki i krzesła – gdzie mocno grzały kaloryfery, a w powietrzu unosił się smakowity zapach smażonego boczku. Jedyными

klientami oprócz nich było czterech mężczyzn w kombinezonach i kaskach budowlanych. Zamówienie przyjęła dziewczyna o włosach nastroszonych żelem, które sterczały jak u jeżozwierz, niebieskich paznokciach i nieprzytomnym wyrazie twarzy, jakby pracowała tu przez całą noc.

Kiedy czekali na śniadanie, Amanda kazała przysiąc swoim wybawcom, że nikomu nie powiedzą ani słowa o tym, co się stało. Ona, mistrzyni *Rippera*, ekspertka w pokonywaniu złoczyńców i planowaniu niebezpiecznych przygód, spędziła noc w skrzyni, dławiąc się łzami i gilami. Historia, którą im bełkotliwie opowiedziała po dwóch aspirynach, przy filiżance gorącej czekolady i naleśnikach z miodem, brzmiała żałośnie, jednak Miller i Alarcón nie żartowali z niej ani nie prawili kazań. Żeby ukryć uśmiech, pierwszy zabrał się metodycznie do jajek sadzonych na kiełbasie, a drugi zanurzył nos w filiżance kawy, nędznym substytucie mate.

– Skąd jesteś? – zapytała Amanda Alarcona.

– Stąd.

– Masz obcy akcent.

– Jest z Urugwaju – wtrącił Miller.

– To taki mały kraj w Ameryce Południowej – dorzucił Alarcón.

– W tym semestrze muszę zrobić prezentację o wybranym przez siebie kraju na lekcję z wiedzy o społeczeństwie. Masz coś przeciwko temu, żebym wybrała twój?

– To byłby dla mnie zaszczyt, ale lepiej poszukaj jakiegoś innego, w Afryce czy w Azji, bo w Urugwaju nic się nigdy nie dzieje.

– Właśnie dlatego jest dobry, będzie łatwo. Część prezentacji to wywiad z kimś z tego państwa, jeśli to możliwe, na filmie. Dasz radę?

Wymienili telefony i adresy e-mailowe i uzgodnili, że spotkają się pod koniec lutego albo na początku marca, żeby nagrać wywiad. O siódmej trzydzieści tego ponurego ranka mężczyźni odstawili dziewczynę pod drzwi szkoły. Nieśmiało pocałowała obu w policzek na pożegnanie, zarzuciła plecak na ramię i odeszła ze spuszczoną głową, powłócząc nogami.

Poniedziałek, 9

Najbardziej strzeżoną tajemnicą Alana Kellera była jego impotencja. Cierpiał na nią od czasów młodości. Poczucie permanentnego poniżenia sprawiło, że unikał zbliżeń z kobietami, które go pociągały, bo bał się, że zawiedzie, ale unikał także prostytutek, bo ich doświadczenie przygnębiało go lub złościło. Latami walczył ze swoim psychiatrą kompleks Edypa, aż obaj znudzili się rozmawianiem wciąż o tym samym i w końcu zmienili temat. W ramach rekompensaty postawił sobie za cel zgłębienie kobiecej wrażliwości i poznanie tego, czego powinni uczyć w szkole, gdyby system oświaty zajmował się mniej reprodukcją muchy, a więcej człowieka, jak zwykł mawiać. Nauczył się, jak uprawiać seks, nie licząc na erekcję, i zręcznie kompensować niedostatki potencji. Później, kiedy zyskał już reputację uwodziciela, upowszechniła się viagra i problem zniknął. Miał właśnie skończyć pięćdziesiąt jeden lat, kiedy w jego życiu niczym wiosenny huragan pojawiła się Indiana, gotowa rozwiązać tę nałogową niepewność. Przez kilka tygodni spotykał się z nią, nie wychodząc poza niespieszne pocałunki, przygotowywał grunt z godną pochwałą cierpliwością, aż wreszcie zmęczyła się tym długim wstępem, wzięła go bez uprzedzenia za rękę i z determinacją zaprowadziła do swojego łóżka na sprężynach, z absurdalnym jedwabnym baldachimem ozdobionym dzwoneczkami.

Zajmowała mieszkanie nad garażem w domu swojego ojca, w części Potrero Hill, która nigdy nie stała się modna, niedaleko apteki, gdzie Blake Jackson od dwudziestu dziewięciu lat zarabiał na życie. Do pracy mogła dojechać na rowerze po niemal płaskim terenie (miała do pokonania tylko jeden podjazd, w środku drogi), co w San Francisco, mieście pagórków, było dużą zaletą. Pieszko, szybkim krokiem, docierała tam w godzinę; na rowerze najwyżej w dwadzieścia minut. Jej mieszkanie miało dwa wejścia: kręte schody prowadzące do domu Blake'a i drzwi wychodzące na ulicę. Wspinało się do nich po stromych, zewnętrznych schodach ze starych desek, śliskich zimą, które jej ojciec co roku obiecywał wymienić. Miała dwa spore pokoje, balkon, ubikację z umywalką i wmurowaną w ścianę kuchenkę. Bardziej niż mieszkanie przypominało to pracownię, którą rodzina nazywała jaskinią czarownicy, gdzie poza łóżkiem, ubikacją i kuchenką cała przestrzeń została wykorzystana na potrzeby aromaterapii. W dniu, kiedy zabrała Kellera do swojego łóżka, byli w domu sami, bo Amanda spała w internacie, a Blake Jackson grał w squasha, jak każdego środowego wieczoru. Nie musieli się obawiać, że wróci wcześniej – po grze chodził z kolegami na wieprzowinę z kapustą i piwo do niemieckiej knajpki, gdzie siedzieli do świtu, dopóki ich nie wyrzucili.

Po pięciu minutach w tym łóżku Keller, który nie wziął ze sobą magicznej niebieskiej tabletki, dostał zawrotów głowy od aromatycznych olejków i nie był już w stanie myśleć. Oddał się w ręce młodej, radosnej kobiety, przy której nie musiał uciekać się do pastylek, bo dokonała cudu i podnieciła go śmiechem i swawolami. Nie miał czasu na wątpliwości ani na strach, podążył za nią olśniony tam, gdzie chciała go zaprowadzić, a pod koniec spaceru wrócił do rzeczywistości bardzo Indianie wdzięczny. Ona, która zaliczyła wielu kochanków i miała co porównywać, także czuła wielką wdzięczność, bo Keller był pierwszym, który wydawał się bardziej zainteresowany tym, żeby zaspokoić ją, niż żeby sprawić przyjemność

sobie. Od tamtej pory to Indiana szukała Kellera, dzwoniła do niego, żeby podniecić go swoim pożądaniem i swoim poczuciem humoru, proponowała mu spotkania w hotelu Fairmont, prawiła komplementy i schlebiała.

Keller nigdy nie wykrył u niej fałszu ani nie czuł się przez nią manipulowany. Indiana miała prostolinijny charakter, wydawała się oddana miłości, promienna i wesoła. Łatwo mu było ją kochać; mimo to starał się do niej nie przywiązywać, postrzegał siebie jako przechodnia na tym świecie, turystę bawiącego przejazdem, który nigdzie na dłużej się nie zatrzymuje. Nie zgłębiał niczego poza sztuką dającą mu poczucie ciągłości. Miał na koncie podboje, ale żadnej prawdziwej miłości, aż spotkał Indianę, jedyną kobietę, która go przy sobie zatrzymała. Był przekonany, że ta miłość trwa dlatego, że oddzielili ją od innych aspektów ich życia. Indiana potrzebowała niewiele do szczęścia, a jemu była na rękę ta bezinteresowność, choć wydawała mu się podejrzana; uważał, że relacje ludzkie to handel wymienny, wygrywa bardziej przebiegły. Byli razem od czterech lat, ale nigdy nie mówili o przyszłości – choć nie planował małżeństwa, czuł się urażony, że ona także o tym nie myśli, bo uważał się za dobrą partię dla każdej kobiety, tym bardziej takiej jak Indiana – niezamężnej. Istniał problem różnicy wieku, ale znał kilku pięćdziesięciolatków prowadzących się z kobietami młodszymi od nich o dwadzieścia lat. Jedyne, czego zażądała od niego na samym początku, tamtej pierwszej, niezapomnianej nocy pod indyjskim baldachimem, to była wierność.

– Czynisz mnie bardzo szczęśliwym, Indi – powiedział w przypływie rzadkiej szczerości, olśniony tym, czego właśnie doświadczył bez pomocy tabletek. – Mam nadzieję, że będziemy się dalej spotykali.

– Jako para? – zapytała.

– Jako kochankowie.

– Czyli związek na wyłączność.

– Masz na myśli monogamię? – zaśmiał się.

Jako zwierzę społeczne lubił towarzystwo ciekawych, wyrafinowanych osób, zwłaszcza kobiet, które w naturalny sposób lgnęły do niego, bo potrafił je docenić. Był obowiązkowo zapraszany na każdą imprezę opisywaną w kronikach towarzyskich, znał wszystkich, na bieżąco śledził plotki, skandale, kariery celebrytów. Udawał casanowę, żeby wzbudzić oczekiwania w kobietach i zazdrość w mężczyznach, ale przygody seksualne komplikowały mu życie i dawały mniejszą przyjemność niż inteligentna rozmowa czy dobre przedstawienie teatralne. Indiana Jackson udowodniła mu, że są wyjątki.

– Zawrzyjmy umowę, Alanie. Musi być obustronna, dzięki temu żadne z nas nie poczuje się oszukane – zaproponowała z nieoczekiwaną powagą. – Wiele wycierpiałam z powodu romansów i kłamstw mojego byłego męża i nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić.

On bez wahania zaakceptował monogamię, bo nie zamierzał być na tyle nieostrożny, by oznajmiać, że znajduje się ona w ogonie jego priorytetów. Indiana ostrzegła go, że jeśli ją zdradzi, wszystko będzie między nimi skończone.

– Możesz być o mnie spokojny, kiedy jestem zakochana, łatwo przychodzi mi wierność – dodała.

– W takim razie nie mogę pozwolić, żebyś się odkochała – odparł.

W półmroku pokoju ledwo rozjaśnionego świecami naga Indiana siedząca na łóżku z podkulonymi nogami i zmierzwionymi włosami była dziełem sztuki, które Keller obserwował oczami znawcy. Pomyślał o *Porwaniu córek Leukippa* Rubensa z Pinakoteki w Monachium – okrągłe piersi z jasnymi sutkami, ciężkie biodra, dziecięce dołeczki w łokciach i kolanach – tyle że ta kobieta miała usta nabrzmiałe od pocałunków i wyraz twarzy wskazujący na zaspokojone pożądanie. Zmysłowa, uznał, zaskoczony reakcją własnego ciała, które odpowiadało gotowością i pewnością, jakich nie wykazywało nigdy wcześniej.

Miesiąc później zaczął ją śledzić, bo nie mógł uwierzyć, że w rozwiązłym świecie San Francisco ta piękna młoda kobieta dochowa mu wierności tylko dlatego, że dała słowo. Zazdrość dręczyła go do tego stopnia, że wynajął prywatnego detektywa, niejakiego Samuela Hamiltona Juniora, kazał mu pilnować Indiany i donosić na temat wszystkich mężczyzn, którzy się wokół niej kręcą, łącznie z pacjentami z gabinetu. Hamilton był człowieczkiem o niewinnym wyglądzie sprzedawcy sprzętu AGD, ale miał nos detektywa jak jego ojciec, dziennikarz śledczy, który rozwikłał wiele zbrodni popełnionych w San Francisco w latach sześćdziesiątych i zyskał nieśmiertelność dzięki kryminałom pisarza Williama C. Gordona. Syn był niemal doskonałą kopią ojca, krępy, rudy, łysawy, spostrzegawczy, uparty i cierpliwy w walce ze światkiem przestępczym, ale ponieważ żył w cieniu legendy starego, nie potrafił rozwinąć tkwiących w nim możliwości i zarabiał na życie, jak umiał. Hamilton śledził Indianę przez miesiąc, nie dowiedział się jednak niczego ciekawego, co na jakiś czas zadowoliło Kellera. Jego spokój nie trwał długo i wkrótce znów skorzystał z usług tego samego detektywa. Nawracające podejrzenia powtarzały się cyklicznie ze wstydliwą regularnością. Na szczęście dla niego Indiana nie domyślała się tych intryg, choć tak często wpadała na Samuela Hamiltona w najmniej spodziewanych miejscach, że zaczęli się sobie kłaniać na ulicy.

Wtorek, 10

Nadinspektor Bob Martín dotarł do rezydencji Ashtonów w Pacific Heights o dziewiątej rano. Miał trzydzieści siedem lat i choć był bardzo młody jak na szefa Wydziału Zabójstw, nikt nie kwestionował jego kompetencji. Z trudem skończył szkołę średnią, bo sukcesy osiągał jedynie w sporcie. Przez tydzień oblewał to ze swoimi kumplami, zapomniawszy, że niedawno się ożenił, a jego żona urodziła dziewczynkę, po czym matka i babcia zagnały go do zmywania naczyń w jednej z rodzinnych restauracji, ramię w ramię z najbiedniejszymi meksykańskimi imigrantami, z których połowa przebywała w Stanach Zjednoczonych nielegalnie, żeby wiedział, co to znaczy zarabiać na życie bez dyplomu i zawodu. Cztery miesiące tyranii tych dwóch matron wystarczyły, by otrząsnął się z lenistwa; studiował przez dwa lata, po czym wstąpił do Akademii Policyjnej. Okazał się stworzony do noszenia munduru i broni oraz sprawowania władzy, nauczył się dyscypliny, był nieprzekupny, odważny i uparty, nigdy nie zawiódł wydziału ani kolegów, a jego wygląd onieśmiał każdego przestępcę.

Z samochodu zadzwonił do swojej niezastąpionej asystentki, Petry Horr, która podała mu podstawowe informacje o ofierze. Richard Ashton był psychiatrą znanym z dwóch książek opublikowanych w latach dziewięćdziesiątych: *Zaburzenia seksualne w wieku późnodziecięcym* i *Leczenie socjopatii u młodzieży*, a od niedawna także z udziału w konferencji, na której przedstawił zalety hipnozy w terapii dzieci autystycznych. Nagrania z konferencji krążyły po internecie niczym wirus, bo zbiegła się ona w czasie z informacją o alarmującym wzroście przypadków autyzmu w ostatnich latach, a także dlatego, że Ashton dokonał prezentacji godnej Svengalego: żeby uciszyć sceptyczne pomruki słuchaczy i udowodnić, jak jesteśmy podatni na hipnozę, poprosił zgromadzonych, żeby skrzyżowali dłonie za głowami. Chwilę później dwie trzecie uczestników nie było w stanie opuścić rąk, choć nieźle się gimnastykowali, dopóki Ashton nie przerwał hipnotycznego transu. Bob Martín nie przypominał sobie, żeby słyszał kiedykolwiek nazwisko tego mężczyzny, a tym bardziej tytuły jego książek. Petra Horr opowiedziała mu, że dla swoich wielbicieli Ashton jest autorytetem w dziedzinie psychiatrii dzieci i nastolatków, ale przeciwnicy oskarżają go o neonazizm, o wypaczanie faktów w celu udowodnienia swoich teorii i używanie nielegalnych metod wobec niepełnosprawnych i nieletnich pacjentów. Dodała, że mężczyzna często pojawiał się w prasie i telewizji, zawsze w związku z kontrowersyjnymi sprawami, i przesłała mu filmik, który nadinspektor obejrzał na swojej komórce.

– Niech szef rzuci na to okiem, jeśli zamierza się zobaczyć z jego żoną. Ashton ożenił się po raz trzeci z Ayani – powiedziała Petra.

– Kto to taki?

– Aj, szefie! Niech pan nie mówi, że nie wie, kim jest Ayani! To jedna z najsłynniejszych modelek świata. Urodziła się w Etiopii. To ta, która protestowała przeciwko okaleczaniu żeńskich genitaliów.

Na małym wyświetlaczu telefonu Bob Martín rozpoznał elegancką kobietę o wysokich kościach policzkowych, sennych oczach i długiej szyi, którą widział na okładkach kilku czasopism, i gwizdnął z podziwem.

- Szkada, że jej wcześniej nie spotkałem! – zawołał.
- Teraz jest wdową, może pan spróbować. Jak się lepiej przyjrzeć, jest pan niczego sobie. Gdyby zgolił pan te wąsy przemytnika narkotyków, mógłby pan uchodzić za przystojniaka.
- Flirtuje pani ze mną, panno Horr?
- Niech się pan nie boi, szefie, nie jest pan w moim typie.

Nadinspektor zatrzymał samochód przed rezydencją Ashtona i przerwał rozmowę z asystentką. Domu nie było widać zza wysokiego muru pomalowanego na biało, znad którego wystawały korony starych drzew ogrodu. Z zewnątrz posiadłość nie wyglądała okazale, jednak adres w Pacific Heights jasno wskazywał na wysoką pozycję społeczną jej właścicieli. Dwuskrzydłowa żelazna brama wjazdowa była zamknięta, ale furtka stała otworem. Na ulicy Bob Martín zobaczył ambulans i przeklął skuteczność ratowników medycznych, którzy często jako pierwsi zjawiali się na miejscu zbrodni i wpadali z hukiem, by udzielić pierwszej pomocy, nie czekając na policję. Jeden z funkcjonariuszy poprowadził go przez zarośnięty, zaniedbany ogród do domu, szkarady z betonowych bloków i szkła ułożonych nieregularnie, jakby przesunęło je trzęsienie ziemi.

W ogrodzie czekało na instrukcje kilku policjantów, ale nadinspektor widział tylko fantastyczną postać ciemnej wróżki, która zmierzała w jego stronę, lewitując pośród błękitnych welonów, kobiety, którą zobaczył przed chwilą w swoim telefonie. Ayani niemal dorównywała mu wzrostem, wszystko było w niej pionowe, miała skórę koloru drewna czereśni, sylwetkę wyprostowaną jak bambus i falujące ruchy żyrafy, trzy metafory, które natychmiast przysły do głowy Martinowi, mężczyźnie niezbyt podatnemu na poetyckie porównania. Patrzył na nią oszołomiony, a kiedy podała mu szczupłą dłoń o niepomalowanych paznokciach, zauważył, że jest boso, ubrana jedynie w jedwabną tunikę w kolorze wody i nieba.

- Pani Ashton, jak sędzę... Nadinspektor Bob Martín z Wydziału Zabójstw.
- Może pan do mnie mówić Ayani, inspektorze. To ja zadzwoniłam po policję – powiedziała modelka, niezwykle spokojna, zważywszy na okoliczności.
- Niech mi pani opowie, co się stało, Ayani.
- Richard nie spał w domu tej nocy. Dziś rano poszłam zanieść mu kawę do gabinetu i...
- O której godzinie?
- Musiało być między ósmą piętnaście a ósmą dwadzieścia pięć.
- Dlaczego pani mąż nie spał w domu?
- Richard często pracował w nocy albo czytał w swoim gabinecie. Był nocnym markiem, nie martwiłam się, kiedy nie wracał, czasami nawet o tym nie wiedziałam, bo mieliśmy osobne sypialnie. Dziś jest nasza rocznica, mija rok, odkąd się pobraliśmy, i chciałam zrobić mu niespodziankę, dlatego kawę zaniiosłam ja, a nie Galang, który zwykle to robi.
- Kim jest Galang?
- Służącym. Galang mieszka tutaj, jest Filipińczykiem. Mamy również kucharkę i pomoc

domową na godziny.

– Muszę porozmawiać z całą trójką. Proszę mówić dalej.

– Panował mrok, zasłony były zaciągnięte. Zapaliłam światło i wtedy go zobaczyłam... – Doskonale dotąd opanowana kobieta na moment straciła kontrolę nad swoimi emocjami. Szybko jednak doszła do siebie i wskazała Martinowi, by poszedł za nią.

Nadinspektor kazał policjantom wezwać posiłki i otoczyć dom, żeby uniemożliwić dostęp gapiom i prasie, która na pewno szybko się pojawi, zważywszy na sławę ofiary. Modelka poprowadziła go boczną ścieżką do budynku przylegającego do głównego domu, wzniesionego w tym samym supernowoczesnym stylu. Ayani wyjaśniła mu, że jej mąż przyjmował tu prywatnie swoich pacjentów; gabinet miał osobne wejście i nie łączył się od wewnątrz z domem.

– Przeziębci się pani, Ayani, proszę włożyć buty i narzucić coś cieplejszego – powiedział Bob Martín.

– Wychowałam się boso, jestem przyzwyczajona.

– W takim razie proszę poczekać na zewnątrz. Nie ma potrzeby, żeby oglądała to pani ponownie.

– Dziękuję, inspektorze.

Martín patrzył, jak odpływa przez ogród, i poprawił sobie spodnie, zawstydzony niestosowną, niezbyt profesjonalną reakcją, która niestety często mu się zdarzała. Potrząsnął głową, żeby odpędzić obrazy wywołane przez afrykańską boginię, i wszedł do gabinetu składającego się z dwóch dużych pokoi. W pierwszym ściany były pokryte regałami z książkami, a w oknach wisiały grube lniane zasłony; stały tam fotel, skórzana kanapa w kolorze czekolady i stary stół z rzeźbionego drewna. Na beżowej wykładzinie pokrywającej całą podłogę zobaczył dwa wytarte perskie dywany, których jakość była oczywista nawet dla kogoś tak mało obeznanego ze sztuką aranżacji wnętrz jak on. Odnotował w myślach obecność puchowej kołdry i poduszki na kanapie, zgadując, że tu spał psychiatra, i podrapał się w głowę, bo nie mógł zrozumieć, dlaczego Ashton wolał gabinet od łóżka Ayani. Gdybym był na jego miejscu... zadumał się na chwilę, ale zaraz skoncentrował uwagę na policyjnych obowiązkach.

Na stole zobaczył tacę z dzbankiem kawy i czystą filiżanką, i wywnioskował, że kiedy Ayani zostawiła ją tutaj, nie zauważyła jeszcze męża. Przeszedł do drugiego pomieszczenia, gdzie królowało duże mahoniowe biurko. Stwierdził z ulgą, że ratownicy powstrzymali się od wtargnięcia do gabinetu; wystarczył im jeden rzut oka, żeby ocenić sytuację, i wycofali się, uszanowawszy miejsce zbrodni. Miał kilka minut, zanim nadciągnie tłumnie zespół techników. Założył gumowe rękawiczki i zaczął wstępne oględziny.

Richard Ashton leżał na plecach na podłodze obok biurka, ze związanymi rękami i ustami zaklejonymi taśmą do pakowania. Ubrany był w szare spodnie, błękitną koszulę, rozpięty kardigan z niebieskiego kaszmiru, ale nie miał butów. Wytrzeszczone oczy wyrażały przerażenie, jednak nic nie wskazywało na to, że walczył o życie, wszędzie panował porządek, nie licząc szklanki wody rozlanej na biurku, która zmoczyła część papierów i jakąś książkę. Tusz na dokumentach trochę się rozmazał, więc Bob Martín przesunął je ostrożnie,

żeby nie leżały w wodzie. Obejrzał ciało, niczego nie dotykając; musi zostać sfotografowane i zbadane przez Ingrid Dunn, zanim będzie mógł się nim zająć. Nie znalazł widocznych ran ani śladów krwi. Rozejrzał się w poszukiwaniu broni, ale ponieważ nie znał jeszcze przyczyny śmierci, ograniczył się do powierzchownych oględzin.

Szczególne umiejętności leczenia samą swoją obecnością i odnajdowania psychicznych źródeł cudzych schorzeń ujawniły się już w dzieciństwie i Indiana musiała dźwigać je niczym krzyż, zanim zdołała znaleźć dla nich praktyczne zastosowanie. Nauczyła się podstaw anatomii, zdobyła dyplom fizjoterapeutki i cztery lata później otworzyła swój gabinet w Klinice Holistycznej z pomocą ojca i byłego męża, którzy opłacali czynsz, dopóki nie zaczęła mieć stałych pacjentów. Zdaniem Blake'a posiadała sonar nietoperza, który pozwalał jej odgadywać z zamkniętymi oczami umiejscowienie i intensywność dolegliwości innych ludzi. Dzięki temu sonarowi stawiała diagnozę, dobierała zabiegi i sprawdzała rezultaty, ale w samym leczeniu kierowała się raczej dobrym sercem i zdrowym rozsądkiem.

Ta jej zdolność była kapryśna, ujawniała się na różne sposoby, a jeśli nie – wtedy Indiana uciekała się do intuicji, która nigdy jej nie zawodziła, kiedy chodziło o zdrowie drugiej osoby. Wystarczała jedna czy dwie sesje, żeby stwierdzić, czy pacjentowi się poprawia; w razie potrzeby odsyłała go do któregoś z kolegów z Kliniki Holistycznej wyspecjalizowanych w akupunkturze, homeopatii, ziołolecznictwie, wizualizacji, refleksologii, hipnozie, muzykoterapii i leczeniu tańcem, naturalnym odżywianiu, jodze czy innych dyscyplinach popularnych w Kalifornii. Wizytę u lekarza zalecała tylko w nielicznych przypadkach, bo ci, którzy do niej przychodzili, wcześniej próbowali już niemal wszystkich metod medycyny tradycyjnej.

Indiana zaczynała od wysłuchania historii nowego pacjenta, w ten sposób pozwalała mu się wygadać i czasami to wystarczało: uważne ucho czyni cuda. Potem dotykała pacjenta, bo wierzyła, że ludzie potrzebują kontaktu fizycznego; leczyła cierpiących na samotność, żal albo wyrzuty sumienia samymi masażami. Mawiała, że jeśli choroba nie jest śmiertelna, ciało niemal zawsze leczy się samo. Jej rola polegała na tym, by dać mu czas i ułatwić proces; jej medycyna nie była dla ludzi niecierpliwych. Stosowała kombinacje praktyk, które ona nazywała ogólnym uzdrawianiem, a jej ojciec nazywał czarami, czyli słowem, które mogło odstraszyć klientów, nawet w tak tolerancyjnym mieście jak San Francisco. Indiana łagodziła objawy, negocjowała z bólem, próbowała wyeliminować złą energię i wzmocnić pacjenta.

To właśnie robiła w tym momencie z Garym Brunswickiem, który leżał z zamkniętymi oczami na plecach przykryty prześcieradłem, z sześcioma potężnymi magnesami na torsie. Drzemał na stole odurzony zapachem wetywerii zachęcającym do odpoczynku, przy ledwo słyszalnym dźwięku nagrania wody, bryzy i ptaków. Czuł na czaszce ucisk dłoni Indiany i z żalem myślał, że sesja dobiega końca. Tego dnia bardziej niż kiedykolwiek potrzebował wpływu tej kobiety. Ubiegła noc była wyczerpująca, obudził się z kacem jak po libacji, chociaż nie tknął alkoholu, i dotarł do gabinetu Indiany z nieznośnym bólem głowy, a ona zdołała ulżyć jego cierpieniom swoimi magicznymi metodami. W ciągu godziny sprawiła, że zobaczył kaskadę gwiazdowego pyłu spływającą z jakiegoś odległego punktu w kosmosie i przechodzącą przez jej ręce, żeby pokryć jego ciało.

Od listopada zeszłego roku, kiedy Brunswick pierwszy raz przyszedł do jej gabinetu, Indiana stosowała rozmaite metody z tak niewielkim rezultatem, że zaczęła się już zniechęcać. On twierdził, że zabiegi przynoszą mu ulgę, ale ona potrafiła wychwycić jego złe samopoczucie z przenikliwością aparatu rentgena. Sądziła, że zdrowie zależy od harmonijnej równowagi między ciałem, umysłem i duchem, a ponieważ nie wykryła niczego nienormalnego w organizmie Brunswicka, przypisywała nękające go objawy udręczonemu umysłowi i zniewolonej duszy. Mężczyzna zapewnił ją, że miał szczęśliwe dzieciństwo i normalną młodość, tak więc mogło chodzić o coś, co ciągnęło się za nim od wcześniejszych wcieleń. Indiana czekała na okazję, żeby zasugerować mu delikatnie konieczność oczyszczenia karmy. Mieli Tybetańczyka, który był ekspertem w tych sprawach.

Gary okazał się skomplikowanym przypadkiem. Indiana wiedziała o tym od początku, zanim jeszcze otworzył usta podczas pierwszej sesji, bo wyczuła żelazną koronę ściskającą mu czaszkę i worek kamieni na plecach: ten nieszczęśnik dźwigał olbrzymi ciężar. Chroniczna migrena, zawyrokowała, a on, zaskoczony tym, co wyglądało na jasnowidztwo, uściślił, że w ostatnim roku bóle głowy tak się nasiliły, że uniemożliwiały mu jego pracę geologa. Powiedział, że ten zawód wymaga dobrego zdrowia, trzeba się czołgać w jaskiniach, wspinać po górach i obozować na świeżym powietrzu. Miał dwadzieścia dziewięć lat, sympatyczną twarz, drobną budowę ciała, bardzo krótkie włosy ukrywające przedwczesną łysinę i szare oczy za okularami w czarnych oprawkach, w których wyglądał niezbyt korzystnie. Przychodził do gabinetu numer osiem we wtorki, zawsze punktualnie, a jeśli był w dużej potrzebie, prosił w tygodniu o drugi zabieg.

Zwykł przynosić Indianie drobne upominki, kwiaty czy tomiki wierszy; myślał, że kobiety lubią rymowaną poezję poświęconą przyrodzie – ptakom, chmurom, strumieniom – i tak było w przypadku Indiany, zanim poznała Alana Kellera, bezwzględnie jeśli chodzi o sztukę i literaturę. Kochanek wprowadził ją w tajniki japońskiej tradycji haiku i współczesnego gendai, mimo to w tajemnicy nadal czytywała przesłodzone wiersze.

Brunswick nosił dzinsy, buty na grubej gumowej podeszwie i skórzaną kurkę z metalowymi ćwiekami, strój kontrastujący z jego kruchością królika. Jak w przypadku wszystkich klientów, Indiana starała się dogłębnie go poznać, żeby odkryć źródło jego dolegliwości, ale mężczyzna był jak biała karta. Prawie nic o nim nie wiedziała, a te kilka rzeczy, które zdołała ustalić, wylatywały jej z głowy, gdy tylko wychodził.

W ten wtorek pod koniec sesji Indiana dała mu buteleczkę z olejkiem z geranium na zapamiętywanie snów.

– Ja nie mam snów, ale chciałbym śnić o tobie – powiedział Brunswick swoim zwykłym ponurym tonem.

– Wszyscy mamy sny, ale niewiele osób przywiązuje do nich wagę – odparła, ignorując jego aluzję. – Dla niektórych ludzi, na przykład australijskich Aborygenów, życie w snach jest tak samo realne jak życie na jawie. Widziałeś ich malowidła? Utrwalają swoje sny, to niesamowite obrazy. Ja trzymam na szafce nocnej zeszyt, w którym zaraz po obudzeniu zapisuję najbardziej znaczące sny.

– Po co?

– Żeby je pamiętać, bo wskazują mi drogę, pomagają w pracy i wyjaśniają wątpliwości – wytłumaczyła.

– Śniłaś o mnie?

– Śnię o wszystkich moich pacjentach. Radzę ci, żebyś zapisywał swoje sny, Gary, i żebyś medytował – powiedziała, znów ignorując jego insynuacje.

Na początku terapii Indiana poświęciła dwie pełne sesje na poinstruowanie Brunswicka o zaletach medytacji: oczyszczenie umysłu z myśli, głębokie oddechy, dzięki którym powietrze zostaje wprowadzone do każdej komórki ciała, i wydechy, by spadło napięcie. Zaleciła, żeby w razie ataku migreny poszukał spokojnego miejsca, medytował przez piętnaście minut, aby się odprężyć, i uważnie obserwował objawy, zamiast stawiać im opór. „Ból, jak wszystkie wrażenia zmysłowe, to drzwi prowadzące do duszy – powiedziała. – Zapytaj siebie, co czujesz i czego nie chcesz czuć. Zwróć uwagę na swoje ciało. Jeśli się na tym skoncentrujesz, zobaczysz, że ból się zmieni i że coś się w tobie otworzy, ale ostrzegam, że umysł nie zostawi cię w spokoju, będzie próbował odwrócić twoją uwagę myślami, obrazami i wspomnieniami, bo wygodnie mu z jego neurozą, Gary. Ważne, żebyś dał sobie czas na poznanie samego siebie, na przebywanie w samotności, w ciszy, bez telewizji, komórki czy komputera. Obiecuj mi, że będziesz to robił, choćby przez pięć minut dziennie”. Ale niezależnie od tego, jak głęboko oddychał Brunswick i jak intensywnie medytował, nadal był kłębkim nerwów.

Indiana pożegnała mężczyznę, usłyszała odgłos jego kroków oddalających się korytarzem w stronę schodów i z westchnieniem opadła na krzesło, wyczerpana złą energią, którą wydzieliał ten nieszczęśnik, i jego romantycznymi insynuacjami, które zaczynały poważnie ją denerwować. W jej pracy współczucie było konieczne, ale niektórym pacjentom chętnie ukręciłaby głowę.

Środa, 11

Telefon Blake'a Jacksona zarejestrował pół tuzina połączeń od wnuczki, kiedy on biegał jak szalony za piłką do squasha. Skończył ostatni mecz, zaczekał, aż zacznie normalnie oddychać, umył się i ubrał. Wybiła już dziewiąta wieczorem i jego kolega był spragniony alzackich potraw i piwa.

– Amando? To ty?

– A kto ma być? Wybrałeś mój numer – odparła wnuczka.

– Dzwoniłaś do mnie?

– Oczywiście, dziadku, dlatego do mnie oddzwoniasz.

– Do diabła z tobą! Czego, u licha, chcesz, smarkulo? – wybuchnął Blake.

– Chcę wiedzieć, co z psychiatrą.

– Psychiatrą? A! Tym, którego dziś zabili.

– Dziś mówili o tym w wiadomościach, ale zabito go przedwczoraj w nocy albo wczoraj rano. Sprawdź wszystko, co możesz.

– Jak?

– Porozmawiaj z moim tatą.

– Dlaczego sama go nie zapytasz?

– Zrobię to, gdy tylko się zobaczymy, ale do tego czasu ty możesz prowadzić śledztwo. Zadzwonź do mnie jutro i podaj szczegóły.

– Muszę pracować, poza tym nie mogę co chwila zawracać głowy twojemu tacie.

– Chcesz dalej grać w *Rippera* czy nie?

– Chcę.

Mężczyzna nie wierzył w przesady, ale podejrzewał, że duch jego żony w jakiś sposób powierzył mu Amandę. Przed śmiercią Marianne zapewniła, że zawsze będzie nad nim czuwać i pomoże mu znaleźć lekarstwo na samotność. Sądził, że ma na myśli ewentualną drugą żonę, ale jej chodziło o wnuczkę. Tak naprawdę nie miał czasu opłakiwać kobiety, którą tak bardzo kochał, bo pierwsze miesiące wdowieństwa zeszły mu na nieustannym karmieniu wnuczki, usypianiu jej, zmienianiu pieluch, kąpaniu, kołysaniu. Nawet w nocy nie tęsknił za ciepłem Marianne w łóżku, bo dziewczynka miała kolki i wrzeszczała ile sił w płucach. Jej rozpaczliwe krzyki przerażały Indianę, która zaczynała płakać razem z nią, podczas gdy on krążył po pokoju w piżamie z dzieckiem na ręku, recytując równoważniki chemiczne, które wykuł na pamięć w Szkole Farmaceutycznej. Indiana była wówczas szesnastolatką nieprzygotowaną do nowej roli matki, chodziła przygnębiona, bo wyglądała jak wieloryb, a jej mąż na niewiele się przydawał. Kiedy Amandzie wreszcie przeszły kolki, nadszedł kryzys z powodu pierwszych zębów, a potem ospa wietrzna, w czasie której paliła ją gorączka i miała krosty nawet na powiekach.

Trzeźwo myślący dziadek łapał się na tym, że pytał na głos ducha swojej żony, co ma robić

z tym nieznośnym dzieciakiem. Odpowiedź pojawiła się w postaci Elsy Domínguez, imigrantki z Gwatemali, którą wysłała mu teściowa córki, doña Encarnación. Elsa była zavalona pracą, ale zrobiło jej się żal Jacksona, który miał na głowie dom zamieniony w chlew, do niczego nieprzydatną córkę, nieobecnego zięcia i płaczącą, źle wychowaną wnuczkę; dlatego zostawiła innych klientów i poświęciła cały swój czas tej rodzinie. Przyjeżdżała do nich starym samochodem, w adidasach i stroju na siłownię, codziennie od poniedziałku do piątku, w godzinach, kiedy Blake Jackson chodził do apteki, a Indiana do szkoły; narzuciła porządek w domu i zdołała zmienić oszalałe stworzenie, jakim była Amanda, w mniej więcej normalną dziewczynkę. Mówiła do niej po hiszpańsku, zmuszała ją do zjadania całej zawartości talerza, nauczyła stawiać pierwsze kroki, a potem śpiewać, tańczyć, odkurzać i nakrywać do stołu. Kiedy Amanda skończyła trzy lata i rodzice w końcu się rozwiedli, przyniosła dziewczynce w prezencie pręgowaną kotkę, która miała dotrzymywać jej towarzystwa i wzmocnić odporność. Powiedziała, że u niej w wiosce dzieci wychowują się w otoczeniu zwierząt i brudnej wody, dlatego nie chorują jak Amerykanie dający się pokonać pierwszej bakterii, która ich zaatakuje. Jej teoria okazała się słuszna, bo kotka Gina wyleczyła Amandę z astmy i bólów brzucha.

Piątek, 13

Indiana zamknęła gabinet numer osiem o osiemnastej trzydzieści po załatwieniu ostatniego pacjenta w tym tygodniu, cierpiącego na reumatyzm podła. Budził jej litość i leczyła go za darmo, bo należał do jednej z nauczycielek ze szkoły jej córki, wiecznie zadłużonej z winy męża uzależnionego od hazardu. Ruszyła w stronę Café Rossini, gdzie czekali na nią ojciec i córka.

Blake Jackson pojechał po wnuczkę do szkoły, jak w każdy piątek. Przez cały tydzień czekał na moment, kiedy Amanda będzie uwięziona w jego samochodzie, i starał się przedłużyć tę chwilę, jadąc najbardziej zakorkowaną trasą. Dziadek i wnuczka byli kumplami, sprzymierzeńcami, współnikami od zbrodni, jak lubili o sobie mówić. Przez pięć dni, kiedy dziewczyna mieszkała w internacie, komunikowali się niemal codziennie i wykorzystywali wolne chwile, żeby grać w szachy albo w *Ripper*a. Omawiali przez telefon informacje, które dla niej wybierał, koncentrując się na ciekawostkach: dwugłowa zebra, która urodziła się w zoo w Pekinie, grubas z Oklahomy, który udusił się własnymi bąkami, niepełnosprawni umyślowo więzieni przez lata w piwnicy, żeby porywacze mogli pobierać ich zasiłek. Przez ostatnie trzy miesiące komentowali jednak tylko miejscowe zbrodnie.

Po wejściu do kawiarni Indiana skrzywiła się, widząc, że Blake i Amanda siedzą z Garym Brunswickiem, którego nie spodziewała się zobaczyć ze swoją rodziną. W North Beach, gdzie zabroniono otwierania sieciowych restauracji, by powstrzymać powolną śmierć małych lokali dodających kolorytu włoskiej dzielnicy, można było wypić doskonałą kawę w jednej z tuzina staromodnych kafejek. Każdy mieszkaniec wybierał swoją i pozostawał jej wierny; kawiarnia określała, kim jesteś. Brunswick nie mieszkał w North Beach, ale w ciągu ostatnich miesięcy tak często przychodził do Café Rossini, że uważano go już za stałego klienta. Spędzał czasem wolne chwile przy stoliku blisko okna, z nosem w komputerze, nie rozmawiając z nikim poza Dannym D'Angelo, który, jak wyznał Indianie, flirtował z nim bezwstydnie tylko po to, żeby rozkoszować się wyrazem przerażenia na jego twarzy. Bawiło go, że facet kurczy się ze wstydu na krześle, kiedy on przybliży usta do jego ucha i pyta nieprzyzwoitym szeptem, co mu podać.

Danny zauważył, że kiedy geolog był w kawiarni, Indiana wypijała cappuccino przy barze i szybko wychodziła – nie chciała urazić swojego pacjenta, siadając przy innym stoliku, a nie zawsze miała czas, żeby z nim rozmawiać. W rzeczywistości nie były to rozmowy, przypominały raczej przesłuchania, podczas których on zadawał banalne pytania, a ona mechanicznie udzielała odpowiedzi: że w lipcu skończy trzydzieści cztery lata, że jest rozwiedziona od dziewiętnastego roku życia, że jej były mąż pracuje w policji, że kiedyś poleciała do Stambułu i że zawsze chciała zwiedzić Indie, że jej córka Amanda gra na skrzypcach i chce przygarnąć kotkę, bo ta, którą miała, zdechła. Mężczyzna słuchał jej z niezwykłym zainteresowaniem, a ona ziewała ukradkiem, myśląc, że ten człowiek istnieje jakby za zasłoną, jest niewyraźnym obrazem na wyblakłej akwareli. A teraz siedział tam, na towarzyskim spotkaniu z jej rodziną, grając z Amandą w szachy bez planszy i figur.

Przedstawił ich sobie D'Angelo: z jednej strony ojciec i córka Indiany, z drugiej jej

pacjent. Gary wyliczył, że dziadek i wnuczka będą musieli poczekać jeszcze co najmniej godzinę, aż skończy się sesja Indiany z pudłem, a ponieważ uzdrowicielka powiedziała mu kiedyś, że Amanda lubi gry planszowe, zaproponował jej partię szachów. Usiedli przed monitorem, a Blake odmierzał czas na dwustronnym zegarku, który zawsze wkładał do kieszeni, kiedy miał się spotkać z Amandą. „Ta mała potrafi grać z kilkoma przeciwnikami jednocześnie”, ostrzegł Brunswicka. „Ja też”, odparł tamten. I faktycznie okazał się dużo bardziej przebiegłym i agresywnym graczem, niż można było sądzić po jego zalęknionym wyglądzie.

Indiana czekała z założonymi rękami, wreszcie zniecierpliwiona poszukała wzrokiem innego stolika, przy którym mogłaby usiąść, ale wszystkie były zajęte. W kącie zauważyła znajomo wyglądającego mężczyznę zatopionego w lekturze i choć nie potrafiła go skojarzyć, zapytała, czy może się przysiąść. Wystraszony facet wstał tak gwałtownie, że książka spadła na ziemię. Kiedy ją podniosła, zobaczyła, że to kryminał niejakiego Williama C. Gordona, który widziała wśród licznych powieści, dobrych i złych, gromadzonych przez ojca. Twarz mężczyzny przybrała kolor bakłażana, charakterystyczny dla zawstydzonych rudzielców. Wskazał jej krzesło.

– Spotkaliście się już wcześniej, prawda? – zapytała Indiana.

– Nie miałem przyjemności zostać przedstawionym, ale faktycznie, minęliśmy się kilka razy. Samuel Hamilton Junior, do pani usług – odpowiedział oficjalnym tonem.

– Indiana Jackson. Przepraszam, nie chcę przerywać panu lektury.

– W żadnym razie mi pani nie przeszkadza.

– Jest pan pewien, że się nie znamy? – nalegała.

– Na pewno.

– Pracuje pan gdzieś w okolicy?

– Czasami.

I tak rozmawiali o niczym, kiedy piła swoją kawę i czekała, aż jej ojciec i córka będą wolni, co nastąpiło dziesięć minut później, bo Amanda grała z Brunswickiem na czas. Kiedy partia dobiegła końca, Indiana zdziwiła się, że ten natręt pokonał jej córkę. „Jesteś mi winien rewanż”, powiedziała na pożegnanie Amanda Gary’emu Brunswickowi, poirytowana, bo przyzwyczaiła się wygrywać.

Stara restauracja Cuore d’Italia, otwarta w 1886 roku, zawdzięczała sławę autentyczności swojej kuchni i temu, że w 1926 była sceną gangsterskich porachunków. Włoska mafia spotkała się w dużej jadalni, żeby w serdecznej atmosferze posmakować najlepszego makaronu w mieście, napić się dobrego nielegalnego wina i rozdzielić między siebie terytorium Kalifornii. Nagle jedna z grup wyciągnęła karabiny maszynowe i wyeliminowała swoich rywali. Po kilku minutach ponad dwudziestu mafiosów leżało na podłodze, a sala przedstawiała okropny widok. Po tym nieprzyjemnym incydencie zostało tylko wspomnienie, ale to wystarczyło, by przyciągnąć turystów, którzy przychodzili wiedzeni niezdrową ciekawością, żeby spróbować makaronu i sfotografować miejsce zbrodni, aż wreszcie lokal

splonął i restauracja została przeniesiona gdzie indziej. Krążąca po North Beach plotka mówiła, że to żona właściciela polała przybytek benzyną i podpaliła, żeby dopiec swojemu niewiernemu mężowi, jednak towarzystwo ubezpieczeniowe nie zdołało niczego udowodnić. Druga Cuore d'Italia miała nowe meble, ale zachowała oryginalny wystrój z olbrzymimi obrazami przedstawiającymi wyidealizowane pejzaże Toskani i plastikowymi kwiatami w wazonach z malowanej porcelany.

Kiedy przyszli Blake, Indiana i Amanda, Ryan Miller i Pedro Alarcón już na nich czekali. Ryan zaprosił wszystkich na kolację, żeby uczcić kontrakt podpisany przez jego firmę, dobry pretekst, żeby spotkać się z Indianą, której nie widział od kilku dni. Był w Waszyngtonie na służbowych spotkaniach z sekretarzem obrony i szefami CIA, podczas których omawiano programy bezpieczeństwa opracowywane przez niego z pomocą Pedra Alarcona. Starał się nie wymieniać nazwiska przyjaciela, bo trzydzieści pięć lat wcześniej Urugwajczyk walczył w partyzantce, a dla osób, które zachowały mentalność z czasów zimnej wojny, partyzant nadal był synonimem komunisty, podczas gdy dla innych, lepiej zorientowanych we współczesnej historii, partyzant równał się terroryście.

Na widok Indiany ubranej w absurdalne botki, wytarte na kolanach dzinsy, zwyczajną kurtkę i obcisłą bluzkę, która ledwo mieściła jej piersi, Miller poczuł mieszaną pożądania i czułości, jaką zawsze w nim wzbudzała. Kobieta przyszła zmęczona prosto z pracy, miała związane w koński ogon włosy i była bez makijażu, ale jej radość życia i to, że dobrze się czuła we własnej skórze, wydawały się tak oczywiste, że kilku mężczyzn siedzących przy innych stolikach odruchowo się odwróciło i spojrzało na nią z zachwytem. To przez ten jej uwodzicielski chód, tylko w Afryce kobiety poruszają się tak zuchwale, uznał Miller, poirytowany prymitywną reakcją samców. Jak tyle razy wcześniej, znów zadał sobie pytanie, ilu mężczyzn chodzi po świecie nękanym jej wspomnieniem, kochając ją w ukryciu, ilu pożąda jej czułości albo pragnie, by swoimi zaklęciami dobrej wróżki uwolniła ich od win i cierpienia.

Niezdolny, by samemu dźwigać ciężar niepewności, przygnębienia i nagłych przypływów nadziei wywoływanych przez skrywaną miłość, Miller w końcu wyznał Pedrowi Alarconowi, że jest zakochany. Przyjaciel przyjął wiadomość z rozbawieniem i zapytał, dlaczego nie powie tego jedynej osobie, którą mogłaby zainteresować podobna bzdura. To nie była bzdura, tym razem sprawa wyglądała poważnie; nigdy do nikogo nie żywił tak silnego uczucia, zapewnił Miller. Czyż nie doszli do wniosku, że miłość to niepotrzebne ryzyko? – nalegał Alarcón. Tak, i dlatego od trzech lat walczy, żeby zapanować nad uczuciem, jakie żywi do Indiany, ale czasami strzała Amora powoduje nieuleczalną ranę. Pedrem Alarconem wstrząsnął długi dreszcz w obliczu takiej deklaracji wypowiedzianej podniosłym tonem. Zdjął okulary i zaczął je powoli czyścić brzegiem koszulki.

– Spałeś z nią? – zapytał.

– Nie!

– W tym problem.

– Ty niczego nie rozumiesz, Pedro. Nie rozmawiamy o seksie, to można znaleźć wszędzie, tylko o prawdziwej miłości. Indiana ma kochankę, niejakiego Kellera, są razem od kilku lat.

– I?

– Jeśli spróbowałbym ją zdobyć, straciłbym ją jako przyjaciółkę. Wiem, że dla niej wierność jest bardzo ważna, rozmawialiśmy o tym. Nie jest typem kobiety, która spotyka się z jednym mężczyzną, a flirtuje z innymi, to jedna z jej zalet.

– Przestań gadać jak ciota. Dopóki go nie poślubi, możesz na nią polować. Takie jest życie. Ty na przykład nie posiadasz prawa własności do Jennifer Yang. Chwila nieuwagi i pojawi się jakiś sprytniejszy gość, który ci ją zabierze. To samo ty możesz zrobić Kellerowi.

Miller nie uznał za stosowne powiedzieć mu, że jego związek z Jennifer Yang już się zakończył, taką miał przynajmniej nadzieję, choć mogła mu jeszcze sprawić jakąś niemiłą niespodziankę. Była kobietą mściwą, to jedyne, co dało się jej zarzucić, wszystko inne pozytywnie ją wyróżniało, czyniąc z niej najlepszą spośród zdobywcy komandosa Navy SEALs: uroda, inteligencja, nowoczesność, brak ochoty na ślub i dzieci, wysoka pensja i erotyczna obsesja na punkcie bycia niewolnicą. Nie wiedzieć dlaczego, tę młodą kierowniczkę w banku Wells Fargo podniecały uległość, poniżenia i kary. O takiej kobiecie jak Jennifer marzył każdy rozsądny mężczyzna, ale Millerowi, który miał proste upodobania, tak trudno było się dostosować do reguł gry, że podsunęła mu niedawno wydaną powieść, żeby go uświadomić. Książka miała beżową, a może szarą okładkę, nie był tego pewien, cieszyła się powodzeniem wśród kobiet, treścią nie odbiegała od powieści romantycznych, ale zawierała dodatkowo dawkę lekkiej pornografii. Opowiadała o sadomasochistycznym związku niewinnej dziewczicy o nabrzmiałych wargach z przystojnym, despotycznym multimilionerem. Jennifer podkreśliła w książce fragment poświęcony zawartej przez bohaterów umowie, która precyzowała rozmaite sposoby maltretowania, jakie miała znosić dziewczica, kiedy tylko przestanie nią być: pejcz, garota, uderzenia kijem, gwałt i wszelkie inne formy pokuty, jakie przyjdą do głowy jej panu, o ile nie pozostawią blizn i nie poplamią zbyt wiele ścian. Miller nie bardzo rozumiał, w jakim celu bohaterka poddaje się tak skrajnej przemocy domowej, ale Jennifer uświadomiła mu coś, co dla niej było oczywiste: dzięki cierpieniu dawna dziewczica przeżywała paroksyzmy rozkoszy bez poczucia winy.

Między Millerem i Yang nie układało się tak dobrze jak w książce. Nigdy nie traktował poważnie swojej roli, a jej wymykał się gdzieś orgazm, kiedy on skręcał się ze śmiechu, bijąc ją zwiniętą w rulon gazetą. Można było zrozumieć frustrację Jennifer, ale dziwił fakt, że uczepiła się Ryana z desperacją rozbitka. Tydzień wcześniej, kiedy poprosił, by przestali się widywać przez jakiś czas, zrobiła mu tak dramatyczną scenę, że Miller pożalował, iż powiedział jej to w eleganckiej herbaciarni, gdzie wszyscy od razu dowiedzieli się o zerwaniu, łącznie z cukiernikiem, który wyjrzał z zaplecza, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pierwszy raz przeszkolenie w Navy SEALs do niczego mu się nie przydało. Szybko zapłacił rachunek i niezdarnie wyciągnął Jennifer na zewnątrz, popychając ją i szczypiąc, bo stawiała opór i pochlipywała. „Sadysta!”, krzyknęła do niego jakaś kobieta siedząca przy innym stoliku, a Jennifer, która pomimo swojego stanu emocjonalnego zachowała jasność umysłu, rzuciła jej przez ramię: „Żeby tylko chciał nim być, proszę pani!”.

Ryan Miller zdołał w końcu wsadzić Jennifer do taksówki, zanim jednak ruszył biegiem w przeciwnym kierunku, usłyszał, jak wykrzykuje przez okno całą serię przekleństw i gróźb, i wydało mu się, że rozpoznaje imię Indiany Jackson. Pytanie, jak dowiedziała się o jej

istnieniu? Chyba tylko z chińskiego horoskopu, bo on nigdy o niej nie wspominał.

Attyła czekał na gości razem z Millerem i Alarconem przy wejściu do Cuore d'Italia, miał na szyi identyfikator, który pozwalał mu wszędzie wchodzić. Miller załatwił plaketkę jako weteran wojenny, chociaż potrzebował nie pomocy psa, ale jego towarzystwa. Indianie wydało się dziwne, że jej córka, zawsze niechętna kontaktom fizycznym z osobami nienależącymi do najbliższej rodziny, przywitała komandosa i Urugwajczyka całusem w policzek i usiadła między nimi przy stoliku. Attyła wciągnął z rozkoszą kwiatowy zapach Indiany, ale ułożył się między krzesłami Millera i Amandy, która studiując jadłospis, drapała go machinalnie po bliznach. Była jedną z nielicznych osób, na której tytanowe kły Attyli i jego wygląd skatowanego wilka nie robiły wrażenia.

Indiana nigdy nie odzyskała figury z czasów panięskich, ale nie dbała o to, czy ma o kilka kilogramów więcej. Zamówiła sałatkę Cezar, *gnocchi z ossobuco*, a na deser karmelizowane gruszki, Blake ograniczył się do *linguini* z owocami morza; Ryan Miller pilnował diety, dlatego wybrał solę z rusztu; Pedro Alarcón – największy kawałek polędwicy, jaki znalazł w menu, choć i tak nie mogła dorównać smakiem wołowinie z jego kraju; Amanda natomiast, dla której każde mięso było kawałkiem martwego zwierzęcia, a warzywa już się jej znudziły, zamówiła trzy desery, coca-colę i dodatkowe serwetki do wysmarkiwania nosa, bo nękało ją straszne przeziębienie.

– Sprawdziłeś, Kabelu, to, o co cię prosiłam? – zapytała dziadka.

– Mniej więcej, ale lepiej zjedzmy coś, zanim zaczniemy rozmawiać o trupach.

– Nie będziemy mówić z pełnymi ustami, ale między jednym daniem a drugim możesz mi opowiedzieć.

– O co chodzi? – wtrąciła Indiana.

– O zabójstwo Constante'ów, mamó – powiedziała Amanda, podając psu kawałek chleba pod stołem.

– Kogo?

– Opowiadałam ci o tym tysiąc razy, ale mnie nie słuchasz.

– Nie karm Attyli, Amando. On je tylko to, co daję mu ja, żeby nikt go nie otruł – zwrócił jej uwagę Miller.

– Kto miałby go otruć? Nie bądź paranoikiem, człowieku.

– Posłuchaj, rząd nie po to wydał dwadzieścia sześć tysięcy dolarów na tresurę Attyli, żebyś mi go rozpaskudziła. Co te zabójstwa mają z tobą wspólnego?

– Też się nad tym zastanawiam. Nie rozumiem, dlaczego ta mała interesuje się osobami, których nawet nie znaliśmy – westchnęła Indiana.

– Razem z Kabelem prowadzimy prywatne śledztwo w sprawie Eda Statona, tego faceta, któremu wsadzili kij bejsbolowy...

– Amando! – przerwała jej matka.

– W czym problem? Pokazali go w internecie, to żaden sekret. To było w październiku. Są

też Constante'owie, para zamordowana miesiąc po Statonie.

– I psychiatra, którego zabito we wtorek – dodał Blake.

– Na Boga, tato! Dlaczego ulegasz tej dziewczynie? Ta jej mania jest niebezpieczna! – wykrzyknęła Indiana.

– Nie ma w tym niczego niebezpiecznego. To eksperyment. Twoja córka chce sama jedna podważyć wiarygodność astrologii – wyjaśnił jej ojciec.

– Nie jestem sama. Mam jeszcze ciebie, Esmeraldę, sir Edmonda Paddingtona, Abathę i Sherlocka – poprawiła go wnuczka.

– Co to za jedni? – zapytał Alarcón, który do tej pory był całkowicie pochłonięty żuciem swojej wołowiny i nieświadom toczącej się przy stole pogawędki.

– Znajomi od *Ripper*a, takiej gry fabularnej. Ja jestem Kabel, sługa mistrzyni gry – poinformował go Blake.

– Nie jesteś moim sługą, jesteś moim pachołkiem. Wypełniasz moje rozkazy.

– To znaczy to samo co sługa, Amando – wyjaśnił dziadek.

– Jeśli weźmiemy zabójstwo Eda Statona z października, Constante'ów z listopada i psychiatry z wtorku, to od czasu przepowiedni mojej matki chrzestnej mamy tylko cztery trupy godne uwagi. Ze statystycznego punktu widzenia to nie jest krwawa łaźnia. Potrzebujemy jeszcze kilku morderstw.

– To znaczy ilu? – zapytał Alarcón.

– Moim zdaniem co najmniej czterech albo pięciu.

– Nie można brać astrologii dosłownie, Amando, przesłania trzeba interpretować – powiedziała Indiana.

– Myślę, że dla Celeste Roko astrologia jest narzędziem intuicji, tak jak wahadełko dla hipnotyzera – podsunął Alarcón.

– Dla mojej matki chrzestnej to nie jest żadne wahadełko, tylko nauka ścisła. Ale gdyby to była prawda, osoby urodzone w tym samym czasie w tym samym miejscu, na przykład w szpitalu publicznym w Nowym Jorku czy w Kalkucie, gdzie jednocześnie może przyjść na świat wiele dzieci, czekałby identyczny los.

– Na ziemi jest mnóstwo tajemnic, córeczko. Jak można negować wszystko to, czego nie możemy wyjaśnić albo nad czym nie potrafimy zapanować? – odparowała Indiana, mocząc chleb w oliwie.

– Jesteś zbyt łatwowierna, mamo. Wierzysz w aromaterapię, w swoje magnesy, i nawet w homeopatię tego twojego przyjaciela weterana.

– Weterynarza, nie weterana – poprawiła ją matka.

– Wszystko jedno. Homeopatia to rozpuszczenie tabletki aspiryny w Pacyfiku i przepisanie pacjentowi piętnastu kropli. Kabelu, przedstaw fakty. Co wiemy o psychiatrze?

– Jeszcze bardzo niewiele, na razie zajmuję się Constante'ami.

Podczas gdy Indiana i Ryan Miller szeptali między sobą, Amanda wypytywała dziadka, a Pedro Alarcón uważnie się im przysłuchiwał, najwyraźniej zafascynowany grą, o której mówiła dziewczyna. Blake Jackson z entuzjazmem wyciągnął ze swojej aktówki teczkę z notatkami i położył ją na stole, przeprasząc, że nie poczynił jeszcze zbyt wielkich postępów w sprawie psychiatrii. Pachołek miał dużo pracy w aptece, był sezon grypowy, ale zebrał prawie wszystko, co do tej pory ukazało się w środkach przekazu na temat Constante'ów, a Bob Martín, który nadal nazywał Blake'a teściem i nie był mu w stanie niczego odmówić, zgodził się, by przejrzeć policyjne archiwa, łącznie z dokumentami nieujawnionymi opinii publicznej. Blake podał Amandzie kilka kartek ze streszczeniem raportu lekarza sądowego i jeszcze jedną, zawierającą to, co wyciągnął od dwóch przydzielonych do sprawy detektywów, których znał od lat, bo byli kolegami jego ekszęcia.

– Ani Staton, ani Constante'owie się nie bronili – powiedziała wnuczka.

– A psychiatra?

– Podobno też nie.

– Constante'owie byli pod wpływem xanaxu, kiedy wstrzyknięto im heroinę. To lek na stany lękowe, w zależności od dawki wywołuje senność, letarg albo utratę pamięci – wyjaśnił dziadek.

– To znaczy, że spali? – zapytała Amanda.

– Tak uważa twój tata – odparł Blake.

– Skoro morderca miał dostęp do xanaxu, to może jest lekarzem, pielęgniarzem albo nawet aptekarzem jak ty – powiedziała dziewczyna.

– Niekoniecznie. Byle kto może dostać receptę albo kupić lek na czarnym rynku. Za każdym razem, kiedy włamywano się do mojej apteki, celem była kradzież tego rodzaju środków. Poza tym jest dostępny w internecie. Skoro można kupić karabin półautomatyczny albo materiały do produkcji bomby i otrzymać je pocztą, to tym łatwiej można zdobyć xanax.

– Są jacyś podejrzani? – zapytał Urugwajczyk.

– Michael Constante miał bardzo trudny charakter. Tydzień przed śmiercią pokłócił z Brianem Turnerem, elektrykiem należącym do jego grupy Anonimowych Alkoholików. Doszło do rękoczynów. Policja ma Turnera na oku z powodu jego mętnej przeszłości: kilka drobnych wykroczeń, oskarżenie o cięższe przestępstwo, trzyletni wyrok. Ma trzydzieści dwa lata i nie pracuje – poinformował Blake.

– Agresywny?

– Podobno nie. Ale zaatakował Michaela Constante'a butelką z wodą gazowaną. Inni ledwie zdołali go powstrzymać.

– Czy znany jest powód kłótni?

– Michael oskarżył Turnera, że ugania się za jego żoną, Doris. Trudno w to uwierzyć, bo Doris była od niego o czternaście lat starsza i wyjątkowo szpetna.

– O gustach się nie dyskutuje... – zasugerował Alarcón.

– Po śmierci oznakowano ich ogniem – powiedziała Amanda Urugwajczykowi.

– Skąd wiadomo, że po śmierci?

– Na podstawie koloru skóry, żywa tkanka inaczej reaguje. Przypuszcza się, że znaki zrobiono palnikiem, który znaleziono w łazience – wyjaśnił mu Blake Jackson.

– Do czego używa się takich palników? – zapytała Amanda, zanurzając łyżkę w trzecim deserze.

– Do celów kuchennych. Na przykład do zrobienia *crème brûlée*, który właśnie zjadasz. Palnik służy do przypalenia cukru na powierzchni kremu. Jest sprzedawany w sklepach z artykułami gospodarstwa domowego, kosztuje od dwudziestu pięciu do czterdziestu dolarów. Nigdy takiego nie używałem, bo oczywiście o gotowaniu wiem raczej niewiele – wyjaśnił dziadek. – Dziwi mnie, że Constante'owie trzymali coś takiego w domu, bo w ich kuchni znaleziono tylko śmieciowe jedzenie. Nie wyobrażam sobie, żeby ci ludzie robili *crème brûlée*. Palnik był prawie nowy.

– Skąd to wiesz? – zapytała wnuczka.

– Pojemniczek z butanem okazał się niemal pusty, ale metal palnika wyglądał na nowy. Myślę, że nie należał do Constante'ów.

– Morderca mógł go przynieść, tak jak przyniósł strzykawki. Mówiłeś, że w lodówce stała butelka alkoholu? – zapytała Amanda.

– Tak. Constante'owie musieli dostać ją w prezencie, ale trzeba być bezmyślnym, żeby dawać coś takiego alkoholikowi po odwyku – powiedział Blake.

– Jaki to alkohol?

– Jakiś gatunek wódki produkowany w Serbii. Tu takiej nie sprzedają, pytałem w kilku miejscach i nikt jej nie zna.

Na dźwięk słowa Serbia Ryan Miller zainteresował się rozmową i powiedział im, że był na Bałkanach ze swoją grupą komandosów i może zaświadczyć, że tamtejsza wódka jest bardziej trująca od terpentyny.

– Jak się nazywa? – zapytał.

– Tego nie napisali w raporcie. Jakie znaczenie ma nazwa?

– Wszystko ma znaczenie, Kabelu! Sprawdź to – poleciła Amanda.

– W takim razie zakładam, że potrzebna ci również marka strzykawek i palnika. I papieru toaletowego, skoro już o tym mówimy.

– Dokładnie, pachółku. Nie trać czasu.

Niedziela, 15

Alan Keller należał do rodziny, która od ponad wieku miała wielkie wpływy w San Francisco, po pierwsze z racji swojej fortuny, po drugie z powodu starych powiązań. Kelleroie podczas wszystkich kampanii wyborczych tradycyjnie przekazywali duże sumy Partii Demokratycznej, zarówno ze względu na przekonania polityczne, jak i z myślą o nawiązaniu stosunków, bez których trudno byłoby odgrywać w mieście jakąś rolę. Alan przyszedł na świat jako najmłodszy z trójki dzieci Philipa i Flory Kellerów. Obecnie oboje mieli po dziewięćdziesiąt lat, a ich zdjęcia – dwóch lekko stukniętych mumii zdecydowanych, żeby żyć wiecznie – regularnie ukazywały się w kronikach towarzyskich. Majątkiem zarządzali Mark i Lucille, nie dopuszczając do interesów najmłodszego brata, którego uważano za dyżurnego artystę rodziny, bo tylko on potrafił docenić malarstwo abstrakcyjne i muzykę atonalną.

Alan w swoim życiu nie przepracował ani jednego dnia, ale za to studiował historię sztuki, publikował mądre artykuły w specjalistycznych pismach, a od czasu do czasu doradzał muzealnym konserwatorom i kolekcjonerom. Zaliczył kilka krótkich romansów, ale nigdy nie myślał o małżeństwie. Nie zaprzętał sobie głowy problemem rozmnażania i powiększenia przeludnienia planety, bo i tak miał śmiesznie mało spermatozoidów, nie musiał nawet przechodzić wazektomii. Zamiast chować dzieci, wolałby hodować konie, ale nie robił tego, bo to bardzo kosztowna rozrywka, o czym poinformował Indianę zaraz po tym, jak się poznali, i dodał, że jego spadek otrzyma orkiestra symfoniczna, o ile w ogóle cokolwiek zostanie po jego śmierci, albowiem postanowił korzystać z życia, nie oglądając się na koszty. Nie do końca był szczery: musiał kontrolować swoje wydatki, które zawsze przekraczały dochody, o czym rodzeństwo do znudzenia przypominało mu przy każdej okazji.

Jego brak smykałki do interesów był przedmiotem żartów ze strony przyjaciół i wymówek ze strony rodziny. Angażował się w ryzykowne przedsięwzięcia handlowe, takie jak winnica w Napie zakupiona pod wpływem kaprysu po wycieczce balonem nad winnicami w Burgundii. Znał się na winach, a ich produkcja była w modzie, nie miał jednak pojęcia o najbardziej podstawowych sprawach, dlatego jego niewielka wytwórnia nie robiła większego wrażenia na konkurencji, a do tego zależała od niezbyt godnych zaufania zarządców. Był dumny ze swojej posiadłości, otoczonej krzewami róż, z domem w stylu meksykańskiej hacjendy, którego ozdobę stanowiła kolekcja sztuki latynoamerykańskiej, począwszy od inkaskich figurek z gliny i kamienia nielegalnie zdobytych w Peru, po dwa średniej wielkości obrazy Botera. Resztę trzymał w swoim domu w Woodside. Uchodził za wytrwałego kolekcjonera, zdolnego objechać cały świat, by zdobyć jakiś unikalny przedmiot z francuskiej porcelany albo chińskiego nefrytu, ale rzadko musiał to robić, bo miał kilku dostawców.

Mieszkał w wiejskiej rezydencji zbudowanej przez dziadka kilka dekad przed tym, jak w latach dziewięćdziesiątych Woodside stało się schronieniem dla milionerów z Doliny Krzemowej. Z zewnątrz dom wciąż robił wrażenie, ale w środku coraz bardziej podupadał: przez czterdzieści lat nikt nie zdecydował się na odmalowanie ścian czy na wymianę rur. Alan Keller chciał się go pozbyć, bo ziemia miała tu wielką wartość, jednak rodzice, prawowici

właściciele, z niezrozumiałych powodów, bo nigdy tam nie jeździli, nie chcieli za żadne skarby tej nieruchomości sprzedać. Alan życzył im długiego życia, ale obliczał, jak bardzo poprawi się jego sytuacja materialna, kiedy Philip i Flora Kellerowie zdecydują się na wieczny odpoczynek. Gdyby pozbyli się domu i otrzymałby swoją część pieniędzy albo gdyby go odziedziczył i sprzedał, kupiłby sobie nowoczesną mansardę w San Francisco, bardziej odpowiednią dla kawalera z towarzystwa niż stare wiejskie domiszcze, gdzie nie mógł zorganizować nawet koktajlu, z obawy że między nogami gości przemknie szczur.

Indiana nie znała rezydencji ani winnicy w Napie, bo jej tam nigdy nie zabrał, a sama nie miała odwagi mu tego zasugerować. Przypuszczała, że w odpowiednim momencie wystąpi z taką inicjatywą. Kiedy wypływał ten temat, Amanda twierdziła, że Keller wstydzi się jej matki. Perspektywa posiadania takiego ojczyma nie należała do przyjemnych. Indiana nie przywiązywała do tego wagi, córka była zbyt młoda i zazdrosna, żeby docenić zalety Alana Kellera: poczucie humoru, kulturę, subtelność. Nie miała też powodu, by jej mówić, że jest doświadczonym kochankiem. Amanda nadal wierzyła, że rodzice są aseksualni, jak bakterie. Dziewczyna przyznawała, że pomimo zaawansowanego wieku Keller ma miłą powierzchowność, przypomina tego angielskiego aktora o ładnych włosach i dobrej prezencji, którego przyłapano w Los Angeles, jak swawolił z prostytutką w samochodzie. Zawsze zapominała, jak się nazywa, bo nie grał w filmach o wampirach.

Dzięki swojemu kochankowi Indiana zwiedziła Stambuł, nauczyła się cenić dobrą kuchnię, sztukę, muzykę, stare czarno-białe filmy i zagraniczne produkcje, które musiał jej tłumaczyć, bo nie nadążała z czytaniem napisów. Keller był wesołym kompanem, nie przeszkadzało mu, że czasami brano go za jej ojca, zapewniał jej swobodę, czas i przestrzeń, by mogła się poświęcić rodzinie i pracy, otwierał przed nią nowe horyzonty, był wspaniałym przyjacielem w najdrobniejszych sprawach, dbał o to, by jej schlebiać i sprawiać przyjemność. Inna kobieta zapytałaby, dlaczego wyłączył ją ze swojego kręgu towarzyskiego i nie przedstawił żadnemu członkowi klanu Kellerów, ale daleka od jakichkolwiek podejrzeń Indiana przypisywała to dwudziestodwuletniej różnicy wieku. Uznała, że Alan, jako człowiek wrażliwy, chce zaoszczędzić jej nudnych spotkań ze starszymi ludźmi, a jednocześnie sam czuje się nie na miejscu w jej młodzieżowym otoczeniu. „Kiedy ty będziesz miała sześćdziesiąt lat, Keller będzie osiemdziesięciodwuletnim dziadkiem z rozrusznikiem serca i alzheimerem”, uświadomiła ją Amanda, ale Indiana z ufnością patrzyła w przyszłość: może on będzie jak pączek róży, a ona chorą na serce, cierpiącą na demencję staruszką. Uważała, że życie pełne jest niespodziewanych zwrotów, lepiej cieszyć się tym, co mamy teraz, i nie myśleć o hipotetycznej przyszłości.

Miłość Alana Kellera i Indiany przebiegała dotąd bez większych wzlotów i upadków, wolna od przykrości, chroniona przed ciekawością innych. Jednak w ciągu ostatnich miesięcy jego sytuacja finansowa się skomplikowała, a stan zdrowia uległ pogorszeniu; to wpłynęło na rutynę dnia codziennego i na spokojny związek z Indianą. Niekompetencja w obracaniu pieniędzmi była dla niego powodem do pewnej dumy, bo odróżniała go od reszty rodziny, ale nie mógł dłużej negować faktu, że inwestuje beznadziejnie, winnica przynosi straty, jego akcje spadają, a kapitał zgromadzony w postaci dzieł sztuki okazał się mniejszy, niż zakładał. Odkrył

właśnie, że kolekcja jadeitów nie jest tak stara ani tak wartościowa, jak mu wmawiano. W dodatku w trakcie dorocznych badań lekarskich pojawiło się podejrzenie, że ma raka prostaty, co na pięć dni wprawiło go w stan przerażenia, aż wreszcie urolog przerwał te męczarnie, zlecając powtórzenie analizy krwi. Laboratorium musiało przyznać, że pomyliło jego poprzednie wyniki z wynikami innego pacjenta. Po ukończeniu pięćdziesięciu pięciu lat ponownie zaczął mieć wątpliwości co do swojego stanu zdrowia i męskości, uspięne od czasu, kiedy poznał Indianę i kiedy dzięki niej znowu poczuł się młody. Był przygnębiony. W jego przeszłości brakowało czegoś, co nadawałoby się na epitafium. Miał za sobą dwie trzecie życia, obliczał, ile lat mu pozostało, zanim będzie kopią własnego ojca, bał się fizycznej i psychicznej degradacji.

Narobił długów, nie mógł jednak zwrócić się o pomoc do rodzeństwa, które zarządzało rodzinnymi finansami, jakby było ich jedynymi właścicielami, i ograniczało mu dostęp do jego części pod pretekstem, że generuje same wydatki. Błagał ich, by sprzedali Woodside, tego trudnego do utrzymania dinozaura, ale w odpowiedzi słyszał, że nie powinien być niewdzięcznikiem, bo przecież dysponuje domem za darmo. Starszy brat zaproponował mu, że odkupi winnicę w Napie, żeby – jak powiedział – pomóc mu wyjść na prostą, ale Alan wiedział, że jego intencje są dalekie od altruizmu: chciał przejąć nieruchomość po zaniżonej cenie. Z bankami też mu nie szło, jego źródło kredytowania wyschło, nie wystarczyło już grać w golfa z dyrektorem, żeby po przyjacielsku rozwiązać problem, jak to było przed kryzysem gospodarczym. Jego sytuacja, do niedawna godna pozazdroszczenia, nagle się skomplikowała; czuł, że jest jak mucha złapana w pajęczą sieć kłopotów.

Jego psychiatra zdiagnozował przejściowy kryzys egzystencjalny, częsty u mężczyzn w tym wieku, przepisał testosteron i jeszcze więcej leków przeciwlękowych. Z powodu tych zmartwień Keller zaniedbał Indianę i teraz prześladowała go zazdrość, nie dając mu chwili wytchnienia, co też było normalne zdaniem psychiatry, któremu nie powiedział, że ponownie zatrudnił Samuela Hamiltona Juniora, prywatnego detektywa.

Nie chciał stracić Indiany. Na myśl, że zostanie sam albo będzie musiał zacząć wszystko od początku z inną kobietą, odechciewało mu się żyć. Był za stary na romantyczne randki, obmyślanie strategii podboju, podchody i ustępstwa w sprawach seksu – takie rzeczy go nudziły. Związek z nią okazał się wygodny, miał nawet to szczęście, że Amanda, źle wychowana smarkuła, go nie znosiła. To zwalniało Alana od wszelkich zobowiązań wobec dziewczyny. Niedługo wyjedzie na uniwersytet i jej matka będzie miała dla niego więcej czasu. Na razie jednak Indiana wyglądała na roztargnioną i nieobecną, nie wychodziła już z inicjatywą spotkań miłosnych i nie była do dyspozycji, kiedy on miał na to ochotę, nie okazywała dawnego podziwu, sprzeciwiała mu się i sprzeczała z nim pod byle pretekstem, a jemu wystarczały kłótnie ze służbą i z rodziną. Nie chciał, żeby mu we wszystkim ulegała, zanudziłby się z nią na śmierć, ale nie chciał też obchodzić się ze swoją kochanką jak z jajkiem, byle tylko uniknąć konfrontacji.

Winę za zmianę zachowania Indiany ponosił Ryan Miller, nie było innego wytłumaczenia, choć prywatny detektyw zapewniał Alana, że nie istnieją konkretne powody do takiego oskarżenia. Wystarczyło popatrzeć na złamany nos Millera i jego powierzchowność brutala, by zdać sobie sprawę, że jest niebezpieczny. Wyobrażając sobie tego gladiatora w łóżku z

Indianą, dostawał mdłości. Czy kikut go ograniczał? Kto wie, może to jego atut – kobiety są dziwne, podniecają je najosobliwsze rzeczy. Nie mógł powiedzieć o swoich podejrzeniach Indianie, zazdrość była czymś haniebnym u takiego mężczyzny jak on, czymś upokarzającym, z trudem przychodziło mu nawet rozmawianie o tym z psychiatrą. Indiana twierdziła, że Ryan jest jej najlepszym przyjacielem, co już samo w sobie było nie do zniesienia, bo ta rola powinna przypaść w udziale jemu. W dodatku uważał, że platoniczna przyjaźń takiego mężczyzny jak Miller z taką kobietą jak ona jest po prostu niemożliwa. Musiał wiedzieć, co się działo, kiedy przebywali sami w lokalu numer osiem, w czasie częstych spacerów po lesie czy w lofcie Millera, dokąd właściwie nie miała po co chodzić.

Raporty Samuela Hamiltona Juniora wydawały mu się zbyt ogólnikowe. Stracił zaufanie do tego człowieka. Może chronił Indianę? Hamilton był na tyle zuchwały, że dawał mu rady, powiedział, że zamiast szpiegować Indianę, powinien spróbować ją odzyskać, jakby jemu samemu nie przyszło to wcześniej do głowy. Ale jak, skoro na drodze stanął mu Ryan Miller? Musi znaleźć jakiś sposób, by go odsunąć albo wyeliminować. W chwili słabości zasugerował to detektywowi, z pewnością miał kontakty i za odpowiednią cenę mógł znaleźć jakiegoś krewkiego cyngla, na przykład kogoś z koreańskich gangów, ale Hamilton był stanowczy: „Na mnie niech pan nie liczy, jeśli szuka pan płatnego mordercy, niech pan go sam sobie znajdzie”. Rozwiązanie problemu za pomocą pistoletu to był tylko żart, przecież nie tak zwykł załatwiać sprawy, nie mówiąc o tym, że jeśli chodzi o strzelanie, Miller stanowił poważne zagrożenie. Co by zrobił, gdyby miał niepodważalne dowody niewierności Indiany? To pytanie bzyczało mu w głowie natarczywie niczym giez i nie dawało spokoju.

Detektyw miał rację, musiał odzyskać Indianę. „Odzyskać”, jak w telenowelach, to słowo przyprawiało go o gęsią skórę, ale faktycznie, coś powinien zrobić, nie mógł czekać z założonymi rękoma. Zapewnił psychiatrę, że może ją uwieść jak na początku ich znajomości, zaoferować jej o wiele więcej niż ten człowiek bez nogi, że zna ją lepiej niż ktokolwiek inny i wie, jak uczynić ją szczęśliwą, nie na darmo spędził cztery lata na wyostrzaniu zmysłów Indiany i dawaniu jej rozkoszy, jakiej nie potrafiłby dać jej żaden inny mężczyzna, a już na pewno nie tak nieokrzesany żołnierz jak Miller. Psychoanalityk słuchał, nie komentując, aż w końcu Kellerowi jego własne argumenty powtarzane na każdej sesji, zaczęły się wydawać coraz bardziej puste.

W niedzielę o szóstej wieczorem, zamiast czekać na Indianę w apartamencie hotelu Fairmont, gdzie mieli zjeść we dwójkę kolację, obejrzeć film i kochać się, jak to zwykle robili, Keller postanowił ją zaskoczyć. Przyjechał po nią do domu jej ojca i razem wybrali się na wystawę „Mistrzowie weneccy” w muzeum De Young, gdzie prezentowano pięćdziesiąt obrazów wypożyczonych z jednego z muzeów wiedeńskich. Nie chciał oglądać wystawy razem z tłumem ludzi, więc dzięki znajomości z dyrektorem załatwił wizytę z przewodnikiem, kiedy De Young było zamknięte. Nowoczesny budynek, cichy bez zwiedzających, przypominał futurystyczną świątynię ze szkła, stali i marmuru, o wielkich, geometrycznych, pełnych światła przestrzeniach.

Przydzielony przewodnik okazał się młodzieńcem o niezdrowej skórze, który deklamował wyuczone teksty. Keller od razu zamknął mu usta i onieśmielił swoim autorytetem historyka

sztuki. Indiana miała na sobie niebieską sukienkę, wąską i krótką, która odsłaniała więcej, niż zakrywała (odwieczną piaskową kurteczkę zdjęła po wejściu do muzeum), i sfatygowane botki z imitacji gadziej skóry, które Keller bezskutecznie próbował zastąpić czymś przyzwoitszym, ale ona uparła się, żeby je nosić, bo były wygodne. Przewodnikowi opadła szczeka, kiedy się z nią witał, i nie doszedł do siebie do końca wizyty. Odpowiadał na jej pytania, bełkocząc coś mało przekonująco, zatopiony w niebieskich oczach kobiety, która wydała mu się olśniewająca. Grzeszny zapach piżma i kwiatów, który rozpaczała, przyprawiał go o zawrót głowy, podniecały go wyzywające kołysanie ciała i żółte loki, potargane, jakby przed chwilą wyszła z łóżka.

Gdyby nie emocjonalny dołek, Keller ubawiłby się reakcją przewodnika. Miał już okazję być w przeszłości świadkiem takich sytuacji. Zazwyczaj lubił towarzystwo kobiet pożądanym przez innych, ale tym razem nie był w nastroju do żartów, miał przecież odzyskać podziw Indiany. Rozdrażniony stanął między nią a przewodnikiem, ścisnął ją za ramię mocniej, niż wypadało, i prowadził od obrazu do obrazu, opisując epokę *cinquecento* i znaczenie Wenecji, niezależnej republiki, która w czasie, kiedy mistrzowie malowali swoje obrazy, istniała już od tysiąca lat i była ważnym ośrodkiem handlowym i kulturalnym. Zwracał jej uwagę na szczegóły, pokazywał, jak wynalezienie farb olejnych zrewolucjonizowało technikę malarską. Była pilną uczennicą, gotową wchłonąć wszystko, czego zechce ją nauczyć, od *Kamasutry* aż po sposób jedzenia karczocha, a tym bardziej wiedzę na temat sztuki.

Godzinę później znaleźli się w ostatniej sali, przed olbrzymim płótnem, które Keller bardzo chciał pokazać Indianie. Była to *Zuzanna i starcy* Tintoretta. Na całej ścianie wystawiono tylko ten jeden obraz. Usiedli na ławce i spokojnie go podziwiali, on tłumaczył, że motyw Zuzanny stanowił przedmiot wielu malarskich interpretacji w epokach odrodzenia i baroku. To ówczesna pornografia: służyła pokazaniu kobiecego aktu i męskiej rozwiązłości. Bogaci ludzie zamawiali obrazy i wieszali je w swoich pokojach, a za dodatkową opłatą artysta malował Zuzannie twarz kochanki mecenasa.

– Legenda mówi, że Zuzanna była cnotliwą mężatką, którą lubieżni starcy zaskoczyli, kiedy kąpała się pod drzewem w swoim ogrodzie. Ponieważ odrzuciła ich zaloty, oskarżyli ją o romans z pewnym młodzieńcem. Karą za cudzołóstwo była wtedy dla kobiety śmierć – powiedział Keller.

– Tylko dla kobiety? – zapytała Indiana.

– Oczywiście. Jest to opowieść biblijna, a więc seksistowska, zawarta w Księdze Daniela.

– I co się stało?

– Sędzia przesłuchał osobno starców, którzy nie byli zgodni co do tego, pod jakim drzewem siedziała piękność. Jeden powiedział, że pod modrzewiem, a drugi, że pod dębem, czy jakoś tak. Wyszło na jaw, że kłamali, i w ten sposób przywrócono Zuzannie dobre imię.

– Mam nadzieję, że oszczerców spotkała kara.

– Według jednej z wersji tej opowieści zostali straceni, ale w innej otrzymali tylko upomnienie. Którą wolisz, Indiano?

– Jedna kara jest za surowa, druga za łagodna. Nie popieram kary śmierci, ale sprawiedliwość musi być. Co myślisz o więzieniu, grzywnie i publicznych przeprosinach

Zuzanny i jej męża?

– Jesteś bardzo pobłażliwa. Zuzanna zostałaby stracona, gdyby nie udowodniła swojej niewinności. Byłoby sprawiedliwie, żeby ci dwaj lubieżni dziadkowie otrzymali równorzędną karę – stwierdził Keller, żeby zrobić jej na przekór, bo sam również nie popierał kary śmierci z wyjątkiem szczególnych przypadków.

– Oko za oko, ząb za ząb... Stosując takie kryterium, wszyscy mielibyśmy sztuczne szczęki i zapewne po jednym oku – odparła wesoło.

– Zresztą tu wcale nie chodzi o to, co spotkało kłamców, prawda? – zapytał Keller, pierwszy raz zwracając się do przewodnika, który milcząco przytaknął. – Lubieżni starszycy są mało istotni, umieszczono ich w rogu obrazu. W centrum zainteresowania jest Zuzanna, tylko ona. Niech pan spojrzy na skórę tej młodej kobiety, ciepłą, delikatną, oświetloną popołudniowym słońcem. Proszę zwrócić uwagę na jej miękkie ciało i marzycielską pozę. Nie jest panną, wiemy, że to mężatka, że została wprowadzona w tajemnicę seksualności. Tintorettowi udało się połączyć niewinną panienkę ze zmysłową kobietą, obie w tej ulotnej chwili współistnieją w Zuzannie, dopóki upływ czasu nie odciśnie na niej swojego piętna. Ta chwila jest magiczna. Niech pan się przyjrzy, czyż pożądliwość w oczach starców nie jest usprawiedliwiona?

– Tak, proszę pana...

– Zuzanna nie wątpi w swoją atrakcyjność, kocha swoje ciało, jest doskonała, jak dopiero co zerwana z gałęzi brzoskwinia, jest cała zapachem, kolorem, smakiem. Ta piękność nie podejrzewa nawet, że zaczął się nieunikniony proces dojrzewania, starzenia i umierania. Niech pan zwróci uwagę na odcienie jej miedzianozłotych włosów, na powab jej dłoni i szyi, na rozleniwiony wyraz jej twarzy. To oczywiste, że niedawno się kochała, i wspomina ten moment z rozkoszą. Jej ruchy są powolne, chce przedłużyć przyjemność, jaką daje kąpiel, chłodna woda i ciepły powiew wiatru w ogrodzie, pieści samą siebie, czuje lekkie drganie ud, wilgotnej i drżącej szpary między nogami. Czy pan rozumie, o czym mówię?

– Tak, proszę pana...

– Powiedz, Indiano, kogo przypomina ci Zuzanna z obrazu?

– Nie mam pojęcia – odparła, zdziwiona zachowaniem kochanka.

– A panu, młody człowieku? – zapytał Keller przewodnika, z niewinnym wyrazem twarzy kontrastującym z sarkazmem w jego głosie.

Ślady po trądziku zaogniły się na obliczu chłopaka niczym krater, jakby został przyłapan na gorącym uczynku. Wbił wzrok w podłogę, ale Keller nie zamierzał mu odpuścić.

– No, dalej, niech pan nie będzie nieśmiały. Proszę się przyjrzeć obrazowi i powiedzieć, kogo przypomina piękna Zuzanna.

– Właściwie to nie umiem powiedzieć – wybełkotał biedak, gotów w jednej chwili wybiec z sali.

– Nie wie pan czy nie ma odwagi powiedzieć? Zuzanna bardzo przypomina moją przyjaciółkę, tu obecną Indianę. Niech pan na nią spojrzy. Musiałby ją pan zobaczyć w kąpiel, nagą jak Zuzanna... – powiedział Keller, obejmując władczy ruchem ramiona kochanki.

– Alanie! – krzyknęła, odtrąciła go jednym pchnięciem i szybkim krokiem wyszła z sali, a za nią podążył roztrzęsiony przewodnik.

Keller dogonił ją w drzwiach budynku i pośród błagań i przeprosin poprowadził do swojego samochodu, równie jak ona speszony tym, co zrobił. To był absurdalny impuls, pożałował natychmiast, kiedy wypowiedział tamte słowa. Nie miał pojęcia, co mu się stało, to był jakiś napad szaleństwa, bo, jak tłumaczył, przy zdrowych zmysłach nigdy nie powiedziała by czegoś tak wulgarnego i tak sprzecznego ze swoim charakterem.

Obraz, to wina obrazu, pomyślał. Kontrast między młodością i urodą Zuzanny a odrażającym wyglądem podglądających ją mężczyzn przyprawił go o dreszcze. Zobaczył siebie na miejscu lubieżnych starców, oszalałego z powodu pożądania kobiety nieosiągalnej i na którą nie zasłużył. Poczł w gardle gorzki smak żółci. Obraz nie był dla niego czymś nowym, widział go już w Wiedniu, a reprodukcje w książkach o sztuce, ale w świetle i w ciszy pustego muzeum wstrząsnął nim, jakby zobaczył odbicie własnej czaszki w lustrze. Z dystansu prawie pięćset lat Tintoretto pokazywał mu to, co budziło w nim najbardziej mroczne lęki: rozkład i śmierć.

Kłócili się na pustym o tej porze parkingu, aż w końcu Keller zdołał przekonać Indianę, żeby poszli na kolację i spokojnie porozmawiali. Usiedli przy stoliku w kącie w jednej z jego ulubionych restauracji, niewielkim lokalu ukrytym w zaułku, który odchodził od ulicy Sacramento, gdzie mieli oryginalne włoskie menu i znakomite wina. Po pierwszej szklaneczce piemonckiego *dolcetto* trochę spokojniejsza Indiana wytłumaczyła mu, jak bardzo upokorzona poczuła się w muzeum, wyeksponowana w obecności przewodnika niczym prostytutka.

– Nie sądziłam, Alanie, że jesteś zdolny do takiego okrucieństwa. W ciągu lat, które ze sobą spędziliśmy, nigdy nie pokazałeś mi się od tej strony. Poczłam się tak, jakbym została ukarana, i myślę, że ten biedny młody człowiek też.

– Nie traktuj tego w ten sposób, Indi. Jak mógłbym chcieć cię ukarać? Przeciwnie, nie wiem, jak ci wynagrodzić wszystko, co mi dajesz. Myślałem, że porównanie do pięknej Zuzanny sprawi ci przyjemność.

– Do tej grubaski?

Keller wybuchnął śmiechem, który okazał się zaraźliwy, i nieprzyjemna scena z muzeum straciła nagle znaczenie. Na koniec zachował niespodziankę, którą zaplanował dla Indiany: dwutygodniową podróż do Indii, w warunkach, które ona miała wybrać. Było to z jego strony poświęcenie, na jakie zdobył się z miłości, pomimo niedawnych kłopotów finansowych i strachu przed odwieczną w Indiach nędzą. Mogli zamieszkać w jednym z pałaców maharadzów, zamienionych w luksusowe hotele, tarzać się w pościeli z puchu i jedwabiu, dysponować prywatną służbą, albo, jeśli zechce, spać na ziemi pośród skorpionów w jakiejś aśramie. Spontaniczna radość Indiany rozwiała jego obawy, że przykrość, jaką jej sprawił w muzeum, zepsuje niespodziankę; wycłowała go wylewnie, na oczach rozbawionego kelnera, który nosił dania. „Czy mam ci coś wybaczyć?“, zapytała rozpromieniona, nie podejrzewając, jak bardzo prorocze są te słowa.

Poniedziałek, 16

Towarzystwo od *Rippera* nie grało od wielu dni, bo Abatha leżała w szpitalu, przywiązana do łóżka i karmiona przez rurkę wprowadzoną do żołądka. Jej choroba czyniła postępy, każdy gram wagi, który traciła, oznaczał krok w stronę świata duchów, gdzie tak bardzo pragnęła zamieszkać. Jedyne, co mogło odwrócić jej uwagę od mocnego postanowienia, że umrze, był *Ripper* i chęć rozwiązania zagadki morderstw w San Francisco. Kiedy tylko opuściła oddział intensywnej terapii i została umieszczona w jednoosobowym pokoju, w którym pilnowano ją dzień i noc, poprosiła o swój laptop i zadzwoniła do czwórki nastolatków i dziadka, czyli do jedynej przyjaciółki, jakich miała, choć nigdy ich nie poznała osobiście. Tej nocy sześć ekranów w różnych miejscach świata nawiązało łączność, żeby wziąć udział w nowej grze, nazwanej zbrodnią z prądem.

Amanda zaczęła od przekazania wszystkim wyników sekcji zwłok, które znalazła w kopercie w mieszkaniu ojca i sfotografowała komórką.

– Ingrid Dunn pierwszy raz widziała ciało Richarda Ashtona o dziewiętej dziesięć rano i wyraziła przypuszczenie, że śmierć nastąpiła osiem do dziesięciu godzin wcześniej, czyli około północy w poniedziałek, ale na tym etapie śledztwa kilka minut w jedną czy w drugą stronę nie ma znaczenia. Wciąż brak tropów, jeśli chodzi o sprawcę i motyw zbrodni. Mój tata przydzielił do tej sprawy kilku detektywów.

– Przejrzyjmy to, co mamy – poprosił pułkownik Paddington.

– Możesz mówić, Kabelu. Opowiedz, co wiemy – poleciła Amanda swojemu dziadkowi.

– Richard Ashton zmarł rażony taserem. W czasie sekcji zwłok znaleziono miejsca, wokół których skóra była podrażniona i zaczerwieniona.

– Co to jest taser? – zapytał Esmeralda.

– Broń, której używa policja, żeby powstrzymać lub obezwładnić osoby agresywne albo rozproszyc uczestników rozruchów. Taser jest wielkości dużego pistoletu i strzela elektrodami połączonymi z rękojeścią cienkimi przewodami – wyjaśnił pułkownik Paddington, ekspert od broni.

– Można tym zabić?

– Zależy, jak się go użyje. Zdarzało się, że ktoś umarł, ale nie były to częste przypadki. Taser atakuje centralny układ nerwowy potężnym wyładowaniem elektrycznym, które paraliżuje mięśnie i nokautuje ofiarę nawet z odległości kilku metrów. Można sobie wyobrazić, co dzieje się po kilku wystrzałach.

– To zależy też od ofiary. Taser może zabić każdego, kto cierpi na niewydolność krążenia, ale to nie był przypadek psychiatry – dodała Amanda.

– Założmy, że pierwszy strzał unieruchomił Ashtona; może morderca związał mu ręce i zakleił usta taśmą samoprzylepną, a potem raził tak długo, aż go zabił – zastanawiał się Sherlock Holmes.

– Czy taser może wystrzelić kilka razy? – spytał Esmeralda.

- Trzeba go załadować, to zajmuje około dwudziestu sekund – wyjaśnił Paddington.
- W takim razie użył dwóch – powiedziała Abatha.
- Właśnie, Abatho! Morderca miał więcej taserów i zaaplikował Ashtonowi kilka wyładowań, jedno po drugim, nie dając mu czasu, by doszedł do siebie, aż w końcu wysiadło mu serce – powiedział Sherlock Holmes.
- Porażony prądem... egzekucja jak na krześle elektrycznym – dodała Abatha.
- Jak można zdobyć taser? – zapytał Esmeralda.
- Oprócz tych stosowanych przez policję istnieje model używany przez cywilów, do samoobrony, ale nie jest tani, kosztuje około pięciuset dolarów – wyjaśnił Paddington.
- W notatkach mojego taty jest informacja, że psychiatra był bosy. Buty leżały pod biurkiem, ale nie znaleziono skarpetek – powiedziała Amanda.
- Chodził zimą bez skarpetek? – dopytywał się Esmeralda.
- Ayani, jego żona, chodzi na bosaka. Mój tata mówi... Nadinspektor Martín mówi, że Ayani ma nogi księżniczki. No tak, ale to nas nie interesuje. Dywan w gabinecie Ashtona był w jednym miejscu wilgotny, może od wody wylanej ze szklanki, która się przewróciła, choć plama znajdowała się daleko od biurka.
- To oczywiste, przyjaciele. Woda jest dobrym przewodnikiem elektryczności. Morderca zdjął ofierze buty i zmoczył skarpetki, żeby porazić ją prądem – wydedukował Sherlock.
- Widziałam coś takiego na jakimś filmie. Więźnia skazanego na śmierć nie zmoczono przed egzekucją na krześle elektrycznym i właściwie się ugotował – powiedziała Amanda.
- Nie powinnaś oglądać takich filmów! – zawołał Kabel.
- To film dla dzieci, nie było w nim seksu.
- Nie sądzę, żeby morderca musiał moczyć Ashtonowi stopy, ale może o tym nie wiedział. Potem zabrał skarpetki, żeby zatrzeć ślady, zmylić policję i zyskać na czasie. Dobra strategia – powiedział pułkownik Paddington.
- Nie musiał zadawać sobie aż tyle trudu – wyjaśniła Amanda. – Policja straci dużo czasu, badając różne tropy. W gabinecie Ashtona jest pełno mebli, dywanów, zasłon, książek i tak dalej, a sprzątano go tylko raz w tygodniu. Sprzątaczką dostała polecenie, żeby nie dotykać żadnych papierów. Jest tak dużo śladów, włosów, fragmentów naskórka, nitki, że w praktyce niemożliwe będzie ustalenie, które z nich są ważne.
- Zobaczymy, co wykażą badania DNA – powiedziała Abatha.
- Zapytałam o to tatę – przerwała Amanda. – Mówi, że DNA bada się w mniej niż jednym procencie przypadków, bo to droga i skomplikowana procedura, a policja ma ograniczone środki. Czasami badanie finansuje towarzystwo ubezpieczeniowe albo spadkobiercy, jeśli jest jakiś ważny powód.
- Kto dziedziczy po Ashtonie? – zapytał Esmeralda.
- Jego żona, Ayani.
- Nie trzeba grzebać głęboko, żeby znaleźć motyw zabójstwa, prawie zawsze chodzi o

pieniądze – powiedział Sherlock Holmes.

– Proszę o głos – zażądał Kabel.

– Udzielam.

– Próbkę, nawet jeśli je wezmą, do niczego się nie przydadzą, skoro nie będzie ich z czym porównać. To znaczy pobrane próbki DNA muszą pasować do kogoś, kto został aresztowany, a jego DNA figuruje w rejestrach. W każdym razie policja przesłuchuje wszystkie osoby, które były w gabinecie od czasu ostatniego sprzątnięcia przed śmiercią Ashtona.

– Zadanie na następny tydzień: zaproponować jakieś teorie w tej sprawie, wiecie, tak jak zawsze, motyw, sposobność, podejrzani, metoda. I nie zapominajcie o tym, co mamy jeszcze do sprawdzenia na temat Eda Statona i Constante'ów – poinstruowała ich mistrzyni gry przed pożegnaniem.

– Tak jest! – odparli chórem pozostali gracze.

Galang wszedł do salonu z kawą. Na tacy niósł dzbanek z długą rączką z rzeźbionej miedzi, dwie małe filiżanki i szklane naczynko podobne do flakonu z perfumami. Postawił tacę na stole i wyszedł.

– Wody różanej? – zapytała Ayani, nalewając do filiżanek kawę gęstą jak ropa naftowa.

Bob Martín, który nigdy nie słyszał o wodzie różanej i był przyzwyczajony do półlitrowych kubków wodnistej kawy, nie wiedział, co odpowiedzieć. Ayani wlała kilka kropli do filiżanki i wyjaśniła, że Galang nauczył się parzyć kawę po arabsku, tak jak lubiła: w miedzianym naczyniu doprowadzał ją trzy razy do wrzenia z cukrem i nasionami kardamonu i czekał z jej podaniem, aż fusy opadną na dno. Martín spróbował tego słodkiego, gęstego napoju, myśląc o dawce kofeiny, którą wlewa w siebie o piątej po południu, i o tym, jak źle będzie spał tej nocy. Pani Ashton miała na sobie czarny kaftan wyszywany złotą nicią, okrywający ją całą aż do stóp, z wyjątkiem eleganckich dłoni, szyi gazeli i tej niesamowitej twarzy, która wprowadziła zamęt do jego wyobraźni w chwili, kiedy ją zobaczył. Miała włosy zebrane na karku i spięte dwoma patyczkami, wielkie złote koła w uszach i kościaną bransoletę na przegubie.

– Przepraszam, że znów panią niepokoję.

– Przeciwnie, inspektorze, rozmowa z panem to przyjemność – powiedziała, siadając w jednym z foteli z filiżanką w dłoni.

Bob Martín ponownie miał okazję podziwiać jej szczupłe stopy ze srebrnymi pierścionkami na kilku palcach, doskonałe, mimo że zwykle chodziła boso, co zauważył podczas pierwszego spotkania, w ogrodzie, owego pamiętnego wtorku, w dniu śmierci Ashtona, kiedy wkroczyła w jego życie. „Wkroczyła” nie było adekwatnym słowem, bo to jeszcze nie nastąpiło; Ayani była fatamorganą.

– Dziękuję, że przyszedł pan do domu. Wyznam panu, że na komisariacie czułam się osaczona, ale myślę, że wszyscy mają takie odczucia. Dziwię się, że pan dziś pracuje, czyż to nie święto?

– Obchodzimy Dzień Martina Luthera Kinga, ale dla mnie nie ma świąt. Jeśli pani pozwoli, chciałbym wrócić do kilku fragmentów pani zeznania – zaproponował Bob Martín.

– Pan myśli, że zabiłam Richarda.

– Tego nie powiedziałem. Dopiero zaczęliśmy śledztwo, za wcześnie na wnioski.

– Niech pan będzie ze mną szczery, może pan mówić bez ogródek, inspektorze. Podejrzenie zawsze pada na współmałżonka, tym bardziej w tym przypadku. Myślę, że już pan wie, że jestem jedyną spadkobierczynią Richarda.

Bob Martín już wiedział. Petra Horr, jego asystentka, dla której nie było żadnych tajemnic, przekazała mu wystarczająco dużo informacji o Ashtonach.

Ayani miała niedługo skończyć czterdzieści lat, choć wyglądała na dwadzieścia pięć. Jej kariera modelki, którą zaczęła bardzo młodo, dobiegła już końca. Projektantów mody i fotografów nudzą ciągle te same twarze, a ona i tak przetrwała dłużej niż jej koleżanki po fachu, bo publiczność ją rozpoznawała: ciemnoskóra, egzotyczna, inna w tym zawodzie raczej dla białych kobiet. Bob uważał, że nawet w wieku siedemdziesięciu lat pozostanie najpiękniejszą kobietą świata. Przez jakiś czas Ayani była jedną z najlepiej opłacanych modelek, ulubienicą publiczności z pokazów mody, ale jej kariera skończyła się pięć czy sześć lat temu. Źródło dochodów wyschło, a nie miała oszczędności, bo szastała pieniędzmi bez umiaru i pomagała swojej licznej rodzinie żyjącej w jakiejś wiosce w Etiopii. Zanim wyszła za Ashtona, dokonywała iście kuglarskich sztuczek z kartami kredytowymi oraz pożyczkami od przyjaciół i banków, żeby zachować pozory i móc pokazywać się w towarzystwie. Musiała ubierać się tak samo jak wtedy, kiedy projektanci dawali jej stroje w prezencie, pojawiać w dyskotekach i na imprezach dla elity. Jeździła limuzyną tam, gdzie mogła zostać sfotografowana, ale mieszkała skromnie, w jednopokojowym apartamencie w najmniej atrakcyjnej części Greenwich Village. Richarda Ashtona poznała na gali zorganizowanej z myślą o zebraniu środków na kampanię przeciwko obrzezaniu kobiet, gdzie wygłosiła mowę inauguracyjną; to był jej temat, wykorzystywała każdą okazję, by przedstawiać potworność tej praktyki, której ofiarą sama padła w dzieciństwie. Ashton, jak reszta zebranych, był wstrząśnięty urodą Ayani i szczerością, z jaką opowiedziała o własnym doświadczeniu.

Boba Martina ciekawiło, co zobaczyła w Richardzie Ashtonie, gburowatym, aroganckim mężczyźnie o krótkich nogach, dużym brzuchu i oczach ropuchy. Psychiatra cieszył się pewną sławą w naukowym świecie, ale to nie mogło zrobić wrażenia na kobiecie, która była za pan brat z prawdziwymi gwiazdami. Petra Horr uważała, że nie ma co dzielić włosa na czworo, powód wydaje się oczywisty: Richard Ashton był równie bogaty, co brzydki.

– Rozumiem, że pani i mąż poznaliście się w Nowym Jorku w grudniu dwa tysiące dziesiątego roku i pobrali miesiąc później. Dla niego to było trzecie małżeństwo, dla pani – pierwsze. Co skłoniło panią, żeby zdecydować się na ten krok, to znaczy poślubić mężczyznę, którego ledwo pani znała? – zapytał Bob Martín.

– Jego wybitna inteligencja. Był nieprzeciętnym człowiekiem, inspektorze, każdy może to panu powiedzieć. Zaprosił mnie na obiad dzień po tym, jak się poznaliśmy, i spędziliśmy cztery godziny pochłonięci rozmową. Zaproponował, żebyśmy napisali razem książkę.

– Jakiego rodzaju książkę?

– O obrzezaniu kobiet, mój udział miał polegać na opowiedzeniu o własnym przypadku i przeprowadzeniu serii wywiadów z ofiarami, głównie w Afryce. On miał dokonać analizy fizycznych i psychologicznych konsekwencji tego procederu, który dotknął już sto czterdzieści milionów kobiet na świecie i który pozostawia ślady na całe życie.

– Udało się państwu ją napisać?

– Nie. Byliśmy na etapie planowania i zbierania materiałów, kiedy... kiedy Richard zmarł – powiedziała Ayani.

– Rozumiem. Poza książką musiały być jednak inne rzeczy, które sprawiły, że zakochała się pani w doktorze Ashtonie – zasugerował Bob Martín.

– Zakochała? Bądźmy realistami, inspektorze, nie należę do kobiet, które dają się porwać emocjom. Romantyzm i namiętność są dobre w kinie, ale nie w życiu takiej osoby jak ja. Urodziłam się w lepiance, dzieciństwo spędziłam na noszeniu wody i doglądaniu kóz. Kiedy miałam osiem lat, okaleczyła mnie jakaś odrażająca starucha i niemal umarłam z powodu krwotoku i zakażenia. Gdy skończyłam dziesięć, ojciec zaczął mi szukać męża pośród mężczyzn w jego wieku. Uwolniłam się od życia w znoju i nędzy, jakie wiodą moje siostry, bo odkrył mnie amerykański fotograf i zapłacił ojcu, żeby pozwolił mi pojechać do Stanów Zjednoczonych. Jestem osobą praktyczną, nie mam złudzeń co do świata, ludzkości czy mojego własnego losu, a tym bardziej co do miłości. Wyszłam za Richarda dla jego pieniędzy.

To wyznanie uderzyło Boba Martina niczym cios kamieniem. Nie chciał przyznawać racji Petrze Horr.

– Powtarzam panu, inspektorze, wyszłam za Richarda, żeby żyć wygodnie i bezpiecznie.

– Kiedy doktor Ashton sporządził swój testament?

– Dzień przed naszym ślubem. Za radą mojego prawnika postawiłam taki warunek. Dokument zastrzega, że po śmierci męża ja dziedziczę wszystkie jego dobra, ale w razie rozwodu dostałabym tylko pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dla Richarda to było jak napiwek.

Nadinspektor miał w kieszeni listę dóbr Richarda Ashtona, którą wręczyła mu Petra: posiadłość w Pacific Heights, apartament w Paryżu, pięciopokojowy dom w ośrodku narciarskim w Kolorado, trzy samochody, jacht o długości pięćdziesięciu pięciu stóp, inwestycje warte kilka milionów dolarów i prawa autorskie do jego książek, które przynosiły mu skromny, ale stały dochód, bo były obowiązkową lekturą dla studentów psychiatrii. Oprócz tego ubezpieczenie na życie w wysokości miliona dolarów na nazwisko Ayani. Dzieci z poprzednich małżeństw Richarda Ashtona miały dostać po tysiąc dolarów każde, a jeśli zamierzałyby podważyć dyspozycje testamentu, nie otrzymają niczego. Oczywiście klauzula ta traciła moc, gdyby zdołały udowodnić, że Ayani jest odpowiedzialna za śmierć ich ojca.

– Krótko mówiąc, inspektorze, najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić, to zostanie wdową, ale ja nie zabiłam mojego męża. Jak pan wie, nie mogę ruszyć ani jednego dolara z odziedziczonego spadku, dopóki policja nie znajdzie mordercy – podsumowała Ayani.

Piątek, 20

Blake Jackson tak zorganizował sobie grafik w aptece, żeby mieć wolne w piątki po południu i móc jeździć po wnuczkę do internatu o trzeciej, kiedy kończył się szkolny tydzień. Zabierał ją do siebie do domu albo zawoził do Boba Martina, zgodnie z ustalonym harmonogramem, a ponieważ w ten weekend przypadała jego kolej, mieli całe dwa dni na próżnowanie i bycie razem, wystarczająco dużo czasu, żeby pograć w *Rippera*. Zobaczył, jak wychodzi ze szkoły w tłumie uczennic, rozczochrana, ciągnąc swoje bagaże i wypatrując go z tym niespokojnym wyrazem twarzy, który zawsze go wzruszał. Kiedy Amanda była mała, często chował się tylko po to, żeby zobaczyć, jak uśmiecha się z ulgą na jego widok. Nie chciał myśleć, jak będzie wyglądało jego życie, kiedy Amanda wyleci z gniazda. Wnuczka pocałowała go, po czym razem wrzucili do bagażnika plecak, torbę z brudnymi ubraniami, książki i skrzypce.

– Mam pomysł na twoją książkę – powiedziała wnuczka.

– Jaki?

– Powieść kryminalna. Wybierzesz jedną ze zbrodni, które badamy, odrobinę ją ubarwisz, dodasz mnóstwo krwi, trochę seksu, dużo tortur i pościgi samochodowe. Ja ci pomogę.

– Potrzebny jest bohater. Kto będzie detektywem?

– Ja – powiedziała Amanda.

W domu była już Indiana, która prała ręczniki i prześcieradła ze swojego gabinetu w starej pralce ojca zamiast w pralni automatycznej w piwnicy Kliniki Holistycznej, jak inni najemcy. Była także Elsa Domínguez, która przyniosła im potrawkę z kurczaka. Cztery lata wcześniej, kiedy Amanda poszła do liceum z internatem, Elsa postanowiła zredukować godziny pracy w ich domu i przychodziła tylko dwa razy w miesiącu, żeby posprzątać. Jednak ta dobra kobieta często odwiedzała Blake'a Jacksona bez okazji, zostawiała dyskretnie w lodówce plastikowe pojemniki z jego ulubionymi daniami, dzwoniła do niego i przypominała, żeby poszedł do fryzjera, wyniósł śmieci i zmienił pościel, bo Indiana i Amanda nie myślały o takich drobiazgach.

Kiedy odwiedzała go Celeste Roko, Blake Jackson zamykał się w łazience i dzwonił do Elsy, prosząc o pomoc, wystraszony perspektywą zostania sam na sam z wróżką, bo niedługo po tym, jak owdowiał, poinformowała go, że ich kosmogramy są wyjątkowo zgodne i skoro oboje są samotni i wolni, to wcale nie byłoby złym pomysłem, żeby zamieszkali razem. W takich wypadkach Elsa przyjeżdżała na pełnym gazie, podawała herbatę i zasiadała w salonie, by towarzyszyć Blake'owi, dopóki Celeste nie da za wygraną i nie odejdzie, trzaskając drzwiami.

Elsa miała czterdzieści sześć lat, a wyglądała na sześćdziesiąt, cierpiała na chroniczny ból pleców, artretyzm i żylaki, ale nigdy nie opuszczał jej dobry humor i bez przerwy nuciła pod nosem pieśni religijne. Nikt nie widział jej w bluzce czy koszulce z krótkim rękawem, bo wstydziła się blizn po ciosach maczetą, jakie zadali jej żołnierze, którzy zabili jej męża i dwóch braci. Przyjechała do Kalifornii sama, w wieku dwudziestu trzech lat, zostawiając

trójkę dzieci u krewnych w przygranicznej wiosce w Gwatemali, pracowała od wschodu do zachodu słońca, żeby je utrzymać, a potem po jednym sprowadzała do siebie: jeździła po nie, podróżując nocami na dachach pociągów, przemierzając Meksyk ciężarówkami, ryzykując życiem przy przekraczaniu granicy ukrytymi ścieżkami, przekonana, że chociaż los nielegalnego imigranta jest ciężki, to w jej kraju żyłoby im się jeszcze gorzej. Najstarszy z synów wstąpił do wojska z nadzieją, że zrobi tam karierę i otrzyma amerykańskie obywatelstwo, zaliczał już trzecią zmianę w Iraku i Afganistanie i od dwóch lat nie widział swojej rodziny, ale z krótkich rozmów telefonicznych wynikało, że jest bardzo zadowolony. Dwie córki, Alicia i Noemí, miały smykałkę do interesów i udało im się zdobyć pozwolenie na pracę; Elsa była pewna, że dobrze im pójdzie i w przyszłości, jeśli zostanie ogłoszona amnestia dla imigrantów, dostaną pozwolenie na stały pobyt. Dziewczyny kierowały grupą latynoskich nielegalnych imigrantek w różowych uniformach sprzątających domy. Rozwoziły je do pracy różowymi furgonetkami, na których widniała wymalowana na karoserii zastanawiająca nazwa: „Atomowe Kopciuszki”.

Amanda zostawiła swoje rzeczy w przedpokoju, pocałowała matkę i Elbę, która nazywała ją swoim aniołkiem i strasznie rozpieszczała, bo nie mogła rozpieszczać swoich własnych dzieci, kiedy były małe. Podczas gdy Indiana i Elsa składały wyjęte z suszarki rzeczy, Amanda w kuchni zaczęła w ciemno partię szachów z dziadkiem, który siedział przed szachownicą w salonie.

– Z mojej garderoby zniknęła koszula nocna, staniki i majtki – oznajmiła Indiana.

– Nie patrz na mnie, mamó. Ja noszę rozmiar dwa, a ty ledwo mieścisz się w dziesiątce. Poza tym za żadne skarby nie włożyłabym niczego z koronkami, bo drapią – odpowiedziała Amanda.

– Nie oskarżam cię, ale ktoś zabrał mi bieliznę.

– Może ją zgubiłaś... – zasugerowała Elsa.

– Gdzie, Elso? Zdejmuję majtki tylko we własnym domu – odpowiedziała Indiana, choć nie było to do końca zgodne z prawdą, ale gdyby zostawiła je w pokoju w hotelu Fairmont, zorientowałyby się jeszcze przed dojściem do windy. – Brakuje różowego stanika, drugiego czarnego, dwóch par różowych majtek i mojej eleganckiej koszulki nocnej, której jeszcze nie zdążyłam ani razu włożyć. Trzymałam ją na specjalną okazję.

– To bardzo dziwne, moje dziecko. Twoje mieszkanie zawsze jest zamknięte.

– Ktoś tu wszedł, jestem pewna. Ruszał też moje buteleczki z olejkami do aromaterapii, ale chyba niczego nie zabrał.

– Pomieszał ci je? – zapytała Amanda z nagłym zainteresowaniem.

– Ustawił w porządku alfabetycznym i teraz nie mogę niczego znaleźć. Ja mam swój własny system.

– To znaczy, że ten ktoś miał wystarczająco dużo czasu, żeby pogrzebać w twoich szufladach, wyciągnąć bieliznę, która mu się spodobała, i uporządkować twoje buteleczki. Zabrał coś więcej? Sprawdziłaś zamek w drzwiach, mamó?

– Wydaje mi się, że niczego więcej nie wziął. Zamek jest nietknięty.

– Kto ma klucz do twoich drzwi?

– Kilka osób: Elsa, mój tata i ty – odpowiedziała Indiana.

– I Alan Keller, chociaż on nie będzie kradł tej śmiesznej bielizny, którą sam ci kupuje – wycedziła Amanda przez zęby.

– Alan? Nie ma klucza, nigdy tu nie przychodzi.

W salonie Blake Jackson przesunął skoczek, poinformował o tym na cały głos swoją wnuczkę, a ona odpowiedziała w ten sam sposób, że w trzech ruchach da mu mata.

– Mój tata też ma klucz – przypomniała Indianie córka.

– Bob? Dlaczego miałby go mieć? Ja nie mam klucza do jego mieszkania!

– Sama mu go dałaś, żeby podłączył ci telewizor, kiedy pojechałaś do Turcji z Kellerem.

– Ależ Amando, jak możesz podejrzewać swojego tatę, na Boga, dziecko. Twój tata nie jest żadnym złodziejem, to policjant – wtrąciła zakłopotana Elsa Domínguez.

W pierwszej chwili Indiana przyznała jej rację, ale zaraz naszyły ją wątpliwości, bo Bob Martín był nieprzewidywalny. To prawda, że czasem sprawiał jej przykrości, przede wszystkim dlatego, że łamał ustalenia dotyczące Amandy, ale generalnie traktował ją z szacunkiem i czułością starszego brata. Robił jej także wzruszające niespodzianki, jak w ostatnie urodziny, kiedy wysłał do gabinetu tort. Koledzy z Kliniki Holistycznej z Matheusem Pereirą na czele przybyli zaopatrzeni w szampana i kartonowe kubeczki, żeby wznieść toast na jej cześć i poczęstować się ciastem. Kiedy Indiana pokroiła je nożykiem do papieru, odkryła w środku plastikową torebkę z pięcioma banknotami studolarowymi, kwotą niemałą dla jej eksmęża, którego jedynym źródłem dochodów była pensja policjanta, a dla niej sumą wręcz ogromną. Niemniej mężczyzna, który zamówił tort z ukrytym w środku skarbem, był też zdolny wejść bez pozwolenia do jej domu.

W ciągu trzech lat małżeństwa i wspólnego mieszkania pod dachem Blake'a Jacksona Bob obsesyjnie ją kontrolował, a po rozwodzie minęło sporo czasu, zanim pogodził się z tym, że powinien utrzymać pewien dystans i uszanować jej prywatność. Dojrzał, ale zachował swój dominujący, agresywny charakter kapitana drużyny, który tak mu pomógł w policyjnej karierze. W młodości miał napady agresji i wtedy niszczył wszystko, co wpadło mu w ręce; podczas tych ataków Indiana przytulała córkę i biegła schronić się w domu sąsiadów, do czasu aż wrócił jej ojciec, po którego dzwoniła do apteki. W obecności teścia Bob natychmiast się uspokajał, co dowodziło, że w rzeczywistości nie tracił całkowicie głowy. Relacje między obu mężczyznami mocno się zacieśniły i przetrwały nienaruszone po rozwodzie Boba i Indiany. Blake nadal traktował go z wyższością dobrodusznego ojca, Bob z kolei był usługowy jak dobry syn. Chodzili razem na mecze piłki nożnej, na filmy akcji i na drinka do Camelotu, ulubionego baru ich obydwu.

Zanim Indiana poznała Ryana Millera, Bob był drugą osobą – po ojcu – którą w razie potrzeby prosiła o pomoc, pewna, że rozwiąże problem, choć przy okazji zarzuci ją dobrymi radami i wymówkami. Podziwiała jego zalety i bardzo go kochała; on był zdolny spłatać jej takiego figla, mógł wykraść bieliznę tylko po to, żeby udowodnić, jak łatwo ją obrabować. Już

od jakiegoś czasu nalegał, żeby założyła nowe zamki i alarm.

– Pamiętasz, że obiecałaś mi kotkę? – zapytała Amanda matkę, przerywając jej rozmyślenia.

– Pod koniec sierpnia idziesz na uniwersytet, córeczko. Kto zajmie się kotką, kiedy wyjedziesz?

– Dziadek. Już o tym rozmawialiśmy i się zgodził.

– Panu Jacksonowi przyda się jakieś zwierzątko. Będzie bardzo samotny bez swojej wnuczki – westchnęła Elsa.

Niedziela, 22

Mieszkanie Boba Martina znajdowało się na piętnastym piętrze jednego z bloków, które w ostatnich latach wyrosły niczym grzyby po deszczu na południe od Market Street. Jeszcze jakiś czas temu była to niezdrowa okolica pełna magazynów i składów; teraz ciągnąca się wzdłuż portu dzielnica z mnóstwem restauracji, galerii sztuki, nocnych klubów, luksusowych hoteli i budynków mieszkalnych, kilka przecznic od centrum finansowego i Union Square należała do najlepszych w mieście. Nadinspektor kupił swoje mieszkanie, kiedy było jeszcze w fazie planowania, zanim ceny poszybowały w górę, dzięki kredytowi, który miał spłacać do końca swoich dni. Budynek był imponującym wieżowcem, zdaniem Celeste Roko, złą inwestycją, bo zawali się podczas najbliższego trzęsienia ziemi, planety nie mogły jej jednak wskazać, kiedy takowe nastąpi. Przez duże okno w salonie można było podziwiać zatokę usianą żaglówkami i Bay Bridge.

Amanda, z wpiętymi we włosy piórami, w rajstopach w żółte paski i nieśmiertelnym kardiganie dziadka z dziurami na łokciach, siedziała na wysokim taborecie przy kuchennym blacie z czarnego granitu i jadła z ojcem obiad. Jedną z byłych dziewczyn Boba, architektka ogrodów, udekorowała mu mieszkanie niewygodnymi, supernowoczesnymi meblami i gęstwiną roślin, które umarły z melancholii, kiedy tylko odeszła. Bez roślin wystrój był nieprzyjazny jak w sanatorium, nie dotyczyło to tylko zagraconego pokoju Amandy o ścianach wyklejonych plakatami zespołów muzycznych i jej bohaterów: Czajkowskiego, Stephena Hawkinga i Briana Greene'a.

– Przychodzi dziś Polka? – zapytała ojca. Była przyzwyczajona do jego miłosnych kaprysów, które trwały krótko i nie zostawiały śladu, nie licząc katastrofalnego końca martwych roślin.

– Ma imię, nazywa się Karla, doskonale o tym wiesz. Dziś nie przyjdzie, wyrwali jej ósemki.

– To lepiej. Nie mówię o zębach. Czego chce od ciebie ta kobieta, tato? Amerykańskiej wizy?

Bob Martín rąbnął pięścią w granit blatu i rozcierając stłuczoną dłoń, zrobił jej pogadankę na temat szacunku wobec rodziców. Amanda jadła niewzruszona.

– Zawsze wypowiadasz wojnę moim przyjaciółkom!

– Nie przesadzaj, tato... Na ogół jestem dla nich bardzo wyrozumiała, ale ta przyprawia mnie o dreszcze, ma śmiech hieny i serce ze stali. No nic, nie będziemy się o to kłócić. Ile czasu z nią jesteś? Chyba z półtora miesiąca. Za dwa tygodnie Polka się ulotni, a ja będę spokojniejsza. Nie chcę, żeby ta kobieta cię wykorzystywała – oznajmiła Amanda.

Bob Martín nie mógł powstrzymać uśmiechu, kochał swoją córkę bardziej niż kogokolwiek na świecie, bardziej niż własne życie. Machnięciem ręki zmierzwił jej indiańskie pióra i zabrał się do przygotowywania deseru. Amanda zawsze właściwie osądzała przelotne kochanki ojca, jej oceny bywały bardziej trafne niż jego. Nie zamierzał jej tego mówić, ale przygoda z Karłą dobiegała końca. Wyciągnął z zamrażalnika lody kokosowe i podał je w

pucharkach z czarnego szkła, wybranych przez architektkę ogrodów, a córka w tym czasie opłukała talerze po pizzy.

– Czekam, tato.

– Na co?

– Nie udawaj głupiego. Potrzebuję szczegółów na temat zabójstwa psychiatry – naciskała Amanda, zatapiając swojego loda w syropie czekoladowym.

– Richard Ashton. To było we wtorek dziesiątego.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście, że jestem pewien, Amando. Akta sprawy są na moim biurku.

– Ale nie da się ustalić dokładnej godziny śmierci, istnieje kilkugodzinny margines, dowiedziałam się tego z książki o zwłokach. Musisz ją przeczytać, nazywa się *Sztywniak* czy coś w tym stylu.

– Co ty czytasz, córeczko!?

– Gorsze rzeczy, niż sobie wyobrażasz, tato. Psychiatra musi być ważny, bo ty zostawiasz dla siebie najlepsze sprawy, nie tracisz czasu na byle trupy.

– Skoro w wieku siedemnastu lat jesteś tak cyniczna, wolę nie myśleć, jaka będziesz w wieku trzydziestu – stwierdził nadinspektor z teatralnym westchnieniem.

– Zimna i wyrachowana, jak twoja Polka. Opowiadaj dalej.

Zrezygnowany Bob Martín zaprowadził ją do swojego komputera, pokazał zdjęcia ciała oraz miejsca zbrodni i dał do przeczytania swoje notatki ze szczegółowym opisem ubrania ofiary oraz raport lekarza, który ona zdążyła już sfotografować komórką podczas poprzedniej wizyty.

– Żona znalazła go rano. Gdybyś ją widziała, Amando, jest niesamowita, to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Ayani, modelka. W wiadomościach mówili o niej więcej niż o ofierze. Jej zdjęcie jest wszędzie, chodzi cała w żałobie jak te antyczne wdowy, pomyśl, co za nedorzeczość – skomentowała Amanda.

– To żadna nedorzeczość. Może taki jest zwyczaj w jej kraju.

– Na jej miejscu byłabym zadowolona, że jestem wdową po takim strasznym mężu i że stałam się bogata. Jakie wrażenie zrobiła na tobie Ayani? Mam na myśli jej osobowość.

– Poza tym, że jest zjawiskowa, potrafi kontrolować swoje emocje. Była dość spokojna w dniu zabójstwa.

– Spokojna czy odprężona? Gdzie była, kiedy zabili jej męża? – wypytywała Amanda, myśląc o informacjach, których zażądają od niej gracze w *Ripperze*.

– Ingrid Dunn szacuje, że Ashton był martwy od jakichś ośmiu, dziesięciu godzin, nie mamy jeszcze ostatecznych wyników autopsji. Jego żona spała w domu.

– Bardzo wygodne...

– Ich służący, Galang, powiedział mi, że pani bierze środki nasenne i uspokajające;

podejrzewam, że dlatego następnego dnia wydawała się taka obojętna. Oczywiście również z powodu szoku.

– Nie możesz być pewien, że tej nocy Ayani wzięła środki nasenne.

– Galang zaniósł jej tabletki z filiżanką czekolady, jak zwykle, ale nie widział, żeby je połykała, jeśli to insynuujesz.

– Ona jest główną podejrzaną.

– Tak byłoby w filmie kryminalnym. W prawdziwym życiu kieruję się doświadczeniem. Mam nosa do takich rzeczy, dlatego jestem dobrym policjantem. Nie ma żadnego dowodu przeciwko Ayani, a mój nos mówi mi...

– Nie pozwól, żeby wygląd głównej podejrzanej wodził cię za ten twój nos, tato. Ale masz rację. Należy być otwartym na inne możliwości. Jeśli Ayani zamierzała zabić swojego męża, załatwiłaby sobie bardziej wiarygodne alibi niż tabletki na sen.

Środa, 25

Kiedy wieczorem Indiana wróciła do domu ojca i przejrzała pocztę, pośród rachunków i politycznej propagandy znalazła luksusowy magazyn wysyłany w prenumeracie wybranym posiadaczom niektórych kart kredytowych, który widywała czasami w gabinecie swojego dentysty. Dom był pogrążony w ciszy, przypadała noc squasha i niemieckiej knajpy. Zabrała magazyn do kuchni razem z resztą korespondencji, nastawiła wodę na herbatę, usiadła i zaczęła bezmyślnie przerzucać pismo. Zobaczyła, że jedna ze stron jest zaznaczona spinaczem, i znalazła artykuł, który miał zakłócić spokój jej życia.

Zdjęcie przedstawiało Alana Kellera przyjmującego gości w swojej winnicy z uwieszoną na ramieniu blondynką, którą podpisał na dole identyfikował jako Geneviève van Houte, belgijską baronesę, przedstawicielkę kilku europejskich projektantów mody. Indiana czytała artykuł z pewnym zaciekawieniem aż do trzeciego akapitu, z którego dowiedziała się, że Geneviève mieszka w Paryżu, ale krążą pogłoski, że niedługo przeniesie się do San Francisco jako żona Alana Kellera. Autor tekstu opisywał szczegółowo przyjęcie na cześć dyrygenta Orkiestry Symfonicznej, cytował opinie paru gości na temat rychłego ślubu, czego para nie zdementowała, i koncentrował się na rodowodzie rodziny van Houte, której członkowie nosili tytuł baronów od siedemnastego wieku. Na następnej stronie zobaczyła cztery inne fotografie Alana Kellera z tą samą kobietą, zrobione w różnych miejscach: w klubie w Los Angeles, podczas wycieczki statkiem na Alaskę, na gali i pod ramię na ulicy w Rzymie.

Indiana była oszołomiona, pulsowały jej skronie i drżały ręce. Zauważyła, że Geneviève na dwóch zdjęciach nosi krótkie włosy, a na innych długie, i że na Alasce Alan Keller miał na sobie beżowy kaszmirowy sweter, który tak się jej podobał, że dostała go w prezencie. Ponieważ zrobił to kilka tygodni po ich poznaniu, nasuwał się nieuchronny wniosek, że jej kochanka i baronesę łączyła długa znajomość. Raz jeszcze przeczytała artykuł i dokładnie obejrzała zdjęcia, szukając czegoś, co zaprzeczyłoby faktom, ale nie mogła niczego takiego znaleźć. Położyła magazyn na stole, na kopercie z folderami turystycznymi o Indiach, i siedziała ze wzrokiem wbitym w zmywarę, a na kuchence gwizdał czajnik z wrzącą wodą.

Od piętnastu lat nie doznała rozdarcia spowodowanego zdradą. Jako żona Boba Martina znosiła jego zachowanie beztroskiego nastolatka, jego puszki po piwie na podłodze, jego kumpli rozwalonych przed telewizorem i jego ataki szału, ale postanowiła się rozwieść dopiero wtedy, kiedy nie mogła już dłużej udawać, że nie wie o jego zdradach. Jeszcze trzy lata po rozwodzie Bob prosił ją o drugą szansę, ale straciła do niego zaufanie. Potem miała kilka romansów, które zakończyły się bez urazy, bo żaden inny mężczyzna nigdy jej nie zdradził ani nie zostawił. Jeśli stygł zapał, znajdowała delikatny sposób, żeby odejść. Może Alan Keller nie był idealnym partnerem, jak powtarzali często jej córka, Bob i Ryan Miller, ale do tej pory nie wątpiła w jego lojalność, którą uważała za podstawę ich związku. Te dwie kolorowe strony na kredowym papierze magazynu stanowiły dowód na to, że się myliła.

Żeby móc uzdrawiać inne ciała, Indiana musiała poznać dobrze swoje własne, i tak jak instynktownie dostrajała się do swoich pacjentów, tak samo dostrajała się do siebie samej. Alan Keller twierdził, że Indiana kontaktuje się ze światem poprzez zmysły i emocje, że żyje

w epoce poprzedzającej wynalezienie telefonu, w magicznej rzeczywistości, pełna wiary w ludzką dobroć; zgadzał się z Celeste Roko, która utrzymywała, że w poprzednim wcieleniu Indiana była delfinem, a w następnym wróci do morza, bo nie jest stworzona do stąpania po stałym lądzie, brakuje jej genu ostrożności. Oprócz tego od lat kroczyła duchową ścieżką, przez co jeszcze bardziej oderwała się od tego, co materialne, wyzwoliła swój umysł i serce. Ale nic z tego nie złagodziło ciosu, jakim były zdjęcia Alana Kellera z Geneviève van Houte.

Poszła do siebie, włączyła ogrzewanie i położyła się na łóżku, żeby w ciemności obserwować swoje uczucia, oddychać świadomie i wezwać qi, energię kosmiczną, którą starała się przekazywać swoim pacjentom, pranę, siłę podtrzymującą życie, jeden z aspektów Szakti, czuwającej nad nią bogini. Czuła szpony zaciskające się na jej piersiach. Długo płakała, aż wreszcie, po północy, uległa zmęczeniu i na kilka godzin zapadła w niespokojny sen.

Czwartek, 26

Indiana obudziła się wcześniej, po nocy pełnej burzliwych snów, których nie mogła sobie przypomnieć. Wtarała w nadgarstki kilka kropel neroli, olejku z kwiatu pomarańczy na uspokojenie, i zeszła do kuchni ojca, żeby zaparzyć rumianek z miodem i położyć lód na zapuchnięte powieki. Czuła się tak, jakby ktoś roztarł jej ciało na proszek, ale po rumianku i dwudziestu minutach medytacji oczyściła umysł i mogła z pewnym dystansem zastanowić się nad swoją sytuacją. Pewna, że ten stan zen nie potrwa długo, postanowiła działać, zanim znów zawładną ją emocje. Zadzwoiła do Alana Kellera, żeby umówić się z nim na pierwszą po południu na ich ulubionej ławce w parku Presidio, gdzie zazwyczaj się spotykali. Poranek upłynął bez dramatów, na pracy, a w południe zamknęła gabinet, wpadła do Danny'ego D'Angelo na cappuccino i pojechała rowerem do parku. Dotarła dziesięć minut przed czasem i usiadła na ławce z magazynem na kolanach. Uspokajające działanie rumianku i neroli zupełnie ustało.

Alan Keller zjawił się punktualnie, zadowolony, że to ona do niego zadzwoniła, jak w szczęśliwych czasach ich romansu, kiedy nagłące pożądanie brało górę nad wszelkimi nieporozumieniami. Przekonany, że taktyczna niespodzianka w postaci podróży do Indii przyniosła efekt, usiadł obok niej i próbował ją przytulić, rzucając jakiś żart, ale ona odsunęła się i podała mu magazyn. Keller nie musiał go otwierać, wiedział, co jest w środku, jednak do tej pory się tym nie przejmował, bo szansa, że pismo wpadnie w ręce Indiany, była znikoma. „Mam nadzieję, że nie wierzysz w te plotki, Indi. Uważałem cię za inteligentną kobietę, nie sprawiaj mi zawodu”, powiedział lekceważącym tonem. Była to kiepska taktyka.

Przez kolejne pół godziny próbował przekonać Indianę, że Geneviève van Houte jest tylko przyjaciółką, że poznali się, kiedy robił w Brukseli doktorat z historii sztuki, i pozostali w kontakcie z powodu obopólnych korzyści: on wprowadzał ją w zamknięte kręgi elity amerykańskiej, a ona wspierała go i doradzała mu w inwestycjach, ale nigdy nie rozważali możliwości zawarcia małżeństwa, co za absurdalny pomysł, te plotki są śmieszne. Potem przeszedł do szczegółowego zrelacjonowania swoich ostatnich kłopotów finansowych, a Indiana słuchała go w kamiennej ciszy, bo jej rzeczywistość była mierzona w pojedynczych dolarach, a jego w setkach tysięcy.

W ubiegłym roku, kiedy trzymając się za ręce, spacerowali po Stambule, wypłynął temat pieniędzy i sposobu ich wydawania. Indiany nie kusiły bizantyjskie drobiazgi z bazaru, a na targu z przyprawami powąchała wszystko, co się dało, ale kupiła tylko kilka gramów kurkumy. Za to Keller przez cały tydzień targował się o stare dywany i otomańskie dzbany, a potem narzekał na wysokie ceny. Zapytała go wtedy, ile potrzeba, żeby być zaspokojonym, kiedy można powiedzieć dość, po co gromadzi coraz więcej rzeczy i skąd bierze na nie pieniądze, skoro nie pracuje. „Nikt się nie bogaci, pracując”, odpowiedział rozbawiony i zrobił jej wykład na temat dystrybucji bogactw, o tym, jak prawa i religie zawsze chroniły dobra i przywileje tych, którzy posiadali najwięcej, ku zgubie biednych, po czym podsumował, że system jest strasznie niesprawiedliwy, ale na szczęście on należy do grupy wybrańców.

Na ławce w parku Indiana przypomniła sobie tamtą rozmowę, kiedy on tłumaczył jej, ile

jest winien za podatki, karty kredytowe i inne rzeczy, że jego ostatnie inwestycje splajtowały i że nie będzie mógł dłużej powstrzymywać wierzycieli obietnicami i prestiżowym nazwiskiem.

– Nie wiesz, jakie to nieprzyjemne być bogaczem bez pieniędzy – westchnął Keller na zakończenie.

– Na pewno dużo gorsze niż bycie zdecydowanie biednym. Ale nie jesteśmy tu z tego powodu, chodzi o nas. Widzę, że nigdy nie kochałeś mnie tak, jak ja ciebie, Alanie.

Zabrała magazyn, wręczyła mu kopertę z folderami turystycznymi na temat Indii, założyła kask i odjechała na rowerze, zostawiając kochanka, który siedział zaskoczony i wściekły, choć w duchu musiał przyznać, że powiedział Indianie tylko część prawdy: faktycznie nie zamierzał się żenić z Geneviève, ale pominął informację, że od szesnastu lat łączyła ich *amitié amoureuse*.

Keller i Belgijka rzadko się widywali, bo ona wciąż krążyła między Europą a różnymi miastami Stanów Zjednoczonych, ale spotykali się, kiedy los rzucił ich w to samo miejsce. Geneviève była inteligentna i dowcipna, potrafili spędzić część nocy na prowadzeniu intelektualnych pojedynków zaprawionych ironią i złośliwością, które tylko oni rozumieli. Jeśli go o to prosiła, zaspokajał ją w łóżku z pomocą paru akcesoriów erotycznych, które ona zawsze wozila ze sobą w podróźnej walizce. Byli do siebie podobni, należeli do kosmopolitycznej klasy społecznej, której członkowie rozpoznają się w każdym zakątku planety, oboje zjeździli świat i swobodnie czuli się w luksusie, uważając go za coś naturalnego. Byli zagorzałymi melomanami, połowę swoich płyt Alan dostał w prezencie od Geneviève, od czasu do czasu spotykali się na festiwalach muzycznych w Mediolanie, Nowym Jorku czy Londynie. Istniał ogromny kontrast między przyjaciółką, którą Plácido Domingo i Renée Fleming zapraszali osobiście na swoje występy, a Indianą Jackson, która nigdy nie była w operze, dopóki Alan nie zabrał jej na *Toskę*. Muzyka nie zrobiła na niej wrażenia, ale szlochała na jego ramieniu wzruszona treścią melodramatu.

Rozzłoszczony Keller uznał, że nie złamał żadnej umowy z Indianą, że z Geneviève nie łączy go przecież miłość, że ma dość nieporozumień i poczucia winy z powodu drobiazgów, że ten związek i tak trwał już za długo i skończył się w samą porę. Jednak kiedy patrzył, jak Indiana odjeżdża na rowerze, zadał sobie pytanie, jak on by zareagował, gdyby sytuacja była odwrotna i chodziło o miłosną przyjaźń między Indianą i Millerem. „Idź do diabła, idiotko!”, mruknął. Czuł się śmieszny. Nie zamierzał nigdy więcej jej widzieć, co za niesmaczna scena, coś podobnego nigdy by go nie spotkało z kobietą taką jak Geneviève. Wybić sobie Indianę z głowy, zapomnieć o niej, to powinien teraz zrobić, i faktycznie już zaczął o niej zapominać. Otarł łzy grzbietem dłoni i szybkimi, długimi krokami poszedł do samochodu.

Spędził noc bezsennie, krążąc po domu w Woodside w rękawiczkach i płaszczu narzuconym na piżamę, bo słabe ogrzewanie połykały podmuchy wiatru, który z niepokojącym gwizdem wciskał się przez szpary w deskach. Opróżnił do dna butelkę swojego najlepszego wina, przeżuwał liczne powody, dla których powinien ostatecznie rozstać się z Indianą: to, co zaszło, kolejny raz wskazywało na ograniczone horyzonty i prostactwo tej kobiety. Czego ona chciała? Żeby zrezygnował ze swoich przyjaźni i swojego kręgu towarzyskiego? Krótkie

potyczki z Geneviève nic nie znaczyły, tylko ktoś tak mało światowy jak Indiana mógł zrobić aferę z powodu takiego drobiazgu. Nawet nie pamiętał, żeby przyrzekał jej wierność. Kiedy to było? Musiał być zamroczony, a jeśli to zrobił, to dla czystej formalności, nie składał jej przecież żadnych obietnic. Nie pasowali do siebie, wiedział o tym od początku, popełnił błąd, podsycając w Indianie fałszywe nadzieje.

Wino bardzo źle mu zrobiło. Powitał ranek z nadkwasotą i bólem głowy. Po dwóch tabletkach i łyżce mleczka magnezowego poczuł się lepiej, był w stanie wypić kawę i zjeść tosty z angielską marmoladą. Starczyło mu nawet sił na pobieżne przejrzanie gazety. Miał na ten dzień plany i nie zamierzał ich zmieniać. Wziął długi prysznic, żeby zmyć ślady nieprzespanej nocy, i wydawało mu się, że odzyskał zwykłą równowagę, ale kiedy poszedł się ogolić, zobaczył, że nagle przybyło mu dziesięć lat i z lustra spogląda na niego jeden ze starców z obrazu Tintoretta. Usiadł nagi na brzegu wanny i wpatrywał się w niebieskie żyły na stopach, wzywając i przeklinając Indianę.

Sobota, 28

Zatoka San Francisco przebudziła się jak zwykle spowita mleczną mgłą, która staczała się ze szczytów wzgórz niczym powolna bawełniana lawina, zamazując kontury świata i zasłaniając aluminiowy blask wody. Był to jeden z tych dni, kiedy temperatura po obu stronach mostu Golden Gate różniła się o kilka stopni: w San Francisco panowała zima, a cztery kilometry dalej na północ świeciło jesienne słońce. Dla Ryana Millera największą zaletą tego miejsca był błogosławiony klimat, który pozwalał mu trenować na świeżym powietrzu przez cały rok. Wziął czterokrotnie udział w triathlonach Ironman polegających na przepłynięciu 3,86 kilometra, przejechaniu na rowerze 180,2 i przebiegnięciu 42,2 kilometra. Uzyskał marną średnią czternastu godzin, jednak za każdym razem prasa nazywała go „przykładem zwycięstwa nad samym sobą”, co doprowadzało go do szału, bo kikuty zamiast nóg miało tylu weteranów wojennych, że jego nie zasługiwał nawet na wzmiankę. Fakt, przewyższał innych inwalidów, którym brakowało środków i musieli zadowolić się zwykłymi protezami. Jego była doskonała, jedynie lekko utykał, mógłby nawet tańczyć tango, gdyby tylko miał większe wyczucie rytmu i nie bał się ośmieszyć, bo nigdy nie był dobrym tancerzem. Jego zdaniem prawdziwym przykładem zwycięstwa nad samym sobą jest Dick Hoyt, ojciec, który brał udział w triathlonie, taszcząc ze sobą swojego niepełnosprawnego syna, już dorosłego i równie ciężkiego jak on sam. Mężczyzna płynął, ciągnąc ponton z chłopakiem w środku, wiózł go na rowerze na krzeselku przymocowanym z przodu kierownicy i biegł, popychając wózek inwalidzki. Za każdym razem, kiedy Miller widział go w czasie zawodów, uparta miłość tego ojca, tak bardzo kontrastująca z surowością jego własnego rodziciela, wyciskała mu łzy z oczu.

Jego dzień jak zwykle zaczął się o piątej rano chwilą poświęconą qigong. To stawiało go w pionie na resztę dnia i niemal zawsze doprowadzało do zgody z własnym sumieniem. Przeczytał kiedyś w jakiejś książce o samurajach zdanie, które obrał za życiowe motto: wojownik bez praktyki duchowej jest tylko mordercą. Przygotował sobie śniadanie, zielony gęsty koktajl z ilością protein, błonnika i węglowodanów wystarczającą, żeby przeżyć na Antarktydzie, i zabrał Attyłę na jogging, żeby się nie rozleniwił. Pies nie był już taki młody, miał osiem lat, ale tryskał energią, a po służbie na wojnie nudziło go spokojne życie w San Francisco. Wytresowali go, żeby bronił i atakował, wykrywał miny i terrorystów, odstraszał wrogów, skakał ze spadochronem, pływał w lodowatej wodzie i robił inne rzeczy niemające zastosowania w cywilnym społeczeństwie. Był ślepy na jedno oko i głuchy, ale te ograniczenia rekompensował zmysł węchu, wybitny nawet jak na psa. Rozumiał Millera na migi, odgadywał jego zamiary i słuchał rozkazów, które uznał za istotne; jeśli uważał inaczej, zasłaniał się swoją głuchotą, żeby nie musieć okazywać panu nieposłuszeństwa.

Po godzinnym bieganiu mężczyzna i pies wrócili zdyszani. Attyła zwałił się w kącie, a Miller przystąpił do ćwiczeń na przyrządach rozstawionych niczym makabryczne rzeźby w jego lofcie, dużej pustej przestrzeni z szerokim łóżkiem, telewizorem, sprzętem grającym i prostym stołem, która służyła mu za jadalnię, gabinet i warsztat. Na olbrzymiej konsoli stały komputery łączące go bezpośrednio z agencjami rządowymi, którym sprzedawał swoje usługi.

Nie było żadnych zdjęć, dyplomów, odznaczeń... niczego osobistego, jakby dopiero się przeprowadził albo miał zaraz wyjechać. Na ścianach wisiała za to kolekcja broni, którą dla rozrywki rozkładał i czyścił.

Mieszkanie zajmowało całe drugie piętro dawnej drukarni w przemysłowej dzielnicy San Francisco. Budynek z cementu i cegły był nieprzytulny i niemożliwy do ogrzania zimą, ale wystarczająco duży dla niespokojnego ducha Millera, wyposażony w ogromny garaż i windę towarową, żelazną klatkę, którą w razie potrzeby można by wwieźć czołg. Wybrał ten loft ze względu na jego rozmiary, ale też dlatego, że lubił samotność. Był jedynym lokatorem w budynku, a po szóstej wieczorem i w weekendy nikt nie chodził ulicami tej dzielnicy.

Co drugi dzień Miller pływał w basenie olimpijskim, a w pozostałe dni w zatoce. Tej soboty przyjechał do Aquatic Park, gdzie mógł na cztery godziny za darmo zostawić samochód na ulicy, i ruszył z Attylą w stronę Dolphin Club. Było zimno i o tej wczesnej porze biegало tylko kilka osób, które niespodziewanie wyłaniały się z gęstej mgły niczym zjawy. Pies na wszelki wypadek szedł na smyczy i w kagańcu: wciąż potrafił pobiec z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i rozszarpać zębami kamizelkę kuloodporną, a kiedy zaciskał szczęki na jakiejś zdobyczy, trudno było go namówić, żeby puścić. Millerowi zajęło rok przystosowanie psa do życia w mieście, ale bał się, że jeśli zwierzę zostanie sprowokowane albo zaskoczone, może zaatakować, a wtedy musiałyby je uśpić. Zgodził się na ten kompromis, kiedy powierzono mu Attyłę, ale nie był w stanie pogodzić się z myślą, że mógłby poświęcić swojego towarzysza broni i najlepszego przyjaciela. Zawdzięczał mu życie. Kiedy podczas akcji w Iraku w 2007 roku został ranny i rozerwało mu nogę, zanim stracił przytomność, zdołał jeszcze założyć sobie opaskę uciskową na kończynę, ale umarłby, gdyby nie interwencja Attyli, który przeciągnął go ponad sto metrów pod gradem kul, a potem położył się na nim, żeby chronić go własnym ciałem, dopóki nie nadeszła pomoc. W śmigłowcu ratowniczym Miller wzywał swojego psa i wciąż wołał go w samolocie, którym poleciał do amerykańskiego szpitala w Niemczech.

Kilka miesięcy później, po długiej rehabilitacji, dowiedział się, że Attyli przydzielono nowego trenera i że służy teraz w innej jednostce Navy SEALs w rejonie kontrolowanym przez Al-Kaidę. Na zdjęciu, które mu wysłano, nie rozpoznał psa, bo całkowicie go ogolili, zostawiając tylko pas sierści na grzbiecie, jak u Mohikanina, żeby nadać mu jeszcze bardziej przerażający wygląd. Śledził jego losy dzięki braciom z SEAL Team 6, którzy przekazywali mu wiadomości, i tak dowiedział się, że w listopadzie 2008 roku Attyła został ranny.

Wtedy miał już za sobą liczne ataki i akcje ratunkowe, ocalił życie wielu osobom i stawał się legendą wśród Navy SEALs. Któregoś dnia, kiedy jechał w konwoju ze swoim trenerem i kilkoma innymi żołnierzami, na drodze wybuchła mina. Eksplozja zniszczyła parę pojazdów, zabiła dwie osoby, a pięć raniła, do tego także Attyłę. Pies był w tak złym stanie, że wszyscy myśleli, iż nie żyje, ale zabrali go razem z pozostałymi, bo nie zostawia się towarzysza broni na polu bitwy, to święta zasada. Attyła otrzymał pomoc medyczną i przeżył mimo ran, choć nie nadawał się już do walki. Został odznaczony – Ryan Miller trzymał w pudełku razem ze swoimi odznaczeniami także medal Attyli i zdjęcie zrobione podczas tej krótkiej ceremonii.

Na wieść o tym, że pies został wypuszczony ze szpitala, Miller wszczął skomplikowaną procedurę, by sprowadzić go do Stanów Zjednoczonych i przygarnąć, co wymagało pokonania

mnóstwa biurokratycznych barier. Kiedy w końcu pojechał po Attyłę do bazy wojskowej, zwierzę natychmiast go rozpoznało, skoczyło mu na piersi, po czym obaj poturlali się po ziemi i zaczęli bawić, jak to robili wcześniej.

Ośrodek pływacko-wioślarski Dolphin Club istniał od roku 1877 i od tego czasu prowadził przyjacielską rywalizację z sąsiednim klubem South End, mieszczącym się w tej samej zgrzybiałej budowlu z drewna, oddzielonym jedynie ścianką i drzwiami bez klucza. Ryan dał znak Attyli, a ten prześlizgnął się dyskretnie i ukrył w szatni, obok dużej żółtej tablicy zakazującej wprowadzania psów. Sam ruszył schodami do punktu widokowego, okrągłej salki z dwoma rozlatującymi się fotelami i bujakiem. Był tam już Frank Rinaldi, administrator klubu, który miał za sobą osiemdziesiąt cztery lata życia i zawsze przychodził pierwszy. Siedział w fotelu na biegunach i podziwiał najpiękniejsze widowisko w mieście: most Golden Gate oświetlony blaskiem wschodzącego słońca.

– Potrzebuję ochotników do czyszczenia łazienek. Wpisz się na listę, chłopcze – powiedział na powitanie.

– Zrobię to. Idziesz dziś pływać, Frank?

– A co myślisz? Że przez resztę dnia będę siedział przy grzejniku? – warknął stary.

Nie był jedynym osiemdziesięcioletkiem, który stawiał czoło lodowatym wodom zatoki. Niedawno zmarł członek klubu, który zanurzał się w wodzie w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat, ten sam, który kiedy skończył sześćdziesiątkę, dopłynął z Alcatraz z kajdanami na nogach, ciągnąc łódź. Rinaldi, tak jak Ryan Miller i Pedro Alarcón, należał do Klubu Polarnego, którego członkowie przepływali zimą po sześćdziesiąt cztery kilometry. Każdy codziennie zapisywał swój wynik w tabelce na kartce przyklepionej do ściany czterema pinezkami. Do oszacowania pokonanego dystansu służyła mapa Aquatic Park i lina z węzłami – była to prymitywna metoda, jednak nikt nie widział potrzeby, by ją zmieniać. Uczciwe liczenie kilometrów, jak wszystko w klubie, było sprawą honoru, i system funkcjonował perfekcyjnie od stu trzydziestu pięciu lat.

W szatni Ryan Miller włożył kąpielówki i przed zejściem na plażę pogłaskał po grzbiecie Attyłę. Pies przyciął się w kącie z nosem w przednich łapach, żeby czekać na swojego pana, ale pozostać niezauważonym. Na plaży Ryan spotkał Pedra Alarcona, który przyszedł wcześniej, ale nie zamierzał wchodzić do wody, bo miał grypę. Przygotował sobie łódkę z wiosłami, był ubrany w grubą kurtkę, czapkę i szalik, w ręku niósł naczynko do mate, a pod pachą termos z gorącą wodą. Przywitali się niemal niezauważalnym gestem.

Alarcón zepchnął łódkę, jednym susem wskoczył do środka i zniknął we mgle. Miller włożył pomarańczowy czepek i okulary, zdjął protezę, którą zostawił na piasku, pewien, że nikt jej nie ruszy, i wskoczył do morza. Poczł uderzenie zimnej wody, ale zaraz potem radość z pływania sprawiła, że znalazł się w siódmym niebie. W takich momentach znów był dawnym Ryanem – lekki jak piórko, stawiał czoło zdradzieckim prądom, wytrzymywał temperaturę ośmiu stopni Celsjusza, od której chrzęściły mu kości, poruszał się napędzany potężnymi mięśniami ramion i pleców. Po kilku machnięciach rękami przestał czuć zimno i skoncentrował się na oddychaniu, prędkości i trasie wyznaczonej bojami, które ledwo widział

przez ochronne okulary i mgłę.

Obaj mężczyźni trenowali przez godzinę i wrócili na plażę w tym samym czasie. Alarcón wyciągnął łódkę na brzeg i podał Millerowi protezę.

– Nie jestem w najlepszej formie – mruknął Ryan, kiedy wsparty na ramieniu przyjaciela szedł w stronę klubu, utykając, bo bolał go zeszywniały kikut.

– Nogi dają tylko dziesięć procent napędu w wodzie. Masz mięśnie jak koń, chłopie. Nie marnuj nóg na pływanie. W triathlonie musisz zachować je na jazdę na rowerze i bieg.

Przerwało im gwizdnięcie Franka Rinaldiego, który ze szczytu schodów informował, że mają gościa. Przy nim stała Indiana Jackson z dwoma plastikowymi kubeczkami w dłoni, zaczerwienionym nosem i oczami łzawiącymi po jeździe rowerem, którym zazwyczaj się przemieszczała.

– Przywiozłam wam najbardziej dekadenczką rzecz, jaką znalazłam: gorącą czekoladę z morską solą i karmelem, od Ghirardellego – powiedziała.

– Coś się stało? – zapytał Ryan zaalarmowany obecnością przyjaciółki w klubie, gdzie nigdy wcześniej nie stanęła jej stopa.

– To nic pilnego...

– W takim razie pozwól, żeby Miller wszedł na chwilę do sauny. Paru ryzykantów umarło w tych wodach z powodu wychłodzenia – powiedział Rinaldi.

– A innych pożarły rekiny – zakpił Miller.

– To prawda? – zapytała.

Rinaldi wyjaśnił, że od dawna nie widziano tu rekinów, ale kilka lat wcześniej do zatoczki Aquatic Park wtargnął lew morski. Pogryzł nogi czternastu osobom i pogonił dziesięć innych, które ledwo wyszły z tego cało. Eksperci orzekli, że bronił swojego haremu, ale Rinaldi był przekonany, że zwierzę miało uszkodzony mózg z powodu toksycznych alg.

– Ile razy ci mówiłem, że nie możesz przyprowadzać do klubu psa?

– Mnóstwo, Frank, a ja za każdym razem tłumaczyłem ci, że Attyla jest psem na służbie, jak przewodnicy niewidomych.

– Chciałbym wiedzieć, jaką służbę pełni ta bestia!

– Koi moje nerwy.

– Członkowie Dolphin Club się skarżą. Twój pies może kogoś ugryźć.

– Jak ma ugryźć, skoro nosi kaganiec, Frank! Poza tym atakuje tylko wtedy, kiedy mu każę.

Ryan wziął krótki gorący prysznic i szybko się ubrał, zdziwiony, że Indiana zapamiętała, iż w soboty o tej porze trenuje w klubie. Zawsze uważał ją za osobę roztrzepaną. Jego przyjaciółka była trochę nieprzytomna, uciekały jej drobiazgi dotyczące dnia codziennego, gubiła się w mieście, nie potrafiła kontrolować wydatków, zostawiała gdzieś telefon i portfel, ale w pracy jakimś cudem potrafiła być punktualna i zorganizowana. Kiedy związywała gumką włosy i wkładała w gabinecie białą fartuch, zamieniała się w rozsądną siostrę kobiety z

potarganymi włosami i w opiętym ubraniu. Ryan Miller kochał je obie: roztrzepaną, zwariowaną przyjaciółkę, która wносиła radość w jego życie i którą chciał chronić, tę, której przyglądał się ze swojego krzesła, kiedy tańczyła upojona rytmem i piña coladą w latynoskim klubie, dokąd zabierał ich brazylijski malarz, i tę drugą, powściągliwą i poważną uzdrowicielkę, która przynosiła ulgę jego obolałym mięśniom, czarodziejkę od złudnych olejków, magnesów korygujących siły wszechświata, kryształów, wahadełek i świec. Żadna z nich nie podejrzywała istnienia tej miłości, która oplatała go niczym bluszcz.

Dał znak Attyli, żeby został w swoim kącie, i udał się do punktu widokowego, gdzie czekała na niego Indiana. Była sama, bo Alarcón i Rinaldi już sobie poszli. Usiedli w wytartych fotelach na wprost wielkich okien i przy akompaniamencie krzyku mew patrzyli na mleczny krajobraz i wierzchołki wysokich wież mostu wystających znad mgły, która zaczynała się rozpraszać.

– Czemu zawdzięczam tę miłą wizytę? – zapytał Ryan, zmuszając się do wypicia prawie zimnej czekolady ze stwardniałą jak klej śmietaną, którą mu przyniosła.

– Chyba już wiesz, że między mną i Alanem wszystko skończone.

– Nie mów! Jak do tego doszło? – zapytał Ryan, nie kryjąc zadowolenia.

– Jeszcze się pytasz! To przez ciebie. To ty wysłałeś mi ten magazyn. Byłam taka pewna miłości Alana... Jak mogłam się co do niego tak pomylić? Kiedy zobaczyłam zdjęcia, poczułam, jakby mnie ktoś uderzył. Czemu to zrobiłeś, Ryane?

– Ja ci niczego nie wysyłałem, Indi, ale jeśli dzięki temu pozbyłaś się tego piernika, tym lepiej.

– Nie jest stary, ma pięćdziesiąt pięć lat i świetnie się trzyma. Zresztą nieważne, nie ma go już w moim życiu – obwieściła, wycierając nos papierową serwetką.

– Opowiedz mi, co się stało.

– Najpierw przysięgnij, że to nie ty wysłałeś mi ten magazyn.

– Mówisz tak, jakbyś mnie nie znała! – wykrzyknął Miller, rozgniewany. – Ja nie uciekam się do wybiegów, działam z otwartą przyłbicą. Nigdy nie dałem ci powodów do zwątpienia w moją uczciwość.

– Oczywiście, Ryane, wybacz mi, jestem taka zdezorientowana. Znalazłam to w mojej skrzynce na listy – powiedziała i podsunęła mu kilka złożonych na pół kartek, które on szybko przeczytał i zwrócił.

– Van Houte jest podobna do ciebie. – Tylko taki bezsensowny komentarz przyszedł mu do głowy.

– Wyglądamy identycznie! Tyle że ona ma dwadzieścia lat więcej, waży o dziesięć kilo mniej i nosi ubrania od Chanel – odparła.

– Ty jesteś o wiele ładniejsza.

– Nie znoszę braku lojalności, Ryane. To silniejsze ode mnie.

– Przed sekundą oskarżyłaś mnie o zdradę.

– Przeciwnie, myślałam, że wysłałeś ten artykuł przez lojalność, żeby wyświadczyć mi

przysługę, otworzyć oczy.

– Byłbym tchórzem, gdybym nie powiedział ci o tym wprost.

– Tak, oczywiście. Muszę wiedzieć, Ryanie, kto to zrobił. Nie przysłał tego pocztą, koperta nie miała znaczka. Ktoś zadał sobie trud, żeby wrzucić ją do mojej skrzynki.

– Mógł to być któryś z twoich wielbicieli, Indi, i zrobić to w najlepszej wierze: żebyś wiedziała, jakiego rodzaju człowiekiem jest Alan Keller.

– Ta osoba zostawiła kopertę w moim domu, nie w klinice, wie, gdzie mieszkam, i zna moje prywatne życie. Mówiłam ci, że zginęło mi kilka sztuk bielizny? Jestem pewna, że ktoś wszedł do mojego mieszkania, może nawet więcej niż raz, nie mam jak tego sprawdzić. Łatwo się tam dostać tak, żeby nikt nie widział z ulicy, bo schody są z boku domu, zasłonięte gęstą sosną. Amanda powiedziała o tym Bobowi, a wiesz, jaki on jest zaborczy, przyszedł ze ślusarzem i wymienił zamki w drzwiach w mieszkaniu ojca i moim. Od tego czasu nic więcej nie zginęło, ale nieraz mam wrażenie, że ktoś był w środku, nie potrafię ci tego wytłumaczyć, jego obecność unosi się w powietrzu, jak jakaś zjawą. Myślę, że ktoś mnie szpieguje, Ryanie...

Poniedziałek, 30

W ciągu trzech lat, które minęły, od kiedy zaczęła przychodzić do Kliniki Holistycznej, Denise West stała się ulubioną pacjentką wielu spośród tamtejszych terapeutów. Choćby świat się walił, zawsze poświęcała poniedziałkowe popołudnia swojemu zdrowiu i sztuce. Na reiki, drenaż limfatyczny i aromaterapię chodziła do Indiany, na akupunkturę do Yumiko Sato, David McKee aplikował jej swoje słodkie pastylki homeopatyczne, a zwieńczeniem miłego wieczoru była lekcja malarstwa z Matheusem Pereirą. Nigdy nie opuszczała zabiegów, chociaż dojazd hałaśliwą ciężarówką, którą wozila produkty ze swojego małego gospodarstwa na uliczne targowiska, zajmował jej półtorej godziny. Wyjeżdżała wcześniej, bo zaparkowanie w North Beach było prawdziwym wyzwaniem. Zawsze obdarowywała lekarzy dusz – jak ich nazywała – jakimiś przysmakami ze swojego ogrodu: cytrynami, sałatą, cebulą, bukietami narcyzów, świeżymi jajami.

Denise miała sześćdziesiąt lat i zapewniała, że żyje dzięki Klinice Holistycznej, gdzie przywrócono jej zdrowie i optymizm po wypadku zakończonym sześcioma złamaniami kości i urazem mózgu. W klinice rozładowywała frustracje polityczne i społeczne (była anarchistką) i otrzymywała wystarczająco dużo pozytywnej energii, by zachować waleczność przez resztę tygodnia. Lekarze dusz darzyli ją ogromną sympatią, podobnie jak Matheus Pereira, choć denerwował go styl artystyczny, w jakim tworzyła Denise. Pereira używał podstawowych kolorów, długimi pociągnięciami pędzla malował na wielkich płótnach udręczone istoty, podczas gdy ona wołała kurczaczki i baranki, co dało się usprawiedliwić tylko tym, że żyła z rolnictwa i hodowli zwierząt, bo taka tematyka nie miała nic wspólnego z jej charakterem Amazonki. Pomimo różnicy stylów oboje miło spędzali czas. Denise skrupulatnie płaciła Pereirze pięćdziesiąt dolarów za lekcję, a on przyjmował je z poczuciem winy, bo jedyną rzeczą, której nauczyła się w ciągu trzech lat, było przygotowywanie płócien i czyszczenie pędzli. Na Boże Narodzenie rozdawała swoje dzieła sztuki przyjaciołom, także lekarzom dusz. Indiana trzymała w garażu ojca całą kolekcję kurczaczków i baranków, Yumiko przyjmowała prezent, oburącz i z licznymi pokłonami, zgodnie z etykietą obowiązującą w jej kraju, ale potem dyskretnie się go pozbywała. Tylko David McKee cenił sobie te olejne malowidła i wieszał je w swoim gabinecie, bo był z zawodu weterynarzem, ponieważ jednak odnosił wielkie sukcesy jako homeopata, cała jego klientela składała się z ludzi, z wyjątkiem cierpiącego na reumatyzm pudła, który został również pacjentem Indiany.

To Ryan Miller i Pedro Alarcón przyprowadzili Denise West do Kliniki Holistycznej i oddali ją w ręce Indiany w nadziei, że będzie w stanie jej pomóc. Denise i Alarcón bardzo się przyjaźnili, przez krótki czas byli kochankami, jednak żadne z nich nigdy nie poruszało tego tematu; udawali, że o tym zapomnieli. Kości Denise zrosły się po kilku skomplikowanych operacjach, ale nadal miała słabe kolana i biodra oraz nieprzyjemne uczucie, że w jej kręgosłupie tkwi dzida. Te niedomagania nie ograniczały jej aktywności, zносиła je dzięki dużym ilościom aspiryny i dżinu. Była zmęczona z powodu bezsenności i wściekła na cały świat; dopiero połączone starania lekarzy dusz i zabawa w malarstwo olejne dokonały cudu polegającego na przywróceniu jej tej radości, która lata wcześniej oczarowała Pedra

Alarcona.

Tego poniedziałku po zakończeniu sesji Denise zeszła z łóżka do masażu, westchnęła uszczęśliwiona, włożyła sztruksowe spodnie, flanelową koszulę w kratę i męskie buty, w których zawsze chodziła, i postanowiła poczekać na Ryana Millera, umówionego na wizytę u Indiany zaraz po niej. Dzięki zabiegom holistycznym była w stanie wspiąć się w klinice na pierwsze piętro, uczepiona poręczy w stylu art déco, ale nigdy nie weszłaby po stromych schodkach prowadzących do nadbudówki, dlatego lekcje malarstwa odbywały się w pustym od kilku lat gabinecie numer trzy. Chiński inwestor, właściciel nieruchomości, nie zdołał go wynająć, bo dwóch lokatorów popełniło tam samobójstwo: pierwszy powiesił się dyskretnie, drugi roztrzaskał sobie głowę strzałem z pistoletu, obryzgując wszystko dookoła krwią i mózgiem. Niejeden praktyk medycyny alternatywnej interesował się lokalem położonym w dobrym punkcie i działającym pod szyldem prestiżowej Kliniki Holistycznej, ale rezygnował, kiedy poznawał jego historię. Po North Beach krążyły plotki, że pod trójką straszą samobójcy, ale Pereira, który mieszkał w budynku, nigdy nie widział tam niczego nienaturalnego.

Ryan Miller, który odwiedzał Indianę w poniedziałki, często odbierał Denise po skończonej lekcji malarstwa i odprowadzał do ciężarówki. On też dostawał na Boże Narodzenie olejne obrazki zwierząt domowych; trafiały na doroczną aukcję na rzecz schroniska dla maltretowanych kobiet, gdzie wreszcie były doceniane.

Miller wyszedł z zabiegu pogodzony ze światem i z samym sobą, mając jeszcze przed oczami obraz Indiany i czując jej dłonie na swoim ciele. W korytarzu minął Carol Underwater, którą spotkał już kilka razy w klinice.

– Jak się pani miewa? – zapytał z grzeczności, przewidując odpowiedź, która zawsze brzmiała tak samo.

– Mam raka, ale jeszcze żyję, jak pan widzi.

Po sesji z Millerem ulotnił się gdzieś spokój Indiany, który spływał na nią w czasie pracy, kiedy była skupiona na zabiegu. Znów ogarnął ją smutek z powodu niefortunnego zakończenia romansu i niejasna obawa wywołana uczuciem, że jest obserwowana, od której nie potrafiła się uwolnić. Już kilka godzin po rozstaniu z kochankiem w parku przeszła jej złość, a zaczęła się rozpacz po stracie. Nigdy nie wyłakała tylu łez z miłości. Zadawała sobie pytanie, jak to się stało, że nie zauważyła, że coś jest nie tak. Alan wyglądał na nieobecny duchem, był zmartwiony i przygnębiony; oddalili się od siebie. Zamiast go wypytać, postanowiła dać mu czas i przestrzeń, nie podejrzewając, że powodem jest inna kobieta. Zebrała ręczniki i prześcieradła, posprzątała swój mały gabinet, po czym zanotowała kilka uwag na temat stanu zdrowia Denise West i Ryana Millera, jak robiła po wizycie każdego pacjenta.

Tego dnia to Carol Underwater przypadło w udziale pocieszenie, co było czymś nowym w jej przyjaźni z Indianą, w której dotąd odgrywała rolę ofiary. Dowiedziała się o Kellerze w niedzielę, kiedy zadzwoniła, żeby zaprosić ją do kina. Zorientowała się, że jest smutna, i skłoniła ją, żeby się wyżałowała. Na widok Carol z koszykiem pod pachą Indiany, poruszona dobrocią kobiety, która niedługo mogła umrzeć i miała poważniejsze niż ona powody, by rozpaczać, poczuła wyrzuty sumienia z powodu licznych sytuacji, kiedy okazywała jej

zniecierpliwienie. Widziała, jak siedzi na krześle w poczekalni, w swojej grubej spódnicy, kurtce koloru ziemi, chustce na głowie, z koszykiem na kolanach, i postanowiła, że kiedy Carol skończy radioterapię i poczuje się lepiej, zabierze ją do swoich ulubionych lumpeksów i kupi jej coś bardziej młodzieżowego i kobiecego. Uważała się za eksperta od używanej odzieży, miała doskonałe oko i potrafiła odkryć nieocenione skarby zagrzebane pośród nienadających się do niczego szmat, jak swoje buty z wężowej skóry, szczyt elegancji, które mogła nosić bez skrupułów, bo żaden gad nie został wypatroszony z ich powodu – były z plastiku, wyprodukowane na Tajwanie.

– Szkoda mi ciebie, Indi. Wiem, że cierpisz, ale wkrótce się przekonasz, że to dla ciebie błogosławieństwo. Zasługujesz na dużo lepszego mężczyznę niż Alan Keller – powiedziała Carol.

Miała drżący, słaby głos, mówiła konwulsyjnym szeptem, jakby brakowało jej powietrza albo mieszały się jej myśli, niczym głupawej blondynce ze starego filmu, tyle że w ciele bałkańskiej wieśniaczki. Tak Alan Keller opisał Carol, kiedy ją poznał, gdy jeden jedyny raz przypadkiem znaleźli się wszyscy troje w Café Rossini. Indiana, która musiała się zmuszać, żeby jej słuchać, i z trudem ukrywała irytację, jaką wywoływał w niej ten sposób mówienia, przypisywała go chorobie: możliwe, że Carol miała uszkodzone struny głosowe.

– Wierz mi, Indiano, Keller nie był odpowiednim mężczyzną dla ciebie.

– W miłości nikt nie myśli o tym, co jest odpowiednie. Spotykałam się z Alanem cztery lata i byliśmy szczęśliwi, przynajmniej tak sądziłam.

– To dużo czasu. Kiedy zamierzaliście się pobrać?

– Nigdy o tym nie mówiliśmy.

– Dziwne! Oboje jesteście wolni.

– Nie spieszyło się nam. Chciałam zaczekać, aż Amanda pójdzie na uniwersytet.

– Dlaczego? Twoja córka go nie lubiła?

– Amanda nie lubi nikogo, kto spotyka się ze mną albo z jej ojcem. Jest zazdrosna.

– Nie płacz, Indiano. Niedługo zobaczysz pod swoimi drzwiami kolejkę zalotników, mam nadzieję, że tym razem okażesz się bardziej wybredna. Keller to już przeszłość, jakby umarł, zapomnij o nim. Spójrz, przyniosłam prezent dla Amandy, powiedz, co o tym myślisz.

Postawiła koszyk na biurku i uniosła szmatkę, którą był przykryty. W środku, w zaimprovizowanym gniazdku z wełnianego szalika, spał malutki zwierzączek.

– To koteczka – powiedziała.

– Carol! – wykrzyknęła Indiana.

– Powiedziałaś mi, że twoja córka chce mieć kotkę...

– Wspaniały prezent! Amanda będzie szczęśliwa.

– Nic mnie nie kosztował, dali mi ją w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami. Ma sześć tygodni, jest zdrowa i zaszczepiona. Nie sprawia żadnych problemów. Mogę sama dać ją twojej córce? Chciałabym ją poznać.

Wtorek, 31

Nadinspektor siedział w swoim gabinecie z nogami na biurku i dłońmi na karku, w ergonomicznym fotelu, ekstrawaganckim prezencie podarowanym mu przez podwładnych z okazji piętnastu lat pracy w policji. Petra Horr weszła jak zawsze bez pukania, niosąc papierową torbę i kawę. Zanim ją lepiej poznał, Bob Martín uważał, że tak dźwięczne imię nie pasuje do tej małej kobietki o dziecięcym wyglądzie, ale potem zmienił zdanie. Petra skończyła trzydzieści lat, była bardzo niska i szczupła, miała twarz w kształcie serca, szerokie czoło, ostro zakończony podbródek, piegowatą cerę, krótkie włosy nastroszone żelem i ufarbowane na czarno przy skórze, pomarańczowo w środku i żółto na końcach, jakby nosiła czapkę z lisa. Z daleka wyglądała na małą dziewczynkę, z bliska zresztą też, ale wystarczyło, żeby otworzyła usta, a zniknęło wrażenie kruchości. Postawiła torbę na biurku i podała Martinowi kubek z kawą.

– Od ilu godzin nie miał pan niczego w ustach, szefie? Wpadnie pan w hipoglikemię. Kanapka z razowego chleba z ekologicznym kurczakiem. Bardzo zdrowe. Niech pan je.

– Myślę.

– Coś nowego! O kim?

– O sprawie psychiatry.

– Czyli o Ayani. – Petra westchnęła teatralnie. – A skoro już o niej mowa, ma pan gościa.

– To ona? – zapytał nadinspektor, spuszcżając nogi z biurka i poprawiając koszulę.

– Nie. Młody przyjemniaczek. Służący Ashtonów.

– Galang. Wprowadź go.

– Nie, najpierw niech pan to zje, żigolak może zaczekać.

– Żigolak? – powtórzył nadinspektor, nadgryzając kanapkę.

– Och, szefie! Ale z pana naiwniak! – zawołała Petra i wyszła.

Dziesięć minut później Galang siedział przed nadinspektorem, po drugiej stronie biurka. Bob Martín przesłuchiwał go kilkakrotnie w domu Ashtonów, gdzie młody Filipińczyk chodził w czarnych spodniach i białej koszuli z długimi rękawami, dyskretnym stroju, który razem z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i dyskretnymi ruchami kota czynił go niezauważalnym. Jednak mężczyzna, który przyszedł na komendę, z pewnością nie był niezauważalny: szczupły, świetnie zbudowany, miał czarne włosy zebrane na szyi w krótki kucyk, jak u torreadora, zadbane dłonie, i często się uśmiechał, pokazując bardzo białe zęby. Zdjął granatowy nieprzemakalny płaszcz, a kiedy Bob Martín zobaczył podszewkę w klasyczną czarno-beżową szkocką kratę, rozpoznał markę Burberry, na którą jego samego nie było stać. Zadał sobie pytanie, ile zarabia ten człowiek i czy ktoś przypadkiem nie kupuje mu ubrań. Pomyślał, że ze swoim eleganckim wyglądem i egzotyczną twarzą Galang mógłby występować w reklamie męskiej wody kolońskiej o zmysłowym, tajemniczym zapachu, ale Petra zapewne by go poprawiła: w takiej reklamie występowałby nago i nieogolony.

Martín dokonał w myślach przeglądu informacji, jakimi dysponował: Galang Tolosa,

trzydzieści cztery lata, urodzony na Filipinach, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych w 1995, rok studiów wyższych, pracował w Club Med, w siłowniach i w Instytucie Świadomego Programowania Ciała. Kiedy zapytał Petrę, co to za cholerstwo, wytłumaczyła mu, że teoretycznie chodzi o masaż wykonywany z uwagą i z pozytywnym nastawieniem, mający doprowadzić do dobroczynnych zmian w tkankach ciała. Czary-mary, jak te Indiany, doszedł do wniosku Bob, któremu masaż kojarzył się z zapyziałym salonem i młodymi Azjatkami w króciutkich szortach, gumowych rękawiczkach i z gołymi piersiami.

– Przepraszam, że zabieram panu czas, inspektorze. Przechodziłem obok i pomyślałem, że zajrzę i z panem porozmawiam – powiedział Filipińczyk z uśmiechem na twarzy.

– O czym?

– Będę z panem szczerzy, inspektorze. Mam wizę pobytową i wystąpiłem o przyznanie mi obywatelstwa amerykańskiego, nie mogę być zamieszany w żadną aferę kryminalną. Boję się, że sprawa doktora Ashtona ściągnie na mnie kłopoty – wyjaśnił Galang.

– Ma pan na myśli zabójstwo doktora Ashtona? Dobrze, że pan się tym martwi, młody człowieku. Przebywał pan w domu, miał dostęp do gabinetu, znał zwyczaje ofiary, nie ma pan alibi, a jeśli trochę pogrzebiemy, z pewnością znajdziemy jakiś motyw. Czy chce pan coś dodać do swoich poprzednich zeznań? – Uprzejmy ton głosu policjanta kontrastował z ukrytą w jego słowach groźbą.

– Tak... Właśnie to, o czym pan przed chwilą wspomniał: motyw. Doktor Ashton miał trudny charakter, kilka razy dochodziło między nami do spięć – wybełkotał Galang. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Proszę to wyjaśnić.

– Doktor źle traktował ludzi, zwłaszcza kiedy sobie wypił. Jego pierwsza żona, i druga też, oskarżały go w czasie rozpraw rozwodowych o maltretowanie, może pan to sprawdzić, inspektorze.

– Czy kiedyś użył przemocy wobec pana?

– Tak, trzy razy, dlatego, że próbowałem bronić pani.

Nadinspektor opanował ciekawość i czekając, aż tamten doda coś jeszcze, obserwował jego twarz, minę, prawie niedostrzegalne tiki. Był przyzwyczajony do kłamstw i półprawd, pogodził się z myślą, że prawie wszyscy oszukują, jedni z próżności, żeby zaprezentować się w korzystnym świetle, inni ze strachu, a większość po prostu z nawyku. Podczas każdego przesłuchania policyjnego ludzie robią się nerwowi, nawet jeśli są niewinni; do niego należy interpretowanie odpowiedzi, wykrywanie fałszu, odgadywanie przemilczeń. Wiedział z doświadczenia, że osoby pragnące się przypodobać, takie jak Galang, nie znoszą krępujących przerw i jeśli im się pozwoli, mówią więcej, niż powinny.

Nie musiał długo czekać: trzydzieści sekund później Filipińczyk wygłosił mowę, którą być może wcześniej sobie przygotował, ale ponieważ chciał wypaść przekonująco, zaplątał się w zeznaniach. Poznał Ayani w Nowym Jorku mniej więcej dziesięć lat temu, byli przyjaciółmi, kiedy ona znajdowała się u szczytu kariery, właściwie bardziej niż przyjaciółmi – rodzeństwem, pomagali sobie, widywali się niemal codziennie. Nadejście kryzysu

gospodarczego sprawiło, że oboje coraz rzadziej mieli pracę, więc kiedy pod koniec 2010 roku poznała Ashtona, jej sytuacja materialna przedstawiała się rzeczywiście rozpaczliwie. Zaraz po ślubie z Ashtonem sprowadziła Galanga do San Francisco jako majordomusa – choć była to praca zdecydowanie poniżej jego kwalifikacji, chciał wyjechać z Nowego Jorku, gdzie miał problemy z powodu finansów i innych rzeczy. Nie dostawał dużej pensji, ale Ayani rekompensowała to, dając mu pieniądze za plecami męża. Nie mógł jednak patrzeć na cierpienia przyjaciółki. Ashton traktował ją publicznie jak królową, a prywatnie jak śmiecia. Na początku znęcał się nad nią psychicznie, w czym był niedościgniony, potem zaczął ją bić. Wielokrotnie widział u Ayani siniaki, które starała się ukryć pod makijażem. Galang próbował jej pomóc, ale pomimo zaufania, jakim się nawzajem darzyli, nie chciała rozmawiać o tym aspekcie swojego małżeństwa, wstydziła się, jak gdyby to ona ponosiła winę za brutalność męża.

– Często się kłócili, inspektorze – zakończył.

– O co się kłócili?

– O rzeczy bez znaczenia: bo nie smakowało mu jedzenie, bo zadzwoniła do rodziny w Etiopii. Doktor Ashton wściekał się, że ją wszędzie rozpoznawano, a jego nie. Z jednej strony chciał imponować, prowadząc się z Ayani pod rękę, z drugiej pragnął trzymać ją w zamknięciu. Właśnie o takie rzeczy się kłócili.

– Również o pana, panie Tolosa?

Pytanie wyraźnie zaskoczyło Galanga. Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale pomyślał chwilę i przytaknął milcząco, wystraszony, pocierając czoło dłonią. Powiedział, że Richard Ashton nie tolerował jego przyjaźni z Ayani, podejrzewał, że ona kupuje mu różne rzeczy i daje pieniądze, i wiedział, że on ukrywa przed nim jej tajemnice, począwszy od wydatków i wyjść, aż po znajomości, których Ashton nie akceptował. Psychiatra testował ich wytrzymałość, jego upokarzał w obecności Ayani, ją dręczył, aż nie mógł dłużej na to patrzeć i protestował.

– Wyznam panu, inspektorze, że wiele razy krew się we mnie gotowała, z trudem nad sobą panowałem, żeby go nie powalić ciosem pięści. Nie wiem, ile razy byłem zmuszony stawać między nimi, żeby ich rozdzielić, musiałem go odpychać i przytrzymywać, jak niegrzeczne dziecko. Kiedyś zamknąłem go w łazience i trzymałem tam, dopóki się nie uspokoił, bo biegał za żoną z kuchennym nożem.

– Kiedy to było?

– W zeszłym miesiącu. Ostatnio sytuacja uległa poprawie, miewali dobre momenty, żyli w zgodzie i wrócili do rozmów o książce, którą zamierzali napisać. Ayani... pani Ashton była zadowolona.

– Coś jeszcze?

– To byłoby wszystko, inspektorze. Chciałem wyjaśnić sytuację, zanim służba przedstawi ją panu po swoim. Przypuszczam, że to czyni ze mnie podejrzanego, ale niech mi pan wierzy, nie mam nic wspólnego ze śmiercią doktora Ashtona.

– Czy posiada pan broń?

– Nie, proszę pana. Nie umiałbym jej użyć.

– A umiałby pan użyć lancetu?

– Lancetu? Nie, oczywiście, że nie.

Kiedy Galang Tolosa wyszedł z jego biura, nadinspektor zadzwonił po swoją asystentkę.

– Co myślisz o tym, czego wysłuchałaś pod drzwiami?

– Że pani Ashton miała aż nadto powodów, żeby pozbyć się męża, a służący – żeby jej w tym pomóc.

– Uważasz, że Ayani jest typem kobiety zdolnej porazić swojego męża taserem?

– Nie, ona raczej włożyłaby mu do łóżka etiopską żmiję. Myślę jednak, że Galang Tolosa zapomniał wspomnieć o jednym szczególe.

– Jakim?

– Że Ayani i on są kochankami. Chwileczkę, szefie, niech mi pan nie przerywa! Związek tej dwójki ma wiele niuansów, są kompanami i powiernikami, ona go chroni, a on jest pewnie jedynym mężczyzną, który zna ją na wylot i potrafi zaspokoić seksualnie.

– Jezu! Co za perwersje chodzą ci po głowie!

– Po mojej chodzi niewiele, ale Galang musi mieć ich cały repertuar. Jeśli pan chce, wytłumaczę panu ze szczegółami, jakim okaleczeniom narządów płciowych poddano Ayani, kiedy miała osiem lat: wycięli jej wargi sromowe i łechtaczkę. To żadna tajemnica, sama o tym powiedziała. Mogę zdobyć filmik, żeby pan zobaczył, co robią dziewczynkom wyszczerbionym nożem albo zardzewiałą żyłką, bez znieczulenia.

– Nie, Petro, to nie będzie potrzebne – westchnął Bob Martín.

Luty

Czwartek, 2

Do rozlicznych obowiązków Blake'a Jacksona doszła kotka Ocal-Tuńczyka, którą Carol Underwater podarowała jego wnuczce. Miał w związku z tym sporo roboty, ale musiał przyznać, że zgodnie z przewidywaniami Elsy Domínguez kotka okazała się dobrym kompanem. Amanda wybrała jej imię na cześć swojego niewidzialnego przyjaciela z dzieciństwa i nikomu w rodzinie nie przeszkadzało, że kotka żywi się tuńczykiem z puszki. Blake dzwonił co wieczór do Amandy do internatu i zdawał jej wyczerpujące sprawozdanie.

– Jak się miewa Ocal-Tuńczyka, dziadku? Bardzo za nią tęsknię – powiedziała Amanda.

– Niszczy pazurami obicia mebli.

– Nie szkodzi, meble i tak są strasznie stare. Jak ci idzie książka?

– Jeszcze nic nie mam. Na razie zastanawiam się nad twoim pomysłem powieści kryminalnej.

– Dziś o tym myślałam – przerwała mu wnuczka. – Przerabiamy teraz *auto sacramental*. Wiesz, co to takiego?

– Nie mam pojęcia.

– To były średniowieczne utwory umoralniające w formie dramatów teatralnych, dydaktyczne alegorie przedstawiające walkę dobra i zła. Zawsze wygrywało dobro, ale najciekawsze było zło, bez występku, grzechu i niegodziwości *auto sacramental* nie przyciągało publiczności.

– Co to ma wspólnego z moją książką?

– Formuła powieści kryminalnej jest podobna. Ucieleśnieniem zła jest jakiś przestępca, który rzuca wyzwanie wymiarowi sprawiedliwości, przegrywa, zostaje ukarany. Dobro tryumfuje i wszyscy są zadowoleni. Rozumiesz?

– Mniej więcej.

– Zapamiętaj to, staruszk. Jeśli będziesz się trzymał tego schematu, na pewno dasz sobie radę. Potem udzielę ci więcej wskazówek, bo teraz musimy zacząć *Ripper*. Jesteś gotowy?

– Gotowy. Na razie – powiedział dziadek i się rozłączył.

Kilka minut później wszyscy gracze siedzieli przed swoimi komputerami. Mistrzyni gry rozpoczęła sesję.

– Zostawimy na moment Statona i Constante'ów i skoncentrujemy się na Richardzie Ashtonie. Kabel ma dla nas kilka informacji. Możesz mówić, pachołku.

– W noc śmierci Richardowi Ashtonowi wryto na piersi swastykę, krzyż gamma, symbol spotykany na przestrzeni wieków w różnych kulturach, od Azteków przez Celtów po buddystów, ale utożsamiany przede wszystkim z nazistami.

– Wiemy to, Kabelu – przerwała mu wnuczka.

– Przeczytałem o tym w raporcie Ingrid Dunn. Tata Amandy, to znaczy nadinspektor Martín, udzielił mi pisemnego zezwolenia na przejrzanie dokumentów Wydziału Zabójstw dotyczących

Constante'ów i Eda Statona. Na podstawie tego samego pisma poprosiłem o akta Richarda Ashtona i dostałem je do wglądu. Zdaniem Ingrid Dunn swastykę wyryto skalpelem numer jedenaście, o trójkątnym ostrzu i zaostrzonym czubku. Jest powszechnie stosowany i łatwy do zdobycia, używa się go do precyzyjnych cięć i nacięć pod kątem prostym. Swastyka została tak dobrze narysowana, że autor prawdopodobnie użył szablonu.

– Niczego takiego nie znalazłem w prasie – powiedział sir Edmond Paddington.

– Nadinspektor utajnił tę informację, to as w rękawie, może posłużyć do zdemaskowania mordercy, lepiej jej teraz nie rozpowszechniać. Kiedy zabierano ciało, nikt nie zauważył swastyki, bo Ashton był w podkoszulku, koszuli i kardiganie. Odkryto ją, kiedy go rozebrano w kostnicy.

– Czy na ubraniu była krew? – zapytał Esmeralda.

– Nacięcie jest stosunkowo płytkie, wykonano je krótki czas po śmierci. Zwłoki nie krwawią.

– Gdzie dokładnie narysowano swastykę?

– Na zdjęciu widać, że na górnej części klatki piersiowej, na mostku – powiedziała Amanda.

– Morderca musiał zdjąć Ashtonowi kardigan i koszulę, inaczej nie mógłby wyciągnąć mu rąk z rękawów podkoszulka i zadrzeć go na głowę, żeby wyryć symbol. Potem trzeba było go ubrać – powiedział Sherlock Holmes.

– Swastyka jest wiadomością – orzekła Abatha.

– Kto znał jego zwyczaje i wiedział, że Ashton sypia w gabinecie? – zapytał Esmeralda.

– Tylko żona i majordomus – wyjaśniła Amanda.

– Ayani nie wyryłaby swastyki na ciele męża, niezależnie od tego, jak bardzo byłby martwy – uznała Abatha.

– Dlaczego nie? Mogła to zrobić dla zmylenia tropów. Ja bym tak zrobił – powiedział Esmeralda.

– Ty jesteś Cyganką, byłbyś zdolny do wszystkiego. Ale dama nigdy nie dopuściłaby się tak odrażającego czynu, poza tym nie miałaby siły, by przekładać ciało. To musiał być majordomus – zapewnił Paddington, wierny paternalistycznemu charakterowi swojej postaci.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem rozbawieni klasycznym rozwiązaniem – majordomus w roli mordercy – a zaraz potem zaczęli dyskutować, czy zbrodnia mogła zostać popełniona z pobudek ideologicznych, jako że Ashton miał opinię nazisty. Sherlock Holmes zwrócił im uwagę na podobieństwo do Kuby Rozpruwacza, który kaleczył swoje ofiary lancetem.

– Jedna z teorii na temat słynnego mordercy z Londynu mówi, że posiadał wiedzę medyczną – przypomniał.

– Ja bym nie szedł w tym kierunku. Nie trzeba być lekarzem, żeby za pomocą szablonu i lancetu wyryć prosty symbol. To łatwe, nawet kobieta może to zrobić – powiedział sir Edmond Paddington.

– Nie wiem... Przychodzi mi na myśl pewien obraz, jakby wizja albo przeczucie... Myślę,

że trzy przypadki, które badamy, są jakoś ze sobą powiązane – powiedziała Abatha, która tak długo pościła, że miewała halucynacje.

Czas dobiegł końca, Amanda zakończyła sesję, wydawszy instrukcję, by zgodnie z sugestią Abathy szukali ewentualnych powiązań między trzema sprawami. Może nie chodziło o zwykłą krwawą łaźnię, przewidzianą przez Celeste Roko, tylko o coś znacznie ciekawszego: seryjnego mordercę.

Sobota, 4

Bob Martín nie miał stałych godzin urzędowania, czasami z powodu nadmiaru pracy przez dwa dni z kolei nie kładł się spać. Nie istniały dla niego święta ani urlopy, ale w przypadające na niego weekendy starał się spędzać jak najwięcej czasu z córką. Co dwa tygodnie, w piątek wieczorem, były teść przywoził dziewczynę do jego mieszkania albo do biura po kolacji, którą zjadała z matką, a w niedzielę odwoził ją do internatu, jeśli Bob nie mógł tego zrobić. Od rozwodu, w ciągu ostatnich piętnastu lat, tak często zabierał córkę na miejsce przestępstwa, bo nie miał jej z kim zostawić, że znała ją cała policja San Francisco. Osobą, do której najlepiej pasowało określenie przyjaciółka Amandy, była Petra Horr. Dziewczyna wyciągała z niej informacje policyjne, które ojciec starał się przed nią ukryć. Zdaniem Indiany to Bob ponosił winę za niezdrowe zainteresowanie dziecka zbrodnią, ale on uważał, że chodzi o wrodzone powołanie. Amanda będzie prawniczką, śledczą, policjantką, a w najgorszym razie przestępczynią. Tak czy inaczej, odniesie sukces. Tej soboty pozwolił jej długo pospać, a sam poszedł na siłownię i do biura, potem wrócił, żeby zabrać ją na śniadanie w jej ulubione miejsce, do Café Rossini, gdzie napychała się do woli węglowodanami i cukrem, co stanowiło kolejny powód sporów z Indianą.

Amanda czekała na niego w klapkach i w sarongu, zawiniętym w nie całkiem tradycyjny sposób. Ponieważ uprzedził ją, że pada deszcz, założyła szalik i wełnianą boliwijską czapkę z dwoma kolorowymi warkoczykami zakrywającymi jej uszy. Ułożyła Ocal-Tuńczyka w gwatemalskiej torbie, którą dostała w prezencie od Elsy Domínguez i w której zwykle przewoziła kotkę. Zwierzątko zachowywało się z godną podziwu dyskrecją: zwinięte w kłębek wytrzymało kilka godzin bez jednego mruknięcia w miejscach, które były dla niego zakazane. W Café Rossini wszyscy oprócz właściciela znali zawartość torby, ale Danny D'Angelo ostrzegł, że jeśli wydadzą Ocal-Tuńczyka, będą mieli z nim do czynienia. Kelner jak zwykle przywitał ich zbyt wylewnie. Nie musiał pytać, co będą jeść, bo zawsze zamawiali to samo: nadinspektor omlet z serem i kawę, jego córka zestaw ciastek i wielką filiżankę gorącej czekolady z górą bitej śmietany. Przyniósł zamówienie i przeprosił, że nie może z nimi porozmawiać, lokal był pełen, ludzie czekali na ulicy na wolny stolik, jak zwykle w weekendy.

– Dziadek widział raport z sekcji zwłok Richarda Ashtona. Nic mi nie mówiłeś o swastyce. Wiesz jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałaś?

– Muszę cię uspokoić, że wbrew twoim obawom uroda Ayani nie wpłynęła na mój policyjny nos. Ayani otwiera listę podejrzanych. Dokładnie ją przesłuchaliśmy, służbę domową także. Nowością jest to, że znalazły się zagubione skarpetki.

– Co ty powiesz!

– Tak, i to w bardzo dziwnych okolicznościach. Wyobraź sobie, że pani Ashton otrzymała pocztą przesyłkę z książką i skarpetkami swojego męża. Paczka przeszła na poczcie przez wiele rąk, ale w środku nie ma żadnych odcisków palców, ktoś dokładnie je powycierał albo pracował w rękawiczkach.

– Co to za książka? – zapytała dziewczyna.

– Powieść, *Wilk stepowy* Hermanna Hessego, Niemca, który większość życia spędził w Szwajcarii, klasyczna pozycja wydana po raz pierwszy w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku, przed dojściem nazistów do władzy. Jeden z psychologów wydziału szuka w niej jakiegoś klucza, na pewno jakiś musi być. Jeśli nie, po co wysyłano by ją Ayani?

– Myślisz, że wszystkie cztery morderstwa mogła popełnić ta sama osoba?

– O które morderstwa ci chodzi?

– O jedyne ciekawe, jakie mamy, tato: Statona, Constante'ów i Ashtona.

– Co ty mówisz, dziecko! Nie mają ze sobą nic wspólnego.

– Do wszystkich doszło w San Francisco.

– To nic nie znaczy. Seryjni mordercy wybierają zawsze ten sam rodzaj ofiary, działają na ogół z pobudek seksualnych i stosują tę samą metodę. W tych przypadkach ofiary są bardzo różne, sposób działania inny, broń też się nie zgadza. Cały mój wydział bada te zabójstwa.

– Oddzielnie? Ktoś powinien spojrzeć na to jak na jedną całość.

– Tym kimś jestem ja. Ale te sprawy nie są ze sobą powiązane, Amando.

– Mówię ci, tato, nie odrzucaj możliwości, że to seryjny morderca. Te zbrodnie są bardzo dziwne.

– Tu masz rację. Większość zabójstw, którymi się zajmujemy, ma związek z porachunkami między szefami gangów, bójkami, narkotykami. Ostatnim seryjnym mordercą, jaki się tu pojawił, był Joseph Nasso, oskarżony o zabijanie kobiet między rokiem siedemdziesiątym siódmym i dziewięćdziesiątym czwartym. Ma siedemdziesiąt osiem lat, będzie sądzony w hrabstwie Marin.

– Tak, mam to wszystko w swoim archiwum. Nasso zrezygnował z adwokata, będzie bronił się sam. Niczego nie żałuje, jest dumny z tego, co zrobił – powiedziała Amanda. – Jeśli te morderstwa zostały popełnione przez tę samą osobę, to myślę, że też jest z tego dumna i że pozostawia znaki czy tropy, żeby oznaczyć swoje terytorium.

– Tak mówi podręcznik? – zakpił nadinspektor.

– Czekaj, mam to tutaj – powiedziała i przeczytała informację, którą wyszukała w swojej komórce. – Posłuchaj: Seryjni mordercy w Stanach Zjednoczonych to na ogół biali mężczyźni w wieku między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, choć czasami należą do innych ras, z klasy średniej albo niższej, działają w pojedynkę, szukają psychologicznego zadośćuczynienia, w dzieciństwie cierpieli z powodu zaniedbania albo przemocy seksualnej i emocjonalnej, mieli kłopoty z prawem z powodu kradzieży czy aktów wandalizmu. Są piromanami albo sadystami, torturują zwierzęta. Mają niską samoocenę, nie przejawiają najmniejszej empatii wobec swoich ofiar, inaczej mówiąc, są psychopatami. Czasami to szaleńcy cierpiący na halucynacje, wierzą, że Bóg albo szatan wysłał ich, by zabijali homoseksualistów, prostytutki albo przedstawicieli innej rasy czy religii. Pobudki seksualne, o których mówiłeś, obejmują tortury i okaleczanie ofiar, to sprawia im przyjemność. Na przykład Jeffrey Dahmer próbował zamieniać zwłoki zabijanych przez siebie chłopców i mężczyzn w zombie, przewiercał im czaszki i wlewał kwas, a nawet uprawiał kanibalizm,

żeby...

– Dosyć, Amando! – zawołał Bob, blady jak płótno.

– Jeszcze tylko jedna rzecz, tato...

– Nie! Wiem o tym wszystkim, przerabialiśmy to w Akademii, ale ty nie powinnaś interesować się takimi sprawami.

– Posłuchaj mnie, proszę. Jest coś, co mi nie pasuje. Większość seryjnych zabójców ma niski iloraz inteligencji i marne wykształcenie. Myślę, że w tym przypadku facet jest błyskotliwy.

– Równie dobrze mogłoby chodzić o kobietę, choć nie zdarza się to często – zauważył Bob Martín.

– Pewnie, na przykład o moją matkę chrzestną.

– Celeste? – spytał ojciec zdumiony.

– Mogłabyście chcieć wypełnić swoją przepowiednię, by udowodnić, że ciała niebieskie się nie mylą – uzasadniła dziewczyna, puszczając do niego oko.

Nadinspektor miał nadzieję, że obsesyjne zainteresowanie córki zbrodniami szybko minie, jak było ze smokami, lochami i wampirami. Tak zapewniała psycholożka Florence Levy, zajmująca się Amandą w dzieciństwie, do której niedawno zadzwonił po poradę. Jej zdaniem to tylko jeden z przejawów niezaspokojonej ciekawości, kolejna z jej intelektualnych zabaw. Jako ojca martwiła go ta nowa rozrywka Amandy, ale jako policjant rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny fascynację zbrodnią i sprawiedliwością.

Indiana uważała, że nie ma „zła” ani „dobra”; zło jest zniekształceniem naturalnego dobra, przejawem choroby duszy. System sądowy był dla niej formą zbiorowej zemsty na winnych złamania prawa, społeczeństwo zamykało takich ludzi w więzieniu, wyrzucało daleko klucze i nie próbowało żadnego z nich nigdy resocjalizować; przyznawała jednak niechętnie, że istnieją nieuleczalni przestępcy, których należy zamykać, żeby nie mogli krzywdzić innych. Złościła go naiwność byłej żony. Teoretycznie nie powinien przejmować się głupotami, które wymyślała, ale zaszczepiała swoje absurdalne pomysły Amandzie i nie chroniła jej jak należy, nie podejmowała nawet minimalnych środków ostrożności, jakie stosuje każda normalna matka. Indiana była tą samą romantyczną dziewczynką, która się w nim zakochała, kiedy miała piętnaście lat. W chwili urodzenia Amandy oboje byli smarkaczami, ale on od tamtego czasu dojrzał, zdobył doświadczenie, zahartował się, zamienił w mężczyznę pod wieloma względami godnego podziwu, jak mawiała Petra Horr po więcej niż dwóch piwach, Indiana natomiast utknęła na niemającym końca etapie dojrzewania.

W moim zawodzie stykam się ze zbyt wieloma potwornościami, pomyślał. Jak mogę mieć jakiegokolwiek złudzenia co do istoty ludzkiej, skoro stać ją na najgorsze okrucieństwa. Mało jest przyzwoitych ludzi na tym cholernym świecie, nie bez powodu więzienia pękają w szwach, choć z drugiej strony wiadomo, że mięsem więziennym są biedacy, narkomani, alkoholicy i drobni przestępcy, natomiast rzadko udaje się przymknąć mafiosów, spekulantów, skorumpowanych przedstawicieli władz, jednym słowem, najważniejszych przedstawicieli

świata przestępczego działającego na wielką skalę, nie oszukujmy się. Ale i tak muszę robić swoje; niektóre przestępstwa wyprowadzają mnie z równowagi, mam ochotę sam wymierzać sprawiedliwość: pedofilia, prostytutka dziecięca, handel ludźmi, nie mówiąc już o przemoc domowej. Ile widziałem kobiet zamordowanych przez kochanków albo mężów? Ile dzieci pobitych, zgwałconych, porzuconych? Ulice San Francisco są coraz mniej bezpieczne. Więzienia stają się w Kalifornii najbardziej dochodowym prywatnym interesem, a przestępczość rośnie. Dla Indiany jest to ostateczny dowód na niewydolność systemu, ale jaką mamy alternatywę? Bez prawa i porządku społeczeństwem rządziłby terror. Strach. Źródłem przemocy jest strach. Myślę, że są ludzie, którzy osiągnęli wyższy stopień świadomości, jak Dalajlama, i nie boją się niczego, ale ja nie znam nikogo takiego i uważam, że życie bez strachu to głupota, szczyt nieostrożności. Oczywiście, nie chcę przez to powiedzieć, że Dalajlama jest głupcem, ten święty mnich na pewno ma swoje powody, żeby zawsze się uśmiechać, ale ja, jako ojciec i policjant, jestem w pełni świadom istnienia przemoc, perwersji i występku, i muszę przygotować odpowiednio swoją córkę. Jak mam to zrobić, nie niszczyć jej niewinności? Zresztą, bądźmy realistami, zakończył swoje rozważania. Jakiej niewinności? W wieku siedemnastu lat Amanda analizuje tak szczegółowo przerażające zabójstwa, jakby sama planowała je popełnić.

Niedziela, 5

Tak jak się umówili, o dziewiątej rano Ryan Miller pojechał po Indianę do jej domu w Potrero Hill, nie bacząc na zniechęcającą prognozę pogody obejrzaną w telewizji. Założył optymistycznie, że zabiorą rowery i spędzą dzień, jeżdżąc po lasach i wzgórzach zachodniej części hrabstwa Marin. Woda w zatoce była spieniona, niebo miało ołowiany kolor, wiał lodowaty wiatr, który zniechęciłby każdego, kto nie byłby tak uparty i zakochany jak Miller. Z dziką determinacją – przydatną do tej pory na wojnie – szykował się do podboju Indiany, ale musiał działać powoli. Nie powinien przypuścić frontalnego ataku, bo mógłby ją wystraszyć, a nawet stracić tę niezwykłą przyjaźń, jaką udało im się zbudować. Musiał dać jej czas, żeby doszła do siebie po Kellerze, choć był przekonany, że nie powinna mieć go zbyt dużo; do tej pory postępował rozważnie, ale jak mówił Pedro Alarcón, mógł pojawić się ktoś inny, kto wydrze mu Indianę. Lepiej nawet nie brać pod uwagę takiej możliwości, bo musiałby go zabić, pomyślał z nutką euforii, żałując, że w tych okolicznościach nie da się zastosować zasad obowiązujących na polu walki. O ile łatwiej byłoby rozprawić się z rywalem bez zbędnych ceregieli! Czuł, jakby był obecny w życiu Indiany całą wieczność, choć minęły zaledwie trzy lata, i że zna ją lepiej niż siebie samego. Teraz stawał przed szansą, tyle że Indiana nie była gotowa na nową miłość, wyglądała na przygnębioną. Pracowała jak zwykle, ale nawet on, który uważał się za najmniej otwartego z jej pacjentów, niezdolnego docenić subtelnych efektów reiki czy magnesów, zdawał sobie sprawę, że brakuje jej dawnej energii.

Indiana czekała na niego ze świeżo zaparzoną kawą, którą wypili na stojąco w kuchni. Nie bardzo miała ochotę wychodzić z domu z powodu nadciągającej burzy, ale nie chciała sprawić zawodu Millerowi, który od tygodnia opowiadał o tej wycieczce, i Attyli, który siedział przy drzwiach w wyczekującej pozycji. Opłukała filiżanki, zostawiła ojcu liścik z informacją, że wróci po południu i że chciałyby się zobaczyć z Amandą, zanim odwiezie ją do internatu, włożyła kurtkę i pomogła Millerowi załadować swój rower do furgonetki. Potem usiadła w kabinie, między nim a Attylą, który nigdy nikomu nie odstępował swojego miejsca przy oknie.

Wiatr gwizdał między linami mostu, szarpiąc nielicznymi samochodami przejeżdżającymi nim o tej porze. Nie było widać charakterystycznych dla niedziel żaglówek ani turystów, którzy ściągali z daleka, żeby przejść Golden Gate na piechotę. Nadzieja, że na drugim brzegu nie będzie chmur, jak to się często zdarzało, szybko prysła, ale Miller przemilczał sugestię Indiany, żeby odłożyć przejażdżkę, i pojechał autostradą sto jeden aż do alei Sir Francisa Drake'a, a potem dalej, w stronę parku stanowego Samuela P. Taylora, w którym się poznali.

Burza wybuchła z bezlitosną wściekłością po czterdziestu kilku minutach drogi, ciemne chmury naładowały się elektrycznością, w białym świetle błyskawic drzewa przyginane do ziemi przez wiatr wyglądały niczym zjawy. Dwukrotnie musieli się zatrzymać, bo wodospad deszczu nie pozwalał im sięgać wzrokiem dalej niż do przedniej szyby. Gdy tylko trochę się uspokajało, Miller jechał dalej, mijał śliskie zakręty i połamane gałęzie, ryzykując wypadkiem. Wreszcie, pokonany przez przyrodę, stanął na poboczu szosy, wyłączył silnik, ukrył twarz w skrzyżowanych na kierownicy rękach i przeklął swój los w żołnierskim języku. Attyła obserwował jego nieszczęście ze swojej różowej poduszki z tak bezradną miną, że

Indiana nie mogła powstrzymać śmiechu. Wkrótce zaraziła nim Millera i oboje rechotali z groteskowej sytuacji, coraz mniej się kontrolując, aż po twarzach popłynęły im łzy, ku konsternacji psa, który nie widział niczego zabawnego w tym, że siedzi uwięziony w samochodzie, zamiast szaleć po lesie.

Później, kiedy zostali sami ze wspomnieniem niedawno przeżytej miłości, żadne z nich nie wiedziało, czemu mają przypisać swoje zachowanie – czy rykowi burzy wstrząsającej światem, uldze, jaką przyniósł wspólny śmiech, bliskości w kabinie furgonetki, czy też po prostu tak musiało się stać, bo oboje byli na to gotowi. Spojrzeli na siebie jednocześnie, pierwszy raz pokazali naprawdę swoje uczucia, ona zobaczyła w jego oczach miłość tak szczerą, że obudziła w niej pożądanie powstrzymywane i kumulowane od lat.

Indiana знаła tego mężczyznę lepiej niż ktokolwiek inny, całe jego ciało, wzdłuż i wszerz, od głowy po jedyną stopę: różową, błyszczącą skórę kikuta, mocne uda usiane bliznami, niezbyt giętką talię, linię kręgosłupa, krąg po kręgu, imponujące mięśnie pleców, piersi i rąk, eleganckie dłonie, palce, jeden po drugim, szyję twardą niczym drewno, zawsze spięty kark, wrażliwe uszy, których nie dotykała podczas masażu, żeby oszczędzić mu wstydu erekcji. Z zamkniętymi oczami rozpoznawała jego zapach mydła i potu, fakturę jego ostrzyżonych na jeża włosów, wibrację jego głosu; lubiła jego charakterystyczne gesty, sposób, w jaki prowadził samochód jedną ręką, bawił się z Attylą jak dzieciak, używał sztucców, zdejmował podkoszulek, mocował protezę; wiedziała, że płacze w kinie na cikliwych filmach, że z lodów najlepiej lubi pistacjowe, że kiedy jest z nią, nigdy nie ogląda się za innymi kobietami, że tęskni za żołnierskim życiem, że ma zbolałą duszę i że nigdy, przenigdy się nie skarży. Podczas niezliczonych zabiegów leczniczych zbadała centymetr po centymetrze to ciało, wyglądające na młodsze niż czterdzieści lat, podziwiając jego szorstką męskość i powstrzymywaną siłę, i czasami, nieświadomie, porównywała je z ciałem Alana Kellera. Jej kochanek, szczupły i przystojny, ze swoim wyrafinowaniem, wrażliwością i ironią, był przeciwieństwem Ryana Millera. Ale w tej chwili, w kabinie furgonetki, Keller nie istniał, w ogóle nigdy nie istniał. Istniało jedynie gwałtowne pożądanie tego mężczyzny, który nagle stał się nieznajomym.

Podczas tego długiego spojrzenia powiedzieli sobie wszystko, co było do powiedzenia. Miller otoczył ją ramieniem i przyciągnął, ona podniosła twarz i pocałowali się bez namysłu, jakby to nie był pierwszy raz, z namiętnością, która nim wstrząsała od trzech lat, a której ona nie spodziewała się już doznać, bo przywykła do dojrzałej miłości Alana Kellera. Podczas długich gier erotycznych z dawnym kochankiem, który zastępował brakujący mu wigor lekami, akcesoriami i zręcznością, otrzymywała przyjemność i było jej dobrze, ale nigdy nie czuła palącej potrzeby, z jaką teraz wczepiała się w Ryana Millera, trzymała go obydwoma rękami, całowała do utraty tchu, zaskoczona delikatnością jego warg, smakiem śliny, intymnością języka, próbowała w pośpiechu zdjąć kurtkę, kamizelkę, bluzkę, nie przestając całować, żeby dosiąść go w ciasnej kabinie z wystającą kierownicą. Może by jej się udało, gdyby Attyła nie przerwał im długim wyciem zgorszonego psa. Zupełnie o nim zapomnieli. Opamiętali się trochę i rozdzielili na chwilę, żeby postanowić, co zrobić z tym niechętym świadkiem, a ponieważ nie mogli wyrzucić go na deszcz, wybrali najlogiczniejsze rozwiązanie: hotel.

Kiedy Miller prowadził po omacku pośród deszczu, jadąc z nierozsądną prędkością, Indiana pieściła go i całowała gdzie popadnie na oczach obrażonego Attyli. Pierwsze światła,

które dostrzegli, należały do pretensjonalnego hoteliku, gdzie przyjeżdżali czasami w niedzielę na śniadanie, na najlepsze w okolicy tosty francuskie ze śmietaną. W taką pogodę nie spodziewano się gości, ale dostali najelegantszy pokój, o paranoicznym wystroju, z tapetą w kwiatki, meblami na powykręcanych nogach, zasłonami z frędzlami i szerokim, solidnym łóżkiem, zdolnym wytrzymać miłosny szturm. Attyla musiał przez kilka godzin czekać w furgonetce, zanim Miller przypomniał sobie o jego istnieniu.

Wtorek, 7

O ósmej piętnaście wieczorem sędzia Rachel Rosen zaparkowała swoje volvo w garażu bloku, gdzie mieszkała, i wyciągnęła z bagażnika ciężką teczkę z dokumentami, które zamierzała przejrzeć tej nocy, oraz torbę z zakupami na kolację i na obiad następnego dnia: kawałek łososia, brokuły, dwa pomidory i awokado. Wychowała się w surowym otoczeniu, każdy niepotrzebny wydatek był obrazą pamięci jej rodziców, ocalałych z obozu koncentracyjnego w Polsce, którzy przyjechali do Ameryki, nie mając niczego, i z wielkim wysiłkiem doszli do względnego dobrobytu. Kupowała tyle, ile potrzebowała, i niczego nie wyrzucała; resztki z kolacji zostawały na kolejny dzień, zabierała je w plastikowych pojemnikach do Sądu dla Nieletnich, gdzie jadła sama w swoim gabinecie. Nie żyło jej się źle, ale nie pozwalała sobie na wiele luksusów i gromadziła oszczędności jak chomik, z nadzieją że wieku sześćdziesięciu pięciu lat wycofa się z zawodu i będzie mogła żyć z emerytury. Odziedziczyła meble po swojej rodzinie i skromną biżuterię po matce, o wartości głównie sentymentalnej, była właścicielką swojego poddasza, akcji Johnson & Johnson, Apple'a i Chevronu oraz konta oszczędnościowego, z którego przed śmiercią zamierzała wydać wszystko co do centa, bo nie chciała, żeby syn i synowa skorzystali z owoców jej pracy, nie zasługiwali na to.

Pospiesznie wyszła ze śmierdzącego, pełnego cieni garażu, najmniej bezpiecznego miejsca w całym budynku; słyszała historie o napadach na samotne kobiety, stare, jak ona. Od jakiegoś czasu czuła się bezbronna i zagrożona, nie była już tą silną, zdecydowaną osobą, co kiedyś, na widok której drżeli najbardziej zatwardziali gangsterzy, szanowaną przez policję i kolegów z pracy. Teraz ci sami ludzie szeptali za jej plecami, nadali jej przydomek, mówili o niej „Rzeźniczka”, czy jakoś tak, oczywiście nikt nie miał odwagi powiedzieć jej tego prosto w oczy. Była zmęczona, a raczej żyła zmęczona, nie mogła już nawet biegać, ledwo okrążała park spacerowym krokiem, nadszedł czas, żeby przejść na emeryturę, zostało tylko parę miesięcy do zasłużonego odpoczynku.

Wjechała windą prosto na swoje piętro, nie wysiadła przy portierni, żeby odebrać pocztę, bo portier kończył pracę o dziewiętnastej i zamykał wszystko na klucz. Otwarcie dwóch zamków zajęło jej trochę czasu, a kiedy znalazła się w środku, zdała sobie sprawę, że wychodząc, zapomniała włączyć alarm, niewybaczalne niedopatrzenie, nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło. Chciałaby przypisać je nadmiarowi pracy w ostatnich tygodniach, chodziła rozkojarzona, a rano wyszła w pośpiechu, bo była spóźniona, ale nękało ją nieprzyjemne uczucie, że traci pamięć. Zaraz przestraszyła się, że ktoś mógł wejść do mieszkania; słyszała, że żaden alarm nie jest bezpieczny, że istnieją teraz elektroniczne urządzenia, którymi można go wyłączyć.

Rachel Rosen nie przepadała za swoim mieszkaniem; na pomysł, żeby kupić stare i nieprzytulne poddasze o wysokich sufitach, wpadł jej mąż, nigdy nie zdołali go odnowić, o czym kiedyś marzyli, i zostało takie, jak było przed trzydziestu laty, zimne jak mauzoleum. Zamierzała je sprzedać, gdy tylko przejdzie na emeryturę, i przenieść się w jakieś słoneczne miejsce, gdzie nie będzie potrzebowała ogrzewania, na przykład na Florydę. Zmęczona długim

dniem walk z adwokatami i przestępcami, zapaliła światło w holu, zostawiła teczkę na stole w jadalni, ciemnym korytarzem po omacku dotarła do kuchni, gdzie położyła na kontuarze siatkę z zakupami, i udała się do swojego pokoju, żeby zmienić ubranie i narzucić na siebie coś wygodniejszego. Piętnaście minut później wróciła do kuchni, żeby przygotować kolację, w pizamie, flanelowym szlafroku i kapciach wyłożonych baranią skórą. Nie zdążyła opróżnić siatki.

Najpierw poczuła to za plecami: dyskretną obecność, jakby złe wspomnienie, i zastygła w bezruchu, czekając, owładnięta tym samym strachem, który ogarniał ją, kiedy wysiadała z samochodu w garażu. Z trudem zapanowała nad wyobraźnią, nie chciała skończyć jak jej matka, która spędziła ostatnie lata życia zamknięta na klucz w mieszkaniu, nigdzie nie wychodząc, przekonana, że za drzwiami czekają na nią agenci gestapo. Na starość ludzie robią się strachliwi, ale ja nie jestem jak moja matka, pomyślała. Wydało jej się, że słyszy szelest, jakby papieru albo plastiku, i odwróciła się w stronę kuchennych drzwi. Na progu rysowała się czyjaś sylwetka, niewyraźny ludzki kształt, napompowany, bez twarzy, powolny i niezdarny jak astronauta na Księżycu. Wydała z siebie ochrypły, straszny krzyk, który zrodził się w jej brzuchu i wspiął do piersi niczym płomień, zobaczyła, że przerażająca postać rusza naprzód; drugi krzyk utknął w gardle i zabrakło jej powietrza.

Rachel Rosen zrobiła krok do tyłu, wpadła na stół i przewróciła się na bok, zakrywając głowę rękami. Leżała na podłodze, błagając szeptem, żeby nie robili jej krzywdy, proponowała, że odda pieniądze i wartościowe rzeczy, które ma w domu, przeczołgała się pod stół i skuliła, drżąc ze strachu. Negocjowała i płakała przez trzy trwające wieczność minuty, zanim straciła przytomność. Nie poczuła ukłucia w udo.

Piątek, 10

Nadinspektor Bob Martín nieczęsto był jeszcze w łóżku o wpół do ósmej rano w piątek, zwykle jego dzień zaczynał się o świcie. Leżał z rękami za głową, w najwygodniejszej dla siebie pozycji, obserwował słabe światło dnia, które wciskało się przez białą żaluzję w jego pokoju, i walczył z chęcią sięgnięcia po papierosa. Rzucił palenie siedem miesięcy temu, nosił plaster nikotynowy i mikroskopijne igiełki, które Yumiko Sato wbiła mu w uszy, ale nadal czuł nieprzepartą pokusę, żeby zapalić. Ayani zaleciła mu podczas jednego ze spotkań, które nie były już przesłuchaniami, tylko rozmowami, żeby spróbował hipnozy, jednej z metod psychologii, która przyniosła sławę jej mężowi, ale ten pomysł mu się nie spodobał. Uważał, że sprzyja nadużyciom, jak w tym filmie, w którym magik hipnotyzuje Woody'ego Allena i zmusza do kradzieży klejnotów.

Skończył właśnie uprawiać seks z Karłą, trzeci raz w ciągu pięciu godzin, co nie do końca było rekordem, bo w sumie trwało tylko dwadzieścia trzy minuty. Teraz, kiedy ona przygotowywała kawę w kuchni, on myślał o pani Ashton, o słodkim zapachu jej skóry, którego jedynie się domyślał, bo nigdy nie znalazł się na tyle blisko, żeby ją powąchać, o jej długiej szyi, oczach koloru miodu, ciężkich powiekach, o jej spokojnym, głębokim głosie, jak szum wody w rzece albo suszarki. Minał miesiąc od śmierci Ashtona, a on wciąż wymyślał preteksty, żeby niemal codziennie widywać wdowę, czym wywoływał sarkastyczne komentarze Petry Horr. Asystentka traciła do niego szacunek. To dlatego, że zbyt się z nią spoufalił, powinien pokazać, gdzie jest jej miejsce.

Baraszkując z Karłą w ciemnościach, marzył, że robi to z Ayani; obie kobiety były wysokie i szczupłe, o długich kościach i wystających policzkach, ale czar pryskał, kiedy tylko Karla otwierała usta, żeby wyrzucić z siebie z polskim akcentem litanie sprośności, które na początku go podniecały, ale szybko zaczęły mu przeszkadzać. Ayani kochała się w ciszy, był tego pewien, a może mruczała jak Ocal-Tuńczyka, ale żadnych świństw w etiopskim języku. Nie chciał myśleć o tym, że Ayani jest z Galangiem, co sugerowała Petra, a tym bardziej o okaleczeniu, jakiego doznała w dzieciństwie. Nigdy nie widział tak niesamowitej istoty jak Ayani. Zapach kawy dotarł do jego nozdrzy w momencie, w którym zadzwonił telefon.

- Bob, tu Blake. Możesz przyjechać do mnie do domu? To pilne.
- Coś się stało Amandzie? Indianie? – wrzasnął nadinspektor, wyskakując z łóżka.
- Nie, ale to poważna sprawa.
- Jadę.

Blake Jackson nie był panikarzem, musiał mieć poważny powód, żeby do niego dzwonić. W ciągu dwóch minut nadinspektor zdążył ochlapać sobie twarz wodą, ubrać się w to, co miał pod ręką, i pobiec do samochodu, nie zegnając się z Karłą, która została naga w kuchni z dwoma kubkami kawy w dłoniach.

Kiedy dojechał do Potrero Hill, zobaczył różową furgonetkę Atomowych Kopciuszków zaparkowaną przed wejściem do domu byłego teścia, który czekał w kuchni z Elsą Domínguez i jej dwiema córkami, Noemí i Alicią. Były to młode dziewczyny o ładnych buziach,

kwadratowych kształtach i dużych pokładach energii, brakowało im naiwności i słodczy ich matki. Zaczęły sprzątać domy w szkole średniej po lekcjach, żeby wesprzeć rodzinny budżet, a po kilku latach zostały kobietami biznesu. Zdobywały klientów i uzgadniały warunki pracy, potem wysyłały do sprząwania inne kobiety, a na koniec miesiąca odbierały pieniądze, wypłacały pensje i kupowały środki czystości. Pracownice nie ryzykowały, że będą wykorzystywane przez nieludzkich pracodawców, a klienci nie musieli wypytywać o sytuację prawną kobiet czy tłumaczyć poleceń na hiszpański, bo porozumiewali się bezpośrednio z Noemí i Alicią, które odpowiadały za jakość usług i uczciwość swoich ludzi.

Atomowe Kopciuszkii rozwinęły się w ostatnich latach, obsługiwały znaczną część miasta, trzeba było wpisywać się na listę oczekujących, żeby skorzystać z ich usług. Zazwyczaj przyjeżdżały do domów raz w tygodniu, w dwu-, trzyosobowych ekipach i zabierały się do roboty z taką werwą, że po paru godzinach wszystko błyszczało. Przez kilka lat pracowały u sędzi Rachel Rosen przy Church Street, aż do tego piątkowego ranka, kiedy znalazły ją powieszoną na wiatraku.

Alicia i Noemí wyjaśniły nadinspektorowi, że Rachel Rosen robiła tyle problemów z płaceniem im na czas, że w końcu, zmęczone comiesięcznymi walkami, postanowiły wymówić jej swoje usługi. Tego ranka poszły we dwie odebrać czeki za grudzień i styczeń i uprzedzić, że Kopciuszkii nie wrócą. Dotarły o siódmej, kiedy nie było jeszcze portiera, który zaczynał pracę o ósmej, ale znały kod do drzwi wejściowych i miały klucz do mieszkania klientki. Zostały je pogrążone w mroku, lodowate, z wyłączonym ogrzewaniem; zdziwił je panujący spokój, bo Rosen wstawiała wcześniej i o tej godzinie powinna już pić herbatę przy włączonych na cały regulator wiadomościach telewizyjnych, w stroju sportowym i adidasach, gotowa do joggingu w parku Dolores. Jej trasa zawsze była taka sama: przez pół godziny szła szybkim krokiem od Church Street mostem dla pieszych, zatrzymywała się w piekarni Tartine na rogu Guerrero i Osiemnastej Ulicy, kupowała dwie bułki i wracała do domu wziąć prysznic i ubrać się, żeby pójść do sądu. Dziewczyny zajrzały do salonu, gabinetu, jadalni i kuchni, wzywając panią, waliły w zamknięte drzwi jej sypialni, a kiedy nie otrzymały odpowiedzi, odważyły się wejść do środka.

– Zwisiała z sufitu – powiedziała Alicia szeptem, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy.

– Popełniła samobójstwo? – zapytał nadinspektor.

– Na początku tak myślałyśmy i sprawdziłyśmy, czy żyje i czy możemy ją zdjąć, ale wydało nam się, że została zamordowana, bo nikt nie zakleja sobie ust taśmą, żeby popełnić samobójstwo, prawda? Wtedy się przestraszyłyśmy i Alicia powiedziała, że powinnyśmy szybko stamtąd wyjść. Przypomniałyśmy sobie o odciskach palców i dlatego wytarłyśmy drzwi i wszystko inne, czego dotknęłyśmy – wyjaśniła bardzo zdenerwowana Noemí.

– Zatarły panie ślady na miejscu zbrodni! – wykrzyknął nadinspektor.

– Niczego nie zatarłyśmy. Użyłyśmy tylko wilgotnych chusteczek. Wie pan, takich jednorazowych, zawsze mamy je ze sobą, dezynfekują.

– Zadzwończyłyśmy do mamy z furgonetki – dodała siostra, wskazując na Elbę, która cicho płakała w swoim fotelu, uczepiona dłoni Blake'a.

– Powiedziałam im, żeby przyjechały prosto do pana Jacksona. Co innego mogły zrobić? – wyznała Elsa.

– Na przykład zadzwonić pod dziewięćset jedenaście – zasugerował Bob Martín.

– Dziewczyny nie chcą problemów ze służbami imigracyjnymi, Bob. One zdobyły pozwolenie na pracę, ale większość ich sprzątaczek nie ma dokumentów – wyjaśnił były teść.

– Jeśli są tu legalnie, nie mają się czego bać.

– To ty tak myślisz, bo nigdy nie znalazłeś się w sytuacji imigranta z latynoskim akcentem – zauważył Blake. – Rachel Rosen była bardzo nieufna. Nikt jej nie odwiedzał, nawet syn nie miał klucza do jej mieszkania, tylko Alicia i Noemí, które co tydzień zostawiały tam sprzątaczkę. To one będą podejrzane.

– Pani nigdy nic nie zginęło, dlatego w końcu dała nam klucze. Na początku zostawała, żeby pilnować, liczyła sztuce i każdą sztukę ubrania, która szła do pralki, ale potem odpuściła – tłumaczyła Alicia.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie zadzwoniły panie na policję – powtórzył Bob Martín, wyjmując komórkę.

– Zaczekaj, Bob! – powstrzymał go Blake.

– Pracujemy w tym kraju od tylu lat, jesteśmy uczciwymi osobami! Pan nas zna, proszę sobie wyobrazić, co będzie, jeśli oskarżą nas o śmierć tej pani – zaszlochała Elsa Domínguez.

– To się szybko wyjaśni, Elso, proszę się nie bać – zapewnił Bob Martín.

– Elsa martwi się o swojego najmłodszego syna – wtrącił Blake. – Wiesz, że Hugo miał problemy z prawem, musiałeś mu kilka razy pomagać, pamiętasz? Siedział w więzieniu za bójki i kradzież. Hugo miał dostęp do kluczy do tego mieszkania.

– Jakim cudem? – zapytał nadinspektor.

– Mój brat mieszka ze mną – powiedziała Noemí. – Klucze do wszystkich domów, które obsługujemy, wiszą w moim pokoju na breloczkach z nazwiskami klientów. Hugo jest głupi i pakuje się w kłopoty, ale nie jest w stanie zabić nawet muchy.

– Twój brat mógł pójść do mieszkania Rosen, żeby je okraść... – zasugerował nadinspektor.

– Sądzisz, że powiesiłby tę kobietę? Proszę cię, Bob! Pomóż nam, trzeba trzymać chłopaka z dala od tego wszystkiego – poprosił Blake.

– Niemożliwe. Będziemy musieli przesłuchać wszystkich, którzy mieli kontakt z ofiarą, i jego osoba wyjdzie w trakcie śledztwa. Spróbuję dać mu parę dni – powiedział nadinspektor. – Jadę do biura. Za dziesięć minut wykonajcie krótki anonimowy telefon pod dziewięćset jedenaście z budki telefonicznej, żeby zawiadomić, co się stało. Nie muszą panie podawać nazwiska, jedynie adres Rosen.

Nadinspektor zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby zatankować, i tak jak się spodziewał, głos Petry Horr dopadł go przez komórkę, żeby poinformować o zwłokach na Church Street. Ruszył w tamtym kierunku, podczas gdy jego asystentka wojskowym tonem

podawała mu pierwsze informacje na temat ofiary. Rachel Rosen, urodzona w 1948 roku, absolwentka Uniwersytetu Hastingsa, pracowała jako prawniczka w prywatnej firmie, potem jako prokurator i wreszcie jako sędzia do spraw nieletnich. Piastowała to stanowisko aż do śmierci.

– Miała sześćdziesiąt cztery lata, w przyszłym roku przechodziła na emeryturę – dodała Petra. – Żona Davida Rosena, żyli w separacji, ale się nie rozwiedli, mają syna, Ismaela, który mieszka w San Francisco, i zdaje mi się, że pracuje w firmie zajmującej się dystrybucją rozmaitych alkoholi, ale muszę to potwierdzić. Nie został jeszcze powiadomiony. Wiem, o czym pan myśli, szefie: pierwszym podejrzanym jest małżonek, ale nie w tym przypadku, bo David Rosen ma solidne alibi.

– Jakże?

– Umarł z powodu nagłego zatrzymania akcji serca w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym.

– A to pech. Coś jeszcze?

– Rosen nie była w dobrych stosunkach z synową, przez co oddaliła się od syna i trójki wnuków. Pozostali członkowie rodziny to dwójka rodzeństwa z Brooklynu, których, jak się wydaje, nie widziała od lat. Była niezbyt przyjazną, zgorzkniałą kobietą o złym charakterze. W sądzie miała opinię surowej, jej wyroki budziły strach.

– Pieniądze? – zapytał Bob.

– Tego nie wiem, ale sprawdzam. Chce pan znać moje zdanie, szefie? To była wstrętna starucha, zasługuje na to, żeby smażyć się w piekielnym ogniu.

Kiedy Bob Martín dotarł na Church Street, naprzeciwko parku Dolores, pół kwartału było już otoczone taśmą policyjną i wyłączone z ruchu. Jeden z policjantów zaprowadził go do budynku, gdzie portier, Manuel Valenzuela, mniej więcej pięćdziesięcioletni Latynos w ciemnym garniturze i krawacie, zapewnił, że to nie on zadzwonił pod 911. Dowiedział się o wszystkim, kiedy przyszło dwóch policjantów i kazało mu otworzyć mieszkanie Rachel Rosen kluczem uniwersalnym. Powiedział, że ostatni raz widział panią w poniedziałek, kiedy odbierała swoją pocztę, czego nie zrobiła we wtorek, środę ani w czwartek, dlatego myślał, że wyjechała. Czasami nie było jej przez kilka dni, wymagała tego jej praca. Dzisiejszego ranka zadzwonił do niej po ósmej, gdy tylko zaczął zmianę, by zapytać, czy chce, żeby przyniósł jej zaległą korespondencję i paczkę, która przyszła do niej poprzedniego dnia po południu, ale nikt nie odbierał. Manuel Valenzuela uznał, że jeśli kobieta wróciła z podróży, może być w parku. Zanim zaczął się niepokoić, przyjechała policja, strażacy i karetka pogotowia, wywołując zamieszanie, które zaalarmowało całą okolicę.

Bob Martín nakazał portierowi, żeby pozostał w recepcji i udzielał mieszkańcom bloku jak najmniej informacji, by uniknąć wybuchu paniki. Skonfiskował korespondencję i paczkę, po czym ruszył do mieszkania Rachel Rosen, gdzie czekał na niego sierżant Joseph Deseve, który jako pierwszy przyjechał na miejsce po telefonie pod 911. Nadinspektor ucieszył się na jego widok: sierżant miał wieloletnie doświadczenie, był rozsądny i potrafił poradzić sobie z sytuacją taką jak ta. „Ograniczyłem dostęp na to piętro. Tylko ja byłem na miejscu zbrodni. Musieliśmy siłą przeszkodzić reporterowi, któremu udało się dotrzeć aż tu. Nie wiem, w jaki

sposób prasa dowiaduje się wcześniej niż my”, poinformował go sierżant.

Poddasze miało duże okna wychodzące na park, ale widok i dostęp światła blokowały firanki i grube zasłony, które nadawały mieszkaniu atmosferę zakładu pogrzebowego. Właścicielka urządziła je staromodnymi meblami w złym stanie, dywanami imitującymi perskie, obrazami w złożonych ramach przedstawiającymi bukoliczne krajobrazy w pastelowych kolorach, sztucznymi roślinami i kredensem z przeszklonymi drzwiami, gdzie wystawiła ogród zoologiczny złożony z kryształowych zwierzątek Swarovskiego, które nadinspektor dostrzegł kątem oka, zanim wszedł do głównej sypialni.

Policjant, który pilnował drzwi, odsunął się, widząc ich obu; Joseph Deseve został na progu, a nadinspektor wszedł do środka z małym dyktafonem, żeby nagrać swoje pierwsze wrażenia, które często okazywały się najtrafniejsze. Tak jak powiedziały Noemí i Alicia, sędzia była w pizamie, boso, zawieszona na wiatraku pod sufitem na środku pokoju, z zaklejonymi taśmą ustami. Sięgała stopami łóżka, co oznaczało, że mogła umierać przez kilka godzin, walcząc instynktownie, by utrzymać się przy życiu, aż pokonało ją zmęczenie albo zemdląca i udusił ją ciężar własnego ciała.

Pochylił się, żeby obejrzeć dywan, i zobaczył, że łóżko nie zostało przesunięte, po czym stanął na palcach i zbadał wiatrak; nie wszedł na krzesło ani na szafkę nocną, bo wcześniej powinni zdjąć z nich odciski palców. Zdziwiło go, że wentylator nie oderwał się od sufitu pod wpływem desperackich ruchów ofiary.

Proces rozkładu był zaawansowany, spuchnięte ciało, zniekształcona twarz, wytrzeszczone oczy, marmurkowata skóra z zielonymi i czarnymi żyłkami. Z wyglądu zwłok Martín wywnioskował, że śmierć nastąpiła co najmniej trzydzieści sześć godzin wcześniej, ale postanowił nie snuć domysłów, tylko zaczekać na Ingrid Dunn.

Wyszedł z pokoju, zdjął maseczkę i rękawiczki, po czym kazał z powrotem zamknąć pomieszczenie i postawić przy drzwiach policjanta. Zadzwoił do Petry, żeby zawiadomiła lekarza sądowego i techników potrzebnych do przeszukania miejsca zbrodni, spisania rzeczy znajdujących się w pokoju, sfotografowania i sfilmowania ciała, zanim zostanie zabrane do kostnicy. Kiedy podciągał suwak kurtki, przebiegł go dreszcz i uświadomił sobie, że jest głodny, że potrzebuje kawy, która budziła go każdego ranka. W ułamku sekundy zobaczył Karłę z dwoma kubkami w dłoniach, nagą, smukłą niczym czapla, z wystającymi kośćmi bioder i obojczyków i przesadnie dużymi piersiami, na których operację oszczędzała przez trzy lata, niesamowitą istotą z innej planety, przez pomyłkę przebywającą w jego kuchni.

Podczas gdy sierżant Deseve schodził na ulicę, żeby pilnować prasy i ciekawskich, Bob Martín sporządził wstępną listę osób, które powinien przesłuchać, a następnie przejrzał ostatnią pocztę Rachel Rosen – kilka rachunków, dwa katalogi, trzy gazety i koperta z Bank of America. Paczka zawierała kolejne kryształowe zwierzątko. Bob Martín zadzwonił na recepcję i portier wyjaśnił mu, że pani Rosen od kilku lat otrzymywała po jednym na miesiąc.

Wkrótce zjawili się technicy z Ingrid Dunn na czele oraz Petra Horr, która nie miała tu nic do roboty, ale przyjechała pod pretekstem przywiezienia nadinspektorowi kawy z mlekiem w kubku gigantycznych rozmiarów, jakby czytała w jego myślach. „Wybacz, szefie, ale nie

mogłam powstrzymać ciekawości: musiałam zobaczyć ją na własne oczy”, wyjaśniła. Bob Martín przypomniał sobie historię opowiedzianą mu przez Petrę podczas balangi, która zaczęła się od mojito i piwa w Camelocie, starym barze przy ulicy Powella, gdzie policjanci i detektywi chodzili regularnie po pracy, a skończyła w pokoju Petry łzami i wyznaniem. Spotkał się wtedy z kilkoma kolegami, żeby oblać skazanie O.J. Simpsona w Las Vegas – napad z bronią w rękę i porwanie, trzydzieści trzy lata więzienia – które uczcili jako niezbity dowód na istnienie boskiej sprawiedliwości. Podziw dla wyczynów gwiazdy futbolu, jaki wszyscy czuli, zamienił się siedem lat wcześniej w rozczarowanie, kiedy Simpson został uniewinniony z zarzutu zabójstwa swojej byłej żony i jej przyjaciela, chociaż dowody świadczące przeciwko niemu były miażdżące. Policja z całego kraju poczuła się oszukana.

Spotkanie w Camelocie miało miejsce w grudniu 2008 roku i Petra była już wtedy od jakiegoś czasu w wydziale. Bob Martín policzył lata, które przepracowali razem, zdziwiło go, że dziewczyna nie postarzała się ani o jeden dzień i nadal jest tym samym chochlikiem, który wtedy wypił trzy mojito, zrobił się sentymentalny i zabrał go do wynajmowanej przez siebie służbówki. W tamtym okresie Petra żyła jak biedna studentka, spłacała jeszcze długi, które zostawił po sobie chwilowy mąż przed wyjazdem do Australii. Oboje byli wolni od zobowiązań, a ona potrzebowała ludzkiego ciepła, przejęła więc inicjatywę i zaczęła go pieścić, ale Bob miał mocniejszą głowę i resztką przytomności postanowił grzecznie odrzucić jej propozycję. Obudziliby się z poczuciem winy, miał co do tego pewność. Nie warto było ryzykować ich fantastycznych zawodowych relacji dla kilku pijackich pocałunków.

Położyli się w ubraniach na łóżku, ona oparła głowę na jego ramieniu i opowiedziała mu o smutkach swojej krótkiej egzystencji, których on wysłuchał jednym uchem, walcząc ze snem. W wieku szesnastu lat Petra została skazana na dwa lata więzienia za posiadanie marihuany, częściowo z winy niekompetentnego adwokata z urzędu, ale przede wszystkim z powodu legendarnej surowości sędzi Rachel Rosen. Dwa lata wydłużyły się do czterech, bo inna więźniarka trafiła po sprzeczce z Petrą do ambulatorium. Jej zdaniem tamta się poślizgnęła, upadła i uderzyła głową w betonową kolumnę, ale Rosen uznała, że doszło do czynnej napaści.

Pół godziny później, kiedy zdjęli Rachel Rosen z wiatraka i położyli ją na noszach, Ingrid Dunn podzieliła się z nadinspektorem swoimi wrażeniami.

– Na pierwszy rzut oka szacuję, że zgon nastąpił co najmniej dwa dni temu, może trzy, rozkład ciała mógł być powolny, bo to mieszkanie to istna lodówka. Nie ma ogrzewania?

– Według portiera każdy lokator reguluje kaloryfery i płaci za ciepło, które zużyje. Rachel Rosen miała pieniądze, ale mieszkała w zimnie. Przyczyna zgonu wydaje się oczywista.

– Umarła uduszona, ale nie sznurem, który miała na szyi – powiedziała Ingrid.

– Nie?

Lekarka pokazała mu cienką niebieską linię, różniącą się od śladu po sznurze, i wyjaśniła, że została zrobiona, kiedy sędzia żyła, o czym świadczyły rozerwanie i wyciek z naczyń krwionośnych. Drugi ślad był rysą na ciele, która nie pozostawiła sińca, choć sznur utrzymywał ciężar ciała; ten powstał już po śmierci.

– Prawdopodobnie tę kobietę najpierw uduszono, a potem powieszono, co najmniej dziesięć, piętnaście minut później, kiedy na zwłokach nie pojawiają się już sińce.

– To by tłumaczyło, dlaczego nie urwał się wiatrak – powiedział Bob Martín.

– Nie rozumiem.

– Gdyby kobieta walczyła o życie, opierając się na czubkach palców, jak z początku myślałem, wiatrak nie wytrzymałby szarpnięć.

– Skoro była martwa, po co ją powiesili? – zapytała lekarka.

– Ty będziesz musiała mi to powiedzieć. Przypuszczam, że zakleili jej usta, żeby nie krzyczała, czyli kiedy jeszcze żyła.

– Zdejmę jej taśmę podczas sekcji i wtedy będziemy wiedzieli na pewno, ale nie mam pojęcia, po co mieliby to robić, kiedy była już martwa.

– Z tego samego powodu, dla którego powiesili zwłoki.

Kiedy zabrano ciało, nadinspektor kazał technikom kontynuować pracę, a sam zaprosił Ingrid Dunn i Petrę Horr na śniadanie. Będzie to jedyny moment relaksu, zanim wpadnie w wir nowego śledztwa.

– Wierzycie w astrologię? – zapytał swoich towarzyszek.

– W co? – zdziwiła się lekarka.

– W astrologię.

– Oczywiście – powiedziała Petra. – Zawsze czytam horoskop Celeste Roko.

– Ja tam w to nie wierzę, a ty, Bob? – zapytała Ingrid.

– Do wczoraj nie wierzyłem, ale dziś zaczynam mieć wątpliwości – westchnął nadinspektor.

Sobota, 11

Przez wzgląd na Elbę, która wychowała jego córkę i była w rodzinie od siedemnastu lat, nadinspektor umówił się z Dominguezem w mieszkaniu jego siostry Noemí, w Canal, na przedmieściach San Rafael, zamiast zgodnie ze zwykłą procedurą przesłuchać go na komendzie. Zabrał ze sobą Petrę Horr, żeby nagrała zeznania. W samochodzie poinformowała go, że siedemdziesiąt procent mieszkańców Canal stanowią Latynosi o niskich dochodach, wielu z nich to nielegalni imigranci, głównie z Meksyku i Ameryki Środkowej. Żeby opłacić wynajem, kilka rodzin dzieli jedno mieszkanie. „Słyszał pan o gorących łózkach, szefie? To znaczy, że dwie albo więcej osób korzysta z tego samego łóżka na zmianę, o różnych porach”, powiedziała Petra. Minęli „przystanek”, gdzie o trzeciej po południu tuzin mężczyzn nadal czekał, aż przyjedzie po nich jakiś samochód, żeby zabrać ich na parę godzin do pracy. Dzielnica miała wyraźny latynoski klimat, z barami *tacos*, targowiskami z produktami z południowej granicy i sztyldami w języku hiszpańskim.

Budynek, w którym mieszkała Noemí, jeden z kilku identycznych, był wielką cementową bryłą w kolorze majonezu z małymi oknami, zewnętrznymi schodami i drzwiami wychodzącymi na zadaszone galerie, gdzie dorośli spotykali się, żeby porozmawiać, a dzieci, żeby się pobawić. Przez pootwierane drzwi dobiegały odgłosy radia i telewizji nastawionych na hiszpańskojęzyczne programy. Weszli na drugie piętro obrzucani wrogimi spojrzeniami przez sąsiadów, którzy nie ufali obcym i potrafili na odległość wywęszyć policjanta, nawet po cywilnemu.

W dwupokojowym mieszkaniu z łazienką czekali jego lokatorzy: Noemí i trójka jej dzieci, nastoletnia kuzynka z brzuchem jak arbuz i dwudziestoletni Hugo, najmłodszy syn Elsy. Ojciec dzieci Noemí ulotnił się zaraz po narodzinach ostatniego, które niedawno skończyło pięć lat, a ona miała teraz innego partnera, Nikaraguańczyka, który mieszkał z nimi, kiedy pojawiał się w rejonie zatoki; prawie zawsze był nieobecny, bo jeździł tirem. „Szczęściara ze mnie, znalazłam sobie dobrego mężczyznę, który ma pracę”, podsumowała go Noemí. Salon zajmowały lodówka, telewizor i kanapa.

Dziewczyna w ciąży przyniosła z kuchni tacę ze szklankami z horchatą, chipsami i guacamole. Ponieważ szef ostrzegł Petrę, żeby nie odmawiała poczęstunku, bo poczują się obrażeni, spróbowała na siłę białawego napoju o podejrzanym wyglądzie, który jednak okazał się przepyszny. „To według przepisu mojej matki, dodajemy zmielone migdały i wodę ryżową”, wyjaśniła Alicia, która właśnie przyszła. Mieszkała z mężem i dwiema córkami przecnicę dalej w podobnym lokalu, ale było jej wygodniej niż siostrze, bo nie musiała go z nikim dzielić.

Sześć miesięcy wcześniej Bob Martín doradzał policji z San Rafael, jak kontrolować gangi, dlatego nie dał się zwieść wyglądowi Domingueza. Podejrzał, że siostry zmusiły go do włożenia koszuli z długim rękawem i spodni zamiast koszulki na ramiączkach i workowatych dżinsów niepewnie zwisających pod pępkiem, z krokiem między kolanami, jakie nosili chłopcy tacy jak on. Koszula zakrywała tatuaże i łańcuchy na piersiach, ale włosy, wygolone naskroniach i długie z tyłu, kolczyki na twarzy i w uszach, a przede wszystkim

postawa aroganckiej pogardy zdradzały go jako członka gangu.

Nadinspektor znał chłopaka od zawsze i było mu go szkoda. Tak jak on sam, wychowany przez babcię, matkę i siostry o żelaznym charakterze, Hugo dorastał pod rządami silnych kobiet ze swojej rodziny. Zaszufładowały go jako nieudacznika i półgłówka, ale Bob sądził, że młody człowiek nie ma złego usposobienia i z niewielką pomocą uchroniłby się przed więzieniem. Nie chciał widzieć syna Elsy za kratkami. Stałby się kolejnym z dwóch milionów dwustu tysięcy więźniów w Stanach Zjednoczonych. Tu było ich więcej niż w innych państwach, nawet tych rządzonych przez najgorszych dyktatorów; stanowili jedną czwartą więziennej populacji świata, naród uwięziony w obrębie narodu. Nie potrafił sobie wyobrazić, że chłopak mógłby z premedytacją popełnić morderstwo, ale w swoim zawodzie doświadczył wielu niespodzianek i był przygotowany na najgorsze. Hugo rzucił szkołę w pierwszej klasie liceum, miał problemy z prawem, nie wierzył w samego siebie, nie miał papierów, pracy ani przyszłości. Jak tyłu innych w podobnej sytuacji, z braku alternatywy należał do brutalnego świata ulicy.

Policja od kilkudziesięciu lat walczyła z latynoskimi gangami działającymi w rejonie zatoki: z Norteños, którzy byli najliczniejsi, a ich znakiem rozpoznawczym stał się kolor czerwony i litera „N” wytatuowana na piersiach i rękach; Sureños, do których należał Hugo Domínguez i którzy obrali kolor niebieski i literę „M”; z Border Brothers, najemnymi mordercami ubranymi na czarno, oraz z budzącą grozę mafią meksykańską, MM, kontrolującą z więzienia handel narkotykami, bronią i prostytutką. Latynoskie gangi wojowały między sobą, walczyły o terytorium z gangami Murzynów i Azjatów, kradły, gwałciły, rozprowadzały narkotyki, zastraszały mieszkańców przedmieść i prowokowały władze do niekończącej się wojny. Alarmująco dużej liczbie młodych ludzi gang zastępował rodzinę, oferował im tożsamość i ochronę, stanowił jedyny sposób na przeżycie w więzieniu, gdzie osadzeni dzielili się na grupy etniczne czy narodowościowe. Po odsiedzeniu wyroku gangsterzy byli deportowani do swoich krajów, w których przyłączali się do lokalnych grup przestępczych powiązanych z gangami ze Stanów Zjednoczonych; w ten sposób handel narkotykami i bronią zamienił się w interes bez granic.

Hugo Domínguez przeszedł inicjację konieczną, by wstąpić do Sureños: brutalne pobicie, za które zapłacił kilkoma połamanymi żebrami. Miał na plecach szramę po ciosie nożem, a na rękę płytką ranę po kuli, parokrotnie został aresztowany, w wieku piętnastu lat trafił do zakładu karnego dla nieletnich, a kiedy miał siedemnaście, Bob Martín ocalił go od więzienia dla dorosłych, gdzie miałyby wielkie możliwości udoskonalenia swoich przestępczych praktyk.

Pomimo tej przeszłości nadinspektor wątpił, żeby Hugo był zdolny do popełnienia tak wyrafinowanej zbrodni jak zabójstwo Rachel Rosen, w dodatku tak daleko od swojego terenu działania. Niemniej nikt nie mógł wykluczyć takiej możliwości, jako że zamordowana słynęła z wymierzania długich kar nieletnim gangsterom, których sądziła. Niejeden chłopak skazany na kilka lat więzienia poprzysiągł sobie, że się na niej zemści, a Hugo mógł dostać zadanie polegające na wykonaniu wyroku w ramach gangsterskiej inicjacji.

Bob Martín wiedział, że ze strategicznego punktu widzenia warto zmusić podejrzanego do

czekania, więc nawet nie spojrzął na chłopaka, zajął się chipsami z guacamole i rozmową z kobietami, jakby chodziło o towarzyskie spotkanie. Chciał wiedzieć, kiedy urodzi się dziecko ciężarnej nastolatki, kto jest ojcem i czy poszła na wizytę kontrolną; potem oddał się wspomnianiu przeszłości z Noemí i Alicią, opowiedział kilka anegdotek i wypił kolejną szklankę horchaty, podczas gdy trójka dzieci stojących w progu kuchni obserwowała go z powagą starców, a Petra próbowała ponaglić, rzucając niecierpliwe spojrzenia. Hugo Domínguez udawał, że jest pochłonięty wysyłaniem SMS-ów z komórki, ale po twarzy spływały mu krople potu.

Wreszcie nadinspektor poruszył temat, który wszystkich interesował. Noemí wyjaśniła mu, że знаła Rachel Rosen od ośmiu lat i że na początku to ona sama sprzątała jej mieszkanie. Potem, kiedy założyły z siostrą firmę Atomowe Kopciuszki, sędzia zrezygnowała z ich usług, bo nie chciała wpuszczać do domu obcych ludzi. Noemí o niej zapomniała, ale któregoś dnia Rosen zadzwoniła.

– Jestem bardzo pedantyczna, jeśli chodzi o klientów, mam zapisaną dokładną datę, kiedy wznowiliśmy usługi – powiedziała dziewczyna. – Pani Rosen targowała się o cenę, ale w końcu doszliśmy do porozumienia. Minął rok, zanim dała nam klucze i zaczęła wychodzić z domu, kiedy Kopciuszki przyjeżdżały sprzątać. Ponieważ była bardzo przeczulona i nieufna, zawsze wysyłałyśmy do niej te same kobiety, które znały dziwactwa pani.

– Ale w piątek to nie one tam pojechały, tylko ty z siostrą – powiedział Bob.

– Bo zalegała z opłatami za dwa miesiące, pobieramy je co dwa tygodnie, a ona ostatnią uiściła na początku grudnia – odparła Alicia. – Zamierzałyśmy ją poinformować, że nie możemy dalej świadczyć jej usług, bo poza tym, że spóźniała się z płatnościami, źle traktowała pracownice.

– To znaczy jak?

– Na przykład zabraniała im otwierać lodówkę i korzystać z toalety, uważała, że mogą ją czymś zarazić. Narzekała, zanim dała nam czek: że jest kurz pod kredensem, rdza w zmywarce, plama na dywanie... zawsze było coś nie tak. Któregoś razu stłukła się filiżanka i policzyła nam za nią sto dolarów, powiedziała, że była zabytkowa. Zbierała kryształowe zwierzątka, których nie pozwalała nam dotykać.

– Przysłali jej kolejne w środę – powiedział nadinspektor.

– To musiało być jakieś wyjątkowe. Czasami kupowała je przez internet albo w sklepach z antykami. Te z prenumeraty przychodziły zawsze pod koniec miesiąca w pudełku z nazwą firmy.

– Swarovski? – zapytał Martín.

– Dokładnie.

Podczas gdy Petra nagrywała i robiła notatki, Noemí i Alicia pokazały Bobowi Martinowi listę klientów, rachunkowość i kółko z kluczami do mieszkań, które sprzątały. Wydawały je tylko pracownikom z najdłuższym stażem, całkowicie zaufanym.

– My mamy jedyny klucz pani Rosen – powiedziała Alicia.

– Ale dostęp do kółka ma każdy – stwierdził nadinspektor.

– Ja nigdy nie dotknąłem tych kluczy! – wybuchnął Hugo Domínguez, który nie mógł się dłużej powstrzymać.

– Widzę, że należysz do Sureños – powiedział inspektor, spoglądając na niebieską apaszkę na szyi. – Siostry najwyraźniej nie zdołały chłopaka nakłonić, żeby ją zdjął. – Wreszcie cię szanują, choć niekoniecznie za twoje pieprzone zasługi. Teraz nikt nie odważy ci się postawić, co? Jesteś w błędzie, ja się odważę.

– Czego ode mnie chcesz, pierdolony glino?

– Podziękuj matce, że nie przesłuchuję cię na komisariacie, moi chłopcy nie są szczególnie wyrozumiali wobec gości takich jak ty. Teraz powiesz mi, co robiłeś, minuta po minucie, od piątej po południu w zeszły wtorek do południa w środę.

– To z powodu tej starej, tej, którą zabili. Nawet nie wiem, jak się nazywała, nie mam z tym nic wspólnego.

– Odpowiedz na moje pytanie!

– Byłem w Santa Rosa.

– To prawda, nie wrócił na noc – przerwała Noemí.

– Ktoś cię widział w Santa Rosa? Co tam robiłeś?

– Nie wiem, kto mnie widział, nie dbam o takie głupoty. Pojechałem na wycieczkę.

– Będziesz musiał znaleźć sobie lepsze alibi, jeśli nie chcesz zostać oskarżony o morderstwo – ostrzegł go nadinspektor.

Poniedziałek, 13

Petra Horr nosiła krótkie włosy obcięte na chłopaka, nie malowała się i ubierała zawsze tak samo: w glany, czarne spodnie, białą bawełnianą bluzkę, a zimą w grubą bluzę z logo jakiegoś zespołu rockowego na plecach. Jedynym ustępstwem na rzecz próżności były kosmyki ufarbowane na kolor lisiego ogona i jaskrawy lakier na paznokciach stóp i dłoni, które obcinała krótko z powodu uprawiania sztuk walki. Siedziała w swoim pokoju, malując paznokcie na fluorescencyjny żółty kolor, kiedy przyszła Elsa Domínguez, ubrana jak na mszę, w butach na obcasie i staromodnym futrzanym kołnierzu, i zapytała o nadinspektora. Asystentka powstrzymała niechętne westchnienie i wyjaśniła, że jej szef prowadzi śledztwo i prawdopodobnie nie wróci już do końca dnia.

W ciągu ostatnich tygodni jej praca polegała głównie na kryciu Boba Martina, który zniknął na całe godziny pod nieprawdopodobnymi pretekstami. Ale żeby tak przepaść w poniedziałek, to już szczyt wszystkiego, pomyślała Petra. Nie liczyła kobiet, które zafascynowały Boba Martina, od kiedy go poznała, byłyby to uciążliwa i bezużyteczna robota, ale szacowała, że musiało ich być od dwunastu do piętnastu rocznie, mniej więcej jedna na dwadzieścia osiem dni, jeśli nie szwankowała jej arytmetyka. Martín był mało wybredny w tej kwestii, każda, która puściła do niego oko, miała go w kieszeni, ale dopóki nie pojawiła się Ayani, na liście jego przyjaciółeczek nie figurowały kobiety podejrzane o zabójstwo i żadna nie zdołała doprowadzić go do zaniedbania pracy. Petra uważała, że chociaż jako kochanek Bob Martín z pewnością pozostawia wiele do życzenia, jako policjant zawsze był bez zarzutu, nie bez powodu osiągnął szczyt kariery w tak młodym wieku.

Asystentka podziwiała Ayani, jak mogłaby podziwiać iguanę – egzotyczną, ciekawą, niebezpieczną – i rozumiała, że niektórzy dają się jej omamić, ale było to niewybaczalne w przypadku szefa Wydziału Zabójstw, który posiadał informacje wystarczające nie tylko do tego, żeby jej nie ufać, ale także żeby ją aresztować. Podczas gdy Elsa Domínguez siedziała w gabinecie, miętosząc papierową chusteczkę, nadinspektor znowu był z Ayani, prawdopodobnie w jej łóżku, które miesiąc wcześniej dzieliła ze swoim zmarłym mężem. Petra szczyliła się, że Bob Martín nie ma przed nią tajemnic, częściowo dlatego, że jest nieostrożny, a częściowo dlatego, że lubi się przechwalać: schlebiało mu, że wie o jego podbojach, ale jeśli chciał wzbudzić w niej zazdrość, tracił czas, uznała, dmuchając na paznokcie.

– Mogę pani pomóc, pani Elso?

– Chodzi o mojego syna... Panienska go widziała...

– Tak, oczywiście. Co z nim?

– Hugo miał kłopoty, nie będę zaprzeczać, panienko, ale nie jest agresywny. Ten jego wygląd, łańcuchy i tatuaże to moda, nic więcej. Dlaczego go podejrzewają? – zapytała Elsa, wycierając łzy.

– Między innymi dlatego, że należy do gangu o bardzo złej reputacji, że miał dostęp do kluczy pani Rosen i że nie posiada alibi.

– Czego?

– Alibi. Pani syn nie potrafił udowodnić, że był w Santa Rosa w noc morderstwa.

– Bo nie był, dlatego nie potrafi tego udowodnić.

Petra Horr schowała lakier do szuflady biurka, po czym wzięła ołówek i notatnik.

– Gdzie był? Dobre alibi może go ocalić przed więzieniem, pani Elso.

– Więzienie jest lepsze, niż mieliby go zabić, tak mi się wydaje.

– Kto miałby go zabić? Proszę mi powiedzieć, w co pani syn się wplątał? Handel narkotykami?

– Nie, nie, tylko marihuana i trochę kryształków. Hugo we wtorek robił coś innego, ale nie może o tym mówić. Wie panienka, co dzieje się z donosicielami?

– Wyobrażam sobie.

– Panienka nie ma pojęcia, co by mu zrobili!

– Proszę się uspokoić, spróbujemy pomóc pani synowi.

– Hugo nie puści pary z ust, ale ja tak, pod warunkiem że nikt nigdy się nie dowie, że pani o tym powiedziała, bo wtedy zabiją nie tylko jego, ale całą moją rodzinę.

Asystentka zaprowadziła Elsę do gabinetu Boba Martina, gdzie mogły spokojnie porozmawiać, wyszła na korytarz, wróciła z dwoma kubkami kawy z automatu i zasiadła, by wysłuchać spowiedzi kobiety. Dwadzieścia minut później, kiedy Elsy Domínguez już nie było, zadzwoniła z komórki do Boba Martina.

– Przepraszam, szefie, że przeszkadzam w decydującym przesłuchaniu podejrzanej, ale lepiej niech się pan ubierze i szybko przyjedzie. Mam dla pana wiadomości.

Wtorek, 14

Dwadzieścia cztery godziny po zakończeniu związku z Indianą Alan Keller rozchorował się i przez dwa tygodnie cierpiał z powodu rewolucji w brzuchu, sraczki porównywalnej do tej, która dopadła go kilka lat wcześniej w czasie podróży do Peru, kiedy bał się, że spadła na niego klątwa Inków za to, iż nabył na czarnym rynku skarby prekolumbijskie i po kryjomu wywoził je z kraju. Odwołał zobowiązania towarzyskie, nie był w stanie napisać recenzji z wystawy w Muzeum Legii Honorowej poświęconej kultowi piękna w epoce wiktoriańskiej i nawet się nie pożegnał z Geneviève van Houte przed jej wyjazdem do Mediolanu na pokazy mody. Schudł cztery kilogramy i wyglądał już nie szczupło, lecz mizernie. Zataczał się, jego żołądek znosił tylko rosół z kurczaka i galaretkę, a noce były prawdziwą męką z powodu bezsenności, jeśli nie brał środków nasennych, albo z powodu przerażających koszmarów, jeśli je brał.

Efektom działania tabletek był stan porównywalny do agonii, czuł się jak zamknięty w tryptyku *Ogród rozkoszy* Hieronima Boscha, który zahipnotyzował go w Muzeum Prado w młodszych latach. Znał to dzieło na pamięć w najdrobniejszych szczegółach, bo stanowiło temat jednego z jego najlepszych artykułów napisanych dla magazynu „American Art”. Był tam, otoczony fantastycznymi postaciami Holendra, kopulował ze zwierzętami, ścigany wrogim spojrzeniem Indiany, torturowany widelcem przez swojego bankiera, pożerany powoli przez swoje rodzeństwo, bezlitośnie ośmieszany przez Geneviève, zanurzony w odchodach, plujący skorpionami. Kiedy tabletki przestawały działać i w końcu się budził, obrazy ze snu prześladowały go potem przez cały dzień. Nie miał problemów z ich interpretacją, były czytelne, ale to go od nich nie uwalniało.

Sto razy stwierdzał z zaskoczeniem, że trzyma w dłoni telefon, żeby zadzwonić do Indiany, przekonany, że pospieszy mu na ratunek, nie z miłości ani dlatego, że mu wybaczyła, ale z powodu wrodzonej potrzeby pomagania wszystkim potrzebującym, potrafił jednak oprzeć się temu impulsowi. Nie był już niczego pewien, nawet tego, że kiedykolwiek ją kochał. Zaakceptował cierpienia fizyczne jako rodzaj oczyszczenia i pokuty, czuł wstręt do siebie, do własnego tchórzostwa, które kazało mu unikać ryzyka, do małostkowego podejścia do uczuć, do swojego egoizmu. Przeanalizował własne życie dogłębnie i bez niczyjej pomocy, bo nie mógł się zwrócić do swojego psychiatry, który akurat zwiedzał stare klasztory w Japonii, i doszedł do wniosku, że zmarnował pięćdziesiąt pięć lat na błahostki, nie wiążąc się blisko z nikim i z niczym. Przehulał młodość, nie osiągnął dojrzałości emocjonalnej, ciągle jeszcze nie widział dalej niż czubek swojego nosa, a jego ciało nieubłagane popadało w ruinę. Ile życia mu zostało? Najlepsze lata miał już za sobą, a reszta, choćby ich było trzydzieści, będzie okresem nieuniknionego rozkładu.

Mieszanka środków antydepresyjnych, nasennych, przeciwbólowych, antybiotyków i rosółu z kurczaka przyniosła w końcu efekt: zaczął powracać do zdrowia. Jeszcze dygotał, jeszcze miał w ustach posmak zgniłego jajka, kiedy rodzina wezwała go, by – jak poinformowała – podjąć pewne decyzje. To była złowróżbna wiadomość, bo nigdy nie konsultowano się z nim w żadnej sprawie. Spotkanie zbiegło się z walentynkami, dniem

zakochanych, który przez ostatnie cztery lata spędzał z Indianą, a którego teraz nie miał z kim dzielić. Przypuszczał, że chodzi o ostatnie długi, o których wieść dotarła jakoś do uszu rodziny. Choć postępował ostrożnie, brat dowiedział się, że wysłał obrazy Botera do galerii Marlborough w Nowym Jorku. Ponieważ potrzebował pieniędzy, kazał wycenić swoje jadeity, i w ten sposób odkrył, że są warte o wiele mniej, niż za nie zapłacił. O przedmiotach zrabowanych z inkaskich grobowców nawet nie warto było wspominać, za bardzo by ryzykował, próbując je sprzedać.

Rodzinna narada odbyła się biurze jego brata Marka, na ostatnim piętrze wieżowca stojącego w samym środku dzielnicy finansowej, z panoramicznym widokiem na zatokę. Był to skarbiec masywnych mebli, puszystych dywanów i rycin przedstawiających greckie kolumny, symbol marmurowej solidności kancelarii prawnej, w której adwokaci brali tysiąc dolarów za godzinę pracy. Zobaczył swojego ojca, Philipa Kellera, drżącego, skurczonego, z mapą płam na skórze, ubranego jak kapitan jachtu, cień władczego patriarchy, którym był kiedyś; matkę Florę z wyrazem permanentnego zdziwienia na twarzy, jakiego nabywa się dzięki chirurgii plastycznej, w spodniach z lakierowanej skóry, apaszcze od Hermèsa mającej ukryć zmarszczki na szyi i z niemilknącą grzechotką ze złotych bransoletek; siostrę Lucille, elegancką, chudą, o zagłódzonej twarzy, wyglądającą niczym chart afgański, i towarzyszącego jej męża, strasznie głupca, który otwierał usta tylko po to, żeby przytaknąć; i w końcu Marka, na którego hipopotamich ramionach spoczywał nieznośny ciężar dynastii Kellerów.

Alan doskonale zdawał sobie sprawę, że starszy brat go nie cierpi. On przyciągał kobiety, miał prowokującą czuprynę poprzetykaną siwizną, był wysoki, przystojny, sympatyczny i wykształcony, podczas gdy nieszczęsnemu Markowi przypadły w udziale szkaradne geny jakiegoś dalekiego przodka. Mark nienawidził go z tego powodu, ale przede wszystkim dlatego, że – jak mamrotał pod nosem przy każdej okazji – on wypruwał sobie żyły, żeby powiększać majątek rodziny, natomiast Alan potrafił go jedynie przepuszczać.

W sali, gdzie rodzina zasiadła wokół okazałego stołu z wypolerowanego jak lustro mahoni, unosił się sosnowy zapach odświeżacza powietrza wymieszany z mocną wonią perfum Prady pani Keller, od którego zakotłowało się w żołądku dochodzącego dopiero do zdrowia Alana. Żeby nie było wątpliwości co do jego pozycji w rodzinie, Mark zajął miejsce na szczycie stołu w fotelu z wysokim oparciem, mając przed sobą kilka teczek z papierami, a pozostałych usadowił po obu stronach na mniej teatralnych krzesłach przed szeregiem butelek z wodą mineralną. Alan pomyślał, że upływ czasu, pieniądze i władza jeszcze bardziej uwydatniły małpi wygląd brata i że żaden, nawet najznakomitszy krawiec nie będzie w stanie tego zatuszować. Mark był naturalnym spadkobiercą wielu pokoleń mężczyzn dalekowzrocznych w sferze finansów, ale krótkowzrocznych w sferze emocji, którym szorstkość i brak skrupułów znaczyły twarze grymasem wiecznej arogancji i zmarszczkami świadczącymi o złym charakterze.

W dzieciństwie, kiedy Alan drżał ze strachu przed ojcem i jeszcze podziwiał starszego brata, chciał być taki jak oni, ale zarzucił ten pomysł w wieku młodzieńczym, gdy tylko zrozumiał, że jest ulepiony z innej, szlachetniejszej gliny. Przed laty, w czasie wytwornego przyjęcia, na którym Kellerowie świętowali siedemdziesiąte urodziny Flory, Alan skorzystał z

okazji, że matka wypłała więcej, niż powinna, i odważył się zapytać, czy Philip Keller jest naprawdę jego ojcem. „Mogę cię zapewnić, Alanie, że nie zostałeś adoptowany, ale nie pamiętam, kto jest twoim tatą”, odpowiedziała, czkając i tłumiąc chichot.

Mark i Lucille, którzy mieli już dosyć kaprysów najmłodszego członka rodziny, uzgodnili przed spotkaniem, że w zdecydowany sposób przykręca śrubę Alanowi (rodzice zostali zaproszeni tylko po to, żeby robić tłok), ale ich stanowczość osłabła, kiedy zobaczyli, w jak opłakanym jest stanie: blady, rozczochrany, z oczami podkrążonymi jak u Drakuli.

– Co z tobą? Jesteś chory? – zbeształ go Mark.

– Mam zapalenie wątroby – odparł Alan, żeby cokolwiek powiedzieć, a poza tym rzeczywiście źle się czuł.

– Tylko tego nam brakowało! – wykrzyknęła jego siostra, wznosząc ręce do nieba.

Ponieważ jednak rodzeństwo nie było zupełnie bezduszne, wystarczyła mu wymiana spojrzeń i podniesiona lewa brew – rodzinny tik – żeby zdecydować o lekkim złagodzeniu strategii. Zebranie okazało się upokarzające dla Alana, i nie mogło być inaczej. Rozpoczął Mark, od żalów i oskarżeń o to, że jest pijawką, playboyem, utrzymankiem żyjącym za pożyczone pieniądze, pozbawionym etyki pracy i godności; ostrzegł, że cierpliwość i środki rodziny zostały wyczerpane. „Dość!”, powiedział kategorycznym tonem i wymownym gestem uderzył otwartą dłonią w leżące przed nim teczki. Prezentacja zarzutów, przerywana stosownymi wtrętami Lucille, trwała około dwudziestu minut: Alan dowiedział się, że teczki zawierają szczegółowy, chronologiczny i odpowiednio udokumentowany opis każdego roztrwonionego przez niego centa, każdej otrzymanej pożyczki oraz każdego nieudanego interesu. Przez kilka dekad Alan podpisywał weksle przekonany, że to zwykła formalność i że Mark zapomni o nich tak samo szybko, jak jemu wylatywały one z głowy. Nie doceniał swojego brata.

W trakcie drugiej części spotkania Mark wyliczył warunki, ustalone naprędce z Lucille w ramach milczącego porozumienia, do którego doszli przez podniesienie brwi. Zamiast nalegać, by Alan spieniężył winnicę i uciszył wierzących, zgodnie z tym, co początkowo planowali, uznał za niezbitą fakt drastyczny spadek jej wartości po wybuchu kryzysu ekonomicznego w 2009 roku i zgodził się, że jest to najmniej korzystny moment, by ją sprzedać. Zażądał winnicy dla siebie, jako dodatkowego zabezpieczenia, zanim ostatni raz wyciągnie Alana z kłopotów. Powiedział, że brat musi przede wszystkim spłacić zaległe podatki, bo mogą zaprowadzić go do więzienia, co dla Kellerów byłoby skandalem absolutnie nie do przyjęcia. Zaraz potem ogłosił zamiar sprzedania nieruchomości w Woodside, co tak bardzo zdumiało Philipa i Floreę Kellerów, że nie zdążyli zareagować i wyrazić sprzeciwu. Mark wyjaśnił, że pewna firma finansowa chce zbudować na tym terenie dwa wieżowce mieszkalne i że – zważywszy na opłakaną sytuację na rynku nieruchomości – nie mogą odrzucić tej szczodrej oferty. Alan, który całymi latami zabiegał o to, by pozbyć się starego domiszcza i zainkasować przypadającą mu dolę, wysłuchał przemowy brata, stojąc przy oknie i z udawaną obojętnością podziwiając panoramę zatoki.

Uwagi Alana, czarnej owcy w rodzinie, nie umknęła pogarda i głęboka uraza, jaką żywiło

do niego rodzeństwo, a także konsekwencje ich wyroku: odstawiano go na boczny tor, co było nowym i nieoczekiwanym pomysłem. Pozbawiono go pozycji i dóbr materialnych, wpływów, koneksji i przywilejów; jednym pchnięciem zesłano na niższe szczeble drabiny społecznej. Chociaż nie doszło do żadnej katastrofy, takiej jak globalna wojna czy uderzenie meteorytu, tamtego ranka w czasie niespełna pół godziny stracił wszystko, co uważał za należne mu z racji urodzenia.

Alan zauważył ze zdziwieniem, że zamiast złości na rodzeństwo albo niepokoju z powodu niepewnej przyszłości czuje coś w rodzaju ciekawości. Jak to będzie, kiedy stanie się częścią olbrzymiej masy, którą Geneviève van Houte nazywała brzydkimi ludźmi? Przypomniał sobie, co napisał w jednym ze swoich artykułów, charakteryzując pewnego początkującego artystę, z tych o wielkich ambicjach i małym talencie: każdy dochodzi kiedyś do punktu, w którym osiąga swój poziom niekompetencji. Przyszło mu do głowy, że po wyjściu z biura brata zmierzy się z własną niekompetencją i będzie mógł liczyć tylko na siebie.

Krótko mówiąc, był zrujnowany. Sprzedaż Woodside zapewne potrwa jakiś czas, zresztą i tak niczego nie dostanie, bo rodzina odliczy pieniądze, które dawała mu przez całe życie. On nazywał je zaliczką na poczet spadku, ale reszta Kellerów uważała to za pożyczkę. Nigdy nie sumował tych długów, były jednak schowane w teczkach, które w tej chwili Mark przygniatał swoją grubą dłonią murarza. Może przeżyje dzięki sprzedaży kolekcji dzieł sztuki, choć trudno ocenić, jak długo, bo swoich wydatków także nie zapisywał. Przy odrobinie szczęścia za Boterów dostanie półtora miliona, uwzględniając prowizję galerii. Malarze latynoamerykańscy byli w modzie, nigdy jednak nie należy sprzedawać w pośpiechu, a on właśnie to robił. Był winien mnóstwo pieniędzy bankom – winnica okazała się kosztownym kaprysem – i innym, drobniejszym wierzycielom, począwszy od dentysty, a skończywszy na paru antykwariuszach, no i nie licząc kart kredytowych. Ile tego mogło być razem? Nie miał pojęcia. Mark wyraźnie powiedział, że musi się natychmiast wyprowadzić z Woodside. Dom, którego godzinę temu Alan nienawidził, teraz budził w nim coś w rodzaju nostalgii. Pomyślał zrezygnowany, że przynajmniej uniknie upokorzenia, jakim jest proszenie o dach nad głową, może mieszkać w winnicy w Napie przez kilka miesięcy, zanim przejmie ją Mark.

Cmoknął matkę i Lucille w policzki, po czym pożegnał się z bratem i ojcem, poklepując ich po plecach. Kiedy wysiadł z windy i wyszedł na ulicę, stwierdził, że w tej decydującej dla niego godzinie zima ustąpiła, bo nad San Francisco świeciło słońce z innego klimatu. Wstąpił do Clock Bar w hotelu Westin St. Francis, żeby pierwszy raz, od kiedy zachorował, napić się whisky, której bardzo w tej chwili potrzebował. Alkohol pokrzepił go, rozwiął wątpliwości i obawy. Uczesał się palcami, zadowolony, że ma tak mocne włosy, wyprostował plecy i stwierdził, że nie czuje już potwornego ciężaru, bo przestał być zależny od rodzeństwa, skończył z ekwilibrystyką kart kredytowych, obsesyjnym zachowywaniem pozorów i obowiązkiem dbania o powagę nazwiska Keller. Jego domek z kart runął, on stał się częścią masy, ale był wolny. Wpadł w euforię, poczuł się lekki, młodszy. Brakowało mu tylko Indiany, ale ona również należała do przeszłości, do tego, co przeminęło z burzą.

Czwartek, 16

Przed południem Blake Jackson odebrał telefon od wnuczki. Był w aptece i musiał na chwilę przerwać to, co akurat robił – liczenie kapsułek, aby zrealizować jedną z recept – bo ton głosu Amandy brzmiał alarmująco.

– Nie jesteś na lekcjach o tej porze? – spytał zaniepokojony.

– Dzwonię z ubikacji. To z powodu Bradleya – powiedziała i wyczuł, że wnuczka robi wszystko, żeby się nie rozpłakać.

– Co się dzieje?

– On ma dziewczynę, dziadku! – Nie zdołała stłumić szlochu.

– Ojej, ślicznotko, tak mi przykro... Jak się dowiedziałas?

– Napisał to na Facebooku. Najpierw mnie zdradza, a potem publicznie ze mnie szydzi. Wstawił też zdjęcie, ona jest mistrzynią pływacką, jak on, ma plecy mężczyzny i wredną twarz. Co ja teraz zrobię, dziadku?

– Nie wiem, Amando.

– Nigdy ci się coś takiego nie przytrafiło?

– Nie pamiętam. O takich rzeczach się zapomina...

– Zapomina! Ja nigdy nie wybaczę tego Bradleyowi! Wysłałam mu e-mail z przypomnieniem, że mamy się pobrać, ale mi nie odpowiedział. Pewnie się teraz zastanawia, jak mnie przeprosić. Wszyscy mężczyźni są niewierni, jak Alan Keller i mój tata. Żadnemu nie można ufać – powiedziała dziewczyna z płaczem.

– Ja taki nie jestem, Amando.

– Ale ty jesteś stary! – wykrzyknęła wnuczka.

– Oczywiście, że można ufać mężczyznom, większość to przyzwoici ludzie. Twój tata jest kawalerem, to znaczy rozwodnikiem, i nie musi nikomu dochowywać wierności.

– Chcesz mi powiedzieć, że Bradley też jest kawalerem i nie musi mi dochowywać wierności, choć mieliśmy się pobrać?

– Wydaje mi się, że to małżeństwo nie było tak naprawdę uzgodnione, ślicznotko. Może Bradley nie wiedział, że miałaś zamiar za niego wyjść.

– Nie mów w czasie przeszłym, nadal mam zamiar za niego wyjść. Zaczekaj, aż zacznę studiować na MIT, wtedy sprawię, że ta idiotka zniknie.

– Dobrze powiedziane, Amando.

Jego wnuczka płakała jeszcze przez kilka minut, a on czekał po drugiej stronie słuchawki, nie wiedząc, jak ją pocieszyć. W końcu usłyszał, że hałaśliwie wyciera nos.

– Muszę wracać na lekcję – westchnęła.

– To chyba nie jest najlepszy moment na rozmowę o sekcji zwłok. Zadzwoń do ciebie wieczorem – powiedział Blake.

– Jakiej sekcji?

– Rachel Rosen. Lekarka sądowa uważa, że morderca wstrzyknął ofierze jakiś narkotyk, bo ma nakłucie na lewym udzie. Zakleił jej usta, potem udusił, a właściwie ścisnął jej szyję, używając żyłki wędkarskiej i kołowrotka, a na koniec powiesił zwłoki na wentylatorze.

– Trochę skomplikowane, nie wydaje ci się, Kabelu?

– Owszem. Dzięki badaniom toksykologicznym zidentyfikowano narkotyk. Nazywa się versed, ma różne zastosowania, służy między innymi do uspokajania pacjentów przed operacją. To zależy od dawki, jaką jej zaaplikowano, ale po kilku minutach Rosen musiała być praktycznie nieprzytomna.

– Ciekawe – skomentowała wnuczka, która najwyraźniej doszła już do siebie po zawodzie miłosnym.

– Wracaj na lekcję, ślicznotko. Kochasz mnie?

– Nie.

– Ja ciebie też nie.

Piątek, 17

Indiana przygotowała się do swojej przedostatniej sesji w tygodniu, aplikując sobie na nadgarstki kilka kropli olejku cytrynowego, bo pomagał jej skupić myśli, i zapalając kadzidełko przed boginią Szakti, którą poprosiła o cierpliwość. Był to jeden z tych tygodni, kiedy Gary Brunswick potrzebował dwóch zabiegów, musiała zmienić godziny innym pacjentom, żeby wstawić go do grafiku. W normalnych czasach dochodziła do siebie po trudnej sesji dzięki dwóm, trzem cukierkom z ciemnej czekolady, ale od czasu, kiedy zerwała z Alanem Kellerem, straciły one swoje właściwości regenerujące, była bezbronna wobec uciążliwości życia takich jak Brunswick. Potrzebowała czegoś mocniejszego niż czekolada.

Na pierwszą wizytę Brunswick nie przyszedł z ukrytymi intencjami, jak inni mężczyźni, którzy zgłaszali się pod pretekstem wymyślonych chorób, żeby ją poderwać. Kilku Indiana dała się oszukać, paradowali przed nią na golasa w nadziei, że zrobią na niej wrażenie, aż w końcu nauczyła się od nich uwalniać, zanim zaczęli jej zagrażać. Czasami musiała jednak prosić o pomoc Matheusa Pereirę. Malarz zamontował dzwonek pod stołem do masażu, żeby mogła go wezwać, jeśli nie będzie w stanie zapanować nad sytuacją. Niejeden z tych zuchwalców wracał potem skruszony i prosił, żeby dała mu jeszcze jedną szansę, ale ona odmawiała, bo żeby uzdrawiać, potrzebowała koncentracji, a jak miała ją osiągnąć, kiedy spod prześcieradła celował w nią penis we wzwodzie. Gary Brunswick nie należał do takich pacjentów, przysłała go Yumiko Sato, bo jej cudowne igły do akupunktury zwalczające niemal wszystkie choroby nie zdołały usunąć jego uporczywych bólów głowy, dlatego skierowała go do sąsiadki z gabinetu numer osiem.

Ponieważ Brunswick nigdy wcześniej nie widział Indiany, zdziwił się, kiedy otworzyła mu drzwi i stanął twarzą w twarz z walkirią przebraną za pielęgniarkę, bardzo różną od osoby, którą spodziewał się zobaczyć. Nie przypuszczał nawet, że będzie to kobieta, myślał, że Indiana to męskie imię, jak Indiana Jones, bohater filmów z jego wczesnej młodości. Zanim pierwsza sesja dobiegła końca, zalał go strumień nowych i trudnych do opanowania emocji. Uważał się za mężczyznę zimnego, kontrolującego swoje zachowania, ale bliskość Indiany, kobiecej, ciepłej i współczującej, kontakt z jej mocnymi dłońmi i zmysłowa mieszanka zapachów w gabinecie rozbroiły go i w trakcie trwającego godzinę zabiegu czuł się jak w niebie. Dlatego wracał jak dziad proszalny nie tyle po to, żeby leczyć swoje migreny, ile po to, żeby przeżyć jeszcze raz ekstazę z pierwszej sesji, która nigdy nie powtórzyła się z taką samą intensywnością. Za każdym razem potrzebował więcej, jak nałogowiec.

Jego nieśmiałość i niezaradność nie pozwalały mu szczerze wyznać Indianie swoich uczuć, ale aluzje stały się niepokojąco częste. Każdego innego mężczyznę Indiana odprawiłaby bez ceregieli, ten jednak wydawał się jej tak kruchy, pomimo wojskowych butów i dodającej męskości kurtki, że bała się go boleśnie zranić. Mimochodem wspomniała o nim Ryanowi Millerowi, który parę razy widział Brunswicka. „Dlaczego nie uwolnisz się od tej żalostnej łasicy?”, dopytywał się. Właśnie dlatego nie mogła tak postąpić: bo był żalostny.

Sesja poszła lepiej, niż się spodziewała. Indiana widziała, że na początku był nerwowy, ale podczas masażu rozluźnił się i przespał dwadzieścia minut przeznaczonych na reiki. Kiedy

skończyła, musiała nim lekko potrząsnąć, żeby oprzytomniał. Zostawiła go samego, by mógł się ubrać, sama zaś czekała w małej recepcji, gdzie po wypalonym kadzidełku pozostawał jeszcze zapach azjatyckiej świątyni. Otworzyła drzwi na korytarz, żeby wywietrzyć pomieszczenie, dokładnie w chwili, kiedy stanął za nimi zachlapany farbą Matheus Pereira, który przyszedł się z nią przywitać i przyniósł jej w prezencie jakąś roślinkę w skrzynce na kwiaty. Dni upływały malarzowi na długich sjestach po marihuanie przerywanych napadami twórczego zapału, co nie wpływało ujemnie na jego zdolność koncentracji: żadne wydarzenie w North Beach, a w szczególności w Klinice Holistycznej, którą uważał za swój dom, nie uchodziło jego uwagi. Pierwotna umowa z właścicielem nieruchomości obejmowała informowanie o ruchach najemców w zamian za drobną sumę i prawo do bezpłatnego zajmowania nadbudówki, ale ponieważ rzadko zdarzało się cokolwiek godnego odnotowania, porozumienie z Chińczykiem powoli traciło sens. Zwyczaj obchodzenia pięter, wkładania korespondencji do skrzynek, wysłuchiwanie skarg i zwierzeń zamienił się w przyjaźń z użytkownikami budynku, jego jedyną rodziną, a zwłaszcza z Indianą i Yumiko, które masażami i akupunkturą łagodziły jego dolegliwości spowodowane ischiasem.

Pereira zauważył, że japońska kwiaciarnia nie dostarczyła poniedziałkowej ikebany, i wywnioskował, że coś zaszło między Indianą i jej kochankiem. Szkoda, pomyślał, Keller był wykształconym facetem, znawcą sztuki; któregoś dnia mógł kupić od niego jakiś obraz, na przykład jedno z tych dużych płócien, choćby to przedstawiające rzeźnię bydła rogatego, jego największe dzieło, które namalował zainspirowany zarżniętymi zwierzętami Soutine'a. Ale skoro Keller wyparował, on może teraz zapraszać Indianę od czasu do czasu na swoje poddasze, żeby razem palić i uprawiać niezobowiązujący seks; to nie naraziłoby na szwank jego kreatywności, o ile nie stałoby się zwyczajem. Miłość platoniczna jest trochę nudnawa. Indiana podziękowała za roślinę niewinnym pocałunkiem w policzek i szybko się pożegnała, bo właśnie z gabinetu wyszedł jej pacjent, już ubrany.

Matheus Pereira zniknął w głębi korytarza, Brunswick tymczasem płacił gotówką za dwie sesje z tego tygodnia, jak zawsze odmawiając przyjęcia pokwitowania.

– Lepiej trzymaj tę roślinę z dala od swoich klientów, Indiano. To konopie. Ten facet tu pracuje? Widziałem go kilka razy.

– Jest malarzem, mieszka na poddaszu. To on namalował obrazy wiszące w holu.

– Wyglądają przerażająco, ale nie jestem znawcą. Jutro w Café Rossini będą podawać *cinghiale*... Nie wiem... Moglibyśmy pójść. Jeśli zechcesz, oczywiście – wybełkotał Brunswick ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Ten specjał nie występował w kawiarnianej karcie, oferowano go tylko stałym, wtajemniczonym klientom, a fakt, że Brunswick był jednym z nich, stanowił dowód na to, że jest uparty: w bardzo krótkim czasie został zaakceptowany w North Beach. Inni potrzebowali na to dziesiątków lat. Od czasu do czasu właściciel Café Rossini wybierał się na polowanie w okolicy Monterrey i wracał z zabitym dzikiem, którego osobiście ćwiartował w kuchni, okropny widok, i robił z niego – oprócz innych przysmaków – najlepsze kiełbaski wszech czasów, podstawowy wyrób z *cinghiale*. Kilka tygodni wcześniej Indiana popełniła błąd,

przyjmując zaproszenie Brunswicka, i przez pełne dwie godziny walczyła, żeby nie zasnąć, kiedy robił jej wykład o formacjach geologicznych i uskoku San Andreas. Nie zamierzała przeżywać tego po raz drugi.

– Nie, dziękuję, Gary. Spędzę weekend z rodziną, mamy co świętować. Amandę przyjęto do MIT-u, dostała stypendium równe połowie chesnego.

– Twoja córka musi być geniuszem.

– Tak, ale ty wygrałeś z nią w szachy – powiedziała uprzejmie Indiana.

– Bywało, że to ona wygrywała.

– Jak to? Widywałeś się z nią? – zapytała zaniepokojona.

– Grywamy czasami online. Nauczy mnie grać w go, które jest trudniejsze od szachów. To chińska gra, która ma ponad dwa tysiące lat...

– Wiem, co to jest go – przerwała, nie ukrywając niezadowolenia; ten człowiek zaczynał być jak zaraza.

– Wyglądasz na rozgniewaną. Coś się stało?

– Nie pozwalam, żeby moja córka miała styczność z pacjentami. Proszę cię, żebyś się z nią więcej nie kontaktował.

– Dlaczego? Nie jestem zbrojcem!

– Nigdy tak nie pomyślałam, Gary – przerwała Indiana, wycofując się, zdumiona, że ten lękliwy facet jest w stanie podnieść głos.

– Rozumiem, że jako matka musisz chronić córkę, ale nie powinnaś się mnie obawiać.

– Oczywiście, ale...

– Nie mogę przestać się kontaktować z Amandą bez jakiegokolwiek wyjaśnienia – przerwał jej Brunswick. – Muszę z nią chociaż porozmawiać. A poza tym, jeśli pozwolisz, chciałbym jej sprawić jakąś przyjemność. Nie mówiłaś, że chce mieć kota?

– To miłe z twojej strony, ale Amanda ma już kotkę, nazywa się Ocal-Tuńczyka. Dostała ją od mojej przyjaciółki, Carol Underwater, mogłeś ją tu spotkać.

– No to będę musiał pomyśleć o innym prezencie dla Amandy.

– Nie, Gary, w żadnym wypadku. Ograniczymy nasz związek do czterech ścian tego gabinetu. Nie obrażaj się, to nic osobistego.

– To nie mogłoby być bardziej osobiste. Czyżbyś nie wiedziała, co do ciebie czuję? – odparł bełkotliwie Brunswick, czerwony ze wstydu, z wyrazem rozpaczony na twarzy.

– Ale my prawie się nie znamy!

– Jeśli chcesz coś więcej o mnie wiedzieć, pytaj, jestem jak otwarta księga. Kawaler, bezdzietny, solidny, pracowity, dobry obywatel, przyzwoity człowiek. Jest może za wcześnie, żeby opowiadać o mojej sytuacji materialnej, ale mogę ci zdradzić, że przedstawia się bardzo dobrze. Przez ten kryzys ludzie potracili to, co mieli, ale ja utrzymałem się na powierzchni, a nawet zarobiłem, bo znam dobrze rynek papierów wartościowych. Od lat inwestuję i...

– To nie ma ze mną nic wspólnego.

– Proszę cię tylko, żebyś rozważyła to, co ci powiedziałem, zaczekam, ile będzie trzeba.

– Lepiej, żebyś odpuścił. I znajdź sobie inną uzdrowicielkę, nie mogę cię dłużej przyjmować, nie tylko z powodu tego, o czym rozmawialiśmy, ale również dlatego, że moje zabiegi okazały się mało skuteczne.

– Nie rób mi tego, Indiano! Tylko ty możesz mnie wyleczyć, dzięki tobie czuję się dużo lepiej. Nie będę ci się naprzykrzać z moimi uczuciami, obiecuję.

Wyglądał na tak zrozpaczonego, że zabrakło jej odwagi, by upierać się przy swojej decyzji. On zaś, widząc jej wahanie, skorzystał z okazji, pożegnał się słowami „do wtorku”, jakby nie słyszał, co powiedziała, i szybko wyszedł.

Indiana zamknęła drzwi i przekręciła klucz. Czowała się jak naciągnięta nowicjuszka. Umyła twarz i dłonie, żeby splukać z siebie złość, myśląc z nostalgią o jacuzzi w hotelu Fairmont. Eh! Perfumowana woda, wielkie bawełniane ręczniki, chłodne wino, cudowne jedzenie, umiejętne pieśczoć, humor i miłość Alana Kellera. Kiedyś, po obejrzeniu w telewizji *Kleopatry*, po trzech godzinach patrzenia na dekadentkich Egipcjan o wymalowanych oczach i prostackich Rzymian o mocnych nogach, stwierdziła, że najlepsza w całym filmie była kąpiel w mleku. Alan Keller wyskoczył z łóżka, ubrał się i wyszedł bez słowa, a pół godziny później, kiedy ona już zasypiała, wrócił z trzema pudełkami mleka w proszku, które rozpuścił w gorącej wodzie jacuzzi, żeby mogła się wymoczyć niczym hollywoodzka Kleopatra. To wspomnienie ją rozśmieszyło; poczuła ukłucie w klatce piersiowej i zadała sobie pytanie, jak będzie żyć bez tego mężczyzny, który dawał jej tyle przyjemności, i czy pokocha Ryana Millera równie mocno, jak kochała Alana.

Pociąg fizyczny, jaki czuła do ekszołnierza, był tak silny, że mogła porównać go jedynie do tego, który wzbudzał w niej Bob Martín w szkole średniej. Przypominał gorączkę, bezustanny żar. Pytała samą siebie, jak mogła ignorować albo powstrzymywać to przemożne pożądanie seksualne, które bez wątpienia tkwiło w niej już od jakiegoś czasu. Jedyna możliwa odpowiedź była taka, że przeważała miłość do Alana Kellera. Znała swój temperament, wiedziała, że nie może poważnie kochać jednego i beztriosko sypiać z drugim, ale po kilku godzinach spędzonych z Ryanem w smaganym przez burzę hoteliku lepiej rozumiała tych, którzy ulegają szaleństwu pożądania.

W ciągu dwunastu dni, które upłynęły od tamtego czasu, była u Ryana co noc, z wyjątkiem soboty i niedzieli, spędzonych z Amandą. Czekaając na ostatniego pacjenta, liczyła minuty brakujące do upragnionego momentu, kiedy Ryan weźmie ją w ramiona w lofcie, gdzie pogodzony z losem Attyla przestał już manifestować wyciem swoje niezadowolenie. Z przyjemnością myślała o spartańskiej prostocie tego miejsca, o szorstkich ręcznikach, o chłodzie, który zmuszał ją do kochania się w swetrze i w wełnianych skarpetkach. Lubiła ogromną męską sylwetkę Ryana, siłę, którą promieniował, postawę bohaterskiego wojownika, który w jej ramionach zamieniał się w bezbronny mężczyznę. Do pewnego stopnia lubiła też jego pośpiech oszołomionego chłopaka, który przypisywała temu, że Ryan nie przeżył żadnego liczącego się romansu, nie był z nikim, kto chciałby go nauczyć, jak zaspokoić kobietę. Uznała, że to ulegnie zmianie, kiedy ustąpi ekscytacja nową miłością i będą mieli możliwość poznać

się bez pośpiechu. To była przyjemna perspektywa. Ryan zaskakiwał, okazał się o wiele łagodniejszy i bardziej uczuciowy, niż sobie wyobrażała, ale jako para niczego jeszcze razem nie przeżyli, każdy związek wymaga historii, będzie czas, by lepiej się poznać i zapomnieć o Alanie.

Uprzątnęła gabinet, zebrała prześcieradło i używane ręczniki, po czym przygotowała się do ostatniej sesji w tygodniu, z jej ulubionym, najbardziej rozkosznym pacjentem, starym pudlem w kolorze karmelu, na koślawych łapach, poddającym się zabiegom z nieskrywaną wdzięcznością. Ponieważ miała kilka minut, odszukała kartę Brunswicka, gdzie niestety nie było godziny urodzin, która przydałaby się do kosmogramu. Wykreśliła numer Celeste Roko, żeby poprosić ją o telefon Tybetańczyka, specjalisty od oczyszczania karmy.

Sobota, 18

W sobotę punktualnie o wpół do dziewiątej wieczorem Pedro Alarcón i Ryan Miller z Attyłą depczącym im po piętach zadzwonili do drzwi Indiany. Wkrótce przyszli Matheus Pereira, Yumiko Sato i jej towarzyszka życia, Nana Sasaki. Indiana, która ściągnęła ich na prośbę Danny'ego D'Angelo, przyjęła gości w prostej czarnej jedwabnej sukience i butach na wysokim obcasie. Te prezenty od Alana Kellera z czasów, kiedy próbował zrobić z niej damę, wywołały pełne podziwu gwizdy mężczyzn. Nigdy nie widzieli jej tak eleganckiej i w takim kolorze. Ona sama uważała, że czerń przyciąga złą energię, i podchodziła do niej z rezerwą. Attyła z przyjemnością wciągał woń olejków eterycznych wypełniającą mieszkanie. Pies nienawidził syntetycznych zapachów, ale nie mógł się oprzeć naturalnym, co tłumaczyło jego słabość do Indiany, którą odróżniał od innych istot ludzkich. Miller przyciągnął gospodynię i pocałował ją w same usta, podczas gdy reszta zaproszonych udawała, że nic nie widzi. Indiana otworzyła butelkę primusa, delikatnej mieszanki *carmenere* i *cabernet*, również prezent od Kellera, bo jej samej nie stać było na wino, które kosztowało więcej niż jej płaszcz zimowy, Millerowi zaś podała jego ulubiony napój gazowany. Komandos szczycił się kiedyś, że jest znawcą win, ale potem, kiedy skończył z alkoholem, został degustatorem coca-coli, którą pił z małej butelki – nigdy z puszki – bez lodu, najchętniej tę importowaną z Meksyku, bo zawierała więcej cukru.

Poprzedniego dnia Danny zaprosił Indianę na swój sobotni występ. To była szczególna okazja, bo miał urodziny i w dowód uznania za lata spędzone na scenie właścicielka lokalu powierzyła mu główną rolę, do której bardzo starannie się przygotował. „Po co mam być gwiazdą show, jeśli nikogo to nie obchodzi? Przyjdź, Indi, zobaczysz mnie, przyprowadź swoich przyjaciół, żeby mnie oklaskiwali”. Ponieważ Danny powiedział jej o tym z niewielkim wyprzedzeniem, zabrakło czasu, żeby zmobilizować tyle osób, ile by chciała, musiała więc zadowolić się piątką wiernych przyjaciół. Z tej okazji wszyscy elegancko się ubrali, nawet Matheus, który co prawda miał na sobie odwieczne, poplamione farbą dżinsy, ale włożył także wykrochmaloną koszulę w paski i apaszkę na szyję. W North Beach panowała powszechna zgoda co do tego, że malarz jest najprzystojniejszym mężczyzną spośród mieszkańców i on o tym wiedział. Był bardzo wysoki i szczupły, twarz znaczyły mu głębokie zmarszczki, jakby rzeźbione dłutem, miał zielonożółte oczy kota, zmysłowe wargi i afrykańskie dredy na głowie. Tak bardzo przyciągał uwagę, że turyści często zatrzymywali go na ulicy, żeby zrobić sobie z nim zdjęcie, jakby był jakąś lokalną atrakcją.

Yumiko i Nana poznały się w dzieciństwie w Japonii, w prefekturze Iwate, w tym samym czasie wyemigrowały do Stanów Zjednoczonych, razem mieszkały i pracowały, obie zdecydowały, że będą się tak samo ubierać. Tego wieczoru miały na sobie stroje wyjściowe: czarne spodnie i marynarki oraz białe jedwabne bluzki w stylu Mao. Wzięły ślub 16 czerwca 2008 roku, w dniu, w którym w Kalifornii zalegalizowano małżeństwa osób tej samej płci. Wtedy świętowały to wydarzenie w galerii Włochata Gąsienica, podejmując sushi i sake wszystkich lekarzy dusz z Kliniki Holistycznej.

Matheus pomógł Indianie podać kolację, składającą się z różnych przysmaków z

tajlandzkiej restauracji, jedzonych pałeczkami z tekturowych talerzy. Przyjaciele zasiedli do posiłku na podłodze, bo stół służył jako laboratorium aromaterapii. Rozmowa zesła – jak wszystkie rozmowy w tamtych dniach – na to, czy Obama może przegrać wybory prezydenckie i czy film *O północy w Paryżu* zdobędzie Oscara. Wypili butelkę wina, a na deser były lody o smaku zielonej herbaty przyniesione przez japońskie małżeństwo. Potem jedni wsiedli do samochodu Yumiko, inni do furgonetki Millera, w której przednie siedzenie zajmował Attyła i nikt nie odważył się uzurpować sobie praw do jego miejsca.

Pojechali na ulicę Castro, tam zaparkowali i zostawiwszy psa w samochodzie, gotowego czekać godzinami z cierpliwością buddysty, przeszli dwie przecznice do Narciso Club. O tej porze dzielnica ożywała dzięki młodym ludziom, turystom lubiącym nocne życie i homoseksualistom, którzy wypełniali bary i teatry o frywolnym repertuarze. Lokal, gdzie występował Danny, z zewnątrz ograniczał się do drzwi z nazwą z niebieskich światełek, których nikt by nie zauważył, gdyby nie kolejka przed wejściem i grupki rozmawiających i palących papierosy gejów. Alarcón i Miller zaryzykowali kilka żartobliwych komentarzy na temat charakteru klubu, ale posłusznie poszli za Indianą, która przywitała się z osiłkiem strzegącym wejścia i przedstawiła mu swoich towarzyszy jako specjalnych gości Danny’ego D’Angelo. W środku przybytek był znacznie większy, niż można się było spodziewać, duszny, zapchany klientami niemal wyłącznie płci męskiej. W najciemniejszych kątach widać było obejmujące się pary, niektóre tańczyły sennie, pochłonięte swoimi sprawami, pozostali rozmawiali w grupach, usiłując przekrzyczeć jedni drugich, albo oblegali kontuar, gdzie podawano alkohol i meksykańskie *tacos*.

Na parkiecie, który służył również jako scena, w świetle migających reflektorów kołysały się w takt hałaśliwej muzyki cztery tancerki w bikini z białymi piórami na głowie. Wyglądały jak czworaczki, wszystkie tego samego wzrostu, miały identyczne peruki, biżuterię i makijaż, nogi jak utoczone, jędrne pośladki, ręce zakryte długimi satynowymi rękawiczkami i piersi wylewające się z wyszywanych cekinami staników. Tylko z bliska i w świetle dziennym można było odkryć, że to nie są kobiety.

Przyjaciele Danny’ego łokciami utorowali sobie drogę w tłumie. Kelner zaprowadził ich do stolika przy scenie zarezerwowanego dla Indiany. Alarcón, Yumiko i Nana poszli do baru po drinki i gazowany napój dla Millera. Komandos nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że to on i malarz przyciągają uwagę obecnych, myślał, że klienci lokalu patrzą na Indianę.

Niedługo potem tancerki z piórami zakończyły swój występ, światła zgasły i klub pograżył się w całkowitych ciemnościach, co przyjęto żartami i gwizdami. Minęła niekończąca się minuta i dopiero kiedy dowcipnisie ucichli, rozległ się krystaliczny głos Whitney Houston, wypełniając salę długą miłosną skargą, która przejęła dreszczem wszystkich obecnych. Żółty snop światła z reflektora padł na środek sceny, na której z pochyloną głową stał duch piosenkarki zmarłej siedem dni wcześniej. W jednej dłoni ścisnęła mikrofon, drugą trzymała na sercu, miała krótkie włosy, zaciśnięte powieki, ubrana była w długą suknię podkreślającą piersi i odsłaniającą plecy. Jej pojawienie się sprawiło, że publiczność zamarła i wstrzymała oddech. Houston powoli uniosła głowę, zbliżyła mikrofon do ust i wtedy z głębi ziemi wydobyło się pierwsze zdanie *I will always love you*. Zebrani zareagowali spontaniczną owacją, po której zapadła pełna szacunku cisza, a tymczasem głos wyśpiewywał pożegnanie,

strumień czułych słów, obietnic, skarg. To była ona, z tą swoją niepowtarzalną twarzą i sugestywnymi dłońmi, gestami, siłą i wdziękiem. Pięć minut później ostatnie nuty piosenki wibrowały w powietrzu pośród ogłuszającego aplauzu. Złudzenie było tak silne, że do momentu, kiedy rozblęły światła klubu i Whitney Houston wykonała ukłon, zdjawszy perukę, Indiana i jej towarzysze nie podejrzewali, iż tą sławną kobietą, zmartwychwstałą i uwolnioną mocą jakiegoś zaklęcia, jest Danny D'Angelo, wychudzony kelner z Café Rossini.

Ryan Miller bywał w lokalach takich jak Narciso Club w innych krajach z towarzyszami broni, którzy prostackimi dowcipami maskowali podniecenie, jakie wzbudzały w nich gejowskie występy. Transwestyci go bawili, byli dla niego egzotycznymi istotami, nieszkodliwymi, jakby należeli do innego gatunku. Uważał się za człowieka o szerokich horyzontach, który poznał świat i którego nic nie jest w stanie zgorszyć, tolerancyjnego wobec obcych mu preferencji seksualnych, o ile – jak mawiał – nie dotyczą one dzieci i zwierząt. Nie popierał obecności gejów w armii, bo obawiał się, że mogliby rozpraszać kolegów i generować konflikty; to samo dotyczyło kobiet. Nie wątpił w ich odwagę, ale w czasie walki sprawdza się męskość i lojalność, wojny prowadzi się z pomocą testosteronu. Każdy żołnierz jest zależny od swoich towarzyszy, on sam nie czułby się spokojny, gdyby jego życie było w rękach homoseksualisty albo kobiety. Tamtej nocy, w Narciso Club, gdzie nie miał wsparcia innych komandosów, jego tolerancja została wystawiona na próbę.

Zamknięta przestrzeń przesiąknięta seksem i pokusą, dotyk tłoczących się wokół mężczyzn, zapach potu, alkoholu i płynu po goleniu wprawiły go w irytację. Zadał sobie pytanie, jak w takich okolicznościach zareagowałby ojciec, i jak zawsze, kiedy przywoływał jego wspomnienie, zobaczył go obok, w nieskazitelnym mundurze z odznaczeniami na piersi, sztywnego, z zaciśniętą szczęką i zmarszczoną brwią, wiedział, że potępia to, kim jest i co robi. Dlaczego mój syn przebywa w tak odrażającym miejscu, pośród tych bezwstydných pedałów? – wycedził ojciec niewyraźnie, w sposób, w jaki mówił za życia, nie poruszając ustami i zjadając spółgłoski.

Nie był w stanie docenić występu Danny'ego D'Angelo, bo już wtedy zdawał sobie sprawę, że niedwuznaczne spojrzenia nie są przeznaczone dla Indiany, lecz dla niego. Czuł się prawie zgwałcony tą pulsującą męską energią, fascynującą, niebezpieczną, kuszącą, która budziła w nim wstręt, a zarazem go pociągała. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, chwycił szklankę whisky, którą trzymał Pedro Alarcón, i trzema długimi łykami wychylił jej zawartość. Alkohol, którego nie próbował od lat, sparzył mu gardło i rozszedł się po żyłach aż do ostatniego naczynka, zalewając go falą gorąca i energii, która wymazała myśli, wspomnienia i wątpliwości. Nie ma nic lepszego od tego magicznego trunku, pomyślał, tego płynnego złota, palącego, wybornego, tej boskiej wody, która elektryzuje, rozpala, dodaje ci siłę, nic lepszego od whisky, której, nie wiem dlaczego i jak, dotąd unikałem. Co za głupiec ze mnie! Jego ojciec zrobił kilka kroków do tyłu i zniknął wchłonięty przez tłum. Miller odwrócił się w stronę Indiany i pochylił, szukając jej ust, ale trafił w próżnię i zamiast ją pocałować, wyrwał jej szklankę z piwem, a ona, zhipnotyzowana Whitney Houston, nawet tego nie zauważyła.

Nie wiedział, w którym momencie wstał od stołu i rozpychając się, utorował sobie drogę do baru; nie wiedział, jakie było zakończenie występu ani ile wypił, zanim całkowicie stracił

nad sobą kontrolę; nie wiedział, skąd wzięła się wściekłość, która oślepiła go rozżarzoną blaskiem, kiedy jakiś młody mężczyzna położył mu rękę na ramieniu i szepnął coś do ucha, muskając je ustami; nie wiedział, kiedy dokładnie zatarły się kontury rzeczywistości i poczuł, że puchnie, że jego ciało nie mieści się w skórze i że zaraz pęknie; nie wiedział, jak doszło do bójki, na ilu ludzi się rzucił, okładając ich metodycznie pięściami, ani dlaczego Indiana i Alarcón krzyczeli, ani jak znalazł się skuty kajdankami w radiowozie, w pokrwawionej koszuli i z obtłuczonymi kostkami palców.

Pedro Alarcón podniósł marynarkę Millera z podłogi, wyjął kluczyki od furgonetki i pojechał za samochodem, którym odwieziono jego przyjaciela na komisariat. Zaparkował w pobliżu i wszedł do budynku, gdzie musiał odczekać półtorej godziny, zanim przyjął go jakiś oficer. Wy tłumaczył mu, co się stało, pomniejszając udział Millera, ale policjant słuchał go niezbyt uważnie, ze wzrokiem wbitym w komputer.

– W poniedziałek zatrzymany będzie mógł przedstawić swoje argumenty sędziemu, do tego czasu zostanie w celi, żeby dojść do siebie po zatruciu alkoholem i trochę się uspokoić – powiedział oficer uprzejmym tonem.

Alarcón poinformował go, że Ryan Miller nie był pijany, tylko pod wpływem leków, bo doznał urazu mózgu podczas wojny w Iraku, gdzie stracił również jedną nogę, i od czasu do czasu miewa momenty, kiedy zachowuje się niewłaściwie, ale to nic groźnego.

– Nic groźnego? Niech pan to powie trzem osobom, które trafiły na pogotowie.

– Taki incydent jak ten w Narciso Club zdarzył się pierwszy raz. Mój przyjaciel został sprowokowany.

– W jaki sposób?

– Jakiś mężczyzna próbował go obmacywać.

– Coś takiego! W tym klubie? Czegóż to się człowiek dowiaduje! – zakpił policjant.

Wtedy Pedro Alarcón sięgnął po ostateczny argument i oświadczył, że Ryan Miller pracuje dla FBI i CIA i że wypełniał tajną misję. Jeśli oficer mu nie wierzy, może przejrzeć portfel zatrzymanego, znajdzie w nim odpowiedni identyfikator, a jeżeli to nie wystarczy, on poda mu hasło, by mógł skontaktować się bezpośrednio z biurem FBI w Waszyngtonie. „Rozumie pan, że nie zależy nam na skandalu”, zakończył. Policjant, który zamknął już komputer i słuchał go ze sceptyczną miną, kazał mu z powrotem usiąść i poczekać.

Sprawdzenie w Waszyngtonie informacji Alarcona zajęło godzinę, drugą wypuszczenie Millera po podpisaniu przez niego zeznania. Przez ten długi czas były żołnierz zdążył trochę wytrzeźwieć, ale nadal chwiaił się na nogach. Odjechali spod komisariatu około piątej nad ranem, Alarcón wściekły, myśląc o przygotowaniu sobie pierwszego tego dnia mate, Miller z potwornym bólem głowy, a nieszczęsny Attyla, marząc o jakimkolwiek drzewie, pod którym mógłby podnieść łapę po nocy spędzonej w furgonetce.

– Moje gratulacje, Miller, zepsułeś występ Whitney Houston – skomentował Pedro Alarcón, kiedy po powrocie do loftu pomagał przyjacielowi ściągnąć ubranie, napoiwszy Attyłę, któremu wcześniej pozwolił się wysikać.

– Mózg mi eksploduje – wymamrotał Miller.

– Zasłużyłeś sobie. Zrobię kawę.

Siedząc na brzegu łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach i pyskiem Attyli na kolanie, Miller daremnie próbował odtworzyć wydarzenia tej nocy, dręczony nieprzemijającym uczuciem wstydu, z głową wypełnioną piaskiem, obitą twarzą, spuchniętymi dłońmi i powiekami, i tak poobijanymi zębami, że miał kłopoty z oddychaniem. To był jego pierwszy powrót do nałogu; przez trzy lata i jeden miesiąc udało mu się wytrzymać w całkowitej abstynencji, bez alkoholu i narkotyków, nie licząc wypalenia od czasu do czasu skręta z marihuany. Zrobił to po męsku, wyłącznie z pomocą antydepresantów, nie korzystając ze wsparcia psychiatry, do którego miał prawo jako weteran. Skoro na wojnie był w stanie znieść większy wysiłek i ból niż jakikolwiek inny śmiertelnik, bo w tym go wyćwiczone, jak to możliwe, że pokonała go szklanka piwa? Nie wiedział, co się z nim stało, w którym momencie wypił pierwszy łyk i zaczął zjeżdżać w przepaść.

– Muszę zadzwonić do Indiany. Podaj mi telefon.

– Jest piąta piętnaście rano, niedziela. Za wcześnie, żeby do kogokolwiek dzwonić. Wypij to i odpocznij, a ja wyprowadzę Attylę – odparł Alarcón.

Ryan Miller z trudem popił ciemną kawę dwie tabletki aspiryny i pobiegł z wymiotować do sedesu, podczas gdy jego przyjaciel daremnie próbował przekonać Attylę, by pozwolił założyć sobie kaganiec i obrozę. Pies nie miał zamiaru zostawiać swojego pana w takim stanie i skomlał pod drzwiami łazienki; jedyne ucho postawił do góry, a jedynym okiem rzucał czujne spojrzenia, czekając na instrukcje towarzysza niedoli. Miller na kilka minut włożył głowę pod strumień zimnej wody z prysznicza, potem wyszedł z łazienki w szortach, mokry, skacząc na jedynej nodze, i pozwolił psu wyjść z Alarconem. Sam natychmiast zwał się na łóżko.

Na ulicy z komórki Alarcona buchnął odgłos instrumentów dętych: wojskowe akordy hymnu Urugwaju. Walcząc z szarpiącym psem, wydobył telefon z głębi kieszeni i usłyszał głos Indiany pytającej o Ryana. Nie miała o nim żadnych wiadomości, odkąd dwóch krzepkich policjantów zawlokło go do radiowozu, podczas gdy dwóch innych przy pomocy bramkarza próbowało przywrócić porządek w klubie, gdzie niektórzy klienci, podekscytowani i podpici, dalej bili się pośród wrzasków ubranych w pióra gwiazd spektaklu. Danny D'Angelo, okopany za barem, obserwował katastrofę z nylonową pończochą na głowie, peruką Whitney Houston w dłoni i rozmazanym od płaczu makijażem. Alarcón opowiedział Indianie w swoim lakonicznym stylu, co się stało. „Jadę tam. Możesz zapłacić mi za taksówkę?”, poprosiła.

Trzydzieści pięć minut później Indiana zjawiła się w lofcie w swoich botkach z imitacji gadziej skóry, płaszczu nieprzemakalnym nałożonym na czarną suknię, którą miała na sobie w nocy, i z podbitym okiem. Pocałowała Urugwajczyka i psa, po czym podeszła do łoża miłości, gdzie Miller chrapał przykryty kocem, który narzucił na niego Pedro. Indiana potrząsała nim, dopóki nie wyciągnął głowy z kryjówki pod poduszką i nie usiadł, starając się skupić na niej wzrok.

– Co ci się stało w oko? – zapytał.

– Próbowałam cię przytrzymać i dostałam w twarz.

– Ja cię uderzyłem? – wykrzyknął Miller, całkowicie rozbudzony.

– To był wypadek, nic poważnego.

- Jak mogłem upaść tak nisko, Indi!
- Wszyscy czasem zawodzimy, upadamy na twarz, a potem się podnosimy. Ubierz się, Ryane.
- Nie mogę się ruszyć.
- Odważny z ciebie komandos, nie ma co! Wstawaj! Pojedziesz ze mną.
- Dokąd?
- Zobaczysz.

Niedziela, 19

Cześć, nazywam się Ryan, jestem alkoholikiem i od sześciu godzin jestem trzeźwy – przedstawił się, naśladując innych, którzy przed nim zabrali głos w sali bez okien. Jego słowa zostały przyjęte ciepłymi oklaskami. Chwilę wcześniej Pedro Alarcón zawiózł jego i Indianę do budynku zwieńczonego wieżą na rogu ulic Taylora i Ellis, w samym centrum Tenderloin.

– Co to za miejsce? – zapytał Miller, kiedy Indiana zaciągnęła go za rękę pod drzwi.

– Kościół Glide Memorial. Jak możesz żyć tyle lat w tym mieście i go nie znać?

– Jestem agnostykiem. Nie wiem, po co tu przyszliśmy, Indiano.

– Spójrz na wieżę, widzisz, że nie ma krzyża? Przez wiele lat duszą Glide był afroamerykański pastor, Cecil Williams, teraz jest już na emeryturze. Przyszli go tu w latach sześćdziesiątych, do podupadłego kościoła metodystów, który przekształcił w duchowe centrum San Francisco. Kazał zdjąć krzyż, bo jest symbolem śmierci, a jego zgromadzenie sławi życie. Po to tu jesteśmy, Ryane: żeby sławić życie.

Wyjaśniła mu, że Glide jest atrakcją turystyczną dzięki muzyce chóralnej, której nie sposób się oprzeć, i dzięki prowadzonej tu polityce otwartych ramion: wszyscy są mile widziani, bez względu na wiarę, rasę czy orientację seksualną, chrześcijanie różnych wyznań, muzułmanie i żydzi, narkomani i żebracy, milionerzy z Doliny Krzemowej, *drag queens*, gwiazdy filmowe i przestępcy po wyjściu z więzienia, nikt nie zostaje odrzucony. Dodała, że Glide realizuje setki programów mających na celu niesienie pomocy, zapewnienie dachu nad głową, ubrania i wykształcenia, ochronę i resocjalizację najbiedniejszych i najbardziej zdesperowanych. Przecięli kolejkę ludzi czekających grzecznie na darmowe śniadanie. Miller dowiedział się, że Indiana kilka godzin w tygodniu, od siódmej do dziewiątej, o jedynej porze, kiedy ma wolne, pomaga przy wydawaniu posiłków i że kościół oferuje je trzy razy dziennie przez cały rok tysiącom potrzebujących. Wymaga to sześćdziesięciu pięciu tysięcy godzin pracy wolontariuszy. „Ja wyrabiam około czterystu, ale jest tylu chętnych, że musimy wpisywać się na listę oczekujących”, powiedziała.

O tej wczesnej porze nie zaczął jeszcze napływać niedzielny tłum. Indiana znała drogę i zaprowadziła Millera wprost do małej wewnętrznej salki, gdzie odbywało się pierwsze tego dnia spotkanie Anonimowych Alkoholików. Przy ustawionym pod ścianą stoliku z kawą i herbatnikami zebrało się już kilka osób, reszta nadeszła w ciągu kolejnych dziesięciu minut. Usiedli w kręgu na plastikowych krzesłach, w sumie piętnaście osób różnej rasy, wieku i autoramentu, w większości mężczyźni, niemal wszyscy w jakimś stopniu zniszczeni przez uzależnienie, a jeden ze śladami po świeżej bójce, jak Miller. Zdawało się, że Indiana ze swoim zdrowym wyglądem i radosnym usposobieniem trafiła tu przez pomyłkę. Miller spodziewał się lekcji albo wykładu, ale zamiast tego chudy człowieczek w grubych okularach krótkowidza zachęcił ich do rozmowy. „Cześć, nazywam się Benny Ephron i jestem uzależniony. Widzę kilka nowych twarzy. Witajcie, przyjaciele”, przedstawił się, a pozostali kolejno zabierali głos, żeby podać swoje imiona.

Dopingowani uwagami i pytaniami Ephrona, niektórzy z obecnych opowiedzieli o swoich

doświadczeniach: jak zaczęli pić, jak stracili pracę, rodzinę, przyjaciół, zdrowie, jak próbowali się resocjalizować w AA. Jakiś mężczyzna z dumą pokazał żeton z osiemnastką, liczbą miesięcy w trzeźwości, a pozostali nagrodzili go oklaskami. Jedna z czterech kobiet w grupie, zaniedbana, śmierzcząca, z popsutymi zębami i płochliwym spojrzeniem, wyznała, że straciła już nadzieję, bo wielokrotnie wracała do nałogu – ją także nagrodzili oklaskami za wysiłek, jakim było przyjście na spotkanie tego dnia. Ephron powiedział, że jest na dobrej drodze, bo pierwszy krok to przyznanie, że utraciło się kontrolę nad własnym życiem, i dodał, że nadzieję można odzyskać w momencie, kiedy oddasz się w ręce wyższej mocy. „Ja nie wierzę w Boga”, powiedziała kobieta wyzywająco. „Ja też nie, ale ufam w wyższą moc miłości, miłości, którą mogę dać i którą otrzymuję”, odparł chudzielec w okularach. „Mnie nikt nie kocha, nikt mnie nigdy nie kochał!”, zawołała kobieta, wstając niezdarnie, żeby sobie pójść, ale Indiana zastąpiła jej drogę i objęła ją ramionami. Kobieta walczyła przez kilka sekund, próbując się uwolnić, szybko jednak opadła z płaczem w objęcia tej młodej osoby, która przytuliła ją mocno jak matka. Trwały tak w serdecznym uścisku, przez czas, który dla Millera był jak wieczność, nie do wytrzymania, aż kobieta uspokoiła się i obie wróciły na swoje krzesła.

Ryan Miller otworzył usta tylko po to, żeby się przedstawić, wysłuchał świadectw innych z głową wtuloną w ramiona i łokciami opartymi na kolanach, walcząc z mdłościami i bólem w skroniach. Łączyło go z tymi ludźmi więcej, niż przypuszczał aż do zeszłej nocy, kiedy to w chwili nieuwagi lub złości wychylił pierwszy kieliszek i na moment znów stał się potężnym, niepokonanym samcem ze swoich młodzieńczych fantazji. Jak ci otaczający go mężczyźni i kobiety, on także był więźniem we własnej skórze, przerażony wrogiem przyczajonym w jego wnętrzu, czekającym na okazję, by go zniszczyć, wrogiem ukrytym tak dobrze, że niemal o nim zapomniał. Pomyślał o złotym kolorze whisky, jej słonecznym blasku, rozkosznym dźwięku kostek lodu w szklance, pomyślał o piźmowym zapachu piwa, słodkim gazie i delikatnej pianie.

Zadał sobie pytanie, co poszło nie tak. Przez całe życie dążył do doskonałości, umacniał dyscyplinę, trenował opanowanie, trzymał w ryzach słabości, a teraz, kiedy najmniej się tego spodziewał, wróg wyszedł ze swojej nory i zaatakował. Wcześniej, kiedy nie brakowało mu pretekstów jak samotność czy beznadziejna miłość, by ulec pokusie zatracenia się na chwilę w alkoholu, zachowywał trzeźwość. Nie rozumiał, dlaczego uległ teraz, kiedy miał wszystko, czego pragnął. Od dwóch tygodni czuł się szczęśliwy i spełniony. Tamtej błogosławionej niedzieli, kiedy wreszcie mógł wziąć w ramiona Indianę, jego życie się zmieniło, oddał się bez reszty cudowi miłości i zaspokojonego pożądania, wspaniałemu poczuciu, że jest kochany i już nie będzie sam, złudzeniu, że został odkupiony i wyleczony ze wszystkich swoich ran. „Nazywam się Ryan Miller i jestem alkoholikiem”, powtórzył w myślach i poczuł, że oczy pieką go od powstrzymywanych łez. Miał ochotę uciec z tego miejsca, ale zatrzymała go dłoń Indiany na ramieniu. Przy wyjściu, czterdzieści pięć minut później, niektórzy poklepalili go przyjaźnie po plecach, żegnając się z nim po imieniu. Nie odpowiedział.

W południe Indiana i Ryan pojechali na piknik do tego samego parku z sekwojami, gdzie dwa tygodnie wcześniej burza dała im pretekst, żeby pójść do łóżka. Pogoda była niepewna,

czasem padał przelotny drobny deszcz, czasami chmury się przesuwały i wyglądało zza nich nieśmiałe słońce. On wziął ze sobą surowego kurczaka, lemoniadę, węgiel i kość dla Attyli; ona zabrała ser, chleb i owoce. Indiana miała stary koszyk wyłożony materiałem w czerwono-białą kratę, jedną z niewielu materialnych rzeczy odziedziczonych po matce, idealny do wozienia wałówki, talerzy i szklanek na pikniki. W parku, który latem zapełniał się ludźmi, nie było żywej duszy, mogli się rozłożyć w swoim ulubionym miejscu, kilka kroków od rzeki. Usiedli na grubym pniu, opatuleni w poncza, i czekali, aż rozżarzy się węgiel, żeby upiec kurczaka, podczas gdy Attyla biegał rozhisteryzowany, ścigając wiewiórki.

Twarz Millera przypominała obitą dynię, a ciało mapę czarniawych siniaków, ale był za nie wdzięczny, bo zgodnie z prymitywną sprawiedliwością wpojona przez pas jego ojca, kara odkupywała winę. W dzieciństwie zasady były jasne: kto popełnia niegodziwość albo nieostrożność, musi za nią zapłacić, takie jest nieuchronne prawo natury. Jeśli Ryan spsocił coś za plecami ojca, euforia, że uniknął kary, trwała krótko, szybko ogarniał go strach i pewność, że wszechświat się zemści. Ostatecznie lepiej było odpokutować za błąd kilkoma smagnięciami pasa, niż żyć w oczekiwaniu, aż zmaterializuje się wisząca nad nim groźba. Niegodziwość albo nieostrożność... Zastanawiał się, ile takich czynów popełnił w ciągu czterech dekad życia, i dochodził do wniosku, że bez wątpienia wiele.

W latach, kiedy był żołnierzem, młodym, silnym, w ferworze przygody albo pośród huk wojny, otoczony towarzyszami i chroniony przez moc, jaką daje broń, nigdy nie analizował swojego postępowania, tak samo jak nie kwestionował swojej bezkarności. Na wojnie nieczysta gra była dozwolona, nie musiał się przed nikim tłumaczyć. Honorowo wypełniał obowiązek obrony swojego kraju, był komandosem Navy SEALs, jednym z wybranych, mitycznym wojownikiem. Myślał o tym później, podczas miesięcy spędzonych w szpitalu i na rehabilitacji, kiedy sikał krwią i uczył się chodzić z zamocowanym na kikucie żelastwem, i uznał, że nawet jeśli ponosi jakąś winę, to zapłacił za nią z nawiązką utratą nogi, swoich towarzyszy i kariery wojskowej. Cena była tak wysoka – zmiana bohaterskiego życia na banalną egzystencję – że poczuł się oszukany. Znalazł złudne pocieszenie w alkoholu i twardych narkotykach, którymi zwalczał samotność i wstręt do samego siebie, usychając w okropnej kawalerce w Bethesdzie.

Kiedy pokusa popełnienia samobójstwa stała się niemal nie do przewyciężenia, Attyla po raz drugi ocalił mu życie. Czternaście miesięcy po tym, jak Ryan wyjechał z Iraku przywiązany do noszy i otumaniony morfiną, pies został ciężko ranny w wyniku wybuchu miny piętnaście kilometrów od Bagdadu. Ta wiadomość wyrwała Millera z letargu, w jakim był pogrążony, i postawiła go na nogi: miał do spełnienia nową misję.

Z pomocą przyszła mu Maggie, jego sąsiadka z Bethesdy, siedemdziesięciokilkuletnia wdowa, z którą zaprzyjaźnił się, kiedy grali razem w pokera. To jej zawdzięczał swoje drugie życiowe motto: kto szuka pomocy, zawsze ją znajdzie. Była krewką staruszką ze słownictwem i manierami pirata, odsiedziała dwadzieścia lat w więzieniu oskarżona o zamordowanie męża, po tym jak ten złamał jej kilka kości. To babsko – postrach sąsiadów – było jedyną osobą, którą Miller znosił w tamtym okresie swojego życia, a ona odwzajemniła mu się swoją zwykłą szorstkością i niespodziewaną dobrocią. Na początku, zanim mógł sam się sobą zająć, przygotowywała mu posiłki i wozila go samochodem na wizyty do lekarza, a później

podnosiła z podłogi spitego na umór albo mającego pod wpływem narkotyków i zabawiła grą w karty i oglądaniem filmów akcji. Na wieść o tym, co się stało z Attylą, Maggie uznała, że jeśli chcą odzyskać psa – o ile przeżyje – najpierw Miller musi stanąć na nogi, bo nikt nie powierzy bohatera takiemu strzępowi człowieka.

Miller odmówił skorzystania z programów dla uzależnionych w szpitalu wojskowym, tak jak wcześniej odrzucił pomoc psychologa wyspecjalizowanego w zaburzeniach pourazowych. Maggie całkowicie się z nim zgadzała, że to terapia dla pedałów, są inne metody, krótsze i skuteczniejsze. Wylała zawartość butelek do umywalki, wyrzuciła narkotyki do sedesu; potem kazała mu się rozebrać i wyniosła wszystkie jego ubrania, jego komputer, jego telefon i jego protezę. Pożegnała się z nim optymistycznym znakiem podniesionych do góry kciuków i zamknęła go na klucz, kulawego i nagiego. Miller musiał w zimnie znieść torturę pierwszych dni abstinencji, wstrząsany dreszczami, nękany halucynacjami, oszalały z powodu mdłości, strachu i bólu. Na próżno próbował wyważyć drzwi albo związać prześcieradła, żeby spuścić się z okna – mieszkał na dziesiątym piętrze. Walił w ścianę, która dzieliła go od mieszkania Maggie, aż połamał sobie kostki palców, a zęby szczękały mu tak, że jeden pękł. Trzeciego dnia padł wyczerpany.

Kiedy Maggie przysłała w nocy w odwiedzin, znalazła go zwiniętego na podłodze, jęczącego cicho i prawie spokojnego. Kazała mu wziąć prysznic, dała talerz gorącej zupy, położyła go do łóżka i została, udając, że ogląda telewizję, by kątem oka czuwać nad jego snem.

Tak zaczęło się nowe życie Ryana Millera. Skoncentrował wszystkie siły na rutynie utrzymania trzeźwości i kampanii na rzecz odzyskania Attyli, który zdążył już wykurować się z ran i otrzymać odznaczenie. Formalności zniechęciłyby każdego, kim nie kierowałaby obsesyjna wdzięczność. Z pomocą Maggie napisał setki podań do władz wojskowych, odbył pięć podróży do Waszyngtonu, żeby bronić swojej sprawy, i wyprosił zgodę na prywatne spotkanie z sekretarzem obrony dzięki listowi podpisanemu przez braci z SEAL Team 6. Wyszedł z jego gabinetu z obietnicą, że przewiozą Attylę do Stanów Zjednoczonych, a po przepisowej kwarantannie będzie mógł go wziąć do siebie. Podczas tych miesięcy uciążliwej biurokracji pojechał do Teksasu, gotów wydać swoje oszczędności na najlepsze protezy na świecie, zaczął trenować do triathlonu, odkrył również sposób na pożyteczne wykorzystanie wiedzy zdobytej w wojsku. Był specjalistą od łączności i bezpieczeństwa, miał kontakty wśród wysokich rangą dowódców, nieskazitelny przebieg służby i cztery odznaczenia świadczące o jego charakterze. Na końcu zadzwonił do Pedra Alarcona do San Francisco.

Przyjaźń z Alarconem zaczęła się, kiedy Miller miał dwadzieścia lat. Po skończeniu szkoły średniej zgłosił się do Navy SEALs, aby udowodnić ojcu, że może być takim samym mężczyzną jak on, i dlatego, że nie czuł się na siłach studiować: był dyslektykiem i miał problemy z koncentracją. W szkole nie wykazywał najmniejszego zainteresowania nauką, ale wyróżniał się jako sportowiec, był zbitą masą mięśni, wierzył, że przejdzie każdą fizyczną próbę. Mimo to został wyeliminowany z Navy SEALs podczas *hell week*, najcięższego tygodnia ćwiczeń, stu dwudziestu zabójczych godzin, podczas których mierzono determinację każdego z mężczyzn w osiągnięciu celu za wszelką cenę. Dowiedział się, że najsilniejszym

mięśniami jest serce – kiedy był pewien, że osiągnął kres odporności na ból i zmęczenie, dopiero zaczynał, mógł dać z siebie jeszcze więcej i więcej, ale nie wystarczająco dużo. Do poniżenia z powodu porażki doszła głęboka pogarda, z jaką ojciec przyjął tę wiadomość. Dla tego mężczyzny, syna i wnuka wojskowych, który opuścił marynarkę w stopniu kontradmirała, to, że jego syn został wyeliminowany, potwierdzało tylko złe zdanie, jakie zawsze o nim miał. Ryan i jego ojciec nigdy nie rozmawiali na ten temat, obaj zamknęli się w upartym milczeniu, które rozdzieliło ich na niemal dekadę.

Przez kolejne cztery lata Miller studiował informatykę, jednocześnie zawzięcie trenując, by ponownie spróbować dostać się do Navy SEALs; nie chodziło już o rywalizację z ojcem, ale o prawdziwe powołanie, wiedział, co to oznacza, i chciał poświęcić temu życie. Na uniwersytecie szło mu dobrze, bo jeden z wykładowców osobiście się nim zainteresował, pomógł mu zapanować nad dysleksją oraz brakiem koncentracji i pokonać blokadę przed nauką, pozwolił uwierzyć we własne zdolności intelektualne i przekonał go, żeby przed wstąpieniem do marynarki skończył studia. Tym człowiekiem był Pedro Alarcón.

W 1995 roku, kiedy Miller osiągnął swój cel – został komandosem Navy SEALs i komendant przypiął mu na piersi odznakę podczas Ceremonii Trójzębu – pierwszą osobą, do której zadzwonił, żeby jej o tym powiedzieć, był jego dawny nauczyciel. Przeżył *hell week* i niekończące się miesiące ciężkiego szkolenia na wodzie, w powietrzu i na lądzie, musiał znosić ekstremalne temperatury, brak snu i odpoczynku, przeciwności i fizyczne cierpienia, które go zahartowały. Poznał, co to nierozzerwalne więzy przyjaźni, i podjął zobowiązanie, że będzie żył i umrze jak bohater. Przez kolejne szesnaście lat, do czasu, kiedy został ranny i przeszedł w stan spoczynku, bardzo rzadko widywał się z Alarconem, ale nadal utrzymywali kontakt. Podczas gdy on jeździł na tajne misje do najbardziej niebezpiecznych miejsc, Urugwajczyka zatrudniono jako wykładowcę sztucznej inteligencji na Uniwersytecie Stanforda. Dzięki temu Miller dowiedział się, że jego stary przyjaciel jest geniuszem.

Pedro Alarcón z entuzjazmem przyjął pomysł kolegi, żeby wyposażyć siły zbrojne w skomplikowane systemy bezpieczeństwa, i uznał, że aby to osiągnąć, Miller będzie musiał stać jedną nogą w Waszyngtonie, a drugą w Dolinie Krzemowej, jedynym miejscu, gdzie można było rozwinać tego rodzaju technologię. Komandos wynajął biuro dziesięć minut drogi od Pentagonu, które miało mu służyć za bazę, spakował nieliczne rzeczy, jakie posiadał, i przeniósł się z Attyłą do Kalifornii. Urugwajczyk czekał na niego na lotnisku w San Francisco, gotów mu pomagać, ale z ukrycia przez wzgląd na swoją podejrzaną przeszłość polityczną.

Indiana znała z grubsza historię Millera, wiedziała nawet o pojednaniu z ojcem przed jego śmiercią, ale nie słyszała nic o misji w Afganistanie, którą stale przeżywał na nowo w swoich koszmarach. W parku z sekwojami, kiedy pilnowali kurczaka, który w wilgotnym powietrzu piekł się zadziwiająco wolno, opowiedział jej wydarzenia tamtej nocy. Wyjaśnił, że zabijanie z daleka, jak na każdej współczesnej wojnie, jest abstrakcją, grą komputerową, nie ma ryzyka ani uczuć, ofiary są pozbawione twarzy, ale w prawdziwej walce w terenie wystawia się na próbę odwagę i człowieczeństwo każdego żołnierza. Realna możliwość śmierci albo odniesienia strasznych ran ma konsekwencje psychologiczne i duchowe, jest wyjątkowym doświadczeniem, niemożliwym do przekazania słowami. Rozumie je tylko ten, kto przeżywał

takie stany, mieszankę przerażenia i radości. „Dlaczego walczymy? Bo to pierwotny instynkt, tak silny jak instynkt przetrwania”, powiedział Miller i dodał, że potem, w cywilnym życiu, niczego nie da się porównać z wojną, wszystko wydaje się mdłe. Przemoc dotyka nie tylko ofiar, ale także tego, kto ją stosuje. Przygotowali go na śmierć i cierpienie, mógł zabijać, robił to latami, nie liczył ofiar, nie miał wyrzutów sumienia; mógł też torturować, jeśli zaszła potrzeba zdobycia informacji, ale wolał zostawić to zadanie innym, jemu przewracało się od tego w żołądku. Zabijanie w szale walki albo żeby pomścić przyjaciela to jedno, w takich momentach człowiek nie myśli, działa na oślep popychany straszliwą nienawiścią, wróg przestaje być ludzką istotą, nie ma z nią nic wspólnego. Ale zabijanie cywili, kiedy stajesz z nimi twarzą w twarz, kobiet, dzieci... to było coś zupełnie innego.

Na początku 2006 roku raporty wywiadu wskazały, że Osama bin Laden ukrywa się w paśmie górskim na granicy z Pakistanem, gdzie Al-Kaida przegrupowywała swoje siły po amerykańskiej inwazji. Obszar zaznaczony na mapie był zbyt rozległy, żeby go przeczesać, setki jaskiń i naturalnych tuneli, nieprzyjazne góry zamieszkane przez grupy plemienne zjednoczone przez islam i nienawiść do Amerykanów. Marines organizowali wypadki w tym urwistym, suchym rejonie, ponosząc znaczne straty, bo muzułmańscy wojownicy wykorzystywali znajomość terenu do zastawiania na nich pułapek.

Ilu z tych biednych pasterzy kóz, nieróżniących się niczym od swoich przodków sprzed wieków, było rzeczywiście bojownikami? W której z tych lepianek w kolorze ziemi kryły się składy broni? Co prznosiły kobiety pod swoimi czarnymi szatami? Co wiedziały dzieci? Wysłali komandosów z tajną misją, pewni, że Osama bin Laden jest w zasięgu ręki, mieli go zabić, a jeśli by go nie znaleźli, mieli przynajmniej zebrać informacje i nie pozwolić, by ludność cywilna dalej mu pomagała. Cel uświęcał środki, jak zawsze na wojnie. Dlaczego akurat ta konkretna wioska? Ryan Miller nie miał tego sprawdzać, tylko bez wahania wypełnić rozkaz; motywy czy słuszność ataku nie były jego sprawą.

Dokładnie to pamiętał, śnił o tym, nieubłaganie przeżywał na nowo. Komandosi Navy SEALs i pies posuwają się naprzód po cichu, zaciśnięte szczęki, na grzbietach po czterdzieści trzy kilo odzieży ochronnej i sprzętu, w tym amunicja, woda, jedzenie na dwa dni, baterie, opaski uciskowe i morfina, do tego broń, hełm wyposażony w latarkę, kamerę i słuchawki. Mają rękawice i gogle noktowizyjne. Są wybrańcami, wysyłanymi na najtajniejsze i najniebezpieczniejsze misje. Zrzucili ich ze śmigłowca w odległości trzech kilometrów od celu, mają wsparcie sił powietrznych i kontyngentu marines, ale w tamtej chwili są sami. Attyła skoczył na własnym spadochronie, przyczepiony do niego uprzężą, w kagańcu, sztywny, sparaliżowany – boi się jedynie skoku w próżnię – ale gdy tylko dotknął ziemi, był gotów do akcji.

Wróg może się znajdować wszędzie, ukryty w jednym z domów, w jaskiniach w górach, za nimi. Śmierć może nadejść na wiele sposobów, mina, snajper, samobójca z pasem materiałów wybuchowych. To ironia tej wojny: z jednej strony najlepiej wyszkolone i wyposażone wojsko świata, miażdżąca siła najpotężniejszego imperium w dziejach, z drugiej fanatyczne plemiona, gotowe za wszelką cenę bronić swego terytorium, rzucające kamieniami, jeśli zabraknie im amunicji. Goliat i Dawid. Pierwszy ma niedoścignioną technologię i uzbrojenie, to gruboskórne zwierzę, skrępowane przez ciężar wszystkiego, co dźwiga, podczas gdy

przeciwnik jest lekki, zwinny, przebiegły i zna kraj. To okupacja na dłuższą metę nie do utrzymania, bo zbuntowanego narodu nie można podporządkowywać sobie w nieskończoność. To wojna, którą można wygrać ogniem w terenie, ale skazana na porażkę, jeśli chodzi o ludzi, wiedzą o tym obie strony, to tylko kwestia czasu. Amerykanie unikają w miarę możliwości strat wśród ludności cywilnej, bo drogo ich to kosztuje: z każdym martwym cywilem i każdym zniszczonym domem wzrasta liczba wojowników i wściekłość mieszkańców. Wróg jest zwinny, niewidzialny, znika w wioskach pośród pasterzy i wieśniaków, wykazuje się obłąkańczą odwagą, a komandosi Navy SEALs szanują odwagę, także u tego wroga.

Ryan Miller posuwa się naprzód z Attyłą u boku. Pies ma na sobie kamizelkę kuloodporną, specjalne okulary, słuchawki do odbierania instrukcji i kamerę na głowie do przekazywania obrazów. To młody, uwielbiający zabawę zwierzak, ale kiedy zakładają mu służbową kamizelkę, zamienia się w opancerzoną, mitologiczną bestię. Nie boi się ognia z karabinu maszynowego, granatów ani eksplozji, potrafi odróżnić odgłos broni amerykańskiej od broni wroga, silnik przyjaznej ciężarówki i śmigłowca ratunkowego, jest wyszkolony do wykrywania min i zasadzek. Nie odstępuje Millera na krok, w razie nagłego zagrożenia opiera się o niego, żeby go ostrzec, a jeśli widzi, że upada, chroni go, ryzykując własnym życiem. Jest jednym z dwóch tysięcy ośmiuset psów bojowych w amerykańskim wojsku na Bliskim Wschodzie. Miller rozumie, że nie powinien się do niego przywiązywać, Attyła to broń, element sprzętu bojowego, ale przede wszystkim jest jego towarzyszem, odgadują nawzajem swoje myśli, razem jedzą i śpią. Miller w milczeniu daje mu błogosławieństwo na drogę i dwukrotnie klepie go w szyję.

Attyła napina mięśnie, jeży mu się sierść, wykrzywia pysk, odstaniając pełne uzębienie z tytanowymi kłami. Jako pierwszy przekroczy próg, jest mięsem armatnim. Idzie ostrożnie i zdecydowanie, teraz może go zatrzymać jedynie głos Millera w słuchawkach. Przyczajony, cichy, niewidoczny pośród cieni, Ryan Miller śledzi go wzrokiem, przyciskając do piersi swój M4, najporęczniejszą broń w bezpośredniej walce. Już nie myśli, jest gotowy, jego uwaga koncentruje się na celu, ale zmysłami kontroluje otoczenie, wie, że jego towarzysze rozproszyli się, tworząc wachlarz wokół wioski, by równocześnie przypuścić szturm. Niespodziewanie zaatakowany wróg nie zdoła uświadomić sobie, co się dzieje; błyskawiczna akcja.

Millerowi przypada pierwszy dom od strony południowej. W bladym blasku ćwiartki księżyca ledwo go dostrzega, płaski, kwadratowy, z kamieni i ziemi, wpasowany w teren jak naturalna wyniosłość. Alarmuje go beczenie kozy, która po raz drugi zakłóca spokój nocy. Jest dziesięć metrów od drzwi i staje, wydaje mu się, że słyszy płacz dziecka, ale zaraz powraca cisza. Zastanawia się, ilu terrorystów może być ukrytych w tej pasterskiej chacie, nabiera powietrza, wypełnia nim płuca, daje znak psu, który spogląda na niego uważnie zza swoich okrągłych gogli, i obaj puszczają się biegiem w stronę domu. W tej samej chwili jego towarzysze wdzierają się do wioski pośród krzyków, wystrzałów, przekleństw. Komandos wypuszcza serię w kierunku drzwi i natychmiast otwiera je jednym kopnięciem. Attyła wchodzi pierwszy i staje, gotów do ataku, czekając na instrukcje. Miller idzie za nim, dzięki goglom noktowizyjnym analizuje sytuację i ogarnia wzrokiem przestrzeń, szacuje odległość

między ścianami, sufit jest tak nisko, że musi się schylać, odruchowo omiata spojrzeniem podłogę z ubitej ziemi, wygasłe palenisko z resztkami węgla, zawieszone nad nim kuchenne naczynia, trzy, cztery drewniane stołki. W domu jest tylko jedno pomieszczenie, wydaje się puste. Krzyczy po angielsku, żeby się nie ruszali, a Attyla warczy u jego boku. Wszystko dzieje się tak szybko, że potem nie będzie umiał odtworzyć tego, co się stało; w niespodziewanych momentach powykrzywiane obrazy wyłonią się w jego pamięci z siłą uderzeń pięścią, w koszmarach tysiąc razy będzie przeżywał wydarzenia tamtej nocy. Nigdy nie zdoła ich uporządkować ani zrozumieć.

Żołnierz znów krzyczy w swoim języku; wyczuwa ruch za plecami, odwraca się, naciska spust, seria, ktoś upada ze zduszonym jękiem. Po tym huku zapada nagła cisza, straszliwa przerwa, podczas której żołnierz podnosi gogle i zapala latarkę, promień światła omiata pomieszczenie, zatrzymując się na leżącym na podłodze tłumoku, Attyla skacze do przodu i chwytą go szczękami. Miller podchodzi, woła psa, musi powtórzyć rozkaz, żeby go posłuchał i wypuścił zdobycz. Lekko kopie ciało, żeby upewnić się, że nie żyje. Stos czarnych szmat, ogorzała twarz starej kobiety, babcia.

Ryan Miller klnie pod nosem. Strata uboczna, myśli, ale nie jest pewien: coś poszło nie tak. Zamierza się wycofać, ale kątem oka dostrzega kogoś ukrytego w cieniu na drugim końcu pomieszczenia, odwraca się szybko i jego latarka odsłania postać przyczajoną przy ścianie. Dzieli ich kilka kroków, krzyczy, żeby się nie ruszał, ale ten ktoś wstaje, wydając z siebie ochrypy dźwięk, jak szloch, a żołnierz widzi, że trzyma coś w ręku, broń. Nie zastanawia się, naciska spust i grad kul podrywa wroga z podłogi, jego krew bryzga mu na twarz. Trwa nieruchomo, czeka, ma wrażenie, że znajduje się bardzo daleko, że obserwuje całą scenę na ekranie, obojętnie. Nagle ogarnia go niespodziewane zmęczenie, czuje pot i mrowienie na skórze, jakie następuje po wyładowaniu adrenaliny.

Wreszcie żołnierz uznaje, że niebezpieczeństwo minęło, podchodzi. To kobieta. Kule nie naruszyły jej twarzy, jest młoda i bardzo piękna, z masą falowanych ciemnych włosów, które rozsypały się wokół głowy, ma otwarte oczy, duże, jasne, oprawione czarnymi rzęsami i brwiami. Jej ciało spowija zwiewna tunika, wygląda jak koszula nocna, jest bosa, a na podłodze, obok jej otwartej dłoni, leży zwykły kuchenny nóż. Pod zakrwawioną tuniką widać wyraźnie wystający brzuch, zdaje sobie sprawę, że Afganka jest w ciąży. Kobieta patrzy mu w oczy i Miller widzi, że pozostały jej sekundy życia i że nic nie może dla niej zrobić. Jasne oczy zachodzą mgłą. Żołnierz czuje, że w ustach ma pełno śliny, zgina się wpół, próbując opanować mdłości.

Minęły zaledwie dwie czy trzy minuty od momentu, kiedy kopnął drzwi, do chwili gdy wszystko się skończyło. Musi iść dalej, przeszukać resztę wioski, ale wcześniej powinien się upewnić, że w domu nie ma nikogo więcej. Słyszy warczenie Attyli, szuka go światłem latarki i widzi, że pies stoi za paleniskiem, gdzie znajduje się mała izba, pomieszczenie bez okien ze słomą na podłodze, służące za spiżarnię; dostrzega kawałki wędzonego mięsa zwisające z haków, worek z jakimś ziarnem, może ryżem albo pszenicą, dwie amfory z oliwą i kilka puszek z brzoskwiniami w syropie, pewnie zdobytych z przemytu, bo podobne widział w kantynie w amerykańskiej bazie.

Attyła jest gotów do ataku; Miller każe mu się cofnąć i omiata światłem nieregularne gliniane ściany, potem odsuwa stopą słomę i widzi, że podłoga nie jest z ziemi jak w reszcie chaty, ale z desek. Podejrzewa, że pod nimi może coś być, od materiałów wybuchowych po wejście do jaskini terrorystów, i wie, że powinien wezwać posiłki, zanim będzie dalej szukał, ale jest zdenerwowany i nie wie, dlaczego, klęka na ziemi i próbuje jedną ręką oderwać deski, podczas gdy drugą mocno ściska swój M4. Nie musi się specjalnie siłować, trzy deski puszczają jednocześnie, to drzwiczki.

Skacze na równe nogi i celuje w otwór, na pewno ktoś się tam ukrywa, krzyczy po angielsku, żeby wyszedł, ale nie dostaje odpowiedzi; z palcem na spuście kieruje promień latarki i wtedy ich dostrzega. Najpierw dziewczynkę w chustce na głowie, która patrzy na niego tymi samymi oczami co jej matka, skuloną w dziurze, gdzie ledwo się mieści; potem chłopca, którego trzyma na rękach, roczne, dwuletnie dziecko ze smoczkiem w buzi. Kurwa, kurwa, kurwa, szepcze żołnierz niczym modlitwę i klęka nad otworem, czując w piersiach kłucie, które ledwo pozwala mu oddychać; domyśla się, że matka ukryła dzieci i kazała im siedzieć bez ruchu, cicho, a sama szykowała się, by bronić ich wyszczerbionym kuchennym nożem.

Komandos dalej klęczy, zniewolony hipnotycznym wzrokiem poważnej dziewczynki, która przytula swojego braciszka, chroniąc go własnym ciałem. Słyszał wszelkiego rodzaju opowieści, wróg jest bezwzględny, robi z kobiet terrorystki samobójczynie i używa dzieci jako tarczy. Powinien sprawdzić, czy dziewczynka i chłopczyk blokują wejście do tunelu albo do składu materiałów wybuchowych, powinien zmusić ich do wyjścia z dziury, ale nie potrafi tego zrobić. W końcu wstaje, podnosi do ust palec okrytej rękawiczką dłoni, wskazując dziewczynce, żeby była cicho, zamyka pokrywę, maskuje ją słomą i wychodzi chwiejnym krokiem.

Misja w afgańskiej wiosce skończyła się porażką, ale poza Amerykanami i Afgańczykami, którzy przeżyli, nikt się o niej nie dowiedział. Jeśli to odległe miejsce rzeczywiście było siedliskiem terrorystów, ktoś musiał ich na czas uprzedzić, mogli zdemontować instalacje i zniknąć, nie pozostawiając śladów. Nie znaleziono broni ani materiałów wybuchowych, ale fakt, że we wsi pozostali tylko starcy, kobiety i dzieci, został uznany za wystarczający dowód na to, że podejrzenia CIA były uzasadnione. W wyniku szturmego zostało rannych czterech Afgańczyków, w tym jeden ciężko, a w pierwszym domu zginęły dwie kobiety. Oficjalnie nie było żadnego ataku, nie zostało wszczęte żadne śledztwo, a jeśli ktoś by o to zapytał, bractwo Navy SEALs przedstawiłoby wspólną wersję, nikt jednak tego nie zrobił. Ryan Miller musiał sam dźwigać ciężar swoich czynów; jego towarzysze nie zażądali wyjaśnień, wychodząc z założenia, że zrobił, co należało, zważywszy na okoliczności, i strzelał w obronie własnej lub prewencyjnie. „Pozostali zajęli wioskę, powodując minimalne straty, tylko ja nie umiałem zapanować nad sobą”, wyznał Miller Indianie. Wiedział, że wojna jest chaotyczna, a ryzyko ogromne. Mógł zostać ranny, skończyć z urazem mózgu albo jako inwalida, umrzeć w walce, wpaść w ręce wroga, mogli go torturować i zgładzić, nie miał złudzeń co do wojny, nie wybrał tego zawodu z myślą o mundurze, broni i chwale, ale z powołania. Był przygotowany na śmierć i zabijanie, dumny, że należy do najwybitniejszego narodu w historii. Nigdy nie czuł,

żeby osłabła jego lojalność, nie kwestionował otrzymywanych rozkazów ani metod stosowanych dla osiągnięcia celu. Miał świadomość, że będzie musiał zabijać cywili, to było nieuniknione, w każdej współczesnej wojnie ginęło ich dziesięciu na jednego żołnierza; w Iraku i Afganistanie połowa strat wśród ludności cywilnej była spowodowana atakami terrorystycznymi, a druga połowa amerykańskim ogniem. Jednak rodzaj misji, jaka przypadła jego zespołowi, nigdy nie zakładał starcia z bezbronnymi kobietami i dziećmi.

Po tamtej nocy w afgańskiej wiosce Miller nie miał czasu, żeby przeanalizować to, co się stało, bo jego grupa zaraz została wysłana z inną misją, tym razem do Iraku. Zamiótł te wydarzenia w najbardziej zakurzony i zapomniany zakątek umysłu i żył dalej. Dziewczynka o zielonych oczach zaczęła prześladować go dopiero rok później, kiedy obudził się z narkozy w szpitalu w Niemczech, a ona siedziała na metalowym krześle milcząca i poważna, ze swoim braciszkiem na kolanach, kilka kroków od jego łóżka.

Indiana Jackson wysłuchiwała go, drżąc pod swoim ponczem w zimnej wilgoci lasu; nie zadawała pytań, bo podczas jego opowieści ona także była w wiosce tamtej nocy, weszła do chaty za Millerem i Attyłą, a kiedy oni zniknęli, wślizgnęła się do otworu pod deskami i została z dziećmi, przytulając je, dopóki nie skończył się atak. Wtedy nadeszły inne kobiety, zabrały ciała babki i matki, wołały dzieci i szukały ich, aż w końcu je znalazły, wyciągnęły z kryjówek i zaczęły długą żałobę po zmarłych. Wszystko dzieje się jednocześnie, nie istnieje czas, przestrzeń nie ma granic, stanowimy część niematerialnej jedności zawierającej dusze – te, które ucieleśniły się wcześniej, te obecne i te jutrzejsze – jesteśmy kroplami tego samego oceanu, powtarzała sobie w myślach, tak jak tyle razy mówiła i czuła podczas medytacji. Odwróciła się do Millera, który siedział obok niej na pniu ze spuszczoną głową, i zobaczyła, że ma policzki zmoczone pierwszymi kroplami deszczu, a może łzami. Wyciągnęła rękę, żeby mu je wytrzeć, ruchem tak intymnym i smutnym, że mężczyzna westchnął z jękiem.

– Jestem rozpieprzony, Indi, rozpieprzony od środka i na zewnątrz. Nie zasługuję na niczyją miłość, a już najmniej na twoją.

– Jeśli tak uważasz, jesteś bardziej rozpieprzony, niż myślisz, bo uzdrowić cię może tylko miłość, pod warunkiem że zrobisz dla niej miejsce. Ty jesteś swoim własnym wrogiem, Ryane. Zaczynaj od przebaczenia samemu sobie, jeśli sobie nie wybaczysz, przez całe życie będziesz więźniem przeszłości skazanym przez pamięć, która zawsze jest subiektywna.

– To, co zrobiłem, jest prawdziwe, nie subiektywne.

– Nie da się zmienić faktów, ale możesz zmienić sposób, w jaki je osądzasz – powiedziała Indiana.

– Tak cię kocham, że aż mnie boli, Indi. Boli mnie tu, w środku ciała, jakby piersi przygniatała mi kamienna płyta.

– Miłość nie boli. Przygniatają cię rany wojenne, wyrzuty sumienia, poczucie winy, wszystko, co widziałeś i co musiałeś robić, nikt nie wychodzi cało po takich doświadczeniach.

– Co mam począć?

– Na początek zostawimy krukowi tego kurczaka, który nadal jest surowy, a sami pójdziemy do łóżka. To zawsze dobry pomysł. Jestem skostniała i zaczyna coraz bardziej padać,

potrzebuję, żebyś otulił mnie swoimi ramionami. A potem przestaniesz biec, Ryanie, bo nie można uciec przed pewnymi wspomnieniami, zawsze cię dopadną, musisz pojednać się sam ze sobą i z dziewczynką o zielonych oczach, wezwij ją, żeby przyszła wysłuchać twojej historii, poproś ją o wybaczenie.

– Mam ją wezwać? Jak?

– W myślach. Przy okazji możesz wezwać także jej matkę i babkę, które muszą gdzieś tu krążyć, unosząc się między sekwojami. Nie wiemy, jak nazywa się ta dziewczynka, łatwiej byłoby z nią rozmawiać, gdyby miała imię. Powiedzmy, że nazywa się Sharbat, jak dziewczyna o zielonych oczach z okładki „National Geographic”.

– Co mam jej powiedzieć? Istnieje tylko w mojej głowie, Indi. Nie mogę o niej zapomnieć.

– Ona także nie może o tobie zapomnieć, dlatego cię odwiedza. Wyobraź sobie, czym była dla niej tamta noc, skulona w dziurze drżała ze strachu przed gigantycznym kosmitą i monstrualną bestią, którzy przyszli ją zabić. A potem zobaczyła swoją matkę i babkę całe we krwi. Nigdy nie będzie mogła odpędzić tych straszliwych obrazów bez twojej pomocy, Ryanie.

– Jak jej pomogę? To wydarzyło się kilka lat temu, na drugim końcu świata – powiedział.

– Wszystko we wszechświecie jest ze sobą połączone. Zapomnij o odległości i o czasie, wyobraź sobie, że wszystko dzieje się w wiecznej teraźniejszości, w tym lesie, w twojej pamięci, w twoim sercu. Porozmawiaj z Sharbat, poproś ją o wybaczenie, wyjaśnij jej wszystko, powiedz, że będziesz szukał jej i jej braciszka i że spróbujesz im pomóc. Powiedz, że jeśli ich nie znajdziesz, pomożesz innym dzieciom takim jak one.

– Może nie będę mógł dotrzymać tej obietnicy, Indi.

– Jeśli ty nie będziesz mógł, wtedy ja pojedę za ciebie – obiecała i wzięwszy jego twarz w obie dłonie, pocałowała go w usta.

Poniedziałek, 20

Walki psów odbywały się w różnych miastach, żeby zmylić policję. Elsa Domínguez oznajmiła nadinspektorowi, że kolejną zaplanowano na trzeci poniedziałek miesiąca, z okazji wolnego w Dniu Prezydentów, ale nie potrafiła powiedzieć gdzie. Jednemu z informatorów Boba Martina udało się to sprawdzić i nadinspektor zadzwonił do swoich kolegów z policji w San Rafael, żeby powiedzieć im, co się kroi, i zaproponować współpracę. Policjantów, którzy mieli już wystarczająco dużo problemów z innymi przestępstwami gangów z Canal, nie zainteresowała specjalnie ta sprawa, choć wiedzieli, że walki psów są okazją do zakładów, pijatyk, prostytucji i handlu narkotykami, ale Bob Martín wskazał im korzyści płynące z ukazania się wiadomości o takiej akcji w prasie. Opinia publiczna jest bardziej wrażliwa na krzywdę zwierząt niż dzieci. Reporterka i fotograf lokalnej gazety zgodzili się towarzyszyć im podczas obławy – taka zachęta przyszła do głowy Petrze Horr, która знаła dziennikarkę i pomyślała, że zainteresuje ją to, co dzieje się kilka przecznic od jej własnego domu.

Nie wszyscy właściciele walczących psów byli zatwardziałymi przestępcami, należeli do nich także czarni chłopcy czy latynoscycy i azjatyccy imigranci bez pracy, którzy próbowali zarobić na życie z pomocą swoich czempionów. Żeby zapisać początkującego psa, trzeba było zainwestować trzysta dolarów, ale kiedy już został zakwalifikowany po pokonaniu kilku przeciwników, właściciel dostawał pieniądze za wystawienie go do walki, a do tego zarabiał na zakładach. „Sport”, jak nazywali tę nielegalną rozrywkę jej uczestnicy, był tak krwawy, że dziennikarka niemal zwymiotowała, kiedy Petra pokazała jej filmik z walki i zdjęcia konających psów z wyszarpanymi wnętrznościami.

Hugo Domínguez i jeszcze jeden chłopak w jego wieku mieli obiecującego, czterdziestopięciokilowego brytana, mieszańca w typie rottweilera, wykarmionego surowym mięsem, pozbawionego kontaktu z innymi zwierzętami i czułości człowieka. Trenowali go, każąc mu biegać godzinami, dopóki był w stanie utrzymać się na łapach, szczuli go, żeby atakował, i doprowadzali do szału narkotykami i pikantnym chili wsadzonym do odbytu. Im bardziej zwierzę cierpiało, tym stawało się dziksze. Jego właściciele jeździli do najbiedniejszych dzielnic Oakland i Richmond, po których biegały bezdomne psy, przywiązywali sukę w rui do drzewa i czekali, aż zapach zwabi bezpańskie samce; wtedy łapali psy w siatkę, wrzucali je do bagażnika samochodu, zabierali ze sobą i wystawiali do sparingów z rottweilerem.

W poniedziałek oddawano hołd George’owi Washingtonowi urodzonemu w lutym 1732 roku i przy okazji wszystkim prezydentom Stanów Zjednoczonych. Upamiętniono ich przecenami w sklepach, flagami, patriotycznymi programami w środkach przekazu i festynami dla dzieci w parkach. Dzień był pochmurny, wcześniej zrobiło się ciemno, a o wpół do ósmej wieczorem, kiedy Bob Martín przyłączył się do policjantów z San Rafael, żeby zacząć obławę, panowała już głęboka noc. Petra Horr jechała ze swoją koleżanką dziennikarką i z fotografem tuż za konwojem pięciu policyjnych radiowozów, trzech z San Rafael i dwóch z San Francisco, które ze zgaszonymi światłami wtoczyły się cicho do przemysłowej strefy miasta, pustej o tej porze.

Niedaleko dawnego składu materiałów budowlanych, nieużywanego od kilku lat, zobaczyli zaparkowane wzdłuż ulicy samochody i Bob Martín wiedział już, że jego informator mówił prawdę. Większość sukcesów w swojej karierze zawdzięczał kapusiom; bez nich jego praca byłaby bardzo trudna, dlatego chronił ich i dobrze traktował. Na jego rozkaz dwóch policjantów spisało numery rejestracyjne samochodów, żeby je później zidentyfikować, inni otoczyli po cichu magazyn, blokując wszystkie możliwe wyjścia, on tymczasem objął dowództwo grupy szturmowej. Zamierzali wtargnąć z zaskoczenia, ale organizatorzy walki rozstawili na zewnątrz czujki.

Rozległy się alarmujące krzyki po hiszpańsku i natychmiast w stronę drzwi rzuciła się fala mężczyzn, przewyższających liczbą i siłą policjantów, a za nimi kilka młodych kobiet, które krzyczały i broniły się, drapiąc i kopiąc. W ciągu kilku sekund rozbłysły reflektory radiowozów i posypały się rozkazy, wyzwiska, ciosy pałkami, oddano nawet kilka strzałów w powietrze. Policja zatrzymała dwunastu mężczyzn i pięć kobiet, reszcie udało się uciec.

W czymś w rodzaju hangaru, gdzie zostało jeszcze kilka stosów cegieł i trochę żelaznych powykręcanych prętów, wypełnionego powietrzem gęstym od dymu papierosów, ujadaniem oraz zapachem potu, krwi i ekskrementów, znajdował się prowizoryczny ring trzy na trzy metry otoczony płytami ze sklejki wysokimi na metr dwadzieścia, które oddzielały widownię od rozwścieczonych zwierząt. Żeby psom nie ślizgały się łapy, podłogę czworokąta przykryto zwykłą wykładziną, równie zakrwawioną jak drewniane ogrodzenie. Psy, które jeszcze nie wzięły udziału w walce, czekały w klatkach albo uwiązane na łańcuchach, a w kącie magazynu dogorywały pokonane zwierzęta. Bob Martín zawołał do środka dwóch weterynarzy i członków Towarzystwa Ochrony Zwierząt, którzy czekali w samochodach.

Hugo nie próbował uciekać przed policją, jakby wiedział, że jego los jest już przesądzony. Zaczął coś podejrzewać, kiedy matka i siostry, które nauczyły się nie wtrącać w jego życie, błagały, żeby tej nocy został w domu. „Mam złe przeczucie”, powiedziała matka, ale po obłudnym tonie i uciekającym wzroku poznał, że to więcej niż przeczucie, że to zdrada. Co wiedziały kobiety z jego rodziny? Wystarczająco dużo, żeby go pogrzyźć, był tego pewien. Wiedziały o rottweilerze, odkryły jego walizeczkę ze strzykawkami i resztą sprzętu, które wzięły za akcesoria do narkotyków, i urządziły mu taką awanturę, że musiał im wytłumaczyć, że to zestaw pierwszej pomocy. Właściciele nie mogli zawozić rannych psów do weterynarza, bo ten rozpoznałby ugryzienia, musieli nauczyć się je zszywać, bandażować, wstrzykiwać antybiotyki i robić kroplówki. Wkładali dużo czasu i pieniędzy w swoich czempionów, musieli próbować ich ratować, jeśli istniała jakakolwiek nadzieja, jeśli nie, wrzucali psy do kanału albo zostawiali na autostradzie, żeby upozorować wypadek. Nikt nie bada przyczyn śmierci psa, nawet tego zagryzionego. Było jednak coś, o czym jego matka i siostry prawdopodobnie nie wiedziały: zawiadamiając policję, skazały go na śmierć, i skazały też siebie, bo kiedy Sureños albo szefowie kontrolujący walki psów, dwaj bezwzględni Koreańczycy, dowiedzą się o zdradzie, wszyscy zapłacą krwią, nawet mali siostrzeńcy. A szefowie zawsze się o wszystkim dowiadywali.

Nadinspektor znalazł Domingueza skulonego w kącie za workami ze zwirem. Chłopak uznał, że jedynym sposobem na oddalenie podejrzeń od niego i jego rodziny jest dać się aresztować. W więzieniu będzie bezpieczniejszy niż na ulicy, tam może pozostać

niezauważony, wmieszać się w tłum innych Latynosów, nie będzie pierwszym Sureño, który trafi do San Quentin. Na końcu kary czekała go deportacja. Co pocznie w Gwatemali, nieznanym, nieprzyjaznym kraju? Przyłączy się do innego gangu, tylko to mu pozostaje.

– Który to twój czempion? – zapytał Bob Martín, oślepiając go światłem latarki.

Chłopak wskazał na jednego z psów uwiązanych na łańcuchach, duże, ciężkie zwierzę oznaczone bliznami, ze ściągniętą skórą na pysku, jak po poparzeniu.

– Ten czarny?

– Tak.

– Dwa tygodnie temu, we wtorek siódmego lutego, twój pies wygrał ważną walkę. Wpadły ci do kieszeni dwa tysiące dolarów, a Sureños dostali drugie tyle po zapłaceniu prowizji Koreańczykom.

– Ja nic nie wiem, glino.

– Nie potrzebuję twoich zeznań. Walki psów są odrażającym przestępstwem, ale tobie posłużą za alibi, żeby ocalić skórę przed czymś dużo poważniejszym, przed podejrzeniem o zabójstwo Rachel Rosen. Odwróć się, ręce do tyłu – rozkazał Bob Martín, który miał już przygotowane kajdanki.

– Powiedz mojej matce, że nigdy jej tego nie wybaczę – powiedział chłopak ze łzami wściekłości w oczach.

– Twoja matka nie miała z tym nic wspólnego, parszywy gówniarzu. Łamiesz biednej Elsie serce.

Piątek, 24

Dom Celeste Roko w dzielnicy Haight-Ashbury był jednym z czterdziestu ośmiu tysięcy „painted ladies”, budynków mieszkalnych w stylu wiktoriańsko-edwardiańskim, które wyrastały jak grzyby po deszczu w latach 1849–1915. Część została przewieziona w kawałkach z Anglii i złożona niczym elementy łamigłówek. Jej dom, ponadstuletni relikw zbudowany krótko po trzęsieniu ziemi w 1906 roku, przeżywał na przemian okresy świetności i degrengolady. W czasie obu wojen światowych spotkała go zniewaga: został pokryty szarą farbą okrętową, której Marynarka Wojenna miała w nadmiarze, ale w 1970 roku przeszedł remont, fundamenty wzmocniono betonem i pomalowano go czterema kolorami: tło błękitem pruskim, wystające elementy dekoracyjne na błękitno i turkusowo, a ramy drzwi i okien na biało. Ten ponury, niewygodny dom składający się z labiryntu małych pokojów i stromych schodów został niedawno wyceniony na dwa miliony dolarów jako część historycznego dziedzictwa miasta i atrakcja turystyczna. Roko kupiła go za znacznie mniejszą sumę, wykładając oszczędności, rezultat korzystnych inwestycji, które zawdzięczała swoim przepowiedniom astrologicznym dotyczącym Wall Street.

Indiana Jackson pokonała piętnaście schodków prowadzących na ganek i nacisnęła dzwonek, niekończący się kurant z nutkami walca wiedeńskiego. Chwilę potem matka chrzestna jej córki otworzyła drzwi. Celeste Roko została wybrana na chrzestną Amandy z racji wieloletniej przyjaźni łączącej ją z donią Encarnación Martín i dlatego, że była praktykującą katoliczką, choć Watykan potępia uprawianie wróżbiarstwa. Dziadkowie Celeste przybyli z Chorwacji, poznali się i pobrali na statku, który pod koniec dziewiętnastego wieku zostawił ich na Ellis Island. Osiedli w Chicago, słusznie nazywanym drugą stolicą Chorwacji z powodu dużej liczby imigrantów z tego kraju. Rodzina, która zaczęła od pracy w budownictwie i w fabrykach odzieży, rozjechała się po innych stanach i z pokolenia na pokolenie coraz bardziej bogaciła, zwłaszcza ta odnoga, która trafiła do Kalifornii i zbiła majątek na sklepach spożywczych. Ojciec Celeste jako pierwszy poszedł na uniwersytet, potem ona zrobiła dyplom z psychologii. Przez krótki czas pracowała w zawodzie, dopóki nie odkryła, że astrologia jest prostszym i skuteczniejszym sposobem udzielania pomocy niż psychoanaliza. Połączenie wiedzy akademickiej i astrologicznej okazało się tak wielkim sukcesem, że była dosłownie oblegana przez klientów, którzy musieli miesiącami czekać w kolejce na wizytę. Wtedy przyszedł jej do głowy pomysł na program telewizyjny, który nie schodził z anteny przez następnych piętnaście lat. Korzystając z pomocy młodych ludzi, zaczęła reklamować się w internecie. Występowała na ekranie w ciemnej nienagannie skrojonej garsonce, białej jedwabnej bluzce i naszyjniku z pereł wielkości żółwich jaj, blond włosy zbierała na szyi w elegancki kok i nosiła stare okulary w kształcie kocich oczu, które wyszły z mody w latach pięćdziesiątych. W telewizji przypominała wyglądem staroświecką psycholożkę jungowską, ale w domu chodziła w kimonach kupowanych w Berkeley. W szacie w kształcie litery T z szerokimi rękawami, typowym stroju gejszy, nie prezentowała się zbyt korzystnie, ale nosiła go z pewnym wdziękiem.

Idąc za Celeste, Indiana pokonała kolejny odcinek schodów i weszła do sześciokątnej salki,

gdzie usiadła i czekała na gospodynię, która uparła się, że poda jej herbatę. Stary dom przytłaczał ją swoją zbyt wysoką temperaturą, zapachem zbutwiałych dywanów i zwiędłych kwiatów, fajansowymi lampami i abażurami z żółtego pergaminu, a także subtelną obecnością dawnych lokatorów, którzy przenikali przez ściany i z kątów słuchali prowadzonych rozmów.

Po chwili Celeste wróciła z kuchni, powiewając rękawami kimona niczym chorągwiemi, z tacą, dwiema filiżankami z chińskiej porcelany i czarnym żelaznym imbrykiem. Podniosła pokrywkę, żeby Indiana mogła wciągnąć aromat francuskiej herbaty Marco Polo, mieszanki owoców i kwiatów, jednego z luksusów uprzyjemniających życie samotnej kobiecie. Rozlała napar do filiżanek i usiadła w fotelu ze skrzyżowanymi nogami, jak fakir.

Dmuchając na herbatę, Indiana zwierzyła się ze swoich zmartwień z ufnością, jakiej nabrała do Celeste dzięki wieloletnim kontaktom rodzinnym i porodom zodiakalnym, bez wchodzenia w szczegóły, bo matka chrzestna wiedziała już o tym, co zaszło między nią a Alanem Kellerem. Indiana zadzwoniła do niej dzień po otrzymaniu czasopisma, które miało zakończyć jej czteroletni szczęśliwy romans. Celeste próbowała wtedy zbagatelizować znaczenie tego incydentu, bo martwiło ją, że w wieku trzydziestu kilku lat Indiana jest nadal samotna. Młodość szybko mija, a starzenie się w samotności jest nudne, powiedziała, myśląc o tym, że jej własne życie byłoby szczęśliwsze u boku Blake'a Jacksona. Szkoda, że miał powołanie do wdowieństwa. Dla Indiany jednak niewierność stanowiła wystarczający powód, by odprawić kochankę. Na jej prośbę Celeste wykonała kosmogram Ryana Millera, którego nigdy nie widziała na oczy.

– Ten Miller ma bardzo męski wygląd, prawda?

– Tak.

– A jednak osiem z jego planet odpowiada fazie żeńskiej.

– Nie powiesz mi, że jest gejem! – wykrzyknęła Indiana.

Celeste wyjaśniła, że astrologia nie wskazuje na preferencje seksualne danej osoby, lecz na jej przeznaczenie i charakter, a charakter Millera posiada silne cechy żeńskie, takie jak uczynność, czułość, matczyzna opiekuńczość, idealne w zawodzie lekarza albo nauczyciela, ale jednocześnie naznaczony jest kompleksem bohatera. W jego kosmogramie odkryła wyraźne sprzeczności, które sprawiały, że nie słuchał nakazów gwiazd ani własnej natury i żył rozdarty między uczuciami a czynami. Długo mówiła o autorytarnym ojcu i cierpiącej na depresję matce, o potrzebie udowodnienia męskości i odwagi, umiejętności otaczania się lojalnymi, wypróbowanymi towarzyszami, skłonności do nałogów, impulsywności, wskazała również w horoskopie na jakiś przełomowy moment około 2006 roku, ale nie wspomniała, że był żołnierzem, stracił nogę i mało brakowało, by umarł.

– Jesteś w nim zakochana – zakończyła Celeste Roko.

– Tak mówią planety? – zaśmiała się Indiana.

– Ja tak mówię.

– Zakochana raczej nie, po prostu bardzo mnie pociąga. Jest dobrym przyjacielem, ale lepiej nawet nie myśleć o miłości, przynosi zbyt wiele komplikacji. A ja już i tak mam skomplikowane życie.

– Jeśli uczepliłaś się go tylko dlatego, żeby zapomnieć o Alanie Kellerze, złamiesz serce temu dobremu człowiekowi.

– Dużo przeszedł, to kłębek wyrzutów sumienia, poczucia winy, agresji, złych wspomnień, koszmarów nocnych. Rozsadzają go od środka.

– Jaki jest w łóżku?

– Niezły, ale mógłby być lepszy, przy Alanie każdy mężczyzna jest mały.

– Mały? – powtórzyła Roko.

– To nie to, o czym myślisz! Chciałam powiedzieć, że Alan mnie zna, wie, jak się ze mną obchodzić, jest romantyczny, pomysłowy, wyrafinowany.

– Tego można się nauczyć. A ten Miller ma poczucie humoru?

– Takie sobie.

– Szkoda. Tego się akurat nauczyć nie da.

Wypiły po dwie filiżanki herbaty i doszły do wniosku, że porównanie kosmogramów Indiany i Millera wyjaśni kilka spraw. Zanim Celeste odprowadziła przyjaciółkę do drzwi, dała jej adres mnicha, który oczyszczał karmę.

Sobota, 25

Raz w roku Amanda wpadała do kuchni w bardziej ambitnym celu niż podgrzanie filiżanki czekolady w mikrofalówce: zabierała się do przygotowania na urodziny babci Encarnación tortu kajmakowego, prawdziwej bomby kalorycznej z żółtek, masła i cukru. To była jedyna praca kulinarna, jakiej się podejmowała, choć tak naprawdę cały galerniczy trud, czyli wyrobienie ciasta, rozwałkowanie cienkich krążków i ich upieczenie, spadał na Elbę Domínguez. Ona sama jedynie zagotowywała w garnku cztery puszkę skondensowanego mleka, z którego robiła się masa krówkowa, składała tort i wtykała świece w gotowy wyrób.

Encarnación Martín, która nadal malowała sobie usta na czerwono i farbowała włosy na czarno, od dziesięciu lat obchodziła niezmiennie pięćdziesiąte piąte urodziny, co oznaczało, że pierwszego syna musiała mieć w wieku dziewięciu lat, nikt jednak nie prowadził tak drobiazgowych rachunków. Nie obliczano również wieku matki Encarnación; prababka opierała się upływowi czasu, prosta niczym topola, ze swoim ciasno upiętym kokiem i orlimi źrenicami zdolnymi dojrzeć przyszłość. Urodziny Encarnación obchodzono zawsze w ostatni weekend lutego w Loco Latino, dyskoteci, gdzie grano salsy i samby, zamykanej dla klientów, kiedy przyjmowano gości Martinów. Punktem kulminacyjnym imprezy było wejście stareńkich *mariachis*, członków oryginalnej orkiestry Josego Manuela Martina, zmarłego dawno temu małżonka Encarnación. Jubilatka tańczyła do ostatniego mężczyzny trzymającego się na nogach i będącego w stanie jej towarzyszyć, a prababka pilnowała z ustawionego na podwyższeniu tronu, by wszyscy zachowywali się przyzwoicie niezależnie od tego, jak bardzo byli pijani. Odnoszono się do niej z wyszukaną grzecznością, bo dzięki jej fabryce tortilli, założonej w 1972 roku, całej rodzinie dobrze się powodziło, a kilka pokoleń pracowników, głównie imigrantów z Meksyku i Ameryki Środkowej, miało z czego żyć.

Tort kajmakowy był praktycznie niezniszczalny, ważył cztery kilogramy, nie licząc tacy, i wystarczał dla dziewięćdziesięciu osób, bo krojono go na przezroczyście płatki, a zamrożony wytrzymał kilka miesięcy. Doña Encarnación nie jadła słodczy, ale przyjmowała go z wdzięcznością, bo był to prezent od ulubionej wnuczki, światła jej oczu, anioła jej życia, skarbu jej starości, jak ją nazywała w przypiływie natchnienia. Zazwyczaj nie pamiętała imion swoich sześciu wnuków płci męskiej, ale przechowywała pukle włosów i zęby mleczne Amandy. Nic nie sprawiało stojącej na czele rodu matronie większej radości niż widok zebranych w jednym miejscu siedmiorga wnucząt, wszystkich synów i córek z małżonkami, w tym także Indiany oraz Blake'a Jacksona, do którego czuła skrywaną słabość: to jedyny mężczyzna, który mógłby zastąpić w sercu wdowy Josego Manuela Martina, ale niestety był teściem jej syna. Kazirodztwo czy tylko grzech? Nie miała pewności. Zabraniała Bobowi przyprowadzać na przyjęcia lafiryndy, z którymi przestawał, bo przed Bogiem był nadal mężem Indiany i będzie nim zawsze, chyba że uzyska dyspensę z Watykanu. „Nie wzięłaś ze sobą swojej Polki?”, zapytała szeptem Amanda, kiedy spotkała ojca w Loco Latino.

Defilada nieskażonych wpływami amerykańskimi dań meksykańskich zaczęła się wcześniej, ale o północy goście nadal jedli i tańczyli. Amanda, znudzona towarzyszeniem kuzynów, nieuleczalnych prostaków, zdołała odciągnąć ojca od parkietu, a dziadka od stołu, i

odprowadzić ich na bok.

– Ripperowcy zrobili spore postępy w śledztwie dotyczącym morderstw – poinformowała ojca.

– Co za nowa głupota przysłała ci do głowy, Amando?

– Żadna głupota. *Ripper* to gra zainspirowana jedną z tajemniczych postaci świata zbrodni, Kubą Rozpruwaczem, legendarnym zabójcą kobiet, który działał na przedmieściach Londynu w 1888 roku. Istnieje ponad sto teorii na temat tego, kim był Kuba Rozpruwacz, podejrzewa się nawet, że należał do rodziny królewskiej.

– Co to ma wspólnego ze mną? – zapytał ojciec, spocony po tequili i tańcach.

– Nic. Nie o tym Kubie chcę z tobą porozmawiać, tylko o Rozpruwaczu z San Francisco. Powoli kojarzymy fakty, co ty na to?

– Wcale mi się to nie podoba, Amando, już cię uprzedzałem. To robota dla Wydziału Zabójstw.

– Ale twój wydział nic nie robi, tato! To seryjny morderca, mówię ci – powiedziała z naciskiem. W ciągu tygodnia ferii zimowych przejrzała dokładnie swoje archiwum i codziennie kontaktowała się z graczami w *Ripper*.

– Jakie pani ma dowody, panno rozpruwaczko?

– Zwróć uwagę na zbiegi okoliczności: pięć morderstw, Ed Staton, Michael i Doris Constante'owie, Richard Ashton i Rachel Rosen, wszystkie popełnione w San Francisco, w żadnym z przypadków nie było śladów walki, sprawca wszedł, nie włamując się do środka, to znaczy, że miał łatwy dostęp, potrafi otwierać różne typy zamków i być może znał ofiary, a przynajmniej ich zwyczaje. Miał czas, żeby perfekcyjnie zaplanować i przeprowadzić każde morderstwo. Zawsze przynosił ze sobą narzędzie, którym zabijał, co wskazuje na premedytację: pistolet i kij bejsbolowy, dwie strzykawki z heroiną, taser, a może dwa, żyłka.

– Jak się dowiedziałaś o żyłce?

– Ze wstępnego raportu z sekcji zwłok Rachel Rosen, który przeczytał Kabel. Przejrzał też raport Ingrid Dunn o Edzie Statonie, ochroniarzu, którego zastrzelono w szkole, pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam – odparł nadinspektor.

– Wiesz, dlaczego się nie bronił i dlaczego klęczał, kiedy dobijali go strzałem w głowę?

– Nie, ale jestem pewien, że ty wiesz.

– Uważamy, że morderca użył tego samego tasera, którym zabił Richarda Ashtona. Sparaliżował go jednym wyładowaniem, Staton upadł na kolana i zanim doszedł do siebie, został zastrzelony z rewolweru.

– Doskonale, córeczko – pochwalił nadinspektor.

– Jak długo trwa paraliż spowodowany taserem? – zapytała Amanda.

– Zależy. U faceta wzrostu Statona mogą to być trzy, cztery minuty.

– Wystarczająco dużo czasu, żeby go zabić. Staton był przytomny?

– Tak, ale oszołomiony. Dlaczego pytasz?

– To nic takiego. Abatha, medium z *Ripperera*, twierdzi, że morderca zawsze zostawia sobie czas na rozmowę z ofiarami. Ona uważa, że ma im coś ważnego do powiedzenia. A tobie jak się wydaje, tato?

– To możliwe, żadna ofiara nie została zabita od tyłu ani przez zaskoczenie.

– Ten kij bejsbolowy w... no, wiesz, o co mi chodzi... Wsadził go po zabiciu Statona. To bardzo ważne, tato, bo to jest kolejna rzecz, która łączy zbrodnie. Sprawca nie torturował ofiar, kiedy żyły, tylko profanował zwłoki: Statona kijem bejsbolowym, Constante'ów, znacząc palnikiem jak bydło, Ashtona swastyką, a Rosen powiesił jak przestępcę.

– Nie spiesz się tak, sekcja zwłok Rosen nie została jeszcze zakończona.

– Brakuje szczegółów, jednak to już wiadomo. Istnieją różnice między zbrodniami, ale podobieństwa wskazują na jednego sprawcę. Na to o profanacji *post mortem* wpadł Kabel – powiedziała Amanda, akcentując latynizm, który wzięła z powieści kryminalnych.

– Kabel to ja – wyjaśnił dziadek. – Jak mówi Amanda, intencją mordercy nie było torturowanie ofiar, tylko zostawienie wiadomości.

– Znasz godzinę śmierci Rachel Rosen? – zapytała Amanda ojca.

– Zwłoki wisiały kilka dni, na pewno umarła we wtorek w nocy, ale nie znamy dokładnej godziny.

– Wygląda na to, że wszystkie zbrodnie popełniono około północy. Ripperowcy sprawdzają, czy w ostatnich dziesięciu latach były podobne przypadki.

– Dlaczego dziesięciu? – zapytał nadinspektor.

– Musieliśmy sobie wyznaczyć jakiś przedział czasowy. Sherlock Holmes – to znaczy mój przyjaciel z *Ripperera*, nie bohater sir Arthura Conan Doyle'a – twierdzi, że byłoby stratą czasu badanie starszych spraw, bo jeśli faktycznie to seryjny morderca, a tak właśnie sądzimy, i jeśli pasuje on do typowego profilu, ma mniej niż trzydzieści pięć lat.

– Brak pewności, że chodzi o seryjnego mordercę, a jeśli nawet, to nie byłby typowy. Ofiary nie mają cech wspólnych – dodał nadinspektor.

– Jestem pewna, że tak. Zamiast badać te przypadki osobno, zacznij szukać czegoś, co łączy ofiary. W ten sposób znajdziemy motyw. To pierwszy krok w każdym śledztwie, a w tych przypadkach nie chodzi o pieniądze, jak to zwykle bywa.

– Dziękuję, Amando. Co Wydział Zabójstw zrobiłby bez twojej cennej pomocy?

– Śmieję się, jeśli chcesz, ale ostrzegam, że w *Ripperze* traktujemy tę sprawę poważnie. Będzie ci strasznie wstyd, jeśli rozwiążemy tę zagadkę przed tobą.

Wtorek, 28

Życie Alana Kellera uległo zmianie w dniu, w którym odwiedził biuro brata i został pozbawiony swoich przywilejów. Mark i Lucille Kellerowie spłacili jego zaległe podatki i uruchomili procedurę sprzedaży Woodside. Nie było potrzeby wyrzucania go ze starego domiszcza, bo sam nie mógł się doczekać, kiedy stamtąd ucieknie. Przez lata miał wrażenie, że jest w tym domu więźniem, dlatego w ciągu niespełna trzech dni przeprowadził się do winnicy w Napie, zabierając ze sobą ubrania, książki, płyty, kilka starych mebli i swoje cenne kolekcje. Traktował to jako tymczasowe rozwiązanie, bo Mark już od jakiegoś czasu miał na oku tę ziemię i szybko mu ją zabierze, chyba że wydarzy się coś nieoczekiwanego, na przykład nagła jednoczesna śmierć Philipa i Flory Kellerów. Było to jednak mało prawdopodobne, jego rodzice, umierając, nikomu nie wyświadczą przysługi, a już na pewno nie jemu. Postanowił korzystać z pobytu w Napie jak długo się da i nie myśleć o przyszłości; było to jedyne z posiadanych przez niego dóbr, które naprawdę chciał zachować, bardziej niż obrazy, jadeity, porcelanę i przemycone z grobowców skarby.

W tamtym lutowym tygodniu temperatura w Napie przewyższała tę w San Francisco o piętnaście stopni, dni były ciepławe, noce zimne, widowiskowe chmury płynęły po niebie jakby malowanym akwarelą, powietrze pachniało humusem uspiionej ziemi, na której winorośl szykowała się do wypuszczenia wiosennych liści, a na polach dominowała jasna żółć kwiatów gorzcycy. Choć Alan nie miał pojęcia o rolnictwie ani o produkcji wina, odkrył w sobie pasję właściciela ziemskiego: kochał swoją posiadłość, przechadzał się między równymi rzędami winnych krzewów, oglądał rośliny, zbierał naręcza polnych kwiatów, przeglądał zawartość swojej małej piwniczki, ciągle przeliczał skrzynki i butelki, starał się uczyć od przycinających krzewy nielicznych pracowników, meksykańskich wieśniaków, którzy od pokoleń przenosili się z miejsca na miejsce i utrzymywali z pracy na roli. Ich ruchy były szybkie, dokładne i delikatne, wiedzieli, ile pędów należy przyciąć, a ile zostawić.

Alan oddałby wszystko, żeby uratować tę błogosławioną ziemię, ale to, co dostałby za swoje dzieła sztuki, ledwo pokryłoby długi na kartach kredytowych, od których odsetki rosły w lichwiarskim tempie. Trudno było uchronić winnicę przed zachłannością brata; kiedy Mark wbił już sobie coś do głowy, z dzikim uporem doprowadzał to do skutku. Przyjaciółka Alana Geneviève van Houte, dowiedziawszy się o jego kłopotach, zaproponowała mu, że znajdzie wspólników z kapitałem zdolnych przekształcić winnicę w dochodowy interes, ale Alan wolał oddać winnicę Markowi – w ten sposób przynajmniej pozostanie w rodzinie, a nie na łasce obcych ludzi. Zadawał sobie pytanie, co robi, kiedy ją straci, i gdzie będzie mieszkał. Miał dosyć San Francisco, tych samych twarzy i przyjęć, tych samych niszczycielskich plotek, banalnych rozmów; poza imprezami kulturalnymi, z których nie zamierzał rezygnować, nic go nie trzymało w tym mieście. Snuł marzenia o życiu w skromnym domu w jednym z tych spokojnych miasteczek w dolinie Napy, na przykład w Santa Helena, i o pracy, choć pomysł szukania pierwszego zajęcia w wieku pięćdziesięciu pięciu lat był śmieszny. Co mógłby robić? Jego wiedza i umiejętności, tak chwalone na salonach, okazywały się nieprzydatne do zarabiania na życie. Nie byłby w stanie przestrzegać czasu pracy ani wypełniać poleceń, miał

problemy z każdą władzą, jak mawiał niefrasobliwie, kiedy poruszano ten temat. „Ożeń się ze mną, Alanie. Kobiecie w moim wieku bardziej do twarzy z mężem niż z żigolakiem”, zaproponowała mu kiedyś Geneviève przez telefon, zanosząc się śmiechem. „To byłoby małżeństwo otwarte czy monogamiczne?”, zapytał Alan z myślą o Indianie Jackson. „Pluralistyczne, oczywiście”, odparła.

W wiejskim domu o grubych ścianach koloru dyni i podłogach z czerwonych ceramicznych płytek Alan zaznał klasztornej spokoju, spał bez środków nasennych, miał czas, żeby pozbierać myśli, zamiast przeskakiwać od jednej do drugiej w nieustannej pogoni za błahostkami. Siedząc w wiklinowym fotelu na ganku ze wzrokiem utkwionym w zaokrąglonych wzgórzach i ciągnącej się w nieskończoność winnicy, z kieliszkiem w dłoni i z psem służącej Marii leżącym u jego stóp, Alan Keller podjął najważniejszą decyzję w swoim życiu, po kilku tygodniach udręki na jawie i marzeń we śnie oraz zmagania rozumu z uczuciami. Wielokrotnie wykreślał numer Indiany, ale ponieważ nie odpowiadała, doszedł do wniosku, że znowu zgubiła komórkę, trzeci raz w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Opróżnił kieliszek i uprzedził Marię, że jedzie do miasta.

Godzinę i dwadzieścia minut później Keller zostawił swojego lexusa na podziemnym parkingu na Union Square i przeszedł pieszo pół kwartału do sklepu jubilerskiego Bulgarięgo. Nie rozumiał, na czym polega atrakcyjność klejnotów, które są drogie, dodają lat noszącej je kobiecie i trzeba je chować do sejfu. Geneviève van Houte kupowała biżuterię, traktując ją jako inwestycję, uważała bowiem, że w czasie nadchodzącego kataklizmu globalnego tylko diamenty i złoto zachowają swoją wartość. Rzadko je wkładała, leżały w podziemiach pewnego banku w Szwajcarii, ona zaś nosiła ich kopie. Kiedyś pojechał z nią do salonu Bulgarięgo przy Piątej Alei, gdzie podziwiał wzornictwo, jakoś wyrobów i śmiałość, z jaką łączono kamienie szlachetne, ale nigdy nie był w sklepie w San Francisco. Ochroniarz, doświadczony w rozpoznawaniu, z jakiej klasy społecznej wywodzą się klienci, powitał go, nie zwracając uwagi na niechlujny wygląd i na buty pokryte warstwą zaschniętego błota. Obsłużyła go kobieta ubrana w czerń, o siwych włosach i profesjonalnym makijażu.

– Chciałbym kupić pierścionek, który wywrze niezapomniane wrażenie – powiedział Keller, nawet nie patrząc na zawartość witryn.

– Diamenty?

– Żadnych diamentów. Ona uważa, że zdobywa się je za cenę afrykańskiej krwi – westchnął Keller.

– Nasze mają udokumentowane pochodzenie.

– Niech pani spróbuje jej to wytłumaczyć.

Podobnie jak ochroniarz przy wejściu, sprzedawczyni szybko otaksowała klienta, poprosiła go, by zaczekał, i wróciła chwilę później z czarną tacą wyłożoną białym jedwabiem, na której spoczywał owalny pierścionek, doskonały w swej prostocie, przypominający surową biżuterię z okresu Cesarstwa Rzymskiego.

– Pochodzi ze starej kolekcji, nie znajdzie pan nigdzie nic podobnego. To akwamaryn z

Brazylii, szlif kaboszonowy, rzadko stosowany przy obróbce tych kamieni, oprawiony w matowe złoto, dwadzieścia cztery karaty. Oczywiście mamy o wiele cenniejsze kamienie, ale moim zdaniem ten będzie najbardziej niezapomniany ze wszystkiego, co mogę panu pokazać – powiedziała sprzedawczyni.

Keller wiedział, że popełnia niewybaczalne szaleństwo, coś, za co jego brat byłby w stanie go ukrzyżować, ale kiedy jego wzrok kolekcjonera spoczął na tym delikatnym przedmiocie, nie chciał już oglądać innych. Jeden z jego Boterów miał być właśnie sprzedany w Nowym Jorku i tymi pieniędzmi powinien spłacić część długów, ale uznał, że serce ma swoje prawa.

– Zgadzam się z panią, ten będzie niezapomniany. Biorę go, choć jest zbyt drogi dla takiego zrujnowanego playboya jak ja i zbyt subtelny dla takiej kobiety jak ona, która nie widzi różnicy między Bulgarim i sztuczną biżuterią.

– Może pan zapłacić w ratach...

– Potrzebuję go jeszcze dziś. Od tego są karty kredytowe – odparł Keller z najcieplejszym ze swoich uśmiechów.

Ponieważ miał jeszcze trochę czasu, a znalezienie wolnej taksówki było prawie niemożliwe, poszedł piechotą w stronę North Beach w radosnym nastroju, wystawiając twarz na chłodny wietrzyk. Wszedł do Café Rossini z nadzieją, że nie trafi akurat na zmianę Danny'ego D'Angelo, ale kelner wybiegł mu naprzeciw, rozplývając się w pochlebstwach i wielokrotnie przeprasząc za to, że obrzygał mu lexusa.

– Przestań, Danny, to było w zeszłym roku. – Alan próbował uwolnić się od jego uścisku.

– Niech pan zamawia, co pan zechce, panie Keller, na mój rachunek – obwieścił Danny, niemal krzyżąc. – Nigdy nie odpłacę się za to, co pan dla mnie zrobił.

– Możesz się odplacić już teraz, Danny. Urwij się na pięć minut i ściągnij tu Indianę. Chyba zgubiła komórkę. Powiedz, że ktoś jej potrzebuje, ale nie mów, że to ja.

Ponieważ Danny nie był pamiętliwy, wybaczył Indianie wstyd, jaki przeżył w Narciso Club, tym bardziej że dwa dni później zjawiała się u niego, ciągnąc za sobą Ryana Millera, by przeprosił go za to, że zepsuł mu tryumfalny występ. Wybaczył również komandosowi, ale nie omieszkał go poinformować, że homofobia zwykle kryje strach przed uznaniem własnej homoseksualności i że przyjaźń między żołnierzami posiada wszelakie konotacje erotyczne: żyją razem, bez kobiet, utrzymują bliski kontakt fizyczny, łączą ich więzy lojalności i miłości oraz gloryfikacja *machismo*. W innych okolicznościach Miller rozszarpałby go za kwestionowanie jego męskości, ale przyjął reprimendę, bo ciało miał jeszcze poobijane po bójce w klubie, a duszę pokorną po spotkaniu u Anonimowych Alkoholików.

Danny ruszył z miną konspiratora do Kliniki Holistycznej i wrócił po chwili, by przekazać Kellerowi, że Indiana przyjdzie, kiedy tylko skończy swoją ostatnią sesję. Podał mu kawę po irlandzku i gigantyczną kanapkę, której ten wcale nie zamawiał, ale rzucił się na nią z ogromnym apetytem. Dwadzieścia minut później Alan Keller zobaczył przechodzącą przez ulicę Indianę, uczesaną w koński ogon i ubraną w fartuch i drewniaki. Fala wzruszenia przygwoździła go do krzesła. Wydała mu się o wiele piękniejsza, niż ją zapamiętał, zaróżowiona, świetlista, jak przedwczesny podmuch wiosny. Na jego widok zawahała się, gotowa zawrócić, ale Danny chwycił ją za ramię i zaprowadził do stolika Alana, który do tego

czasu zdołał jakoś wstać. Kelner zmusił Indianę, by usiadła, i odsunął się wystarczająco daleko, żeby mieli poczucie prywatności, ale nie na tyle, żeby nie słyszeć, o czym rozmawiają.

– Co u ciebie, Alanie? Schudłeś – powitała go neutralnym tonem.

– Byłem chory, ale teraz czuję się lepiej niż kiedykolwiek.

W tym momencie do lokalu wkroczył Gary Brunswick, ostatni wtorkowy pacjent. Poszedł za Indianą z zamiarem zaproszenia jej na kolację, ale kiedy zobaczył ją z innym mężczyzną, zatrzymał się speszony. Danny wykorzystał ten moment zawahania, popchnął go w stronę innego stolika i szepnął mu do ucha konfidencjonalnym tonem, żeby zostawił ich w spokoju, bo wszystko świadczy o tym, że to randka zakochanych.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytała Indiana Kellera.

– Dużo. Na przykład możesz zmienić moje życie. Zmienić mnie, przewinąć na drugą stronę, jak skarpetkę.

Patrzyła na niego z ukosa, nieufnie, a on w tym czasie szukał pudełeczka z Bulgarim, które zapodziało się w jednej z kieszeni. W końcu je znalazł i położył przed nią niezdarnie, niczym uczeń.

– Indi, czy wyszłabyś za ubogiego starca? – zapytał ją, nie poznając własnego głosu. Bełkotliwie, łykając powietrze z pośpiechu, opowiedział jej o ostatnich wydarzeniach, o tym, że jest szczęśliwy, bo wszystko stracił, choć to może przesada, bo zostało mu jeszcze wystarczająco dużo, żeby nie cierpieć głodu, ale jednocześnie przechodzi najgorszy kryzys w swoim życiu; Chińczycy mawiają, iż kryzys oznacza zagrożenie, ale i szansę, a to dla niego jest szansa, by zacząć od nowa i zrobić to z nią, jego jedyną miłością; dlaczego tego nie zauważył, kiedy ją poznał, był głupcem, nie może tak dalej ciągnąć, ma dosyć swojego życia i siebie samego, swojego egoizmu i swojej powściągliwości. Zmieni się, obiecuje, ale potrzebuje jej pomocy, nie jest w stanie zrobić tego sam, oboje zainwestowali w ten związek cztery lata, nie mogą pozwolić, żeby zakończył się fiaskiem z powodu nieporozumienia. Powiedział jej o domku w Santa Helena, który kupią, niedaleko term w Calistodze, idealnym miejscu, żeby poświęcić się aromaterapii, gdzie będą prowadzili sielskie życie, hodując psy, co wydaje się sensowniejsze niż hodowla koni. Zwierzał się jej z tego, co nosił w środku, kusił ją perspektywą tego, co mogliby robić razem, prosząc o wybaczenie i błagając: wyjdź za mnie, choćby jutro.

Przyłoczona tym wszystkim Indiana wyciągnęła rękę ponad stołem i zakryła mu usta.

– Jesteś pewien, Alanie?

– Nigdy w życiu nie byłem niczego bardziej pewny!

– Ja nie. Miesiąc temu zaakceptowałabym twoją propozycję bez wahania, ale teraz mam dużo wątpliwości. Przeżyłam coś, co...

– Ja też – przerwał jej Keller. – Coś otworzyło mi się w środku, w sercu, opanowała mnie jakaś cudowna, chaotyczna siła. Nie potrafię ci wytłumaczyć, co czuję, jestem pełen energii, mogę pokonać każdą przeszkodę. Zacznę od nowa i dam sobie radę. Jestem bardziej rześki niż kiedykolwiek! Już nie mogę się cofnąć, Indiano, to pierwszy dzień mojego nowego życia.

– Nigdy nie wiem, czy mówisz poważnie.

– Śmiertelnie poważnie, Indi, tym razem bez żadnej ironii, same prawdy z powieści romantycznej. Uwielbiam cię. Nie ma innej miłości w moim życiu, Geneviève w ogóle się nie liczy, przysięgam na wszystkie świętości.

– Tu nie chodzi o nią, tylko o nas. Co my mamy ze sobą wspólnego, Alanie?

– Miłość, a cóż by innego!

– Potrzebuję czasu.

– Ile? Skończyłem pięćdziesiąt pięć lat, nie mam za dużo czasu, ale jeśli tego chcesz, będę musiał poczekać. Dzień? Dwa? Proszę, daj mi szansę, nie będziesz żałować. Moglibyśmy pojechać do winnicy, która jest jeszcze moją własnością, choć nie na długo. Zamknij swój gabinet na kilka dni i jedź ze mną.

– A moi pacjenci?

– Na Boga! Nikt nie umrze z braku magnesów czy aromaterapii! Przepraszam, nie chciałem cię obrazić, wiem, że twoja praca jest bardzo ważna, ale przecież możesz pozwolić sobie na kilka dni urlopu! Tak bardzo będę się starał cię rozkochać, że sama mnie poprosisz, żebyśmy wzięli ślub – powiedział Keller z uśmiechem.

– Kiedy do tego dojdziemy, wtedy mi to dasz. – Indiana zwróciła mu pudełeczko od Bulgariego, nawet go nie otworzywszy.

Marzec

Piątek, 2

Amanda czekała na ojca w maleńkim biurze jego asystentki, którego ściany pokryte były zdjęciami Petry Horr w białej piżamie i w czarnym pasie, z turniejów sztuk walki. Kobieta miała metr pięćdziesiąt wzrostu i ważyła czterdzieści osiem kilo, ale mogła podnieść i odrzucić daleko mężczyznę dwa razy wyższego od niej. Od czasu, kiedy zaczęła pracować w Wydziale Zabójstw, rzadko wykorzystywała tę umiejętność, ale za to okazała się ona bardzo przydatna na więziennym dziedzińcu, gdzie bójki były zazwyczaj równie brutalne jak w zakładach dla mężczyzn. W wieku dwudziestu lat, po odbyciu podwójnej kary nałożonej przez Rachel Rosen, poświęciła trzydzieści miesięcy na objechanie motocyklem całego kraju. W czasie tej niekończącej się podróży straciła resztki złudzeń, które zdołała zachować z czasów, gdy była pozostawionym samemu sobie dzieckiem, a potem nastolatką obracającą się wśród przestępców. Jedyny stały element w jej życiu podróżniczki stanowiły sztuki walki, przydatne do obrony i zdobywania środków do życia.

Kiedy docierała do jakiegoś miasteczka, szukała baru, pewna, że takowy znajdzie niezależnie od tego, jak uboga i zagubiona była to dziura. Siadała przy kontuarze nad piwem, które piła bardzo długo. Od razu podchodził do niej jakiś mężczyzna, albo kilku, w oczywistych zamiarach, ale ona odmawiała, oświadczając, że jest lesbijką – chyba że akurat trafiła na kogoś, komu naprawdę nie umiała się oprzeć, co spotykało ją niezwykle rzadko – i wyzywała najbardziej krzepkiego do walki wręcz. Jej zasady były proste: wszystkie chwytów dozwolone, ale bez żadnej broni. Zbierała się grupka osób, robiono zakłady, potem wychodzili na dziedziniec albo do jakiegoś cichego zaułka, gdzie Petra zdejmowała skórzaną kurtkę, przeżyła ramiona i nogi małej dziewczynki, wywołując wybuchy śmiechu mężczyzn, i ogłaszała, że mogą zaczynać. Rywal atakował ją kilkakrotnie, bez złośliwości, pewny siebie i uśmiechnięty do czasu, aż zdawał sobie sprawę, że dziewczyna drwi z niego i wymyka mu się niczym łasica. Wtedy tracił cierpliwość i podżegany szyderstwami gapiów rzucał się na nią na poważnie, gotów powalić ją jednym ciosem pięści. Ponieważ Petrze zależało na uczciwym widowisku, które nie rozczaruje publiczności, dobrą chwilę drażniła się z przeciwnikiem, robiła uniki, męczyła go, aż wreszcie, kiedy był już wściekły i spocony, stosowała jeden ze swoich chwytów i wykorzystując siłę rozpędu i ciężar mężczyzny, unieruchamiała go na ziemi. Potem na oczach widzów ogarniętych pełnym szacunku zdumieniem zgarniała wygrane pieniądze, wkładała kurtkę i kask i z piskiem opon ruszała swoim motocyklem, zanim pokonany zdążył dobiec do siebie po przeżytym upokorzeniu i rzucić się w pościg. W czasie jednej walki była w stanie zarobić dwieście, trzysta dolarów, które starczały jej na dwa tygodnie.

Wróciła do San Francisco ze świeżo poślubionym mężem na tylnym siodełku, słodkim, przystojnym i uzależnionym od narkotyków. Zamieszkali w jakimś podłym hoteliku, Petra brała każdą pracę, jaka jej się nawinęła, a on w tym czasie grał na gitarze w parku i wydawał to, co zarobiła. Miała dwadzieścia cztery lata, kiedy mąż ją porzucił, a dwadzieścia pięć, kiedy dostała stanowisko administracyjne w policji, pokonawszy uprzednio Boba Martina metodą, którą doprowadziła do perfekcji jako wędrowna zapaśniczka.

A było to tak: w barze Camelot, gdzie policjanci przychodzili po godzinach, by odprężyć się przy kieliszku, klientela była niezmienna, więc nowa twarz zwracała uwagę, zwłaszcza buźka dziewczyny pozującej na waźniaczkę. Barman myślał, że jest nieletnia, i zanim podał jej piwo, zażądał prawa jazdy. Petra wzięła butelkę i odwróciła się, stając twarzą w twarz z Martinem i innymi policjantami, którzy mierzyli ją krytycznym spojrzeniem. „Co się tak gapiacie? Mam coś, co chcielibyście kupić?”, zapytała. Wezwała do walki najodważniejszego (a okazał się nim zgodnie przez wszystkich wybrany Bob Martín), tym razem jednak nie zdołała nakłonić mężczyzn, by zaryzykowali karierę zawodową i wzięli udział w nielegalnych zakładach, musiała więc zrobić swój pokaz dla sportu. Bob Martín nie tylko nie obraził się z powodu przegranej i kpin kolegów, ale gdy wstał z podłogi, otrzepał spodnie, przyczesał palcami włosy, pogratulował dziewczynie szczerym uściskiem dłoni i zaproponował jej pracę. Tak zaczęło się osiadłe życie Petry Horr.

– Czy mój tata chodzi z Ayani? – zapytała ją Amanda.

– A skąd ja mam wiedzieć? Jego zapytaj.

– Zaprzecza, ale błyszczą mu oczy, kiedy o niej wspominam. Ayani podoba mi się dużo bardziej niż Polka, choć nie sądzę, żeby nadawała się na macochę. Znasz ją?

– Była tu parę razy, żeby złożyć zeznania, jest ładna, nie da się zaprzeczyć, ale nie wiem, co twój tata by z nią robił. Ayani ma kosztowne upodobania i jest bardzo skomplikowaną osobą. Twój tata potrzebuje prostej kobiety, która będzie go kochać i nie przysporzy mu kłopotów.

– Jak ty?

– Nie pozwalaj sobie za dużo. Moje relacje z nadinspektorem mają ściśle zawodowy charakter.

– Szkoda! Nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś była moją macochą. Zmieniając temat: rozmawiałaś z Ingrid Dunn?

– Tak, ale nic z tego. Twój tata rozerwałby ją na strzępy, gdyby pozwoliła ci uczestniczyć w sekcji zwłok.

– Po co miałybyśmy mu o tym mówić?

– Nie mieszaj mnie do tego, dogadaj się bezpośrednio z Ingrid.

– Mogłabyś przynajmniej zdobyć dla mnie kopię raportów z sekcji zwłok Richarda Ashtona i Rachel Rosen.

– Twój dziadek już je widział.

– Umykają mu podstawowe rzeczy, wolę zobaczyć je na własne oczy. Nie wiesz, czy będą robić badania DNA?

– Tylko Ashtonowi. Gdyby jego dzieci udowodniły, że Ayani wysłała swojego męża na tamten świat, mogłyby położyć łapę na pieniądzech. A co do Rosen, okazuje się, że miała trzysta tysięcy dolarów oszczędności, ale nie zostawiła ich synowi, tylko Aniołom Stróżom.

– Co to za jedni?

– Taka organizacja non profit. Wolontariusze, którzy patrolują ulice, żeby zapobiegać przestępczości, o ile pamiętam, zaczęli w Nowym Jorku pod koniec lat siedemdziesiątych,

kiedy miasto uchodziło za niebezpieczne. Współpracują z policją, jednakowo się ubierają, w bluzy i czerwone berety, mają prawo zatrzymać podejrzanych, ale nie mogą nosić broni. Teraz działają w różnych krajach i oprócz patrolowania ulic prowadzą programy edukacyjne dla młodzieży i warsztaty na temat zapobiegania przestępczości.

– To normalne, że sędzia chciała wesprzeć grupę walczącą z przestępcami – uznała Amanda.

– Tak, ale syna spotkał zawód. Bardziej cierpiał z powodu utraty spadku niż z powodu utraty matki. Ma alibi, spędził tydzień w podróży w interesach, już to sprawdziliśmy.

– Może wynajął zawodowego mordercę, żeby wyprawić ją na tamten świat. Nie żyli w zgodzie, prawda?

– Takie rzeczy, Amando, dzieją się we Włoszech. W Kalifornii nikt nie zabija własnej matki tylko dlatego, że się z nią nie dogaduje. A co do Constante'ów, poparzenia po palniku, które na pierwszy rzut oka nic nie znaczyły, na zdjęciach okazały się literami.

– Jakimi literami?

– „F” i „A”. Nie znaleźliśmy jeszcze ich wyjaśnienia.

– Jakieś musi być, Petro. W każdym przypadku sprawca zostawiał znak albo wiadomość. Powiedziałam to tacie chyba z dziesięć dni temu, ale on mnie nie słucha: mamy do czynienia z seryjnym mordercą.

– Owszem, słucha cię, Amando. Cały wydział szuka powiązań między tymi zbrodniami.

Niedziela, 4

Każdej pierwszej niedzieli miesiąca, nawet jeśli wypadał weekend z ojcem, Amanda poświęcała godzinę na prowadzenie prymitywnej księgowości swojej matki. Laptop Indiany miał sześć lat i nadszedł czas, by go zmodernizować albo kupić nowy, ale właścicielka traktowała go jak talizman i postanowiła używać do czasu, aż umrze śmiercią naturalną, pomimo że ostatnio zaczął budzić w niej obrzydzenie. Na ekranie pojawiały się nagle, bez żadnego uzasadnienia, kopulujące pary albo sceny tortur, dużo golizny, wysiłek, cierpienie – nic przyjemnego do oglądania. Indiana od razu zamykała te niepokojące obrazki, ale problem powtarzał się tak często, że w końcu zbrojeńca zamieszkującego jej twardego dysku albo wchodzącego do mieszkania przez okno, żeby ingerować w zawartość jej komputera, ochrzciła imieniem markiza de Sade.

Amanda, która zajęła się księgowością w wieku dwunastu lat i prowadziła ją na bieżąco tak sumiennie, jakby chodziło o udzielanie pożyczek, pierwsza zrozumiała, że opłaty pobierane przez matkę z trudem wystarczają na życie skromnej mniszki. Pomaganie innym w odzyskiwaniu zdrowia było procesem powolnym, wysysającym energię i zasoby Indiany, ale ona nie zamieniłaby tej pracy na żadną inną. Tak naprawdę nie traktowała leczenia jako pracy, lecz jako posłannictwo, jej celem było zdrowie pacjentów, nie podliczanie dochodów. Mogła utrzymać się za niewielką sumę, bo nie interesowała jej konsumpcja. Swoje szczęście mierzyła za pomocą prostego równania: „Jeden dobry dzień plus drugi dobry dzień równa się dobre życie”. Córka przestała prosić, by podniosła stawki (nielegalny imigrant zbierający pomarańcze dostawał za godzinę pracy więcej niż ona), bo zrozumiała, że matka otrzymała pochodzący od Boga nakaz, by łagodzić cudze cierpienia, i musi być mu posłuszna, co w praktyce oznaczało permanentne ubóstwo, chyba że znajdzie jakiegoś dobroczyńcę albo wyjdzie za bogatego faceta takiego jak Keller. Amanda uważała jednak, że lepsza jest bieda niż to ostatnie.

Choć nie wierzyła, że modlitwa może być skuteczną metodą rozwiązywania życiowych problemów, dziewczyna zwróciła się do babci Encarnación, pozostającej w bezpośrednim kontakcie ze świętym Judą Tadeuszem, żeby ten usunął Kellera z życia matki. Święty Juda dokonywał cudów za przyzwoitą cenę, płatną gotówką w sanktuarium przy Bush Street albo czekiem wysyłanym pocztą. Kiedy doña Encarnación zwróciła się do niego o pomoc, magazyn zamieścił artykuł, który kosztował Indianę tyle łez. Amanda uwierzyła, że uwolnią się od Alana na zawsze i że zostanie on zastąpiony Ryanem Millerem, ale nadzieja prysła po eskapadzie matki i jej dawnego kochanka do Napy. Wyglądało na to, że babcia będzie musiała wznowić negocjacje ze świętym.

Dla doñii Encarnación rozwód był grzechem, w przypadku Indiany i jej syna Boba niepotrzebnym, bo przy odrobinie dobrej woli mogli żyć ze sobą jak Pan Bóg przykazał. Tak naprawdę nadal się kochali, w końcu żadne z nich nie zawarło powtórnie małżeństwa; miała nadzieję, że wkrótce uznają tę oczywistość i znowu się zejdą. Mimo zastrzeżeń akceptowała przyjaciółki wątpliwego prowadzenia, z którymi spotykał się Bob, wszak mężczyźni są istotami niedoskonałymi, ale było niedopuszczalne, że Indiana naraża na szwank swoją

reputację i ryzykuje, że nie pójdzie do nieba z powodu stosunków pozamałżeńskich. Przez lata była ofiarą rodzinnego spisku mającego na celu ukrycie przed nią istnienia Alana Kellera, aż któregoś dnia Amanda opowiedziała jej o nim w przypiływie niepohamowanej szczerości. Doña Encarnación poczuła się bardzo urażona i trwało to kilka tygodni, aż w końcu serce głowy rodziny wzięło górę nad wątpliwościami katoliczki i znowu zaakceptowała Indianę, bo błędzić jest rzeczą ludzką, a przebaczać boską, jak jej wtedy powiedziała. Synowa budziła w niej czułość, choć wiele aspektów życia tej młodej kobiety dałoby się poprawić: nie tylko sposób wychowywania Amandy, ubierania się i czesania, lecz także pracę, którą uważała za pogańską, i gust w kwestii dekoracji wewnątrz. Zamiast stylowymi meblami, które jej łaskawie zaoferowała, Indiana wypełniła swoje mieszkanie stołami, regałami, szafami, probówkami, wagami, lejkami, kropplomierzami i setkami flakonów różnej wielkości zawierających nieznane substancje, niektóre pochodzące z niebezpiecznych krajów, takich jak Iran czy Chiny. Jej mieszkanie przypominało wyglądem tajne laboratorium, jak te pokazywane w telewizji, w których produkowano narkotyki. Kilkakrotnie do drzwi byłej synowej stukała policja, zaalarmowana unoszącym się w powietrzu zbyt intensywnym zapachem, jakby umarła jakaś święta. Jej wnuczka zmusiła Blake'a Jacksona – przemiły człowiek! – do założenia siatek na półkach, żeby w czasie ewentualnego trzęsienia ziemi olejki eteryczne nie powylewały się i nie zatrąły matki, a może nawet i sąsiadów. To było po tym, jak przeczytała książkę z japońskimi opowiadaniem erotycznymi, gdzie pewna piętnastowieczna kurtyzana perfumami otruła niewiernego kochanka. Doña Encarnación była zdania, że ktoś powinien kontrolować lektury jej wnuczki.

Amanda błogosławiła prawa genetyki, bo dar uzdrawiania, jakim została obdarzona jej matka, nie był dziedziczny. Ona miała inne plany na przyszłość, chciała studiować fizykę jądrową albo coś w tym rodzaju, osiągnąć sukces zawodowy, prowadzić wygodne życie, a przy okazji spełnić moralny obowiązek utrzymania matki i dziadka, którzy wtedy byłiby starszankami i mieliby odpowiednio około czterdziestu i siedemdziesięciu lat, jeśli dobrze policzyła.

Jej matka wydawała niewiele, przemieszczała się na rowerze, dwa razy w roku sama obcinała sobie włosy kuchennymi nożyczkami i nosiła odzież kupowaną w second handach; twierdziła, że nikt nie zwraca uwagi na to, jak jest ubrana, co nie było prawdą, bo Alan Keller przypisywał temu duże znaczenie. Pomimo skromnego życia pod koniec miesiąca Indianie brakowało pieniędzy i żeby wybrnąć z kłopotów, musiała prosić o pomoc ojca albo byłego męża. Amanda uważała to za normalne, bo obaj należeli do rodziny, ale szokowało ją, że kilkakrotnie na ratunek matce pospieszył Ryan Miller, ale nigdy Keller. Indiana mawiała, że kochanek, nawet najbardziej hojny, zawsze każe sobie spłacać długi przysługami.

Z zapisów księgowych wynikało, że jedyną rzeczą przynoszącą jako taki dochód jest aromaterapia. Indiana zyskała rozgłos dzięki swoim olejom eterycznym, które kupowała hurtowo, rozlewała do ciemnych flakonów opatrzonych pięknymi etykietami i sprzedawała w Kalifornii oraz w innych stanach. Amanda pomagała w ich pakowaniu i reklamowaniu w internecie. Dla Indiany aromaterapia była subtelną sztuką, którą należało praktykować z rozwagą, wymagała ona poznania potrzeb i kłopotów danej osoby przed znalezieniem

kombinacji olejków najbardziej stosownych w danym przypadku, ale Amanda wytłumaczyła jej, że z ekonomicznego punktu widzenia taka drobiazgowość jest nieopłacalna. To ona wpadła na pomysł, żeby sprzedawać aromaterapię luksusowym hotelom i spa i w ten sposób pokrywać koszty surowca. Tego rodzaju placówki kupowały najbardziej popularne olejki i aplikowały je, jak chciały, tu kroplę, tam kroplę, jakby chodziło o perfumy, bez podejmowania podstawowych środków bezpieczeństwa, bez sprawdzania ich właściwości ani czytania instrukcji, pomimo ostrzeżeń Indiany, że niewłaściwie stosowane mogą być szkodliwe, na przykład kiedy epileptyka narazi się na kontakt z koprem włoskim lub anyżem albo nimfomanek na kontakt z drewnem sandałowym bądź jaśminem. Jej córka uważała, że nie należy się tym przejmować: odsetek epileptyków czy nimfomanek w społeczeństwie jest nieznaczny.

Dziewczyna potrafiła wymienić wszystkie olejki matki, ale nie interesowały jej ich właściwości, bo aromaterapia była kapryśną sztuką, a ona skłaniała się raczej ku naukom ścisłym. Jej zdaniem nie istniały wystarczające dowody na to, że paczuli zachęca do romansowania, a geranium pobudza kreatywność, o czym zapewniały teksty ze starożytnego Wschodu wątpliwej autentyczności. Olejek neroli nie hamował gniewu jej ojca, a lawenda nie rozbudzała zmysłu praktycznego u matki, jak powinny. Sama stosowała melisę na nieśmiałość, bez odczuwalnych efektów, oraz olejek z szaławii na dolegliwości menstruacyjne, który działał jedynie w połączeniu ze środkami przeciwbólowymi z apteki dziadka. Chciała żyć w świecie uporządkowanym, gdzie obowiązują jasne reguły, a aromaterapia, podobnie jak pozostałe kuracje matki, tylko pogłębiała tajemniczość i zamęt.

Skończyła rachunki i przygotowywała plecak przed wyjazdem do internatu, kiedy Indiana wróciła z doliny Napy, z walizeczką brudnych ubrań, lekko opalona dzięki anemicznemu, ale stale świecącemu zimowemu słońcu. Amanda przywitała ją z niezadowolonym wyrazem twarzy.

– O której godzinie wracasz, mammo!

– Wybacz, córeczko, chciałam być w domu, kiedy przyjedziesz, ale spóźniliśmy się przez korki. Potrzebowałam tych trzech dni wolnego, byłam bardzo zmęczona. Jak ci poszło z księgowością? Podejrzewam, że masz dla mnie złe wiadomości, jak zawsze... Chodźmy do kuchni, porozmawiajmy chwilę, zrobię herbatę. Jest jeszcze wczesnie, dziadek odwiezie cię do szkoły dopiero przed piątą.

Próbowała ją pocałować, ale Amanda odsunęła się, usiadła na podłodze i zadzwoniła do dziadka na komórkę, prosząc, żeby się pospieszył. Indiana przycupnęła obok córki, zaczekała, aż skończy rozmawiać, i ujęła jej twarz w dłonie.

– Spójrz na mnie, Amando. Nie możesz jechać do szkoły pogniewana, musimy porozmawiać. Dzwoniłam do ciebie w środę, żeby powiedzieć ci, że Alan i ja się pogodziliśmy i jedziemy na kilka dni do Napy. To nie było dla ciebie niespodzianką.

– Jeśli wyjdiesz za Kellera, nie chcę o tym wiedzieć!

– Z tym ślubem to się jeszcze zobaczy, ale jeśli postanowię to zrobić, dowiesz się jako pierwsza, chcesz tego czy nie. Jesteś dla mnie najważniejsza, Amando, nigdy cię nie zostawię.

– Założę się, że nie powiedziałaś Kellerowi o Rynie Millerze! Myślisz, że nie wiem, że

się z nim przespałaś? Powinnaś lepiej pilnować swojej poczty.

– Czytałaś moją prywatną korespondencję!

– Ty nie masz nic prywatnego. Mogę przeczytać w twoim laptopie, co zechcę, po to mam twoje hasło: Szakti. Sama mi je podałaś, tak samo jak dziadkowi, tacie i całej Kalifornii. Wiem, co robiłaś z Ryanem, przeczytałam twoje głupie miłosne listy. Kłamstwa! Nabijałaś mu głowę nadziejami, a potem wyjechałaś z Kellerem. Jakim ty jesteś człowiekiem? Nie można ci ufać! I nie mów mi, że jestem smarkulą i nic a nic nie rozumiem, bo wiem doskonale, jak to się nazywa!

Pierwszy raz w życiu Indiana miała ochotę uderzyć córkę w twarz, ale nie zdołała ruszyć ręką. Z przyzwyczajenia spróbowała zinterpretować przesłanie, które słowa często wypaczały, i poczerwieniała zmieszana, widząc niepokój córki. Wiedziała, że powinna była udzielić jakichś wyjaśnień Ryanowi, zanim wyjechała z Alanem, tymczasem zniknęła, nie wiedząc, co zaplanował na ten weekend. Gdyby kochała Ryana tak bardzo, jak pozwalała mu wierzyć, albo gdyby przynajmniej szanowała go tak, jak na to zasługiwał, nigdy nie potraktowałyby go w ten sposób, byłaby z nim szczerą, wyjaśniłaby mu swoje powody. Nie miała odwagi stawić mu czoła, więc usprawiedliwiała się argumentem, że potrzebuje czasu, by wybrać jednego z mężczyzn. Jednak wyjechała do Napy, dlatego że już wybrała Alana Kellera, z którym łączyło ją coś więcej niż czteroletnia miłość. Pojechała z zamiarem wyjaśnienia kilku spraw, a wróciła z pierścieniem w portfelu, który zdjęła z palca po wyjściu z samochodu Kellera, żeby nie zobaczyła go jej córka.

– Masz rację, Amando – przyznała ze spuszczoną głową.

Nastąpiła długa cisza, obie siedziały na podłodze, bardzo blisko siebie, nie dotykając się, aż dziewczyna wyciągnęła dłoń, żeby otrzeć łzy z twarzy swojej matki. W Indianie z minuty na minutę narastało przerażenie, że wyjdzie za kogoś, kogo jej córka nie cierpi, Amanda zaś myślała, że skoro Alan Keller ma zostać jej ojczymem, powinna zdobyć się na wysiłek i być dla niego miłą.

Podskoczyły na dźwięk komórki Amandy. To była Carol Underwater, dzwoniła do córki, żeby zlokalizować matkę, z którą nie zdołała się skontaktować od czwartku. Indiana wzięła telefon i powiedziała, że odpoczywała przez kilka dni w winnicy w Napie. Carol charakterystycznym dla niej zręczliwym tonem wyraziła zadowolenie, że Indiana ma tyle szczęścia: miłość, wakacje i zdrowie, przede wszystkim zdrowie, i życzyła jej z całego serca, żeby nigdy go jej nie zabrakło, bo bez zdrowia nie warto żyć, mówi to z doświadczenia. Jej ostatnią nadzieją była radioterapia. Chciała poznać szczegóły pobytu w Napie i dowiedzieć się, jak Keller zdołał ją przekonać, żeby do niego wróciła po tym, co między nimi zaszło; takiej zdrady nie sposób zapomnieć. Indiana w końcu zaczęła się tłumaczyć, jakby była jej winna wyjaśnienia. Umówiły się na środę na wpół do siódmej w Café Rossini.

– Carol dzwoniła do mnie kilka razy, żeby o ciebie zapytać, i prawie zaniemówiła, kiedy powiedziałam jej, że jesteś z Kellerem. Musisz być jej jedyną przyjaciółką – skomentowała Amanda.

– Dlaczego ma twój numer telefonu?

– Żeby dowiadywać się o Ocal-Tuńczyka. Parę razy przyszła ją zobaczyć. Dziadek ci nie

mówił? Carol uwielbia koty.

Poniedziałek, 5

Tego poniedziałku Esmeralda grał w *Ripper* ze szpitala w Auckland. Chłopca poddawano leczeniu embrionalnymi komórkami macierzystymi, kolejny krok w jego pełnej determinacji walce o to, by znów zacząć chodzić. Amanda, jako mistrzyni gry, sporządziła listę z kluczowymi informacjami na temat pięciu morderstw, które absorbowwały ich od miesięcy. Każdy gracz dysponował własną kopią. Po przestudiowaniu faktów pod lupą swojej żelaznej logiki Sherlock Holmes doszedł do kilku wniosków, różnych od konkluzji Abathy, która podchodziła do problemów krętymi ścieżkami królestwa ezoteryki, pułkownika Paddingtona, który oceniał rzeczywistość, stosując wojskowe kryteria, czy Esmeraldy, Cyganki z ulicy, która nie widziała potrzeby, by łamać sobie nad czymkolwiek głowę, bo niemal wszystko wyjaśniało się samo, wystarczyło zadać właściwe pytania. Młodzi byli zgodni co do tego, że mają do czynienia ze złoczyńcą równie interesującym jak Kuba Rozpruwacz.

– Zacznijmy od „zbrodni z kijem bejsbolowym w niestosownym miejscu”. Ty pierwszy, Kabelu – poleciła mistrzyni.

– Ed Staton w młodości był przez krótki czas żonaty. Z tego, co wiadomo, potem nie wiązał się z kobietami; płacił za to panom do towarzystwa i oglądał gejowską pornografię. W szkole i w jego terenówce nie znaleziono ani kurtki, ani czapki od uniformu, choć uczniowie, którzy byli na parkingu, widzieli go, jak wychodził, i rozpoznali właśnie po ubraniu.

– Kim są ci z obstawy? – zapytał Esmeralda.

– To dwóch młodych Portorykańczyków, ale żaden nie był umówiony z nim tamtej nocy i mają mocne alibi. Świadkowie z parkingu nie widzieli nikogo innego w samochodzie, którym odjechał.

– Dlaczego Staton nie wziął własnego auta?

– Bo osoba, którą widzieli, nie była Edem Statonem – wydedukował Sherlock. – To był morderca, który włożył kurtkę i czapkę ochroniarza, wyszedł spokojnie ze szkoły na oczach trójki świadków, pomachał im ręką, wsiadł do samochodu, którym przyjechał, i zniknął. Ochroniarz w ogóle nie wychodził ze szkoły, bo o tej godzinie leżał martwy w sali gimnastycznej. Morderca przyjechał, kiedy parking był pełen pojazdów, więc nikt nie zwrócił uwagi na jego auto, wszedł bez problemów głównym wejściem, schował się w środku i zaczął, aż wszyscy sobie pójdą.

– Zaatakował Statona w sali gimnastycznej, kiedy ten robił obchód, żeby pozamykać drzwi i włączyć alarm. Zastosował klasyczną strategię: atak przez zaskoczenie. Sparaliżował go taserem i zabił strzałem w głowę – dodał pułkownik Paddington.

– Znaleźliśmy związek między Uniwersytetem w Arkansas i Edem Statonem? – zapytał Esmeralda.

– Nie. Nadinspektor Bob Martín sprawdził ten trop. Nikt z tego uniwersytetu ani z drużyny akademickiej Rudych Wilków nie znał Statona.

– Rude Wilki? Może nie chodzi o związek, tylko o jakiś kod albo wiadomość – podsunęła

Abatha.

– Wilk rudy, *canis rufus*, jest jednym z dwóch żyjących gatunków, drugi, wilk szary, jest większy. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku uznano gatunek rudych za wymarły w naturze, ale skrzyżowano nieliczne osobniki żyjące w niewoli i udało się wdrożyć program odtworzenia populacji. Szacuje się, że obecnie powinno żyć na wolności około dwustu wilków rudych – poinformował Kabel, który przestudiował ten temat rok wcześniej, kiedy jego wnuczce odbiło na punkcie wilkołaków.

– To nam się na nic nie przyda – stwierdził pułkownik.

– Wszystko się przydaje – poprawił go Sherlock Holmes.

Mistrzyni gry zaproponowała, by przeszli do „podwójnej zbrodni z palnikiem”, i Kabel pokazał im zdobyte zdjęcie poparzeń na pośladkach ofiar: Michael miał wypaloną literę „F”, a Doris „A”. Przedstawił także fotografie strzykawek, palnika i butelki alkoholu i wyjaśnił, że xanax, którym morderca uspił Constante’ów, został rozpuszczony w kartonie mleka.

– Żeby poskutkował w dwóch filizankach, zabójca musiał wrzucić co najmniej dziesięć, piętnaście tabletek do litra mleka.

– Bez sensu jest wrzucać środki usypiające do mleka, bo zwykle piją je dzieci, nie dorośli – wtrącił pułkownik.

– Dzieci były na wycieczce nad Tahoe. Na kolację Constante’owie zawsze jedli kanapki z szynką albo serem i pili po filizance kawy rozpuszczalnej z mlekiem. Tak powiedziała mi Henrietta Post, sąsiadka, która znalazła ciała. Kawa zneutralizowała smak xanaxu – wyjaśnił Kabel.

– To znaczy, że morderca znał zwyczaje małżeństwa – wydedukował Sherlock.

– Jak alkohol dostał się do lodówki Constante’ów? – zapytał Esmeralda.

– Ta marka wódki jest niedostępna w naszym kraju. A butelka została starannie oczyszczona z odcisków palców – wyjaśniła Amanda.

– Albo dotykano jej w rękawiczkach, jak strzykawek i palnika, a to oznacza, że została tam celowo umieszczona przez mordercę – powiedział Sherlock.

– Kolejna wiadomość – przerwała Abatha.

– Dokładnie.

– Wiadomość od jednego byłego alkoholika dla drugiego? Od Briana Turnera dla Michaela Constante’a? – dopytywał się Esmeralda.

– To zbyt wysublimowane jak na Briana Turnera, ten gość jest bardzo prymitywny. Gdyby chciał zostawić wiadomość, wylałby kilka butelek piwa na zwłoki, a nie szukał nieznanego alkoholu z Serbii, żeby wstawić go do lodówki – powiedział Kabel.

– Myślicie, że morderca jest Serbem?

– Nie, Esmeraldo. Ale sądzę, że w każdym z przypadków zostawił nam klucz do zidentyfikowania jego osoby. Jest tak arogancki i tak pewny siebie, że pozwala sobie na zabawę z nami – powiedział ze złością pułkownik.

– Raczej bawi się z policją, bo o nas nic nie wie – zauważyła Amanda.

– To właśnie chciałem powiedzieć. Rozumiecie, o co mi chodzi.

– Nie znaleziono żadnego związku między podejrzanym Brianem Turnerem, który pobił się z Michaeliem Constante’em, a innymi ofiarami. W noc śmierci psychiatry Turner siedział w areszcie w Petalumie za inną bójkę, co dowodzi, że jest agresywny, ale także tego, że to nie nasz podejrzany – powiedziała Amanda.

– Noc śmierci... – wybełkotała Abatha, ale nie mogła dokończyć zdania, bo z powodu wyczerpania i leków uciekały jej myśli.

Mistrzynie gry poinformowała, że w „zbrodni z prądem” głównymi podezranymi nadal są Ayani i Galang. Jej ojciec przesłuchał osoby, które miały kontakt z psychiatrą w ciągu dwóch tygodni poprzedzających jego śmierć, zwłaszcza te, które były w przydomowym gabinecie, sprawdzał, czy aby któremuś z policjantów bądź innej upoważnionej osobie nie zginął taser, i szukał tych, którzy w ostatnich trzech miesiącach kupili w Kalifornii jeden lub więcej paralizatorów, choć oczywiście morderca mógł go zdobyć w jakiś inny sposób. Psycholog kryminalny, który przestudiował *Wilka stepowego*, powieść wysłaną pocztą Ayani razem ze skarpetkami męża, znalazł tuzin możliwych tropów, ale wszystkie prowadziły w ślepią uliczkę, bo to bardzo skomplikowana książka, dająca się zinterpretować na tysiąc sposobów. Zbadano ponad sześćdziesiąt próbek DNA i tylko materiał genetyczny Galanga był zarejestrowany w policyjnej bazie, bo w 2006 roku przez sześć miesięcy siedział w więzieniu na Florydzie za posiadanie narkotyków. A ponieważ pracował w domu Ashtona, jego odciski palców były wszędzie.

– Na koniec „zbrodni z egzekucją”: mamy końcowy raport z sekcji zwłok. Kobieta została uduszona czymś w rodzaju garoty – powiedziała mistrzyni gry.

– Garota to bardzo stara metoda egzekucji – poinformował Paddington. – Polegała na powolnym duszeniu ofiary, żeby przedłużyć agonię. Urządzenie składało się zazwyczaj z krzesła ze słupem zamiast oparcia. Skazanego przywiązywano do słupa za szyję sznurem, drutem albo metalową obręczą, które zaciskano od tyłu korbą. Czasami sznur miał z przodu węzeł, żeby zmiażdżyć krtań.

– Coś takiego zastosowano wobec Rosen: nylonowa żyłka wędkarska z kuleczką, prawdopodobnie drewnianą – wyjaśniła Amanda.

– Kiedy już się ją założy, garota ułatwia katowi pracę, bo wystarczy przekręcić korbkę, niepotrzebna jest siła fizyczna ani zręczność. Poza tym Rosen była odurzona narkotykiem, nie mogła się bronić. W ten sposób nawet drobna kobieta mogłaby udusić olbrzyma – ciągnął Paddington, zawsze gotów wykazać się wiedzą na każdy temat.

– Kobieta... to mogłaby być kobieta, czemu nie? – zasugerowała Abatha.

– Kobieta mogłaby zabić Statona, Ashtona i Constante’ów, ale potrzeba siły, żeby obezwładnić Rosen, podnieść ciało i powiesić je na wiatraku – zaprotestowała Amanda.

– Zależy. Kiedy Rosen leżała na łóżku z liną na szyi, wystarczyło tylko powoli ją wciągnąć – powiedział Paddington.

– Poza tym była odurzona, kiedy ją uduszono, dlatego się nie broniła.

– Hmm... Garota. Bardzo egzotyczna metoda... – szepnął Sherlock. – Ofiary zostały

stracone. W każdym z tych przypadków morderca wybrał inną karę śmierci: *coup de grâce* dla Statona, śmiertelny zastrzyk dla Constante'ów, porażenie prądem dla Ashtona, garotę albo stryczek dla Rosen.

– Myślicie, że te osoby zasługiwały na szczególny rodzaj egzekucji? – zapytał Esmeralda.

– Dowiemy się tego, kiedy będziemy znali motyw i związek pomiędzy ofiarami – odpowiedział Sherlock.

Piątek, 9

Pedro Alarcón dotarł do loftu Millera po dziesiątej w nocy, wcześniej na próżno próbował się z nim skontaktować telefonicznie. W południe zadzwoniła do niego Indiana, bardzo zaniepokojona, bo rozmawiała z Ryanem poprzedniej nocy i oznajmiła mu, że poślubi Alana Kellera.

– Myślałem, że kochasz Ryana – powiedział Alarcón.

– Bardzo go kocham, to wspaniały facet, ale jestem z Alanem od czterech lat i łączy nas coś, czego nie ma między mną a Ryanem.

– Co takiego?

– Nie będziemy o tym rozmawiać. Poza tym Ryan musi załatwić kilka spraw z przeszłości, nie jest gotowy na poważny związek.

– Jesteś jego pierwszą miłością, tak mi powiedział. Zamierzał się z tobą ożenić. To typowe dla Millera, podjęcie takiej decyzji bez poinformowania o niej głównej zainteresowanej.

– Poinformował mnie. To wszystko moja wina, bo nie byłam z nim szczerą. Czułam się bardzo nieszczęśliwa po zerwaniu z Alanem, myślę, że uczepliłam się Ryana jak koła ratunkowego. Spędziliśmy kilka wspaniałych tygodni, ale kiedy byłam z Ryanem, myślałam o Alanie, nie umiałam przed tym uciec.

– Porównywałaś ich?

– Może... Nie wiem.

– Trudno mi uwierzyć, żeby Keller wyszedł zwycięsko z tego porównania.

– To nie takie proste, Pedro. Jest inny powód, ale nie rozmawiałam o nim z Ryanem, bo ta sprawa go nie dotyczy. Był oburzony. Powiedział, że Alan mnie sobie podporządkował, że mną manipuluje, że nie jestem w stanie podjąć rozsądnej decyzji, że on będzie mnie chronił przed popełnieniem głupstwa, zaczął krzyczeć i zagroził, że załatwi tę sprawę po swojemu. Zmienił się, oszalał, tak samo jak w klubie Danny'ego D'Angelo, tyle że wczoraj w nocy nie pił alkoholu. Ryan jest jak wulkan, który niespodziewanie wybucha i wypływa wrzącą bulgoczącą lawę.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Pójdź do niego, porozmawiaj z nim, spróbuj przemówić mu do rozsądku, mnie nie chciał słuchać, a teraz nie odpowiada na moje telefony i e-maile.

Alarcón był jedyną osobą, której Miller dał klucze do swojego loftu, bo zajmował się Attylą, kiedy on wyjeżdżał; jeśli chodziło tylko o jedną czy dwie noce, zostawał z psem w lofcie, jeśli nieobecność się przedłużała, zabierał go do swojego mieszkania. Alarcón kilkakrotnie nacisnął dzwonek, a ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, otworzył drzwi dawnej drukarni, wjechał olbrzymią windą towarową na jedyne zajęte piętro budynku, użył klucza, który dał mu Miller, odblokował ciężkie metalowe drzwi i znalazł się od razu w ogromnej pustej przestrzeni mieszkania.

Było ciemno, nie usłyszał szczekania psa i nikt nie odpowiedział na jego wołanie. Macając ścianę, trafił na kontakt, zapalił światło i pośpiesznie wyłączył alarm, system zabezpieczający rażący prądem intruza, który wszedłby bez zaproszenia, oraz kamery, które uruchamiały się przy każdym ruchu i zawsze były włączone, kiedy Miller wychodził z domu. Łóżko zostało posłane, w zmywarce nie stała ani jedna brudna szklanka, królowały wojskowy porządek i czystość. Pedro usiadł w fotelu, zamierzał zaczekać na Ryana, czytając jakiś podręcznik o komputerach.

Godzinę później, po kilku próbach skontaktowania się z przyjacielem przez komórkę, Alarcón poszedł do samochodu po yerba mate i powieść latynoamerykańską, po czym wrócił do mieszkania. Włożył do tosterka dwie kromki chleba, zagotował wodę na mate i ponownie umościł się w fotelu, żeby poczytać, tym razem z jedną z poduszek i kocem elektrycznym Millera, bo w lofcie panował ziąb, a on nie zdołał się do końca wyleczyć z przewlekłej grypy, która męczyła go od początku stycznia. O północy, zmęczony, zgasił światło i zasnął.

O szóstej dwadzieścia pięć rano obudził się wystraszony z lufą przy czole. „O mały włos cię nie zabiłem, idioto!” W ten mglisty ranek przez okna bez zasłon wpadało nikłe światło, w którym postać Millera wydawała się gigantyczna. Trzymał oburącz broń, był gotowy do ataku, miał wyraz twarzy zdeterminowanego mordercy. Obraz zaraz zniknął, kiedy Miller się wyprostował i schował pistolet do kabury, którą nosił pod skórzaną kurtką, ale wyrzył się w głowie przyjaciela niczym objawienie. Attyła obserwował całą scenę przyczajony w windzie, gdzie Miller zapewne kazał mu zaczekać.

– Gdzie ty byłeś, stary? – zapytał Urugwajczyk z udawanym spokojem, chociaż czuł serce w gardle.

– Nie wchodź tu więcej bez uprzedzenia! Alarm i prąd były odłączone, pomyślałem o najgorszym.

– O rosyjskim mafiosie albo o terrorystyce z Al-Kaidy? Przykro mi, że cię rozczarowałem.

– To poważne ostrzeżenie, Pedro. Wiesz dobrze, że są tu ściśle tajne informacje. Nie strasz mnie więcej w ten sposób.

– Wydzwaniałem do ciebie do znużenia. Indiana też. Przyjechałem, bo mnie o to poprosiła. Powtórzę ci moje pytanie: dokąd poszedłeś?

– Porozmawiać z Kellerem.

– Uzbrojony w pistolet! Pięknie. Zakładam, że go zabiłeś.

– Tylko trochę poturbowałem. Co Indiana widzi w tej miernocie? Mógłby być jej ojcem.

– Ale nie jest.

Miller powiedział mu, że pojechał do winnicy w Napie gotów rozmówić się po męsku z Kellerem. Przez trzy lata patrzył, jak traktuje Indianę, jakby była tymczasową, na wpół potajemną kochanką, jedną z wielu, bo spotykał się z innymi, choćby z tą belgijską baronessą, z którą podobno miał się ożenić. Kiedy Indiana przejrzała na oczy i z nim zerwała, Keller przez kilka tygodni się do niej nie odzywał, co dowodzi, że w rzeczywistości niezbyt zależało mu na tym związku.

– Ale gdy tylko się dowiedział, że jest ze mną, przyjechał z pierścieniem zaproponować

jej małżeństwo, kolejna z jego taktyk, żeby zyskać na czasie. Po moim trupie! Będę bronił mojej kobiety wszelkimi sposobami.

– Metody Navy SEALs mogą być nieodpowiednie w tym przypadku – zauważył Alarcón.

– Masz lepszy pomysł?

– Zajmij się przekonywaniem Indiany, zamiast grozić Kellerowi. Przygotuję sobie jeszcze jedno mate, zanim pojedę na uniwersytet. Chcesz kawy?

– Nie, już jadłem śniadanie. Poćwiczę qigong, a potem pobiegam z Attyłą.

Godzinę później, przy akompaniamencie zmysłowego głosu Cesárii Évory, Urugwajczyk dojeżdżał drogą numer dwieście osiemdziesiąt do Palo Alto, niespiesznie, rozkoszując się widokiem falujących zielonych wzgórz, które od lat wywierały dobroczynny wpływ na jego stan ducha. W ten piątek nie miał zajęć, ale na uniwersytecie czekało na niego dwóch naukowców, z którymi przygotowywał pewien projekt. Była to para młodych geniuszy, dzięki śmiałym pomysłom i wyobraźni szybko dochodzili do wniosków, które jego samego kosztowały dużo wysiłku i studiów. Dziedzina sztucznej inteligencji należy do młodych pokoleń, które mają technologię w genach, a nie do faceta, który powinien myśleć o emeryturze, wzdychał Alarcón. Źle spał na kanapie u Millera i miał w ciele tylko dwie dawki mate, musiał zjeść śniadanie zaraz po dotarciu na uniwersytet, gdzie w każdej kawiarni serwowali królewskie posiłki. Rozmyślenia przerwał mu hymn Urugwaju dobiegający z komórki. Odebrał przez zestaw głośnomówiący.

– Indiana? Miałem do ciebie zadzwonić, żeby powiedzieć ci o Millerze, wszystko w porządku...

– Pedro! Alan nie żyje! – przerwała mu Indiana, ale szloch nie pozwolił jej mówić dalej.

Nadinspektor Bob Martín przejął jej komórkę i poinformował, że dzwonią z jego samochodu, że dwadzieścia minut temu Indiana odebrała telefon z komendy policji w Napy z informacją, że Alan Keller zmarł w swojej winnicy. Nie chcieli podać szczegółów, poza tym, że to nie była śmierć naturalna, kazali jej przyjechać w celu zidentyfikowania zwłok, choć zrobiła to już służba domowa, i zaproponowali, że ją przywiozą, ale postanowił sam z nią pojechać, bo nie chciał, żeby Indiana stawiała czoła tej sytuacji bez jego wsparcia. Mówił oschłym tonem, rzeczowo, i rozłączył się, zanim Alarcón zdołał o cokolwiek zapytać.

Indiana wychodziła właśnie rano spod prysznic, naga, z mokrymi włosami, kiedy zadzwoniła policja z Napy. Minęło pół minuty, zanim zareagowała i zbiegła na dół owinięta ręcznikiem, wołając ojca. Blake Jackson wziął telefon i poprosił o pomoc pierwszą osobę, która przyszła mu do głowy w tym krytycznym momencie: swojego byłego zięcia. Indiana i jej ojciec ledwo zdążyli się ubrać i zrobić kawę, kiedy Bob Martín przyjechał radiowozem z jeszcze jednym policjantem. Ruszyli na pełnym gazie, z włączoną syreną, w stronę północnej autostrady numer sto jeden.

Po drodze nadinspektor skontaktował się ze swoim kolegą z Napy, porucznikiem McLaughlinem, który nie miał wątpliwości, że chodzi o morderstwo, tej śmierci nie można było w żadnym razie uznać za wypadek ani za samobójstwo. Powiedział, że pod numer 911

zadzwońiła o siódmej siedemnaście rano osoba, która przedstawiła się jako María Pescadero, pomoc domowa w rezydencji. On dotarł na miejsce jako pierwszy i zorientował się w sytuacji: przeprowadził pobieżne oględziny, zabezpieczył miejsce zbrodni i przesłuchał dwójkę służących, Marię i Luisa Pescadero, legalnych meksykańskich imigrantów, którzy pracowali w winnicy od jedenastu lat, najpierw dla poprzedniego właściciela, potem dla ofiary. Nie mówili dobrze po angielsku, ale niedługo przyjedzie ich policjant, który zna hiszpański i będzie w stanie się z nimi dogadać. Bob Martín zaoferował, że może służyć za tłumacza, poprosił porucznika, żeby ograniczył dostęp do całej posiadłości, nie tylko do samego domu, i zapytał, kto zajmie się zwłokami. McLaughlin odparł, że to bardzo spokojne hrabstwo, nie zdarzają się tu takie przypadki jak ten, dlatego nie mają do dyspozycji żadnego patologa czy lekarza sądowego, zazwyczaj akt zgonu podpisywali miejscowy lekarz, dentysta, farmaceuta albo właściciel zakładu pogrzebowego. Jeśli istniały wątpliwości co do przyczyny śmierci i potrzebna była sekcja zwłok, dzwonili po kogoś z Sacramento.

– Może pan liczyć na naszą pomoc, poruczniku – powiedział Bob Martín. – Wydział Zabójstw z San Francisco jest do pańskiej dyspozycji. Mamy wszelkie potrzebne środki. Pan Alan Keller należał do wpływowej rodziny z naszego miasta, przebywał w winnicy tymczasowo. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wydam natychmiast rozkaz, aby przysłano moją ekipę techniczną, która zajmie się ciałem i zabezpieczy dowody. Zawiadomił pan już rodzinę Kellerów?

– Właśnie nad tym pracujemy. Znaleźliśmy nazwisko i telefon pani Indiany Jackson przychepione magnesem do lodówki. Państwo Pescadero mieli do niej dzwonić w razie nagłej potrzeby.

– Wjeżdżamy na szosę dwadzieścia dziewięć, poruczniku McLaughlin, niedługo będziemy na miejscu.

– Czekam na pana, inspektorze.

Indiana wyjaśniła, że Alan obawiał się o własne zdrowie, mierzył sobie codziennie ciśnienie, bo sądził, że w jego wieku w każdej chwili może dostać zawału, poza tym niedawno najadł się strachu z powodu błędu w laboratorium medycznym, dlatego miał jej numer w portfelu i na lodówce. „Nie na wiele by mu się przydał, bo ty albo gubisz komórkę, albo ci się wyładowuje”, powiedział nadinspektor, ale zaraz zrozumiał, że w takim momencie powinien być bardziej wyrozumiały wobec Indiany, która przez całą drogę nie przestawała płakać. Uznał, że jego była żona kochała Kellera bardziej, niż facet na to zasługiwał.

W winnicy powitał ich porucznik McLaughlin. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, wygląd Irlandczyka, siwe włosy, czerwony pijacki nos i duży brzuch zwisający znad paska. Poruszał się ociężale, jak foka bez wody, ale myślał szybko i miał za sobą dwadzieścia sześć lat służby w policji. Cierpliwie wspinał się po szczeblach kariery, bez specjalnych osiągnięć, aż na obecne stanowisko w Napie, gdzie mógł spokojnie doczekać do emerytury. Zabójstwo Kellera stanowiło problem, ale zabrał się do pracy z dyscypliną nabytą podczas długich lat służby. Nie onieśmiewała go obecność nadinspektora z Wydziału Zabójstw w San Francisco. Bob Martín z kolei odnosił się do niego z dużym szacunkiem, żeby uniknąć nieporozumień.

McLaughlin kazał już otoczyć dom taśmą policyjną, ustawił wokół posiadłości kilka radiowozów, żeby zablokować dostęp, i umieścił Luisa Pescadero w jadalni, a jego żonę w kuchni, by przesłuchać ich osobno i by nie mieli okazji uzgodnić odpowiedzi. Do salonu, gdzie leżały zwłoki, pozwolił wejść tylko Bobowi Martinowi, żeby oszczędzić pani widoku, jak się wyraził, jakby zapomniał, że sam zadzwonił po Indianę. Musieli zaczekać na ekipę techniczną wysłaną przez Petrę Horr, która już była w drodze.

Alan Keller siedział w wygodnym fotelu w kolorze tytoniu, z głową na oparciu, w pozycji osoby zaskoczonej podczas drzemki. Wystarczyło zobaczyć jego twarz z pękniętą wargą i śladami krwi oraz pierś przeszytą strzałą, by zrozumieć, że umarł gwałtowną śmiercią. Bob Martín obejrzał ciało i miejsce zbrodni, nagrywając swoje pierwsze spostrzeżenia na kieszonkowy dyktafon, podczas gdy McLaughlin obserwował go z progu z założonymi na brzuchu rękami. Strzała wbiła się głęboko, przygważdżając ciało do oparcia fotela, co wskazywało na osobę doświadczoną w strzelaniu z bliska. Wywnioskował, że ślady krwi na mankiecie koszuli pochodzą z nosa, i zdziwiło go, że rana po strzale tak mało krwawi, ale nie mógł zbadać ciała przed przyjazdem techników.

W kuchni María przygotowała dla wszystkich kawę i gładziła na zmianę głowę labradora koloru wanilii i dłoń Indiany, która ledwo mogła podnieść spuchnięte od płaczu powieki. Według Indiany to ona była ostatnią osobą, która widziała Alana Kellera żywego, poza mordercą. Zjedli wczesną kolację w San Francisco, odwiózł ją do domu i rozstali się, planując spotkanie na niedzielę, kiedy Amanda pojedzie już do szkoły. Keller wrócił do winnicy, podróż go nie zmęczyła, bo w nocy nie było dużego ruchu, poza tym umiłał ją sobie, słuchając audiobooków.

Bob Martín i porucznik McLaughlin przesłuchali Marię Pescadero w bibliotece, gdzie znajdowały się zbiory andyjskich figurek i jadeitów wystawione w niszach w ścianie, chronionych grubymi szybami i zamkniętych na klucz. María wyłączyła alarm przed pierwszym rekonesansem McLaughlina, ale ostrzegła ich, żeby nie dotykali szybek, które wyposażono w osobny system zabezpieczający. Keller mylił kody i często rozlegała się syrena, bo nie potrafił jej wyłączyć, dlatego nie podłączał domowego alarmu, jedynie ten w bibliotece, gdzie znajdowały się także czujniki ruchu i kamery. Na nagraniach z poprzedniej nocy, które McLaughlin już obejrzał, nie było niczego nienormalnego, nikt nie wchodził do tego pomieszczenia, zanim María otworzyła je dla policji.

Kobieta okazała się jednym z tych rzadkich świadków z dobrą pamięcią i małą wyobraźnią, którzy ograniczają się do odpowiadania na pytania bez snucia własnych domysłów. Powiedziała, że mieszka z mężem w domku na terenie posiadłości dziesięć minut na piechotę od głównego budynku, ona zajmuje się kuchnią i innymi domowymi sprawami, a mąż zaopatrzeniem, ale pracuje także jako dozorca, ogrodnik i szofer. Ich stosunki z Kellerem układały się dobrze, był szczodrym panem, mało wymagającym, jeśli chodzi o drobiazgi. Pies należy do niej, urodził się i zawsze mieszkał w posiadłości, ale nigdy nie był wzorowym stróżem, ma już ponad dwanaście lat i problemy z chodzeniem, latem sypia na ich ganku, a zimą w ich domu, nie zorientował się więc, kiedy morderca wszedł do rezydencji. Około siódmej wieczorem poprzedniego dnia jej mąż zaniósł drewno do kominków w salonie i w pokoju Kellera, potem zamknęli dom, nie włączając alarmu, i poszli razem z psem do siebie.

– Zauważyła pani zeszłej nocy coś niezwykłego?

– Z naszego domu nie widać wejścia do winnicy ani do tego budynku. Ale wczoraj po południu, niedługo przed tym, jak Luis przyniósł drewno, przyjechał jakiś mężczyzna, żeby porozmawiać z panem Kellerem. Wyjaśniłam mu, że go nie ma, nie chciał podać nazwiska i odszedł.

– Zna go pani?

– Nigdy wcześniej go nie widziałam.

María wyjaśniła, że tego ranka, za piętnaście siódma, jak co dzień poszła do rezydencji, żeby przygotować kawę i tosty, które pan jadał na śniadanie. Otworzyła psu drzwi na korytarz, bo Keller lubił, jak zwierzak go budził, kiedy z trudem wspinając się na łóżko, padał na niego całym ciężarem. Chwilę później María usłyszała z kuchni wycie labradora. „Poszłam sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyłam pana w fotelu w salonie. Zrobiło mi się go żal, że tam zasnął, niczym nieprzykryty, przy zgaszonym kominku, musiało mu być bardzo zimno. Kiedy podeszłam, zauważyłam... zauważyłam, co mu jest, wróciłam do kuchni, zadzwoniłam z komórki do Luisa, a potem pod dziewięćset jedenaście”.

Niedziela, 11

Podczas gdy zwłoki Alana Kellera czekały w kostnicy na autopsję, rodzeństwo zmarłego, Mark i Lucille, próbowało wszelkimi dostępnymi sposobami wyciszyć skandal wywołany tym, co się stało, który pachniał gangsterami i pospółstwem. Kto wie, w co wmieszał się ich rodzinny artysta. Indiana, spokojniejsza dzięki połączeniu aromaterapii, herbatki cynamonowej i medytacji, zaczęła planować ceremonię poświęconą pamięci mężczyzny, który tyle znaczył w jej życiu, w najbliższej przyszłości bowiem nie mógł się odbyć jego pogrzeb. Przy okazji błędnego zdiagnozowania raka prostaty Keller sporządził notarialny dokument, w którym wyszczególnił, że nie życzy sobie, by podtrzymywano go przy życiu, i chce, aby jego ciało zostało spalone, a prochy rozsypane nad powierzchnią Oceanu Spokojnego. Nie wziął pod uwagę, że będzie musiał przejść przez upokarzający proces sekcji zwłok i miesiącami leżeć zamrożony w kostnicy, dopóki nie wyjaśnią się ostatecznie okoliczności jego zgonu.

Zespół techników, który nadinspektor Bob Martín oddał do dyspozycji porucznika McLaughlina, zjechał tłumnie do Napy i zabezpieczył na miejscu zbrodni i w okolicach niezwykle dużo dowodów. Na miękkiej, wilgotniej ziemi dziedzińca i ogrodu znaleziono ślady opon i butów, w drzwiach odkryto sierść, która nie należała do labradora służących, z dzwonka, drzwi i mebli w salonie zdjęto liczne odciski palców, które będzie można zidentyfikować po wyeliminowaniu mieszkańców domu. Na podłodze z płytek odbiły się wyraźnie brudne podeszwy, które rozpoznano jako zelówki popularnych butów wojskowych dostępnych w każdym sklepie z nadwyżkami z armii i modnych wśród młodzieży. Zamek nie został sforsowany, więc Bob Martín uznał, że Keller znał zabójcę i sam otworzył mu drzwi. Plamy wskazywały na to, że większość krwi na koszuli ofiary pochodziła z rozbitego nosa, tak jak podejrzewał nadinspektor, i że spłynęła zgodnie z prawem ciężenia, kiedy mężczyzna jeszcze żył.

Po pierwszych oględzinach zwłok Ingrid Dunn poinformowała, że Keller był już martwy od jakiegoś czasu, kiedy wbito mu strzałę, bo nie znaleziono śladów rozprysniętej krwi. Strzała z żelaznym okuciem została wystrzelona od przodu, z odległości około półtora metra, z kuszy pistoletowej, jakich używa się w sporcie i myślistwie, małej broni w porównaniu z innymi modelami, ale trudnej do ukrycia ze względu na kształt. Gdyby do ofiary strzelono za życia, obficie by krwawiła.

Kiedy María Pescadero opisała osobę, która przyjechała do winnicy wieczorem w dniu zbrodni i pytała o Alana Kellera, wydała się ona Bobowi Martinowi tak znajoma, jakby pokazano mu zdjęcie Ryana Millera, którego nie darzył najmniejszym szacunkiem, bo było oczywiste, że kocha się w Indianie. María wspomniała o czarnej furgonetce z wysokim zawieszeniem i kołami tira, dziwnym psie pokrytym łysymi plackami i bliznami oraz wysokim, krzepkim mężczyźnie z krótkimi włosami obciętych jak u wojskowych, który kulał na jedną nogę. Wszystko się zgadzało.

Indiana stanowczo odrzuciła sugestię, że Miller był w domu Kellera, ale musiała zaakceptować dowody, nie mogła też przeszkodzić byłemu mężowi w zdobyciu nakazu rewizji loftu i postawieniu na nogi połowy wydziału w celu schwytania podejrzanego, który zniknął.

Pedro Alarcón i kilku członków Dolphin Club zeznali, że Ryan Miller często wyjeżdżał służbowo, ale nie potrafili wyjaśnić, gdzie zostawił psa i furgonetkę.

Na wieść o tym, co się stało, Elsa Domínguez zamieszkała u Jacksonów, żeby opiekować się rodziną, gotować pokrzepiające posiłki i przyjmować gości przewijających się przez dom, by złożyć Indianie kondolencje, od kolegów z Kliniki Holistycznej po Carol Underwater, która przyniosła szarlotkę i została tylko pięć minut. Uznała, że Indiana nie jest w stanie pójść następnego dnia do pracy, i zaproponowała, że zawiadomi o tym telefonicznie pacjentów. Wszyscy przyznali jej rację, a Matheus Pereira dostał zadanie, by wywiesić na drzwiach gabinetu numer osiem ogłoszenie wyjaśniające, że jest zamknięty z powodu żałoby i zostanie ponownie otwarty w nadchodzącym tygodniu.

Blake Jackson, który towarzyszył swojemu byłemu zięciowi przez ostatnie dni, zebrał wystarczająco dużo informacji, żeby zaspokoić chorobliwą ciekawość graczy w *Ripperera*. Tymczasem jego wnuczka cierpiała katusze z powodu wyrzutów sumienia – dziewczyna nieraz bawiła się w planowanie powolnej śmierci kochanka swojej matki i zmobilizowała nadprzyrodzone moce świętego Judy Tadeusza, żeby go wyeliminować, nie podejrzewając, że święty weźmie to tak dosłownie. Czekwała na ducha Kellera, który przyjdzie w nocy, żeby się na niej zemścić. Brzemie winy było tym cięższe, że odczuwała nieuniknione podniecenie z powodu kolejnej zbrodni, nowego wyzwania dla *Ripperera*. Wnuczka i dziadek wiedzieli już, że zostali pokonani przez astrologię: krwawa łaźnia przepowiedziana przez Celeste Roko stała się niepodważalnym faktem.

Sobota, 17

Gdy tylko uspokoiły się nastroje w domu i ustał płacz matki, która odgrywała rolę zbolącej wdowy, chociaż nie zdążyła jeszcze wyjść za mąż, Amanda zwołała ripperowców. Aby spacyfikować nieszczęśliwego Kellera, który szukał jej ze strzałą wbitą w piersi, musiała odkryć, kto go zabił. Alan Keller był miłością życia jej matki, jak zaczęła mówić o nim przez łyzy Indiana, a jego tragiczny koniec był afrontem zrobionym jej rodzinie. Opowiedziała swoim kompanom, co wie o „zbrodni ze strzałą”, i wezwała ich do znalezienia prawdziwego sprawcy, mówiąc, że wyświadczą jej osobistą przysługę i że dzięki temu Ryan Miller nie będzie musiał płacić za przestępstwo, którego nie popełnił.

Sherlock Holmes zaproponował, żeby podsumowali wszystkie zdobyte do tej pory informacje, i oznajmił, że dokonał ważnego odkrycia po przestudiowaniu milimetr po milimetrze kilku zdjęć dostarczonych przez Kabela, które powiększył na swoim komputerze.

– Marka wódki znalezionej w lodówce byłego alkoholika, Michaela Constante’a, to „snežni vuk”, co po serbsku znaczy śnieżny wilk – powiedział Sherlock. – Wilk pojawia się w książce, którą otrzymała pocztą żona Richarda Ashtona kilka dni po zabójstwie. Policyjni psychologowie szukali kluczy w treści, ale ja myślę, że klucz znajduje się w tytule *Wilk stepowy*. Logo na kiju bejsbolowym w sprawie Eda Statona należy do Rudych Wilków z Uniwersytetu w Arkansas.

– Jak powiedziała Abatha, to wiadomość – przypomniała mu Amanda.

– To nie jest wiadomość ani klucz, to podpis mordercy – zapewnił pułkownik Paddington. – Podpis, który ma sens tylko dla niego.

– Gdyby tak było, podpisałby wszystkie zbrodnie. Dlaczego nie zrobił tego u Rosen i Kellera? – wtrącił Esmeralda.

– Chwileczkę! – wykrzyknęła Amanda. – Kabelu, zadzwoń do mojego taty i zapytaj go o kryształową figurkę, którą sędzia dostała po śmierci.

Podczas gdy dzieciaki snuły dalsze domysły, dziadek skontaktował się z zięciem. Zawsze odbierał jego telefony, chyba że był akurat w łazience albo w łóżku z jakąś kobietą. Bob powiedział mu, że figurka Swarovskiego to pies. Czy może chodzić o wilka? – nalegał Blake Jackson. Tak, może: przypomina owczarka niemieckiego z wyciągniętą szyją, jakby wył. Należał do starej serii, zarzuconej w 1998 roku, co dodatkowo zwiększało jego wartość. Rosen prawdopodobnie kupiła go przez internet, ale nie znaleziono śladów transakcji.

– Jeśli to wilk, mamy podpis autora we wszystkich przypadkach, poza Alanem Kellerem – podsumowała Amanda.

– Wszystkie zbrodnie wykazują podobieństwa, jeśli chodzi o *modus operandi*, choć na pierwszy rzut oka mogą wydawać się różne. Oprócz zabójstwa Alana Kellera. Dlaczego? – zapytał Esmeralda.

– U Kellera nie ma wilka, a zbrodnię popełniono w znacznej odległości od zatoki San Francisco, obszaru wskazanego przez przepowiednię astrologiczną, gdzie do tej pory działał

nasz morderca. Keller jest jedyną ofiarą, która została pobita przed śmiercią, ale podobnie jak pozostali, on także się nie bronił – powiedziała Amanda.

– Mam przeczucie... Autor może być ten sam, ale motyw inny – zasugerowała Abatha.

– Nie znamy motywu w żadnym z przypadków – zauważył Paddington.

– Ale musimy brać pod uwagę to, co mówi Abatha. Jej przeczucia niemal zawsze się sprawdzają – ostrzegła ich Amanda.

– To dlatego, że dostaję wiadomości z zaświatów. Przemawiają do mnie anioły i duchy. Żywi i martwi są razem, jesteśmy jednym i tym samym... – szepnęła Abatha.

– Gdybym ja żywił się powietrzem, też miałbym wizje i słyszał głosy – przerwał jej Esmeralda w obawie, że dziewczyna zatraci się w okultyzmie i skieruje grę na niewłaściwe tory.

– Dlaczego tego nie zrobisz? – zapytało medium, przekonane, że gdyby ludzkość przestała jeść, wyewoluowałaby na wyższy poziom.

– Wystarczy, przypominam, że w *Ripperze* zabronione są sarkastyczne komentarze. Skupmy się na faktach – nakazała mistrzyni gry.

– Przeczucia to nie fakty – mruknął pułkownik Paddington.

– Nasz morderca pastwił się nad swoimi ofiarami jak Kuba Rozpruwacz i inni legendarni mordercy, których zbrodnie przestudiowaliśmy, ale robił to po ich śmierci. To jest wiadomość. Tak jak zostawił podpis, zostawił też wiadomość – powiedział Sherlock.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście, Esmeraldo. Egzekucja także jest wiadomością. Sprawca nie wybrał sposobu śmierci przez przypadek. To zorganizowany, przestrzegający rytuałów zbrodniarz.

– Planuje każdy krok i odwrót, nie zostawia śladów, musiał przejść szkolenie wojskowe, bo jest doskonałym strategiem; byłby wielkim generałem – powiedział pułkownik z podziwem.

– Zamiast tego facet morduje z zimną krwią – skomentowała Amanda.

– Może to nie facet. Śniło mi się, że to kobieta – wtrąciła Abatha.

Kabel poprosił o głos, a kiedy został mu udzielony, wprowadził graczy w szczegóły śledztwa w sprawie Alana Kellera. Z kąta uderzenia w twarz lekarz sądowy wywnioskował, że cios został wymierzony od przodu, zaciśniętą pięścią, przez leworęczną osobę, wyjątkowo silną, która miała co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, prawdopodobnie metr osiemdziesiąt pięć, co pasowało do wielkich śladów butów zostawionych przed wejściem do domu i na podłodze z płytek. To wykluczało możliwość, że sprawcą ataku jest kobieta. Sekcja zwłok wykazała, że zgon nastąpił pół godziny przed tym, jak ciało zostało przeszyte strzałą z kuszy. Nienaturalnie różowy kolor skóry Kellera kazał przypuszczać, że przyczyną śmierci był cyjanek, co zostało potwierdzone podczas autopsji.

– Wyjaśnij nam to, Kabelu – poprosiła Amanda.

– To skomplikowane, ale będę upraszczał. Cyjanek jest trucizną metaboliczną, szybką i skuteczną, która uniemożliwia komórkom pobieranie tlenu. To tak, jakby nagle został

wyeliminowany cały tlen w organizmie. Ofiara nie może oddychać, kręci jej się w głowie, ma mdłości albo wymiotuje, traci przytomność i może dostać przed śmiercią konwulsji.

– Dlaczego skóra robi się zaróżowiona?

– Z powodu reakcji chemicznej między cyjankiem a cząsteczkami hemoglobiny w erytrocytach. Kolor krwi staje się intensywnie czerwony, błyszczący, jak farba.

– Taka była krew na koszuli Kellera? – zapytał Esmeralda.

– Nie wszystka. Krwawił z nosa przed połknięciem trucizny. Jest trochę krwi po cyjanku, ale bardzo mało. Rana nie krwawiła, bo już był martwy.

– Niech nam pan wyjaśni, jak podano truciznę – poprosił Sherlock.

– Cyjanek znaleziono w szklance z wodą w pobliżu ofiary, a także w szklance na szafce nocnej w jego sypialni. Zabójca wsypał szczyptę białego proszku, praktycznie niewidocznego gołym okiem, na dno szklanki, aby mieć pewność, że jeśli Alan Keller nie połknie trucizny w whisky, którą zazwyczaj pił przed snem, zrobi to w nocy.

– Cyjanek jest bardzo toksyczny, wystarczy minimalna ilość, żeby spowodować śmierć w ciągu kilku minut. Wchłania się także przez skórę albo przez drogi oddechowe, tak więc morderca musiał się dobrze zabezpieczyć – wyjaśnił Sherlock Holmes.

– Szpiedzy na filmach noszą przy sobie kapsułki cyjanku, żeby popełnić samobójstwo, w razie gdyby mieli ich torturować. Jak można go zdobyć? – zapytał Esmeralda.

– Łatwo. Jest wykorzystywany w metalurgii, do wytrącania złota i srebra, w galwanoplastyce tych metali, a także miedzi i platyny. Zabójca mógł go kupić w sklepie z produktami chemicznymi albo przez internet.

– Trucizna jest kobiecą bronią. To tchórzliwa metoda. My, mężczyźni, nie zabijamy za pomocą trucizny, robimy to twarzą w twarz – skwitował Paddington, a jego uwaga została przyjęta ogólnym wybuchem śmiechu.

– Kobieta wyższa niż metr osiemdziesiąt, silna, w żołnierskich butach, musi przypominać olimpijską mistrzynię w podnoszeniu ciężarów. Ktoś taki nie potrzebuje uciekać się do trucizny, może zmiażdżyć ofierze głowę kolejnym ciosem pięści – upierał się pułkownik.

– Wzięliście pod uwagę możliwość, że osoba, która uderzyła Kellera, nie była tą samą, która go zabiła? – zasugerowała Abatha.

– Za bardzo wyszukane, za dużo zbiegów okoliczności. Nie przekonuje mnie – odparł pułkownik.

– To możliwe, ale musimy brać pod uwagę fakty i to, co mówi Abatha – wtrącił Sherlock Holmes.

Sześć dni wcześniej, w piątek dziewiątego marca, dwóch młodych geniuszy od sztucznej inteligencji z Uniwersytetu Stanforda nie doczekało się profesora Pedra Alarcona, który nie przybył na umówione spotkanie. Zaraz po tym, jak Indiana powiedziała mu o śmierci Alana Kellera, Urugwajczyk zawrócił i ruszył z powrotem do San Francisco. W drodze kilka razy bezskutecznie próbował skontaktować się z Millerem. Kiedy dotarł do loftu, komandos zdążył

się już wykąpać i przebrać po przebieżce z Attylą, miał też już za sobą rozmowę telefoniczną z Waszyngtonem, z pewnym generałem z Pentagonu. Pedro otworzył metalowe drzwi windy i zanim Miller zdążył go zapytać, po co wrócił, przekazał mu niespodziewaną wiadomość.

– Co ty mówisz! Jak umarł Keller?

– Indiana powiedziała mi o tym godzinę temu, ale nie mogła rozmawiać, jej były mąż przejął telefon i nie zdołała dodać niczego więcej. Jechała samochodem Martina. Wiem tylko tyle, że to nie była śmierć naturalna. Przysięgłbym, że Indiana zadzwoniła po to, żebym cię ostrzegł. Co się dzieje z twoją komórką?

– Zamoczyła się, muszę kupić nową.

– Jeśli to morderstwo, a tak podejrzewam, to masz problem. Byłeś u Kellera wczoraj wieczorem, pojechałeś do niego uzbrojony w pistolet i jak sam powiedziałeś, trochę go poturbowałeś. To cię stawia w roli głównego podejrzanego. Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Gdzie byłeś całą noc?

– Oskarżasz mnie o coś? – warknął Miller.

– Przyszedłem ci pomóc, człowieku. Chciałem zdążyć przed policją.

Miller spróbował zapanować nad wściekłością, która paliła go od środka. Śmierć rywala była mu bardzo na rękę i wcale nad nią nie ubolewał, ale Pedro się nie mylił, sytuacja wyglądała poważnie: miał i motyw, i sposobność. Opowiedział przyjacielowi, że dotarł do winnicy Kellera o zmierzchu, musiało być około wpół do siódmej, ale nie patrzył na zegarek. Zastał bramę otwartą, przejechał jakieś trzysta metrów, zobaczył dom i okrągłą fontannę z wodą, zatrzymał samochód przed drzwiami i wysiadł z Attylą na smyczy, bo pies potrzebował się wysikać. Pukał do drzwi trzy razy, zanim otworzyła mu jakaś Latynoska, która wycierając sobie ręce w fartuch, powiedziała, że Alana Kellera nie ma w domu. Nie zdążyła dodać nic więcej, bo za nią pojawił się pies, biały labrador machający ogonem, wyglądał na łagodnego, ale kiedy zobaczył Attyłę, zaczął szczekać. Attyła nerwowo szarpał smycz, więc kobieta zamknęła im drzwi przed nosem. Zaprowadził psa do furgonetki i zadzwonił jeszcze raz. Tym razem tylko uchyliła drzwi i przez szparę powiedziała fatalną angielszczyzną, że Keller wróci w nocy i że jeśli chce, może jej zostawić swoje nazwisko. On odparł, że woli później do niego zadzwonić. Oba psy przez cały czas czekały, jeden w domu, drugi w furgonetce. Postanowił zaczekać na Kellera, ale kobieta nie zaprosiła go do środka. Pomyślał, że dziwnie by to wyglądało, gdyby siedział w samochodzie pod drzwiami, rozsądniej będzie czekać na ulicy.

Miller zaparkował furgonetkę z wygaszonymi światłami w miejscu, z którego wyraźnie widać było wjazd na teren winnicy, oświetlony starymi latarniami.

– Brama pozostała otwarta na oścież. Keller sam się prosił, żeby na niego napaść, nie podejmował żadnych środków bezpieczeństwa, choć podobno miał dzieła sztuki i inne wartościowe rzeczy.

– Mów dalej – poprosił Alarcón.

– Przeprowadziłem szybkie rozpoznanie terenu. Po każdej stronie bramy jest po dziesięć

metrów muru z cegły, służącego bardziej jako dekoracja niż zabezpieczenie, resztę ogrodzenia stanowią krzaki róż. Zauważyłem, że jest już dużo kwiatów, choć mamy dopiero marzec.

– O której przyjechał Keller?

– Czekałem około dwóch godzin. Jego lexus zatrzymał się w bramie. Keller wysiadł, żeby wyjąć korespondencję ze skrzynki, potem wrócił do samochodu i zamknął bramę pilotem. Sam rozumiesz, że łuk z róż nie był w stanie mnie zatrzymać. Zostawiłem Attylę w furgonetce, nie chciałem wystraszyć Kellera, poszedłem w stronę domu, środkiem drogi, nie myśl, że próbowałem się ukryć albo go zaskoczyć, nic z tych rzeczy. Zadzwoiłem i prawie natychmiast otworzył mi sam Keller. Nie uwierzysz, Pedro, wiesz, co mi powiedział? „Dobry wieczór, Miller. Czekałem na ciebie”.

– Ta kobieta musiała mu donieść, że szukał go jakiś szubrawiec o twoim wyglądzie. Łatwo cię opisać, zwłaszcza kiedy jesteś z Attylą. Keller cię znał. Poza tym Indiana mogła go uprzedzić o twoich pogroźkach, że załatwisz to po swojemu.

– Wtedy by mnie nie wpuścił, tylko zadzwonił po policję.

– Sam widzisz, że mimo wszystko nie był taką miernotą.

Miller opisał pokrótce, jak poszedł za Kellerem do salonu, nie chciał usiąść, odmówił też przyjęcia whisky, którą zaproponował mu gospodarz, jak powiedział, co o nim myśli, że stracił swoją szansę, że Indiana nadal jest z nim i żeby lepiej się nie wtrącał, bo to mogłoby mieć bardzo nieprzyjemne konsekwencje. Jeśli jego rywal się wystraszył, potrafił to dobrze ukryć. Odparł nieporuszony, że decyzja w tej sprawie należy wyłącznie do Indiany. Niech wygra lepszy, powiedział szyderczym tonem i wskazał mu drzwi, a ponieważ Miller nie ruszył się z miejsca, spróbował wziąć go pod ramię. To był zły pomysł.

– Zareagowałem instynktownie. Nawet się nie zorientowałem, kiedy walnąłem go pięścią w twarz – powiedział Miller.

– Uderzyłeś go?

– Nie za mocno. Zachwiał się lekko i krew poszła mu z nosa, ale nie upadł. Poczuję się okropnie. Co ze mną jest, Pedro? Tracę panowanie z powodu byle głupstwa. Nigdy taki nie byłem.

– Piłeś coś wcześniej?

– Nawet jednej zasranej kropelki. Nic.

– Co potem zrobiłeś?

– Przeprosiłem go, pomogłem dojść do fotela i podałem mu szklanę wody. Była tam butelka wody, a na kredensie stała druga, z whisky.

Keller wytarł krew rękawem koszuli, przyjął szklanę i postawił ją na stoliku obok fotela, pokazał Millerowi drzwi i powiedział, że nie ma powodu, by Indiana dowiedziała się o tym prostackim epizodzie. Według Millera na tym się skończyło, wrócił do furgonetki i ruszył w drogę powrotną do San Francisco, był jednak wykończony, zaczęło mżyć, oślepiały go światła odbijające się od mokrej jezdni, bo nie miał szkieł kontaktowych, które prawie zawsze nosił, uznał więc, że przeczniej będzie odpocząć chwilę w samochodzie. „Źle ze mną, Pedro. Kiedyś zachowywałem zimną krew pod gęstym ostrzałem, a teraz pięciominutowa sprzeczka

przyprawia mnie o ból głowy”, powiedział. Dodał, że zjechał z szosy, zatrzymał furgonetkę, umościł się na siedzeniu i prawie natychmiast zasnął. Obudził się kilka godzin później, kiedy światło poranka zaczęło rozjaśniać zachmurzone niebo, a Attyła drapał go delikatnie, marząc o tym, by wyjść na zewnątrz. Pozwolił psu podnieść kilka razy łapę pod jakimiś krzakami, potem pojechał do najbliższego otwartego o tej porze McDonalda, kupił Attyli hamburgera, zjadł śniadanie i wrócił do loftu, gdzie zastał czekającego nań Alarcona.

– Ja go nie zabiłem, Pedro.

– Gdybym sądził, że to zrobiłeś, nie byłoby mnie tutaj. Zostawiłeś mnóstwo śladów, nawet odciski palców na dzwonku, szklance, butelce z wodą i Bóg wie, gdzie jeszcze.

– Nie miałem nic do ukrycia, dlaczego twoim zdaniem powinienem był myśleć o pieprzonych odciskach? Nie licząc odrobiny krwi z nosa, Keller miał się doskonale, kiedy stamtąd wychodziłem.

– Trudno będzie przekonać o tym policję.

– Nawet nie mam zamiaru próbować. Bob Martín mnie nienawidzi i jest to uczucie odwzajemnione. Nic nie sprawiłoby mu takiej przyjemności, jak oskarżenie mnie o zabicie Kellera, a gdyby tylko się dało – o wszystkie ostatnie zbrodnie. Wie, że Indiana i ja jesteśmy przyjaciółmi, podejrzewa, że byliśmy kochankami. Kiedy się obaj spotykamy, powietrze jest tak naelektryzowane, że lecą iskry; czasami widuję go na strzelnicy, wkurza się, bo strzelam dużo lepiej niż on, ale najbardziej wścieka go to, że jego córka mnie lubi. Amanda, która nigdy nie tolerowała żadnego wielbiciela Indiany, była szczęśliwa, kiedy dowiedziała się, że jej matka jest ze mną. Bob Martín nie może mi tego wybaczyć.

– Co zrobisz?

– Załatwię to po swoim, jak zawsze. Znajdę mordercę Kellera, zanim Martín wsadzi mnie do więzienia i uzna sprawę za zamkniętą. Muszę zniknąć.

– Oszalałeś? Ucieczka będzie dowodem twojej winy, lepiej poszukajmy dobrego adwokata.

– Nie odejdę daleko. Potrzebna mi twoja pomoc. Mamy kilka godzin, zanim zidentyfikują odciski palców i po mnie przyjdą. Muszę przenieść całą zawartość moich komputerów na pendrive’a i wyczyścić twarde dyski, bo skonfiskują je w pierwszej kolejności, a te informacje są supertajne. To mi trochę zajmie.

Poprosił przyjaciela, żeby w tym czasie kupił jakąś łódź z kabiną i dobrym silnikiem, tylko nie nową, bo płatność gotówką mogłaby się wydać sprzedawcy podejrzana i jeszcze zawiadomiłby policję. To musi być używana łódź, ale w doskonałym stanie. Potrzebował również baniek z paliwem na kilka dni i dwóch nowych komórek, bo jego już się do niczego nie nadawała, a Alarcón także powinien mieć telefon wyłącznie do rozmów z Millerem.

Komandos otworzył ukryty w ścianie sejf i wyciągnął kilka plików banknotów, karty kredytowe i prawa jazdy. Wręczył Urugwajczykowi piętnaście tysięcy dolarów w banknotach po sto ściśniętych gumką.

– Jezu! Tak jak myślałem: jesteś szpiegiem! – zawołał Alarcón i gwizdnął z podziwu.

– Wydaję mało, a płacą mi dobrze.

– CIA czy Emiraty Arabskie?

– Jedni i drudzy.

– Jesteś bogaty? – zapytał Alarcón.

– Nie. I nie chciałbym być. W tym sejfie jest prawie wszystko, co mam. Pieniądze nigdy mnie nie interesowały, w tym przypominam Indianę. Boję się, że razem skończylibyśmy jako para żebraków.

– Co cię w takim razie interesuje?

– Przygoda. Chcę, żebyś zabrał wszystko, co jest w sejfie, żeby nie skonfiskowała tego policja. Będziemy mieli trochę wydatków. Jeśli coś mi się stanie, oddasz resztę Indianie, zgoda?

– Nie ma mowy. Wszystko zatrzymam dla siebie i nikt się o tym nie dowie. Te pieniądze i tak są nielegalne albo fałszywe.

– Dziękuję, Pedro, wiem, że mogę ci ufać.

– Jeśli cokolwiek ci się stanie, to wyłącznie przez twoją arogancję. Nie masz poczucia rzeczywistości, uważasz się za Supermana. Brawo! Widzę pięć paszportów na różne nazwiska, wszystkie z twoim zdjęciem – powiedział Alarcón, zaglądając do dokumentów.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać. Jestem arogancki, ale i przewidujący. To tak jak z bronią: chociaż jej nie używam, czuję się z nią pewniej.

– Gdybyś nie został wojskowym, byłbyś mafiosem.

– Na pewno. Będę na molo w Tiburon za trzy godziny, zaczekam do drugiej po południu. Ważne, żeby po kupnie łodzi nie został żaden ślad. Potem musisz ukryć furgonetkę. To wszystko czyni z ciebie mojego współnika. Masz z tym problem?

– Nie mam żadnego problemu.

Poniedziałek, 19

Dwa tygodnie później, kiedy przepowiednia astrologiczna dosięgnie jego rodziny, nadinspektor Bob Martín będzie czynił sobie wyrzuty, że nie posłuchał wielokrotnych ostrzeżeń córki. Amanda na bieżąco przekazywała mu to, co odkrywali ripperowcy – ale w jego oczach była to tylko piątka dzieciaków i dziadek, którzy traktowali grę fabularną jako rozrywkę. W końcu jednak niechętnie musiał przyznać im rację i zaakceptować fakt, że teatralne zbrodnie w San Francisco są dziełem seryjnego mordercy. Do czasu śmierci Alana Kellera praca Wydziału Zabójstw polegała na analizie dowodów i szukaniu powiązań między sprawami wbrew tradycyjnej metodzie, w której punktem wyjścia jest znalezienie motywu. Jednak odgadnięcie powodów, które skłaniały mordercę do wyboru tak różnych ofiar, okazało się niemożliwe. Po zabójstwie Kellera śledztwo przybrało inny obrót. Nie chodziło już o to, żeby znaleźć winnego, badając po omacku różne ślady, lecz o to, żeby udowodnić winę konkretnemu podejrzanemu i go aresztować. Podejrzanym był Ryan Miller.

Załatwienie nakazu rewizji starej drukarni, w której mieszkał Miller, zajęło kilka dni, musiał on bowiem uwzględniać najdrobniejsze niuanse prawne. To gwarantowało, że uzyskane dowody nie zostaną zakwestionowane w czasie ewentualnej rozprawy. Podejrzanym był bohaterem wojennym, dawnym komandosem Navy SEALs, który podobno współpracował z Pentagonem przy tajnych projektach. Niewielu sędziów miało ochotę podpisać tak szczegółowy nakaz. Jeden błąd w kwestiach prawnych mógł się okazać brzemienny w skutki, ale konsekwencje przeszkodzenia w aresztowaniu prawdopodobnego mordercy byłyby jeszcze poważniejsze. W końcu sędzia ustąpił pod nieustającą presją nadinspektora. Natychmiast po otrzymaniu nakazu policjant stanął na czele dziesięcioosobowej grupy wyposażonej w najnowocześniejszy sprzęt, która dokonała najazdu na loft Millera.

Inspektor postawił sobie za cel potwierdzenie, że posiadane dowody pasują do tych, które miał znaleźć w lofcie. Dysponował opisem mężczyzny i psa widzianych przez Marię Pescadero w wieczór, kiedy dokonano zabójstwa; pasował jak ulał do Ryana Millera i tego koszmarnego zwierzaka, który mu zawsze towarzyszył. Na miejscu zbrodni znaleźli psie włosy, zidentyfikowane jako sierść owczarka belgijskiego, ślady butów przy wejściu i na płytkach podłogi, odciski palców Millera na drzwiach, dzwonku, butelce i szklance z wodą oraz włókna materiału syntetycznego, którym okazał się różowy plusz. Pobrali też różne próbki, na przykład fragmenty naskórka i włoski pozostawione po otrzymanym przez Kellera uderzeniu pięścią w twarz, które mogły posłużyć do badania DNA. W trakcie przeszukania loftu policja znalazła taką samą psią sierść, różowe włókna, ślady butów na podłodze, a także do połowy wypełnione buteleczki z xanaxem i lorazepamem, broń palną oraz łuk, model sportowy z systemem bloczków i linek. Amunicja była inna niż kula znaleziona w głowie Eda Statona, strzały także różniły się od tej, która przeszła ciało Kellera, ale ich obecność świadczyła o tym, że właściciel potrafił się nimi posługiwać.

Skonfiskowane komputery trafiły do odpowiedniego laboratorium, ale zanim dobrali się do nich policyjni inżynierowie, z Waszyngtonu przyszedł rozkaz, by opieczetować je do czasu, aż FBI podejmie jakąś decyzję. Było bardzo prawdopodobne, że Miller zainstalował program

samoniszczący, ale jeśli nie, tylko FBI mogło przejrzeć ich zawartość. Pedro Alarcón wyjaśnił podczas przesłuchania, że jego przyjaciel współpracował z firmami z Dubaju zajmującymi się bezpieczeństwem i czasami wyjeżdżał na kilka tygodni, jednak ustalono, że nikt z paszportem Ryana Millera nie opuścił kraju.

– Miller jest niewinny, tato – powiedziała Amanda, kiedy dowiedziała się od Petry Horr o rewizji. – Czy uważasz, że wygląda na seryjnego mordercę?

– Wygląda na podejrzanego o spowodowanie śmierci Alana Kellera.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Bo jest zakochany w twojej matce – odparł Bob Martín.

– Od czasów Szekspira nikt nie zabija z zazdrości.

– Mylisz się, to główny motyw zabójstw współmałżonków.

– Okay. Możliwe, że Miller miałyby jakiś motyw w przypadku Kellera, ale wytłumacz mi jego udział w innych zbrodniach. Nie ma wątpliwości, że wszystkie popełniła ta sama osoba.

– Był wyszkolony do walki i zabijania. Nie twierdzę, że wszyscy żołnierze to potencjalni mordercy, broń Boże, ale zdarza się, że do armii wstępują mężczyźni z zaburzeniami psychicznymi i dostają medale za akcje, za które w cywilu poszliby do więzienia albo do domu wariatów. Są też normalni mężczyźni, którzy na wojnie dostają pomieszania zmysłów.

– Ryan Miller nie jest szaleńcem.

– Nie masz doświadczenia w tych sprawach, Amando. Nie wiem, dlaczego lubisz tego faceta. Jest niebezpieczny.

– Ty go nie lubisz, bo to przyjaciel mamy.

– Twoja matka i ja jesteśmy rozwiedzeni. Jej przyjaciele mnie nie interesują, ale akta Millera zawierają wzmianki o urazie fizycznym i psychicznym, depresji, alkoholizmie, narkomanii i stosowaniu przemocy. Zażywa leki przeciwlękowe i nasenne, te same, które znokautowały Constante'ów.

– Dziadek mówi, że dużo osób bierze takie leki.

– Dlaczego go bronisz, córeczko?

– Ze zdrowego rozsądku. Przy wszystkich zbrodniach sprawca bardzo dbał, żeby nie zostawić śladów, na pewno okrywał się plastikiem od stóp do głów, wycierał wszystko, czego dotykał, nawet to, co wysłał pocztą, czyli książkę Ashtona i kryształowego wilka Rosen. Czy myślisz, że ten sam człowiek wytarłby ślady ze strzały, a jednocześnie zostawił je w całym domu, nawet na szklance z zatrutą wodą? To nie ma sensu.

– Zdarza się, że morderca traci kontrolę nad swoim życiem i zaczyna zostawiać tropy, bo w głębi duszy pragnie, żeby go zatrzymano.

– Tak mówią twoi policyjni psychologowie? Ryan Miller umarłby ze śmiechu, gdyby usłyszał tę teorię. Przy kontakcie z cyjankiem trzeba założyć gumowe rękawiczki. Twoim zdaniem Miller włożył je, żeby wsypać truciznę, a potem zdjął, żeby wziąć do ręki szklankę? Musiałby być idiotą!

– Nie wiem jeszcze, jak to przebiegało, ale musisz mi obiecać, że natychmiast dasz mi znać,

jeśli Miller spróbuje się skontaktować z twoją matką.

– Nie prosź mnie o to, tato, bo niewinny człowiek mógłby zostać skazany na śmierć.

– Amando, nie jestem w nastroju do żartów. Miller będzie miał możliwość, by udowodnić swoją niewinność, ale na razie musimy uznać, że jest bardzo niebezpieczny. Nawet jeśli nie popełnił innych zbrodni, wszystko wskazuje na niego w przypadku Kellera. Zrozumiałaś?

– Tak, tato.

– Obiecaj mi.

– Obiecuję.

– Co?

– Że dam ci znać, jeśli się dowiem, że Ryan Miller nawiązał kontakt z mamą.

– Oszukujesz?

– Nie tato, nie oszukuję.

Zapewniając, że wyda Ryana Millera, Amanda nie miała najmniejszego zamiaru dotrzymać słowa, bo złamana obietnica mniej ciążyłaby jej sumieniu niż zrujnowanie życia przyjacielowi – musiała wybrać mniejsze zło. Jednak żeby uniknąć problemów, powiedziała matce, by nic nie mówiła, jeśli komandos znowu pojawi się w jej gabinecie albo w jej życiu osobistym. Indiana musiała coś zauważyć w wyrazie twarzy córki, bo zgodziła się, o nic nie pytając.

Wiedziała, że policja ogłosiła pospolite ruszenie, by aresztować Millera jako jedyne go podejrzanego o zabicie Alana Kellera, ale tak samo jak Amanda nie wierzyła, żeby był zdolny do popełnienia zbrodni z zimną krwią. Nikt nie pragnął bardziej niż ona, by schwytano sprawcę, ale jej przyjaciel, ten dwutygodniowy kochanek, człowiek, którego znała na wylot i którego dotykała dłońmi uzdrowicielki i ustami zakochanej kobiety, nie był winny. Miałaby kłopot z udzieleniem rozsądnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego jest taka pewna niewinności Millera, byłego żołnierza, który miewał napady wściekłości, strzelał do cywilów, nawet do kobiet i dzieci, torturował więźniów, żeby wydobyć z nich zeznania, ale nikt jej o to nie zapytał i nikt, poza Pedrem Alarconem, nie znał jego przeszłości. Pewność Indiany opierała się na tym, co dyktowała jej intuicja, i na tym, co mówiły planety, do których w tych okolicznościach miała więcej zaufania niż do opinii byłego męża. Bob nigdy nie lubił mężczyzn, którymi interesowała się po rozwodzie, ale do Ryana Millera podchodził ze szczególną nieufnością, co Amanda podsumowała w kilku słowach: obaj są samcami alfa, nie mogą dzielić jednego terytorium, tak jak orangutany. Indiana za to akceptowała podboje byłego małżonka w nadziei, że wypróbując tyle kobiet, znajdzie w końcu idealną macochę dla Amandy i wreszcie się ustatkuje. Profil astrologiczny Ryana Millera przygotowany przez Celeste Roko nie wskazywał na jego mordercze skłonności, a ta cecha charakteru bez wątpienia pojawiłaby się w kosmogramie kogoś, kto dokonał tak potwornych czynów.

Indiana nie musiała niczego ukrywać przed Amandą, a ta nie musiała kłamać ojcu, bo Ryan Miller skontaktował się nie z matką, lecz – pośrednio – z córką. Pedro Alarcón zjawił się po

lekcjach w szkole dziewczyny, zaczekał, aż odjadą wszystkie autobusy oraz samochody, i zapytał, czy może zobaczyć się z Amandą w sprawie nagrania wywiadu. Przyjęła go siostra Cecile, opiekunka mieszanek internatu, wysoka, mocno zbudowana Szkotka, niewyglądająca na swoje sześćdziesiąt sześć lat, o oczach w kolorze błękitu kobaltowego zdolnych wykryć wysoki uczeniec, jeszcze zanim do nich doszło. Kiedy dowiedziała się, że Alarcón przyszedł w związku z projektem jej uczennicy dotyczącym Urugwaju, zaprowadziła go do Sali Milczenia, jak nazywano niewielkie pomieszczenie przylegające do kaplicy. Polityka ekumeniczna placówki wzięła górę nad tradycją katolicką, dlatego dziewczynki innych wyznań, a nawet agnostyczki, miały swoją salkę, gdzie mogły oddawać się ćwiczeniom duchowym i spędzać czas w samotności. Był to pokój bez mebli o ścianach pomalowanych na przyjemny, szarobłękitny kolor. Na podłodze z heblowanych desek leżało kilka okrągłych poduszek do medytacji, a w kącie małe, zrolowane dywaniki dla dwóch uczennic muzułmanek. O tej porze sala była pusta, pogrążona w półmroku, lekko oświetlona wieczornym światłem, jakby namalowanym lekkimi pociągnięciami pędzla. Za oknami odcinały się cienkie gałązki modrzewi; jedynym odgłosem, jaki docierał do tego sanktuarium, były dobiegające z daleka akordy pianina. Ze wzruszeniem ściskającym mu gardło Alarcón przeniósł się w inne czasy i w inne miejsce, tak odległe, że już niemal zapomniane: do dzieciństwa, do okresu, kiedy partyzantka nie odebrała mu jeszcze niewinności, do kaplicy babci w rodzinnej hacjendzie w Paysandú, krainie krów i rozległych dzikich pastwisk stykających się na horyzoncie z bezkresnym turkusowym niebem.

Siostra Cecile przyniosła dwa rozkładane krzesła, zaproponowała gościowi butelkę wody, potem przyprowadziła swoją uczennicę i zostawiła ich samych, ale nie zamknęła drzwi, dając do zrozumienia, że będzie w pobliżu, bo Alarcona nie było na liście osób upoważnionych do odwiedzania dziewczyny w szkole.

Amanda przysłała z kamerą wideo, tak jak uzgodnili w e-mailach, zamontowała ją na trójnogu i otworzyła swój notatnik. Przez piętnaście minut rozmawiali o Urugwaju, a kolejne dziesięć zajęły im dokonywane szeptem uzgodnienia dotyczące uciekiniera. Kiedy w styczniu Alarcón usłyszał, że gracze w *Ripperra* zaczęli analizować zbrodnie popełnione w San Francisco, od razu się tym zainteresował, nie tylko dlatego, że intrygowała go piątka samotnych, introwertycznych, przemyślanych smarkaczy rywalizujących z ogromnym aparatem śledczym policji, ale również dlatego, że funkcje ludzkiego mózgu były jego specjalnością. Sztuczna inteligencja, jak tłumaczył swoim studentom na pierwszych zajęciach, to teoria i rozwinięcie systemu obliczeniowego zdolnego do realizacji zadań, które zwykle wymagają ludzkiej inteligencji. Czy istnieje różnica pomiędzy inteligencją ludzką i sztuczną? Czy maszyna może tworzyć, odczuwać emocje, wyobrażać sobie, mieć świadomość? Czy też potrafi tylko naśladować i doskonalić niektóre umiejętności człowieka? Na podstawie tych pytań powstała fascynująca wykładawcą dyscyplina naukowa, kognitywistyka, której założeniem, podobnym do przesłanki sztucznej inteligencji, jest obliczeniowa natura czynności ludzkiego umysłu. Celem kognitywistów jest wyjaśnienie tajemnic najbardziej skomplikowanego organu, jaki znamy: naszego mózgu. Kiedy Alarcón mówił, że najprawdopodobniej liczba stanów umysłu ludzkiego przewyższa liczbę atomów we wszechświecie, wszystkie wcześniejsze wyobrażenia jego studentów na temat sztucznej inteligencji rozsypywały się jak domek z kart. Dzieciaki od *Ripperra* rozumowały zgodnie z

logiką, którą maszyna mogła wzmocnić w niewiarygodny sposób, ale miały coś, co posiada tylko człowiek: wyobraźnię. Grały, korzystając z całkowitej swobody, dla czystej przyjemności, jaką daje zabawa, i w ten sposób docierały do wewnętrznych obszarów na razie niedostępnych dla sztucznej inteligencji. Pedro Alarcón marzył o uchwyceniu tego wymykającego się elementu i zastosowaniu go w programie komputerowym.

Amanda nie podejrzewała żadnej z tych rzeczy. Informowała Alarcona na bieżąco o postępach *Ripperera* tylko dlatego, że był przyjacielem Ryana, i dlatego, że on i jej dziadek jako jedyne dorosłe osoby okazali jakiegokolwiek zainteresowanie grą.

– Gdzie jest Ryan? – zapytała Amanda Urugwajczyka.

– W ruchu. W ruchomy cel trudniej trafić. Miller nie jest Kubą Rozpruwaczem, Amando.

– Wiem. Jak mogę mu pomóc?

– Znajdując szybko mordercę. Ty i ripperowcy możecie stać się mózgiem tej operacji, a Miller jej zbrojnym ramieniem.

– Czymś takim jak agent zero zero siedem.

– Ale bez szpiegowskich akcesoriów. Żadnych promieni laserowych w długopisie ani silników odrzutowych w butach. Ma tylko Attyłę i swój sprzęt komandosa Navy SEALs.

– To znaczy co?

– Nie wiem, myślę, że kąpielówki, żeby nie musieć pływać nago, i nóż, na wypadek, gdyby zaatakował go rekin.

– Mieszka na łodzi?

– To jest poufna informacja.

– Moja szkoła ma czterdziestohektarowy park i las w naturalnym stanie. Są kojoty, jelenie, szopy, skunksy, jakiś żbik, ale nie zapuszcza się tam żaden człowiek. Dobre miejsce, żeby się ukryć, mogę mu nosić jedzenie ze stołówki. Tu się dobrze jada.

– Dziękuję, weźmiemy to pod uwagę. Na razie Ryan nie może się kontaktować z tobą ani z nikim innym, ja będę łącznikiem. Dam ci sekretny numer. Wybierz go, odczekaj, aż telefon zadzwoni trzy razy, i się rozłącz. Nie zostawiaj wiadomości. Będę wiedział, jak cię znaleźć. Muszę być ostrożny, bo mnie pilnują.

– Kto?

– Twój tata. To znaczy policja. Ale to nic strasznego, Amando, potrafię ich zmylić, w młodości przez kilka lat nabierałem policję w Montevideo.

– Dlaczego?

– Przez idealizm, ale już dawno się z tego wyleczyłem.

– W dawnych czasach łatwiej było okpić policję.

– Teraz też jest łatwo, nie martw się.

– Czy potrafisz wchodzić do cudzych komputerów, jak haker?

– Nie.

– Myślałam, że jesteś cybernetycznym geniuszem. Nie pracujesz nad sztuczną inteligencją?

– Komputery tak się mają do sztucznej inteligencji, jak teleskopy do astronomii. Po co ci haker? – zapytał Urugwajczyk.

– Pasuje do mojej linii śledztwa. *Ripperowi* bardzo by się przydał haker.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, mogę ci kogoś załatwić.

– Będziemy wykorzystywać mojego pacholka jako posłańca. Kabel i ja mamy nasz własny szyfr. Kabel to mój dziadek.

– Wiem. Można mu ufać?

Amanda odpowiedziała lodowatym spojrzeniem. Pożegnali się oficjalnie w drzwiach szkoły, obserwowani z bliska przez siostrę Cecile. Kobieta miała szczególną słabość do Amandy Martín, bo obie lubiły skandynawskie powieści o okrutnych zbrodniach, poza tym w przypływie zaufania, którego potem pożałowała, dziewczyna powiedziała jej kiedyś, że bada sprawę krwawej łaźni zapowiedzianej przez Celeste Roko. Pożałowała, ponieważ od tamtego czasu siostra Cecile, która oddałaby wszystko, żeby tylko dzieciaki pozwoliły jej wziąć udział w grze, wytrwale śledziła postępy śledztwa i trudno było ją oszukać albo cokolwiek przed nią ukryć.

– Bardzo miły ten urugwajski kawaler – skomentowała tonem, który natychmiast obudził czujność Amandy. – Jak go poznałaś?

– To przyjaciel przyjaciela rodziny.

– Ma coś wspólnego z *Ripperem*?

– Skądże znowu, siostrzeco! Przyszedł z powodu mojej pracy na zajęcia z wiedzy o społeczeństwie.

– Dlaczego tak szeptaliście? Wydawało mi się, że coś knujecie...

– Skrzywienie zawodowe, siostrzeco. Podejrzewanie to siostry praca, nieprawdaż?

– Nie, Amando. Moją pracą jest służenie Jezusowi i wychowywanie dziewczynek – uśmiechnęła się Szkotka, odsłaniając zęby wielkie jak kostki domina.

Sobota, 24

Przez pierwszy tydzień swojego nowego życia w charakterze zbiega ukrywającego się przed wymiarem sprawiedliwości Ryan Miller pływał po zatoce San Francisco łodzią, którą zdobył dla niego Alarcón, bellboyem o długości szesnastu stóp, z do połowy odkrytą kabiną, potężnym silnikiem yamaha i dowodem rejestracji na fałszywe nazwisko. Nocami zatrzymywał się w jakiejś zatoczce i czasami wychodził na ląd z Attylą, żeby przebiec po ciemku kilka mil; to było jedyne ćwiczenie, na które sobie pozwalali, nie licząc pływania z zachowaniem maksymalnej ostrożności. Łodzie straży przybrzeżnej nie zapuszczały się na płycizny, dlatego mógłby latami poruszać się po tych wodach i nikt by go nie zatrzymał ani nie poprosił o okazanie dowodu rejestracyjnego, o ile nie zawijałby do najbardziej popularnych portów jachtowych.

Znajomość zatoki, na którą wypuszczał się tyle razy, żeby powiosłować, popływać żaglówką albo połować z Alarconem jesiotry i okonie, ułatwiała życie banity. Wiedział, że jest bezpieczny w takich miejscach jak malutka przystań zwana Toothless Riviera, gdzie stały rozwalające się łodzie i pływające domy, których nieliczni mieszkańcy o ciałach pokrytych tatuażami i zepsutym uzębieniu prawie ze sobą nie rozmawiali i nie patrzyli obcemu w oczy, oraz w niektórych osadach przy ujściach rzek, gdzie miejscowi uprawiali konopie albo produkowali metamfetaminę i nikt nie chciał przyciągać uwagi policji. Jednak ciasnota panująca na łodzi szybko stała się nieznośna zarówno dla mężczyzny, jak i dla psa, zaczęli więc szukać schronienia na lądzie i obozować w lesie. Miller miał mało czasu, by przygotować ucieczkę, ale dysponował tym, co najbardziej niezbędne: przenośnym komputerem, różnymi dokumentami tożsamości, pieniędzmi w gotówce, które przechowywał w torbie wodo- i ognioodpornej, oraz częścią swojego wyposażenia komandosa, które zabrał bardziej z powodów sentymentalnych, niż dlatego, że miało mu się na coś przydać.

Przez trzy dni ukrywał się z psem w Wingo, miasteczku widmie w hrabstwie Sonoma, gdzie stały zrujnowane domy, stary nieużywany most zżarty przez rdzę i mostki z pobielałego od słońca drewna. Zostaliby dłużej w tym miejscu, w towarzystwie kaczek, gryzoni, jeleni i cichych duchów, którym Wingo zawdzięcza swoją sławę, ale obawiał się, że nadchodząca wiosna przyciągnie rybaków, myśliwych i turystów. Nocami, kiedy okutany w śpiwór słuchał wiatru gwizdającego między deskami i czuł ciepło wtulonego w niego Attyli, wyobrażał sobie, że obok leży Indiana, z głową na jego ramieniu i ręką na jego piersi, a jej kręcone włosy muskają mu usta.

Trzeciej nocy w opuszczonej wiosce Miller zebrał się na odwagę i pierwszy raz przywołał obraz Sharbat. Trochę trwało, zanim przyszła, ale kiedy już się pojawiła, nie była niewyraźną, zakrwawioną postacią z jego koszmarów, lecz dziewczynką ze wspomnień, nienaruszoną, ze swoją wystraszoną miną, kwiciastą chustką i braciszkiem w ramionach. Poprosił ją o wybaczenie, obiecał, że przemierzy cały świat, by ją odszukać, i wygłosił długi monolog o tym, czego nigdy nikomu by nie powiedział, tylko jej, bo nikt nie ma ochoty poznać całej prawdy o wojnie, ludzi interesuje wyłącznie jej wersja heroiczna, wyprana z horroru. Nikt nie chce słuchać żołnierza mówiącego o swoich cierpieniach, opowieści o tym, jak to po drugiej

wojnie światowej odkryto, że tylko jeden na czterech żołnierzy strzelał po to, by zabić, że zmieniono szkolenie wojskowe, by wyeliminować tę instynktowną awersję i nauczyć odruchu zakodowanego w pamięci mięśniowej – automatycznego naciskania na spust bez wahania. Doprowadzono do tego, że obecnie dziewięćdziesiąt pięć procent żołnierzy zabija bezmyślnie. To prawdziwy sukces, ale nie udało się jeszcze udoskonalić metody tak, by uciszyć dzwony sumienia bijące już po wszystkim, po walce, kiedy trzeba wrócić do normalnego świata i jest czas na refleksję, kiedy zaczynają się nocne koszmary i wstyd, którego nie są w stanie złagodzić alkohol ani narkotyki. A kiedy nie ma gdzie wyładować nagromadzonej wściekłości, jedni szukają zwady w barach, inni biją swoje żony i dzieci.

Powiedział Sharbat, że należał go garstki wyspecjalizowanych żołnierzy, najlepszych na świecie. Każdy z nich stanowił śmiertcionośną broń, ich rzemiosłem była przemoc i zabijanie. Czasem jednak sumienie bierze górę nad szkoleniem i tymi wszystkimi wspaniałymi racjami uzasadniającymi wojnę, takimi jak obowiązek, honor, ojczyzna. A wtedy niektórzy dostrzegają zniszczenia, jakie sieją wszędzie tam, gdzie jadą walczyć, widzą kolegów wykrwawiających się po wybuchu nieprzyjacielskiego granatu, widzą ciała cywilów, kobiet, dzieci, starców przypadkowo zamieszanych w walkę i zadają sobie pytanie, o co się biją, jaki cel ma wojna, okupacja kraju, cierpienie ludzi takich samych jak oni, i co by było, gdyby wojska okupanta wkroczyły z czołgami do ich własnej dzielnicy, zmiażdżyły ich domy, a rozjechanymi trupami byłyby ich dzieci i żony, i zastanawiają się, dlaczego trzeba być bardziej wiernym ojczyźnie niż Bogu czy własnemu poczuciu dobra i zła, dlaczego nadal oddają się pasji zabijania i jak będą dalej żyć z potworem, którego w sobie wyhodowali.

Dziewczynka o zielonych oczach słuchała uważnie w milczeniu, jakby rozumiała jego język i wiedziała, z jakiego powodu płacze. Została przy nim, dopóki nie zasnął w swoim śpiworze, wyczerpany, z ręką na grzbiecie czuwającego nad jego snem psa.

Kiedy zdjęcie Ryana Millera pojawiło się w środkach przekazu wraz z apelem do ludności, by informowała policję o miejscu jego pobytu, Pedro Alarcón skontaktował się ze swoją przyjaciółką Denise West, na której dyskrecji mógł całkowicie polegać. Wyłumaczył jej żartobliwym tonem, ale nie bagatelizując ryzyka, dlaczego trzeba udzielić pomocy uciekinierowi poszukiwanemu z powodu podejrzenia o zabójstwo z premedytacją. Denise powitała z entuzjazmem pomysł ukrycia zbiega, bo była przyjaciółką Alarcona, a Miller nie wyglądał na zbrodniarza, poza tym wychodziła z założenia, że rząd, wymiar sprawiedliwości, a zwłaszcza policja są skorumpowani. Przyjęła komandosa do swojego domu, który Alarcón wybrał z powodu dogodnego położenia na terenach, gdzie były farmy, w pobliżu delty rzeki Napy wpływającej do zatoki San Pablo, w północnej części zatoki San Francisco.

Denise miała ogród warzywno-kwiatowy o powierzchni czterech akrów, który uprawiała dla przyjemności, i schronisko dla starych koni, które właściciele woleli oddać, niż zabić, kiedy były już nieprzydatne. Robiła domowe przetwory z owoców, hodowała kurczaki i kury nioski, więc miała ekologiczne jaja i wraz z innymi produktami sprzedawała je na targowiskach i w sklepach ze zdrową żywnością. Przeżyła w tym miejscu czterdzieści lat, oddana swoim zwierzacom i ziemi, pośród tych samych sąsiadów, równie mało towarzyskich jak ona. Do swojej skromnej kryjówki, stworzonej na miarę jej potrzeb, chronionej przed

wrzawą i pospolitością świata, przyjęła Ryana Millera i Attylę, którzy musieli dostosować się do wiejskiego życia, bardzo odmiennego od tego, jakie prowadzili do tej pory, w domu bez telewizora i urzędzeń AGD, za to z szybkim internetem, pośród rozpieszczonych zwierzątek domowych i emerytowanych koni. Nigdy nie żyli pod jednym dachem z kobietą, ale odkryli ze zdumieniem, że nie jest to takie straszne, jak sądzili. Od samego początku Attyła wykazał się wojskową dyscypliną, ze stoickim spokojem walcząc z pokusą pożarcia kurczaków chodzących na wolności i grzebiących w ziemi i zaatakowania kotów, które bezczelnie go prowokowały.

Oprócz tego, że zaoferowała im gościnę, Denise okazała się przydatna jako przedstawicielka Millera w *Ripperze*, on sam bowiem nie mógł pokazać swojej twarzy. Amanda poprosiła go, by uczestniczył w ich spotkaniach, bo uznała jego udział za niezbędny, stworzyli więc pośpiesznie nową postać, obdarzoną szczególnym talentem śledczym: Jezabel. Jedynymi osobami, które znały jej prawdziwą tożsamość, byli mistrzyni i Kabel, ale żadne z nich nie wiedziało, gdzie ukrywa się komandos ani kim jest dojrzała kobieta z długim siwym warkoczem udająca Jezabel. Pozostali gracze w *Ripperze* nie zostali zapytani o zdanie, bo despotyzm Amandy narastał, w miarę jak sprawa zabójstw coraz bardziej się komplikowała, ale ci, którzy na początku protestowali, bardzo szybko zrozumieli, że nowa uczestniczka jest na wagę złota.

– Przeglądałam akta policyjne spraw – obwieściła mistrzyni gry.

– Jak do nich dotarłaś? – zapytał Esmeralda.

– Mój pacholek ma dostęp do archiwum, a ja jestem zaprzyjaźniona z Petrą Horr, asystentką nadinspektora, która informuje mnie na bieżąco. Kopię całości przekazaliśmy Jezabel.

– Nikt nie powinien mieć przewagi nad pozostałymi graczami! – zaproponował pułkownik Paddington.

– Racja. Proszę o wybaczenie, to się już nie powtórzy. Posłuchajmy, co ma do powiedzenia Jezabel.

– Znalazłam coś, co powtarza się we wszystkich przypadkach z wyjątkiem zabójstwa Alana Kellera. Pierwsze pięć ofiar pracowało z dziećmi. Ed Staton był zatrudniony w poprawczaku w Arizonie, Constante'owie zarabiali na życie, przyjmując dzieci przysyłane przez Opiekę Społeczną dla Nieletnich, Richard Ashton specjalizował się w psychiatrii dziecięcej, a Rachel Rosen była sędzią dla nieletnich. To może być zbieg okoliczności, ale nie sądzę. Keller natomiast nie miał nic wspólnego z dziećmi, nawet nie chciał mieć własnych.

– To bardzo ciekawy klucz. Jeśli motywy zabójcy mają coś wspólnego z dziećmi, możemy założyć, że nie on zabił Kellera – powiedział Sherlock Holmes.

– Albo że zabił go z innego powodu – wtrąciła Abatha, która już wcześniej sugerowała taką możliwość.

– Nie mówimy o zwykłych dzieciach, tylko o takich, które sprawiają problemy swoim zachowaniem, są sierotami albo dziećmi z patologicznych rodzin. To zawęży poszukiwania.

– Następnym krokiem jest sprawdzenie, czy ofiary się znały, a jeśli tak, to skąd. Myślę, że jedno lub kilkoro dzieci wiążą jakoś te sprawy – powiedziała Amanda.

Poniedziałek, 26

O zbrodniach, z powodu których nadinspektor Bob Martín żył w stanie gorączkowego napięcia, mówiono w środkach przekazu, ale nie zaniepokoiły one mieszkańców San Francisco, bo informacja o seryjnym mordercy nie wyszła poza zamknięty krąg pracowników Wydziału Zabójstw. Prasa opisywała morderstwa osobno. W innych częściach kraju nie znalazły one żadnego oddźwięku. Opinia publiczna, która rzadko odczuwała wzburzenie, kiedy jakiś supremacjonista albo student uzbrojony na wypadek apokalipsy zabijał niewinnych ludzi, nie wykazywała większego zainteresowania sześcioma trupami z Kalifornii. Jediną osobą, która kilkakrotnie o nich wspomniała, był znany spiker skrajnie prawicowego radia: jego zdaniem zbrodnie stanowiły karę bożą za homoseksualizm, feminizm i ruchy ekologiczne w San Francisco.

Bob Martín miał nadzieję, że ta ogólnokrajowa obojętność pozwoli mu wykonywać jego pracę bez ingerencji ze strony agencji federalnych, i faktycznie tak było do czasu, kiedy dwa tygodnie po tym, jak podejrzenia padły na Ryana Millera, do biura nadinspektora zapukało dwoje agentów FBI. Zachowywali się tak tajemniczo, że można było mieć wątpliwości, czy nie są przypadkiem oszustami. Niestety, ich legitymacje okazały się prawdziwe. Nadinspektor został poinstruowany przez swoich zwierzchników, że ma im udzielić jak najdalej idącej pomocy, co uczynił bardzo niechętnie. Policja San Francisco powstała w 1849 roku, w czasach gorączki złota, i według autora pewnego artykułu z tamtego okresu składała się z bandytów gorszych niż złodzieje, zainteresowanych nie obroną prawa, a tym, by ich dawni kamraci uniknęli zasłużonej kary. W mieście panował wówczas chaos i musiało upłynąć wiele lat, zanim wreszcie zaprowadzono porządek. Policja jednak zmieniła się na lepsze w czasie krótszym, niż przewidywał autor artykułu, i Bob Martín był dumny, że w niej pracuje. Jego wydział cieszył się sławą bezlitosnego wobec przestępstw i pobłażliwego wobec drobnych wykroczeń; nie można go było oskarżyć o brutalność, korupcję ani o brak kompetencji, jak policję w innych miastach, choć często otrzymywał skargi na rzekomo niewłaściwe zachowanie swoich ludzi. Tylko bardzo nieliczne z nich okazywały się uzasadnione. Zdaniem Martina problemem nie była policja, tylko przekłeta chęć prowokowania wszelkich władz, tak charakterystyczna dla mieszkańców San Francisco. On sam miał pełne zaufanie do skuteczności swojego zespołu, dlatego ubolewał z powodu obecności federalnych, którzy mogli jedynie utrudnić śledztwo.

W biurze Boba Martina zjawili się agenci Napoleon Fournier III, Afroamerykanin z Luizjany, który pracował w wydziałach do spraw narkotyków, imigracyjnym i celnym, zanim przydzielono go do tajnych służb, oraz Lorraine Barcott z Wirginii, która w agencji zdobyła rozgłos z powodu bohaterskiej postawy w czasie jednej z operacji antyterrorystycznych. Czarnowłosa agentka o piwnych oczach i długich rzęsach w naturze okazała się o wiele bardziej atrakcyjna niż na zdjęciach. Bob Martín chciał ją zniewolić swoim śnieżnobiałym uśmiechem i uściskiem dłoni spod męskiego wąsa, ale zrezygnował, kiedy uścisk dłoni Barcott prawie połamał mu palce. Przyjechała z określoną misją i nie wyglądało na to, że ma ochotę rozpraszać się podziwianiem jego osoby. Odsunął dla niej krzesło z galanterią wyniesioną ze

swojej meksykańskiej rodziny, ale ona usiadła na innym. Petra Horr, która obserwowała tę scenę z progu, odchrząknęła, żeby ukryć śmiech.

Nadinspektor pokazał gościom akta sześciu zbrodni i poinformował o aktualnym stanie śledztwa oraz o wnioskach, do których doszedł, ale nie wspomniał o wkładzie swojej córki Amandy i byłego teścia Blake'a Jacksona, bo nowo przybyli mogliby odebrać to jako nepotyzm. Tego określenia nauczył się od nieboszczyka Alana Kellera, którego intrygowały stosunki panujące w rodzinie Indiany. Nie znał tego dziwnego słowa, dopóki nie usłyszał go z ust Kellera i nie sprawdził jego znaczenia w słowniku.

Barcott i Fournier zaczęli od upewnienia się, czy nikt nie grzebał w komputerach Ryana Millera, dobrze chronionych w opancerzonym pomieszczeniu wydziału, potem zamknęli się, by przestudiować dowody w poszukiwaniu jakiegoś śladu świadczącego o spisku tradycyjnych wrogów Stanów Zjednoczonych. Bobowi Martinowi powiedzieli tylko tyle, że komandos współpracuje z prywatną firmą zajmującą się bezpieczeństwem, działającą na zlecenie rządu amerykańskiego na Bliskim Wschodzie. Tak brzmiała oficjalna wersja, agenci woleli nie ujawniać reszty. Zadania, które mu zlecano, miały charakter poufny i obejmowały szare strefy, gdzie dla zapewnienia skuteczności trzeba było postępować wbrew przyjętym konwencjom. W tak niekomfortowej sytuacji jak ta panująca w regionie należało położyć na jednej szali obowiązek ochrony amerykańskich interesów, na drugiej układy międzynarodowe, które w sposób mijający się ze zdrowym rozsądkiem ograniczały możliwości działania. Władze i armia nie mogły wikłać się w pewne akcje, nie zezwalała im na to konstytucja, społeczeństwo ich nie akceptowało, dlatego korzystały z usług prywatnych firm. Było oczywiste, że Miller pracuje dla CIA, ale wywiad nie mógł działać na terenie Stanów Zjednoczonych, który podlegał FBI. Pary agentów federalnych nie interesowało sześć ofiar z San Francisco; ich zadanie polegało na odzyskaniu informacji, które posiadał Ryan Miller, zanim wpadną w ręce wroga, odnalezieniu komandosa, żeby odpowiedział na kilka pytań, i wycofaniu go z obiegu.

– Miller popełnia przestępstwa międzynarodowe? – zapytał zdumiony Bob Martín.

– To są misje, nie przestępstwa – odparł Fournier III.

– No proszę, a ja myślałem, że to tylko seryjny morderca!

– Nie ma pan na to dowodów. Poza tym nie podoba mi się pański sarkastyczny ton, inspektorze Martín – wypaliła Barcott.

– W teczce Kellera są niezbite dowody przeciwko niemu – przypomniał nadinspektor.

– Dowody na to, że odwiedził Kellera, nie że go zabił.

– Z jakiegoś powodu uciekł.

– Czy przyszło panu do głowy, że nasz człowiek został porwany? – zapytała kobieta.

– Nie, szczerze mówiąc, nie przyszło – odparł policjant, z trudem powstrzymując uśmiech.

– Ryan Miller jest cenną zdobyczą dla wroga.

– O jakim wrogu mówimy?

– Nie możemy tego ujawnić – powiedziała Lorraine Barcott.

Z biura FBI w Waszyngtonie przysłano również wysokiej klasy specjalistę od komputerów, żeby zbadał sprzęt skonfiskowany w mieszkaniu Millera. Nadinspektor Martín zaproponował Fournierowi III i Barcott pomoc własnych ludzi, równie doświadczonych jak ci z Waszyngtonu, ale powiedzieli mu, że zawartość komputerów jest tajna. Wszystko było tajne.

Nie upłynęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny od przybycia federalnych, a Bob Martín już zaczął tracić cierpliwość. Fournier III okazał się facetem ogarniętym jakąś obsesją, nie potrafił zaakceptować żadnej pomocy, upierał się, by informowano go o najdrobniejszych szczegółach, przez co opóźniał pracę pozostałych. Z Lorraine Barcott nadinspektor od samego początku żył w niezgodzie; próby zdobycia jej sympatii spełzły na niczym, ta kobieta była odporna na jego urok, a nawet na zwykłą koleżeńską życzliwość. „Niech pan się nie obrazi, szefie, ale czy nie widzi pan, że Barcott jest lesbijką?”, pocieszyła go Petra Horr.

Specjalista od komputerów zajął się sprawdzaniem twardych dysków, próbując cokolwiek odzyskać, choć przypuszczał, że Miller doskonale wiedział, jak wszystko wykasować. W tym czasie Bob Martín zrelacjonował Fournierowi III i Barcott przebieg poszukiwań Millera, które Wydział Zabójstw prowadził od dwunastu dni. W pierwszym tygodniu ograniczyli się do wystąpienia z prośbą o pomoc do policji z rejonu zatoki i wykorzystania swoich zwykłych informatorów, później zamieścili zdjęcie i rysopis Millera w środkach przekazu i internecie. Od tamtej pory otrzymali dziesiątki zgłoszeń od osób, które widziały kulejącego włóczęgę o wyglądzie ochroniarza w towarzystwie bestii, jednak wszystkie okazały się fałszywe. Przez pomyłkę zatrzymano dwóch żebraków z psami, których zaraz wypuszczono na wolność, a jakiś weteran wojny w Zatoce Perskiej zjawił się na komisariacie w Richmond, mówiąc, że to on jest Ryanem Millerem, ale nie potraktowali go poważnie, bo jego pies był suką rasy Jack Russell terrier.

Przesłuchali osoby mające kontakty ze zbiegiem: Franka Rinaldiego, administratora Dolphin Club, gdzie Miller regularnie pływał, właściciela budynku, w którym mieszkał, kilku chłopców z biednych rodzin, których szkolił w pływaniu, Danny’ego D’Angelo z Café Rossini, najemców lokali w Klinice Holistycznej, a przede wszystkim jego najbliższego przyjaciela, Pedra Alarcona. Bob Martín rozmawiał też z Indianą, ale tylko napomknął o niej FBI jako o jednej z uzdrowicielek z Kliniki Holistycznej; nie zamierzał ściągać uwagi agentów na członka własnej rodziny. Wiedział, że miała krótki romans z Millerem, co z jakiegoś powodu, którego sam nie potrafił zrozumieć, drażniło go bardziej niż cztery lata związku z Alanem Kellerem. Zachodził w głowę, jakie to zalety Millera mogły pociągać Indianę, i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie przespała się z nim z litości; w jej charakterze nie leżało odepchnięcie kaleki. Co za głupia kobieta. Jak by to było, kochać się bez jednej nogi? Cyrkowe akrobacje, możliwości są ograniczone, lepiej sobie tego nie wyobrażać. Jego determinacja, żeby schwytać zbiega, wynikała z czysto zawodowej gorliwości, nie miała nic wspólnego ze sprośnościami, które Miller mógł wyprawiać z matką jego córki.

– Ten Alarcón jest komunistą? – zapytała Lorraine Barcott, której wystarczyło czterdzieści sekund, by z pomocą komórki znaleźć Urugwajczyka w bazie danych FBI.

– Nie. Jest wykładowcą na Uniwersytecie Stanforda.

– To nie znaczy, że nie może być komunistą – upierała się.

– Zostali jeszcze w ogóle jacyś komuniści? Myślałem, że wyszli z mody. Przesłuchaliśmy Alarcona przez telefon i mamy go na oku. Do tej pory nie odkryliśmy w jego obecnym życiu żadnego związku z Kremlem ani innej nielegalnej czy podejrzanej działalności.

Agenci FBI uświadomili nadinspektorowi, że podejrzany zbieg jest komandosem Navy SEALs wyszkolonym do przeżycia w najcięższych warunkach – ukrywania się, unikania wroga, stawiania czoła śmierci – i że bardzo trudno będzie go schwytać. Ostrzegając ludność, policja jedynie sieje panikę; należy wyciszyć sprawę w mediach i kontynuować poszukiwania w dyskretny sposób, koniecznie z ich pomocą. Nalegali usilnie, by nie ujawniać żadnych informacji na temat działalności Millera w sektorze bezpieczeństwa międzynarodowego.

– Moja praca nie polega na chronieniu sekretów FBI, tylko na prowadzeniu śledztwa w tej sprawie, rozwikłaniu sześciu ostatnich zbrodni i niedopuszczeniu do kolejnych – powiedział Bob Martín.

– Oczywiście, inspektorze – zgodził się Napoleon Fournier III. – Nie zamierzamy wtrącać się do pańskiej pracy, ale ostrzegam pana, że Ryan Miller jest osobą niezrównoważoną, prawdopodobnie cierpi na zaburzenia na tle nerwowym, mógł popełnić przypisywane mu zbrodnie w stanie niepoczytalności. Dla nas w każdym razie jest spalony.

– Czyli już go nie potrzebujecie, stał się problemem i nie wiecie, co z nim zrobić. Miller jest do wyrzucenia. To chce mi pan przekazać, agencie Fournier?

– Pan to powiedział, nie ja.

– Przypominamy panu, że Miller jest dobrze uzbrojony i agresywny – dodała Lorraine Barcott. – Przez całe życie był żołnierzem, przywykł do tego, żeby najpierw strzelać, a dopiero później zadawać pytania. Radzę, żeby zrobił pan to samo, proszę pomyśleć o bezpieczeństwie pańskich ludzi i cywili.

– Niedobrze by było, gdyby Miller został zatrzymany i zaczął mówić, prawda?

– Widzę, że się rozumiemy, inspektorze.

– Myślę, że się nie rozumiemy, agentko Barcott. Przypuszczam, że metody FBI różnią się od naszych – rzucił Martín poirytowany. – Ryan Miller jest niewinny, dopóki nie zostanie udowodnione coś innego. Mamy zamiar go zatrzymać i przesłuchać jako podejrzanego, i spróbujemy to zrobić z jak najmniejszym uszczerbkiem dla niego i dla osób trzecich. Czy to jasne?

Po zakończeniu spotkania Petra Horr, która jak zawsze podsłuchiwała ze swojego pokoju, złapała nadinspektora za rękaw, wepchnęła za drzwi i wspięła się na palce, żeby pocałować go w usta. „Dobrze powiedziane! Jestem z pana dumna, szefie!” Zanim zaskoczony Bob Martín doszedł do siebie, jego asystentka zniknęła, jak chochlik, którym faktycznie była. Stał przyklejony do ściany, czując na wargach smak pocałunku, w ustach cynamonową gumę do żucia, a w ciele spóźniony żar.

Sobota, 31

Pierwszą osobą, którą zaniepokoiła nieobecność Indiany, była jej córka, bo lepiej niż ktokolwiek inny znała nawyki matki, dlatego zdziwiło ją, że w piątek nie przysłała na kolację z nią i dziadkiem. Zwyczaj ten pozostawał niezmienny – z nielicznymi wyjątkami – odkąd cztery lata temu dziewczyna zamieszkała w internacie. Matka i córka od poniedziałku czekały na to spotkanie, zwłaszcza kiedy Amanda miała spędzić sobotę i niedzielę u ojca. Od kiedy w życiu Indiany zabrakło Alana Kellera, który od czasu do czasu domagał się jej towarzystwa w piątki, na przykład kiedy pojechali do Turcji czy w związku z jakimś szczególnym spektaklem, nie miała powodów, żeby nie pojawiać się w domu w porze kolacji. Kończyła ostatni zabieg, wsiadała na rower, skręcała w Broadway Street pełną klubów ze striptizem i barów, wjeżdżała w Columbus Avenue, przy której znajdowała się słynna księgarnia City Lights – gniazdo bitników, mijala charakterystyczny budynek pokryty miedzią mieszczący studio filmowe Francisa Forda Coppoli i dojeżdżała do placu Portsmouth na obrzeżach Chinatown, gdzie spotykali się starsi ludzie, by ćwiczyć tai-chi i obstawiać wyniki w grach planszowych. Stamtąd jechała do wieżowca Transamerica, piramidy górującej nad San Francisco. O tej godzinie dzielnica finansowa zmieniała wygląd, bo zamykano biura i zaczynało się nocne życie. Przejeżdżała pod Bay Bridge łączącym miasto z Oakland, obok nowego stadionu bejsbolowego, skąd do jej dzielnicy było już niecałe dziesięć minut drogi. Czasami kupowała coś na deser po kolacji i zaraz potem zjawiała się w domu, gotowa usiąść do stołu. Ponieważ wracała późno, a dziadek i Amanda nie gotowali, byli zdani na dostawcę pizzy albo dobrą wolę Elsy Domínguez, która zazwyczaj zostawiała im coś do jedzenia w lodówce. W ten piątek dziadek i wnuczka czekali na Indianę do dziewiątej, aż w końcu zrezygnowani podgrzali pizzę, sztywną jak tektura.

– Coś jej się stało – szepnęła Amanda.

– Zaraz przyjedzie. Twoja mama ma ponad trzydzieści lat, to normalne, że po całym tygodniu pracy czasem wychodzi z przyjaciółmi na drinka.

– Ale mogła do nas zadzwonić! Któryś z tych niby przyjaciół na pewno pożyczylby jej komórkę.

W sobotę dzień powitał ich pomarańczowym niebem i wiosną widoczną w pączkach magnolii i kolibrach zawieszonych w locie między fuksjami niczym mikroskopijne helikoptery. Amanda obudziła się wystraszona, nękana złym przeczuciem, i usiadła na łóżku, drżąc na wspomnienie koszmaru, w którym Alan Keller próbował wyrwać sobie strzałę z piersi. Jej pokój oświetlały słabe żółtawe promienie przechodzące przez zasłony, a Ocal-Tuńczyka, lekka jak piana, spała zwinięta na poduszce snem zadowolonej z życia kotki. Dziewczyna wzięła ją na ręce i zanurzyła nos w jej ciepłym brzuszku, szepcząc zaklęcia, żeby pozbyć się upartych nocnych zjaw.

Boso, w podkoszulku dziadka, w którym spała, poszła do kuchni, podążając za zapachem kawy i grzanek unoszącym się w całym domu, żeby nalać kotce mleka, a sobie zrobić filiżankę gorącej czekolady. Blake już tam był, oglądał wiadomości, siedząc w kapciach i starym flanelowym szlafroku, który nosił jeszcze kiedy żyła jego żona, siedemnaście lat wcześniej.

Amanda posadziła mu kotkę na kolanach i weszła do jaskini czarownicy po kręconych schodach łączących ją z domem. Minutę później była z powrotem w kuchni, krzycząc, że w pokoju mamy nikogo nie ma, a łóżko jest nietknięte. Odkąd dziadek i wnuczka sięgali pamięcią, pierwszy raz Indiana nie wróciła na noc bez uprzedzenia.

– Dokąd mogła pójść, dziadku?

– Spokojnie, Amando. Ubierz się, odwiozę cię do taty, a potem wpadnę do gabinetu Indiany. Jestem pewien, że istnieje jakieś wytłumaczenie.

Ale nie istniało. W południe, po odwiedzeniu wszystkich miejsc, w których bywała, i skontaktowaniu się z jej najbliższymi przyjaciółmi, nawet z donią Encarnación, choć nie chciał niepotrzebnie jej alarmować, i z napawającą strachem Celeste Roko (odebrała telefon podczas masażu tylko dlatego, że zobaczyła na wyświetlaczu numer mężczyzny, za którego zamierzała wyjść za mąż), Jackson zadzwonił do Boba Martina i zapytał, czy powinien złożyć zawiadomienie na policji. Były zięć poradził mu, żeby trochę poczekał, bo policja nie podejmuje działań z powodu rzekomego zaginięcia dorosłej osoby, która nie wróciła do domu na noc, i dodał, że sam trochę popyta i zadzwoni do niego, jeśli coś ustali. Obaj bali się, że Indiana jest z Ryanem Millerem. Znali ją dobrze i byli w stanie wymienić kilka powodów uzasadniających te obawy, od nieobliczalnego współczucia, które mogło ją pchnąć do pospieszenia z pomocą zbiegowi uciekającemu przed prawem, po lekkomyślne serce, które kazało jej ścigać kolejną miłość, żeby zastąpić tę niedawno utraconą. Istniała także możliwość, której żaden z nich nie miał jeszcze odwagi brać pod uwagę, że Indiana jest z Ryanem Millerem wbrew własnej woli, jako zakładniczka. Bob Martín przypuszczał, że w takim przypadku bardzo szybko się o tym dowiedzą, kiedy zadzwoni telefon i porywacz przedstawi swoje żądania. Uświadomił sobie, że jest mokry od potu.

Sekretna komórka Pedra Alarcona zaczęła wibrować w kieszeni jego spodni, kiedy był w połowie sześciokilometrowej trasy, jaką przebiegał codziennie w parku Presidio, trenując do triathlonu, w którym uczestniczyłby z Ryanem Millerem, gdyby temu nie skomplikował się rozkład zajęć. Tylko dwie osoby mogły dzwonić pod ten numer, jego zbiegły przyjaciel i Amanda Martín. Zobaczył, że to dziewczyna, zmienił kierunek i pobiegł do najbliższego Starbucksa, gdzie kupił frapuccino, które nie mogło się równać z matę, ale pozwalało zmylić kogoś, kto by go śledził. Zapytał jednego z klientów, czy może skorzystać z jego komórki, i zadzwonił do Amandy, która przekazała telefon dziadkowi. Rozmowa z Blakiem Jacksonem składała się z czterech słów: czterdzieści minut, Dolphin Club. Alarcón pobiegł truchtem do swojego samochodu, pojechał prosto do Aquatic Park, gdzie niespodziewanie dopisało mu szczęście, bo zdołał znaleźć miejsce do zaparkowania, po czym jak każdej soboty z torbą na ramieniu wolnym krokiem ruszył w stronę klubu.

Jackson przyjechał taksówką na plac Ghirardello i poszedł do klubu wmieszany w tłum turystów i rodzin, które spacerowały, korzystając ze słonecznego dnia, jednego z tych, kiedy światło w zatoce przypomina słońce Grecji. Alarcón czekał na niego w ciemnym holu, na pozór pochłonięty studiowaniem pokratkowanej kartki, na której członkowie Klubu Polarnego zapisywali, ile przepłynęli tej zimy. Dał znak Blake'owi, żeby poszedł za nim do ciasnych

przebieralni na drugim piętrze.

– Gdzie jest moja córka? – zapytał Jackson Urugwajczyka.

– Indiana? Skąd mam to wiedzieć?

– Jest z Millerem, to nie ulega wątpliwości. Od wczoraj nie pojawiła się w domu ani nie zadzwoniła, to się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że są razem i nie skontaktowała się z nami przez ostrożność, żeby go chronić. Pan wie, gdzie ukrywa się Miller, proszę mu przekazać ode mnie wiadomość.

– Przekażę mu ją, jeśli zdołam, ale mogę panu przysiąc, że nie ma z nim Indiany.

– Żadnego przysięgania, najpierw niech pan porozmawia ze swoim przyjacielem. Jest pan współnikiem zbiega, winnym utrudniania śledztwa, i tak dalej. Proszę powiedzieć Millerowi, że jeśli Indiana nie zadzwoni do mnie przed ósmą wieczorem, to pan poniesie konsekwencje.

– Proszę mi nie grozić. Jestem po pańskiej stronie.

– Tak, tak, niech mi pan wybaczy. Trochę puszczają mi nerwy – wybełkotał dziadek, chrząkając, żeby ukryć strach, który ścisnął mu gardło.

– Trudno będzie się skontaktować z Millerem, bo stale jest w ruchu, ale spróbuję. Proszę czekać na sygnał ode mnie, zadzwonię do pana z budki telefonicznej, jak tylko się czegoś dowiem.

Alarcón poprowadził Blake'a Jacksona korytarzem łączącym Dolphin Club z konkurencyjnym South End, żeby opuścił budynek innymi drzwiami niż te, którymi wszedł, po czym udał się na plażę, skąd mógł spokojnie porozmawiać. Zadzwonił do swojego przyjaciela, by poinformować go, co się stało, i tak jak przypuszczał, Miller potwierdził, że nic nie wie o Indianie. Powiedział, że ostatnio rozmawiał z nią w swoim lofcie, w piątek 9 marca, w dniu, kiedy znaleziono zwłoki Alana Kellera. Odkąd się ukrywa, tysiąc razy chciał do niej zadzwonić, a nawet postawić wszystko na jedną kartę i zjawić się w Klinice Holistycznej, bo to dziwne milczenie, które ich dzieliło, stawało się coraz trudniejsze do zniesienia; musiał ją zobaczyć, przytulić, powtórzyć jej, że kocha ją bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek w całym swoim życiu i że nigdy z niej nie zrezygnuje. Ale nie mógł mieszać Indiany w swoje problemy. Nie był w stanie niczego jej zaoferować, najpierw musi schwytać mordercę Alana Kellera i oczyścić swoje nazwisko. Opowiedział Alarconowi, że po zniszczeniu zawartości komputerów i przed opuszczeniem loftu zadzwonił do Amandy, przekonany, że Indiana zapomniała komórki albo się jej rozładowała.

– Były razem, rozmawiałem z Indianą, przysięgłem jej, że nie zabiłem Kellera, chociaż faktycznie go uderzyłem, i powiedziałem, że będę musiał się ukryć, bo jestem podejrzany.

– Co ona na to?

– Że nie muszę jej niczego wyjaśniać, bo ona nigdy we mnie nie zwątpiła, i poprosiła, żebym poszedł na policję. Oczywiście odmówiłem i kazałem jej obiecać, że mnie nie wyda. To nie był dobry moment, żeby wspominać o naszym związku, Keller niedawno zmarł, ale nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem, że ją kocham i że kiedy sytuacja się wyjaśni, spróbuję za wszelką cenę sprawić, żeby się we mnie zakochała. To się teraz nie liczy, Pedro. Liczy się tylko to, żeby ją ocalić.

- Nie ma jej dopiero od kilku godzin...
- Jest w poważnym niebezpieczeństwie! – wykrzyknął Miller.
- Myślisz, że jej zniknięcie ma związek ze śmiercią Kellera?
- To nie ulega wątpliwości. A sądząc po okolicznościach zabójstwa Kellera, jestem pewien, że mamy do czynienia ze sprawcą wcześniejszych zbrodni.
- Nie widzę związku między Indianą a seryjnym mordercą.
- Ja też go na razie nie widzę, ale uwierz mi, Pedro, ten związek istnieje. Musimy natychmiast odnaleźć Indianę. Skontaktuj mnie z Amandą.
- Amandą? Mała jest bardzo wystraszona tym, co się stało, nie wiem, jak może ci pomóc.
- Zobaczysz.

Kwiecień

Niedziela, 1

Nadinspektor, ubrany jak na siłownię, w towarzystwie niosącej w torbie Ocal-Tuńczyka córki, która nie chciała zostać sama, ruszył w kierunku North Beach. Z samochodu zadzwonił do Petry Horr i opowiedział jej, co się stało, świadom, że w niedzielę jego asystentka ma wolne i nie musi mu pomagać. Poprosił ją, żeby przesała mu numery telefonów Pedra Alarcona, a także wszystkich uzdrowicieli z Kliniki Holistycznej i pacjentów Indiany, których dane były w posiadaniu Wydziału Zabójstw, odkąd zaczęły się poszukiwania Millera. Dziesięć minut później zaparkował, zastawiając czyjś samochód, przed zielonym budynkiem z oknami koloru kurzej kupy. Główne drzwi były otwarte, bo niektórzy terapeuci przyjmowali również w weekendy. Z Amandą, która cofnęła się do dzieciństwa – szła ze spuszczoną głową, bliska płaczu, ssąc palec, w naciągniętym na oczy kapturze parki – wbiegł na drugie piętro i wspiał się po schodkach prowadzących do nadbudówki Matheusa Pereiry, żeby poprosić go o klucz do gabinetu Indiany.

Malarz, który ewidentnie został wyciągnięty z łóżka, stanął w drzwiach nagi, nie licząc wystrzępionego ręcznika zakrywającego mu przyrodzenie; jego dredy wiły się niczym węże Meduzy, a twarz miała nieobecny wyraz kogoś, kto palił coś więcej niż tytoń i nie pamięta, jaki mamy rok. Jednak niedbały wygląd nie ujmował szyku temu mężczyźnie o łzawych oczach i zmysłowych ustach, pięknemu jak rzeźba w brązie Benvenuto Celliniego.

Nadbudówka Brazylijczyka mogłaby znajdować się równie dobrze w ubogiej dzielnicy Kalkuty. Pereira wznosił ją stopniowo na dachu, między zbiornikiem na wodę pitną a zewnętrznymi schodami pożarowymi, z tą samą swobodą, z jaką tworzył swoje dzieła sztuki. Efektem był żywy organizm o zmiennych kształtach, wykonany głównie z kartonu, plastiku, płyt cynkowych i sklejki, z podłogą częściowo cementową, częściowo pokrytą byle jak położonym linoleum i kilkoma postrzępionymi dywanami. Wewnątrz mieszkanie było kompozycją bezkształtnych przestrzeni, które pełniły różne funkcje i mogły zostać w mgnieniu oka zmodyfikowane poprzez zdjęcie kawałka ceraty, przesunięcie parawanu albo zwykłe poprzestawianie pudeł i skrzyń stanowiących znaczną część umeblowania. Bob Martín początkowo sklasyfikował mieszkanie jako hipisowską norę, duszną, brudną i na pewno nielegalną, ale w głębi duszy musiał przyznać, że ma ono pewien urok. Światło słoneczne przechodzące przez płyty z niebieskiego plastiku nadawało mu klimat akwarium, duże obrazy w podstawowych barwach, które w holu budynku wydawały się agresywne, na poddaszu wyglądały jak dziecięce rysunki, a bałagan i brud, gdzie indziej odrażające, tutaj były do przyjęcia jako dziwactwo artysty.

– Niech pan sobie przytrzyma ręcznik, widzi pan, że jestem z córką – nakazał Pereirze.

– Cześć, Amando – przywitał się malarz, blokując wejście, żeby goście nie zauważyli plantacji konopi za przepierzeniem z prysznicowych zasłon.

Bob Martín już ją zobaczył, poczuł też charakterystyczny słodkawy zapaszek, którym przesiąknięte było całe mieszkanie, ale udał, że się nie zorientował, jako że przyszedł tu w innej sprawie. Wyjaśnił powody swojej niestosownej wizyty, na co Pereira odpowiedział, że rozmawiał z Indianą w piątek po południu, kiedy wychodziła.

– Mówiła, że idzie się spotkać ze znajomymi w Café Rossini, a kiedy zmniejszy się ruch, wróci do domu.

– Wspomniała, co to za znajomi?

– Nie pamiętam, prawdę mówiąc, nie bardzo zwracałem na to uwagę. Wychodziła z budynku jako ostatnia. Zamknąłem główne drzwi około ósmej, a może to była dziewiąta... – odparł niepewnie Pereira, niezbyt skory do udzielania informacji policjantowi. Sądził, że Indiana gdzieś zabalowała, i nie zamierzał ułatwiać zadania jej byłemu mężowi.

Zachowanie nadinspektora wskazywało jednak, że lepiej z nim współpracować, przynajmniej pozornie, włożył więc swoje nieśmiertelne dżinsy, wziął pęk kluczy i zaprowadził ich do gabinetu numer osiem. Otworzył drzwi i na prośbę Martina, który nie wiedział, co zastanie w środku, zaczekał na korytarzu z Amandą. W gabinecie Indiany wszystko było w idealnym porządku, ręczniki ułożone w stos, czyste prześcieradła na łóżku do masażu, fiolki z olejkami, magnesy, świece i kadzidełka gotowe do zapalenia w poniedziałek, na parapecie roślina, którą podarował jej Brazylijczyk, niedawno podlana. Amanda zobaczyła z korytarza laptop na stoliku w recepcji i zapytała ojca, czy może go otworzyć, bo zna hasło. Bob Martín wyjaśnił jej, że nie mogą zatrzeć odcisków palców, po czym zszedł do samochodu po rękawiczki i plastikową torbę. Na ulicy przypomniał sobie o rowerze i skręcił za róg budynku, gdzie znajdował się żelazny stojak. Przeszedł go dreszcz, kiedy zobaczył przywiązany rower Indiany. Poczł w gardle smak żółci.

Tego dnia Danny D'Angelo nie pracował w Café Rossini, ale Bob Martín przesłuchał resztę obsługi, która nie potrafiła powiedzieć, czy widziała Indianę, bo w piątkowe popołudnie lokal był pełen ludzi. Nadinspektor pokazał zdjęcie zaginionej, które Amanda miała w komórce, personelowi kuchni i klientom, rozkoszującym się o tej porze włoską kawą i najlepszymi ciastkami w North Beach. Kilku stałych bywalców znało Indianę, ale nie pamiętali, żeby widzieli ją w piątek. Ojciec i córka już mieli odejść, kiedy podszedł do nich rudowłosa mężczyzna w pogniecionym ubraniu, który wcześniej siedział przy stoliku w głębi lokalu i zapisywał coś w żółtym notesie.

– Dlaczego szukają państwo Indiany Jackson? – zapytał.

– Zna ją pan?

– Powiedzmy, że tak, choć nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Nadinspektor Bob Martín z Wydziału Zabójstw, a to moja córka, Amanda – powiedział policjant, pokazując odznakę.

– Samuel Hamilton Junior, prywatny detektyw.

– Samuel Hamilton? Jak słynny detektyw z powieści Gordona? – zdziwił nadinspektor.

– To mój ojciec. Nie był detektywem, tylko dziennikarzem, i obawiam się, że jego wyczyny zostały nieco wyolbrzymione przez autora. To działo się w latach sześćdziesiątych. Mój staruszek już umarł, ale przez wiele lat żył wspomnieniem swojej dawnej sławy, a raczej swojej zbeletryzowanej sławy.

– Co pan wie o Indianie Jackson?

– Całkiem sporo, inspektorze, wiem nawet, że była pańską żoną i że jest matką Amandy. Proszę pozwolić, że wyjaśnię. Cztery lata temu pan Alan Keller wynajął mnie, żebym ją śledził. Niestety, większość dochodów zapewniają mi zazdrosne osoby, które podejrzewają swoich partnerów, to najnudniejszy i najmniej przyjemny aspekt mojej pracy. Ponieważ nie mogłem przekazać panu Kellerowi żadnych interesujących informacji, zrezygnował ze śledzenia pani Jackson, ale co kilka miesięcy dzwonił do mnie po kolejnym przypiływie zazdrości. Nigdy nie dał się przekonać, że jest mu wierna.

– Wie pan, że Alan Keller został zamordowany?

– Tak, oczywiście, informację podały wszystkie media. Przykro mi z powodu pani Jackson, bardzo go kochała.

– Szukamy jej, panie Hamilton. Od piątku nie ma o niej żadnych wieści. Wygląda na to, że ostatnią osobą, która ją widziała, jest malarz mieszkający w Klinice Holistycznej.

– Matheus Pereira.

– Właśnie. Mówi, że widział ją po południu i że wybierała się tutaj na spotkanie ze znajomymi. Może nam pan pomóc?

– Nie było mnie tu w piątek, ale mogę dać panu listę znajomych, z którymi pani Jackson widywała się w ciągu ostatnich czterech lat. Mam ją w domu, mieszkam niedaleko stąd.

Pół godziny później Samuel Hamilton przyjechał na komendę z grubą teczką i laptopem, podniecony, bo pierwszy raz od miesiący trafiła mu się ciekawa sprawa, coś więcej niż ściganie ludzi, którzy łamali warunki poręczenia majątkowego, szpiegowanie par przez teleskop i grożenie biedakom, którzy nie płacili czynszu albo odsetek od kredytu. Jego praca była nudna, nie miała w sobie nic poetyckiego ani ciekawego, w przeciwieństwie do pracy detektywów z powieści.

Petra Horr zrezygnowała z wolnego dnia i siedziała w biurze, próbując pocieszyć Amandę, która przycupnęła na podłodze skurczona do połowy swojego normalnego rozmiaru, niema, przytulona do torby z Ocal-Tuńczyka. Kiedy szef zadzwonił do niej tego ranka, asystentka akurat farbowała sobie w łazience włosy na trzy kolory; natychmiast je splukała, ubrała się i pędem wskoczyła na motor. Bez żelu, którym zwykle stroszyła fryzurę, w krótkich spodenkach, wypłowiałym podkoszulku i adidasach Petra wyglądała na piętnaście lat.

Nadinspektor zawiadomił już zespół techników, żeby zdjęli odciski palców z komputera Indiany, a potem pojechali do Kliniki Holistycznej zabezpieczyć dowody. Amanda chowała się coraz głębiej pod swoim kapturem, w miarę jak słuchała rozkazów wydawanych przez ojca, mimo że Petra Horr wyjaśniła jej, że to rutynowe procedury mające na celu zebranie informacji i nie znaczą wcale, że jej matce przytrafiło się coś złego. W odpowiedzi Amanda tylko jęknęła, gorączkowo ssąc kciuk. Kiedy Petra zauważyła, że dziewczyna wraz z upływem godzin zamienia się w dziecko, przestraszyła się, że skończy w pieluchach, i z własnej inicjatywy zadzwoniła do jej dziadka. „Jeszcze nic nie wiemy, panie Jackson, ale nadinspektor zajmuje się teraz wyłącznie poszukiwaniem pańskiej córki. Mógłby pan przyjechać do wydziału? Pańska wnuczka poczułaby się lepiej, gdyby pan tutaj był. Wyślę po pana radiowóz.

Dziś jest maraton z okazji prima aprilis i na wielu ulicach zamknięto ruch”.

W tym czasie Samuel Hamilton rozłożył na biurku Boba Martina okazałą zawartość swojej teczki z pełną historią prywatnego życia Indiany: informacje o jej wyjściach i powrotach, zapisy z podsłuchanych rozmów telefonicznych i dziesiątki zdjęć, w większości zrobionych z dużej odległości, ale dość wyraźnych po powiększeniu na monitorze komputera. Znajdowali się na nich członkowie jej rodziny, pacjenci z gabinetu łącznie z pudłem, przyjaciele i znajomi. Bob Martín poczuł pogardę dla Alana Kellera, obrzydzenie z powodu sposobu, w jaki Samuel Hamilton szpiegował Indianę, połączone z zawodowym zainteresowaniem cennymi materiałami i nieuniknionym lękiem na widok wystawionego przed nim prywatnego życia kobiety, którą chciał za wszelką cenę chronić. Zdjęcia głęboko go poruszyły: Indiana na rowerze przecinająca ulicę w pielęgniarskim fartuchu, na pikniku w lesie, przytulająca Amandę, rozmawiająca, dzwoniąca przez telefon, robiąca zakupy na targu, zmęczona, wesoła, śpiąca na balkonie swojego mieszkania nad garażem ojca, niosąca gigantyczny tort dla doñii Encarnaci3n, kłócąca się z nim, z Bobem, na ulicy, z rękami na biodrach, zła. Indiana, łatwa do zranienia i niewinna, świeża jak młoda dziewczyna, wydała mu się tak piękna jak w wieku piętnastu lat, kiedy uwi3dł ją za trybunami w sali gimnastycznej, z tą samą gnuśnością i nieświadomością, z jaką robił wszystko w tamtym okresie. Poczłł nienawiść do samego siebie za to, że jej nie kochał i nie dbał o nią tak, jak na to zasługiwała, że stracił szansę na stworzenie z nią ciepłej rodziny, w której Amanda mogłaby rozkwitnąć.

– Co pan wie o Rynie Millerze? – zapytał Hamiltona.

– Poza tym, że jest poszukiwany w związku z zabójstwem pana Kellera, wiem, że miał romans z panią Jackson. Trwał bardzo krótko, kiedy ona i pan Keller zerwali, nie doszło więc do zdrady i o niczym mu nie wspominałem. Polubiłem tę kobietę, to dobry człowiek, niewiele jest takich osób na świecie.

– Co pan sądzi o Millerze?

– Pan Keller był zazdrosny prawie o wszystkich, ale o Millera szczególnie. Straciłem setki godzin na jego śledzenie. Wiem co nieco o jego przeszłości i znam jego zwyczaje, ale sposób, w jaki zarabia na życie, pozostaje dla mnie tajemnicą. Jestem pewien, że utrzymuje się z czegoś więcej niż renta weterana, bo żyje dostatnio i podróżuje za granicę. Jego mieszkanie jest chronione ekstremalnymi środkami bezpieczeństwa, posiada kilka sztuk broni, wszystkie są legalne, a dwa razy w tygodniu ćwiczy na strzelnicy. Nigdy nie rozstaje się ze swoim psem. Tutaj ma niewielu przyjaciół, ale jest w kontakcie z towarzyszami broni, komandosami ze swojej grupy, SEAL Team 6. Dwa miesiące temu rozstał się z kochanką, Jennifer Yang, Amerykanką chińskiego pochodzenia – samotna, trzydzieści siedem lat, kierowniczką w banku – która zjawiła się w gabinecie Indiany Jackson i zagroziła, że obleje jej twarz kwasem.

– Jak to? Indiana nigdy mi o tym nie mówiła – przerwał mu Martín.

– Indiana i Miller byli wówczas tylko przyjaciółmi. Przypuszczam, że Miller wspomniał jej, że ma dziewczynę, tak ją nazwijmy, ale nigdy ich sobie nie przedstawił, więc kiedy Jennifer przyszła do gabinetu, krzycząc jak szalona, Indiana pomyślała, że kobieta pomyliła drzwi. Matheus Pereira usłyszał awanturę, zszedł z poddasza i wyciągnął Yang z budynku.

– Ta kobieta była notowana?

– Nie. Jedyne, co dziwi w jej zachowaniu, to coroczny udział w paradzie sadomasochistycznej na ulicy Folsom. Mam kilka zdjęć, na których dostaje baty na masce starego buicka. Chce pan je obejrzyć?

– Tylko jeśli ponownie niepokoiła Indianę.

– Nie. Na pańskim miejscu, inspektorze, nie traciłbym czasu na Jennifer Yang. Wróćmy do Ryana Millera, będę się streszczał. Jego ojciec zaszedł bardzo wysoko w marynarce, gdzie cieszył się opinią surowego, a nawet okrutnego wobec podwładnych; matka popełniła samobójstwo, używając służbowego pistoletu męża, ale w rodzinie zawsze mówiono, że to był wypadek. Miller wstąpił do marynarki, idąc w ślady ojca, wzorowy przebieg służby, medale za odwagę, został przeniesiony do rezerwy po tym, jak stracił nogę w Iraku w dwa tysiące siódmym roku, otrzymał stosowne odznaczenie, ale wkrótce pogrążył się w nałogu... Narkotyki, alkohol, jak to zwykle bywa w takich przypadkach. Przeszedł rehabilitację, pracuje dla agencji rządowych i Pentagonu, ale nie potrafię powiedzieć panu jako kto, prawdopodobnie jest w wywiadzie.

– W nocy osiemnastego lutego Miller został zatrzymany za użycie przemocy w jednym z klubów. Z jego winy trzy osoby trafiły do szpitala. Uważa pan, że byłby zdolny zamordować Kellera?

– Mógłby to zrobić w przyływie złości, ale nie w ten sposób. To komandos, inspektorze. Stawiłby czoła przeciwnikowi i dałby mu szansę na obronę, nigdy nie użyłby trucizny.

– Informacja o truciznie nie została ujawniona, skąd pan o tym wie?

– Na tym polega moja praca, wiem wiele rzeczy.

– W takim razie może wie pan też, gdzie ukrywa się Miller?

– Nie rozpocząłem jeszcze poszukiwań, inspektorze, ale jeśli to zrobię, na pewno go znajdę.

– Proszę to zrobić, panie Hamilton, potrzebujemy każdej pomocy.

Bob Martín zamknął drzwi swojego gabinetu, żeby nie usłyszała go Amanda, i wyznał Samuelowi Hamiltonowi, że podejrzewa, iż Miller mógł porwać Indianę.

– Proszę posłuchać, inspektorze, odkąd dowiedziałem się, że policja szuka Millera, śledziłem panią Jackson, bo istniała możliwość, że się spotkają. Mam obecnie mało pracy i nadmiar wolnego czasu. Pilnowałem jej tyle razy, że uważam ją niemal za swoją przyjaciółkę. Miller jest w niej zakochany, więc pomyślałem, że spróbuje się z nią skontaktować, ale z tego co wiem, to ze sobą nie rozmawiali – powiedział Hamilton.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Pan zna panią Jackson lepiej niż ja, inspektorze: jest przezroczysta. Gdyby pomagała Millerowi, nie potrafiłaby tego zataić. Poza tym jej rutyna nie uległa zmianie. Mam w tym doświadczenie, wiem, kiedy ktoś coś ukrywa.

Kiedy Bob Martín przeglądał akta prywatnego detektywa, Blake Jackson wbiegł bez tchu do małego pokoiku Petry Horr, gdzie zastał wnuczkę zwiniętą w kłębek na podłodze, z czołem

między kolanami, tak małą, że przypominała stosik ubrań. Usiadł obok, nie dotykając jej, bo wiedział, jak potrafi być niedostępna, i czekał w ciszy. Pięć minut później, które Petrze wydały się godzinami, Amanda wyciągnęła rękę z fałdów ubrania i pomacała w powietrzu, szukając dłoni dziadka.

– Ocal-Tuńczyka potrzebuje powietrza, jedzenia i musi załatwić swoje potrzeby. Wstawaj, ślicznotko, mamy dużo do zrobienia – powiedział dziadek tonem, jakim uspokaja się wystraszone zwierzę.

– Moja mama...

– O tym właśnie mówię, Amando. Trzeba ją odnaleźć. Zawiadomiłem ludzi z *Ripperera*, żebyśmy spotkali się za dwie godziny. Wszyscy są zgodni co do tego, że to priorytetowa sprawa, i już zaczęli działać. No dalej, dziecko, rusz się i chodź ze mną.

Dziadek pomógł wnuczce stanąć na nogi, poprawił jej trochę ubranie, wziął torbę z kotką, ale kiedy już wychodził, trzymając Amandę za rękę, Petra, która rozmawiała przez telefon, zatrzymała ich ruchem dłoni.

– W laboratorium mają już odciski z komputera, zaraz go dostaniemy.

Jeden z policjantów przyniósł laptopa w tej samej plastikowej torbie, w której kilka godzin wcześniej umieścił go Bob Martín, i wręczył im raport z laboratorium; znaleźli jedynie odciski palców Indiany. Nadinspektor wyjął komputer i wszyscy skupili się wokół jego biurka, podczas gdy Amanda, która znała zawartość laptopa równie dobrze jak jego właścicielka, otwierała go w gumowych rękawiczkach. Poczawszy się przydatna, wyszła z odrętwienia i zdjęła z głowy kaptur, ale smutny wyraz jej twarzy nie uległ zmianie. Indiana, antytalent, jeśli chodzi o sprzęt mechaniczny czy elektroniczny, w minimalnym stopniu wykorzystywała możliwości komputera: służył jej do komunikacji, zapisywała w nim historię chorób i metody leczenia swoich pacjentów, prowadziła rachunki i niewiele więcej. Przeczytali pocztę z dwudziestu trzech dni, które minęły od śmierci Alana Kellera, i znaleźli jedynie banalną korespondencję z tymi samymi co zawsze adresatami. Bob poprosił Petrę, żeby skopiowała e-maile, powinni je przestudiować w poszukiwaniu jakiegoś znaczącego szczegółu. Nagle ekran zrobił się czarny i Amanda zaklęła, bo już miała do czynienia z tym problemem.

– Co się dzieje? – zapytał nadinspektor.

– Markiz de Sade. To osobisty zboczeniec mojej mamy. Przygotujcie się, zaraz zobaczycie świństwa, które wysyła jej ten łajdak.

Nie skończyła jeszcze mówić, kiedy na ekran wrócił obraz, ale zamiast niewyraźnych aktów okrucieństwa i seksu, których spodziewała się Amanda, zobaczyli zimowy pejzaż oświetlony księżycem, gdzieś na północy kuli ziemskiej, prześwit w sosnowym lesie, śnieg, lód, usłyszeli też odgłosy wiatru. Kilka sekund później między drzewami pojawiła się samotna postać, która na początku wyglądała jak cień, ale kiedy ruszyła po śniegu, okazała się dużym psem. Zwierzę węszyło po ziemi, zataczając koła, potem usiadło, podniosło głowę do nieba i pozdrowiło księżyc niekończącym się wyciem.

Scena trwała niecałe dwie minuty i zbiła z tropu wszystkich poza Amandą, która niepewnie wstała, wytrzeszczając oczy, a z jej gardła wydobył się ochryply krzyk. „Wilk, podpis

mordercy”, zdołała wykrztusić, zanim zgięła się w pół i zwymiotowała na ergonomiczny fotel swojego ojca.

Nieraz mi mówiłaś, że ufasz w swój szczęśliwy los, Indiano, wierzysz, że duch twojej matki czuwa nad całą rodziną. To tłumaczy, dlaczego nie robisz planów na przyszłość, nie oszczędzasz ani centa, żyjesz z dnia na dzień, wesół jak konik polny. Uniknęłaś nawet lęków każdej normalnej matki, uważasz za oczywiste, że Amandzie się powiedzie, dzięki jej własnym osiągnięciom albo pomocy ojca i dziadka; nawet w tej kwestii jesteś nieodpowiedzialna. Zazdroszczę ci. Mnie nie sprzyja szczęśliwy los ani nie mam przy sobie aniołów stróżów, dobrze byłoby wierzyć, że opiekuje się mną duch matki, ale to dziecinada. Dbam o siebie bez niczyjej pomocy. Podejmuję środki ostrożności, bo świat jest wrogi i źle mnie potraktował.

Jesteś bardzo spokojna, ale wiem, że mnie słyszysz. Coś kombinujesz? Zapomnij o tym. Za pierwszym razem, kiedy się obudziłaś, w sobotę w nocy, było tak ciemno, wilgotno i zimno i panowała tak kompletna cisza, że pomyślałaś, że nie żyjesz i leżysz w grobie. Nie byłaś przygotowana na strach. Ja za to doskonale wiem, czym on jest. Spałaś dwadzieścia cztery godziny i byłaś zdezorientowana, wydaje mi się, że od tamtej pory niewiele razy odzyskiwałaś przytomność. Krzyczałaś przez chwilę, aż zrozumiałaś, że nikt nie przyjdzie ci z pomocą, a kiedy usłyszałaś echo swojego głosu odbijające się od ogromu tej fortecy, usta zamknął ci paniczny strach. Przez ostrożność muszę cię kneblować, kiedy wychodzę, choć wcale mi się to nie podoba, bo klej z taśmy podrażni ci skórę. Możliwe, że podczas mojej nieobecności odzyskasz na chwilę świadomość i znowu ją stracisz, to efekt lekarstwa, które ci podaję, żebyś się lepiej czuła, dla twojego dobra. To tylko benzodiazepina, nieszkodliwa, chociaż muszę aplikować ci duże dawki, ale ty jesteś silna, Indi. Jedynymi powikłaniami mogą być konwulsje albo zatrzymanie pracy serca, ale rzadko do tego dochodzi. Wiem coś o tym, od wielu lat studiuję i eksperymentuję. Pamiętasz, jak się tu znalazłaś? Na pewno niczego nie pamiętasz. Ketamina, którą dostałaś w piątek, powoduje amnezję, to normalne. To bardzo użyteczny narkotyk, CIA robiła z nim eksperymenty podczas przesłuchań, jest mniej kontrowersyjny niż tortury. Osobiście nie znoszę okrucieństwa, widok krwi przyprawia mnie o zawroty głowy, żaden ze straconych przeze mnie niegodziwców nie cierpiał bardziej, niż to konieczne. W twoim przypadku środki nasenne są wskazane, pomagają ci przetrwać, ale jutro zacznę zmniejszać dawkę, żeby uniknąć ryzyka i żeby wreszcie udało się nam porozmawiać. Słyszę jeszcze, jak szepczesz coś o jakimś mauzoleum, myślisz, że zostałaś pochowana, chociaż znasz swoją sytuację. Skurcz w brzuchu ci minie, daję ci też środki przeciwbólowe i rozluźniające mięśnie, dbam o twoje dobre samopoczucie. Powtarzam ci, że to nie koszmar, Indiano, ani nie zwariowałaś. To normalne, że nie wiesz, co wydarzyło się w ostatnich dniach, ale niedługo przypomnisz sobie, kim jesteś, i zaczniesz tęsknić za córką, za ojcem, za swoim wcześniejszym życiem. Osłabienie także jest

normalne i minie, bądź cierpliwa, ale nie poprawi ci się, jeśli nie będziesz jadła. Powinnaś coś zjeść. Nie zmuszaj mnie do zastosowania nieprzyjemnych środków. Twoje życie już do ciebie nie należy, twoje życie jest moje i ja odpowiadam za twoje zdrowie, ja zdecyduję, w jaki sposób i jak długo będziesz żyć.

Wtorek, 3

Dzięki Ripperowi, który pomagał jej zabić czas, Amanda zdołała wyjść ze stanu przerażenia, w którym pogрузzyła się, nabrawszy pewności, że Wilk przetrzymuje jej matkę. Żaden argument ojca nie zdołał przekonać dziewczyny, że nieobecność Indiany nie jest związana z wcześniejszymi zbrodniami, tak naprawdę on sam nie wierzył w racjonalne teorie, którymi próbował uspokoić córkę. Symbol wilka stanowił jedyny element łączący Indianę z mordercą, ale był zbyt oczywisty, żeby go zignorować. Dlaczego Indiana? Dlaczego Alan Keller? Nadinspektor przeczuwał, że na nic zdadzą mu się wiedza czy doświadczenie zdobyte w wieloletniej pracy, i prosił Boga, żeby nie zawiódł go policyjny nos, z którego był tak dumny.

Ponieważ Amanda wciąż miała stany lękowe, Blake Jackson zadzwonił do szkoły, żeby opowiedzieć siostrze Cecile o rodzinnej tragedii, i uprzedził, że jego wnuczka nie jest w stanie wrócić na lekcje. Zakonnica pozwoliła dziewczynie opuścić tyle dni, ile będzie trzeba, zapewniła, że wraz z innymi siostrami będzie się modlić za Indianę, i poprosiła, żeby informowali ją na bieżąco. Blake także nie poszedł do pracy, oddał się całkowicie opiece nad wnuczką i udziałowi w grze, która przestała być zabawą i zamieniła się w przerażającą rzeczywistość. Ripperowcy musieli się zmierzyć z „matką wszystkich gier”, jak nazwali desperackie poszukiwania Indiany Jackson.

Bob Martín uznał, że morderca jest psychopatą o wybitnej inteligencji, metodycznym i bezwzględny, jednym z najbardziej skomplikowanych i diabolicznych zbrodniarzy, o jakich słyszał. Twierdził, że jego rutynowa praca w policji jest prosta dzięki siatce donosicieli, którzy dostarczają mu informacji o światku przestępczym. Poza tym większość zwykłych kryminalistów miała kartotekę, byli recydywistami, zbrodniarzami, narkomanami, alkoholikami albo zwyczajnymi głupcami, którzy zostawiali mnóstwo śladów, potykali się o swój cień, nawzajem zdradzali i donosili jedni na drugich, a w końcu padali pod własnym ciężarem. Problem stanowili złoczyńcy wysokich lotów, ci, którzy powodowali katastrofalne szkody, nie brudząc sobie przy tym rąk, uciekali przed sprawiedliwością i umierali jako starcy we własnych łóżkach. Ale od początku służby nigdy nie spotkał nikogo takiego jak Wilk, nie wiedział, do jakiej kategorii go przyporządkować, co nim powoduje, jak wybiera swoje ofiary i planuje każdą zbrodnię. Czuł, jakby czyjaś dłoń ścisnęła mu żołądek, sądził, że Wilk jest bardzo blisko, że jest jego osobistym wrogiem. Śmierć Alana Kellera była przestrożą, a zniknięcie Indiany obelgą wymierzoną bezpośrednio w niego; na myśl, że mógłby się zniecać także nad Amandą, oblewał go lodowaty pot.

Od momentu zniknięcia Indiany nadinspektor nie wrócił do swojego mieszkania, jadał w stołówce albo to, co przynosiła mu Petra, spał w fotelu, a prysznic brał na siłowni wydziału. W poniedziałek asystentka musiała przywieźć mu czyste ubranie i zabrać brudne do pralni. Ona także nie odpoczywała, martwiła się o niego, bo nigdy nie widziała, żeby jej szef był czymkolwiek zaabsorbowany do tego stopnia, że nie dbał o swój wygląd. Martín utrzymywał formę piłkarza na sprzęcie w siłowni, pachniał wodą kolońską za dwieście dolarów, przepłacał za strzyżenie włosów, kazał sobie szyć na miarę koszule z egipskiego lnu, jego

garnitury i buty także były niepowtarzalne. Jeśli Bob Martín tak sobie postanowił – a działa się to często – ulegała mu każda kobieta, poza nią, oczywiście. We wtorek wcześniej rano, kiedy Petra przyszła do biura i zobaczyła swojego szefa, zakłęła przerażona: zniknęły wąsy, pielęgnowane starannie przez dziesięć lat.

– Nie mam czasu zajmować się włosami na twarzy – mruknął nadinspektor.

– Podoba mi się, szefie. Jest pan bardziej ludzki. Wąsy upodabniały pana do Saddama Husajna. Zobaczymy, co powie Ayani.

– Co ją to może obchodzić!

– Po prostu podejrzewam, że musi być inaczej z łaskotaniem wąsów... wie pan, co chcę powiedzieć.

– Nie, Petro. Nie mam pojęcia, co chcesz powiedzieć. Moje relacje z panią Ashton ograniczają się do śledztwa w sprawie śmierci jej męża.

– Jeśli tak, to gratuluję, szefie. Byłoby niedobrze, gdyby związał się pan z podejrzaną.

– Dobrze wiesz, że już nie jest podejrzana. Śmierć Richarda Ashtona łączy się z innymi przypadkami, podobieństwa między zbrodniami są oczywiste. Ayani nie jest seryjną morderczynią.

– Skąd pan wie?

– Na Boga, Petro!

– W porządku, niech się pan nie złości. Mogę zapytać, dlaczego zerwaliście?

– Nie możesz, ale ci odpowiem. Nigdy nie byliśmy razem w sposób, w jaki sądzisz. I tutaj kończy się to absurdałne przesłuchanie, zrozumiano?

– Tak, szefie. Jeszcze tylko jedno pytanie. Dlaczego nie wyszło panu z Ayani? Zwykła ciekawość.

– Ma fizyczną i emocjonalną traumę, ma blokadę przed... przed miłością. W dniu, kiedy Elsa Domínguez przyszła opowiedzieć o walkach psów i do mnie zadzwoniłaś, byłem z Ayani. Zjedliśmy kolację w jej domu, ale potem wcale nie nastąpił romantyczny moment, jakiego się spodziewałem, pokazała mi za to długi film dokumentalny o okaleczeniach genitaliów i opowiedziała o komplikacjach, jakie wystąpiły u niej z tego powodu, musiała nawet przejść dwie operacje. Z Richardem Ashtonem nie utrzymywała intymnych stosunków, miała to zagwarantowane w umowie przedślubnej. Ona przystała na małżeństwo, żeby zabezpieczyć się finansowo, a on, żeby obnosić się z nią jak z luksusowym przedmiotem i wzbudzać zazdrość.

– Ale Ashton pewnie nie przestrzegał warunków umowy i dlatego tak się kłócili – wywnioskowała Petra.

– Tak sądzę, choć ona mi tego nie powiedziała. Teraz rozumiem rolę Galanga; to jedyny mężczyzna, który ma dostęp do intymności Ayani.

– Od początku tak mówiłam, szefie. Chce pan kawy? Widzę, że znów spędził pan tu noc. Ma pan pod oczami worki jak szop. Proszę jechać do domu odpocząć, jeśli będą jakieś nowe wiadomości, natychmiast pana zawiadomię.

– Nie chcę kawy, dziękuję. Pomyślałem, że sprawca pięciu zbrodni popełnionych w San

Francisco nie jest tym samym, który zamordował Kellera w Napię. To tylko intuicja, ale możliwe, że Ryan Miller zabił Alana Kellera z zazdrości i skopiował metodę Wilka, żeby zmylić ślady. Amanda mogła opowiedzieć mu szczegóły, które nie zostały ujawnione. Moja córka siedzi po uszy w tej sprawie i nie wie, czemu, darzy Millera sympatią. To pewnie z powodu tego psa.

– Gdyby Amanda kontaktowała się z Millerem, już byśmy o tym wiedzieli.

– Jesteś pewna? Ta mała jest przecież w stanie nabrać nas wszystkich.

– Wątpię, żeby Miller załatwił Alana Kellera w tak mało żołnierski sposób i zostawił miejsce zbrodni usiane dowodami, które świadczą przeciwko niemu. To inteligentny człowiek, nauczony zachowywania ostrożności, tajemnicy i zimnej krwi podczas najtrudniejszych wojennych misji. Nie pogrążyłby się tak łatwo.

– Tak uważa Amanda – przyznał policjant.

– Jeśli to nie Wilk ani Miller, kto zabił Kellera?

– Nie wiem, Petro. Nie wiem także, kto stoi za zniknięciem Indiany. Miller wciąż pozostaje najoczywistszym podejrzanym. Kazałem Samuelowi Hamiltonowi sprawdzić coś, co zasugerowała mi Amanda: Staton, Constante'owie, Ashton i Rosen pracowali z dziećmi. Ten trop może nas doprowadzić do Wilka.

– Dlaczego poprosił pan o to Hamiltona? – zapytała Petra.

– Bo może się tego dowiedzieć bez pomocy policjantów z Wydziału Zabójstw, którzy są zawalieni robotą, i dlatego, że ma doświadczenie. Ten człowiek budzi moje zaufanie.

Gracze w *Ripperera*, łącznie z Jezabel, zrezygnowali z codziennej rutyny i zwykłych zajęć, by całkowicie oddać się śledztwu, każdy zgodnie ze swoimi umiejętnościami. Utrzymywali stały kontakt przez komórki, spotykali się na wideokonferencjach, często w środku nocy, gdy tylko któreś z nich wpadało na nowy trop. Czas tak ich naglił, że Abatha zaczęła jeść, by nie zabrakło jej sił, a sir Edmond Paddington zdobył się na odwagę i opuścił pokój, w którym przebywał zamknięty od lat, żeby osobiście porozmawiać ze starym, emerytowanym irlandzkim policjantem z New Jersey, specjalistą od seryjnych morderstw. Esmeralda i Sherlock Holmes, jeden w Auckland w Nowej Zelandii, drugi w Reno w Nowadzie, od nowa analizowali wszystkie dostępne informacje. Ale to Abatha znalazła właściwy klucz do rozwiązania zagadki.

– Zgodnie z tym, co mówił Sherlock Holmes w czasie naszego poprzedniego spotkania, wszystkie ciała z wyjątkiem Rachel Rosen znalezionej trzy dni po śmierci były w stanie *rigor mortis*, co pozwoliło na określenie godziny, o której popełniono zbrodnię. Wiemy na pewno, że pięć ofiar zginęło około północy, i możemy założyć, że podobnie stało się w przypadku Rosen – powiedziała Jezabel, reprezentująca Millera i Alarcona.

– Po co nam ta informacja? – zapytał Esmeralda.

– To oznacza, że morderca działa tylko w nocy.

– Może w ciągu dnia pracuje – powiedział Sherlock Holmes.

- Powodem jest księżyc – wtrąciła Abatha.
- Dlaczego księżyc? – zdziwił się Esmeralda.
- Księżyc jest tajemniczy. Wskazuje ruchy podczas przechodzenia duszy od jednego wcielenia do drugiego, reprezentuje pierwiastek żeński, płodność, wyobraźnię i ciemne zakamarki podświadomości. Oddziałuje na menstruację oraz przyływy i odpływy morza – wyjaśniło medium.
- Przestań, Abatho, wróćmy do sprawy – przerwał jej sir Edmond Paddington.
- Wilk atakuje przy pełni księżyca – zakończyła swój wywód Abatha.
- Wytłumacz, o co ci chodzi, bo pleciesz bzdury.
- Czy mogę zabrać głos? – zapytał Kabel.
- Pachółku, rozkazuję ci, żebyś od tej chwili mówił, kiedy będziesz miał cokolwiek do powiedzenia, nie musisz prosić o zgodę – oznajmiła zniecierpliwiona mistrzyni gry.
- Dziękuję. Czy zwróciliście uwagę, że do morderstwa dochodzi raz w miesiącu? Może Abatha ma rację – zasugerował pacholek.
- Wszystkie zbrodnie zostały popełnione w czasie pełni księżyca – powiedziała Abatha bardziej stanowczo niż zwykle, bo zjadła pół obwarzanka.
- Jesteś pewna? – spytał Esmeralda.
- Sprawdźmy. Mam tu kalendarze z dwa tysiące jedenastego i dwa tysiące dwunastego roku – wtrąciła Jezabel.
- Wilk popełnił morderstwa dwunastego października i dziesiątego listopada zeszłego roku oraz dziewiątego stycznia, siódmego lutego i ósmego marca tego roku – powiedział Sherlock Holmes.
- Pełnia księżyca! We wszystkich przypadkach była pełnia! – wykrzyknęła Jezabel.
- Uważacie, że mamy do czynienia z istotą, która jest w połowie człowiekiem a w połowie zwierzęciem i ulega przemianie w noc, kiedy przypada pełnia księżyca? – zapytał Esmeralda zachwycony taką możliwością.
- Studiowaliśmy z dziadkiem likantropię, kiedy znudziły nam się wampiry, pamiętasz, Kabelu? – wykrzyknęła Amanda.
- Wilkołak jest najinteligentniejszy i najbardziej agresywny ze wszystkich likantropów – wyrecytował dziadek. – Istnieją trzy postacie wilkołactwa: ludzka, wilcza i mieszana. To odludek, żyje samotnie, działa nocą. Jako mieszaniec albo wilk jest wyłącznie mięsożerny i bardzo dziki, ale w postaci ludzkiej nie różni się od innych osób.
- To są wytwory wyobraźni, a my już nie gramy, to się dzieje naprawdę – przypomniał pułkownik Paddington.
- W szpitalu, gdzie leżałam w zeszłym roku, był gość, który zamieniał się w człowieka pająka. Trzymali go związanego, żeby nie wyszedł przez okno. Nasz morderca uważa się za wilkołaka – obstawała przy swoim Abatha.
- Chcesz powiedzieć, że jest wariatem? – spytała Amanda.

– Wariatem? Nie wiem. O mnie też mówią, że jestem wariatką – odparła Abatha.

Zapanowała długa cisza, w czasie której gracze przetrawiali tę informację. Przerwał ją jak zwykle Esmeralda, zadając jedno ze swoich pytań:

– A co wydarzyło się w czasie grudniowej pełni księżyca?

Nadinspektor przeżył moment paniki, kiedy Amanda zadzwoniła do niego o piątej rano, by powiedzieć mu o wilkołaku i pełni księżyca. Jego córka była dziwniejsza, niż wszyscy podejrzewali, nadszedł czas, by skorzystać z pomocy kliniki psychiatrycznej. Ale kiedy po jej bełkotliwych wyjaśnieniach porównał daty zbrodni z fazami księżyca, zgodził się przejrzeć zdarzenia odnotowane przez policję 10 grudnia poprzedniego roku, w noc pełni, i w pozostałe dni tamtego tygodnia. Sprawa wyglądała tak niedorzecznie, że nie odważył się przydzielić jej żadnemu ze swoich ludzi, i tak już zajętych śledztwem i parą agentów FBI, którzy zakłócili rytm pracy Wydziału Zabójstw, dlatego zlecił ją Petrze Horr. Trzydzieści pięć minut później położyła mu na biurku to, o co prosił.

Tamtej nocy zarejestrowano w San Francisco kilka zgonów z przyczyn nienaturalnych, takich jak bójki, wypadki, samobójstwo i przedawkowanie, krótko mówiąc, zwykłe nieszczęścia, ale jedna sprawa szczególnie zwróciła uwagę nadinspektora i jego asystentki. Chodziło o wypadek, do którego doszło na kempingu w Rob Hill, opisany suchym językiem raportów policyjnych. Jedenastego grudnia rano nieliczne osoby obozujące w Rob Hill Campground poskarżyły się zarządcy, że w pobliżu jednej z przyczep czuć zapach gazu. Ponieważ nikt nie odpowiadał na pukanie, zarządca wyważył drzwi. Znalezione ciała pary turystów, Sharon i Joe’ego Farkasów, pochodzących z Santa Barbara w Kalifornii, śmiertelnie zatrutych gazem. Nie przeprowadzono sekcji zwłok, bo przyczyna zgonu wydawała się oczywista: wypadek spowodowany przez ludzi, którzy byli pijani i nie zauważyli, że z kuchenki gazowej ulatnia się butan. W przyczepie znaleziono do połowy opróżnioną butelkę dżinu. Policja odszukała w mieście Eureka brata Joe’ego Farkasa, który zjawił się dwa dni później, by zidentyfikować ciała. Mężczyzna chciał zabrać przyczepę, ale została skonfiskowana przez policję do czasu zamknięcia sprawy.

Bob Martín polecił jednemu z detektywów ponownie odnaleźć brata Joe’ego i porozmawiać o ofiarach z policją w Santa Barbara, a swojej ekipie technicznej nakazał przetrząśnięcie przyczepy w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby okazać się pomocne. Potem zadzwonił do córki, żeby podziękować za wskazówkę i poinformować o małżeństwie, które zmarło w czasie grudniowej pełni księżyca.

– Jeszcze jedna egzekucja, tato. Przyczepa stała się dla Farkasów komorą gazową.

– Alana Kellera otruto.

– To również jest rodzaj egzekucji. Przypomnij sobie Sokratesa.

– Kogo?

– To taki Grek, który już dawno nie żyje. Zmusili go do wypicia cykuty. Naziści też otruli cyjankiem kilku generałów, którzy popadli w niełaskę. Ale żadna z tych informacji nie pomaga

nam w odnalezieniu mamy.

– Porwanie to przestępstwo federalne. Indiany szuka policja w całym kraju. Włącz telewizor, a zobaczysz jej zdjęcie na wszystkich kanałach – powiedział nadinspektor.

– Już je widziałam, tato. Kilka osób dzwoniło z wyrazami współczucia, a Elsa przyjechała, żeby zostać z nami do czasu, aż mama się odnajdzie. Przesłuchałeś pacjentów mamy?

– Oczywiście, to rutynowa czynność, ale nikt nic nie wie. Nikt nie pasuje do kategorii „podejrzany”. Powiedz mi, ale tak szczerze, córeczko: czy myślisz, że Indiana uciekła z Ryanem Millerem? Oboje zniknęli.

– Ma ją Wilk! Nie rozumiesz tego?

– To tylko teoria, ale traktuję ją bardzo poważnie.

– Brakuje trzech dni do pełni księżyca, tato. Wilk znowu zaatakuje. – Dalsze słowa dziewczyny zagłuszył szloch.

Bob Martín obiecał, że będzie ją informował o każdym postępie w śledztwie. Kiedy mu powiedziała, że poszuka matki na własną rękę, domyślił się, że chodzi jej o *Ripperę*, i doznał mglistego uczucia ulgi, jakby niebo zesłało mu jakieś magiczne wsparcie. Zaczynał poważnie traktować te dzieciaki.

Środa, 4

Zgodnie z obietnicą, o siódmej rano nadinspektor zadzwonił do córki, żeby przekazać jej wyniki śledztwa przeprowadzonego przez Samuela Hamiltona. Ochroniarza Eda Statona kilkakrotnie oskarżano o fizyczne wykorzystywanie dzieci, którymi zajmował się w Boys Camp. Zwolniono go po śmierci jednego z chłopców w 2010 roku, ale niedługo potem znalazł pracę w szkole w San Francisco dzięki listowi polecającemu sędzi Rachel Rosen.

Kobietę nazywano „Rzeźniczką” z powodu drakońskich wyroków dla nieletnich w sprawach trafiających do jej sądu, niejednokrotnie otrzymywała zaproszenia do wygłaszania odczytów w zakładach poprawczych, często w tych, którym zarzucano maltretowanie wychowanków. Jej honorarium wynosiło dziesięć tysięcy dolarów za każdą pogadankę. Kalifornia, która borykała się z rosnącą liczbą więźniów, podnajmowała usługi penitencjarne dla nieletnich w innych stanach, a dzięki Rosen Boys Camp i inne podobne prywatne ośrodki miały zapewniony bezustanny napływ podopiecznych. Nie można było oskarżyć jej o branie prowizji czy łapówek, otrzymywane korzyści miały formę zapłaty za wykłady albo prezentów takich, jak bilety do teatru, kartony butelek z alkoholem, wakacje na Hawajach, rejsy po Morzu Śródziemnym i Karaibach.

– Zainteresuje cię również to, że Rachel Rosen i Richard Ashton znali się na gruncie zawodowym. Psychiatra dokonywał oceny psychologicznej młodocianych, którzy trafiali do sądu i do Opieki Społecznej dla Nieletnich – powiedział nadinspektor.

– Przypuszczam, że Constante’owie przyjmowali dzieci przysyłane przez Rosen.

– To nie należy do zadań sędziego, tylko do Opieki Społecznej dla Nieletnich, ale można powiedzieć, że istniał między nimi pośredni związek – wyjaśnił Bob. – To jednak nie wszystko, Amando. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku na Richarda Ashtona złożono doniesienie za doświadczone stosowanie elektrowstrząsów i narkotyków w leczeniu jednego z nieletnich. Metody Ashtona były co najmniej wątpliwe. Sprawę szybko wyciszono.

– Trzeba się przyjrzeć Farkasom, tato.

– Właśnie to robimy, córeczko.

Powinnaś być bardziej rozbudzona, Indi, widzę, że jesteś niezwykle podatna na działanie leków. Mogłabyś okazać mi trochę wdzięczności, staram się zapewnić ci maksimum wygody w tych okolicznościach. Nie można tego porównać z hotelem Fairmont, ale masz przyzwoite łóżko i świeże jedzenie. Łóżko już tu stało, jest tylko jedno, reszta to nosze dla rannych, dwa kije i płótno. Mamy jeszcze zestaw opatrunków i antybiotyk na gorączkę. Ta gorączka komplikuje trochę moje plany, już czas, żebyś się rozbudziła, tak naprawdę nie jesteś pod wpływem narkotyków, daję ci tylko koktajl ze środków przeciwbólowych, uspokajających i nasennych, żebyś zachowała spokój, to odpowiednie dawki, nic nie uzasadnia twojego osłabienia.

Wysil się trochę i wróć do rzeczywistości. Jak tam twoja pamięć? Przypominasz

sobie Amandę? To ciekawska dziewczyna. Ciekawość jest matką wszystkich grzechów, ale i wszystkich nauk. Wiem dużo o twojej córce, Indiano, wiem, że w tej chwili cię szuka, a jeśli jest tak sprytna, jak wszyscy uważają, odkryje zostawione przeze mnie klucze do zagadki, ale nie odkryje ich na czas. Biedna Amanda, współczuję jej, przez resztę życia będzie się o to obwiniać.

Powinnaś docenić, że jesteś taka czysta. Kosztowało mnie trochę wysiłku, żeby cię obmyć gąbką, gdybyś mi odrobinę pomogła, można by ci umyć nawet włosy. Moja matka mawiała, że cnota zaczyna się od higieny: „czyste ciało, czysty umysł”. Nawet kiedy przychodziło nam mieszkać w samochodzie albo w furgonetce, zawsze tak robiła, żeby można było raz dziennie wziąć prysznic, przywiązywała do tego taką samą uwagę jak do jedzenia. Mamy tutaj sto blaszanych beczek z wodą zaplombowanych od czasów drugiej wojny światowej i nie uwierzysz, ale jest tu również piękny mebel z rzeźbionego drewna z lustrem o ściętych kantach, nietknięty, bez jednego zarysowania. Koce pochodzą z tego samego okresu, to zdumiewające, że są czyste i w dobrym stanie, widać, że nie ma tu moli. Możesz mi zaufać, nie pozwolę, żeby załęgły ci się wszy albo żebyś złapała jakąś infekcję, chronię cię też przed insektami, myślę, że w takim miejscu muszą być różne obrzydliwe robale, zwłaszcza karaluchy, chociaż zanim tu trafiłaś, całe to pomieszczenie zostało dokładnie spryskane. Oczywiście nie dało się spryskać wszystkiego, ten teren jest olbrzymi. Szczurami zajęły się sowy i koty, są ich setki, żyją w tym miejscu od pokoleń. Wiedziałaś, że na zewnątrz jest też mnóstwo dzikich indyków?

Masz na sobie elegancką koszulę nocną, którą dostałaś w prezencie od Kellera i chowałaś na specjalną okazję. Czy może być okazja bardziej specjalna niż ta? Twoje spodnie nadawały się do wyrzucenia, były zakrwawione, a trudno tu zrobić pranie. Wiesz, że mam klucze do twojego mieszkania? Bielizna, która zniknęła z twojej szafy w ścianie, jest u mnie, miała być na pamiątkę, kto mógł przypuszczać, że nam się kiedyś przyda. Nigdy nie wiadomo, co zgotuje człowiekowi los! Mogę wchodzić do ciebie, kiedy zechcę, alarm zainstalowany przez nadinspektora to zabawka; w niedzielę udało mi się wejść do części domu zajmowanej przez twojego ojca i rzucić okiem na Amandę, która spała z kotką w objęciach, wyglądała na spokojną, choć wiem, że jest bardzo rozstrojona, dlatego nie chodzi do szkoły, i słusznie. Biedne dziecko. Mam również klucze od twojego gabinetu, znam nawet hasło do twojego komputera, podałaś mi je bez wahania, kiedy trzeba było kupić bilety do kina. Jesteś nieostrożna, ale z drugiej strony nie miałaś powodów, żeby mi nie ufać.

Trzeba cię będzie znowu zakneblować. Spróbuj odpocząć, wrócę w nocy, nie mogę wchodzić i wychodzić o dowolnej porze. Nie uwierzysz, ale na zewnątrz jest ranek. Ścianami tego pomieszczenia są zasłony z dziwnego materiału, jakby z czarnej gumy albo z gumowanego płótna, ciężkie, ale dość elastyczne, nieprzemakalne i nieprzepuszczające światła, dlatego wydaje ci się, że zawsze jest noc. Dach zawalił się w niektórych miejscach tej twierdzy i w ciągu dnia wpada

trochę słońca, ale tutaj nie dochodzą jego promienie. Chyba rozumiesz, że nie mogę ci zostawić lampy, to byłoby niebezpieczne. Wiem, że godziny ciągną ci się w nieskończoność i że czekasz na mnie niecierpliwie. Na pewno boisz się, że o tobie zapomnę albo że mi się coś stanie, że nie wrócę, a wtedy umrzesz z głodu przywiązana do łóżka. Nie, Indi, nic mi się nie stanie, wrócę, obiecuję. Przyniosę ci jedzenie i mam nadzieję, że nie trzeba będzie karmić cię siłą. Co chciałabyś zjeść? Proś, o co zechcesz.

Zegar na ścianie gabinetu nadinspektora był reliktem z lat czterdziestych, który Wydział Zabójstw zachował z powodu jego wartości historycznej oraz szwajcarskiej niezawodności. Wisiał na wprost biurka obok kilku fotografii meksykańskich śpiewaków, między innymi ojca Boba Martina z jego zespołem *mariachis*. Nadinspektor patrzył na metalowe wskazówki i czuł, jak rośnie mu ciśnienie. Jeśli Amanda miała rację – a na pewno ją miała – zostało mu niewiele czasu na odnalezienie Indiany żywej, tylko dwa dni i kilka godzin, do piątkowej nocy. Córka przekonała go, że odszukanie matki oznacza również schwytanie krwawego psychopaty chodzącego sobie swobodnie po mieście, ale on sam nie był w stanie odkryć związku między Indianą a przestępcą.

O dziewiątej rano odebrał telefon od Samuela Hamiltona, który poprzedniego dnia zajął się porównaniem listy znajomych ze swojego komputera i z laptopa Indiany. O dziewiątej pięć nadinspektor włożył marynarkę, polecił Petrze Horr, by mu towarzyszyła, i pojechali radiowozem do North Beach.

Uzdrowiciele z Kliniki Holistycznej widzieli już zdjęcie Indiany Jackson w telewizji i w gazetach i kilkoro jej znajomych komentowało to wydarzenie na korytarzu pierwszego piętra, na wprost drzwi gabinetu numer 8, opieczętowanych żółtą policyjną taśmą. Petra Horr została z nimi, żeby spisać ich dane, a nadinspektor wbiegł w tym czasie na drugie piętro i ze zręcznością małpy wspiął się po schodkach prowadzących na dach. Nie zastukał do rozwalających się drzwi – otworzył je jednym kopniakiem i sapiąc z niecierpliwości, podszedł do łóżka, na którym w ubraniu i w butach leżał Matheus Pereira: spał słodkim snem po wypaleniu swojej fajki. Malarz obudził się dopiero, kiedy zawisł w powietrzu uniesiony potężnymi łapskami zawodnika futbolu amerykańskiego, które potrząsały nim, jakby był szmacianą kukłą.

– Powiesz mi, z kim wyszła Indiana w piątek!

– Powiedziałem już panu wszystko, co wiem... – burknął jeszcze nie do końca rozbudzony Pereira.

– Chcesz spędzić najbliższe dziesięć lat w więzieniu za handel narkotykami? – zagroził mu nadinspektor, przysunąwszy swoją twarz na odległość kilku centymetrów do twarzy malarza.

– Wyszła z jakąś kobietą, nie wiem, jak się nazywa, ale widziałem ją tutaj kilka razy.

– Opisz, jak wyglądała.

– Mogę ją narysować, jeśli mnie pan puści – zaproponował Brazylijczyk.

Wziął do ręki kawałek węgla i dwie minuty później podał nadinspektorowi portret

rosyjskiej babuszki.

– Kpisz sobie ze mnie, łajzo? – ryknął Martín.

– To ona, przysięgam.

– Czy nazywa się Carol Underwater? – zapytał nadinspektor. To było nazwisko podane przez Samuela Hamiltona, które nie figurowało w poczcie elektronicznej Indiany skopiowanej przez Petrę, zanim komputer został dołączony do pozostałych dowodów.

– Tak, jestem prawie pewien, że nazywa się Carol – przytaknął Pereira. – To przyjaciółka Indiany. Poszły razem, ja byłem na dole w holu, widziałem, jak wychodziły.

– Coś ci mówiły?

– Carol powiedziała, że idą do kina.

Policjant zszedł na pierwsze piętro i pokazał rysunek najemcom z Kliniki Holistycznej, którzy stali jeszcze w korytarzu z Petrą. Niektórzy potwierdzili, że kilkakrotnie widzieli tę kobietę w towarzystwie Indiany. Yumiko Sato dodała, że Carol Underwater choruje na raka i straciła włosy z powodu chemioterapii, dlatego nosi na głowie chustkę rosyjskiej wieśniaczki.

Po powrocie do biura nadinspektor przypiął szkic wykonany przez Matheusa Pereirę do ściennej tablicy na wprost biurka, gdzie umieścił wcześniej inne informacje, które mogły okazać się pomocne w poszukiwaniach Wilka i Indiany. Liczył, że jeśli będzie miał rysunek cały czas przed oczami, wpadnie na jakiś pomysł. Wiedział – bo kilka razy już przez to przechodził – że nadmiar danych i presja, by szybko znaleźć rozwiązanie, zwykle uniemożliwiają jasne myślenie. W tym przypadku dochodził jeszcze strach. Porównywał siebie do chirurga zmuszonego dokonać poważnej operacji na ukochanej osobie: teraz od jego zręczności zależało życie Indiany. Ufał jednak swojemu instynktowi myśliwego, jak nazywał tę część mózgu, która pozwalała mu odkrywać niewidoczne tropy, odgadywać kroki, jakie podjął i podjąć ścigany przestępca, wyciągać nieoczekiwane wnioski pozbawione logicznego uzasadnienia, a jednak prawie zawsze trafne. Tablica na ścianie służyła łączeniu rozmaitych wątków śledztwa, ale przede wszystkim rozbudzaniu instynktu myśliwego.

Od kiedy jego córka wspomniała o seryjnym mordercy, odbył kilka spotkań z psychologami sądowymi ze swojego wydziału, żeby omówić podobne przypadki z ostatnich dwudziestu lat, zwłaszcza w Kalifornii. Systematyczne zabijanie nie było zachowaniem spontanicznym, miało związek z powracającymi fantazjami, które latami rozwijały się w umyśle morderców, aż wreszcie coś skłaniało ich do podjęcia decyzji, by zacząć działać. Niektórzy chcieli karać homoseksualistów albo prostytutki, innymi kierowała nienawiść rasowa albo jakaś odmiana fanatyzmu, ale ofiary Wilka były do siebie tak niepodobne, jakby dobierał je na chybił trafił. Bob Martín zadawał sobie pytanie, jakie poglądy ma Wilk i co myśli o sobie samym, czy uważa się za ofiarę, czy może za mściciela. Wszyscy jesteśmy bohaterami naszej własnej historii. Jaka była historia Wilka? Żeby go złapać, nadinspektor musiał rozumować tak jak on, musiał stać się Wilkiem.

W południe Petra Horr poinformowała go, że nie znaleziono ani jednego śladu świadczącego o istnieniu Carol Underwater. Nie było prawa jazdy zarejestrowanego na to nazwisko, samochodu, nieruchomości, karty kredytowej, rachunku bankowego, telefonu, nie było również takiego pracownika ani pacjentki leczącej się na raka w którejkolwiek z klinik w

rejonie zatoki San Francisco. Jak kontaktowała się z Indianą? Może ktoś, kto miał dostęp do jej laptopa wykasował e-maile w ten sam sposób, w jaki wprowadził scenę z wilkiem, a może rozmawiały tylko przez telefon. Ponieważ nie znaleziono komórki Indiany, Bob Martín poprosił natychmiast o sądowy nakaz sprawdzenia przez operatora telefonicznego połączeń z tego numeru, ale to miało potrwać kilka dni. Na razie Carol Underwater, którą tyle osób widziało w ciągu ostatnich miesięcy, okazała się zjawą.

Nikt się nie pofatygował, żeby powiadomić Celeste Roko o zniknięciu Indiany. Dowiedziała się kilka dni później, kiedy zadzwoniła do niej rozhisteryzowana przyjaciółka Encarnación Martín, która już wcześniej negocjowała ze świętym Judą Tadeuszem odnalezienie matki jej wnuczki. „Nie widziałaś Indiany w telewizji? Biedna Amanda! Nie masz pojęcia, jak bardzo ją to poruszyło! Chyba rozum jej odebrało, uważa, że Indianę porwał wilkołak”, usłyszała od Encarnación.

Celeste, która dwa tygodnie wcześniej widziała w telewizji zdjęcie Ryana Millera, zjawiała się w Wydziale Zabójstw zdecydowana odbyć rozmowę z nadinspektorem, a kiedy Petra Horr próbowała jej w tym przeszkodzić, jednym pchnięciem przyparła asystentkę do ściany. Wielki szacunek, jakim Petra darzyła astrologię, nie pozwolił jej wykorzystać umiejętności z zakresu sztuk walki, by powstrzymać intruza. Roko wtargnęła do gabinetu Boba Martina, wymachując mu kilka milimetrów przed nosem teczką, która zawierała dwa kosmogramy i streszczenie dokonanej przez nią analizy porównawczej. Wyjaśniła, że w ciągu wielu lat poświęconych badaniu ciał niebieskich i ludzkiej psychiki zgodnie z nauką Carla Gustava Junga, nigdy nie trafiła na osoby bardziej dopasowane psychicznie niż Indiana Jackson i Ryan Miller. Byli razem w poprzednich wcieleniach, ostatnio jako matka i syn, są skazani na powtórne spotkania i rozstania, dopóki nie rozwiążą swojego duchowo-psychicznego konfliktu. W obecnym wcieleniu mieli prawdziwą szansę na przerwanie tego cyklu.

– Coś takiego! – odpowiedział policjant oburzony tym, że przerwano mu pracę.

– Tak właśnie jest. Ostrzegam cię, Bob, bo jeśli Indiana i Ryan uciekli razem, co zresztą musiało się stać, bo na to wskazuje układ ciał niebieskich, a ty będziesz próbował ich rozdzielić, to poważnie splamisz swoją karmę.

– Mam w dupie swoją karmę! Staram się robić, co do mnie należy, a ty zawracasz mi głowę jakimiś głupotami. Indiana nie uciekła z Millerem, porwał ją Wilk! – wykrzyczał Bob Martín, tracąc panowanie nad sobą.

Pierwszy raz od dawna zdumiona Celeste Roko nie wiedziała, co odpowiedzieć. Kiedy wreszcie doszła do siebie, włożyła kosmogramy do teczki, zabrała torebkę z krokodyłowej skóry i wycofała się, próbując utrzymać równowagę na wysokich obcasach.

– Nie wiesz przypadkiem, spod jakiego znaku zodiaku jest ten wilkołak? – zapytała nieśmiało spod drzwi.

Otwórz oczy, Indi, spróbuj zrozumieć, co do ciebie mówię. Popatrz, na tym prawie jazdy z 1985 roku jest jedyna fotografia mojej matki. Jeśli istniały inne,

zniszczyła je, bardzo dbała o swoją prywatność. Nie ma również moich zdjęć sprzed jedenastego roku życia. Wyszła okropnie, na fotografiach w prawie jazdy wszyscy przypominają przestępców, moja mama wydaje się gruba i zaniedbana, ale wcale taka nie była. Ważyła o kilka kilogramów za dużo, to prawda, ale nigdy nie miała twarzy wariatki, zawsze wyglądała nienagannie, każdy włos na swoim miejscu, miała obsesję na tym punkcie, poza tym wymagała tego jej praca. Nawyki, które mi wpoila, kierują moim życiem: higiena, gimnastyka, zdrowe odżywianie, żadnego palenia czy picia. W dzieciństwie nie mogłam uprawiać sportów jak inne dzieci, musiałam siedzieć w domu, ale wskazała mi zalety gimnastyki i do dziś jest to pierwsze, co robię po przebudzeniu. Niedługo będziesz musiała trochę poćwiczyć, Indiano, powinnaś się ruszać, ale zaczekamy z tym, aż przestaniesz krwawić i odzyskasz równowagę.

Trudno o lepszą matkę niż moja, całkowicie mi się poświęciła, ubóstwiała mnie, chroniła, opiekowała się mną. Co by się ze mną stało bez tej świętej kobiety? Była dla mnie matką i ojcem. Wieczorami, po kolacji i po sprawdzeniu moich zeszytów, czytała mi jakieś opowiadanie, odmawiała ze mną modlitwę, potem okrywała mnie w łóżku, całowała w czoło i mówiła, że jestem jej śliczną i dobrą dziewczynką. Rano, zanim poszła do pracy, pokazywała mi, czego mam się nauczyć, przytulała mnie mocno na pożegnanie, jakby w obawie, że już się nie zobaczymy, a jeśli nie płakałam, dawała mi cukierek. Niedługo wrócę, kochanie, sprawuj się dobrze, nikomu nie otwieraj drzwi, nie odbieraj telefonów, nie hałasuj, bo sąsiedzi już zaczynają między sobą szeptać, wiesz, jacy złośliwi są ludzie. Te środki bezpieczeństwa były dla mojego dobra, na zewnątrz czyhało mnóstwo zagrożeń, zbrodnie, przemoc, wypadki, bakterie, nie można nikomu ufać, tego mnie nauczyła. Dzień się dłużył. Nie pamiętam, jak mijał mi czas w pierwszych latach, chyba wsadzała mnie do kojca albo opasywała linką i przywiązywała do jakiegoś mebla, żebym sobie nie zrobiła krzywdy. Zostawiała zabawki i jedzenie w zasięgu mojej ręki, ale kiedy tylko zaczęłam myśleć logicznie, przestała to robić, bo nauczyłam się sama dbać o swoje potrzeby. Podczas jej nieobecności do moich obowiązków należało sprzątanie mieszkania i pranie, ale nie gotowanie, bo mogłabym się skaleczyć albo sparzyć. Oglądałam telewizję i bawiłam się, ale przede wszystkim odrabiałam lekcje. Mama uczyła mnie w domu, dobrze sobie z tym radziła, a mnie nauka przychodziła łatwo, więc kiedy w końcu trafiłam do szkoły, szło mi lepiej niż innym dzieciom. Ale to było później.

Chcesz wiedzieć, Indiano, jak długo już tu jesteś? Dopiero pięć dni i sześć nocy, to nic w porównaniu z całym życiem, tym bardziej że ciągle spałaś. Musiałam zakładać ci pieluchy. Lepiej, że na początku spałaś, bo inaczej musiałabym włożyć ci kaptur na głowę i kajdanki, jak więźniom w Guantanamo czy w Abu Ghraib. Wojskowi znają się na rzeczy. W kapturze człowiek się dusi, są tacy, którzy od tego wariują, a kajdanki są niewygodne, ręce puchną, palce sinieją, metal wrzyna się w nadgarstki, czasami dochodzi do zakażenia ran. Jednym słowem, same kłopoty. Nie zniosłabyś tego, a ja nie chcę, żebyś cierpiała bardziej niż to konieczne, ale musisz ze mną współpracować i grzecznie się zachowywać. Tak będzie najlepiej.

Mówiłam ci o matce. Powiedzieli, że była paranoiczką, że cierpiała na manię prześladowczą, dlatego trzymała mnie w zamknięciu i ciągle uciekała. To nieprawda. Mama miała swoje powody, żeby robić to, co robiła. Uwielbiałam te podróże: stacje benzynowe, miejsca, gdzie zatrzymywałyśmy się, żeby coś zjeść, wiecznie autostrady, różne krajobrazy. Czasami spałyśmy w motelach, kiedy indziej pod gołym niebem. Prawdziwa wolność! Niczego nie planowałyśmy, robiłyśmy postoje gdziekolwiek; jeśli jakaś miejscowość przypadła nam do gustu, zostawałyśmy tam na jakiś czas, urządzałyśmy się jak najlepiej, zależnie od tego, ile zostało nam pieniędzy, na początek w jednym pokoiku, a jeśli mama znalazła pracę, przenosiłyśmy się do czegoś lepszego. Dla mnie nie miało znaczenia, gdzie mieszkamy, wszystkie pokoje były do siebie podobne. Matka zawsze dostawała jakąś pracę, dobrze jej płacili, potrafiła się zorganizować, mało wydawała, oszczędzała, więc zawsze była przygotowana, kiedy musiałyśmy zmienić miejsce.

W tym samym czasie gracze w *Ripper*a stawiali sobie nowe pytania. Mistrzyni gry wprowadziła ich we wszystkie szczegóły policyjnego śledztwa, a na końcu dowiedzieli się o tajemniczej Carol Underwater, której nawiasem mówiąc, Amanda zawdzięczała Ocal-Tuńczyka.

– Zaciekawilo mnie, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku złożono doniesienie na Richarda Ashtona z powodu maltretowania dziecka, a w dziewięćdziesiątym ósmym inne, na Eda Statona. Kazałam pacholce sprawdzić kilka rzeczy – powiedziała Amanda.

– Nie chciałem przeszkadzać nadinspektorowi, bo się wścieka, ale pomogła mi Jezabel, która ma dostęp do wszelkich informacji. Nie wiem, jak to robisz, Jezabel, musisz być doświadczoną hakerką, informatycznym piratem pierwszej klasy...

– Czy to ma cokolwiek wspólnego z naszą sprawą? – zapytał Esmeralda.

– Przepraszam. Mistrzyni gry przyszło go głowy, że między obiema skargami może istnieć jakiś związek, a dzięki Jezabel potwierdziłem, że faktycznie tak jest. Poza tym istnieje powiązanie z sędzią Rachel Rosen. Oba doniesienia złożyła w sądzie dla nieletnich pracownica opieki społecznej i oba dotyczyły tego samego dziecka, niejakiego Lee Galespiego.

– Co o nim wiadomo? – zapytał Esmeralda.

– Był sierotą – powiedziała Denise West w roli Jezabel, czytając z kartki, którą dał jej Miller. – Zaliczył kilka rodzin zastępczych, ale wszędzie miał problemy, to było trudne dziecko, ze zdiagnozowaną depresją, dręczyły go absurdalne majaki, nie potrafił się przystosować do życia społecznego. Przydzielono mu jako psychiatrę Richarda Ashtona, leczył go przez jakiś czas, ale pracownica opieki społecznej zarzuciła lekarzowi stosowanie elektrowstrząsów. Galespi był nieśmiały, miał za sobą traumatyczne doświadczenia, w szkole padł ofiarą okrutnych dzieci, brutali, których nigdy nie brakuje. Kiedy miał piętnaście lat, oskarżono go o podpalenie szkolnej ubikacji, w której przebywali dokuczający mu chłopcy. Nikomu nic się nie stało, ale Galespiego wysłano do poprawczaka.

– Przypuszczam, że decyzję podjęła Rachel Rosen, a poprawczakiem był Boys Camp w Arizonie, gdzie pracował Ed Staton – wtrącił Sherlock Holmes.

– Strzał w dziesiątkę – powiedziała Jezabel. – Ta sama pracownica opieki społecznej oskarżyła Eda Statona o wykorzystywanie seksualne Lee. Ale Rosen nie zabrała chłopca z Boys Camp.

– Moglibyśmy porozmawiać z tą opiekunką? – zapytał Esmeralda.

– Nazywa się Angeliqne Larson, jest na emeryturze i mieszka na Alasce, gdzie dostała pracę jako nauczycielka – poinformowała Jezabel.

– Od tego są telefony. Pachołku, zdobądź numer tej pani – poleciła mistrzyni gry.

– To nie będzie konieczne, mam jej numer – obwieściła Jezabel.

– Wspaniale, dlaczego do niej nie zadzwonimy? – zasugerował Esmeralda.

– Bo nie odpowie na pytania grupy dzieciaków. Co innego gdyby zrobiła to policja – powiedział pułkownik Paddington.

– Nie zaszkodzi spróbować. Kto się odważy? – zapytała Abatha.

– Ja bym się odważyła, ale myślę, że głos mojego dziadka, to znaczy głos Kabela, będzie brzmiał bardziej przekonująco. Zadzwon do niej, pachołku, i powiedz, że jesteś z policji, postaraj się mówić władczym tonem.

Blake Jackson, który nie miał ochoty udawać policjanta, bo to mogło oznaczać naruszenie prawa, przedstawił się jako pisarz, co było tylko w połowie kłamstwem, ponieważ poważnie myślał o spełnieniu marzenia swojego życia i napisaniu powieści. Miał wreszcie temat, który zasugerowała mu wnuczka: Wilk. Angeliqne Larson okazała się osobą tak otwartą i miłą, że Blake pożałował, że ją oszukał, ale było już za późno, żeby wszystko odkręcać. Kobieta bardzo dobrze pamiętała Lee Galespiego, bo zajmowała się nim przez kilka lat, a jego przypadek zaliczała do najciekawszych w swojej karierze zawodowej. Podczas trzydziestopięciominutowej rozmowy z Jacksonem opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o chłopcu. Nie słyszała o nim od roku 2006, ale wcześniej zawsze dzwonili do siebie z okazji Bożego Narodzenia. Angeliqne i Blake pożegnali się jak starzy przyjaciele. zaproponowała, żeby do niej zatelefonował, kiedy będzie chciał, i życzyła mu powodzenia w pracy nad powieścią.

Angeliqne Larson dokładnie pamiętała pierwsze wrażenie, jakie zrobił na niej Lee Galespi, i często wracała myślami do tamtej chwili, bo to dziecko stanowiło jakby syntezę jej pracy w opiece społecznej, ze wszystkimi związanymi z nią frustracjami i rzadkimi momentami satysfakcji. Opieka Społeczna dla Nieletnich ratowała z opresji setki dzieci takich jak Galespi, ale wracały do niej w jeszcze gorszym stanie, bardziej skrzywdzone, bardziej zdesperowane, coraz bardziej nieprzystępne, a kiedy kończyły osiemnaście lat, odbierano im tę i tak niewystarczającą opiekę i wyrzucano je na ulicę. W oczach Angeliqne wszystkie te dzieci zlewały się w jedno, przybierając postać Galespiego. Przechodziły przez te same etapy: nieśmiałość, lęk, smutek, przerażenie, które z czasem zamieniały się w bunt i wściekłość, a na końcu w cynizm i oziębłość – wtedy nic już nie mogła dla nich zrobić, musiała się z nimi

rozstać z poczuciem, że zostawia je na pożarcie dzikim bestiom.

Larson powiedziała Blake'owi Jacksonowi, że latem roku 1993 jakaś kobieta dostała ataku serca na przystanku autobusowym. Zanim przyjechała policja i karetka pogotowia, ktoś wyrwał jej torebkę, korzystając z zamieszania, jakie powstało na ulicy. Kobieta trafiła do szpitala w San Francisco nieprzytomna, w ciężkim stanie, bez dokumentów. Trzy tygodnie leżała w śpiączce i w końcu zmarła po drugim, rozległym zawale. Dopiero wtedy sprawą zainteresowała się policja, która zdołała ją zidentyfikować: Marion Galespi, wiek sześćdziesiąt jeden lat, pielęgniarka czasowo zatrudniona w szpitalu Laguna Honda, zamieszkała w Daly City, na południe od San Francisco. Dwaj policjanci zjawili się pod jej adresem, w skromnym budynku dla ludzi o niskich dochodach, a ponieważ nikt nie reagował na dzwonek, sprowadzili ślusarza, który nie mógł otworzyć drzwi, bo były zamknięte od środka na dwie zasuwę. Kilku zwabionych hałasem sąsiadów wyjrzało na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje, i w ten sposób dowiedzieli się o śmierci mieszkającej w ich domu kobiety. Nie odczuli jej braku, bo – jak powiedzieli – Marion Galespi zajmowała lokal od kilku miesięcy, nie była przyjaźnie nastawiona do otoczenia i rzadko odpowiadała na powitania, kiedy spotykała kogoś w windzie. Jeden z gapiów zapytał, gdzie jest jej córka, i wyjaśnił policjantom, że mieszka tam również dziewczynka, której nikt nie widuje, bo nigdy nie wychodzi na zewnątrz. Według matki dziecko było niedorozwinięte umysłowo i cierpiało na chorobę skóry, która nasilała się pod wpływem słońca, dlatego nie uczęszczało do szkoły i uczyło się w domu; było bardzo nieśmiałe i grzeczne, czekało posłusznie, aż ona wróci z pracy.

Godzinę później strażacy ustawili na ulicy drabinę teleskopową, wybili szybę, weszli do środka i otworzyli drzwi policji. Skromne mieszkanie składało się z salonu, małej sypialni, kuchni we wnęce i łazienki. Stało tam bardzo mało mebli, za to dużo walizek i pudeł; nie było przedmiotów osobistych, nie licząc kolorowego obrazka Najświętszego Serca Pana Jezusa i gipsowej figurki Matki Boskiej. Powietrze wypełniał zaduch charakterystyczny dla zamkniętych pomieszczeń, mieszkanie wyglądało na puste, policjanci nie potrafili wytłumaczyć, jak zaryglowano drzwi od środka. W kuchni znaleźli resztki opakowań po płatkach zbożowych, puszki po konserwach, dwie butelki po mleku i jedną po soku pomarańczowym. Na obecność dziewczynki wskazywały tylko ubrania i szkolne zeszyty. Nie znaleźli ani jednej zabawki. Już mieli wyjść, kiedy komuś przyszło do głowy, żeby zajrzeć do szafy i rozsunąć wiszące tam ubrania. Dziewczynka ukrywała się pod stosem szmat, przyczajona niczym zwierzę. Kiedy zobaczyła mężczyznę, zaczęła skamleć tak przerażona, że ten wezwał pomoc, bo nie odważył się wyciągnąć jej siłą. Wkrótce przybyła policjantka, która po dłuższych namowach zdołała przekonać dziewczynkę, by wyszła. Dziecko było brudne, rozczochrane, chude i miało wypisany na twarzy obłęd. Nie zrobiło nawet trzech kroków, bo zemdlało, padając kobiecie w ramiona.

Angelique Larson pierwszy raz zobaczyła Lee w szpitalu, trzy godziny po dramatycznym uwolnieniu dziewczynki z mieszkania w Daly City. Leżała na noszach, podłączona do kroplówki, była na wpół nieprzytomna, ale patrzyła czujnym okiem na każdego, kto się do niej zbliżał. Lekarka dyżurna, która ją przyjęła, powiedziała, że wygląda na wygłodzoną i

odwodnioną, że wręcz pożarła herbatniki, budyń, galaretkę, wszystko, co przed nią postawiono, ale natychmiast zwymiotowała. Pomimo osłabienia broniła się jak wściekła kotka, kiedy próbowano zdjąć z niej sukienkę, żeby ją zbadać, lekarka zdecydowała w końcu, że nie warto stosować przemocy, lepiej zaczekać, aż zacznie działać środek uspokajający. Powiedziała Larson, że dziecko krzyczy, kiedy podchodzi do niego mężczyzna. Pracownica opieki społecznej wzięła dziewczynkę za rękę, wytłumaczyła jej, kim jest i po co przyszła, uspokoiła ją, że nie ma się czego bać i że zostanie z nią tyle, ile będzie trzeba, do czasu aż przyjedzie ktoś z rodziny. „Moja mama, chcę do mojej mamy”, powtarzała dziewczynka, a Angeliqne Larson nie miała serca powiedzieć jej, że matka nie żyje. Lee Galespi głęboko spała, kiedy ją rozebrano, żeby lekarka mogła przeprowadzić badanie. Wtedy okazało się, że to chłopiec.

Galespi został przyjęty na oddział pediatryczny szpitala; w tym czasie policja na próżno próbowała znaleźć jakiegoś krewnego chłopaka. Wyglądało na to, że Marion Galespi i jej syn pojawili się znikąd, nie mieli rodziny, przeszłości, korzeni. Dziecko cierpiało na egzemę o podłożu alergicznym i łysienie na tle nerwowym, wymagało leczenia stomatologicznego, powietrza, słońca i ruchu, ale nie wykazywało objawów żadnej choroby fizycznej ani psychicznej, wbrew temu, co sądzili jego sąsiedzi z Daly City. W akcie urodzenia, podpisanym 23 lipca 1981 roku przez niejakiego doktora Jeana-Claude’a Castela, odnotowano, że poród odbył się w domu, we Fresno w Kalifornii, że dziecko jest płci męskiej, rasy białej, waży 3,2 kilograma i mierzy 50 centymetrów.

W styczniu 1994 roku doktor Richard Ashton dostarczył sądowi dla nieletnich swoją pierwszą opinię psychiatryczną na temat Lee Galespiego. Pod względem fizycznym chłopiec rozwijał się stosownie do swojego wieku, miał iloraz inteligencji nieco wyższy od przeciętnego, ale także poważne problemy emocjonalne i adaptacyjne, cierpiał na bezsenność i uzależnienie od środków uspokajających podawanych mu przez matkę, żeby lepiej znosił zamknięcie. Długo walczono, zanim przekonano go, by dał sobie skrócić włosy i włożył chłopięce ubranie, ciągle powtarzał, że jest dziewczynką i że „chłopcy są źli”. Tęsknił za matką, moczył się w łóżku, często płakał, zawsze wyglądał na wystraszonego, zwłaszcza w obecności mężczyzn, co sprawiło, że w relacji terapeuta–pacjent pojawiało się mnóstwo konfliktów i trzeba było stosować hipnozę oraz leki. Matka zamykała go w domu, ubierała jak dziewczynkę, mówiła, że ludzie są niebezpieczni i że niedługo nadejdzie koniec świata. Ciągle zmieniali miejsce pobytu, chłopiec nie pamiętał albo nie wiedział, w jakich miastach mieszkali, potrafił tylko powiedzieć, że matka zatrudniała się w szpitalach albo w domach starców i często zmieniała pracę, „bo musieli się wynosić”. We wnioskach psychiatra napisał, że zważywszy na objawy, zachodzi konieczność poddania pacjenta Lee Galespiego terapii elektrowstrząsowej.

Pracownica opieki społecznej tłumaczyła sądowi, że psychoterapia jest nieskuteczna, bo dziecko boi się doktora Ashтона, ale Rachel Rosen nie poprosiła o opinię innego specjalisty, poleciła, by kontynuować leczenie, umieścić Galespiego w rodzinie zastępczej i posłać go do szkoły. W raporcie z roku 1995 Angeliqne Larson napisała, że chłopiec jest dobrym uczniem, ale nie ma przyjaciół. Koledzy kpili z niego, twierdząc, że zachowuje się jak dziewczyna, a nauczyciele narzekali, że mało się udziela. W wieku trzynastu lat trafił do rodziny Michaela i

Wiem, Indi, że chce ci się pić. W nagrodę za to, że jesteś grzeczna, dam ci soku pomarańczowego. Nie próbuj wstawać, pij przez słomkę. O tak. Jeszcze? Nie, jedna szklanka na razie wystarczy, dam ci więcej przed wyjściem, o ile zjesz to, co ci przyniosłam, to ryż z fasolą, powinnaś odzyskać siły. Cała drżysz, musisz być zmarznięta, to miejsce jest bardzo wilgotne, częściowo zalane, bo z ziemi sączy się woda. Kto wie, od ilu godzin umierasz z zimna. Przykryłam cię przed wyjściem, włożyłam ci nawet wełniane skarpetki, ale zaczęłaś się ruszać i koce spadły, musisz leżeć spokojnie, kiedy mnie nie ma; niczego nie zyskasz, jeśli będziesz się kręcić, rzemienie są mocne i żebyś nie wiem jak próbowała, nie dasz rady ich ściągnąć. Nie mogę pilnować cię przez cały czas, domyślasz się chyba, że mam własne życie tam, na zewnątrz. Kilka razy tłumaczyłam ci sytuację, ale ty nie słuchasz albo zapominasz. Powtarzam, że tu nikt nie przychodzi, to bezludzie, miejsce opuszczone wiele lat temu, teren jest ogrodzony i niedostępny, gdybyś nie miała knebla, mogłabyś zedrzeć sobie gardło od krzyku, a nikt by cię nie usłyszał. Może nie potrzebujesz knebla, bo widzę, że milczysz jak zakłeta, ale nie chcę ryzykować. O czym myślisz? Lepiej nie myśl o ucieczce, bo nawet jeśli utrzymasz się na nogach, nie zdołasz stąd wyjść. Ściany tego pomieszczenia to tylko cztery czarne płachty, ale znajdujemy się w olbrzymich podziemiach ze zbrojonego betonu, z żelaznymi słupami. Drzwi też są żelazne, a kłódki pilnuję ja.

Jesteś zbyt oszołomiona, może nawet bardziej chora niż sądzę, zapewne z powodu utraty krwi. Co się z tobą dzieje, Indiano? Czyżbyś już się nie bała? Poddawałaś się? Martwi mnie twoje milczenie, bo jesteś tu po to, żebyśmy mogły porozmawiać i dobrze się zrozumieć. Wyglądasz jak mnich tybetański, który ucieka przez światem w medytację. Mówią, że niektórzy z nich potrafią zapanować nad swoim tętnem, ciśnieniem, uderzeniami serca, mogą nawet umrzeć na własne życzenie. Ciekawe, czy to prawda. Masz okazję, żeby wykorzystać w praktyce metody, które zalecasz swoim pacjentom: medytację, relaks, wszystkie te dziwactwa New Age, które tak bardzo lubisz. Jeśli chcesz, mogę przynieść ci magnesy i olejki do aromaterapii. A skoro już medytujesz, skorzystaj z okazji i zastanów się, z jakiego powodu tu przebywasz, pomyśl, jak bardzo jesteś kapryśna i podła. Żałujesz, wiem, ale jest za późno, by się wycofać, możesz przysięgać, że rozumiesz swoje błędy i że się poprawisz, możesz obiecać mi, co tylko zechcesz, ale musiałabym być idiotką, żeby ci uwierzyć. A zapewniam cię, że nią nie jestem.

Czwartek, 5

Po wysłuchaniu historii Lee Galesiego ripperowcy postanowili jednogłośnie, że należy poinformować o odkryciu nadinspektora. Wcześniej rano Amanda wystukała numer komórki ojca, a kiedy nie odebrał, zadzwoniła do Petry Horr, która wyjaśniła jej, że agenci FBI wezwali cały wydział na zebranie.

– Uważają, że sabotujemy sprawę Millera. Stracili czas i niczego nie działali. Poradziłam im, żeby skorzystali z okazji i trochę pozwiedzali miasto, ale źle to przyjęli. Są strasznie namolni – powiedziała Petra.

– Może Miller wyjechał do Afganistanu. Zawsze mówił o honorowym długu wobec tego kraju – zasugerowała Amanda, by skierować jej uwagę na fałszywy trop.

– Chcą, żebyśmy szukali Millera, jakbyśmy nie mieli niczego innego do roboty. Dlaczego sami go nie znajdują? Po to przecież wszystkich pilnują. Nie ma już żadnej prywatności w tym pieprzonym kraju; za każdym razem, kiedy coś kupujesz, korzystasz z telefonu, internetu czy karty kredytowej, kiedy smarkasz w chusteczkę, zostawiasz jakiś ślad i rząd się o wszystkim dowiaduje.

– Jesteś pewna? – zapytała Amanda z niepokojem w głosie, bo jeśli rząd i jej ojciec dowiedzą się, że gra w *Rippera* z Ryanem Millerem, pójdzie do więzienia.

– Na sto procent.

– Powiedz tacie, żeby zadzwonił do mnie, jak tylko wyjdzie z zebrania. To pilne.

Bob Martín zadzwonił do córki dwadzieścia minut później. W ciągu ostatnich dni sypiał na raty na kanapie w swoim gabinecie, żywił się kawą i kanapkami, nie miał czasu chodzić na siłownię, czuł, że całe ciało ma sztywne, jakby nosił zbroję, i był tak nerwowy, że zebranie skończyło się głośną kłótnią. Nienawidził tej zgorzkniałej kobiety, Lorraine Barcott, i Napoleona, który doprowadzał go do szału swoim maniactwem. Głos Amandy, który wzruszał go tak samo jak wówczas, gdy była dzieckiem, poprawił mu trochę nastrój.

– Chciałaś mi coś powiedzieć? – zapytał córkę.

– Najpierw twoje wiadomości.

– Od grudnia mamy w depozycie przyczepę Farkasów, ale nikt jej nie przeszukał, w wydziale były inne priorytety. Oddaliśmy do analizy butelkę z dżinem i okazało się, że zawierała xanax. Wiesz, co jeszcze znaleźliśmy?

– Pluszowego wilczka – odparła.

– Album ze zdjęciami turystycznymi z miejsc, które odwiedzili Farkasowie. Przejechali kilka stanów, zanim osiedli w Kalifornii. Była tam interesująca pocztówka, podpisana przez brata Joe’ego z datą czternastego listopada zeszłego roku. Zaprosił ich na grudzień do San Francisco.

– Co w tym szczególnego?

– Dwie rzeczy. Pierwsza: na pocztówce jest zdjęcie wilka. Druga: brat Joe’ego zapewnia,

że jej nie wysłał.

– To znaczy, że Wilk umówił się z nimi, żeby ich zabić.

– Prawdopodobnie tak, ale ta pocztówka nie jest wystarczającym dowodem, nie zaakceptowałyby jej żaden sąd.

– Dodaj do tego xanax i pełnię księżyca.

– Powiedzmy, że Wilk pod jakimś pretekstem pojawił się w przyczepie, pewnie przyniósł im w prezencie butelkę, bo wiedział, że lubią wypić. Dżin zawierał narkotyk. Odczekał jakieś pół godziny, aż alkohol ich znokautuje, a przed wyjściem odkręcił gaz. Zostawił butelkę, żeby wyglądało na typowy wypadek, jaki przytrafił się dwójce pijanych ludzi, i to właśnie wynioskowała policja.

– To nas nie zbliża do Wilka, tato. Mamy trzydzieści dziewięć godzin, żeby ocalić mamę.

– Wiem, córeczko.

– Ja też mam nowe wiadomości – powiedziała Amanda podnieconym tonem, który w ostatnich tygodniach Bob nauczył się doceniać.

Nowe wiadomości od córki nie rozczarowały nadinspektora. Natychmiast zadzwonił do kierowniczkę Ośrodka Opieki Społecznej dla Nieletnich, a ta wysłała mu przez gońca akta Lee Galespiego, które Angeliqe Larson zgromadziła w ciągu siedmiu lat zajmowania się chłopcem.

Na osobnej kartce pracownica zanotowała odręcznie, że Lee Galespi wiele wycierpiał i że opieka społeczna za każdym razem go zawodziła, podobnie jak wszystkie osoby, które miały mu pomóc; ona sama czuła, że niewiele mogła dla niego zrobić. Jedyną dobrą rzeczą, która przytrafiła się Lee w jego nieszczęśliwej egzystencji, było ubezpieczenie na życie w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów zostawione mu przez matkę. Sąd dla nieletnich utworzył fundusz powierniczy i chłopak mógł podjąć swoje pieniądze po skończeniu osiemnastu lat.

Żeby podnieść cię na duchu, mam dla ciebie czekoladę, taką jak ta, którą dawał ci w prezencie Keller. Dziwna mieszanka, czekolada z chili. Cukier jest szkodliwy i tuczy, chociaż ciebie nie martwią kilogramy, twoim zdaniem są zmysłowe, ale ostrzegam, że po czterdziestce zamieniają się w zwykłą otyłość. Na razie twoje kilogramy cię bawią. Jesteś bardzo ładna. Nie dziwi mnie, że mężczyźni tracą dla ciebie głowę, Indiano, ale uroda nie jest darem, jak w bajkach, to przekleństwo, przypomnij sobie mit o Helenie Trojańskiej, która doprowadziła do krwawej wojny między Grekami. Przekleństwo niemal zawsze obraca się przeciwko piękności, jak w przypadku Marilyn Monroe, symbolu seksu w pełnym tego słowa znaczeniu, chorej na depresję i uzależnionej od narkotyków, która umarła w samotności, i minęły trzy dni, zanim ktokolwiek upomniał się o jej zwłoki. Sporo o tym wiem, femmes fatales jednocześnie mnie fascynują i odpychają, przyciągają i budzą strach, jak gady. Tak przywykłaś do tego, że zwracasz na siebie uwagę, że jesteś podziwiana i pożądana, że nawet nie zdajesz sobie sprawy z cierpienia, jakie

zadajesz. Kokietki takie jak ty chodzą po świecie, prowokując, uwodząc i dręcząc innych, bez żadnego poczucia odpowiedzialności czy honoru. Nie ma nic straszliwszego niż odtrącona miłość, mówię ci to z własnego doświadczenia, to okrutna męczarnia, powolna śmierć. Pomyśl na przykład o Garym Brunswicku, tym dobrym człowieku, który oferował ci bezinteresowną miłość, o Rynie Millerze, którego odrzuciłaś jak śmiecia, nie wspominając o Alanie Kellerze, który zginął z twojego powodu. To niesprawiedliwe. Musisz za to zapłacić, Indiano. W tych dniach uważnie cię studiuję, twój charakter, ale przede wszystkim twoje ciało, które znam dokładnie, od blizny na pośladku po fałdki na sromie. Wiem nawet, ile masz pieprzyków.

Lee Galespi mieszkał przez dwa lata u Constante'ów, do czasu, aż w trakcie rutynowego badania odkryto, że chłopiec ma na ciele ślady poparzeń papierosami. Chociaż Galespi nie chciał powiedzieć, co mu się stało, Angelique Larson uznała, że to zapewne metoda wychowawcza, jaką stosowali Constante'owie, żeby oduczyć go moczenia się w nocy. Zabrała od nich chłopca, ale nie zdołała sprawić, by cofnięto im pozwolenie na opiekę nad dziećmi. Niedługo potem Galespi został wysłany na rok do Boys Camp w Arizonie. Angelique Larson błagała sędzię Rachel Rosen, żeby ponownie przemyślała swoją decyzję, bo ten zakład z paramilitarną dyscypliną, słynący z brutalnego traktowania podopiecznych, był najmniej odpowiednim miejscem dla kruchego dziecka po traumatycznych przejściach, ale Rosen zignorowała jej argumenty.

Ponieważ nieliczne listy, jakie otrzymała od chłopca, były ocenzone czarnym markerem, pracownica opieki społecznej postanowiła odwiedzić go w Arizonie. W Boys Camp nie uznawano wizyt, ale zdobyła pozwolenie z sądu. Lee był blady, wychudzony i małomówny, miał siniaki i cięcia na rękach i nogach, które opiekun, dawny żołnierz nazwiskiem Staton, uznał za normalne u chłopców ćwiczących na świeżym powietrzu. Poza tym Lee bił się z kolegami, którzy go nie znosili, uważali za mazgaja i płaksę, za ciotę. „Ale jakem Ed Staton, już ja zrobię z niego mężczyznę”, dodał. Angelique zażądała, żeby pozwolono jej porozmawiać sam na sam z Lee, ale niczego z niego nie wyciągnęła, bo na wszystkie pytania odpowiadał jak automat, który na nic się nie skarży. Wypytała pielęgniarkę z poprawczaka, grubą, antypatyczną kobietę, od której dowiedziała się, że Galespi ogłosił strajk głodowy, nie on pierwszy uciekał się do takich sztuczek, ale szybko zrezygnował, kiedy zobaczył, jak to nieprzyjemnie, kiedy podają ci jedzenie siłą, przez włożoną do gardła rurkę. W swoim raporcie Larson napisała, że Lee Galespi jest w opłakanym stanie, „przypomina zombie”, i zalecała natychmiastowe zabranie go z Boys Camp. Ponieważ Rachel Rosen znowu pozostała głucha na jej prośby, na własną rękę złożyła doniesienie na Eda Statona, które także na nic się nie zdało. Lee Galespi odsiedział roczny wyrok w piekle.

Kiedy wrócił do Kalifornii, Larson umieściła go w domu Jane i Edgara Fernwoodów, ewangelickiego małżeństwa, które okazało mu współczucie, jakiego już od nikogo nie oczekiwał. Edgar Fernwood pracował na budowie i zrobił z niego swojego pomocnika, dzięki czemu chłopiec zaczął się uczyć zawodu; wyglądało na to, że wreszcie znalazł bezpieczne miejsce. Przez dwa kolejne lata Lee Galespi dostawał dobre oceny w liceum i pracował z

Fernwoodem. Miał sympatyczną buzię, jasne włosy, był niski i szczupły w porównaniu z większością swoich amerykańskich rówieśników, nieśmiały i nietowarzyski, w wolnym czasie czytał komiksy, grał na konsoli, oglądał filmy akcji. Któregoś razu Angelique Larson zapytała go, czy wciąż sądzi, że „chłopcy są źli, a dziewczynki dobre”, ale Galespi nie wiedział, o co jej chodzi; wyparł ze swojej pamięci okres, kiedy chciał być dziewczynką.

Do akt dołączono kilka zdjęć Lee Galespiego, ostatnie zrobione w 1999 roku, kiedy skończył osiemnaście lat i opieka społeczna przestała być za niego odpowiedzialna. Rachel Rosen zdecydowała, że ze względu na problemy wychowawcze, jakie sprawiał, nie otrzyma pieniędzy z ubezpieczenia, które zostawiła mu matka, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat. W tym samym roku Angelique Larson przeszła na emeryturę i wyprowadziła się na Alaskę.

Nadinspektor polecił swoim ludziom odszukanie Lee Galespiego, Angelique Larson i Fernwoodów.

Przyniosłam ci coca-colę, musisz pić dużo płynów, a trochę kofeiny dobrze ci zrobi. Nie masz ochoty? No dalej, Indi, nie stawiaj się. Jeśli nie chcesz jeść ani pić, bo myślisz, że podaję ci narkotyki, zastanów się przez chwilę: mogłabym ci je wstrzykiwać, jak robiłam to z antybiotykiem. To była dobra decyzja, spadła ci gorączka i mniej krwawisz, niedługo będziesz w stanie zrobić kilka kroków.

Wróć do mojej historii, bo zależy mi, żebyś mnie poznała i zrozumiała moją misję. To wycinek z gazety z 21 lipca 1993 roku. Nagłówek głosi: „Mała dziewczynka niemal umiera z głodu uwięziona przez swoją matkę”. Potem są dwa akapity pełne kłamstw. Piszą, że jakaś niezidentyfikowana kobieta zmarła w szpitalu, nie zdradzając, że ma córkę, a miesiąc później policja znalazła jedenastoletnią dziewczynkę, która przez całe życie była więziona pod kluczem, i... Piszą, że zastali makabryczną scenę. Kłamstwa! Byłam tam i zapewniam cię, że wszędzie panował porządek, nie znaleźli niczego makabrycznego. Poza tym to nie był miesiąc, zaledwie trzy tygodnie, a moja biedna matka nie ponosi winy za to, co się stało. Wysiadło jej serce i już nie odzyskała przytomności, jak miała wytłumaczyć, że zostałam sama? Bardzo dobrze pamiętam, co się wydarzyło. Wyszła rano jak zwykle, zostawiła mi gotowy obiad i przypomniała, żebym zamknęła obie zasuwki w drzwiach i pod żadnym pozorem nikomu nie otwierała. Kiedy nie wróciła o zwykłej porze, pomyślałam, że ma dużo pracy, zjadłam talerz płatków z mlekiem i oglądałam telewizję, aż zasnęłam. Obudziłam się późno w nocy, a jej wciąż nie było, wtedy zaczęłam się bać, bo mama nigdy nie zostawiała mnie samej na tak długo i nigdy nie spała poza domem. Następnego dnia czekałam na nią wpatrzona w zegarek, bez przerwy się modliłam i przyzywałam ją całym sercem. Zabroniła mi odbierania telefonu, ale postanowiłam, że jeśli rozlegnie się dzwonek, podniosę słuchawkę, bo gdyby mojej mamie coś się stało, na pewno by do mnie zadzwoniła. Ale nie zadzwoniła, znów nie wróciła na noc ani następnego dnia rano; tak mijały kolejne dni, które liczyłam jeden po drugim na przyczepionym do lodówki kalendarzu. Skończyło mi się jedzenie, zaczęłam jeść pastę do zębów, mydło, rozmoczony papier, wszystko, co dało się włożyć do ust. Przez ostatnie pięć czy

sześć dni tylko piłam wodę. Byłam zdesperowana, nie mogłam uwierzyć, że mama mnie zostawiła. Przychodziły mi do głowy wszelkiego rodzaju wytłumaczenia: to była próba sprawdzenia mojego posłuszeństwa i odporności; mama została napadnięta przez bandytów albo zatrzymana przez policję; chodziło o karę za coś złego, co niechcący zrobiłam. Ile jeszcze dni będę w stanie wytrzymać? Szacowałam, że niewiele, wykończą mnie głód i strach. Modliłam się i wzywałam mamę. Dużo płakałam, ofiarowywałam moje łzy Jezusowi. W tamtym okresie byłam bardzo pobożna, jak moja mama, ale teraz w nic już nie wierzę; widziałam na tym świecie zbyt dużo zła, żeby pokładać ufność w Bogu. Potem, kiedy mnie znaleźli, wszyscy pytali o to samo: dlaczego nie wyszłam z mieszkania? Dlaczego nie poprosiłam o pomoc? Tak naprawdę nie wiedziałam, do kogo mogłabym się zwrócić. Nie miałyśmy krewnych ani przyjaciół, nie znałyśmy sąsiadów. Wiedziałam, że w razie nagłego wypadku należy zadzwonić pod 911, ale nigdy nie używałam telefonu i przerażała mnie myśl, że miałabym rozmawiać z kimś obcym.

Wreszcie, dwadzieścia dwa dni później, nadeszła pomoc. Usłyszałam walenie w drzwi i krzyki, żebym otworzyła, że to policja. Jeszcze bardziej się wystraszyłam, bo mama wbijała mi do głowy, że najgroźniejsza ze wszystkich jest policja, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno podchodzić do nikogo w mundurze. Schowałam się w szafie, którą zamieniłam w moje legowisko, zrobiłam tam sobie gniazdko z ubrań. Wybili szybę, weszli przez okno i wdarli się do mieszkania... Potem zabrali mnie do szpitala, traktowali jak królika doświadczalnego, robili poniżające badania, zmusili, żebym ubierała się jak chłopiec, nikt się nade mną nie ulitował. Najokrutniejszy był Richard Ashton, który przeprowadzał na mnie swoje eksperymenty: podawał mi narkotyki, hipnotyzował mnie, mącił mi umysł, a potem diagnozował szaleństwo. Wiesz, co to takiego terapia elektrowstrząsowa? Coś strasznego, nie do opisanie. Sprawiedliwie się stało, że Ashton doświadczył tego na własnej skórze i zginął porażony prądem.

Mieszkałam u kilku rodzin, ale u żadnej nie wytrzymałam, bo przywykłam do czułości mojej mamy i do tej pory wychowywałam się sama; inne dzieci mi dokuczały, były brudne i nieporządne, zabierały mi moje rzeczy. Najgorzej wspominam Constante'ów. W tamtym okresie Michael Constante jeszcze pił, a pod wpływem alkoholu stawał się okropny; sprawował opiekę nad szóstką dzieci i choć pozostałe przysparzały więcej kłopotów niż ja, to na mnie szczególnie się wyżywał, nie mógł na mnie patrzeć, gdybyś wiedziała, jak mnie karał. Jego żona była również zła. Oboje zasługiwali na karę śmierci za swoje zbrodnie, tak im powiedziałam. Byli pod wpływem narkotyków, ale przytomni, rozpoznali mnie i wiedzieli, co się z nimi stanie. Każde z ośmiorga skazanych miało czas, żeby mnie wysłuchać, i każdemu wyjaśniłam, dlaczego zginie, poza Alanem Kellerem, bo cyjanek zadziałał bardzo szybko.

Wiesz, jaki dziś dzień, Indiano? Czwartek, piątego kwietnia. Jutro jest Wielki Piątek, chrześcijanie upamiętniają śmierć Jezusa na krzyżu. W czasach Rzymian ukrzyżowanie było powszechnym sposobem wymierzania kary.

Blake Jackson, który od kilku dni nie chodził do pracy, wpadł na moment do apteki, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku; miał zaufanie do pracowników, ale oko szefa zawsze jest potrzebne. Jakiś nagły impuls kazał mu ponownie zadzwonić do Angelique Larson, do której poczuł dziwną sympatię. Nie miał romantycznych porywów, bał się uczuciowych komplikacji, ale w przypadku Angelique nie było żadnego zagrożenia: dzieliło ich pięć tysięcy zróżnicowanych pod względem geograficznym kilometrów. Wyobrażał ją sobie, jak opatulona w futra uczy alfabetu dzieci Inuitów, a u wejścia do jej igloo stoją sanie zaprzężone w psy. Zamknął się w swoim małym biurze i wybrał numer. Kobiety nie zdziwiło, że rzekomy pisarz dzwoni do niej drugi raz w ciągu kilku godzin.

– Myślałem o Lee Galespim... – powiedział Blake, wściekły na siebie, że nie przygotował żadnego inteligentnego pytania.

– To taka smutna historia! Mam nadzieję, że przyda się panu do powieści.

– To będzie kręgosłup mojej książki, zapewniam panią.

– Cieszę się, że w czymś pomogłam.

– Ale muszę pani wyznać, że jeszcze jej nie napisałem, jestem na etapie obmyślenia treści.

– Ach tak! Ma pan już tytuł?

– *Ripper*.

– To powieść kryminalna?

– Powiedzmy, że tak. Lubi pani ten gatunek?

– Jeśli mam być szczerą, wolę inne, ale i tak przeczytam pana książkę.

– Prześlę ją pani, kiedy tylko się ukaże. Proszę mi powiedzieć, pamięta pani coś więcej na temat Galespiego, coś, co mogłoby mi się przydać?

– Hmm... Tak, jest jeden szczegół, który może nie wyda się panu istotny, ale tak czy inaczej o nim powiem. Nagrywa pan?

– Będę robił notatki, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Co to za szczegół?

– Zawsze wątpiłam, czy Marion Galespi była matką Lee. Kiedy umarła, miała sześćdziesiąt jeden lat, a dziecko jedenaście, co oznaczałoby, że urodziła w wieku pięćdziesięciu lat, chyba że do aktu urodzenia wkradł się jakiś błąd.

– To możliwe, w dzisiejszych czasach można leczyć bezpłodność. W Kalifornii widzi się coraz więcej pięćdziesięciolatek pchających wózki z trojaczkami.

– Tu na Alasce nie. Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby Marion leczyła się na bezpłodność, miała słabe zdrowie i była panną. Poza tym sekcja zwłok wykazała, że usunięto jej macicę. Nikt nie sprawdził, gdzie ani kiedy przeprowadzono operację.

– Dlaczego nie powiedziała pani o swoich podejrzeniach? Mogli zrobić chłopcu badanie DNA.

– Z powodu ubezpieczenia na życie. Pomyślałam, że jeśli istniałyby wątpliwości co do tożsamości beneficjenta, Lee mógłby stracić pieniądze, które zostawiła mu Marion. Ostatnim razem, kiedy rozmawiałam z Lee, w Boże Narodzenie dwa tysiące szóstego roku, powiedziałam mu, że Marion była otyła, chorowała na cukrzycę, miała wysokie ciśnienie i

problemy z sercem, i że takie dolegliwości często są dziedziczne. Zapewnił mnie, że on cieszy się bardzo dobrym zdrowiem. Wspomniałam mimochodem, że Marion urodziła go w wieku, kiedy większość kobiet jest już po menopauzie, i zapytałam o histerektomię. Odpowiedział, że nic mu na ten temat nie wiadomo, ale też zwróciło jego uwagę, że matka była taka stara.

– Ma pani jakieś dobre zdjęcie chłopaka?

– Mam kilka, ale najlepsze dostałam od Fernwoodów, zrobione w dniu, kiedy Lee mógł zrealizować swój czek z ubezpieczenia. Mogę je panu zaraz wysłać. Proszę podać mi swój adres e-mailowy.

– Nie muszę mówić, jak bardzo mi pani pomogła. Mogę znów do pani zadzwonić, jeśli będę miał jakieś pytanie?

– Oczywiście. Rozmowa z panem to dla mnie przyjemność.

Dziadek się rozłączył i zadzwonił do swojego byłego zięcia i do wnuczki. Bob Martín miał już na swoim biurku pierwszy raport na temat Farkasów i porównywał informacje zebrane na ich temat z tym, co mówił mu Blake. Nie wypuszczając telefonu z ręki, zapisał nazwisko Marion Galespi i nazwę miasta Tuscaloosa ze znakiem zapytania i podał kartkę Petrze Horr, żeby odszukała kobietę w bazie danych. Nadinspektor opowiedział byłemu teściowi, że Farkasowie pochodzili z Tuscaloosy w Alabamie, mieli małe problemy z prawem – posiadanie narkotyków, kradzież, prowadzenie pod wpływem alkoholu – i przenosili się z jednego stanu do drugiego. W 1986 roku, w Pensacoli na Florydzie, umarła ich pięcioletnia córka, uduszona kocem, kiedy oni byli w barze; zostawili dziewczynkę samą. Odsiedzieli rok w więzieniu za zaniedbanie. Przenieśli się do Del Río w Teksasie, gdzie mieszkali przez trzy lata, potem do Socorro w Nowym Meksyku, gdzie zostali do 1997. Joe pracował dorywczo jako robotnik budowlany, a Sharon jako kelnerka. Przenosili się coraz bardziej na wschód, zatrzymując na krótko w kilku miejscach, aż w roku 1999 osiedli w Santa Barbara.

– Zwróć uwagę na to, Blake: w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku ich dwuletni synek został porwany w podejrzanych okolicznościach – dodał nadinspektor. – Chłopiec trzykrotnie trafiał do szpitala, po raz pierwszy w wieku dziesięciu miesięcy ze złamaną ręką i siniakami, rodzice powiedzieli, że się przewrócił. Osiem miesięcy później miał zapalenie płuc, został przyjęty na oddział ratunkowy z gorączką, niedożywiony. Policja przesłuchiwała rodziców, ale nie postawiono im żadnych zarzutów. Za trzecim razem chłopiec miał dwa latka i uszkodzenie czaszki, siniaki i połamane żebra; według rodziców potrącił go motocyklista, który uciekł z miejsca wypadku. Trzy dni po wypisaniu go ze szpitala chłopiec zniknął. Farkasowie wyglądali na bardzo poruszonych i zapewniali, że ich syn został porwany. Nigdy go nie odnaleziono.

– Co sugerujesz, Bob? Że tym dzieckiem mógł być Lee Galespi? – zapytał Blake Jackson.

– Jeśli Lee Galespi jest Wilkiem, a Farkasowie także są jego ofiarami, jak sądzimy, to musi istnieć między nimi jakiś związek. Zaczekaj chwilę, Petra przyniosła mi coś na temat Marion Galespi.

Bob Martín rzucił szybko okiem na dwie kartki, które podała mu asystentka, i przeczytał Blake'owi interesujący ich fragment: w 1984 Marion Galespi pracowała jako pielęgniarka na

oddziale pediatrii w szpitalu w Tuscaloosie. W tym samym roku nagle zrezygnowała z pracy i wyjechała z miasta. Nie wiadomo o niej nic aż do jej śmierci, w 1993, w Daly City, kiedy okazała się matką Lee Galespiego.

– Nie ma co dalej szukać, Bob – powiedział Blake Jackson. – Marion ukradła dziecko, żeby ocalić je przed rodzicami, którzy się nad nim znęcali. Dojrzała, samotna, bezdzietna, myślę, że to małeństwo nadało sens jej życiu. Zmieniała miejsca zamieszkania i wychowała Lee jako dziewczynkę, zamkniętego w domu, żeby go chronić. Współczuję jej, musiała żyć w strachu, że w każdej chwili zostanie zatrzymana przez policję. Na pewno bardzo kochała to dziecko.

W ciągu kolejnych godzin nadinspektor przekonał się, że odnalezienie Lee Galespiego jest równie trudne jak odszukanie Carol Underwater. Fernwoodowie, tak samo jak Angelique Larson, nie mieli o nim wiadomości od 2006 roku, kiedy Lee zainwestował połowę pieniędzy z ubezpieczenia w rudę przy ulicy Castro, którą wyremontował w cztery miesiące i sprzedał parze gejów z ponad stu tysiącami dolarów zysku. W ciągu osiemnastu miesięcy powtórzył taką operację jeszcze dwukrotnie. W ostatnim liście wysłanym na Boże Narodzenie oznajmił, że wyjeżdża na jakiś czas spróbować szczęścia w Kostaryce. Jednak w urzędzie imigracyjnym nie zarejestrowano paszportu na jego nazwisko. Trafili na ślad licencji budowlańca i inspektora nieruchomości wydanej w 2004 roku, nadal ważnej, ale nie znaleźli żadnych podpisanych przez niego umów, poza tą dotyczącą domu przy ulicy Castro.

Zgodzisz się ze mną, Indiano, że rodzicami nie są ci, którzy cię spłodzili, ale ci, którzy cię wychowali. Mnie wychowała Marion Galespi, ona była moją jedyną matką. Sharon i Joe Farkasowie nigdy nie zachowywali się jak rodzice, byli parą włóczęgów alkoholików, którzy przez niedopatrzenie dopuścili do śmierci mojej siostrzyczki, a nade mną znęcali się tak, że gdyby nie Marion Galespi, która uratowała mi życie, na pewno by mnie zabili. Szukałam ich, aż znalazłam, a potem czekałam. Skontaktowałam się z nimi w zeszłym roku, kiedy przygotowałam już wszystko do wypełnienia mojej misji. Wtedy się u nich zjawiłam. Gdybyś widziała, jak byli poruszeni powrotem zaginionego dziecka! Nie podejrzewali niespodzianki, którą im przygotowałam.

Jaką trzeba być bestią, żeby bić niemowlę? Ty jesteś matką, Indiano, znasz opiekuńcze uczucia, jakie wzbudzają dzieci, to biologiczny impuls, jedynie wynaturzone istoty takie jak Farkasowie znęcają się nad swoim potomstwem. A skoro już mowa o dzieciach, chcę ci pogratulować Amandy, ta dziewczyna jest bardzo inteligentna, mówię ci to z podziwem i szacunkiem. Ma analityczny umysł, jak ja. Lubi intelektualne wyzwania; ja także. Nie boję się Boba Martina i jego ludzi, są nieudolni jak wszyscy policjanci, znajdują tylko jednego sprawcę na trzy morderstwa, a i to nie zawsze oznacza, że aresztują i skazą prawdziwego winowajcę. Dużo łatwiej nabrać policję niż swoją córkę.

Chciałabym ci wyjaśnić, że nie pasuję do profilu psychopaty, do którego mnie przyporządkowano. Jestem osobą racjonalną, wykształconą i dobrze wychowaną,

czytam, uczę się, interesuję różnymi rzeczami. Planowałam tę misję przez wiele lat, a kiedy ją wypełnię, znowu będę wiodła normalne życie, daleko stąd. Tak naprawdę moja misja powinna była się zakończyć w lutym egzekucją Rachel Rosen, ostatniej skazanej z listy, ale ty skomplikowałaś moje plany i poczułam się zmuszona usunąć z drogi Alana Kellera. To była decyzja podjęta w ostatniej chwili, nie mogłam przygotować wszystkiego tak starannie jak w innych przypadkach. Najlepiej byłoby, gdyby twój kochanek umarł w San Francisco, o godzinie, która była mu pisana. Jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego musiał zginąć, odpowiedź jest taka, że to ty ponosisz za to winę: umarł, bo do niego wróciłaś. Miesiącami musiałam wysłuchiwać historii o Kellerze, potem o Millerze, twoich uczuciowych rozterek, twoich intymnych wyznań, od których przewracało mi się w żołądku, ale wszystko zapamiętywałam, bo mogło mi się kiedyś przydać. Należysz do gatunku kobietek, które nie mogą żyć bez mężczyzn: ledwo skończyłaś z Kellerem, rzuciłaś się w ramiona Millera. Strasznie mnie rozczarowałaś, Indiano, brzydzę się tobą.

To żołnierz miał umrzeć, żebyś była wolna, ale ocalał, bo zostawiłaś go bez słowa wyjaśnienia. Mogłaś powiedzieć mu prawdę, dlaczego nie wyjawiałaś, że jesteś w ciąży z Kellerem? Jaki był twój plan? Aborcja? Wiedziałaś, że Keller nigdy nie chciał być ojcem. A może zamierzałaś przekonać Millera, że to jego dziecko? Nie sądzę, żebyś była w stanie mu to powiedzieć, ale uważam, że i tak by się od ciebie nie odwrócił; wychowywałby dziecko innego mężczyzny, to pasuje do jego kompleksu bohatera. Rozbawił mnie bardzo kosmogram, który zrobiła mu Celeste Roko.

Znając cię, Indiano, myślę, że zamierzałaś zostać samotną matką, jak poradził ci ojciec. Tylko dwie osoby znały twój sekret, on i ja, ale żadne z nas nie przewidziało reakcji Kellera. Kiedy poprosił cię w Café Rossini, żebyś za niego wyszła, nie wiedział nic o ciąży, a ty dopiero co to odkryłaś. Dwa dni później, kiedy mu o niej powiedziałaś i facet zdał sobie sprawę, że zostanie ojcem, zaczął płakać, bo myślał, że nic takiego nigdy mu się nie przytrafi. To było jak cud. Przekonał cię, żebyś przyjęła pierścionek. Jaka groteskowa musiała być ta scena!

Nigdy nie zamierzałam przekonywać cię do aborcji, to był wypadek. Jedna dawka ketaminy, żeby cię tu sprowadzić, byłaby nieszkodliwa, ale musiałam przez kilka dni utrzymywać cię pod wpływem narkotyków i prawdopodobnie to spowodowało poronienie. Okropnie mnie wystraszyłaś. W poniedziałek, kiedy przyszłam cię zobaczyć, leżałaś w czerwonej kałuży, prawie zemdlałam, bo nie znoszę widoku krwi. Bałam się najgorszego, że w jakiś sposób zdołałaś popełnić samobójstwo, ale wtedy przypomniałam sobie o ciąży. W twoim wieku odsetek poronień wynosi od dziesięciu do dwudziestu procent, to naturalny proces, który rzadko wymaga pomocy lekarza. Zmartwiła mnie gorączka, ale zaradziłyśmy jej antybiotykiem. Dobrze się tobą opiekuję, Indi, nie mogę pozwolić, żebyś wykrwawiła się na śmierć, mam wobec ciebie inne plany.

Po dokładnym obejrzeniu fotografii Lee Galespiego, którą Angelique Larson wysłała jej dziadkowi, Amanda poczuła ucisk w żołądku i metaliczny smak w ustach, smak krwi. Była

pewna, że zna tę osobę, ale nie mogła skojarzyć, kim ona jest. Po rozważeniu kilku możliwości dała za wygraną i poprosiła o pomoc dziadka. Rzuciwszy okiem na zdjęcie, Blake orzekł, że Galespi przypomina kobietę chorą na raka, która sprezentowała im Ocal-Tuńczyka. Nie zastanawiając się dłużej, poszli do Café Rossini, bo wiedzieli, że Carol Underwater przesiadywała tam godzinami i czytała książki dla zabicia czasu między kolejnymi zabiegami w szpitalu lub czekając na Indianę.

Danny D'Angelo, jak zawsze teatralny, powitał ich bardzo wylewnie. Nie zapomniał, że Blake Jackson opiekował się nim we własnym domu, kiedy był chory. Łał łyzy bólu z powodu tragedii, która dotknęła ich wszystkich. Niemożliwe, żeby Indiana wyparowała porwana przez kosmitów, a przecież to jedyne wyjaśnienie... Amanda przerwała mu, podsuwając przed oczy zdjęcie.

– Kto to jest, Danny? – zapytała.

– Powiedziałbym, że to ta cała przyjaciółka Indiany, Carol, kiedy była młoda.

– To mężczyzna – zauważył Blake.

– Tak jak Carol. To oczywiste, od razu widać.

– Mężczyzna? Moja mama niczego nie zauważyła i my też nie! – wykrzyknęła Amanda.

– Nie? Myślałem, że Indiana o tym wie. Twoja mama żyje na księżycu, kochana, na nic nie zwraca uwagi. Zaczekajcie, mam zdjęcie Carol zrobione przez Lulu. Znaście Lulu Gardner? Na pewno ją widzieliście, zawsze się tu płacze. Taka ekstrawagancka staruszka, która robi zdjęcia w North Beach.

Odszedł szybko w stronę kuchni i wrócił kilka minut później z kolorowym zdjęciem z polaroidu przedstawiającym Indianę i Carol siedzące przy stoliku przy oknie, a za nimi pozującego Danny'ego.

– Transwestytyzm to subtelna sztuka – wyjaśnił im kelner. – Zdarzają się mężczyźni przebrani za kobiety piękniejsi od modelek, ale to rzadkie przypadki, zazwyczaj wyraźnie po nich widać, jakiej są płci. Carol nie stara się być ładna, wystarczy jej, że czuje się kobietą. Wybrała niemodny, niechlujny styl, który lepiej maskuje ciało. Każdy może się przebrać za brzydulę. Ojejku! Nie powinienem tak mówić o osobie chorej na raka. Chociaż tak naprawdę to pomocne, bo trzeba jej wybaczyć perukę i chustki, które wkłada na głowę. Możliwe też, że wcale nie ma raka, że go sobie wymyśliła, żeby odgrywać rolę kobiety albo żeby zwrócić na siebie uwagę. Udawanie chorób ma swoją nazwę...

– Zespół Münchhausena – przerwał Blake, który jako farmaceuta niejedno już widział.

– Dokładnie. Zmiana głosu stanowi dla transwestyty problem ze względu na struny głosowe, które są grubsze u mężczyzn niż u kobiet. Dlatego Carol mówi szeptem.

– Moja mama sądzi, że to przez chemioterapię.

– Gdzie tam! To zawodowa sztuczka, wszystkie mówią jak nieboszczka Jacqueline Kennedy.

– Facet ze zdjęcia ma jasne oczy, a oczy Carol są ciemne – powiedziała Amanda.

– Nie wiem, po co wkłada sobie te kawowe soczewki, wygląda w nich strasznie, jej oczy

wydają się wyłupiaste.

– Widziałeś tu gdzieś Carol?

– Teraz, kiedy o to pytasz, Amando, mam wrażenie, że nie widziałem jej od kilku dni. Jeśli przyjdzie, powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła.

– Nie sądzę, Danny, żeby się pojawiła.

Od dawna nie przebierałem się za kobietę, Indi, zrobiłem to tylko dla ciebie, chciałem zdobyć twoje zaufanie. Musiałem się zbliżyć do nadinspektora Martina, żeby poznać szczegóły śledztwa, bo skąpe informacje, które podają media, są zazwyczaj niezbyt dokładne, pomyślałem więc, że mi w tym pomożesz. Ty i Bob Martín jesteście dziwną parą rozwodników; niewiele małżeństw przyjaźni się tak jak wy. Ale to nie był jedyny powód: liczyłem na to, że mnie pokochasz i staniesz się ode mnie zależna. Zauważyłaś, że nie masz przyjaciółek? Prawie wszyscy twoi przyjaciele to mężczyźni, jak ten kulawy żołnierz; potrzebowałaś przyjaciółki. Rak był genialnym pomysłem, sama przyznaj, tak się uparłaś, żeby mi pomóc, że straciłaś resztki czujności. Jak mogłaś nie zaufać śmiertelnie chorej nieszczęśnicy? Łatwo było wyciągnąć od ciebie informacje, ale nie przypuszczałem, że pomoże mi także twoja córka; gdybym wierzył w szczęście, powiedziałbym, że spadła mi z nieba, ale wolę myśleć, że to moja strategia przyniosła owoce. Pod pretekstem dowiedzenia się czegoś o Ocal-Tuńczyka – co za dziwne imię dla zwierzaka – kilkakrotnie odwiedziłem twoją córkę, parę razy rozmawialiśmy też przez telefon. Zawsze byłem bardzo ostrożny, żeby cię nie zaalarmować. Wymienialiśmy uwagi na temat jej gry, Rippera, informowała mnie na bieżąco o swoich odkryciach. Nie wiedziała, jaką oddaje mi przysługę.

Z Café Rossini dziadek i wnuczka popędzili ze zdjęciem Carol Underwater, które dał im Danny, do Wydziału Zabójstw. Uświadomiwszy sobie, ile ta osoba wie o jej matce, Amanda wystraszyła się tak bardzo, że ledwo mogła mówić, tak więc Blake wyjaśnił Bobowi Martinowi, że Carol to Lee Galespi. Nadinspektor natychmiast wezwał swoich śledczych i dwóch psychologów kryminalnych, zadzwonił też do Samuela Hamiltona, który przyjechał w piętnaście minut. Wszystko wskazywało na to, że Lee Galespi jest sprawcą sześciu zbrodni i osobą odpowiedzialną za zniknięcie Indiany. Wydedukowali, że latami karmił się myślą o zemście na tych, którzy go dręczyli, ale nie zdecydował się niczego zrobić do chwili, aż Angelique Larson zasiała w nim wątpliwość, czy Marion Galespi, jedyna istota w całym jego życiu, która naprawdę go kochała, rzeczywiście była jego matką. Zaczął szukać swoich biologicznych rodziców, a kiedy ich odnalazł, zrozumiał, że nieszczęścia zaczęły się już w dniu jego narodzin. Wtedy zostawił pracę i przyjaciół, formalnie zniknął i poświęcił kolejne sześć lat na przygotowanie się do tego, czego w jego oczach wymagała sprawiedliwość: do uwolnienia świata od tych zdeprawowanych istot i niedopuszczenia, by znęcały się nad innymi dziećmi. Żył skromnie i oszczędzał pieniądze, miał się za co utrzymać do czasu, kiedy skończy swoje zadanie, zaplanował szczegółowo każde z morderstw, od zdobycia narkotyków i broni,

po znalezienie sposobu na popełnienie zbrodni bez pozostawienia śladów.

– Galespi zapadł się pod ziemię i pojawił ponownie dopiero w zeszłym roku, żeby zabić Eda Statona – powiedział nadinspektor.

– Zamieniony w Carol Underwater – dodał Blake Jackson.

– Nie sądzę, żeby popełniał zbrodnie jako kobieta. W dzieciństwie otrzymał od Marion Galespi przekaz, że „dziewczynki są dobre, a chłopcy źli”. Prawdopodobnie zabijał jako mężczyzna – wyraził przypuszczenie jeden z psychologów.

– Dlaczego w takim razie przebierał się za kobietę?

– Trudno powiedzieć. Może jest transseksualistą.

– Albo zrobił to, żeby zdobyć przyjaźń Indiany. Carol Underwater, a raczej Lee Galespi, ma obsesję na punkcie mojej córki – wyjaśnił Blake Jackson. – Myślę, że to Galespi przebrany za Carol wysłał jej magazyn, w którym były zdjęcia Alana Kellera z inną kobietą, co zakończyło ich związek.

– Zemsta była motywem wszystkich morderstw, poza zabójstwem Kellera – powiedział nadinspektor.

– To ten sam morderca, ale z innym motywem. Kellera zabił z zazdrości – orzekł drugi psycholog.

Blake wyjaśnił, że Indiana ufała Carol i dopuściła ją do swojego prywatnego życia. Czasami Carol (czy też Lee) czekała na nią w recepcji gabinetu, kiedy ona przyjmowała pacjentów. Miała wiele okazji, żeby wejść do jej komputera, przeczytać pocztę, przejrzeć grafik, wrzucić sadomasochistyczne filmiki i nagranie z wilkiem.

– Wielokrotnie widywałem je razem w Café Rossini – wtrącił Samuel Hamilton. – W czwartek ósmego marca Indiana musiała powiedzieć Carol, że jedzie do San Francisco na kolację z Alanem Kellerem, tak jak informowała ją o innych drobiazgach ze swojego życia. Carol miała całe popołudnie, żeby pojechać do Napy, wkraść się do domu Kellera i zatruć szklanki cyjankiem, potem schowała się, żeby na niego zaczekać, sprawdziła, że nie żyje, i wbiła w zwłoki strzałę.

– Ale nie spodziewała się, że Ryan Miller przyjedzie porozmawiać z Kellerem. Musiała go widzieć albo przynajmniej słyszeć ze swojej kryjówki – wyraziła przypuszczenie Amanda.

– Skąd wiesz, kiedy Miller pojechał do domu Kellera? – zapytał ojciec, który od trzech tygodni podejrzewał, że jego córka coś przed nim ukrywa; może nadszedł moment, żeby sprawdzić jej komputer i telefon.

– To logiczne – przerwał szybko dziadek. – Kiedy zjawił się Miller, Keller jeszcze żył, pokłócili się, uderzył go i odjechał, zostawiając wszędzie odciski palców. To było bardzo na rękę mordercy. Potem Keller wypił zatrutą wodę i natychmiast umarł. Ale nie rozumiem, po co strzelać do zwłok.

– Dla Lee Galespiego to także była egzekucja – wyjaśnił jeden z psychologów. – Alan Keller wyrządził mu krzywdę, odebrał mu Indianę i musiał za to zapłacić. Strzała w sercu to jasne przesłanie: Kupidyn zamieniony w kata. Podobnie było ze zbezczeszczeniem zwłok Statona, kiedy morderca nawiązał do tego, co ten mężczyzna zrobił mu w Boys Camp, i

poparzeniem Constante'ów, którzy przypalali go papierosami, kiedy moczył się w łóżku.

– Matheus Pereira jest ostatnią osobą, która widziała Indianę i Carol w piątek po południu – powiedział Samuel Hamilton. – Rozmawiałem z nim, bo jest coś, co nie daje mi spokoju.

– Co takiego? – zapytał nadinspektor.

– Carol powiedziała malarzowi, że idą do kina, ale według pana Jacksona w piątki Indiana zawsze jadała kolację w domu.

– Żeby zobaczyć się z Amandą, kiedy wracała ze szkoły. Pan Hamilton ma rację, Indiana nie poszłaby w piątek do kina – potwierdził dziadek.

– Indiana jest wysoka i silna, Carol nie mogłaby uprowadzić jej przemocą – wtrącił nadinspektor.

– Chyba że podano by jej narkotyki, które całkowicie eliminują wolę i powodują amnezję, jak te, których używają gwałciciele – uzupełnił Hamilton. – Pereira nie zwrócił na to uwagi, widząc dwie przyjaciółki razem, ale kiedy powiedziałem mu, że Indiana mogła być pod wpływem narkotyków, potwierdził, że wydawała się trochę nieobecna, nie odpowiedziała, kiedy ją pozdrowił, a Carol prowadziła ją pod ramię.

O dwudziestej trzeciej piętnaście wszyscy byli zmęczeni i głodni, ale nikt nie myślał o spaniu ani jedzeniu. Amanda nie musiała patrzeć na ścienny zegar w gabinecie ojca, od dwóch lat ćwiczyła odgadywanie czasu: jej matce zostały dwadzieścia cztery godziny i czterdzieści pięć minut życia.

Ryan Miller także nie odpoczywał tej nocy. Siedział przed komputerem, szukając końca nici, który pozwoliłby mu rozplątać kłębek niewiadomych. Miał do dyspozycji programy, z których korzystał w pracy – dawały mu dostęp do każdej informacji na całym świecie, od najpoufniejszej po najbardziej trywialną. W kilka minut mógł sprawdzić, co wydarzyło się na ostatnim spotkaniu dyrektorów Exxon Mobil, Petro China i Saudi Aramco albo co jedli na obiad artyści Teatru Bolszoi. Problemem nie było znalezienie odpowiedzi, tylko sformułowanie odpowiedniego pytania.

Denise West poświęciła jednego ze swoich kurczaków, żeby przygotować przepyszną sztufadę, którą zostawiła mu na noc w kuchni razem z bochenkiem razowego chleba. „Powodzenia, synu”, powiedziała, całując go w czoło, a Ryan poczerwieniał na twarzy, bo choć mieszkał u niej od dwóch tygodni, wciąż nie przywykł do jej spontanicznej serdeczności. W ciągu dnia czuło się ciepło nadchodzącej wiosny, jednak noce wciąż były zimne; deski w domu pojękiwały przy nagłych zmianach temperatury niczym artretyczna staruszka. Jedynym źródłem ciepła były kominek w salonie, ale na niewiele się zdawał, i gazowy grzejnik, który Denise przeciągała z pokoju do pokoju w zależności od tego, gdzie akurat siedziała; Ryan Miller, przyzwyczajony do swojego lodowatego loftu, nie potrzebował piecyka. Kobieta poszła spać i zostawiła go z nosem w komputerze i Attyłą wyciągniętym u jego stóp. Ponieważ pies mógł biegać tylko w obrębie czterech akrów należących do Denise, bo na zewnątrz za bardzo zwracał uwagę, przytył, a odkąd dzielił przestrzeń z dwoma domowymi pieskami i kilkoma kotami, pierwszy raz w swoim surowym życiu wojownika machał ogonem i szczyrzył

zęby jak zwykły kundel.

O drugiej w nocy Miller skończył sztufadę z kurczaka, którą poczęstował również psa. Zrobił swoje ćwiczenia z qigong, ale nie był w stanie się skoncentrować. Jego umysł przeskakiwał z jednej sprawy na drugą. Nie mógł myśleć, mieszały mu się różne koncepcje, obraz Indiany przerywał tok każdego rozumowania. Paliła go skóra, miał ochotę krzyczeć, walić w ściany pięściami; chciał działać, potrzebował instrukcji, wyraźnego rozkazu, widocznego wroga. To czekanie bez określonego celu było dużo gorsze niż zamęt najokrutniejszej walki. „Muszę się uspokoić, Attylo. W takim stanie do niczego się nie przydam”. Przygnieciony straszliwym ciężarem porażki opadł na kanapę, żeby zmusić się do odpoczynku. Próbował oddychać tak, jak pokazała mu Indiana, zwracać uwagę na każdy wdech i każdy wydech, zrelaksować się zgodnie z naukami swojego mistrza qigong. Minęło dwadzieścia minut, a on nadal nie zdołał zasnąć.

Wtedy, w słabym świetle żaru z kominka, zobaczył dwie postacie, dziesięcioletnią dziewczynkę w długiej spódnicy i szalu na głowie trzymającą za rękę mniejsze dziecko. Ryan Miller nie ruszał się, nie mrugał, nie oddychał, żeby ich nie wystraszyć. Wizja trwała przez niemożliwy do zmierzenia czas, może tylko kilka sekund, ale była tak wyraźna, jakby dzieci przyjechały do niego z Afganistanu. Wcześniej widział je takimi, jakie były podczas wojny w 2006 roku: czteroletnia dziewczynka i niemowlę ukryci w dziurze. Ale tej nocy w domu Denise West przysły do niego nie zjawy z przeszłości, ale oni, Sharbat i jej brat, tacy, jacy są teraz, sześć lat później. Kiedy dzieci zniknęły, równie dyskretnie jak zawsze, żołnierz poczuł, że rozluźniają się szpony, które od sześciu lat ścisnęły jego serce, i zaczął płakać z ulgi i wdzięczności, bo Sharbat i jej brat żyli, ocaleli mimo okrucieństw wojny i bólu sieroctwa, czekali na niego, wzywali go. Obiecał, że pojedzie ich szukać, kiedy tylko skończy swoją ostatnią misję jako komandos Navy SEALs: uratuje jedyną kobietę, którą był w stanie kochać.

Sen zaskoczył Millera minutę później. Zasnął z policzkami wilgotnymi od łez.

Wybaczysz mi, mam nadzieję, że zwodziłem cię w roli Carol, wyjaśniłem już, że to tylko niewinny żart. Chciałem jedynie się do ciebie zbliżyć. Nieraz myślałem, że zorientowałaś się, że Carol jest mężczyzną, i po prostu zaakceptowałaś ten stan rzeczy, jak akceptujesz niemal wszystko, ale tak naprawdę nigdy nie chciało ci się dobrze mi przyjrzeć, dobrze mnie poznać. Dla ciebie to była powierzchowna przyjaźń, ale dla mnie miała równie wielkie znaczenie jak moja misja.

Na pewno zrozumiesz, że wyeliminowanie Eda Statona, Farkasów, Constante'ów, Richarda Ashtona i Rachel Rosen nie mogło pozostać niezauważone, zależało mi, żeby opinia publiczna o wszystkim się dowiedziała. Mogłem zrobić to tak, żeby wyglądało na wypadek, nikt nie zadałby sobie trudu, by przeprowadzać śledztwo, a ja nie musiałbym się martwić, ale moim celem było także dać nauczki innym perwersyjnym istotom jak oni, które nie mają prawa do życia w społeczeństwie. Musiało być oczywiste, że moje ofiary zostały osądzone, skazane na śmierć i stracone. Udało mi się to we wszystkich przypadkach, chociaż z Farkasami byłem bliski porażki, bo policja nie zbadła zawartości butelki z dżinem, mimo że celowo

zostawiłem ją w przyczepie. Właśnie się dowiedziałem, że twój były mąż nareszcie odkrył, że alkohol zawierał narkotyki. Trzy miesiące później! To najlepszy dowód na nieudolność policji.

Mój plan zakładał, że stanę się wiadomością numer jeden w mediach i zaalarmuję tych, którzy mają nieczyste sumienie, ale dziennikarze są leniwi, a odbiorcy obojętni. Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę. We wrześniu zeszłego roku, kiedy do pierwszej egzekucji – Eda Statona – został niecały miesiąc, zobaczyłem w telewizji Celeste Roko przedstawiającą horoskop dnia. Ta kobieta jest doskonała, trzeba to przyznać, zdołała mnie zniewolić, chociaż nie wierzę w astrologię; nic dziwnego, że jej program jest taki popularny. Przyszło mi do głowy, że mógłbym ją wykorzystać, żeby zrobić mojej misji należyłą reklamę, więc wysłałem jej pięć krótkich wiadomości, w których informowałem, że w San Francisco dojdzie do krwawej łaźni. Przypuszczam, że odrzuciła pierwszą jako żart, drugą – jako sprawkę szaleńca, ale nie mogła zignorować kolejnych, i jeśli jest taką profesjonalistką, za jaką się podaje, przestudiowała gwiazdy.

Pamiętaj, że sugestia to potężna siła. Roko szukała w astrologii tego, co chciała znaleźć: dowodu na krwawą łaźnię zapowiedzianą w listach, które dostała. I go znalazła, oczywiście, tak jak ty dostrzegasz zbieżności w twoim horoskopie. Przepowiednie są bardzo mgliste, ci, którzy wierzą w astrologię, jak ty, interpretują je zgodnie z własnymi pragnieniami. Roko pewnie zobaczyła prorocstwo wypisane krwią na niebie i postanowiła przestrzec ludzi. Na to właśnie liczyłem. W porządku, Indiano, chętnie podyskutuję, zgadzam się, że mogło być inaczej. Co było pierwsze, jajko czy kura? Może moja misja faktycznie została zdeterminowana przez układ planet. To znaczy, że jest zapisana od dnia moich narodzin. Ja tylko wypełniłem moje przeznaczenie, to było nieuchronne. Nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

Piątek, 6

O czwartej nad ranem, kiedy Amanda zasnęła wreszcie w łóżku dziadka, owinięta w jego kamizelkę, trzymając go za rękę, z Ocal-Tuńczyka zwiniętą na poduszce, zadzwonił telefon zostawiony na szafce nocnej i podłączony do ładowarki. Blake, który nie zdołał zasnąć i siedział w ciemnościach, obserwując upływ czasu na podświetlanych cyfrach zegarka, aż podskoczył, najpierw ogarnięty szaleńczą nadzieją, że to jego córka, wreszcie wolna, a zaraz potem lękiem, że usłyszy złe wiadomości.

Sherlock Holmes musiał powtórzyć swoje imię, żeby dziadek zrozumiał, o kogo chodzi. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło – jedna z niepisanych zasad *Ripper* zabraniała indywidualnych kontaktów między graczami.

– Tu Sherlock Holmes! Muszę porozmawiać z mistrzynią! – krzyknął chłopiec z Reno.

– Mówi Kabel, o co chodzi?

Amanda obudziła się, słysząc głos dziadka, i wyrwała mu telefon z dłoni.

– Mistrzyni, mam trop – powiedział Sherlock.

– Jaki? – zapytała Amanda, całkiem rozbudzona.

– Sprawdziłem coś, co może się okazać ważne: Farkas znaczy po węgiersku wilk.

– Co takiego?

– To, co słyszałaś. Poszukałem tłumaczenia słowa wilk na różne języki i odkryłem, że po węgiersku to *farkas*.

– Co z tego, wciąż nie wiemy, gdzie trzyma moją mamę!

– Nie, ale skoro morderca przyjął symbol wilka, to musi być związany z Sharon i Joe’em Farkasami. Wiedział o tym, zanim popełnił pierwsze morderstwo na Edzie Statonie, i zostawił podpis wilka czy farkasa w każdym z miejsc zbrodni.

– Dzięki, Sherlocku. Mam nadzieję, że to się nam na coś przyda.

– Dobrej nocy, mistrzyni.

– Dobrej nocy? To najgorsza noc w moim życiu...!

Po zakończeniu rozmowy z Sherlockiem Amanda i jej dziadek próbowali ocenić znaczenie nowej informacji, zastanawiając się, jak mogą ją wykorzystać do rozwiązania łamigłówki.

– Jak nazywał się chłopiec, który zginął Farkasom? – zapytała dziewczyna, tak zdenerwowana, że szczękały jej zęby.

– Proszę cię, ślicznotko, uspokój się i spróbuj trochę odpocząć, już i tak zrobiłaś więcej, niż powinnaś, teraz kolej na policję.

– Wiesz, jak się nazywał, czy nie? – krzyknęła Amanda.

– Wydaje mi się, że Anton. Tak mówił twój tata.

– Anton Farkas, Anton Farkas... – powtarzała Amanda, krążąc po pokoju.

– Tak samo nazywa się brat Joe’ego Farkasa, ten, który przyjechał zidentyfikować ciała.

Sądziysz, że...?

– To litery wypalone na pośladkach Constante’ów! Inicjały! – przerwała mu wnuczka.

– „F” u Michaela i „A” u Doris – przypomniał jej Kabel.

– Zgodnie z ułożeniem ciał na łóżku to „A” i „F”. Anton Farkas.

– Tym imieniem i nazwiskiem była podpisana znaleziona w przyczepie pocztówka. Zawierała propozycję spotkania na polu kempingowym w Rob Hill dziesiątego grudnia zeszłego roku. Ale brat Joe’ego Farkasa twierdził, że on jej nie wysłał, przynajmniej tak zeznał na policji.

– To prawda dziadku, wcale jej nie wysłał. Pocztówka była od innego Antona Farkasa, od syna Sharon i Joe’ego. Rozumiesz, Kabelu? Farkasowie przyjechali do San Francisco, żeby spotkać się ze swoim synem, nie z bratem Joe’ego. Osoba, którą wpuścili do swojej przyczepy, była zaginionym dzieckiem.

– Trzeba zadzwonić do twojego taty – postanowił Blake Jackson.

– Zaczekaj. Daj mi chwilę na zastanowienie... Musimy także natychmiast zawiadomić Ryana. Lepiej zrobić to przez telefon.

Blake Jackson wykręcił numer tajnej komórki, który podał mu Alarcón. Rozległy się tylko dwa sygnały, jakby Urugwajczyk czekał na telefon.

– Pedro? Niech mi pan wybaczy tę porę – powiedział Blake i podał komórkę wnuczce.

– Musisz natychmiast przekazać wiadomość Ryanowi. Powiedz mu, że *farkas* po węgiersku znaczy wilk. Syn Farkasów nazywa się Anton. Lee Galespi znał swoje imię i wiedział, kim są jego rodzice, kiedy robił listę osób, które zamierzał zabić. Myślę, że nie istnieją ślady po Lee Galespi ani po Carol Underwater dlatego, że on używa swojego prawdziwego nazwiska. Powiedz Ryanowi, że Anton Farkas jest Wilkiem. Musimy go odnaleźć w ciągu najbliższych dwudziestu godzin.

Zaraz potem Amanda zadzwoniła do ojca, który wrócił do swojego mieszkania po tygodniowej nieobecności i zwałił się na łóżko w ubraniu i butach. On też od razu odebrał telefon i Amanda powtórzyła mu tę samą wiadomość.

– Musisz zatrzymać Antona Farkasa, tato. Wyduś z niego, gdzie trzyma mamę! Jeśli trzeba, wyrwij mu paznokcie, słyszysz?

– Tak, córeczko. Daj mi Blake’a.

– Jestem, Bob – powiedział dziadek.

– Biorę teraz sprawę w swoje ręce. Postawię na nogi całą policję w San Francisco i w okolicach zatoki, żeby odszukała wszystkich Antonów Farkasów, jacy istnieją. Zawiadomię też federalnych. Myślę, że Amanda jest na granicy załamania nerwowego, dłużej tego nie wytrzyma. Możesz dać jej jakiś środek uspokajający?

– Nie, Bob. Będzie nam potrzebna w ciągu najbliższych godzin, musi być przytomna.

O dziesiątej rano Miller połączył się przez Skype’a z graczami w *Ripper*a, ale bez obrazu,

bo nie miał pod ręką Denise, która mogłaby mówić za niego. Był dzień targowy, Denise wyjechała bardzo wcześnie z pudłami świeżych jaj, kurczakami i przetworami, zapowiedziała, że wróci dopiero po południu.

– Co się dzieje z twoją kamerką, Jezabel? – zapytała Amanda, która siedziała z dziadkiem w kuchni przy jednym komputerze.

– Nie wiem, nie mam czasu jej naprawić. Dobrze mnie słyszycie? – odparł Miller.

– Doskonale, ale mówisz jakiś dziwnym głosem – zauważył pułkownik Paddington.

– Mam zapalenie krtani.

– Oto ostatnie wiadomości. Mów, Kabelu – nakazała mistrzyni gry.

Blake streścił przebieg spotkania w Wydziale Zabójstw. Dzieciaki dowiedziały się, że Carol Underwater to Lee Galespi i że policja nie zdołała go dotąd znaleźć. Dziadek dorzucił jeszcze odkrycie Amandy dotyczące Antona Farkasa.

– Dziś zadzwoniłam do Jezabel, żeby odszukała Antona Farkasa, to najlepsza śledcza, jaką mamy – powiedziała Amanda, nie wspominając, że tego ranka już kilkakrotnie ze sobą rozmawiali.

– Uzgodniliśmy, że nikt nie może mieć przewagi nad innymi! – zaprotestował poirytowany Paddington.

– Nie mamy czasu na takie ceregiele, pułkowniku. Bitwa już się zaczęła. Do północy brakuje kilku godzin, a my nie wiemy, gdzie jest moja mama. Możliwe, że nie żyje – powiedziała Amanda zdławionym głosem.

– Żyje, ale jej energia jest bardzo słaba – wyrecytowała Abatha monotonnym tonem lunatyczki. – Przebywa w bardzo przestronnym miejscu, zimnym, ciemnym; słychać krzyki, pisk. Czuję też obecność duchów z przeszłości, które chronią mamę naszej mistrzyni.

– Co odkryłaś, Jezabel? – przerwał Sherlock Holmes.

– Przede wszystkim powinniśmy podziękować Sherlockowi i Amandzie. Uważam, że dzięki nim jesteśmy bardzo bliscy rozwiązania zagadki – powiedział Miller.

Wyjaśnił na wstępie, że na szczęście Anton Farkas nie jest często spotykanym imieniem i nazwiskiem. Znalazł w Kalifornii tylko cztery osoby, które tak się nazywały: brata Joe'ego Farkasa w mieście Eureka, jakiegoś staruszka w domu opieki w Los Angeles, trzeciego w Sacramento, a ostatniego w Richmond. Wybrał numer w Richmond i wysłuchał automatycznej sekretarki: „Tu Anton Farkas, licencjonowany budowlaniec, nadzór i wycena nieruchomości. Proszę zostawić wiadomość, oddzwonię możliwie najszybciej”. Wystukał numer w Sacramento i usłyszał identyczny tekst, chodziło więc o tę samą osobę.

– To najważniejsza rzecz, jaką mamy! – wykrzyknął pułkownik Paddington.

– Farkas nie mieszka w żadnym z tych dwóch miast, ma tylko skrytki pocztowe – powiedział Ryan.

Amanda i Blake już o tym wiedzieli, nie tylko od Millera, ale także od Boba Martina. Adresy osób wynajmujących skrytki pocztowe były zastrzeżone, tylko nakaz sądowy dawał do nich dostęp. Nadinspektor wyjaśnił, że jego uprawnienia nie obejmują tych miast, jedynie San

Francisco, ale agenci federalni, którzy nie potrzebują nakazu, od razu zaoferowali swoje usługi. Lorraine Barcott już była w Richmond, a Napoleon Fournier III w Sacramento. Dziadek i wnuczka nie wiedzieli natomiast, że Ryan Miller i Pedro Alarcón sprawdzili jeszcze jedno.

– Powiedziałaś, że Anton Farkas zajmuje się nadzorem nieruchomości? – zapytał Esmeralda Jezabel.

– Tak, dlatego przyszło mi do głowy, żeby rzucić okiem na ostatnie raporty z kontroli podpisane przez Antona Farkasa w Sacramento i Richmond, gdzie zapewne pracuje. Istnieje rejestr takich inspekcji. Zwraca uwagę jedna nieruchomość, która pasuje do opisu Abathy: Winehaven. To stary zakład tłoczenia win w Point Molate, wino produkowano tam do tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, potem został zamknięty. W czasie drugiej wojny światowej tłocznię zajęła Marynarka Wojenna. Teraz jest własnością miasta Richmond – odpowiedział Miller, odgrywający rolę Jezabel.

– Bardzo interesujące – uznał Paddington.

– Budynek jest olbrzymi i strasznie zaniedbany. Marynarka Wojenna wykorzystwała domy pracowników do zakwaterowania oficerów, zamieniła słynne piwnice w koszary i zbudowała schron przeciwlotniczy.

– Myślisz, że to odpowiednie miejsce, żeby ukryć porwaną osobę? – zapytał Esmeralda.

– Tak, jest doskonałe, jak na zamówienie. Marynarka wycofała się stamtąd w dziewięćdziesiątym piątym roku i od tamtego czasu Winehaven stoi puste. Nikt nie ma pomysłu, co zrobić z głównym gmachem; był jakiś mglisty projekt, żeby zamienić go w kasyno, ale nic z tego nie wyszło. Domy pracowników nadal istnieją. Tłocznia wygląda jak średniowieczna twierdza zbudowana z cegły, nie jest dostępna dla zwiedzających, ale widać ją z mostu San Rafael i z promu do Vallejo, który przepływa tamtędy bez zatrzymywania. W marcu miasto Richmond wynajęło Antona Farkasa, żeby przeprowadził tam inspekcję.

– Anton Farkas albo Lee Galespi, albo Carol Underwater, jak kto woli nazywać Wilka, może przetrzymać moją mamę w którymkolwiek z tych opuszczonych domów albo w tłoczni. Jak ją znajdziemy bez grupy do zadań specjalnych? – zapytała Amanda.

– Gdybym był Wilkiem i miałbym zakładnika, wybrałbym schron przeciwlotniczy, bo powinien być najlepiej zabezpieczony. To podstawowa zasada strategii – powiedział pułkownik Paddington.

– Domy są ogrodzone murem, ale stoją blisko drogi. Nie nadają się do ukrycia zakładnika. Zgadzam się z pułkownikiem, że Wilk wybrałby schron przeciwlotniczy. Ponieważ niedawno Anton Farkas przeprowadzał w tym miejscu inspekcję, wie, jak się tam dostać.

– Co powinniśmy teraz zrobić? – zapytał Esmeralda.

– Powiadomić mojego tatę! – zawołała Amanda.

– Nie! – odparował Miller. – Jeśli Anton Farkas trzyma zakładniczkę w Winehaven, nie możemy ściągnąć policji, bo rzucą się na tłocznię jak stado bawołów i nie uratujemy twojej mamy.

– Zgadzam się z Jezabel. Powinniśmy sami się tym zająć i wziąć go z zaskoczenia – zgodził się pułkownik Paddington.

– Na mnie nie liczcie, siedzę na wózku inwalidzkim w Nowej Zelandii – przypomniał im Esmeralda.

– Proponuję, żebyśmy poprosili o pomoc Millera – zasugerował Ryan.

– Kogo? – Esmeralda nie wiedział, o kim mowa.

– Tego faceta oskarżonego o zabicie Alana Kellera.

– Dlaczego jego?

– Bo był komandosem Navy SEALs.

– Miller siedzi pewnie na drugim końcu świata, nie byłby chyba tak nieostrożny, żeby pozostać w pobliżu miejsca zbrodni, dokładnie tam, gdzie go szukają – powiedział Sherlock Holmes.

– Nie popełnił żadnego przestępstwa, to już wiemy – wtrąciła Abatha.

– Mógł zostać gdzieś nad zatoką, żeby szukać Wilka, myślę, że nie wierzy w skuteczność policji – zasugerował Kabel, dając jednocześnie znaki wnuczce, żeby uważała na to, co mówi.

– Jak dotrzemy do komandosa? – zapytał Esmeralda.

– Ja się tym zajmę. W końcu z jakiegoś powodu jestem mistrzynią gry – zaoferowała Amanda.

– Ten człowiek nam pomoże, czuję to tutaj, na środku czoła, w trzecim oku – powiedziała Abatha.

– O ile go znajdziemy – dodał Paddington, który żałował, że mieszka w New Jersey, gdy tymczasem sytuacja wymagała obecności na miejscu wojskowego stratega jego rangi.

– Załóżmy, że mistrzyni znajdzie Ryana Millera. Jak ten człowiek dostanie się do Winehaven? – drążył Esmeralda.

– Komandosi zajęli kryjówkę bin Ladena w Pakistanie. Nie sądzę, żeby Miller miał problemy z wejściem do opuszczonego miejsca nad zatoką San Francisco – powiedział pułkownik.

– Zatrzymanie bin Ladena planowano przez kilka miesięcy, atak przeprowadziła grupa komandosów ze śmigłowców, przy wsparciu samolotów. Weszli zdecydowani zabić. To byłaby operacja improwizowana, jednoosobowa, mająca na celu uratowanie kogoś, a nie zabicie. Wiadomo, że najtrudniej jest uwalniać zakładników tak, by wyszli z tego żywi – zauważył Sherlock Holmes.

– Mamy wybór? – zapytał Esmeralda.

– Nie, ale dla komandosa to będzie dziecinna zabawa – powiedział Miller i natychmiast tego pożałował, bo przechwałki przed akcją sprowadzały nieszczęście, o czym przekonał się już niejedyn żołnierz.

– Spotykamy się o szóstej po południu czasu kalifornijskiego. Do tej godziny spróbuję zlokalizować Millera – zakończyła Amanda.

Czterej gracze w *Ripper*a opuścili Skype'a, natomiast mistrzyni gry i jej pachołek zostali

jeszcze z Jezabel, czyli Millerem, i wysłuchali jego planu działania. Komandos wyjaśnił, że Winehaven składa się z kilku budynków i że największy, w którym kiedyś były piwnice win, ma dwa piętra i podziemia, gdzie Marynarka Wojenna wybudowała schron przeciwlotniczy. Okna zabezpieczono metalowymi kratami, drzwi do schronu od strony zatoki zamknięto kilkoma stalowymi sztabami, a cały teren ogrodzono z obawy, że zostanie wykorzystany do ataku terrorystycznego na pobliską rafinerię naftową należącą do Chevrona. Nocą ochroniarz robił obchód wokół tłoczni, ale nigdy nie zaglądał do budynków. Brakowało tam prądu i, jak ustalił Anton Farkas w czasie swojej ostatniej inspekcji, miejsce było bardzo niebezpieczne, często zalewane w czasie burz albo kiedy podnosił się poziom wody w zatoce, deski podłogowe nie trzymały się podłoża, w miejscach, gdzie zawalił się dach, leżały sterty gruzu, a między piętrami powstały głębokie dziury.

– Wiesz, jak wygląda schron? – zapytał Blake.

– Mniej więcej, na planach opisano go niezbyt dokładnie. Piwnica jest olbrzymia. Kiedyś jeździła tam winda, już jej nie ma, ale powinny jeszcze być schody. Według planu marynarki schron był w stanie pomieścić cały kontyngent żołnierzy i oficerów, a także szpital polowy.

– Jak masz zamiar tam wejść? – chciała wiedzieć Amanda.

– Na pierwszym piętrze są drzwi, które widać od strony drogi – tłumaczył Miller. – Pedro jest w Point Molate, niedawno do mnie dzwonił, powiedział, że przez płot zdołał zrobić obiektywem teleskopowym zdjęcie drzwi. Są żelazne i mają dwie kłódki, które jego zdaniem łatwo będzie otworzyć. Dla niego oczywiście wszystkie kłódki to bułka z masłem.

– To znaczy, że Pedro pójdzie z tobą – powiedziała Amanda.

– Nie. Pedro nie jest odpowiednio przeszkolony, tylko by zawadzał. Poza tym musi uważać, bo twój tata kazał go śledzić; nie wiem, jak zgubił detektywa, żeby pojechać do Point Molate, ani jak zdoła dostarczyć mi to, czego potrzebuję.

– Może nauczyć cię otwierać kłódki?

– Tak, ale to są metalowe drzwi, z tych, co się rolują. Jeśli spróbuję je otworzyć albo wybije szybę, narobię dużo hałasu. Muszę poszukać innego wejścia.

Dobrze, Indi, że w końcu się obudziłaś. Jak samopoczucie? Jesteś słaba, ale możesz chodzić, tyle że nie ma takiej potrzeby. Na zewnątrz jest cudowny dzień, ciepły, przejrzysta woda, bezchmurne niebo, wieje wietrzyk idealny dla sportowców. W zatoce widać setki żaglówek i jak zwykle nie brak szaleńców od kitesurfingu, którzy fruwać nad wodą. Jest też mnóstwo mew, co za wrzaskliwe ptaki! To znaczy, że są ryby i że wkrótce w okolicy zjawiają się starzy Chińczycy, żeby zarzucić wędki. Jesteśmy blisko dawnej stacji wielorybniczej, opuszczonej czterdzieści lat temu, ostatniej, jaka została w Stanach Zjednoczonych. Przywozili tu wieloryby z Pacyfiku, sto lat temu było ich jeszcze kilka w zatoce. Dno morza jest usiane kośćmi, mówią, że w tamtych czasach czterdziestoosobowa ekipa mogła w ciągu godziny przerobić całego wieloryba na olej i karmę dla zwierząt. Smród dolatywał aż do San Francisco.

Wiesz, że jesteśmy tylko kilka metrów od wody? Co ja bredzę, skąd masz to wiedzieć, skoro nie możesz wyjść na zewnątrz. Nie mamy plaży, ten teren jest niedostępny od strony zatoki. W czasie drugiej wojny światowej był to skład paliwa Marynarki Wojennej, można tu jeszcze znaleźć zakurzone instrukcje użytkowania, urządzenia sanitarne i beczki z wodą, o których ci już kiedyś mówiłem. Ostatnie są z 1960 roku.

Twoja córka mnie bawi, to sprytna dziewczyna, gra z nią jest podniecająca, zostawiłem jej kilka śladów, a ona prawie wszystkie odkryła. Na pewno wpadła na to, że Wilkiem jest Anton Farkas, dlatego szuka go teraz policja, ale znajdą tylko skrytki pocztowe i kilka numerów telefonów. Sztuczka iluzjonisty, w tym jestem mistrzem. Kiedy dowiedziałem się, że szukają Farkasa, zrozumiałem, że wcześniej czy później Amanda powiąże inspektora budowlanego z tą fortecą. Ale nie zdąży tego zrobić na czas, a nawet jeśli, ja jestem przygotowany.

W końcu nadszedł Wielki Piątek, Indi, dziś kończy się twoja niewola, nie przedłużałem jej po to, żeby cię ukarać, wiesz przecież, że okrucieństwo budzi we mnie odrazę, wywołuje wstyd, zamęt, czuję się brudny. Wolałbym oszczędzić ci przykrości, ale nie chciałaś zrozumieć, odmówiłaś współpracy. Dzisiejsza data nie została wyznaczona pod wpływem zachcianki, nie jest improwizacją, opiera się na kalendarzu księżycowym. Daty są ważne, rytuały też, bo przydają znaczenia i piękna ludzkim czynom i pomagają utrwalić wydarzenia w pamięci. Ja mam własne rytuały. Na przykład moje egzekucje odbywają się zawsze o północy, o tej tajemniczej godzinie, kiedy uchyla się zasłona między życiem a śmiercią. Szkoda, że w nowoczesnym świecie jest tak mało świeckich obrzędów, wszystkie mają charakter religijny. Chrześcijanie na przykład odprawiają uroczyste rytuały w Wielkim Tygodniu. Trzy dni żałoby, na pamiątkę męki Chrystusa, wszyscy o tym wiemy, ale niewielu rozumie, na czym dokładnie polega ukrzyżowanie, straszliwa tortura, powolna śmierć. Skazaniec jest przywiązywany albo przybijany do dwóch belek, jednej pionowej, drugiej poprzecznej, to najbardziej znany widok, ale są też krzyże o innych kształtach. Agonia może trwać godzinami albo nawet kilka dni, w zależności od metody i stanu zdrowia ofiary, śmierć następuje w wyniku wyczerpania, zakażenia krwi, zatrzymania akcji serca, odwodnienia albo dowolnej kombinacji tych przyczyn, także z powodu utraty krwi, jeśli są rany, albo jeśli skazanemu połamano nogi, jak robiono dawniej, żeby przyspieszyć zgon. Istnieje teoria, która mówi, że pozycja z rozłożonymi ramionami, na których spoczywa ciężar całego ciała, utrudnia oddychanie i śmierć następuje przez uduszenie, ale nie ma na to dowodów.

O tym, że jest już wiosna, świadczył dobitnie słoneczny dzień i eksplozja kolorów na straganach, wśród których krążył tłum lekko ubranych ludzi w świątecznych nastrojach, kupujących owoce, warzywa, kwiaty, mięso, chleb i gotowe potrawy. Przy wejściu stała niewidoma dziewczyna w długiej wieśniaczej sukni i w czepku mennonitki, która śpiewała anielskim głosem i sprzedawała płyty CD ze swoimi pieśniami. Sto metrów dalej zespół

muzyków boliwijskich w tradycyjnych strojach grał na instrumentach z Altiplano.

W południe Pedro Alarcón, w krótkich spodniach, sandałach i słomkowym kapeluszu, podszedł do białego namiotu, w którym Denise West sprzedawała produkty ze swojego kurnika i ze swojej kuchni. Policjant z Wydziału Zabójstw, śledzący go od paru dni, zdjął marynarkę i wachlował się ulotką proekologiczną, którą ktoś wcisnął mu do ręki. Z odległości kilku metrów, ukryty między ludźmi, patrzył, jak Urugwajczyk kupuje jajka i zaleca się do sprzedawczyni, dojrzałej atrakcyjnej kobiety, ubranej jak drwal, z szarym warkoczem opadającym na plecy, ale nie zauważył, że Alarcón wręcza jej kluczyki do swojego samochodu. Potem, cały spocony, ruszył za Pedrem, który irytująco powolnym krokiem chodził od straganu do straganu i robił zakupy: tu marchew, tam pęczek pietruszki... Nie wiedział, że w tym czasie Denise West poszła na parking, wyjęła z samochodu Alarcona jakiś pakunek i schowała go do swojej ciężarówki. Detektyw nie zdziwił się wcale, że przed opuszczeniem targowiska Pedro wrócił, by pożegnać się z kobietą, z którą wcześniej flirtował, i nie zauważył, że Urugwajczyk odzyskał swoje kluczyki.

Denise West wcześniej zamknęła stragan, złożyła namiot, zaniósła rzeczy do ciężarówki i pojechała w miejsce, które wskazał jej Pedro Alarcón, w pobliżu ujścia rzeki Petaluma, na terenach pokrytych siecią kanałów i bagnami. Trochę potrwało, zanim je znalazła, bo spodziewała się czegoś w rodzaju sklepu z akcesoriami do sportów wodnych, a był to dom w tak złym stanie, że wyglądał na opuszczony. Zatrzymała swój ciężki wehikuł w bajorze, nie miała odwagi jechać dalej w obawie, że ugrzęźnie w błocie. Nacisnęła kilkakrotnie klakson i po chwili jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w odległości niespełna metra od samochodu pojawił się brodaty starzec uzbrojony w strzelbę. Krzyknął coś niezrozumiale, celując do niej z broni, ale Denise nie przyjechała tam po to, żeby ustąpić przed pierwszą napotkaną przeszkodą. Otworzyła drzwi, wysiadła z pewnym trudem, bo bolały ją kości, i ująwszy się pod boki, stawiała czoła mężczyźnie.

– Proszę opuścić strzelbę, *mister*, jeśli pan nie chce, żebym ją panu zabrała. Pedro Alarcón uprzedził, że przyjadę. Jestem Denise West.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani tego wcześniej? – zapytał gderliwym tonem.

– Mówię to teraz.

– Ma pani coś dla mnie?

Podawała mu kopertę otrzymaną od Alarcona. Mężczyzna powoli przeliczył banknoty, zadowolony z wyniku włożył do ust dwa palce i wydał z siebie przenikliwy gwizd. Chwilę później pojawiło się dwóch wyrostków niosących wielkie płócienne worki, które bez ceregieli wrzucili na tył samochodu. Tak jak obawiała się Denise, ciężarówka ugrzęzła w błocie. Trzej mężczyźni nie mieli odwagi odmówić, kiedy zażądała, by ją wypchnęli z bajora.

Denise dotarła do domu o zmierzchu. Ryan Miller skończył już staranne przygotowywanie sprzętu, jak robił przed każdą misją w czasach, kiedy był komandosem Navy SEALs. Czuł się równie pewnie, choć teraz nie mógł liczyć na swoich braci z SEAL Team 6 ani na ponad czterdzieści rodzajów broni, które miał wtedy do dyspozycji. Nauczył się na pamięć planów wewnątrz Winehaven. Tłocznia powstała po trzęsieniu ziemi w 1906 roku w Point Molate, gdzie

mieszkało wcześniej tylko kilka rodzin chińskich poławiaczy krewetek. Winogrona przyływały z kalifornijskich winnic na wielkich barkasach, przerabiało je ponad czterystu zatrudnionych na stałe robotników, którzy produkowali pół miliona galonów wina miesięcznie, by zaspokoić olbrzymie zapotrzebowanie w całym kraju. Interes skończył się niespodziewanie w 1919 roku wraz z wprowadzoną w Stanach Zjednoczonych prohibicją, która obowiązywała przez trzynaście lat. Tłocznia stała pusta przez ponad dwie dekady, aż w końcu Marynarka Wojenna zamieniła ją w bazę wojskową, której plany Miller zdobył bez większych problemów.

Razem z Denise wyciągnął z ciężarówki oba worki. Otworzyli je na patio; pierwszy zawierał szkielet, drugi pokrycie kajaka typu Klepper, wywodzącego się w linii prostej od łodzi inuickiej, zbudowanego jednak nie z drewna i foczej skóry, lecz ze składanej konstrukcji aluminiowej powleczonej nieprzemakalną tkaniną. Nie było nic równie cichego, lekkiego i praktycznego; klepper idealnie nadawał się do realizacji planu, Miller często z niego korzystał w czasach, kiedy był w marynarce, na wodach znacznie bardziej wzbudzonych niż zatoka.

– Pedro ci to przysłał – powiedziała Denise i wręczyła mu paczkę, którą zabrała z samochodu Urugwajczyka.

Były to brezentowe szelki Attyli i beżowy sweter z kaszmiru, który Alan Keller podarował kiedyś Indianie. Alarcón znalazł go w furgonetce Millera i postanowił schować, zanim pozbędzie się samochodu. Zostawił furgonetkę w zakonspirowanym garażu, ukrytym w jednej z opuszczonych stocznii w Hunter's Point, gdzie banda złodziei wyspecjalizowana w kradzieży samochodów miała ją przerobić i sprzedać w Meksyku. Nadszedł moment, by zrobić użytek ze swetra.

– Wiesz, co o tym myślę – powiedziała Denise.

– Nie martw się, będzie dobra widoczność – odparł Miller.

– Wieje silny wiatr.

– Tym lepiej dla mnie – dodał Miller, ale nie wspomniał o innych możliwych przeszkodach.

– To zwykła fanfaronada, Rynie. Dlaczego sam jeden leziesz w paszczę lwa? A raczej Wilka.

– Z powodu samczej pychy, Denise.

– Głupiec z ciebie! – westchnęła.

– Nie. Prawda jest taka, że ten drań ma Indianę, a jedyny sposób, by odzyskać ją żywą, to zaskoczyć go tak, żeby nie miał czasu zareagować. Nie da się tego inaczej zrobić.

– Możesz się mylić, może twoja przyjaciółka wcale nie jest przetrzymywana w tym miejscu, a może Wilk zabije ją, gdy tylko się zbliżysz, o ile już tego nie zrobił.

– Tak się nie stanie, Denise. Wilk przestrzega rytuału, zaczeka do północy, jak we wszystkich innych przypadkach. To będzie łatwe.

– W porównaniu z czym?

– To tylko jeden człowiek, bredzący wariat, jego arsenał ogranicza się do tasera,

narkotyków, trucizny i strzał. Wątpię, czy potrafiłyby użyć strzelby na kuropatwy. Poza tym ubiera się jak kobieta!

– Może i tak, ale popełnił osiem morderstw.

O szóstej po południu mistrzyni poinformowała ripperowców, że znalazła komandosa, i opisała im w ogólnych zarysach jego plan, który został zaaprobowany z entuzjazmem przez sir Edmonda Paddingtona i z pewnym wahaniem przez Sherlocka Holmesa. Abatha była bardziej rozkojarzona niż zwykle, wykończona psychicznie z powodu usilnych starań, by nawiązać kontakt telepatyczny z Indianą. Powiedziała, że występują zakłócenia i przekazywane wiadomości są bardzo niejasne. W pierwszych dniach widziała matkę Amandy, jak pływa w przestrzeni międzygwiazdowej; mogły rozmawiać, ale teraz duch Indiany już nie unosił się swobodnie. Przyznała, że jest to również jej wina, efekt pięciuset kalorii wchłoniętych dzień wcześniej, z powodu których jej aura pokryła się pręgami niczym zebra, a brzuch stanął w płomieniach.

– Twoja mama jeszcze żyje, ale jest w rozpaczliwym stanie. W takich warunkach nie mogę wnikać w jej umysł.

– Cierpi? – zapytała mistrzyni gry.

– Tak, bardzo – przyznała Abatha, na co Amanda odpowiedziała szlochem.

– Czy myśleliście o tym, co będzie, jeśli Millerowi się nie uda? – przerwał Esmeralda.

Przez długą chwilę nikt nie odpowiadał. Amanda nie dopuszczała do siebie myśli, że Miller mógłby zawieść, bo wiedziała, że drugiej szansy nie będzie. W miarę jak zbliżała się noc, jej wątpliwości rosły, podsycane przez dziadka, który poważnie rozważał, czy nie zadzwonić jednak do Boba Martina i o wszystkim mu nie opowiedzieć.

– Dla komandosa to rutynowa misja – powiedziała bez przekonania Denise West w roli Jezabel.

– Z wojskowego punktu widzenia plan jest dobry, ale ryzykowny i powinien być monitorowany z lądu – odezwał się stanowczym głosem Paddington.

– Pedro Alarcón, przyjaciel Millera, będzie to robił za pomocą telefonu i GPS-u. Ma czekać w odległości jednego kilometra, gotowy do ewentualnej interwencji. Mistrzyni i ja pozostaniemy z nim w kontakcie.

– A jak my możemy pomóc? – zapytał Esmeralda.

– Na przykład modląc się albo wysyłając pozytywną energię do Winehaven – zasugerowała Abatha. – Ja będę się trzymać telepatii. Muszę przekazać mamie Amandy, żeby wytrzymała i była dzielna, bo wkrótce nadejdzie pomoc.

Ostatnie godziny wieczoru mijały wszystkim przeraźliwie wolno, zwłaszcza Ryanowi Millerowi, który obserwował przez lornetkę paradę żaglówek w zatoce i licząc minuty, czekał, aż wrócą do swoich przystani. O dziewiątej, kiedy ruch łodzi ustał i przepłynął ostatni prom do Vallejo, Denise West zostawiła go z Attylą i kajakiem nad Sonoma Creek,

wpadającym do rzeki Napy. Noc była bezgwiezdna; księżyc w pełni, wspaniała tarcza z czystego srebra, sunął powoli nad wzgórzami na wschodzie. Denise pomogła Millerowi spuścić kleppera na wodę i pożegnała się bez zbędnych ceregieli, życząc mu szczęścia. Już wcześniej powiedziała, co o tym wszystkim myśli. Komandos czuł, że jest dobrze przygotowany, miał półautomatycznego glocka kaliber 45 produkcji australijskiej, który najlepiej pasował do stojącego przed nim zadania. Na ścianie loftu zostały inne, bardziej śmiertcionośne rodzaje broni, ale nie żałował, bo do uwolnienia Indiany nie byłyby tak przydatne jak glock. Zabrał także wojskowy nóż Ka-Bar, model używany od czasu drugiej wojny światowej, oraz standardową apteczkę pierwszej pomocy, bardziej dlatego, że był przesądny – w Iraku opaska uciskowa ocaliła go przed wykrwawieniem, reszty dokonał Attyła. Zlecił Denise zakup najlepszych okularów noktowizyjnych, które kosztowały go, bagatela, tysiąc dolarów – wewnątrz Winehaven będzie od nich całkowicie uzależniony. Ubrał się na czarno (spodnie, koszulka, bluza i adidasy), twarz pomalował pastą do butów w tym samym kolorze. W nocy był praktycznie niewidzialny.

Obliczył sobie, że przy prędkości czterech albo pięciu węzłów przepłynięcie zatoki do Point Molate zajmie mu dwie godziny. To dawało bezpieczny zapas czasu przed północą. Ufał sile swoich mięśni, swojemu wioślarskiemu doświadczeniu i znajomości zatoki. Pedro Alarcón spenetrował okolice Winehaven i ostrzegł go, że nie ma tam plaży ani przystani: będzie musiał się wspiąć na kamienny mur, żeby wejść na teren nieruchomości, ale ściana nie była zbyt stroma, Attyła także mógł tego dokonać, nawet po ciemku. Kiedy znajdzie się na terenie tłoczni, powinien działać po cichu i szybko, inaczej straci przewagę. Wiosłując po spokojnych wodach kanału, jeszcze raz wrócił myślami do planu Winehaven. Attyła siedział wyprostowany i czujnie wpatrywał się w horyzont niczym doświadczony marynarz.

Piętnaście minut później komandos wpłynął do zatoki San Pablo i skierował się na południe. Nie potrzebował kompasu, prowadziły go światła na obu brzegach szerokiej zatoki i oświetlone boje wskazujące odcinki żeglowne łodziom i barkom towarowym. Kajak miał małe zanurzenie, mógł więc popłynąć prosto do Point Molate bez obawy, że osiadzie na mieliźnie, co mogłoby się przydarzyć jego motorówce. Przyjemna bryza wiejąca w ciągu dnia zamieniła się w wiatr z północy, który dmuchał mu w plecy, ale nie pomagał, bo podnosił fale, uderzając pod prąd przyływu, bardzo silnego w czasie pełni księżyca. W efekcie musiał wkładać większy wysiłek w wiosłowanie niż zwykle na tym odcinku. Jediną jednostką, jaką widział w ciągu następnej godziny, była barka oddalająca się w kierunku Golden Gate i Oceanu Spokojnego.

Nie mógł zobaczyć dwóch skał z mewimi gniazdami wyznaczających miejsce, w którym zatoka San Pablo przechodzi w zatokę San Francisco, ale domyślił się, że są w pobliżu, bo woda była tam jeszcze bardziej wzburzona. Popłynął dalej i dojrzał przed sobą światła mostu Richmond–San Rafael (wydawało się, że jest bliżej niż w rzeczywistości), które miały mu pomóc w orientacji, oraz starej latarni morskiej zamienionej w malowniczy hotelik dla szukających przygód turystów, na jednej z dwóch wysepek nazywanych The Brothers. Winehaven znajdowało się po jego lewej stronie, tuż przed mostem; ponieważ nie było tam światła, musiał posuwać się blisko brzegu, żeby nie przegapić tłoczni. Wiosłował pod fale, nie zważając na wysiłek mięśni ramion i pleców i nie zmieniając miarowego rytmu swoich

ruchów. Zrobił tylko dwie przerwy, żeby obetrzeć pot zalewający mu czoło i napić się wody z butelki. „Dobrze nam idzie, kolego”, zapewnił Attyłę.

Czuł znane mu podniecenie poprzedzające bitwę. Złudzenie, że panuje nad sytuacją i że przewidział wszystkie możliwe zagrożenia, zniknęło w momencie, kiedy pożegnał się z Denise West. Był zaprawiony w boju, wiedział, że tylko od szczęścia zależy, czy wyjdzie cało z walki, bo nawet najbardziej doświadczony żołnierz ginie czasem od zabłąkanej kuli. W latach, kiedy brał udział w wojnach, miał świadomość, że w każdej chwili może umrzeć albo zostać ranny, codziennie budził się wdzięczny, że żyje, i zasypiał przygotowany na najgorsze. Jednak to, w czym teraz brał udział, nie przypominało abstrakcyjnej, bezosobowej wojny technologicznej, do jakiej przywykł. To miała być walka z bliskiej odległości; ta perspektywa zwiększała jeszcze jego entuzjazm i napięcie. Pragnął tego: chciał stanąć twarzą w twarz w Wilkiem. Nie czuł przed nim strachu. Tak naprawdę odkąd wrócił do cywila, nie spotkał nikogo, kogo mógłby się bać, był lepiej przygotowany niż ktokolwiek inny, utrzymywał dobrą formę, a tej nocy będzie miał do czynienia tylko z jednym człowiekiem, to nie ulegało wątpliwości, bo żaden seryjny morderca nie ma współników ani partnerów. Wilk jawił mu się jako postać powieściowa, absurdalna, szalona, z pewnością nie był godnym przeciwnikiem dla komandosa Navy SEALs. „Powiedz mi, Attyło, może ja nie doceniam wroga? Czasami grzeszę arogancją i zarozumiałością”. Pies nie mógł go usłyszeć; siedział nieruchomo na swoim miejscu, wpatrując się jedynym okiem w przestrzeń przed sobą. „Masz rację, kolego, plotę bzdury”, mruknął Miller. Skoncentrował się na terażniejszości, na wodzie, ruchach ramion, planie Winehaven, świecącej tarczy zegarka, nie przesądzał z góry, co się wydarzy, nie robił przeglądu niebezpieczeństw, nie wzywał braci z SEAL Team 6 ani nie myślał o tym, co robi, jeśli w dawnym schronie przeciwlotniczym bazy wojskowej nie będzie Indiany. Musiał przestać myśleć o Indianie, taka dekoncentracja mogła okazać się fatalna w skutkach.

Księżyc stał bardzo wysoko na niebie, kiedy kajak przybił do brzegu na wprost Winehaven, wielkiej ceglanej bryły o grubych murach zwieńczonej blankami i basztami. Nad spokojną zatoką San Francisco przypominał nedorzecznym zamek z czternastego wieku, który w białym świetle księżyca robił ponure, złowróżbne wrażenie. Zbudowano go na zboczu wzgórza. Z miejsca, gdzie stał Miller, wydawał się bardzo wysoki, ale frontowa część miała tylko połowę tej wysokości. Główne wejście, od strony drogi, prowadziło od razu na pierwsze piętro; było jeszcze jedno wyżej, parter i piwnice.

Wskoczył do wody, która sięgała mu do piersi. Przywiązał swoją łódeczkę do skały, zabrał broń, amunicję i resztę ekwipunku, włożył adidas, które miał zawieszane na szyi, i dał znak Attyli. Popychał psa, żeby łatwiej mu było się wspinać na śliskie skały. Kiedy znaleźli się na stałym lądzie, przebiegli czterdzieści metrów dzielących budynek od wody. Była za dwadzieścia pięć dwunasta. Podróż trwała dłużej, niż sobie wyliczył, ale jeśli Wilk trzymał się swoich zwyczajów, mieli wystarczająco dużo czasu.

Odczekał kilka minut przyklejony do muru, by upewnić się, że dookoła panuje spokój. Usłyszał jedynie krzyk sowy i dzikie indyki na łące – Pedro ostrzegał go, że w okolicy są stada tych ociężałych ptaszysk. Ruszył dalej i kryjąc się w cieniu murów tłoczni, okrążył basztę po prawej stronie, dopóki nie stanął przed południową ścianą, którą widział na jednej z fotografii

Alarcona. Wybrał ją, bo była niewidoczna od strony drogi, którą mógł przechodzić ochroniarz. W najniższym miejscu ściana miała od piętnastu do osiemnastu metrów wysokości, była wyposażona w żelazną rynnę do odprowadzania wody z dachu. Kiedy zakładał Attyli brezentową kamizelkę własnej roboty z czterema otworami na łapy i z karabińczykiem na grzbiecie, poczuł nerwowe drżenie zwierzęcia. Wiedział, że Attyla przypomina sobie wcześniejsze doświadczenia z podobną uprzężą. „Spokojnie, kolego, to będzie o wiele łatwiejsze niż skok ze spadochronem”, szepnął, jakby pies mógł to usłyszeć, i pogłaskał go po łbie. „Siedź tutaj i niech ci do głowy nie przyjdzie, żeby ganiać za indykami”. Przymocował do uprzęży linę, którą miał za pasem, i dał psu znak, żeby czekał.

Modląc się, by rynna wytrzymała jego ciężar, zaczął wspinaczkę, wciągając się na rękach i utrzymując ciało w równowadze z pomocą jedynej nogi, tak jak robił podczas pływania. Noga z protezą była w tej chwili bezużyteczna. Rura okazała się solidnie przytwierdzona, zgrzytnęła, ale nie runęła pod jego ciężarem, szybko więc dotarł na dach. Mógł stamtąd podziwiać olbrzymią powierzchnię budynku i wspaniałą widok na zatokę tonącą w blasku księżyca, ze światłami mostu po prawej stronie i daleką poświatą miasta San Rafael na wprost. Szarpnął lekko za linę, dając znak Attyli, i od razu zaczął go wciągać, powoli, by nie uderzył o ścianę. Kiedy tylko znalazł się w zasięgu jego rąk, przeniósł go nad murkiem i odpiął sznur, ale nie zdjął uprzęży. Podczas tej krótkiej podróży w pionie Attyla odzyskał ducha bojowego, za który dostał medal: nie okazywał zdenerwowania, czujnie reagował na polecenia, tryskał energią, jego oczy wyrażały drapieżne oczekiwanie, którego Miller nie widział u niego od lat. Pogratulował sobie, że nadal go trenował z tym samym żelaznym rygorem co niegdyś, kiedy razem walczyli. Dzięki temu Attyla zachował dawną żołnierską karność.

Na wielkim tarasie, jakim był płaski dach pokryty żwirkiem, Miller zobaczył trzy szklane kopuły, po jednej na każdej z trzech części budynku. Powinien wejść przez pierwszą, zsunąć się na ostatnie piętro Winehaven, znaleźć szyb windy łączący wszystkie kondygnacje i dochodzący do schronu przeciwlotniczego. Był wdzięczny za drobiazgowość Alarcona, który przesłał mu fotografie zewnętrznej części budynku, nawet okienek w dachu. Usunięcie kilku cienkich płyt metalowych z otworu wentylacyjnego u podstawy szklanej kopuły okazało się łatwym zadaniem, bo były zardzewiałe i źle zamocowane. Zajrzał do otworu, oświetlił go latarką, której postanowił używać jak najrzadziej, i obliczył, że ma do pokonania około pięciu metrów. Wybrał numer Alarcona i wyszeptał:

- Wszystko w porządku. Jesteśmy z Attylą na dachu, wchodzimy.
- Masz mniej więcej piętnaście minut.
- Dwadzieścia.
- Uważaj na siebie. Powodzenia.

Komandos założył Attyli okulary noktowizyjne, których pies używał na wojnie. Zatrzymał je sobie na pamiątkę, nie podejrzewając, że jeszcze kiedyś się przydadzą. Zdawał sobie sprawę, że nie są wygodne, zwierzak jednak dzielnie to wytrzymawał, bo kiedyś już je nosił. Były teraz mało przydatne, bo źle widział, ale będzie ich później potrzebował. Miller przytrzymał linę do uprzęży, pogłaskał posłuszne zwierzę, dał mu znak i zaczął spuszczać je w ciemną przestrzeń.

Kiedy poczuł, że Attyła dotyka ziemi, przywiązał drugi koniec liny do żelaznej ramy okienka i zjechał po niej w dół. „Jesteśmy w środku, kolego”, mruknął, zakładając swoje nowe okulary. Minęło kilka sekund, zanim jego wzrok przywykł do fantasmagorycznych, przemieszczających się obrazów w zielonym, czerwonym i żółtym kolorze. Włączył promiennik podczerwieni, który miał na czole, i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z ogromu hali, przypominającej lotniczy hangar. Zdjął psu uprząż, już zbyteczną, bo lina zwisała z okna w dachu. Od tego momentu musiał zaufać precyzji planów sporządzonych w 1995 roku, swojemu doświadczeniu i szczęściu.

Okulary pozwalały patrzeć na wprost, ale uniemożliwiały widzenie peryferyjne. Przed niebezpieczeństwem miał go ostrzegać pies, dzięki swojemu instynktowi i znakomitemu węchowi. Miller szedł, wymijając zwały gruzu na podłodze. Dziesięć metrów przed sobą zobaczył wielką wieżę z metalowej siatki, przypominającą tę z jego loftu, w której kiedyś jeździła winda towarowa. Tak jak przypuszczał, obok były żelazne schodki. Zakładał, że Wilk nie ma kryjówki na piętrze, na którym się teraz znajdował, ani na piętrze niższym, bo w ciągu dnia dochodziło tam światło przez okienka w dachu, przez otwór windowy i szpary w zamurowanych oknach. Stwierdził, że nie ma zasięgu i nie będzie już mógł skontaktować się z Alarconem. Choć przewidzieli taką możliwość, zmełł w ustach przekleństwo, bo jedynym wsparciem, jakie mu pozostało, był teraz pies.

Attyła zawahał się na widok stromych i wąskich schodków, ale na znak Ryana zaczął ostrożnie schodzić. Kiedy Miller przygotowywał się w domu Denise, przyszło mu do głowy, żeby owinąć psu łapy w celu zminimalizowania hałasu, ale doszedł do wniosku, że będzie to krępować ruchy psa, poprzestał więc na obcięciu mu pazurów. Teraz nie żałował swojej decyzji, Attyła miałby utrudnione zadanie, gdyby nie mógł się ucześcić stopni.

Rozległe główne piętro łączyło wszystkie trzy budynki, z których składała się tłocznia. Miller zrezygnował z pomysłu, żeby je przeszukać. Nie było na to czasu, musiał postawić wszystko na jedną kartę i wybrać podziemny schron. Przystanął i nadsłuchiwał w ciemności, mając przy sobie Attyłę, który przywarł do jego nogi. Wydawało mu się, że w całkowitej ciszy dochodzą go słowa Abathy, anorektycznej dziewczynki, która z kliniki w Montrealu trafnie opisała to niesamowite miejsce. Powiedziała, że duchy przeszłości chronią mamę Amandy. „Mam nadzieję”, mruknął Miller.

Następny odcinek schodów okazał się trochę szerszy i solidniejszy niż poprzedni. Zanim go pokonali, komandos otworzył plastikową torbę, którą miał pod koszulką, wyciągnął z niej beżowy sweter Indiany i podsunął go Attyli pod nos. Uśmiechnął się na myśl, że nawet on mógłby pójść śladem jej charakterystycznego zapachu, tego połączenia olejków eterycznych, które Amanda nazywała zapachem magii. Pies obwąchał wełnę i uniósł łeb, żeby popatrzeć przez okulary na swojego towarzysza, pokazując mu, że rozumiał. Miller schował sweter do torby i z powrotem wsadził ją pod koszulkę, żeby nie wprowadzać psa w błąd. Attyła przywarł nosem do schodów i ostrożnie zszedł piętro niżej. Komandos odczekał chwilę, a kiedy był pewien, że pies nie trafił na nic niepokojącego, ruszył za nim.

Znajdowali się teraz w pomieszczeniu o niższym suficie, z cementową podłogą,

najprawdopodobniej używanym początkowo jako magazyn beczek z winem, a później sprzętu wojskowego i paliwa. Pierwszy raz poczuł chłód i przypomniał sobie, że ma mokre ubranie. Jak daleko sięgał wzrokiem z pomocą okularów, wszędzie leżał gruz, rupiecie, beczki, wielkie opieczutowane skrzynie, drewniane szpule do nawijania węży albo lin, stały krzesła, biurka i stara lodówka. Indiana mogła być przetrzymywana w każdym kącie, ale zachowanie Attyli wyraźnie wskazywało, że nie powinni tracić tam czasu. Pies stał przygarbiony z nosem skierowanym w stronę schodów i czekał na rozkaz.

Światło podczerwieni odsłoniło otwór i pierwsze stopnie krętych, rozwalających się schodów, które według planów powinny prowadzić do schronu. W nozdrza uderzył go zaduch zamkniętego pomieszczenia i fetor stojącej wody. Zadał sobie pytanie, czy Attyla zdoła pójść tropem Indiany w tak skażonym otoczeniu, ale natychmiast otrzymał odpowiedź: pies zjeżył sierść na grzbiecie i napiął mięśnie, gotów do akcji. Trudno było zgadnąć, co zastanie w schronie przeciwnym, bo na planie zaznaczono tylko cztery grube ściany, szyb, w którym kiedyś była winda, i rozmieszczenie żelaznych filarów. Na drugim końcu znajdowało się jedyne wyjście na zewnątrz, innymi schodami, od wielu lat nieużywanymi, które być może już nie istniały. Jeden z raportów marynarki wspominał o prowizorycznych przepierzeniach oddzielających szpital, biura i pokoje oficerów, które bardzo by wszystko skomplikowały: ostatnim, czego pragnął, było błędzenie po labiryncie o brezentowych ścianach.

Ryan Miller zrozumiał, że wreszcie znalazł się w paszczy lwa, jak powiedziała Denise West. W złowieszczej ciszy słyszał bicie własnego serca, niczym tykanie zegarka. Wejście na schody było dziurą o szerokości pół metra. Będzie się musiał pochylić i przejść pod metalową barierką, zanim zmierzy się z żelaznymi zardzewiałymi stopniami. Pomyślał, że zważywszy na swój wzrost i niedogodność w postaci sztucznej nogi, nie zdoła zrobić tego z gracją. Promienie podczerwone nie sięgały dna, a nie chciał zapalać latarki, żeby się nie zdradzić. Rozważał, czy zejść ostrożnie, robiąc jak najmniej hałasu, czy desperacko rzucić się w przepaść, żeby zyskać na czasie. Odetchnął głęboko, napełnił piersi powietrzem i oczyścił umysł ze wszystkich myśli. Od tej chwili będzie działał instynktownie, kierując się nienawiścią do człowieka, który miał w swoich rękach Indianę, kierując się doświadczeniem i wiedzą wrytymi ogniem i mieczem w czasie wojny, automatycznymi odruchami, które instruktor z *hell week* nazywał pamięcią mięśniową. Wypuścił wstrzymywane powietrze, odbezpieczył pistolet i dwukrotnie poklepał po grzbiecie swojego towarzysza.

Attyla zaczął schodzić.

Jeśli komandos zamierzał zaatakować z zaskoczenia, to odgłosy wydawane w piwnicznych czeluściach przez pazury Attyli kazały mu zrezygnować z tego pomysłu. Liczył stąpania psa, żeby oszacować wysokość, a kiedy uznał, że jest już na dole, pochylił się, przeszedł pod poręczą i z pistoletem w dłoni rzucił się w czeluść schodów, nie dbając o hałas, jakiego narobił. Pokonał trzy stopnie, ale czwarty ustąpił z łoskotem: proteza wbiła się w przerdzewiały metal. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby to była noga, ostra krawędź odarłaby mu skórę do żywego mięsa. Szarpnął, żeby się uwolnić, ale noga była zaklinowana, musiał pomóc sobie ręką, żeby wyjąć szynę z włókna węglowego ze stopnia. Nie mógł zostawić protezy, potrzebował jej. Stracił kilka cennych sekund i przewagę, jaką dawało

zaskoczenie.

W czterech susach wylądował na dole. Pochylił się i trzymając oburącz glocka, obrócił ciało dookoła własnej osi, żeby zbadać otoczenie na tyle, na ile pozwalały mu okulary noktowizyjne. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że znajduje się w mniejszym pomieszczeniu niż te na innych piętrach, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że wszędzie wiszą ciemne brezentowe płachty: przepierzenia, których się tak obawiał. Nie miał czasu zastanawiać się nad tą przeszkodą, bo zobaczył sylwetkę leżącego na podłodze Attyli. Zawołał go przytłumionym głosem, nie miał pojęcia, co mu się stało. Ktoś mógł go powalić strzałem, którego nie usłyszał z powodu wypadku na uszkodzonym stopniu, albo użył broni z tłumikiem. Zwierzę leżało bez ruchu, na boku, z głową odchyloną do tyłu i sztywnymi łapami, w nienaturalnej pozycji. „Nie!”, zawołał Miller. „Nie!” Opanował odruch, by podbiec do psa; przyczaił się i rozejrzał dookoła – choć niewiele widział – w poszukiwaniu wroga, który na pewno był gdzieś w pobliżu.

Stał u podnóża schodów, obok wielkiej klatki windy pokrytej metalowymi oczkami, widoczny ze wszystkich stron; mógł zostać zaatakowany z każdego kąta. Wybrał najgorsze miejsce: centralną część schronu stanowiła wielka otwarta przestrzeń, reszta była podzielona, prawdziwy labirynt dla niego i doskonała kryjówka dla Wilka. Przynajmniej miał pewność, że Indiana jest blisko, Attyla poczuł jej zapach. Trafnie odgadł, że Wilk ukrywa się w Winehaven i że tam ją więzi. Ponieważ podcierwień, zdolna wykryć ciepło ciała, niczego nie sygnalizowała, wydedukował, że tamten chowa się za brezentem w którymś z pomieszczeń. Jego jedyną ochronę stanowiła ciemność i czarne ubranie, chyba że przeciwnik ma takie same okulary noktowizyjne jak on. Był zbyt łatwym celem, musiał na chwilę zostawić Attylę i znaleźć jakąś osłonę.

Schylił się i pobiegł w prawo, ponieważ pozycja, w jakiej leżał pies, kazała przypuszczać, że otrzymał strzał z lewej strony i tam z całą pewnością stał wróg. Dotarł do pierwszej zasłony, ukląkł na jednym kolanie, plecami do brezentu, i zbadał pole bitwy, obmyślając kolejne posunięcie. Sprawdzanie namiotów jeden po drugim dowodziłoby wielkiego braku rozwagi, zajęłoby dużo czasu i uniemożliwiłoby oddanie strzału, bo Wilk prawdopodobnie czekał na niego w którymś z nich gotów użyć Indiany jako tarczy. Z Attylą zrobiłby to na pewno, pies poprowadziłby go, kierując się węchem. Wśród wielu niebezpieczeństw, jakie wyobrażał sobie, kiedy planował strategię na Winehaven, nie przewidział możliwości utraty wiernego towarzysza.

Pierwszy raz zaczął żałować, że sam stawiał czoła mordercy. Pedro Alarcón nieraz ostrzegał, że zgubi go arogancja. Czekał przez kilka niekończących się minut, czujny, próbując wychwycić najmniejszy dźwięk czy ruch w niebezpiecznym spokoju schronu. Musiał sprawdzić, ile czasu brakuje do północy, ale nie mógł odsłonić zegarka zakrytego rękawem bluzy, bo cyfry zabłysłyby w mroku niczym zielona latarnia. Postanowił dotrzeć do ściany w głębi, żeby oddalić się od Wilka, który prawdopodobnie był w pobliżu schodów, skąd strzelił do Attyli, a potem zmusić go, żeby się pokazał. Nie wątpił w swoją celność, mógł łatwo trafić z glocka w ruchomy cel z odległości dwudziestu metrów, nawet przy ograniczonej przez okulary widoczności. Zawsze był dobrym strzelcem, o wprawnym oku i pewnej dłoni, a odkąd odszedł z wojska, trenował regularnie na strzelnicy, jakby wiedział, że któregoś dnia znów

przyda mu się ta umiejętność.

Przemknął przyklejony do brezentowych płacht, świadom, że mógł źle ocenić sytuację, a nuż wróg czai się za jedną z nich i zaatakuje go od tyłu, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Poruszał się tak szybko i cicho, jak pozwalała mu na to jego sztuczna noga, postawił w stan gotowości wszystkie zmysły, przystawał co dwa, trzy kroki, żeby oszacować zagrożenie. Nie chciał myśleć o Indianie ani o Attyli, skoncentrował się na działaniu i na własnym ciele: ociekał potem z powodu adrenaliny, szczypała go twarz od pasty do butów i cisnęły paski podtrzymujące gogle i latarkę na głowie, ale dłonie miał suche. Czuł, że w pełni panuje nad bronią.

Zdołał przejść dziewięć metrów, kiedy dostrzegł na końcu korytarza silny migoczący blask, którego pochodzenia nie był w stanie określić. Podniósł gogle na czoło, bo powieleły światło, i spróbował wyostrzyć wzrok. Kiedy zobaczył, co to takiego, wydał z siebie ochrypy krzyk. W pewnej odległości od niego, w olbrzymiej czarnej przestrzeni stał krąg świec, których chwiejne płomyki oświetlały ukrzyżowane ciało. Wisiało na połączeniu kolumny i górnej belki, z głową spuszczoną na piersi. Rozpoznał ją po złotych włosach: to była Indiana. Zapominając o wszelkiej ostrożności, pobiegł w jej kierunku.

Ryan Miller nie poczuł uderzenia pierwszej kuli w piersi i zrobił jeszcze kilka kroków, zanim upadł na kolana. Druga trafiła go w głowę.

Słyszysz mnie, Indiano? To ja, Gary Brunswick, twój Gary. Jeszcze oddychasz, spójrz na mnie. Jestem tutaj, u twoich stóp, gdzie się znalazłem, kiedy w zeszłym roku pierwszy raz cię zobaczyłem. Nawet teraz, w godzinie agonii, jesteś taka piękna... Jedwabna koszula nocna bardzo ci pasuje, zwiewna, elegancka, zmysłowa. Keller dał ci ją w prezencie, żeby się z tobą kochać, a ja włożyłem ci ją, żebyś odpokutowała za grzechy.

Jeśli podniesiesz głowę, ujrzysz twojego żołnierza. To ten kształt na podłodze, w który celuję latarką. Pies leży dalej, u podnóża schodów, nie możesz go stąd zobaczyć; porażenie prądem było śmiertelne dla stworzenia jego rozmiarów, paralizator w sekundę skończył z tym odrażającym zwierzęciem. Żołnierza ledwo widać, jest ubrany na czarno. Możesz go zobaczyć? Nieważne, już nie będzie się wtrącał do naszej miłości. To była miłość tragiczna, Indiano, a mogła być cudowna, gdybyś się jej poddała. Przez ten tydzień, który spędziliśmy razem, zdołaliśmy się poznać, jakbyśmy przez długi czas byli małżeństwem. Dałem ci możliwość wysłuchania całej mojej historii, wiem, że mnie rozumiesz: musiałem pomścić malucha – Antona Farkasa i chłopca – Lee Galespiego. To był mój obowiązek, moralny obowiązek, nieuchronny.

Wiesz, że od trzech tygodni nie cierpię na migreny? Można powiedzieć, że w końcu twoje zabiegi przyniosły skutek, ale powinniśmy wziąć pod uwagę także inny czynnik: jestem wolny od brzemienia zemsty. Dźwigałem tę odpowiedzialność przez wiele lat, wyobraź sobie, jaką szkodę wyrządziło to mojemu układowi nerwowemu. Te straszliwe migreny, które ty znasz lepiej niż ktokolwiek inny, pojawiły się, gdy

zaczęłam planować moją misję. Egzekucje wprawiały mnie w cudowny stan podniecenia, czułam się lekki, pełen euforii, wydawało mi się, że mam skrzydła, ale po kilku godzinach wracał ból głowy i myślałem, że umrę. Teraz, kiedy wreszcie wypełniłem swój obowiązek, jestem wyleczony.

Wyznam ci, że nie spodziewałem się tak wcześnie wizyty. Amanda jest sprytniejsza, niż sądziłem. Nie dziwi mnie, że żołnierz przyszedł sam, uważał, że z łatwością mnie pokona, chciał zabłysnąć, ratując swoją damę z oparów. Kiedy przyjedzie twój były mąż ze swoim stadem nieudaczników, ja będę daleko. Nadal będą szukali Antona Farkasa, ale w którymś momencie Amanda odkryje, że Wilk to Gary Brunswick. Jest spostrzegawcza, rozpoznała Carol Underwater na moim zdjęciu z okresu, kiedy byłem Lee Galespim, myślę, że nadal będzie się zastanawiała nad tymi fotografiami i w końcu doda dwa do dwóch i zrozumie, że Carol Underwater jest także Garym Brunswickiem, znajomym, z którym grała w szachy przez internet.

Powtarzam ci to, co mówiłem wczoraj, Indi, że po wymierzeniu sprawiedliwości planowałem powiedzieć ci całą prawdę, wyjaśnić, że twoja przyjaciółka Carol i twój najwierniejszy pacjent Gary Brunswick to jedna i ta sama osoba, że nazywam się Anton Farkas i że pod każdym nazwiskiem, jako mężczyzna i jako kobieta, Underwater, Farkas, Galespi czy Brunswick, kochałbym cię tak samo, gdybyś tylko mi na to pozwoliła. Marzyłem, że wyjedziemy do Kostaryki. To gościnny, ciepły i spokojny kraj, w którym byłibyśmy szczęśliwi, moglibyśmy kupić hotelik przy plaży i żyć z turystyki. Zaoferowałem ci więcej miłości niż wszyscy mężczyźni, których miałaś w ciągu swoich trzydziestu trzech lat. No proszę! Właśnie zdałem sobie sprawę, że jesteś w wieku Chrystusa. Nie pomyślałem o tym zbiegu okoliczności. Dlaczego mnie odtrąciłaś, Indi? Zadałaś mi ból, upokorzyłaś mnie. Chciałem być mężczyzną twojego życia; zamiast tego muszę zadowolić się byciem mężczyzną twojej śmierci.

Brakuje już niewiele do północy, wtedy skończy się twoja droga krzyżowa, zostały tylko dwie minuty. To powinna być powolna śmierć, ale ponieważ goni nas czas i nie możemy czekać, pomogę ci umrzeć, chociaż wiesz, że mdli mnie na widok krwi. Nikt nie może mi zarzucić, że jestem krwiożerczy. Chciałbym oszczędzić ci uciążliwości tych ostatnich dwóch minut, ale dokładną godzinę twojej egzekucji wyznacza księżyc. Będzie bardzo szybka, strzał w serce, żadnego przeszywania boku włócznią, jak robili Rzymianie ze skazańcami, którzy za długo konali na krzyżu...

Ryan Miller wrócił do życia, czując na twarzy liźnięcia Attyli. Pies został porażony taserem, kiedy stanął na ostatnim stopniu schodów, przy których czaił się Brunswick. Przez kilka minut leżał nieprzytomny, przez kilka kolejnych całkowicie sparaliżowany, zajęło mu chwilę, zanim z trudem wstał, otrząsnął się z zamroczenia, w jakim pograżył go prąd, i przypomniał sobie, gdzie jest. Wtedy uległ swojemu najsilniejszemu instynktowi: wierności. Gogle zostały na ziemi, ale węch doprowadził go do ciała leżącego na podłodze towarzysza.

Miller poczuł, jak Attyła trąca go głową i próbuje reanimować, otworzył oczy, ogłuszony, ale wciąż z żywym wspomnieniem ostatniej sceny, którą zobaczył, zanim upadł: ukrzyżowanej Indiany.

Pięć lat po tym, jak wrócił z wojny, Miller musiał przypomnieć sobie niezwykle determinację, która pozwoliła mu zostać komandosem Navy SEALs. Najpotężniejszym mięśnieniem jest serce, tego nauczył się podczas piekielnego tygodnia ćwiczeń. Nie czuł strachu, tylko ogromną jasność umysłu. Pomyślał, że rana w głowie musi być powierzchowna, w przeciwnym razie już by nie żył, ale ta na piersi wyglądała dużo poważniej. Tym razem nie przyda mu się krępulec, miał przerąbane. Zamknął umysł na ból i krew, którą tracił, otrząsnął się ze skrajnej słabości, która zachęcała go, by odpoczął, by się poddał, jak poddawał się w ramionach Indiany, kiedy kończyli się kochać. „Zaczekaj chwilę”, powiedział śmierci, odpychając ją na bok. Dzięki pomocy psa wsparł się na łokciach, żeby odszukać broń, ale nie mógł znaleźć pistoletu, pomyślał, że wypadł mu, kiedy runął na podłogę. Otarł rękawem krew z oczu i piętnaście metrów dalej zobaczył scenę Golgoty, która wyryła mu się na siatkówce. Obok krzyża stał mężczyzna, którego nie rozpoznał.

Ryan Miller pierwszy raz dał Attyli znak, który czasami ćwiczyli podczas zabawy czy treningu, ale nigdy na poważnie. Mocno ścisnął go za szyję i wskazał mężczyznę w oddali. To był rozkaz, by zabić. Attyła zawahał się chwilę, rozdarty między pragnieniem, by chronić swojego przyjaciela, a obowiązkiem, by wypełnić polecenie. Miller powtórzył znak. Pies rzucił się przed siebie z prędkością strzały.

Gary Brunswick usłyszał, że coś biegnie, i przeczuwając, co to może być, odwrócił się i w ciemności strzelił na oślep do bestii, która była już w powietrzu, gotowa na niego runąć. Kula zniknęła w olbrzymiej piwnicy, a na ręce trzymającej broń zacisnęły się szczęki psa. Brunswick z krzykiem upuścił pistolet i desperacko próbował się wyswobodzić, ale Attyła przygniótł go swoim ciężarem do podłogi. Wtedy wypuścił rękę mężczyzny i niespodziewanie ugryzł go w grdykę, przeszył ją tytanowymi kłami i szarpał, dopóki jej nie rozerwał. Gary Brunswick leżał na ziemi z rozdartą zębami szyją, a z tętnicy coraz słabiej tryskała mu krew.

Tymczasem Miller zaczął powoli sunąć w stronę Indiany, odpychając się rękami i jedyną nogą, bo proteza była teraz mniej przydatna. Wołał imię Indiany coraz słabszym głosem. Tracił przytomność na kilka sekund, a gdy tylko ją odzyskiwał, podczołgiwał się jeszcze trochę. Wiedział, że zostawia na cementowej podłodze strumień krwi. Ostatni odcinek przebył wspomagany przez Attyłę, który ciągnął go za ubranie. Wilk nie mógł przybić kobiety do krzyża, bo kolumna i belka były z żelaza, przywiązał ją więc pasami za nadgarstki, z rozłożonymi rękami, jej stopy znajdowały się pół metra nad ziemią. Ryan Miller nie przestawał jej wołać: „Indiano, Indiano”, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Nie próbował sprawdzać, czy żyje.

Nadludzkim wysiłkiem komandos zdołał uklęknąć i opierając się o kolumnę, stanął na nodze z włókna węglowego, bo druga się pod nim ugiwała. Ponownie otarł sobie rękawem oczy, ale zrozumiał, że wzrok mącą mu nie tylko krew i pot. Wyjął z pochwy swój nóż Ka-Bar, prymitywną broń, którą zawsze nosi ze sobą każdy żołnierz, i zaczął przecinać jeden z pasów podtrzymujących Indianę. Naostrzył nóż jak brzytwę i potrafił się nim posługiwać, ale przecięcie skórzanego paska zajęło mu ponad minutę. Bezwładne ciało Indiany poleciało w

dół, zdołał je podtrzymać, bo wisiała jeszcze na drugim nadgarstku. Objął ją w talii i zabrał się za kolejny pas. Wreszcie, resztką sił, zdołał przeciąć i ten.

Mężczyzna i kobieta stali teraz przy sobie. Z daleka mogli wyglądać na objętych w uścisku, ona mdlała z miłości w jego ramionach, on przyciskał ją do piersi w geście równie zaborczym, co czułym. Złudzenie trwałoby jednak tylko chwilę. Ryan Miller osunął się powoli na ziemię, nie wypuszczając Indiany z ramion, bo w ostatnim momencie pomyślał, że musi chronić ją przed upadkiem.

Epilog

Sobota, 25 sierpnia 2012 roku

Amanda Martín zwołała ostatni raz uczestników *Ripper*a, żeby zakończyć grę i pożegnać się z przyjaciółmi. Za dwa dni będzie w MIT, pochłonięta odzyskiwaniem Bradleya, a w wolnych chwilach nauką; nie starczy jej czasu na gry RPG.

– Wczoraj pojechaliśmy z Kabelem odwiedzić mamę na lotnisko. Poleciała do Afganistanu, będzie próbowała odnaleźć dwoje dzieci w jakiejś wiosce – powiedziała mistrzyni gry.

– Po co? – zapytał Esmeralda.

– Musi dotrzymać obietnicy, którą złożyła Ryanowi Millerowi. Nie zna imion dzieci ani nazwy wioski, wie tylko, że jest niedaleko granicy z Pakistanem, ale ma do pomocy oddział Navy SEALs, dawnych towarzyszy Ryana.

– W takim razie je znajdzie – zapewnił pułkownik Paddington, dla którego komandosi Navy SEALs byli półbogami.

– Te dzieci czekają na Ryana Millera od sześciu lat – powiedziała Abatha.

– Skąd wiesz? Czytasz im w myślach? – spytał Esmeralda.

– Nie próbowałam. Wiem, bo mistrzyni opowiedziała nam ich historię. Macie kiepską pamięć – odparło medium.

– Mojej mamie niemal co nocy śni się Ryan. Jest w nim teraz bardziej zakochana, niż kiedy żył, prawda, Kabelu? – skomentowała Amanda.

– To fakt. Indiana nie jest już tą samą osobą. Myślę, że nigdy się nie pozbiera po śmierci Alana Kellera, Ryana Millera i po całym tym horrorze, przez jaki przeszła w Winehaven. A ja nigdy nie wybaczę sobie tego, co się stało, mogliśmy uniknąć najgorszego – powiedział dziadek.

– Ja też sobie nie wybaczę. Gdybym zawiadomiła tatę chwilę wcześniej, Ryan by żył. Policja przyjechała o dziesięć minut za późno. Tylko dziesięć minut! – wykrzyknęła Amanda.

– Komandos zdołał ocalić twoją matkę i umarł jak bohater. Postanowił podjąć niepotrzebne ryzyko i nie zgodził się na niczyją pomoc. Może chciał umrzeć – zasugerował Sherlock Holmes.

– Nie! Ryan chciał żyć, chciał ożenić się z moją mamą, chciał znów zobaczyć dzieci z Afganistanu. Nie miał najmniejszej ochoty umierać! – zapewniła go Amanda.

– Co będzie z psem, kiedy wyjedziesz na studia? – zapytał Esmeralda.

– Ja z nim zostanę – wtrącił dziadek. – Attyła toleruje mnie i Ocal-Tuńczyka, ale jemu też bardzo trudno będzie się pozbierać. Godzinami leży nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ścianę, wygląda jak zabalsamowany.

– Też jest w żałobie. Duch żołnierza nie odchodzi, bo zatrzymują go tu Indiana i Attyła. Muszą go puścić – stwierdziła Abatha.

– Może kiedy moja mama wypełni złożoną obietnicę, Ryan pożegna się z nami i ruszy w dalszą podróż – wyraziła przypuszczenie Amanda.

- Zagramy jeszcze kiedyś w *Ripper*? – zapytał Esmeralda.
- Moglibyśmy spotkać się w ferie zimowe – zaproponował sir Edmond Paddington.
- Chyba że wcześniej wydarzy się coś strasznego, co będziemy musieli zbadać – dodał Sherlock Holmes.
- A do tego czasu Kabel opíše naszą historię w powieści *Ripper* – pożegnała się mistrzyni gry.

KONIEC

Podziękowania

Pomysł tej książki narodził się 8 stycznia 2012 roku, kiedy moja agentka Carmen Balcells zaproponowała mnie i mojemu mężowi Williemu Gordonowi, żebyśmy napisali na cztery ręce historię kryminalną. Spróbowaliśmy, ale po dwudziestu czterech godzinach było jasne, że projekt zakończy się rozwodem. On wrócił więc do swojej pracy – szóstej powieści detektywistycznej – a ja zamknęłam się w pokoju i zaczęłam pisać sama, jak zwykle. Jednak ta książka nie powstałaby bez Williego – pomógł mi w porządkowaniu treści i budowaniu napięcia, wspierał mnie, kiedy upadałam na duchu. Miałam także innych pomocników, którym jestem bardzo wdzięczna:

Ana Cejas jest dobrą czarownicą, którą inspirowałam się, tworząc postać Indiany Jackson.

Robert Mitchell jest książkowym komandosem, chociaż ma dwie nogi i czyste sumienie.

Sarah Kessler była moim cudownym detektywem.

Nicolás Frías, mój syn, sprawdził tekst, żeby poprawić błędy logiczne, które często mi się zdarzają, a które moi czytelnicy przypisują realizmowi magicznemu.

Andrea Frías, moja wnuczka, wprowadziła mnie w tajniki *Ripper*, gry RPG.

Doktor D.P. Lyle, ekspert od spraw medycyny sądowej, odpowiedział na moje pytania dotyczące morderstw, broni, narkotyków i trucizn, nie zasypując mnie ostrzeżeniami natury moralnej.

Lawrence Levy, psycholog, pomógł mi w stworzeniu najważniejszej postaci: złego.

Kapitan Sam Moore udzielił mi wskazówek na temat wód zatoki San Francisco.

Lori, moja synowa, i Juliette, moja asystentka, chroniły mnie przed światem, kiedy pisałam.

[1] Harry Houdini (1874–1926) – słynny amerykański iluzjonista i akrobata. Zdobył sławę, między innymi otwierając sejfy i kajdanki bez użycia klucza (przyp. tłum.).